

Margaret Weis, Tracy Hickman

Kroniki Smoczej Lancy – Tom II

Smoki zimowej nocy

(Przekład: Dorota Żywno)

*Moim rodzicom,
doktorowi Haroldowi R. Hickmanowi i jego żonie,
którzy nauczyli mnie, czym jest prawdziwy honor*
Tracy Raye Hickman

*Moim rodzicom, Frances i George'owi Weis
którzy dali mi dar cenniejszy od życia
- umiłowanie książek*
Margaret Weis

Jesteśmy niezmiernie wdzięczni za pomoc autorom modułów gier fabularnych DRAGONLANCE® ADVANCED DUNGEONS & DRAGONS®: Douglasowi Nilesowi za DRAGOS OF ICE, Jeffowi Grubbowi za DRAGONS OF LIGHTS i Laurze Hickman, współautorce DRAGONS OF WAR. Na końcu dziękujemy Michelowi: *Est Sularus oth Mithas.*

Zimowy wicher wyje na zewnątrz, lecz w głębi jaskiń górskich krasnoludów pod łańcuchem gór Kharolis nie czuje się wścieklej zamieci. Gdy Than nakazał uciszyć się zgromadzonym krasnoludom i ludziom, naprzód wystąpił bard krasnoludów, by złożyć hołd drużynie.

PIEŚŃ O DZIEWIĘCIORGU BOHATERACH

Z północy nadeszło niebezpieczeństwo,
tak jak tego się spodziewaliśmy:

W przedniej straży zimy, smoczy taniec
Spruł tkaninę ziemi, aż z lasu,

Z równin nadeszli oni, z czułych objęć ziemi,
Przed nimi bezmiar nieba.

*Dziewięcioro ich było pod trzema księżycami
W jesiennym zmierzchu:*

*Gdy świat chylił się ku upadkowi, oni wznieśli się
Ku sercu opowieści.*

Jeden wyłonił się z ogrodów kamieni,
Z krasnoludzkich dworów, z pogody i mądrości,
Gdzie serce i umysł płyną, nie poddane wątpliwościom
W nietkniętej zyle ręki.

W jego ojcowskich objęciach zgromadził się duch.
*Dziewięcioro ich było pod trzema księżycami,
W jesiennym zmierzchu:*

*Gdy świat chylił się ku upadkowi, oni wznieśli się
Ku sercu opowieści.*

Jeden zstąpił z przystani podmuchów,
Lekki w tulącym go powietrzu,
Na kołyszące się łąki, kraj kenderów,
Gdzie zboże samo wyrasta z maleńkości,
By zazielenić się, zazłocić i znów zazielenić.

*Dziewięcioro ich było pod trzema księżycami,
W jesiennym zmierzchu:
Gdy świat chylił się ku upadkowi, oni wznieśli się
Ku sercu opowieści.*

Następna z równin, dawno powierzona trosce ziemi,
Wykarmiona oddalą, horyzontem nicości.
Niosąc laskę nadeszła, a ciężar
Miłosierdzia i światła skupiał się w jej dłoni:
Nadeszła, niosąc rany tego świata.
*Dziewięcioro ich było pod trzema księżycami,
W jesiennym zmierzchu:
Gdy świat chylił się ku upadkowi, oni wznieśli się
Ku sercu opowieści.*

Kolejny z równin, w cieniu księżyca,
Poprzez obyczaj, przez obrzęd, śladem księżyca,
Gdzie jego fazy, pełnia i nów, władały
Przypływami jego krwi, a jego dłoń wojownika
Wzniosła się przez hierarchie przestrzeni ku światłu.
*Dziewięcioro ich było pod trzema księżycami,
W jesiennym zmierzchu:
Gdy świat chylił się ku upadkowi, oni wznieśli się
Ku sercu opowieści.*

Jedna w nieobecności, znana z odejść,
Mroczna wojowniczką w sercu ognia:
Jej chwała przestrzenią między słowami,
Kołysanką wspominaną na starość,
Wspominaną na krawędzi snu i przebudzenia.
*Dziewięcioro ich było pod trzema księżycami,
W jesiennym zmierzchu:
Gdy świat chylił się ku upadkowi, oni wznieśli się
Ku sercu opowieści.*

Jeden w sercu honoru, utworzony przez miecz,
Przez stulecia lotu zimorodka nad krajem,
Przez upadek i powstanie Solamnii, wstający ponownie,
Gdy serce wznosi się ku obowiązkowi.
Tańczący miecz na zawsze zostanie dziedzictwem.

*Dziewięcioro ich było pod trzema księżycami,
W jesiennym zmierzchu:
Gdy świat chylił się ku upadkowi, oni wznieśli się
Ku sercu opowieści.*

Następny w prostym świetle brat ciemności,
Zezwalający ręce z mieczem wypróbować wszelkie subtelności,
Nawet zawile pajęczyny serca. Jego myśli
To stawy, wzburzone zmieniającym się wiatrem –
Nie widzi ich dna.

*Dziewięcioro ich było pod trzema księżycami,
W jesiennym zmierzchu:
Gdy świat chylił się ku upadkowi, oni wznieśli się
Ku sercu opowieści.*

Następny jest wódz, półelfi, zdradzony,
Gdy więzy krwi rozrywają ziemię,
Lasy, świat ludzi i elfów.
Słyszysz zew odwagi, lecz lęka się miłości,
A lękając się tego i słysząc zew obu, nie czyni niczego.

*Dziewięcioro ich było pod trzema księżycami,
W jesiennym zmierzchu:
Gdy świat chylił się ku upadkowi, oni wznieśli się
Ku sercu opowieści.*

Ostatni z mroku, tchnąc nocą,
Gdzie abstrakcje gwiazd kryją gniazdo słów,
Gdzie ciało cierpi ranę liczb,

Poddane wiedzy, aż, nie mogąc błogosławić,
Jego błogosławieństwo pada na nędznych
i pogrążonych w ciemnocie.

Dziewięcioro ich było pod trzema księżycami,

W jesiennym zmierzchu:

Gdy świat chylił się ku upadkowi, oni wznieśli się

Ku sercu opowieści.

Przyłączyli się do nich inni w trakcie opowieści:

Niepozorne dziewczę, obdarzone łaską nad łaskami;

Księżniczka nasion i młodych drzewek, której powołaniem las;

Prastary tkacz wypadków;

Nie zdołamy opowiedzieć, kogo jeszcze opowieść ta obejmie.

Dziewięcioro ich było pod trzema księżycami,

W jesiennym zmierzchu:

Gdy świat chylił się ku upadkowi, oni wznieśli się

Ku sercu opowieści.

Z północy nadeszło niebezpieczeństwo,

tak jak się spodziewaliśmy:

W obozowiskach zimy, smoczy sen

Owładnął ziemią, lecz z lasu,

Z równin nadeszli oni, z czułych objęć ziemi,

Definiując niebo przed sobą.

Dziewięcioro ich było pod trzema księżycami,

W jesiennym zmierzchu:

Gdy świat chylił się ku upadkowi, oni wznieśli się

Ku sercu opowieści.

Młot

Młot Kharasa!

Wielka sala audiencyjna króla krasnoludów górskich rozbrzmiała echem triumfalnego obwieszczenia. W chwilę później, gdy olbrzymie drzwi z tyłu sali rozwarły się i wkroczył Elistan, kapłan Paladine, rozległy się szalone wiwaty, w których głębokie, dudniące głosy krasnoludów mieszały się z nieco wyższymi w tonacji ludzkimi głosami.

Choć misowata w kształcie sala miała wielkie rozmiary, nawet jak na warunki krasnoludów, panował w niej nieopisany ścisk. Pod ścianami stali niemal wszyscy z ośmiuset uchodźców z Pax Tharkas, podczas gdy krasnoludowie tłoczyli się na rzeźbionych, kamiennych ławach.

Elistan pojawił się na końcu długiej nawy środkowej, z czcią trzymając w dłoniach ogromny młot bojowy. Na widok odzianego w białe szaty kapłana Paladine podniosły się jeszcze głośniejsze krzyki, które dudniły o wielkie sklepienie i rozbrzmiewały takim echem, aż wydawało się, że sala drży w posadach.

Tanis skrzywił się, bowiem od hałasu rozboleła go głowa. Było mu duszno w tłumie. Nigdy nie lubił podziemi i chociaż sufit był tak daleko, że sklepienie nikło w cieniu wysoko nad kręgiem jaskrawego światła pochodni, półelf czuł się zamknięty i osaczony.

– Jak bym chciał, żeby to się już skończyło – szepnął do Sturm, który stał obok. Sturm, zawsze melancholijny, sprawiał wrażenie jeszcze bardziej smutnego i zasepionego niż zwykle. – Nie pochwalam tego, Tanisie – mruknął, zakładając ręce na błyszczącym metalu swego antycznego napierśnika.

– Wiem – rzekł poirytowany Tanis. – Już to mówiłeś – i to nie raz, a kilka razy. Teraz już jest za późno. Nie można zrobić nic innego jak dobrą minę do złej gry.

Koniec jego zdania zagłuszyły kolejne donośne owacje w chwili, gdy Elistan uniósł młot nad głową, pokazując go tłumowi przed wyruszeniem w głąb nawy. Tanis przyłożył dłoń do czoła. W miarę, jak chłodna grota pod ziemią nagrzewała się od masy ciał, zaczynało mu się kręcić w głowie.

Elistan zaczął iść nawą. Hornfel, Than krasnoludów Hylar stanął na podwyższeniu pośrodku sali, aby go powitać. Za krasnoludem znajdowało się siedem wyciosanych w kamieniu tronów, a wszystkie były teraz puste. Hornfel stał przed siódmym tronem, najwspanialszym, należącym do króla Thorbardinu. Od tak dawna pusty tron zostanie znów zajęty, gdy Hornfel przyjmie młot Kharasa. Powrót tej prastarej relikwii był wyjątkowym triumfem Hornfela. Ponieważ bezcenny młot należał do jego thanatu, Hornfel mógł

zjednoczyć rywalizujących thanów krasnoludzkich pod swym przywództwem.

– To my walczyliśmy, żeby odzyskać młot – rzekł powoli Sturm, przyglądając się lśniącej broni. – Legendarny młot Kharasa. Użyty do wykucia smoczych lanc. Utracony na setki lat, znaleziony i ponownie utracony. A teraz oddany krasnoludom! – powiedział z niesmakiem.

– Już przedtem oddano go raz krasnoludom – przypomniał mu Tanis znużonym głosem, czując, jak pot spływa mu strużką po czole. – Niech Flint opowie ci tę historię, jeśli zapomniałeś. W każdym razie teraz już naprawdę należy do nich.

Elistan doszedł do stóp kamiennego podwyższenia, gdzie oczekiwał go than odziany w ciężkie szaty i masywne złote łańcuchy, jakie krasnoludowie uwielbiali. Elistan ukląkł u stóp podwyższenia, co było dobrze przemyślanym gestem, bowiem gdyby nie to, wysoki i muskularny kapłan stałby twarzą w twarz z krasnoludem, mimo iż podwyższenie znajdowało się dobry metr nad ziemią. Krasnoludowie zakrzyknęli głośno z radości na ten widok. Tanis zauważył, że ludzie okazywali większą powściągliwość, a niektórzy nawet szeptali między sobą, niezadowoleni z widoku swego przywódcy, który tak się korzył.

– Przyjmij ten dar naszego ludu... – słowa Elistana zginęły w kolejnym wiwacie krasnoludów.

– Dar! – parsknął Sturm. – Raczej okup.

– W zamian za który – ciągnął Elistan, gdy można było go już usłyszeć – dziękujemy krasnoludom za szczodrość, jaką nam okazali, dając miejsce do życia w swym królestwie.

– Za prawo do tego, by być żywcem pogrzebanym... – mruknął Sturm.

– I przysięgamy wesprzeć krasnoludów, gdyby wojna miała dotrzeć do nas! – wykrzyknął Elistan.

W komnacie rozbrzmiały radosne okrzyki, które przybrały na sile, gdy than Hornfel schylił się, by odebrać młot. Krasnoludowie tupali i gwizdali, wspiąwszy się na kamienne ławy.

Tanisowi zaczęło się robić niedobrze. Rozejrzał się wkoło. Nikt nie zauważył ich nieobecności. Hornfel będzie przemawiać, podobnie jak każdy z sześciu pozostałych thanów, nie wspominając nawet o członkach rady Szlachetnych Poszukiwaczy. Półelf dotknął ramienia Sturma, gestem dając rycerzowi do zrozumienia, by poszedł za nim. Po cichu wymknęli się z sali, schylając się nisko, by zmieścić się w wąskim przejściu. Choć wciąż znajdowali się w podziemiach potężnego miasta krasnoludów, przynajmniej byli z dala od hałasu, pogrążeni w chłodnym mroku nocy.

– Dobrze się czujesz? – spytał Sturm, dostrzegając bladość Tanisa widoczną pod

zarostem. Półelf chwycił głębokie hausty chłodnego powietrza.

– Teraz już tak – odrzekł Tanis, czerwieniąc się, zawstydzony swą słabością. – To przez to gorąco... i hałas.

– Wkrótce stąd odejdziemy – powiedział Sturm. – Oczywiście, zależy to będzie od tego, czy rada Szlachetnych Poszukiwaczy przegłosuje pozwolenie na wyprawę do Tarsis.

– Och, nie ma wątpliwości co do tego, jak będą głosować – odrzekł Tanis, wzruszając ramionami. – Wiadomo, że odkąd Elistan znalazł bezpieczne schronienie dla ludzi, on tu teraz rządzi. Żaden z Szlachetnych Poszukiwaczy nie ośmieli się wystąpić przeciwko niemu – przynajmniej nie otwarcie. Nie, mój przyjacielu, być może nim minie miesiąc, podniesiemy żagle jednego z białoskrzydłych statków w Tarsis Pięknym.

– Bez młota Kharasa – dodał gorzko Sturm. Cichym głosem zaczął recytować:

„Powiada się, że rycerze wzięli złoty miot, miot pobłogosławiony przez wielkiego boga Paladine i подарowany Srebrnorękiemu, aby mógł wykuć smoczą lancą Humy, zabójcy smoków, i dali ów miot krasnoludowi zwanemu przez nich Kharas, czyli rycerz, za nadzwyczajną dzielność i honor w boju. I zatrzymał on imię Kharas jako swe własne. A młot Kharasa oddany został w ręce krasnoludów z ich zapewnieniem, że znów zostanie odzyskany w chwili potrzeby...”

– Został przecież odzyskany – powiedział Tanis, z wysiłkiem pohamowując narastający w nim gniew. Słyszał ten cytat zbyt wiele razy!

– Odzyskany, a teraz zostawiony! – Sturm zmełł wściekle słowa. – Mogliśmy go zabrać do Solamnii, wykuć nim własne smocze lance...

– A ty bybyś następnym Humą, pędzącym ku chwale ze smoczą lancą w ręku! – Tanis nie mógł się już opanować. – Tymczasem pozwoliłbyś ośmiuset ludziom zginąć...

– Nie, nie pozwoliłbym im zginąć! – krzyknął Sturm, nie posiadając się z gniewu. – Oto nasza pierwsza wskazówka dotycząca smoczycych lanc, a ty sprzedajesz ją za...

– *Shirak* – rozległ się czyjś szept i rozbłysło jaskrawe światło, promieniujące z kryształowej kuli, którą ścisnęła złota smocza łapa umieszczona na czubku zwykłej, drewnianej laski. Blask padł na czerwone szaty czarodzieja.

Młody mag zbliżył się do dwóch mężczyzn, wspierając się na swej lasce i pokaszlując lekko. Światło jego laski padało na wychudzoną twarz o połyskującej metalicznie skórze mocno naciągniętej na delikatnych kościach. Jego oczy połyskiwały barwą złota.

– Raistlinie – odezwał się zdenerwowanym głosem Tanis. – Życzysz sobie czegoś?

Raistlinowi zdawały się nie przeszkadzać gniewne spojrzenia, jakimi mierzyli go obaj mężczyźni. Najwyraźniej przyzwyczajony był do tego, że mało kto czuł się swobodnie w jego

towarzystwie, czy też pragnąłby znaleźć się w jego pobliżu.

Zatrzymał się przed nimi. Wyciągnawszy wątlą rękę, czarodziej powiedział – *Akular-alan suh Tagolann Jistrathar* – i na oczach zdumionego Tanisa i Sturmia z nicości wyłonił się blady, migotliwy obraz jakiejś broni.

Była to lanca dla pieszego, długa niemal na cztery metry. Grot był z czystego srebra, ząbkowany i połyskliwy, a drzewce wykonano z wypolerowanego drewna. Zakończono je stalą, tak by można było je wbijać w ziemię.

– Jakie to piękne! – westchnął Tanis. – Co to jest?

– Smocza lanca – odpowiedział Raistlin.

Trzymając lancę w dłoni, czarodziej wszedł pomiędzy dwóch mężczyzn, którzy usunęli mu się z drogi, jakby nie chcąc, by ich dotykał. Nie mogli oderwać oczu od lancy. Wtedy Raistlin odwrócił się i podał ją Sturmowi.

– Oto twoja smocza lanca, rycerzu – zasyczał Raistlin – bez konieczności posługiwania się młotem czy srebrną ręką. Czy pojedziesz z nią ku chwale, pamiętając, że Huma wraz z chwałą znalazł śmierć?

Sturmowi rozbłysły oczy. Powstrzymał oddech z bogobojnego podziwu i wyciągnął rękę, by pochwycić smoczą lancę. Ku jego zdumieniu, ręka przeszła przez nią na wylot! Smocza lanca znikła w chwili, gdy jej dotknął.

– Kolejna twoja sztuczka! – warknął. Odwróciwszy się na pięcie, odszedł długim krokiem, dławiąc się z gniewu.

– Jeśli to miał być żart, Raistlinie – rzekł cicho Tanis – to nie był śmieszny.

– Żart? – szepnął mag. Spojrzenie jego dziwnych, złotych oczu śledziło rycerza, który odchodził w gęsty mrok krasnoludzkiego miasta pod górą. – Powinienieś znać mnie lepiej, Tanisie.

Czarodziej zaśmiał się – a był to upiorny śmiech, jaki Tanis słyszał tylko raz przedtem. Następnie, skłoniwszy się sardonicznie półelfowi, Raistlin znikł w ciemnościach, podążając śladami rycerza.

KSIĘGA PIERWSZA

Rozdział I

Białoskrzydłe okręty. Nadzieja spoczywa za Równinami Pyłu

Tanis Półelf siedział na zebraniu rady Szlachetnych Poszukiwaczy i przysłuchiwał się wszystkiemu z posępną miną. Choć oficjalnie fałszywa religia poszukiwaczy była już martwa, grupę politycznych przywódców ośmiu setek uchodźców z Pax Tharkas wciąż tak właśnie nazywano.

– Nie chodzi o to, że nie jesteśmy wdzięczni krasnoludom za to, że pozwolili nam tu zamieszkać – powiedział wylewnie Hederick, gestykulując pokrytą bliznami dłonią. –

Jestem pewien, że wszyscy jesteśmy wdzięczni. Tak samo jesteśmy wdzięczni tym, którzy bohatercko odnaleźli młot Kharasa. To umożliwiło nam sprowadzenie się tutaj. – Hederick ukłonił się Tanisowi, który odpowiedział na ukłon krótkim skinieniem głowy. – Ale my nie jesteśmy krasnoludami!

To zdecydowane stwierdzenie spotkało się z pomrukami aprobaty, co wzbudziło u Hedericka sympatię do słuchaczy.

– My, ludzie, nie jesteśmy stworzeni do życia pod ziemią! Głośne okrzyki aprobaty i oklaski.

– Jesteśmy rolnikami. Nie możemy uprawiać roli na górskim zboczu! Chcemy ziemi takiej, jaką zmuszeni byliśmy zostawić. Twierdzę, że ci, którzy zmusili nas do opuszczenia naszej ojczyzny powinni dać nam nową!

– Czy on ma na myśli smoczycy władców? – Sturm szepnął z przekąsem do Tanisa. – Jestem pewien, że z radością spełnią ich życzenia.

– Ci głupcy powinni być wdzięczni, że żyją! – mruknął Tanis. – Spójrz tylko, jak patrzą na Elistana – jakby to była jego wina!

Kapłan Paladine – przywódca uchodźców – wstał, by odpowiedzieć Hederickowi.

– Właśnie dlatego, że potrzebujemy nowych domów – rzekł Elistan donośnym barytonem, który dźwięcznie zabrzmiał w jaskini – proponuję, byśmy wysłali delegację na południe, do Pięknego Tarsis.

Tanis już wcześniej słyszał o planach Elistana. Rozmyślał o tym, co wydarzyło się w ciągu miesiąca, odkąd wraz z towarzyszami wrócił z grobu Derkina ze świętym młotem.

Thanowie krasnoludów, zjednoczeni obecnie pod przywództwem Hornfela, przygotowywali się do boju ze złem, które nadciągało z północy. Krasnoludowie nie obawiali się go zbyt. Ich górskie królestwo wydawało się niezwyciężone. Dotrzymali także obietnicy, jaką złożyli Tanisowi w zamian za oddanie im młota: uciekinierzy z Pax Tharkas

mogą osiedlić się w Southgate, najbardziej wysuniętej na południe części górskiego królestwa Thorbardin.

Elistan przyprowadził uchodźców do Thorbardinu. Próbowali tu odbudować swe życie, lecz warunki nie były całkowicie zadowalające.

Oczywiście byli bezpieczni, lecz ucieknierzy, spośród których większość była rolnikami, nie czuli się szczęśliwi mieszkając w ogromnych podziemnych jaskiniach krasnoludów. Na wiosnę mogli uprawiać ziemię na zboczu góry, lecz na skalistej glebie wyrosną skąpe plony wystarczające zaledwie do utrzymania się przy życiu. Ludzie chcieli mieszkać na świeżym powietrzu i w słońcu. Nie chcieli być uzależnieni od krasnoludów.

To Elistan przypomniał starodawne legendy o Pięknym Tarsis i jego okrętach na skrzydłach mew. To tylko legendy, przypomniał mu Tanis, kiedy Elistan po raz pierwszy wspomniał o tym. Nikt w tej części Ansalonu nie słyszał o Tarsis od czasu kataklizmu trzysta lat temu. Wtedy krasnoludowie zamknęli granice górskiego królestwa Thorbardin, praktycznie odcinając wszelkie kontakty między północą a południem, ponieważ jedyna droga przez góry Kharolis wiodła przez Thorbardin.

Tanis posepnie słuchał, jak rada Szlachetnych Poszukiwaczy jednogłośnie poparła propozycję Elistana. Zaproponowano wysłanie do Tarsis małej grupy ludzi z poleceniem dowiedzenia się, jakie statki zawijają do portu, dokąd się udają i ile będzie kosztował rejs na ich pokładzie – a może nawet za ile można kupić statek.

– A kto będzie przywódcą grupy? – Tanis zadawał sobie po cichu pytanie, choć już znał odpowiedź.

Oczy wszystkich zwróciły się ku niemu. Zanim Tanis zdołał coś powiedzieć, Raistlin, który przysłuchiwał się wszystkiemu bez komentarza, wystąpił naprzód i stanął przed radą. Zmierzył ich spojrzeniem dziwnych, połyskujących złotem oczu.

– Głupcami jesteście – rzekł Raistlin cichym szeptem, w którym pobrzmiwała pogarda – i życie złudzeniami głupców. Jak często mam się powtarzać? Jak często muszę wam przypominać o zwiastunie zapisanym wśród gwiazd? Co sobie wyobrażacie, kiedy spoglądając w nocne niebo, widzicie czarne dziury ziejące w miejscu brakujących dwóch konstelacji?

Członkowie rady niespokojnie poruszyli się na swych stołkach, a kilku wymieniło znaczące spojrzenia, które miały pokazać, jak są znudzeni.

Raistlin zauważył to i ciągnął przemowę głosem coraz bardziej przepełnionym pogardą. – Tak, słyszałem, jak kilku z was mówi, że to tylko naturalne zjawisko – coś, co się normalnie zdarza, jak spadanie liści z drzew.

Kilku członków rady zamruczało coś pod nosem, kiwając przy tym głowami. Raistlin przyglądał im się przez chwilę w milczeniu, wykrzywiając drwiąco wargi. Potem odezwał się jeszcze raz. – Powtarzam, jesteście głupcami. Gwiazdozbioru znanego jako Królowa Ciemności nie ma na nieboskłonie, ponieważ królowa jest obecna tu, na Krynnie. Gwiazdozbiór Wojownika, który, jak dowiadujemy się z dysków Mishakal, przedstawia prastarego boga Paladine, również powrócił na Krynn, by z nią walczyć.

Raistlin przerwał. Elistan, który stał wśród nich, był prorokiem Paladine, a wielu tu obecnych nawróciło się na nową religię. Czarodziej wyczuł, że niektórzy zareagowali rosnącym gniewem na to, co wydawało im się bluźnierstwem. Pomysł, że bogowie osobiście mieliby angażować się w sprawy ludzi był szokujący! Raistlin jednak nigdy nie przejmował się tym, że uważano go za bluźniercę.

Podniósł głos. – Popamiętajcie jeszcze me słowa! Wraz z Królową Ciemności powróciły jej „wrzeszczące hordy”, jak powiada Kantyczka. A wrzeszczące hordy to smoki! – Raistlin przeciągnął ostatnie słowo w syk, na dźwięk którego, wedle określenia Flinta, „przeszły go dreszcze”.

– Wszystko to wiemy – burknął niecierpliwie Hederick. Minęła już pora, o jakiej Teokrata wypijał co wieczór szklanicę grzanego wina i to zniecierpliwienie dodało mu odwagi. Natychmiast jednak pożałował swych słów, gdy klepsydrowe oczy Raistlina przeszyły Teokratę niczym czarne strzały. – Do czego zmierzasz?

– Do tego, że pokój już nigdzie nie istnieje na Krynnie – szepnął czarodziej. Machnął wątłą ręką. – Znajdźcie statki, udajcie się w podróż, dokąd chcecie. Gdziekolwiek popłyniecie, gdziekolwiek spojrzycie w nocne niebo, ujrzycie te same wielkie, czarne dziury. Gdziekolwiek pójdziecie, zastaniecie tam smoki!

Raistlin zaczął kaszleć. Jego ciałem wstrząsały spazmy i wydawało się, że zaraz upadnie, lecz jego bliźniaczy brat, Caramon, podbiegł i pochwycił go w swe mocne ramiona.

Kiedy Caramon wyprowadził maga z posiedzenia rady, wszyscy odnieśli wrażenie, że się przejaśniło. Członkowie rady otrząsnęli się i roześmiali – nawet jeśli był to nieco niepewny śmiech – i mówili, że to bajka. Myśleć, że wojna rozprzestrzeniła się na cały Krynn, to śmieszne. Przecież wojna już zbliżała się do końca tu, na Ansalonie. Smoczy władca, Verminaard, został pokonany, a jego armie smokowców zmuszone do odwrotu.

Członkowie rady wstali i przeciągnąwszy się, wyszli z komnaty, by udać się do piwiarni lub własnych domów.

Zapomnieli, że nawet nie spytali Tanisa, czy zechce stanąć na czele wyprawy do Tarsis. Po prostu do głowy im nie przyszło, że może odmówić.

Tanis, wymieniwszy posępne spojrzenie ze Sturmem, wyszedł z jaskini. Mimo iż krasnoludowie czuli się bezpieczni w swej górskiej fortecy, Tanis i Sturm zażądali wystawienia straży na murach obronnych od strony Southgate. Nauczyli się szanować smoczych władców na tyle, że nie potrafili spać spokojnie bez warty – nawet pod ziemią.

Tanis oparł się o mur otaczający Southgate. Na jego twarzy malował się wyraz zamyślenia i powagi. Przed nim rozciągała się polana gładko przykryta kopnym śniegiem. Noc była cicha i spokojna. Za nim widniał ogromny masyw gór Kharolis. Brama Southgate w rzeczywistości była czymś w rodzaju olbrzymiego korka w górskim zboczu. Stanowiła część systemu obronnego, dzięki któremu krasnoludowie odizolowali się od reszty świata na trzysta lat po kataklizmie i niszczycielskich wojnach krasnoludów.

Szeroką na osiemnaście metrów u podstawy i wysoką na niemal połowę tej wielkości bramę poruszał olbrzymi mechanizm, który wsuwał ją i wysuwał ze skalnej ściany. Pośrodku miała co najmniej dwanaście metrów grubości i na całym Krynnie nie znano bardziej niezniszczalnej bramy, z wyjątkiem jej odpowiedniczki od strony północnej. Kiedy bramy zamykano, nie sposób było odróżnić je od zbocza góry, tak wspaniała była robota dawnych krasnoludzkich mistrzów kamieniarskich.

Jednakże od chwili przybycia ludzi do Southgate wokół wejścia umocowano pochodnie, umożliwiając mężczyznom, kobietom i dzieciom wyjście na świeże powietrze – co mieszkającym pod ziemią krasnoludom wydawało się niczym nieuzasadnioną ludzką słabością.

Tanis stał, wpatrując się w las za polaną i nie mógł znaleźć spokoju w jego cichej urodzie. Wkrótce nadszedł Sturm, Elistan i Laurana. Toczyli rozmowę – najwyraźniej o nim – bowiem w tym momencie zapadła nieprzyjemna cisza.

– Taki jesteś poważny – powiedziała cicho Laurana, podchodząc bliżej do Tanisa i kładąc mu dłoń na ramieniu. – Uważasz, że Raistlin ma rację, prawda, Tanthal... Tanisie? – Laurana zaczerwieniła się. Jego ludzkie imię wciąż z trudem przechodziło jej przez usta, lecz znała go teraz dość dobrze, by wiedzieć, że elfie imię sprawiało mu ból.

Tanis spuścił spojrzenie na drobną, smukłą dłoń na swym ramieniu i łagodnie nakrył ją własną dłonią. Jeszcze kilka miesięcy temu jej dotyk zezłościłby go, wywołując zakłopotanie i poczucie winy, bowiem w jego wnętrzu toczył się bój pomiędzy miłością do ludzkiej kobiety a uczuciem dla tej elfiej panny, które nazywał dziecinnym zauroczeniem. Teraz dotyk dłoni Laurany przepelnił go ciepłem i spokojem, mimo iż jednocześnie rozpałił jego krew. Odpowiedział na jej pytanie, zastanawiając się nad tym nowym, niepokojącym uczuciem.

– Od dawna uważam, że Raistlin mądrze radzi – powiedział, wiedząc, jak to ich

zaniepokoi. Oczywiście, Sturm natychmiast spochmurniał. Elistan zmarszczył brwi. – Sądę, że tym razem ma rację. Wygraliśmy bitwę, lecz daleko nam jeszcze do wygrania wojny. Wiemy, że wojna toczy się daleko na północy, w Solamni. Wydaje mi się, że mamy prawo sądzić, iż siły ciemności toczą bój nie tylko po to, by podbić Abanasinię.

– To tylko twoje przypuszczenia! – sprzeciwiał się Elistan. – Nie pozwól, by mrok spowijający tego młodego maga zaćmił ci rozum. On może mieć rację, lecz to jeszcze nie powód, by porzucić nadzieję i poddawać się! Tarsis jest dużym portem morskim, przynajmniej według tego, co o nim wiemy. Tam znajdziemy kogoś, kto nam powie, czy wojna toczy się na całym świecie. Jeśli tak, muszą wciąż istnieć gdzieś miejsca, gdzie znajdziemy spokój.

– Posłuchaj Elistana, Tanisie – powiedziała łagodnie Laurana. – On jest mądry. Kiedy nasz lud opuścił Qualinesti, nie uciekał na oślep. Udał się do spokojnej przystani. Mój ojciec miał plan, choć nie odważył się go ujawnić...

Laurana przerwała, zauważywszy skutek, jaki odniosła jej przemowa. Tanis raptownie wyrwał rękę spod jej dłoni i wbił gniewny wzrok w Elistana.

– Raistlin twierdzi, że nadzieja to zaprzeczanie rzeczywistości – stwierdził chłodno Tanis. Potem, widząc, że zatroskany Elistan przygląda mu się ze smutkiem, półelf posłał mu znużony uśmiech. – Przepraszam, Elistanie. Jestem zmęczony, to wszystko. Wybacz mi. Twoja propozycja jest rozsądna. Udamy się do Tarsis z nadzieją, jeśli z niczym więcej.

Elistan pokiwał głową i odwrócił się do wyjścia. – Idziesz, Laurano? Wiem, że jesteś zmęczona, moja droga, ale mamy jeszcze masę rzeczy do zrobienia, zanim będę mógł przekazać przywództwo radzie na czas mojej nieobecności.

– Wkrótce do ciebie przyjdę, Elistanie – powiedziała Laurana, oblewając się rumieńcem. – Chciałabym... chciałabym chwilę porozmawiać z Tanisem.

Elistan zmierzył oboje uważnym, pełnym zrozumienia spojrzeniem, a następnie znikł w mrocznej bramie wraz ze Sturmem. Tanis zaczął gasić pochodnie, co było wstępem do zamknięcia bramy. Laurana stała przy wejściu z coraz chłodniejszą miną, kiedy zrozumiała, że Tanis ją ignoruje.

– Co ci się stało? – zapytała wreszcie. – Mówisz niemal tak, jakbyś opowiadał się po stronie tego czarodzieja o mrocznej duszy, występując przeciwko Elistanowi, który jest jednym z najlepszych i najmądrzejszych ludzi, jakich kiedykolwiek poznałam!

– Nie osądzaj Raistlina, Laurano – rzekł szorstko Tanis, zanurzając pochodnię w wiadrze z wodą. Ogień zgasł z sykiem. – Nie wszystko zawsze jest tak czarne i białe, jak wy, elfowie, jesteście skłonni sądzić. Ten czarodziej niejedną raz ocalił nam życie. Nauczyłem się

polegać na jego rozumowaniu – na którym, przyznaję, łatwiej jest mi polegać niż na ślepej wierze!

– Wy elfowie! – krzyknęła Laurana. – Jakże typowo ludzkie to słowa! Jest w tobie dużo więcej z elfa, niż chcesz przyznać, Tanthalasie! Zwykłeś mówić, że nie nosisz brody po to, by ukrywać swe pochodzenie i uwierzyłam ci. Teraz już nie jestem taka tego pewna. Żyłam wśród ludzi dość długo, by dowiedzieć się, co czują do elfów! A ja jestem dumna ze swego pochodzenia. Ty nie! Ty się go wstydzisz. Dlaczego? Z powodu tej kobiety, w której się zakochałeś! Jak ona się nazywa... tej Kitiary?

– Przestań, Laurano! – krzyknął Tanis. Cisnąwszy pochodnię na ziemię, podszedł zdecydowanym krokiem do elfiej panny, która stała w bramie. – Jeśli chcesz dyskutować na temat par, to co powiesz o sobie i Elistanie? Może jest kapłanem Paladine, ale jest również mężczyzną – o czym bez wątpienia potrafisz zaświadczyć! Jedyne, co słyszę od ciebie – przedrzeźniał ją – to „Elistan jest taki mądry, on będzie wiedział, co zrobić”, „Posłuchaj Elistana, Tanisie...”

– Jak śmiesz przypisywać mi swe własne ułomności – odparła Laurana. – Kocham Elistana. Szanuję go niezmiernie. To najmądrzejszy i najłagodniejszy człowiek, jakiego kiedykolwiek spotkałam. Jest pełen poświęcenia i jego całe życie opiera się na służeniu innym. Ale jest tylko jeden mężczyzna, którego kocham, tylko jeden mężczyzna, którego kiedykolwiek kochałam – choć teraz zaczynam zadawać sobie pytanie, czy przypadkiem nie popełniłam błędu! Powiedziałeś w tym strasznym miejscu, w Sla-Mori, że zachowuję się jak mała dziewczynka i powinnam wydorosnąć. Cóż, dorosłam, Tanisie Półelfie. W ciągu tych kilku ostatnich gorzkich miesięcy widziałam śmierć i cierpienie. Czułam strach, istnienia jakiego nawet nie podejrzewałam! Nauczyłam się walczyć i zadawałam śmierć wrogom. Wszystko to przejęło mą duszę takim bólem, że już odrętwiałam i nie czuję nic więcej. Gorszy jednak ból sprawiło mi spojrzenie na ciebie, kiedy już przejrzałam na oczy.

– Nigdy nie twierdziłem, że jestem doskonały, Laurano – rzekł cicho Tanis.

Wzeszły oba księżyce, srebrny i czerwony, i choć żaden nie był jeszcze w pełni, rzucały dość światła, by Tanis dojrzał łzy w lśniących oczach Laurany. Wyciągnął do niej rękę, chcąc ją objąć, lecz ona odsunęła się.

– Może nigdy tak nie twierdziłeś – rzekła ze wzgardą – lecz z całą pewnością bawi cię to, że pozwalasz nam tak myśleć o tobie!

Nie zwracając uwagi na jego wyciągnięte ramiona, wyjęła pochodnię z uchwytu w ścianie i weszła w mrok za bramą Thorbardinu. Tanis śledził wzrokiem oddalającą się Lauranę, przyglądając się jej włosom koloru miodu połyskującym w blasku pochodni i

ruchom pełnym wdzięku, jak kołysanie się smukłych osik w ich elfiej ojczyźnie Qualinesti.

Tanis stał jeszcze przez chwilę, odprowadzając ją spojrzeniem i pocierając gęstą, rudawą brodę, jakiej nie mógłby zapuścić żaden elf na Krynnie. Rozważając ostatnie stwierdzenie Laurany, pomyślał o Kitiarze, choć było to zupełnie nie na miejscu. W myślach wyczarował obraz krótko ostrzyżonej, kędzierzawej, czarnej czupryny Kitiary, jej krzywego uśmiechu, ognistego, wybuchowego charakteru i jej silnego, zmysłowego ciała – ciała wyszkolonej wojowniczkii, lecz ku swemu zdumieniu odkrył, że wizerunek ten rozpląnął się, przeszyty spokojnym, czystym spojrzeniem pary lekko skośnych, świetlistych elfich oczu.

Z wnętrza góry dobiegł grzmot. Oś, która poruszała olbrzymią, kamienną bramę zaczęła się obracać, ze zgrzytem zamykając wejście. Przyglądając się zamykającym się wrotom, Tanis postanowił nie wchodzić do środka. „Żywcem pogrzebany”. Uśmiechnął się, przypomniawszy sobie słowa Sturma, lecz jednocześnie przeszedł go wewnętrzny dreszcz. Przez dłuższą chwilę przyglądał się drzwiom czując, jak ciężka bariera zapada pomiędzy niego i Lauranę. Wrota zatrzasnęły się z głuchym łoskotem. Zbocze góry było puste, zimne i odstręczające.

Westchnąwszy Tanis otulił się płaszczem i ruszył w stronę lasu. Nawet spanie w śniegu jest lepsze od spania pod ziemią. I tak powinien zacząć się do tego przyzwyczajać. Równiny Pyłu, które będą przemierzać w drodze do Tarsis, najprawdopodobniej będą zasypane śniegiem, nawet wczesną zimą.

Idąc i rozmyślając o wyprawie, Tanis spojrział w nocne niebo. Było piękne i usiane migoczącymi gwiazdami. Jednakże piękno to psuły dwie czarne dziury. Brakujące gwiazdozbiory Raistlina.

Dziury w niebie. Dziury w nim samym.

Po sprzecze z Laurana Tanis niemal cieszył się, że rusza w podróż. Cała drużyna zgodziła się pójść. Tanis wiedział, że nikt z nich nie czuł się naprawdę dobrze wśród uchodźców.

Przygotowania do wyprawy dały mu sporo do myślenia. Mógł powiedzieć sobie, że nie obchodzi go, iż Laurana unika go. Z początku sama podróż była przyjemna. Odnosiło się wrażenie, że znów są wczesne dni jesieni, a nie początek zimy. Świeciło słońce, ogrzewając powietrze. Tylko Raistlin był ubrany w najcieplejszy płaszcz.

W czasie wędrówki przez północną część równin przyjaciele toczyli wesołe, beztraskie rozmowy, pełne żartów, utarczek słownych i przypominania sobie nawzajem o tym, jak dobrze bawili się za dawnych, szczęśliwszych dni w Solące. Nikt nie wspominał o mrocznych i złych wypadkach, jakich byli świadkami ostatnio. Można by pomyśleć, że roz-

myślając o jaśniejszej przyszłości, siłą woli chcieli wymazać tamte wydarzenia.

Wieczorami Elistan objaśniał im to, czego dowiadywał się o starych bogach z dysków Mishakal, które niósł ze sobą. Jego opowieści napełniały ich dusze spokojem i umacniały wiarę. Nawet Tanis – który całe życie szukał czegoś, w co mógłby uwierzyć, a teraz, kiedy znaleźli to, podchodził do tego sceptycznie – czuł w głębi duszy, że gdyby miał w coś uwierzyć, mogłoby to być właśnie to. Pragnął wierzyć, lecz coś go powstrzymywało, a za każdym razem, gdy spoglądał na Lauranę, wiedział, co to jest. Dopóki nie zdoła rozwikłać swego wewnętrznego konfliktu, tego wściekłego rozłamu między tym, co w nim elfie a tym, co ludzkie, nie zazna spokoju.

Tylko Raistlin nie brał udziału w rozmowach, zabawie, żartach, psikusach i opowieściach przy ognisku. Czarodziej całymi dniami studiował swą księgę zaklęć. Jeśli mu przerywano, odpowiadał warknięciem. Po skąpej kolacji siadał na uboczu, podnosił głowę ku nocnemu niebu i przyglądał się dwóm czarnym dziurom, których odzwierciedleniem były czarne źrenice maga w kształcie klepsydr.

Dopiero po kilku dniach humor przestał dopisywać drużynie. Chmury zasłoniły słońce, a z północy zaczął dąć zimny wiatr. Padał tak gęsty śnieg, że pewnego dnia w ogóle nie mogli podróżować i na czas trwania zamieci zmuszeni byli poszukać schronienia w jaskini. Wieczorem wystawili podwójne straże, chociaż nikt nie potrafił powiedzieć dokładnie dlaczego. Jedynym wyjaśnieniem było rosnące poczucie zagrożenia. Riverwind z niepokojem spoglądał na ślad, jaki zostawiali za sobą w śniegu. Jak powiadał Flint, ślepy krasnolud źlebowy potrafiłby go znaleźć. Poczucie zagrożenia było coraz silniejsze, poczucie, że przyglądają im się czyjeś oczy, a czyjeś uszy nasłuchują.

Lecz któż to mógł być, tu na Równinach Pyłu, gdzie nikt i nic nie żyło od trzech setek lat?

Rozdział II

Między panem a smokiem. Ponura podróż

Smok westchnął, machnął wielkimi skrzydłami i wyciągnął swe wielkie cielsko z mile ciepłej wody gorącego źródła. Wynurzając się z kłębow pary, przygotował się na zetknięcie z mroźnym powietrzem. Przenikliwy ziąb kłuł go w delikatne nozdrza i drapał w gardle. Zacisnąwszy zęby, smok zdecydowanie oparł się pokusie powrócenia do ciepłej sadzawki i zaczął się wspinać na wysoki skalny występ.

Smok z rozdrażnieniem stąpał po skałach oblodzonych od oparów gorącego źródła, które niemal natychmiast zamarzały na mrozie. Pod ciężarem jego szponiastych łap kamienie pękały i z turkotem staczały się w dolinę.

Raz smok poślizgnął się i na chwilę stracił równowagę. Rozpostarłszy swe olbrzymie skrzydła z łatwością ją odzyskał, lecz wypadek ten wprowadził go w stan jeszcze większej irytacji.

Poranne słońce oświetlało szczyty gór, muskając swym blaskiem smoka i nadając czystym światłem jego niebieskim łuskom złoty odcień, lecz nie przyczyniało się zbytnio do ogrzania jego krwi. Smok znów zadrzał i zaczął przebierać łapami, stojąc na zimnym gruncie. Zima nie była dla błękitnych smoków, ani też podróżowanie po tej ponurej krainie. Z tą właśnie myślą, która nie opuszczała go przez całą długą, posępną noc, Skie rozejrzał się za swym panem.

Zastał smoczego władcę stojącego na skale w rogatym smoczym hełmie i niebieskiej zbroi ze smoczych łusek. Imponująca postać w pelerynie łopoczącej na zimnym wietrze przyglądała się z wielką uwagą rozległej równinie, która rozpościerała się daleko w dole.

– Chodź już, panie, czas wracać do namiotu. – Pozwól mi wrócić do gorącego źródła, dodał w myślach Skie. – Ten mroźny wiatr przenika każdego do szpiku kości. Czemu właściwie tu stoisz?

Skie mógłby przypuszczać, że smoczy władca rozgląda się, planując rozmieszczenie wojsk i natarcie smoczych oddziałów. Nie było to jednak zgodne z prawdą. Okupacja Tarsis została zaplanowana dawno temu, a dokładniej rzecz biorąc, zaplanował ją inny smoczy władca, bowiem ziemie te należały do czerwonych smoków.

Niebieskie smoki i ich smoczy władcy władali północą, a ja siedzę tu, w tej mroźnej krainie na południu, pomyślał ze złością Skie. A za mną znajduje się cały oddział niebieskich smoków. Odwrócił lekko łeb i spojrzął na swych pobratymców wymachujących skrzydłami o wczesnym poranku i rozkoszujących się ciepłem gorących źródeł, które wypędzało chłód z

ich kości.

Głupcy, pomyślał wzgardliwie Skie. Czekają tylko na rozkaz smoczego władcy, żeby zaatakować. Jedyne, co ich obchodzi, to rozjaśnić niebiosa i spalić miasta swymi mordczymi błyskawicami. Wierzą bezwarunkowo smoczemu władcy. I nic w tym dziwnego, przyznawał Skie – pod przywództwem swego pana szli od zwycięstwa do zwycięstwa na północy i nie stracili nikogo spośród swych szeregów.

Zadawanie pytań zostawiają mnie – ponieważ ja jestem wierzchowcem władcy, ponieważ ja jestem mu najbliższy. Cóż, niech i tak będzie. Smoczy władca i ja rozumiemy się.

– Nie mamy powodu być w Tarsis. – Skie wyraził szczerze swe zdanie. Nie obawiał się władcy. W odróżnieniu od wielu smoków na Krynnie, które służyły swym panom z niechęcią i oporem, wiedząc, że to one są prawdziwymi władcami, Skie służył swemu panu z szacunku i miłości. – Jasne jest, że czerwoni nie życzą sobie tu naszej obecności. Nie jesteśmy też tu potrzebni. To bezbronne miasto, które tak dziwnie cię pociąga, padnie bez wysiłku z naszej strony. Wojsk nie ma. Połknęły przynętę i wymaszerowały na pogranicze.

– Jesteśmy tu, ponieważ moi szpiedzy donieśli mi, że oni tu są – albo wkrótce przybędą – padła odpowiedź władcy. Głos był cichy, lecz słyszalny nawet wśród wycia przenikliwego wiatru.

– Oni... oni... – mrucał smok, drżąc i nerwowo drepcąc wzdłuż grani. – Zostawiamy wojnę na północy, marnujemy cenny czas, tracimy fortunę w stali. I po co? Dla garstki wędrownych awanturników!

– Majątek dla mnie nic nie znaczy, wiesz o tym. Stać byłoby mnie na kupienie Tarsis, gdyby przysłała mi na to | ochota. – Smoczy władca pogłaskał smoka po karku oblodzoną skórzaną rękawicą, która zaskrzypiała od kryjącego siłę ruchu. – Wojna na północy toczy się pomyślnie. Jego Wysokość Ariakus nie sprzeciwiał się mojemu wyjazdowi. Bakar is jest zdolnym młodym dowódcą i zna moje wojska niemal tak samo dobrze, jak ja. I nie zapominaj, Skie, że to nie są byle włóczędzy. Ci „wędrowni awanturnicy” zabili Verminaarda.

– Też mi coś! Ten człowiek sam sobie wykopał grób. Coś go opętało i przysłoniło jego oczom prawdziwy cel. – Smok zmierzył spojrzeniem swego pana. – To samo można by powiedzieć o innych.

– Opętało? Tak, Verminaard był opętany, a niektórzy powinni traktować to opętanie poważniej. Był kapłanem i wiedział, jaką szkodę może wyrządzić nam wieść o prawdziwych bogach, gdy rozejdzie się wśród ludzi – odrzekł smoczy władca. – Zgodnie z doniesieniami,

przywódcą ludzi jest człowiek imieniem Elistan, który został kapłanem Paladine. Dzięki czcicielom Mishakal na ziemię powróciły prawdziwe zdolności uzdrowicielskie. Nie, Verminaard daleko sięgał wzrokiem. W tym tkwi wielkie niebezpieczeństwo dla nas. Powinniśmy rozpoznać je i zrobić coś, by je usunąć – a nie drwić z niego.

Smok parsknął pogardliwie. – Ten kapłan, Elistan, nie jest przywódcą ludu. Jest wodzem ośmiuset wynędzniałych ludzi, byłych niewolników Verminaarda z Pax Tharkas. Teraz zaszyli się w Southgate wraz z górskimi krasnoludami. – Smok usadowił się na skale, czując, jak poranne słońce wreszcie, nieco ogrzewa jego pokrytą łuskami skórę. – Poza tym, nasi szpiedzy donoszą, że w tej właśnie chwili interesujące cię osoby wędrują do Tarsis. Jeszcze dziś wieczorem Elistan znajdzie się w naszych rękach i będzie po wszystkim. Koniec ze sługą Paladine!

– Elistan nie jest mi potrzebny. – Smoczy władca obojętnie wzruszył ramionami. – Nie jego szukam.

– Nie? – Zaskoczony Skie uniósł głowę. – W takim razie kogo?

– Szczególnie interesują mnie trzy osoby, lecz dam ci opis ich wszystkich.... – smoczy władca przysunął się bliżej do Skie – ... ponieważ weźmiemy udział w jutrzejszym zniszczeniu Tarsis po to, by ich pojmać. Oto, kogo szukamy...

Tanis kroczył po mroźnej równinie, głośno skrzypiąc butami, które wybijały dziury w zlodowaciałej warstwie śniegu naniesionego wiatrem. Słońce wstało za jego plecami, przynosząc dużo światła, lecz niewiele ciepła. Owinął się ściślej płaszczem i rozejrzał wokół, by upewnić się, że nikt nie zostaje w tyle. Przyjaciele szli pojedynczym szeregiem. Stąpali po śladach zostawionych przez idących przed nimi, a silniejsi ludzie oczyszczali drogę dla słabszych z tyłu.

Tanis był na przedzie. Sturm szedł obok niego, jak zawsze nieugięty i wierny, choć wciąż niezadowolony z pozostawienia młota Kharasa, który nabrał dla rycerza nieomal mistycznego znaczenia. Sturm sprawiał wrażenie bardziej stroskanego i zmęczonego niż zwykle, lecz ani razu nie został w tyle za Tanisem. Nie było to łatwe, bowiem rycerz uparł się podróżować w swej pełnej, antycznej zbroi bojowej, której ciężar wciskał stopy Sturmowi głęboko w zlodowaciały śnieg.

Za Sturmem i Tanisem kroczył Caramon, brnąc w śniegu niczym wielki niedźwiedź, podzwaniając arsenałem broni, jaką był obwieszony i dźwigając na plecach nie tylko zbroję i swoją część zapasów podróжных, lecz także należącą do swego brata, Raistlina. Od samego patrzenia na Caramona Tanis czuł się zmęczony, bowiem ogromny wojownik nie tylko szedł przez śnieg bez trudu, lecz także poszerzał szlak dla pozostałych z tyłu.

Spośród wszystkich towarzyszy tym, któremu Tanis mógłby czuć się najbliższy, ponieważ wychowali się razem jak bracia, był idący za nimi Gilthanas. Lecz Gilthanas był elfim szlachcicem, młodszym synem Mówcy Słońc, władcy elfów Qualinesti, podczas gdy Tanis był półelfim bękartem, owocem brutalnego gwałtu dokonanego przez ludzkiego wojownika. Co gorsza, Tanis ośmielił się darzyć uczuciem – nawet jeśli było ono niedojrzałe i dziecinne – siostrę Gilthanasa, Lauranę. Tak więc, nie dość, że nie byli przyjaciółmi, Tanis miał zawsze niepokojące wrażenie, że jego śmierć mogłaby ucieszyć Gilthanasa.

Riverwind i Goldmoon szli razem za elfim panem. Odziani w futrzane peleryny mieszkańcy równin niewiele dbali o chłód. Pewne było, że zimno było niczym w porównaniu z żarem ich serc. Pobrali się zaledwie miesiąc temu, a głęboka miłość i uczucie, jakim się darzyli, pełna poświęcenia miłość, dzięki której świat odkrył prastarych bogów, osiągnęła teraz nowe szczyty, gdy odkrywali nowe sposoby wyrażania jej.

Następni szli Elistan i Laurana. Elistan i Laurana. Tanisowi wydawało się dziwne, że kiedy z zazdrością myślał o szczęściu Riverwinda i Goldmoon, jego wzrok spoczął na tych dwojgu. Elistan i Laurana. Zawsze razem. Zawsze zagłębieni w poważnych rozmowach. Elistan, kapłan Paladine, majestatycznie i wspaniale prezentujący się w białych szatach, które lśniły nawet na tle śniegu. Siwobrody, o nieco przeredzających się włosach, wciąż stanowił imponujący widok. Był tego rodzaju mężczyzną, który mógł z łatwością zawrócić w głowie młodej dziewczynie. Niewielu mężczyzn ani kobiet mogło spojrzeć w błękitne jak lód oczy Elistana i nie poczuć dreszczu emocji, lęku i podziwu w obecności tego, który wędrował przez królestwo śmierci i znalazł nową, silniejszą wiarę.

Przy nim szła wierna „asystentka” Laurana. Młodziutka elfia panienska uciekła z domu w Qualinesti w ślad za Tanisem, zaślepiona dziecinną miłością do niego. Zmuszona była szybko dorosnąć i oczy jej otworzyły się na ból i cierpienie świata. Wiedząc, że wielu w drużynie – w tym Tanis – uważa ją za ciężar, Laurana postanowiła udowodnić swą wartość. Znalazła szansę u boku Elistana. Jako córka Mówcy Słońc z Qualinesti, urodziła się i wychowała po to, by zajmować się polityką. Kiedy Elistan tracił grunt pod nogami próbując nakarmić, przyrodzić i zapanować nad ośmioma setkami mężczyzn, kobiet i dzieci, właśnie Laurana wkroczyła do akcji i zdjęła ciężar z jego ramion. Stała mu się nieodzowna, z którym to faktem Tanisowi trudno było się pogodzić. Półelf zacisnął zęby i przesunawszy szybko spojrzeniem po Lauranie, skupił je na Tice.

Była barmanka, obecnie poszukiwaczka przygód, brnęła przez śnieg wraz z Raistlinem, bowiem jego brat poprosił ją o zostanie przy wątłym czarodzieju, jako że Caramon był potrzebny na czele kolumny. Ani Tika, ani Raistlin nie wyglądali na

uszcęśliwionych tym rozwiązaniem. Otulony w czerwone szaty mag szedł ponuro, spuściwszy głowę z powodu wiatru. Często zmuszony był zatrzymywać się i kaszłał tak, że niemal upadał. Wtedy Tika nieśmiało starała się objąć go ramieniem, widząc zatroskanie Caramona. Lecz Raistlin zawsze wyrywał się z gniewnym warknięciem.

Następny szedł stary krasnolud, tocząc się przez zaspy. Nad powierzchnią śniegu widać było tylko czubek jego hełmu i kitę z „grzywy gryfa”. Tanis usiłował mu już dawno powiedzieć, że gryfy nie mają grzyw i że kita jest z końskiego włosia. Lecz Flint nie chciał w to wierzyć, zawzięcie utrzymując, że jego nienawiść do koni wywodzi się z faktu, iż skłaniają go do straszego kichania. Tanis uśmiechnął się, potrząsając głową. Flint upierał się, że pójdzie na przedzie szeregu. Dopiero kiedy Caramon wyciągnął go z trzeciej zaspy, zgodził się, zresztą niechętnie, iść w „tylniej straży”.

Obok Flinta podskakiwał Tasslehoff Burrfoot, którego piszczący, przenikliwy głos docierał nawet do Tanisa na początku kolumny. Tas raczył krasnoluda niezwykłą opowieścią o tym, jak znalazł kiedyś włochatego mamuta – cokolwiek by to było – którego trzymało w niewoli dwóch obłąkanych czarodziejów. Tanis westchnął. Tas zaczynał mu działać na nerwy. Już raz surowo skarcił kendera za to, że uderzył Sturmą w głowę śnieżką. Wiedział jednak, że to bezcelowe. Życiem kendera są przygody i nowe przeżycia. Tas bawił się doskonale w każdej minucie tej ponurej podróży.

Tak, wszyscy tu byli. Wciąż szli za jego przewodnictwem.

Tanis gwałtownie odwrócił się twarzą na południe. Dlaczego idą za mną? – zadawał sobie pytanie, czując się urażony. Nie wiem nawet, dokąd prowadzi moje życie, a mam przewodzić innym. Nie włada mną, tak jak Sturmą, przemożne pragnienie, by oczyścić kraj ze smoków, jak jego bohater, Huma. Nie włada mną, jak Elistanem, święte pragnienie, by nieść ludziom nauki prawdziwych bogów. Nawet nie kieruje mną paląca żądza potęgi, jak Raistlinem.

Sturm trącił go ręką i wskazał przed siebie. Na horyzoncie wznosił się łańcuch niewysokich wzgórz. Jeśli mapa kendera nie myli się, Tarsis leży tuż za nim. Tarsis, białoskrzydłe statki i lśniące bielą iglice. Tarsis Piękne.

Rozdział III

Tarsis Piękne

Tanis rozłożył mapę kendera. Dotarli do podnóża łańcucha pustych, nie zalesionych wzgórz, które według mapy powinny otaczać miasto Tarsis.

– Lepiej nie wspinać się na nie za dnia – powiedział Sturm, zsuwając szalik, którym zasłaniał usta. – Zobaczą nas wszyscy w promieniu setek kilometrów.

– Rzeczywiście – zgodził się Tanis. – Rozbijemy obóz tu, u podnóża. Ja jednak wdrapię się na szczyt, żeby przyjrzeć się miastu.

– Nie podoba mi się to ani trochę! – mruknął posepnie Sturm. – Coś tu jest nie tak. Czy chcesz, żebym poszedł z tobą?

Widząc zmęczenie malujące się na twarzy rycerza, Tanis potrząsnął głową. – Ty zajmij się pozostałymi. – Odziany w biały płaszcz na zimową podróż Tanis przygotował się do wejścia na ośnieżone, kamieniste wzgórza. Gotów był już do wspinaczki, gdy poczuł na ramieniu dotyk chłodnej dłoni. Odwrócił się i napotkał wzrok czarodzieja.

– Pójdę z tobą – szepnął Raistlin.

Tanis spojrzał ze zdumieniem na niego, a potem na wzgórza. Wspinaczka nie będzie łatwa, a wiedział przecież, z jaką niechęcią czarodziej odnosi się do znacznego wysiłku fizycznego. Raistlin zauważył jego spojrzenie i zrozumiał.

– Brat mi pomoże – powiedział, wzywając gestem, Caramona, który był tym zaskoczony, lecz natychmiast wstał i podszedł. – Chcę spojrzeć na Tarsis Piękne.

Tanis przyjrzał mu się nieufnie, lecz twarz Raistlina była pozbawiona uczuć i zimna jak metal, który przypominała.

– Dobrze – rzekł półelf, mierząc wzrokiem Raistlina. – Ale będziesz rzucać się w oczy na śniegu jak plama krwi. Okryj się białą szatą. – Zgryźliwy uśmiech półelfa doskonale naśladował uśmiech Raistlina. – Pożycz ją od Elistana.

Znalazłszy się na szczycie wzgórza, z którego rozciągał się widok na legendarny port morski Tarsis Piękne, Tanis zaczął cicho kląć. Wraz z zapalczywymi słowami z jego ust wymykały się smużki kłębiącej się pary. Naciągnąwszy na głowę kaptur ciężkiego płaszcza, spoglądał w dół na miasto z poczuciem gorzkiego rozczarowania.

Caramon szturchnął brata. – Raist – powiedział. – O co chodzi? Nic nie rozumiem.

Raistlin kaszlnął. – Masz łeb równie zakuty, co resztę ciała, mój bracie – szepnął zgryźliwie czarodziej. – Spójrz na Tarsis, legendarny port morski. Co widzisz?

– Noo... – wystękał zdumiony Caramon – to jedno z największych miast, jakie

widziałem. No i są statki – tak, jak słyszeliśmy...

– Białoskrzydłe statki z Tarsis Pięknego – zacytował gorzko Raistlin. – Spójrz na statki, mój bracie. Czy nie zauważasz w nich niczego szczególnego?

– Nie są w najlepszym stanie. Żagle mają podarte i...

– Caramon zmrużył oczy, a potem wysapał – Tam nie ma wody!

– Jesteś wyjątkowo spostrzegawczy.

– Ale mapa kendera...

– Pochodziła sprzed kataklizmu – przerwał Tanis.

– Do licha, powinienem był wiedzieć! Powinienem był to wziąć pod uwagę! Tarsis Piękne – legendarny morski port

– teraz odcięte od morza!

– I bez wątpienia jest już tak od trzystu lat – szepnął Raistlin. – Kiedy ognista góra spadła z niebios, stworzyła morza – co ujrzeliśmy w Xak Tsaroth – lecz także zniszczyła je. Co teraz zrobimy z uchodźcami, Półelfie?

– Nie wiem – warknął poirytowany Tanis. Spojrzał w dół na miasto, a potem odwrócił się. – Nie ma sensu stać tutaj. Morze nie powróci tylko po to, żeby nam zrobić przyjemność. – Odwrócił się i zaczął powoli schodzić po skałach.

– Co zrobimy? – zapytał brata Caramon. – Nie możemy wrócić do Southgate. Wiem, że coś, czy ktoś idzie zawzięcie naszymi śladami. – Rozejrzał się nerwowo. – Czuję, że ktoś nam się przygląda – nawet w tej chwili.

Raistlin wziął brata pod rękę. Na krótką, niezmiernie rzadką chwilę bracia stali się bardzo podobni do siebie. Światło i ciemność nie były sobie bliższe niż ci bliźniacy.

– Mądrze czynisz, ufając swym przecuciom, mój bracie – rzekł cicho Raistlin. – Otacza nas wielkie niebezpieczeństwo i wielkie zło. Wyczuwałem jego narastanie od chwili, gdy ludzie przybyli do Southgate. Próbowałem ich ostrzec... – Przerwał mu atak kaszlu.

– Skąd wiesz? – spytał Caramon.

Raistlin potrząsnął głową, przez dłuższą chwilę nie będąc w stanie odpowiedzieć. Potem, gdy spazm przeminął, zaczerpnął z wysiłkiem tchu i posłał bratu pełne irytacji spojrzenie. – Jeszcze się nie nauczyłeś? – stwierdził z goryczą. – Wiem i już! Skończmy na tym. Zapłaciłem za swoją wiedzę w Wieży Wielkiej Magii. Zapłaciłem za nią swym ciałem i nieomalże zdrowymi zmysłami. Zapłaciłem... – Raistlin przerwał, patrząc na swego bliźniaczego brata.

Caramon pobladł i zamilkł, jak zawsze, gdy wspominano próbę. Chciał coś powiedzieć, lecz słowa ugrzęzły mu w gardle. Chrząknął i powiedział – Ja po prostu nie

rozumiem...

Raistlin westchnął i pokręcił głową, zabierając rękę z ramienia brata. Potem wspierając się na lasce, zaczął schodzić ze wzgórza. – I nie zrozumiesz – szepnął. – Nigdy.

Trzysta lat temu Tarsis Piękne było stolicą ziem Abanasinii. Stąd białoskrzydłe statki wpływały w rejs do wszystkich znanych łądów Krynnu. Tutaj powracały, obładowane wszelkiego rodzaju przedmiotami, cennymi i osobliwymi, wstrętnymi i delikatnymi. Rynek tarsyjski był istnym cudem. Ulicami przechadzali się żeglarze, których złote kolczyki połyskiwały równie jasno co ich noże. Statki przywoziły egzotycznych ludzi, którzy sprzedawali swe towary. Niektórzy ubrani byli w barwne, powiewne jedwabie obwieszane klejnotami. Ci sprzedawali korzenie i herbatę, pomarańcze, perły i jaskrawo upierzone ptaki w klatkach. Inni, odziani w niewyprawne skóry, sprzedawali przepiękne futra dziwnych zwierząt równie groteskowych, co polujący na nie myśliwi.

Oczywiście na tarsyjskim rynku spotkać można było również kupujących, nieomal tak samo dziwnych i egzotycznych co sprzedawcy. Czarodzieje w białych, czerwonych lub czarnych szatach przechadzali się po bazarach w poszukiwaniu rzadkich składników zaklęć niezbędnych im do uprawiania magii. Otoczeni nieufnością nawet w tamtych czasach, szli przez tłum odizolowani i samotni. Niewielu ludzi odzywało się nawet do tych, którzy nosili białe szaty i nikt nigdy ich nie oszukiwał.

Również kapłani poszukiwali ingrediencji do swych eliksirów uzdrawiających. Bowiem przed kataklizmem na Krynnie istnieli kapłani. Jedni czcili bogów dobra, inni bogów neutralności, jeszcze inni zła. Wszyscy mieli wielką moc, a ich modlitwy o dobro czy zło były wysłuchiwane.

I zawsze wśród tych wszystkich dziwnych i egzotycznych ludzi zgromadzonych na bazarze Tarsis Pięknego byli rycerze solamnijscy. Utrzymywali porządek oraz strzegli kraju, prowadząc surowy tryb życia i ściśle przestrzegając praw kodeksu i reguły. Rycerze byli wyznawcami Paladine, znanymi z pobożności i posłuszeństwa bogom.

Otoczone murami Tarsis miało swe własne wojsko i jak powiadano, nigdy nie padło łupem najeźdźcy. Miasto, którym władali – pod czujnym okiem zakonu solamnijskiego – lokalni panowie, miało szczęście dostać się pod opiekę rodziny obdarzonej zarówno rozsądkiem, jak sercem i poczuciem sprawiedliwości. Tarsis stało się ośrodkiem nauki, do którego przybywali mędrcy ze wszystkich stron, by dzielić się swą wiedzą. Założono szkoły i wielką bibliotekę, wybudowano bogom świątynie. Żądni wiedzy młodzi mężczyźni i kobiety przybywali do Tarsis, by się uczyć.

Pierwsze smocze wojny nie miały wpływu na Tarsis. Olbrzymie, umocnione miasto,

jego groźne wojsko, flotylla białoskrzydłych okrętów i czujni rycerze solamnijscy budzili strach nawet Królowej Ciemności. Zanim zdołała zgromadzić swe siły i uderzyć na stolicę, Huma przepędził jej smoki z niebios. Tak więc Tarsis rosło w siłę i w wieku potęgi stało się jednym z najbogatszych i najdumniejszych miast na Krynnie.

I tak jak w przypadku wielu innych miast na Krynnie, wraz z dumą rosła jego pycha. Tarsis zaczęło żądać coraz więcej od bogów: bogactwa, potęgi, chwały. Ludzie czcili króla-kapłana Istar, który widząc nieszczęścia na ziemi, zażądał w swej arogancji od bogów tego, co dali pokornemu Humie. Nawet rycerze solamnijscy – spętani surowymi nakazami reguły, zaskorupiali w religii, która stała się tylko obrzędem bez większej głębi – poddali się władzy potężnego króla-kapłana.

I wtedy nastąpił kataklizm – noc strachu, gdy z nieba spadł ognisty deszcz. Ziemia zatrzęsała się i rozstała, gdy bogowie w świętym oburzeniu zrzucili skalną górę na Krynn, karząc króla-kapłana Istar i ludzi za ich pychę.

Ludzie zwrócili się do rycerzy solamnijskich. – Wy, którzy jesteście prawi, pomóżcie nam! – wołali. – Ubłagajcie bogów!

Lecz rycerze nie mogli nic uczynić. Ogień spadał z nieba, ziemia rozstępowała się. Wody morza cofnęły się, statki osiadły na mieliźnie i przewróciły się, a mury miasta runęły.

Kiedy zakończyła się noc grozy, Tarsis znalazło się w środku łądu. Białoskrzydłe statki leżały na piachu jak ranne ptaki. Oszołomieni i zakrwawieni niedobitkowie usiłowali odbudować swe miasto, spodziewając się w każdej chwili ujrzeć rycerzy solamnijskich maszerujących z wielkich fortec na północy, z Palanthas, Solanthus, twierdzy Vingaard i Thelgaard, maszerujących na południe do Tarsis, by przyjść im z pomocą i znów ich ochraniać.

Lecz rycerze nie przybyli. Mieli własne kłopoty i nie mogli opuścić Solamnii. Nawet gdyby byli w stanie wymaszerować, nie przeszliby nowego morza, które podzieliło ziemie Abanasinii. Krasnoludowie z górskiego królestwa Thorbardin zatrzasnęli bramy, odmawiając wszystkim prawa wejścia, więc górskie przełęcze zostały zablokowane. Elfowie wycofali się do Qualinesti, opatrując rany i obwiniając ludzi za tę katastrofę. Wkrótce Tarsis straciło wszelki kontakt ze światem na północy.

I tak oto po kataklizmie, kiedy stało się oczywiste, że rycerze zostawili miasto na łasce losu, nastął Dzień Wygnania. Władca miasta znalazł się w niezręcznej sytuacji. Nie wierzył naprawdę w zło rycerzy, lecz wiedział, że ludziom potrzebny jest ktoś, na kogo można zrzucić winę. Gdyby opowiedział się po stronie rycerzy, straciłby władzę w mieście, więc przymykał oczy na ataki rozwścieczonego tłumu na nielicznych rycerzy, jacy zostali w Tarsis. Wygnano

ich z miasta lub zamordowano.

Po jakimś czasie w Tarsis ponownie zapanował ład i porządek. Władca i jego rodzina utworzyli nowe wojsko. Wiele się jednak zmieniło. Ludzie byli przekonani, że dawni bogowie, których czcili od tak dawna, odwrócili się od nich. Znaleźli więc nowych bogów, którym oddawali teraz cześć, choć ci nowi bogowie rzadko odpowiadali na modły. Cała moc, jaką posiadali kapłani przed kataklizmem przepadła. Namnożyło się kapłanów głoszących fałszywe obietnice i szerzących puste nadzieje. Po kraju wędrowali szarlatani-uzdrowiacze, sprzedając nic nie warte leki na wszelkie choroby.

Po jakimś czasie wielu ludzi zaczęło pomału opuszczać Tarsis. Po rynku nie przechadzali się już żeglarze; elfowie, krasnoludowie i inne rasy nie przybyły już nigdy więcej. Ludzie, którzy zostali w Tarsis byli z tego zadowoleni. Zaczęli obawiać się świata i nie ufali mu. Cudzoziemcy nie spotykali się z miłym przyjęciem.

Tarsis jednak tak długo było ośrodkiem handlowym, że ludzie z pobliskich okolic, którzy mogli jeszcze dotrzeć do Tarsis, nie przestali go odwiedzać. Odbudowano obrzeża miasta. Wewnętrzną część – świątynie, szkoły i wielką bibliotekę – zostawiono w gruzach. Otworzono ponownie bazar, choć teraz był on rynkiem dla rolników i forum dla fałszywych kapłanów głoszących nową wiarę. Pokój otulił miasto niczym koc. Minione dni chwały były jak sen i nikt by w nie nie wierzył, gdyby nie dowody w centrum miasta.

Do Tarsis oczywiście dotarły pogłoski o wojnie, lecz powszechnie powątpiewano w nie, chociaż władca wysłał wojsko, by strzegło równin na południu. Jeśli ktoś pytał o powód, odpowiadał, że to tylko ćwiczenia wojenne, nic więcej. W końcu wieści o wojnie dotarły z północy, a wszyscy wiedzieli, że rycerze solamnijscy rozpaczliwie usiłują odzyskać władzę. Zdumiewające, do czego ci zdradzieccy rycerze są w stanie się posunąć – nawet do rozpowszechniania wieści o powrocie smoków!

Takie było Piękne Tarsis, miasto, do którego przyjaciele weszli tego poranka na krótko przed wschodem słońca.

Rozdział IV

Aresztowani! Bohaterowie rozdzielają się. Złowieszcze pożegnanie

Nieliczni zaspani gwardziści, którzy tego poranka stali na murach obudzili się na widok uzbrojonej w miecze i strudzonej podróżą grupy, która pragnęła wejść do miasta. Nie zatrzymali ich. Nie wypytywali ich nawet zbytnio. Rudobrody, uprzejmie mówiący półelf, jakiego nie widziano w Tarsis od dziesiątków lat, powiedział, że przybywają z daleka i szukają schronienia. Jego towarzysze stali cicho za nim i nie czynili żadnych groźnych gestów. Ziewając strażnicy skierowali ich do gospody „Pod Czerwonym Smokiem”.

I to zapewne byłby koniec sprawy. W końcu w miarę, jak rozchodziły się pogłoski o wojnie, w Tarsis zaczęto widywać coraz więcej dziwnych osobników. Lecz kiedy jeden z przybyszy przechodził przez bramę, wiatr szarpnął połą jego płaszcza i strażnik dostrzegł wtedy zbroję jasno błyszczącą w porannym słońcu. Gwardzista ujrzał na starym napierśniku znienawidzony i wyszydzany herb zakonu rycerzy solamnijskich. Twarz strażnika wykrzywił wrogi grymas. Mężczyzna wtopił się w cień i zaczął się skradać śladami drużyny idącej ulicami budzącego się ze snu miasta.

Strażnik zobaczył, że weszli do gospody „Pod Czerwonym Smokiem”. Czekał na zimnie tak długo, aż był pewien, że musieli zająć tu pokoje. Potem wślizgnął się do środka i zamienił kilka słów z właścicielem, po czym zajrzał ostrożnie do głównej izby i ujrawszy, że grupa rozsiadła się i zamierza spędzić tu jakiś czas, wybiegł donieść o wszystkim.

– Takie są skutki ufania mapie kendera! – oświadczył rozzłoszczony krasnolud, odsuwając pusty talerz i wycierając usta dłonią. – Docieramy do portu, gdzie nie ma morza!

– To nie moja wina – zaprotestował Tas. – Kiedy dawałem Tanisowi mapę, powiedziałem, że pochodzi sprzed kataklizmu. „Tas”, powiedział Tanis, nim wyruszyliśmy „czy masz mapę, która pokazałaby nam, jak dojść do Tarsis?” Powiedziałem, że tak i dałem mu ją. Jest na niej Thorbardin, królestwo krasnoludów pod górą i Southgate, o – a tutaj jest Tarsis. Wszystko inne było dokładnie tam, gdzie miało być według mapy. Nic na to nie poradzę, że coś się stało z oceanem! Ja tylko chciałem...

– Wystarczy już, Tas – westchnął Tanis. – Nikt nie ma do ciebie pretensji. To niczyja wina. Po prostu liczyliśmy na zbyt wiele.

Nieco ułagodzony kender zgarnął swoją mapę, zwinął ją i schował do mapnika wraz z innymi cennymi mapami Krynnu. Potem wsparł mały podbródek na dłoniach i siadł, przyglądając się ponurym towarzyszom, którzy siedzieli wokół stołu. Przyjaciele zaczęli dyskutować o tym, co zrobić, lecz nie mieli do tego serca.

Tasowi zaczęło się nudzić. Miał ochotę zwiedzić miasto. Tyle tam było nadzwyczajnych widoków i dźwięków – od chwili, gdy weszli do Tarsis, Flint musiał go praktycznie ciągnąć za sobą. W mieście był bajeczny rynek z tyloma cudownymi rzeczami, które tylko czekały, by je podziwiać. Zobaczył też nawet kilku kenderów i chciał z nimi porozmawiać. Niepokoił się o los swej ojczyzny. Flint wymierzył mu kopniaka pod stołem. Tas westchnął i znów skupił uwagę na słowach Tanisa.

– Zostaniemy tu na noc, odpoczniemy i dowiemy się, czego tylko zdołamy, a potem wyślemy wiadomość do Southgate – mówił Tanis. – Być może dalej na południu jest inny port. Kilku z nas mogłoby pójść dalej i sprawdzić. Co o tym sądzisz, Elistanie?

Kapłan odsunął talerz z nietkniętym jedzeniem. – Chyba nie mamy innego wyjścia – rzekł posępnie. – Ale ja wracam do Southgate. Nie mogę opuszczać ludzi na tak długo. Ty też powinnaś wrócić ze mną, moja droga. – Położył dłoń na dłoni Laurany. – Nie mogę obejść się bez twojej pomocy.

Laurana uśmiechnęła się do Elistana. Obejrawszy się na Tanisa, przestała się jednak uśmiechać, widząc ponurą minę półelfa.

– Rozmawiałam już o tym z Riverwindem. Wrócimy z Elistanem – powiedziała Goldmoon. Jej srebrno-złote włosy lśniły w promieniach słońca wpadających przez okno. – Ludzie potrzebują mojej mocy uzdrawiania.

– A poza tym nowożeńcy pewno już nie mogą się doczekać, kiedy znajdą się sami w namiocie – powiedział Caramon donośnym półtonem. Goldmoon stanęła w pąsach, a jej mąż uśmiechnął się.

Sturm spojrział na Caramona z niesmakiem i zwrócił się do Tanisa. – Pójdę z tobą, mój przyjacielu – zaproponował.

– My oczywiście też – oświadczył natychmiast Caramon.

Sturm zmarszczył brwi, spoglądając na Raistlina, który siedział przy ogniu opatulony w swe czerwone szaty i popijał dziwny napar ziołowy, który łagodził jego kaszel. – Nie sądzę, by twój brat czuł się na siłach podróżować... – zaczął Sturm.

– Nagle zacząłeś się bardzo troszczyć o moje zdrowie, rycerzu – szepnął sarkastycznie Raistlin. – Lecz przecież to nie moje zdrowie cię niepokoi, prawda, Sturmie Brightblade? To moja rosnąca moc. Obawiasz się mnie...

– Dość tego! – rzekł Tanis, widząc ponurą twarz Sturma.

– Albo czarodziej wróci, albo ja – rzekł chłodno Sturm.

– Sturmie... – zaczął Tanis.

Tasslehoff skorzystał z okazji i po cichutku odszedł od stołu. Wszyscy skupili uwagę

na kłótni rycerza, półelfa i czarodzieja. Tasslehoff w podskokach opuścił frontowymi drzwiami gospodę „Pod Czerwonym Smokiem”, która to nazwa wydawała mu się bardzo zabawna. Ale Tanis nie śmiał się.

Tas rozmyślał o tym, spacerując i z rozkoszą chłonąc nowe widoki. Tanis już nie śmiał się z niczego. Można by pomyśleć, że półelf dźwiga na swych barkach ciężar świata. Tasslehoff przypuszczał, że wie, co dolega Tanisowi. Kender wyjął z jednej ze swych sakiewek pierścionek i przyjrzał mu się. Pierścień był elfiej roboty, wykonany ze złota w kształcie splecionych liści bluszczu. Znalazł go w Qualinesti. Ten pierścionek nie należał do przedmiotów, jakie kender „gromadził”. Rzuciła mu go pod nogi zrozpaczona Laurana po tym, gdy Tanis zwrócił go jej.

Kender zastanowił się i doszedł do wniosku, że najlepiej byłoby, gdyby wszyscy rozstali się i udali na poszukiwanie nowych przygód. On, oczywiście, poszedłby z Tanisem i Flintem – kender święcie wierzył w to, że żaden z nich nie dałby sobie rady bez niego. Ale najpierw rozejrzy się po tym interesującym mieście.

Tasslehoff dotarł do końca ulicy. Oglądając się za siebie, widział gospodę „Pod Czerwonym Smokiem”. Świetnie. Nikt jeszcze go nie szuka. Miał właśnie zamiar zapytać mijającego go ulicznego sprzedawcę, jak dojść na rynek, kiedy zobaczył coś, co zapowiadało, że to interesujące miasto stanie się dużo bardziej interesujące...

Tanis rozstrzygnął wreszcie spór Sturm z Raistlinem, przynajmniej na razie. Mag postanowił zostać w Tarsis, by poszukać pozostałości starej biblioteki. Caramon i Tika zaproponowali, że zostaną z nim, podczas gdy Tanis, Sturm i Flint (z Tasem) ruszą dalej na południe, zabierając braci w drodze powrotnej. Reszta grupy zanieśnie rozczarowujące wieści do Southagate.

Uporawszy się z tym, Tanis poszedł do karczmarza, by zapłacić za nocleg. Odliczał właśnie srebrne monety, gdy poczuł, że ktoś bierze go za ramię.

– Chcę, byś poprosił o zmianę mojego pokoju na ten obok Elistana – powiedziała Laurana.

Tanis obrzucił ją ostrym spojrzeniem. – A to dlaczego? – spytał, próbując ukryć opryskliwą nutę w głosie.

Laurana westchnęła. – Nie będziemy chyba znów zaczynać tego od początku, prawda?

– Nie mam pojęcia, o co ci chodzi – powiedział chłodno Tanis, odwracając się od uśmiechającego się głupawo karczmarza.

– Po raz pierwszy w życiu robię coś sensownego i użytecznego – stwierdziła Laurana, chwytając go za ramię. – A ty chcesz, żebym przestała, tylko dlatego, że z zazdrości coś ci się

w głowie roi na temat mnie i Elistana...

– Nie jestem zazdrosny – odparł Tanis, czerwieniąc się. – Powiedziałem ci w Qualinesti, że to, co było między nami, kiedy byliśmy młodszy, już się skończyło. Ja... – przerwał, zastanawiając się, czy to, co powiedział jest prawda. Nawet w chwili, gdy to mówił, jego dusza drżała na widok jej piękności. Tak, to młodzieńcze zauroczenie zgąsło, lecz czyżby zastępowało je coś innego, mocniejszego i wytrzymalszego? I czyżby to tracił? Może już je stracił przez swoje niezdecydowanie i zawziętość? Zachowuję się zupełnie jak człowiek, pomyślał półelf. Odrzucam rzecz, która jest w zasięgu ręki, by potem wznosić lamenty, gdy już przypadnie. Potrząsnął głową w zakłopotaniu.

– Jeśli nie jesteś zazdrosny, dlaczego nie zostawisz mnie w spokoju i nie pozwolisz mi dalej pracować dla Elistana? – zapytała chłodno Laurana. – Ty...

– Cicho! – Tanis uniósł dłoń. Rozdrażniona Laurana chciała coś powiedzieć, lecz Tanis zmierzył ją tak wściekłym spojrzeniem, że zamilkła.

Tanis nasłuchiwał. Tak, nie mylił się. Teraz słyszał już wyraźnie przenikliwy, wysoki pisk skórzanej procy na końcu hoopaka Tasa. Był to osobliwy, jeżący włos na głowie dźwięk, który kender wytwarzał, zataczając procą krąg nad głową. Był to jednocześnie sygnał kenderów oznaczający niebezpieczeństwo.

– Kłopoty – powiedział cicho Tanis. – Sprowadź pozostałych. – Spojrzawszy raz na jego ponurą minę, Laurana usłuchała polecenia bez sprzeciwu. Tanis gwałtownie odwrócił się do gospodarza, który usiłował wymknąć się, obchodząc kontuar. – A ty dokąd się wybierasz? – spytał ostro.

– Właśnie wychodziłem, żeby obejrzyć wasze pokoje, panie – rzekł gładko karczmarz i zniknął pośpiesznie w głębi kuchni. Właśnie wtedy przez drzwi do gospody wpadł Tas.

– Straż, Tanisie! Straż! Idą tutaj!

– Z pewnością nie idą tu z naszego powodu – powiedział Tanis. Tknięty nagłą myślą, zatrzymał się i zmierzył spojrzeniem kendera o lepkich palcach. – Tas...

– To nie ja, szczerze! – zaprotestował Tas. – Nawet nie doszedłem do rynku! Właśnie dotarłem do końca ulicy, kiedy ujrzałem cały oddział straży pędzący w tę stronę.

– O co chodzi z tą strażą? – spytał Sturm, wchodząc z głównej izby. – Kender znowu coś zmyśla?

– Nie. Posłuchaj – rzekł Tanis. Wszyscy ucichli. Usłyszeli zbliżające się dudnienie stóp obutych w ciężkie buty i spojrzeli na siebie z niepokojem i troską. – Karczmarz znikł. Tak przypuszczałem, bo za łatwo dostaliśmy się do miasta. Powinienem był się spodziewać kłopotów. – Tanis podrapał się po brodzie, doskonale zdając sobie sprawę z tego, że wszyscy

czekają na jego rozkazy.

– Laurano, ty i Elistan idźcie na górę. Sturmie, ty i Gilthanas zostaniecie ze mną. Reszta niech uda się do swoich pokoi. Riverwindzie, ty dowodzisz. Caramonie, ty z Raistlinem będziesz ich ochraniać. Raistlinie, użyjesz swej magii, jeśli zajdzie taka potrzeba. Flint...

– Ja zostaję z tobą – oświadczył zdecydowanie krasnolud.

Tanis uśmiechnął się i położył dłoń na ramieniu Flinta. – Oczywiście, stary przyjacielu. Nawet nie pomyślałem, że trzeba ci o tym mówić.

Szczerząc zęby w uśmiechu, Flint wy dobył swój topór bojowy z pokrowca na plecach. – Weź go – rzekł do Caramona. – Lepiej, żebyś ty go dostał niż ci parszywi, zawszeni strażnicy miejscy.

– Doskonały pomysł – powiedział Tanis. Odpinając pas z mieczem, podał Caramonowi zabójcę smoków, magiczny miecz, który dał mu szkielet Kith-Kanana, króla elfów.

Gilthanas w milczeniu oddał swój miecz i elfi łuk.

– Ty też, rycerzu – powiedział Caramon, wyciągając rękę.

Sturm zmarszczył brwi. Stary dwuręczny miecz i pochwa były jedynym dziedzictwem, jakie mu zostało po ojcu, wielkim rycerzu solamnijskim, który przepadł, wysławszy żonę i małego synka na wygnanie. Powoli Sturm odpiął pas z mieczem i podał go Caramonowi.

Widząc wyraźne zatroskanie rycerza jowialny wojownik spoważniał. – Będę dobrze go pilnował, wiesz przecież, Sturmie.

– Wiem – rzekł Sturm, uśmiechając się smutno. Spojrzał na Raistlina, który stał na schodach. – Poza tym, zawsze jest jeszcze wielki robak Catyrrpelius, prawda, czarodzieju?

Raistlin drgnął, zaskoczony niespodziewanym wspomnieniem czasów, gdy w spalonym miasteczku Solące wmówił kilku hobgoblinom, że miecz Sturma jest przeklęty. Po raz pierwszy rycerz w jakikolwiek sposób wyraził wdzięczność magowi. Raistlin uśmiechnął się blado.

– Tak – szepnął. – Zawsze jest jeszcze robak. Nie obawiaj się, rycerzu. Twoja broń jest bezpieczna, podobnie jak życie tych, których powierzasz naszej opiece... jeśli w ogóle można mówić o bezpieczeństwie. Żegnajcie, moi przyjaciele – zasyczał z błyskiem w dziwnych, klepsydrowych oczach. – A będzie to pożegnanie na długo. Niektórym z nas nie dane będzie spotkać się ponownie na tym świecie! – Powiedziawszy to, skłonił się i zbierając fałdy swej czerwonej szaty, zaczął się wspinać po schodach.

Można być pewnym, że Raistlin zorganizuje efektowne wyjście, pomyślał z irytacją Tanis, słysząc stuk butów tuż za drzwiami.

– Idźcie już! – rozkazał. – Jeśli Raistlin ma rację, nic już teraz nie poradzimy.

Spojrząwszy z wahaniem na Tanisa, pozostali postąpili zgodnie z jego poleceniem i szybko weszli po schodach na górę. Tylko Laurana posłała Tanisowi pełne lęku spojrzenie, gdy Elistan brał ją pod rękę. Caramon z mieczem w ręku zczekał, aż wszyscy przeszli obok.

– Nie martw się – powiedział z niepokojem zwalisty wojownik. – Nic nam się nie stanie. Jeśli nie wrócicie przed zmierzchem...

– Nie idźcie nas szukać! – rzekł Tanis, domyślając się zamiarów Caramona. Półelf był bardziej zaniepokojony złowieszczym oświadczeniem Raistlina, niż chciałby przyznać.

Znał maga od wielu lat i widział narastanie jego mocy, mimo iż jednocześnie wydawało się, że czarodzieja otacza coraz większy mrok. – Jeśli nie wrócimy, zabierz Elistana, Goldmoon i pozostałych do Southgate.

Caramon niechętnie pokiwał głową, a potem wgramolił się po schodach na górę, podzwaniając przy tym bronią, którą był obwieszony.

– Z pewnością to tylko rutynowa kontrola – rzekł pośpiesznie Sturm przyciszonym głosem w chwili, gdy strażników można było już zobaczyć przez okno. – Zadadzą nam kilka pytań, a potem nas wypuszczą. Nie ma jednak wątpliwości co do tego, że mają opis nas wszystkich!

– Sądząc po tym, że wszyscy gdzieś znikli, mam przecucie, że to nie jest zwykła kontrola. Będą musieli zadowolić się tylko niektórymi z nas – powiedział cicho Tanis, gdy weszła straż pod dowództwem posterunkowego i w towarzystwie gwardzisty z murów.

– To oni! – wrzasnął strażnik, pokazując ich. – To ten rycerz, tak jak wam mówiłem. Jest i brodaty elf, krasnolud, kender i elfi szlachcic.

– Zgadza się – rzekł zwięźle posterunkowy. – No, a gdzie pozostali? – Na dany przez niego znak straż opuściła halabardy, wymierzając je w towarzyszy.

– Nie rozumiem, o co chodzi – powiedział potulnie Tanis. – Jesteśmy obcy w Tarsis, po prostu przechodziliśmy tędy w podróży na południe. Czy w taki sposób witacie przybyszy w mieście?

– Nie życzymy sobie obcych w naszym mieście – odrzekł posterunkowy. Przeniósł spojrzenie na Sturma i parsknął szyderczo. – Szczególnie rycerzy solamnijskich. Jeśli jesteście tak niewinni, jak twierdzicie, nie będziecie mieli nic przeciwko udzieleniu odpowiedzi na kilka pytań władcy i jego radzie. Gdzie jest reszta waszej drużyny?

– Moi przyjaciele są zmęczeni i udali się do swych pokoi na spoczynek. Mamy za

sobą długą i męczącą podróż. Nie chcemy sprawiać kłopotów. My w czterech pójdziemy z wami i odpowiemy na pytania. (– Pięciu – powiedział urażony Tasslehoff, lecz wszyscy go zlekceważyli.) Nie ma powodu, by niepokoić naszych towarzyszy.

– Idźcie po resztę – rozkazał posterunkowy swoim ludziom.

Dwóch strażników skierowało się ku schodom, które natychmiast stanęły w płomieniach! Dym zakłębił się w pokoju, odpędzając strażę. Wszyscy rzucili się do drzwi. Tanis chwycił Tasslehoffa, który stał z wybałuszonymi z ciekawości oczami i wyciągnął go na zewnątrz.

Posterunkowy rozpaczliwie dał w gwizdek, gdy tymczasem kilku jego ludzi zamierzało rozbiec się po ulicach i podnieść alarm. Jednakże płomień zgasł równie szybko, jak się narodził.

– liip... – Posterunkowy zdławił gwizd. Z pobladłą twarzą wszedł ostrożnie do gospody. Zaglądając mu przez ramię, Tanis potrząsnął głową z podziwu. Nie było ani smużki dymu, nie odpadła ani odrobina politory. Ze szczytu schodów dobiegał go słabo słyszalny głos Raistlina. Gdy posterunkowy rzucił załęcznione spojrzenie w górę schodów, głos ucichł.

Tanis przełknął ślinę, a następnie zaczerpnął głęboko tchu. Wiedział, że musi być równie błądy co posterunkowy i obejrzał się na Sturma i Flinta. Moc Raistlina rzeczywiście rosła...

– Czarodziej musi być tam na górze – mruknął posterunkowy.

– Doskonale, ptasi gwizdku, a ile czasu zajmie ci domyślenie się tego... – Tas zaczął tonem, który dał znać Tanisowi, że szykują się kłopoty. Nadepnął kenderowi na stopę i Tas umilkł, posławszy mu pełne urazy spojrzenie.

Na szczęście wydawało się, że posterunkowy nic nie usłyszał. Popatrzył wrogo na Sturma. – Pójdiesz z nami spokojnie?

– Tak – odrzekł Sturm. – Masz moje słowo honoru – dodał rycerz – a bez względu na to, co myślisz o rycerzach zakonu, wiedz, że mój honor to moje życie.

Posterunkowy spojrzął na ciemne schody. – Dobrze – powiedział wreszcie. Zwrócił się do straży. – Wy dwaj zostaniecie tu przy schodach. Reszta przypilnuje pozostałych wyjść. Sprawdzajcie wszystkich wchodzących i wychodzących. Macie wszyscy opisy tych obcych?

Strażnicy pokiwali głowami, wymieniając niespokojne spojrzenia. Dwaj wyznaczeni do warty wewnątrz gospody popatrzyli z przerażeniem na schody i stanęli jak najdalej od nich. Tanis posepnie uśmiechnął się pod nosem.

Pięciu członków drużyny z radośnie wyszczerzonym z podniecenia kenderem wyszło za posterunkowym z budynku. Kiedy wyszli na ulicę, Tanis dostrzegł poruszenie za oknem na

piętrze. Spojrzawszy w górę, zobaczył obserwującą go Lauranę, której twarz zmienił grymas lęku. Podniosła dłoń i dostrzegł, że jej wargi układają się w kształt elfich słów „przepraszam”. Przyszły mu na myśl słowa Raistlina i zdjął go chłód. Żal ścisnął mu serce. Myśl, że może już nigdy nie zobaczy jej, sprawiła, że świat stał się szary, pusty i posępny. Zdał sobie sprawę z tego, co Laurana zaczęła dla niego znaczyć w ciągu ostatnich mrocznych miesięcy, kiedy nawet nadzieja umarła, a armie smoczycich władców na jego oczach pustoszyły ziemię. Jej nieugięta wiara, jej odwaga, jej nieustępliwa, wieczna nadzieja! Jakże była odmienna od Kitiary!

Strażnik szturchnął Tanisa w plecy. – Twarzą naprzód! Przestań dawać znaki swoim koleżkom! – warknął. Półelf wrócił myślami do Kitiary. Nie, ta wojowniczką nigdy by się tak nie poświęciła. Nigdy nie pomagałaby ludziom tak, jak Laurana. Kit zniecierpliwiałaby się, rozgniewała i zostawiła ich na pastwę losu. Nie znosiła słabszych od niej i gardziła nimi.

Tanis rozmyślał o Kitiarze i o Lauranie, lecz z ciekawością zauważył, że dawny, bolesny dreszcz nie przeszywał już jego duszy na dźwięk imienia Kitiary. Nie, teraz to Laurana – ta głupiutka dziewczynka, która jeszcze kilka miesięcy temu była zaledwie rozpieszczonym i denerwującym dzieckiem – sprawiała, że krew w nim wrzała, a dłonie szukały pretekstu, by jej dotknąć. A teraz być może jest już za późno.

Kiedy dotarł do końca ulicy, obejrzał się jeszcze raz, mając nadzieję, że da jej jakiś znak. Niech wie, że on rozumie. Niech wie, że był głupi. Niech wie, że on...

Lecz zasłona była już zaciągnięta.

Rozdział V

Zamieszki. Tas znika. Alhana Starbreeze

Podły rycerz...

Kamień trafił Sturmowi w bark. Rycerz skulił się, choć uderzenie przez zbroję nie mogło mu sprawić wielkiego bólu. Patrząc na jego bladą twarz i drżące wąsy, Tanis wiedział, że ból był dotkliwszy, niż mogła zadać broń.

Tłum rósł wokół prowadzonej ulicami drużyny w miarę rozchodzenia się wieści o ich zbliżaniu się. Sturm szedł z godnością, dumnie wznosząc głowę i ignorując szyderstwa i wyzwiska. Choć strażnicy co jakiś czas odpychały tłum, czyniły to bez przekonania i ludzie o tym wiedzieli. Poleciały kolejne kamienie, a także mniej przyjemne rzeczy. Wkrótce wszyscy członkowie drużyny byli pokaleczeni, zakrwawieni i okryci odpadkami i błotem.

Tanis wiedział, że Sturm nigdy by się nie zniżył do mszczenia się na tej bandzie, lecz musiał mocno przytrzymać krasnoluda. Niemniej jednak, cały czas obawiał się, że rozwścieczony krasnolud zaszarżuje przez strażników i zacznie rozbijać łby. Pilnując Flinta, Tanis zapomniał o Tasslehoffie.

Poza tym, że kenderzy dość beztrosko traktują cudzą własność, obdarzeni są też inną, nie budzącą do nich serdecznych uczuć umiejętnością, znaną pod nazwą „urągania”. Wszyscy kenderzy posiadają ten talent w mniejszym, bądź większym stopniu. W ten właśnie sposób tej rasie małych istot udało się przetrwać w świecie rycerzy i wojowników, trolli i hobgoblinów. Urąganie jest umiejętnością obrzucania wroga obelgami i doprowadzania go do takiej wściekłości, że traci głowę i zaczyna walczyć na oślep. Tas był mistrzem urągania, choć nieczęsto nadarzała mu się potrzeba korzystania z tego w czasie podróży z silnymi przyjaciółmi. Tas postanowił jednak w pełni wykorzystać nadarżającą się okazję.

Zaczął odkrzykiwać wyzwiska.

Zbyt późno Tanis uświadomił sobie, co się dzieje. Na próżno próbował uciszyć kendera. Tas był na przedzie szeregu, półelf z tyłu i nie było żadnego sposobu, by zakneblować kendera.

Takie obelgi jak „podły rycerz” i „elfie szumowiny” według Tasa świadczyły o braku wyobraźni. Postanowił pokazać tym ludziom dokładnie, jak bogatym i szerokim wachlarzem rozlicznych określeń dysponuje wspólna mowa. Wyzwiska Tasslehoffa były majstersztykami twórczej inwencji i przemyślności. Na nieszczęście zazwyczaj były również niezmiernie osobiste, czasami także dość wulgarne, a zawsze wypowiedane z rozbijającą niewinnością.

– Czy to twój nos, czy jakaś choroba? Czy pchły, które po tobie łążą, są tresowane?

Czy twoja matka była krasnoludka żlebową? – to był zaledwie początek. Od tego momentu sytuacja szybko zaczęła się pogarszać.

Zaniepokojeni strażnicy zaczęli przyglądać się rozgniewanemu tłumowi, podczas gdy posterunkowy gestem nakazał przyspieszyć marsz więźniów. To, co wyobrażał sobie jako triumfalny pochód, w którym miał pokazać pojmaną zdobycz, zdawało się szybko przeradzać w zamieszki na pełną skalę.

– Uciszcie tego kendera! – wrzasnął wściekle.

Tanis rozpaczliwie usiłował dotrzeć do Tasslehoffa, lecz szamoczący się strażnicy i napierający tłum uniemożliwili mu to. Gilthanas został zbity z nóg. Sturm nachylił się nad elfem, próbując go zasłonić. Flint z wściekłości kopał i wymachiwał rękoma na wszystkie strony. Tanis już zbliżał się do Tasslehoffa, gdy został trafiony w twarz pomidorem, który chwilowo go oślepił.

– Hej, panie władza, wiesz pan, co możesz sobie zrobić z tym gwizdkiem? Możesz...

Tasslehoff nie miał okazji powiedzieć posterunkowemu, co może zrobić z gwizdkiem, gdyż w tej właśnie chwili jakaś wielka ręka wyciągnęła go ze środka zamieszania. Czyjaś dłoń zatkała Tasowi usta, podczas gdy dwie następne pary dłoni złapały kendera za wściekle kopiące nogi. Narzucono mu na głowę worek i od tej pory jedyną rzeczą, jaką Tas widział i czuł, gdy go niesiono, była jutowa tkanina.

Wycierając resztki pomidora z załzawionych oczu, Tanis słyszał stuk ciężkich butów, kolejne krzyki i wołania. Kiedy wreszcie półelf odzyskał wzrok, rozejrzał się szybko, by upewnić się, że nikomu nic się nie stało. Sturm pomagał wstać Gilthanasowi, wycierając krew sączącą się z rozcięcia na czole elfa. Flint kłął soczyście, wybierając kapustę z brody.

– Gdzie jest ten przeklęty kender! – ryczał krasnolud. – Już ja... – Przerwał i rozejrzał się w jedną i drugą stronę. – Gdzie się podział ten przeklęty kender? Tas? Dopomóż...

– Cicho! – rozkazał Tanis, zdając sobie sprawę, że Tasowi udało się uciec.

Flint spurpurowiał. – Ach ten mały parszywiec! – zaklął. – To on nas w to wszystko wpakował, a teraz zostawił, żeby...

– Cicho! – rozkazał Tanis, mierząc krasnoluda wściekłym spojrzeniem.

Flint zakrztusił się i zamilkł.

Posterunkowy zapędził więźniów do Pałacu Sprawiedliwości. Dopiero kiedy znaleźli się bezpiecznie wewnątrz brzydkiego budynku z cegły, zorientował się, że jednego z nich brakuje.

– Czy mamy go szukać, panie posterunkowy? – spytał strażnik.

Posterunkowy zastanowił się przez moment, a potem gniewnie pokręcił głową. – Nie

marnujecie czasu – rzekł z goryczą. – Czy wiecie, co to znaczy szukać kendera, który nie chce dać się znaleźć? Nie, puśćcie go wolno. Wciąż mamy tych ważnych. Każ im tu poczekać, a ja powiadomię radnych.

Posterunkowy wszedł za proste, drewniane drzwi, zostawiając drużynę i straż w ciemnym, cuchnącym korytarzu. W kącie leżał włóczęga i chrapał głośno, najwyraźniej wypity za dużo wina. Strażnicy strącili łupiny z dyni ze swoich mundurów i ponuro strzepywali nać marchwi oraz inne odpadki, jakie się do nich przyczepiły. Gilthanas wycierał krew z twarzy. Sturm starał się oczyścić płaszcz najlepiej, jak potrafił.

Posterunkowy wrócił i z progu wezwał ich gestem

– Wprowadzić ich.

Kiedy strażnicy popchnęli więźniów naprzód, Tanisowi udało się zbliżyć do Sturma. – Kto tu rządzi? – szepnął.

– Jeśli szczęście nam dopisuje, miasto wciąż jest posłuszne miejscowemu władcy – odrzekł cicho rycerz. – Tarsyjscy panowie zawsze słynęli ze swej szlachetności i honoru. – Wzruszył ramionami. – Poza tym, cóż nam mogą zarzucić? Nic złego przecież nie zrobiliśmy. W najgorszym przypadku uzbrojona eskorta każe nam opuścić miasto.

Wchodząc do sali sądowej, Tanis pokręcił głową z powątpiewaniem. Dopiero po chwili jego oczy przyzwyczyły się do mroku panującego w brudnych komnatach, w których cuchnęło jeszcze gorzej, niż na korytarzu. Dwóch radnych miasta Tarsis przytykało do nosów pomarańcze nabijane goździkami.

Sześciu radnych siedziało przy ławie postawionej na wysokim podium, po trzech po obu stronach swego władcy, którego wysokie krzesło ustawiono pośrodku. Władca spojrzał na nich, gdy weszli. Uniósł nieco brwi na widok Sturma i Tanisowi wydało się, że wyraz jego twarzy złagodniał. Władca skinął nawet głową rycerzowi w geście uprzejmego powitania. Tanis odzyskał nadzieję. Towarzysze stanęli przed ławą. Krzesel nie było. Wnoszący prośbę i więźniowie przedstawiali radzie swe sprawy stojąc.

– Co zarzuca się tym ludziom? – zapytał władca. Konstabl zmierzył drużynę wrogim spojrzeniem.

– Wywołanie zamieszek, czcigodny panie – powiedział.

– Zamieszek! – wybuchnął Flint. – Nie mieliśmy nic wspólnego z żadnymi zamieszkami! To ten tępy...

Z mroku wychynęła postać w ciemnych szatach i szepnęła coś do ucha władcy. Żaden z towarzyszy nie zauważył tej postaci przy wejściu. Dostrzegli ją dopiero teraz.

Flint kaszlnął i zamilkł, posyłając Tanisowi znaczące, ponure spojrzenie spod gęstych,

siwych brwi. Krasnolud potrząsnął głową i zgarbił się. Tanis westchnął, znużony. Gilthanas wytarł krew ze skaleczenia drżącą dłonią, a na jego bladej, elfiej twarzy malowała się nienawiść. Tylko Sturm stał pozornie spokojny i niewzruszony, spoglądając w potworną, pół ludzką, pół gadzią twarz smokowca.

Towarzysze, którzy zostali w gospodzie siedzieli razem w pokoju Elistana co najmniej przez godzinę po tym, jak pozostałych wyprowadzili strażnicy. Caramon z wyciągniętym mieczem stał na straży przy drzwiach. Riverwind czuwał przy oknie. Usłyszeli dochodzące z oddali głosy wzburzonego tłumu i spojrzeli na siebie. Ich twarze były pełne obawy i napięcia. Potem wrzawa ucichła. Nikt ich już nie niepokoił. W gospodzie zapadła martwa cisza.

Tego poranka nie wydarzył się już żaden incydent. Wzeszło blade, zimne słońce, nie przyczyniając się wiele do ogrzania mroźnego dnia. Caramon schował miecz do pochwy i ziewnął. Tika przyciągnęła krzesło, żeby usiąść obok niego. Riverwind stanął czujnie obok Goldmoon, która rozmawiała cicho z Elistanem, układając plany dla uchodźców.

Tylko Laurana została przy oknie, choć nie było na co patrzeć. Strażnikom najwyraźniej znudziło się maszerowanie w tę i z powrotem po ulicy i teraz kulili się w bramach, próbując się rozgrzać. Słyszała, jak za jej plecami Tika i Caramon śmieją się po cichu. Laurana obejrzała się. Wydawało się, że Caramon opisuje bitwę, mówiąc zbyt przyciszonym tonem, by można go było posłyszeć. Tika słuchała uważnie z oczami błyszczącymi z podziwu.

Młodziutka barmanka zdobyła wiele doświadczenia bojowego w czasie podróży na południe, której celem było odnalezienie młota Kharasa i choć nigdy nie będzie naprawdę dobrze władać mieczem, uczyniła z okładania tarczą prawdziwą sztukę. Noszenie zbroi nie przedstawiało teraz dla niej żadnego kłopotu. Nadal była to zbroja poskładana z fragmentów, lecz Tika wciąż coś dodawała do niej, gromadząc kawałki pozostawione na polu walki. Słońce błyszczało na jej kolczej kamizeli i połyskiwało w rudych włosach. Twarz Caramona była ożywiona i odprężona podczas rozmowy z młodą kobietą. Nie dotykali się – nie wtedy, gdy przyglądały im się złote oczy bliźniaczego brata Caramona – lecz nachylali się bardzo blisko do siebie.

Laurana westchnęła i odwróciła się, czując się bardzo samotna – i myśląc o słowach Raistlina – bardzo wystraszona.

Usłyszała, że ktoś jeszcze wzdycha, lecz nie było to westchnienie żalu. Wyrażało raczej irytację. Odwróciwszy się nieco, spojrzała na Raistlina. Mag zamknął księgę czarów, którą próbował czytać i przesunął się w niewielką smugę światła, jaka wpadała przez szybę. Codziennie musiał studiować swą księgę zaklęć. Przekleństwem czarodziejów jest, iż

zmuszeni są ciągle powierzać swej pamięci zaklęcia, bowiem słowa magii migoczą i gasną, niczym iskry z ogniska. Każdy rzucony czar wysysa siły z maga, osłabiając go fizycznie, aż wreszcie doprowadza do wyczerpania i czarodziej nie może już więcej posługiwać się magią bez odpoczynku.

Siła Raistlina rosła od czasu spotkania przyjaciół w Solące, tak samo jak jego moc. Opanował kilka nowych zaklęć, których nauczył go Fizban, gapowaty, stary czarodziej, który zginął w Pax Tharkas. W miarę jak rosła jego moc, nasilały się też złe przeczucia jego towarzyszy. Nikt nie miał bezpośredniego powodu, by mu nie ufać – w rzeczy samej jego czary nie raz ocaliły im życie. Jednakże było w nim coś, co niepokoiło w tym skrytym, milczącym, zamkniętym w swojej skorupie samotniku.

Nieświadomie głaszcząc błękitną jak noc oprawę dziwnej księgi czarów, którą zdobył w Xak Tsaroth, Raistlin spoglądał na ulicę. Jego złote oczy o ciemnych źrenicach w kształcie klepsydr połyskiwały zimno.

Chociaż Laurana nie lubiła rozmawiać z czarodziejem, musiała się tego dowiedzieć! Co to miało znaczyć – pożegnanie na długo?

– Co widzisz, kiedy tak spoglądasz w dal? – zapytała cicho, siadając obok niego i czując, jak nagle ogarnia ją słabość lęku.

– Co widzę? – powtórzył cicho. W jego głosie zabrzmiało wielkie cierpienie i smutek, a nie gorycz, którą przyzwyczaiła się słyszeć. – Widzę czas wpływający na wszystkie rzeczy. Ludzkie ciało wysycha i umiera na moich oczach. Kwiaty rozkwitają tylko po to, by zwiędnąć. Drzewa zrzucają zielone liście i nigdy ich nie odzyskują. Moje oczy widzą zawsze zimę, zawsze noc.

– I to spotkało cię w Wieży Wielkiej Magii? – zapytała wstrząśnięta Laurana. – Dlaczego? Po co?

Raistlin posłał jej swój nieczęsto widziany krzywy uśmiech. – Aby przypomnieć mi o mej śmiertelności. Aby nauczyć mnie współczucia. – Głos mu przycichł. – Byłem dumny i arogancki w młodości. Najmłodszy z wszystkich, którzy podejmowali się próby, miałem im wszystkim pokazać! – Zacisnął chudą pięść. – Och, pokazałem im. Strzaskali me ciało i pożarli mój umysł, aż w końcu byłem zdolny do... – Przerwał nagle, a jego wzrok padł na Caramona.

– Do czego? – spytała Laurana, bojąc się dowiedzieć, a jednak będąc zafascynowana.

– Nic to – szepnął Raistlin, spuszczaając wzrok. – Nie wolno mi o tym mówić.

Laurana zobaczyła, że ręce mu drżą. Pot kroplił się na jego czole. Rzęził i zaczął kaszleć. Czując się winna temu, że niechcący spowodowała takie cierpienie, zaczerwieniła się

i potrzęsnęła głową, przygryzając wargi. – Przykro mi, że sprawiłam ci ból. Nie chciałam tego. – Zakłopotana, spuściła głowę tak, że włosy zasłoniły jej twarz. Było to jeszcze dziewczęce przyzwyczajenie.

Raistlin nachylił się niemal nieświadomie, wyciągając drżącą rękę, by dotknąć tych cudownych włosów, które zdawały się tętnić własnym życiem, tak były lśniące i gęste. Potem, widząc przed swymi oczami własne umierające ciało, cofnął dłoń pośpiesznie i opadł na krzesło z gorzkim uśmiechem na wargach. Bowiem Laurana nie wiedziała i nie mogła wiedzieć, iż patrząc na nią, Raistlin widział jedyne piękno, jakie ujrzy w swym życiu. Młodej, według rachuby elfów, dziewczyny nie tknęła jeszcze śmierć, ani rozkład, nawet w przeklętych oczach maga.

Laurana nic z tego nie wiedziała. Dostrzegła tylko, że poruszył się nieco. Niemal wstała i odeszła, lecz poczuła, że coś ją do niego ciągnie. I wciąż jeszcze nie odpowiedział na jej pytanie. – Chciałam... czy potrafisz spojrzeć w przyszłość? Tanis powiedział mi, że twoja matka była – jak to nazywają – jasnowidzącą? Wiem, że Tanis przychodzi do ciebie po radę...

Raistlin spojrział na Lauranę w zamyśleniu. – Półelf przychodzi do mnie radzić się, ale nie dlatego, że widzę przyszłość. Nie potrafię tego. Nie jestem wróżem. Przychodzi do mnie, ponieważ potrafię myśleć, do czego większość z tych pozostałych durniów najwyraźniej nie jest zdolna.

– Ale... to, co powiedziałeś. Że niektórzy z nas mogą już się nie zobaczyć. – Laurana z przejściem popatrzyła mu w twarz. – Musiałeś coś zobaczyć! Co – ja muszę wiedzieć! Czy to... Tanis?

Raistlin zastanowił się. Kiedy odezwał się, mówił bardziej do siebie niż do Laurany. – Nie wiem – szepnął. – Nie wiem nawet, dlaczego to powiedziałem. Po prostu – przez moment – wiedziałem... – Zdawał się przez chwilę zmagać z niepamięcią, a potem wzruszył ramionami.

– Co wiedziałeś? – naciskała Laurana.

– Nic. To moja nadmiernie pobudzona wyobraźnia, jakby powiedział rycerz, gdyby tu był. A więc Tanis powiedział ci o mojej matce – rzekł, nagle zmieniając temat.

Laurana, rozczarowana, lecz łudząc się nadzieją dowiedzenia czegoś więcej, jeśli będzie z nim nadal rozmawiać, pokiwała głową. – Powiedział, że miała dar jasnowidzenia. Potrafiła spojrzeć w przyszłość i zobaczyć rzeczy, które dopiero mają nastąpić.

– To prawda – szepnął Raistlin, a potem uśmiechnął się sardonicznie. – Wiele dobrego jej przyszło z tego. Pierwszy mężczyzna, którego poślubiła był przystojnym wojownikiem z

północy. Ich namiętność rozwiała się po kilku miesiącach, a potem nawzajem zatruli sobie życie. Moja matka była delikatnego zdrowia i miała tendencję do popadania w dziwny trans, z którego nie budziła się godzinami. Oboje byli biedni i żyli z tego, co jej mąż zdołał zarobić na wojnach. Choć pewne było, że jest ze szlacheckiego rodu, nigdy nie wspominał o swej rodzinie. Sądzę, że nawet nie powiedział żonie, jak naprawdę brzmi jego nazwisko.

Raistlin zmrużył oczy. – Ale Kitiarze powiedział. Tego jestem pewien. Dlatego udała się na północ, żeby odnaleźć jego rodzinę.

– Kitiara... – powiedziała Laurana zdenerwowanym tonem. Dotknęła tego imienia tak, jak dotyka się bolącego zęba, pragnąc rozpaczliwie zrozumieć lepiej tę kobietę, którą kochał Tanis. – A więc, ten mężczyzna – ten szlachetnie urodzony wojownik – był ojcem Kitiary? – powiedziała zachrypniętym głosem.

Raistlin zmierzył ją przenikliwym spojrzeniem. – Tak – szepnął. – Kitiara jest moją starszą siostrą przyrodnią. Jest starsza od Caramona i ode mnie o jakieś osiem lat. Zapewne bardzo przypomina swego ojca. Jest równie piękna, jak on był przystojny. Zdecydowana i impulsywna, wojownicza, silna i nieustraszona. Ojciec nauczył ją jedynej rzeczy, jaką sam umiał – sztuki wojennej. Zaczął udawać się na coraz dłuższe wyprawy, aż pewnego razu zniknął. Moja matka przekonała Szlachetnych Poszukiwaczy, by prawnie uznano go za zmarłego. Później poślubiła mężczyznę, który został naszym ojcem. Był prostym człowiekiem, drwalem z zawodu. I znów przewidywanie przyszłości nie posłużyło jej.

– Dlaczego? – spytała łagodnie Laurana, czując, że ta historia ją wciąga. Zdumiona była, że zazwyczaj milczący czarodziej jest tak wymowny, nieświadoma, że on czerpie z niej więcej niż daje w zamian, przyglądając się tylko jej pełnej wyrazu twarzy.

– Weźmy na przykład narodziny mojego brata i moje

– rzekł Raistlin. Potem ogarnięty atakiem kaszlu, przerwał opowiadanie i gestem wezwał brata. – Caramonie! Już czas na mój napój – rzekł syczącym szeptem, który przenikał najgłośniejsze rozmowy. – A może zapomniałeś o mnie w miłym towarzystwie?

Caramon przestał się śmiać w połowie wybuchu wesołości. – Nie, Raistlinie – powiedział z poczuciem winy i pośpiesznie wstał, by zawiesić nad ogniem czajnik napełniony wodą. Przyciszona Tika zwiesiła głowę, nie chcąc spoglądać czarodziejowi w oczy.

Popatrzwszy na nią przez jakiś czas, Raistlin odwrócił się ponownie do Laurany, która obserwowała wszystko, co zaszło z uczuciem chłodu w dołku. Czarodziej podjął opowieść, jakby nic się nie stało. – Moja matka nigdy naprawdę nie wróciła do zdrowia po urodzeniu dzieci. Akuszerka nie zajęła się mną, sądząc że nie żyję, i rzeczywiście zapewne umarłbym, gdyby nie Kitiara. Powtarzała zawsze, że pierwszą bitwę ze śmiercią stoczyła o

mnie. Wychowała nas obu. Moja matka nie była w stanie zająć się dziećmi, a ojciec zmuszony był pracować dzień i noc tylko po to, by nas wykarmić. Zginął w wypadku, kiedy Caramon i ja mieliśmy po kilkanaście lat. Moja matka wpadła w trans tego dnia...

– Raistlin ściszył głos – i nigdy już się nie obudziła. Umarła z głodu.

– Jakie to straszne! – szepnęła Laurana i zadrżała.

Raistlin nie odzywał się przez długą chwilę, spoglądając w zimne i szare zimowe niebo swymi dziwnymi oczami. Potem wykrzywił usta.

– Nauczyłem się wtedy czegoś ważnego i cennego – trzeba panować nad mocą. Nigdy nie pozwolić, by ona zawładnęła tobą!

Laurana zdawała się nie słyszeć go. Zaciskała nerwowo dłonie na podołku. Nadeszła idealna okazja, by zadać pytania, które pragnęła tak bardzo zadać, lecz oznaczałoby to powierzenie części swej duszy temu człowiekowi, którego się obawiała i któremu nie ufała. Jednakże jej ciekawość – i miłość – była zbyt wielka. Nawet nie zorientowała się, że wpadła w przemyślnie zastawione sidła. Bowiem Raistlin delectował się odkrywaniem sekretów dusz ludzkich, wiedząc, że kiedyś może mu się to przydać.

– Co wtedy zrobiłeś? – spytała, przełykając ślinę. – Czy Kit...Kitiara... – Starając się powiedzieć to od niechcienia, potknęła się na imieniu i zaczerwieniła z zażenowania.

Raistlin z ciekawością przyglądał się wewnętrznym zmaganiom Laurany. – Kitiary już wtedy nie było – odrzekł. – Opuściła dom w wieku lat piętnastu i zaczęła zarabiać na życie wojowaniem. Jest mistrzynią – tak twierdzi Caramon – i nie ma kłopotów ze znalezieniem pracy najemnika. Och, wracała czasem do domu, żeby zobaczyć, jak dajemy sobie radę. Kiedy podrośliśmy trochę i nabraliśmy wprawę, zaczęła zabierać nas ze sobą. Tam właśnie Caramon i ja nauczyliśmy się walczyć razem – ja, używając mej magii, mój brat miecza. Potem, kiedy spotkała Tanisa... – Raistlinowi zabłysły oczy na widok zakłopotania Laurany – podróżowała z nami częściej.

– Z kim podróżowała? Dokąd?

– Był tam Sturm Brightblade, już wtedy marzący o zostaniu rycerzem, kender, Tanis, Caramon i ja. Podróżowaliśmy z Flintem, zanim jeszcze przestał zajmować się kowalstwem. Potem nauczyliśmy się wszystkiego, czego mogliśmy nauczyć się od przyjaciół. Nie mogliśmy dłużej siedzieć w jednym miejscu. Tanis stwierdził, że czas już się rozstać.

– I zrobiliście tak, jak wam kazał? Już wtedy był waszym przywódcą? – Sięgnęła pamięcią wstecz, by przypomnieć sobie, jaki był przed opuszczeniem Qualinosti, bez brody i zmarszczek, troski i zmartwienia, jakie widziała teraz na jego twarzy. Już wtedy był zamknięty w sobie, posępny, udręczony poczuciem przynależności do obu ras – i do żadnej.

Wtedy go nie rozumiała. Dopiero teraz, kiedy żyła w świecie ludzi, zaczęła to pojmować.

– Obdarzony jest wszystkimi cechami, jakimi ponoć powinien wykazywać się wódz. Jest bystry, inteligentny, twórczy. Jednakże większość z nas posiada te cechy – w większym lub mniejszym stopniu. Dlaczego pozostali słuchają Tanisa? Sturm pochodzi ze szlacheckiego rodu, należy do zakonu, którego korzenie sięgają zamierzchłych czasów. Dlaczego posłuszny jest rozkazom półelfiego bękartu? A Riverwind? Nie ufa nikomu, kto nie jest człowiekiem i połowie tych, którzy nimi są. A mimo to wraz z Goldmoon poszliby za Tanisem do otchłani i z powrotem. Dlaczego?

– Sama się zastanawiałam – zaczęła Laurana – i wydaje mi się...

Lecz Raistlin, ignorując ją, sam odpowiedział na swe pytanie. – Tanis słucha swych uczuć. Nie tłumi ich, jak rycerz, ani ich nie ukrywa, jak czyni to mieszkaniec równin. Tanis zdaje sobie sprawę, że czasami wódz musi myśleć sercem, a nie głową. – Raistlin spojrzął na nią. – Pamiętaj o tym.

Laurana mrugnęła, na moment zbита z tropu, a potem, wyczuwszy w głosie maga nutę wyższości, która ją zezłościła, powiedziała wyniośle – Zauważyłam, że nie wymieniałeś siebie. Jeśli jesteś tak inteligentny i potężny, jak twierdzisz, dlaczego idziesz pod przewodnictwem Tanisa?

Klepsydrowe oczy Raistlina były mroczne i niezgłębione. Gdy Caramon przyniósł mu kubek, uważnie nalał wody z czajnika. Wojownik spojrzął przelotnie na Lauranę, a jego twarz była pochmurna, zażenowana i pełna skrepowania jak zawsze, gdy brat tak się zachowywał.

Raistlin jakby tego nie dostrzegał. Wyciągnąwszy woreczek ze swego plecaka, wsypał nieco zielonych listków do wrzątku. Rozszedł się ostry, kwaśny zapach. – Nie idę pod jego przewodnictwem. – Młody mag spojrzął na Lauranę. – Tak się po prostu składa, że tymczasem Tanis i ja podróżujemy w tym samym kierunku.

– Rycerze solamnijscy nie są mile widziani w naszym mieście – rzekł surowo władca. Jego twarz przybrała poważny wyraz. Nieprzyjaznym spojrzeniem objął resztę drużyny. – Ani elfowie, kenderzy, krasnoludowie, ani też ci, którzy podróżują w ich towarzystwie. Pojmuję, że jest z wami również czarodziej, jeden z tych, co noszą czerwone szaty. Nositcie zbroje. Wasz oręż jest splamiony krwią i szybko po niego sięgacie. Widać, że jesteście zręcznymi wojownikami.

– Bez wątplenia najemnicy, czcigodny panie – powiedział posterunkowy.

– Nie jesteśmy najemnikami – rzekł Sturm, podchodząc i stając przed ławą. Jego maniery cechowała duma i szlachetność. – Przybyliśmy z północnej części równin Abanasinii. Uwolniliśmy osiem setek mężczyzn, kobiet i dzieci z rąk smoczego władcy,

Verminaarda, w Pax Tharkas. Uchodząc przed gniewem smoczycich armii, zostawiliśmy ludzi ukrytych w dolinie wśród gór i udaliśmy się w podróż na południe, mając nadzieję odnaleźć statki w legendarnym mieście Tarsis. Nie wiedzieliśmy, że miasto jest teraz w głębi łądu, bowiem nie trudziłibyśmy się.

Władca zmarszczył czoło. – Mówisz, że przychodzicie z północy? To niemożliwe. Nikt jeszcze nie przebył bezpiecznie górskiego królestwa krasnoludów w Thorbardinie.

– Gdybyś wiedział cokolwiek o rycerzach solamnijskich, wiedziałbyś, iż zginęlibyśmy raczej, niż okłamali kogokolwiek – nawet naszego wroga – powiedział Sturm.

– Weszliśmy do królestwa krasnoludów i zdobyliśmy prawo do przejścia, odnajdując i zwracając im zaginiony młot Kharasa.

Władca poruszył się niespokojnie i spojrzał na smokowca, który siedział za nim. – Słyszałem nieco o rycerzach – przyznał z ociąganiem. – Wobec tego muszę uwierzyć twym słowom, choć przypominają one bardziej dziecienną bajkę na dobranoc niż...

Nagle drzwi rozwarły się z hukiem i weszło dwóch strażników, bezceremonialnie ciągnąc więźnia między sobą. Odepchnęli członków drużyny na bok i rzucili jeńca na posadzkę. Więźniem tym była kobieta, szczelnie otulona welonem i odziana w długie spódnice oraz ciężką pelerynę. Przez chwilę leżała na podłodze, jakby zbyt zmęczona lub pokonana, by wstać. Potem, zdając się dokonywać ogromnego wysiłku woli, zaczęła się podnosić. Najwyraźniej nikt nie zamierzał jej pomóc. Władca przyglądał jej się z miną ponurą i nieprzyjazną. Smokowiec za nim wstał i z góry spoglądał na nią z zainteresowaniem. Kobieta zmagiała się z płaszczem i długimi, powiewnymi spódnicami, w które się zaplątała.

I wtedy u jej boku zjawiał się Sturm.

Rycerz przyglądał się temu ze zgrozą, wstrząśnięty tak grubiańskim traktowaniem kobiety. Spojrzawszy na Tanisa, zobaczył że przesadnie ostrożny półelf kręci głową, lecz widok kobiety dzielnie starającej się podnieść, był dla rycerza nie do zniesienia. Uczynił krok naprzód i spostrzegł halabardę zagrażającą mu drogę.

– Zabij mnie, jeśli chcesz – rzekł rycerz do strażnika – lecz zamierzam przyjść z pomocą tej damie.

Gwardzista mrugnął i cofnął się o krok, spojrzeniem zwracając się po rozkazy do swego władcy. Władca nieznacznie potrząsnął głową. Tanis, który uważnie się wszystkiemu przyglądał, wstrzymał oddech. Potem wydało mu się, że widzi szybko zasłonięty dłonią uśmiech władcy.

– Pani, pozwól, że ci pomogę – powiedział Sturm z dworną, staroświecką uprzejmością, dawno zaginioną na tym świecie. Jego silne ręce łagodnie postawiły ją na nogi.

– Lepiej zostaw mnie, panie rycerzu – powiedziała kobieta, której słowa ledwo dochodziły zza welonu. Jednak na dźwięk jej głosu zarówno Tanis, jak i Gilthanas westchnęli cicho i spojrzeli na siebie. – Nie wiesz, co czynisz – rzekła. – Narażasz swe życie...

– To mój przywilej – powiedział Sturm, kłaniając się. A potem stanął obok niej opiekuńczo, przyglądając się strażom.

– Ona jest elfem Silvanesti! – szepnął Gilthanas do Tanisa. – Czy Sturm wie o tym?

– Oczywiście, że nie – odpowiedział cicho Tanis. – Skąd miałby wiedzieć? Sam ledwo rozpoznałem jej akcent.

– Co ona może tu robić? Silvanesti jest daleko stąd...

– Ja... – zaczął Tanis, lecz jeden ze strażników szturchnął go w plecy. Zamilkł, a tymczasem odezwał się władca.

– Lady Alhano – rzekł chłodnym głosem – ostrzeżono cię, byś opuściła to miasto. Okazałem litość ostatnim razem, gdy stanęłaś przede mną, ponieważ przybyłaś z misją dyplomatyczną w imieniu swego narodu, a w Tarsis wciąż jeszcze szanuje się protokół. Jednakże powiedziałem ci wtedy, iż nie możesz oczekiwać od nas pomocy i dałem ci dwadzieścia cztery godziny na opuszczenie miasta. A widzę, że wciąż tu jesteś. – Obejrzał się na strażników. – Cóż jej się zarzuca?

– Próbę kupienia najemników, czcigodny panie – odparł posterunkowy. – Ujęto ją w karczmie na starym nabrzeżu. – Posterunkowy rzucił Sturmowi wściekłe spojrzenie. – Całe szczęście, że nie spotkała tej bandy. Oczywiście, nikt w Tarsis nie pomógłby elfowi.

– Alhana – szepnął Tanis do siebie. Przysunął się do Gilthanas. – Czemu to imię brzmi znajomo?

– Czyżbyś tak długo przebywał z dala od swego ludu, że nie rozpoznajesz tego imienia? – odpowiedział elf cicho w swym języku. – Tylko jedna spośród naszych kuzynek z Silvanesti nosi imię Alhana. To Alhana Starbreeze, córka Mówcy Gwiazd, księżniczka swego narodu i władczyni po śmierci ojca, bowiem nie ma braci.

– Alhana! – rzekł Tanis, przypominając sobie. Naród elfów rozdzielił się setki lat temu, gdy Kith-Kanan wyprowadził wielu elfów do Qualinesti po zaciekłych wojnach bratobójczych. Przywódcy elfów jednak utrzymywali kontakt w tajemniczy sposób elfich panów, o których powiada się, że potrafią czytać wieści z wiatru i mówić językiem srebrnego księżycy. Teraz przypomniał sobie Alhanę – pośród wszystkich elfich panien słynącą z największej urody i wyniosłą niczym srebrny księżyc, który świecił przy jej narodzinach.

Smokowiec nachylił się, by naradzić się z władcą. Tanis dostrzegł, że mężczyzna spochmurniał na twarzy, jakby nie chciał się zgodzić, a potem przygryzł wargę i z

westchnieniem pokiwał głową. Smokowiec ponownie wtopił się w mrok.

– Jesteś aresztowana, lady Alhano – rzekł z ciężkim sercem władca. Gdy strażnicy otoczyli kobietę, Sturm zbliżył się do niej o krok. Rycerz dumnie podniósł głowę i rzucił im wszystkim ostrzegawcze spojrzenie. Tak pewne siebie i szlachetne sprawiał wrażenie, nawet bezbronny, że strażnicy zawahali się. Jednak władca wydał im rozkaz.

– Zrób coś – mruknął Flint. – Popieram z całego serca rycerskość, lecz ani to pora, ani miejsce na to!

– Masz jakiś pomysł? – uciął dyskusję Tanis.

Flint nie odpowiedział. Nikt z nich nie mógł nawet kiwnąć palcem i wiedzieli o tym. Sturm zginie wpierw, nim pozwoli któremuś ze strażników dotknąć jeszcze raz tej kobiety, choć nie miał pojęcia, kim jest. Nie miało to znaczenia. Rozdarty pomiędzy frustracją a podziwem dla przyjaciela, Tanis ocenił odległość, jaka go dzieli od najbliższego strażnika, wiedząc, że przynajmniej jednego zdoła usunąć z drogi. Zobaczył, że Gilthanas zamyka oczy i porusza wargami. Elf był czarodziejem, choć rzadko traktował to poważnie. Spostrzegłszy wyraz twarzy Tanisa, Flint westchnął ciężko i odwrócił się ku następnemu strażnikowi, spuszczając zakutą w hełm głowę niczym taran.

Wtem władca nagle przemówił surowym głosem. – Wstrzymaj się, rycerzu! – rzekł tonem pełnym władczości wpojonej od wielu pokoleń. Sturm poznał ten ton i odprężył się, a Tanis odsapnął z ulgą. – Nie życzę sobie, by przelano krew w sali rady. Dama ta złamała prawo tej ziemi, prawo, którego w minionych czasach ty, panie rycerzu, przysięgałeś bronić. Lecz przyznaję, nie ma powodu, by nie okazywać jej poszanowania. Straże, odprowadzić tę damę do więzienia, lecz z takim samym szacunkiem, jaki okazujecie mnie. A ty, panie rycerzu, będziesz jej towarzyszył, skoro tak troszczysz się o nią.

Tanis szturchnął Gilthanasę, który drgnąwszy wyrwał się z transu. – Rzeczywiście, tak jak Sturm powiedział, ów władca pochodzi ze szlachetnego i honorowego rodu – szepnął Tanis.

– Nie rozumiem, co cię tak cieszy, Półelfie – burknął Flint, podłuchawszy ich słowa. – Najpierw przez kendera oskarżają nas o wywołanie zamieszek, a on sam znika. Teraz przez rycerza pakują nas do więzienia. Następnym razem przypomnij mi, żebym się trzymał czarodzieja. Przynajmniej wiem, że on ma bzika!

Gdy strażnicy zaczęli odpędzać więźniów od ławy, Alhana zdawała się szukać czegoś w fałdach swej długiej spódnicy.

– Proszę o przysługę, panie rycerzu – powiedziała do Sturma. – Zdaje mi się, że coś upuściłam. To drobiazg, lecz cenny. Czy mógłbyś poszukać...

Sturm ukląkł szybko i natychmiast spostrzegł połyskujący przedmiot, który leżał na podłodze, przykryty fałdami jej sukni. Była to spinka w kształcie gwiazdy, migocząca diamentami. Zacerpnął tchu. Drobiazg! Wartość spinki musi być niewyobrażalna. Nic dziwnego, że nie chciała, żeby znaleźli ją ci niecni strażnicy. Szybko zacisnął ją w dłoni, a potem udawał, że szuka wokół. Wreszcie, wciąż klęcząc, podniósł oczy na kobietę.

Sturm zatrzymał oddech, gdy kobieta zsunęła kaptur płaszcza i podniosła welon z twarzy. Po raz pierwszy ludzkie oczy ujrzały twarz Alhany Starbreeze.

Muralasa, tak ją nazywali elfowie – Księżniczka Nocy. Jej włosy, czarne i miękkie jak wieczorny wiatr, przytrzymywała siateczka delikatna jak pajęczyna, połyskująca maleńkimi klejnotami niczym gwiazdami. Jej skóra miała blady odcień srebrnego księżyca, jej oczy barwę głębokiego, ciemnego fioleto nocnego nieba, a wargi kolor czerwonego księżyca.

Pierwszą myślą rycerza było złożyć dzięki Paladine, że już jest na kolanach. Drugą myślą było, iż śmierć nie byłaby wygórowaną ceną za to, by jej służyć, a trzecią, że musi coś powiedzieć, lecz zdawało mu się, że zapomniał słów wszystkich znanych języków.

– Dzięki ci, żeś go odnalazł, szlachetny rycerzu – powiedziała cicho Alhana, wpatrując się uważnie w oczy Sturm. – Jak już powiedziałam, to drobiazg. Wstań, proszę. Jestem wielce znużona, a ponieważ zdaje się, że udajemy się w to samo miejsce, uczyniłbyś mi wielką przysługę, gdybyś mi towarzyszył.

– Jestem na twe rozkazy – rzekł żarliwie Sturm i wstał, pośpiesznie chowając klejnot za pasem. Podał jej rękę, a Alhana położyła smukłą, białą dłoń na jego przedramieniu. Od jej dotyku zadrżała mu ręka.

Rycerzowi wydało się, że to obłok zasłonił blask gwiazd, gdy kobieta ponownie spuściła woalkę na twarz. Sturm zobaczył, że Tanis dołącza do szeregu za nimi, lecz tak był urzeczony pięknem twarzy, które utkwilo w jego pamięci, że patrzył wprost na półelfa, nie dając nawet znaku, że go poznaje.

Tanis zobaczył twarz Alhany i poczuł, jak jemu samemu serce drży na widok jej urody. Ale zobaczył także twarz Sturm. Zobaczył, że piękno to wbiło się w serce rycerza, czyniąc więcej spustoszenia niż zatruty grot goblina. Wiedział bowiem, że miłość ta musi zmienić się w truciznę. Silvanesti są dumną i hardą rasą. Obawiając się skażenia i zagłady swego sposobu życia, odmawiali najdrobniejszych choćby kontaktów z ludźmi. Z tego też powodu stoczono bratobójcze wojny.

Nie, pomyślał ze smutkiem Tanis, sam srebrny księżyc nie jest wyżej ani dalej poza zasięgiem Sturm. Półelf westchnął. Tylko tego im brakowało.

Rozdział VI

Rycerze solamnijscy. Tasslehoffowe okulary prawdziwego widzenia

Wyprowadzając więźniów z Pałacu Sprawiedliwości strażę minęły dwie postaci stojące na zewnątrz w cieniu. Obie były tak spowite w materiał, że trudno było ustalić, do jakiej rasy należą. Głowy nakryły kapturami i nawet twarze miały zasłonięte tkaniną. Długie szaty otulały ich ciała. Nawet dłonie były owinięte paskami białego materiału jak bandażami. Rozmawiały ze sobą przyciszonymi głosami.

– Widzisz? – powiedziała jedna z wielkim podnieceniem. – To oni. Pasują do opisu.

– Nie wszyscy – powiedziała ta druga z powątpiewaniem.

– Ale przecież jest półelf, krasnolud, rycerz! Mówię ci, to oni! I wiem, gdzie są pozostali – postać dodała zarozumiale. – Wypytałem jednego ze strażników.

Ta druga, wyższa postać rozważyła jego słowa, obserwując grupę odprowadzaną ulicą pod strażą. – Masz rację. Powinniśmy natychmiast donieść o tym smoczemu władcy. – Obandażowana postać odwróciła się, a potem zatrzymała widząc, iż ta druga waha się. – Na co czekasz?

– Czy jeden z nas nie powinien iść za nimi? Spójrz tylko na te żalosne strażę. Wiesz, że więźniowie będą próbować uciec.

Druga postać zaśmiała się nieprzyjemnie. – Oczywiście, że uciekną. A my wiemy, dokąd pójdą – wrócą do swoich przyjaciół. – Spowita materiałem postać zmrużyła oczy, spoglądając na popołudniowe słońce. – Poza tym, za kilka godzin i tak nie będzie to już miało znaczenia. – Wysoka postać odeszła wydłużonym krokiem, ta mniejsza pośpieszyła za nią.

Gdy przyjaciele wyszli z Pałacu Sprawiedliwości, padał śnieg. Tym razem posterunkowy zmądrzał i nie prowadził więźniów głównymi ulicami. Zaprowadził ich do ciemnego i ponurego zaułka tuż za Pałacem Sprawiedliwości.

Tanis i Sturm właśnie zamienili spojrzenia, a Gilthanas i Flint szykowali się do ataku, gdy półelf dostrzegł, że cienie w zaułku ożyły. Trzy zakapturzone i zamaskowane postaci wyskoczyły przed strażników, a ich stalowe miecze zabłyśły w jaskrawym świetle słońca.

Posterunkowy przyłożył gwizdek do ust, lecz nie wydobył żadnego dźwięku. Jedna z postaci pozbawiła go przytomności ręką miecza, podczas gdy pozostałe dwie rzuciły się na strażników, którzy natychmiast uciekli. Zakapturzone postaci odwróciły się do towarzyszy.

– Kim jesteście? – zapytał Tanis, zdumiony swym nagłym uwolnieniem. Zakapturzone i otulone pelerynami postaci przypominały mu zamaskowanych smokowców, z którymi walczyli na obrzeżach Solące. Sturm pociągnął Alhanę za siebie.

– Czy wymknęliśmy się jednemu niebezpieczeństwu, by popaść w jeszcze gorsze? – zapytał stanowczo Tanis.

– Odsłońcie twarze!

Lecz wtedy jeden z zamaskowanych mężczyzn zwrócił się do Sturm, wznosząc ręce w górę. – *Oth Tsarthon e Paran* – powiedział.

Sturm westchnął zdumiony. – *Est Tsarthai en Paranaith* – odpowiedział, a potem zwrócił się do Tanisa.

– Rycerze solamnijscy – rzekł, wskazując na trzech mężczyzn.

– Rycerze? – spytał zdziwiony Tanis. – Dlaczego...

– Nie ma czasu na wyjaśnienia, Sturmie Brightblade

– jeden z rycerzy powiedział w mowie wspólnej z wyraźnym akcentem. – Straże wkrótce powrócą. Chodźcie z nami.

– Nie tak szybko! – warknął Flint, wspierając się mocno stopami w bruk i odłamując drzewce halabardy, aby pasowała do jego niedużego wzrostu. – Znajdziecie czas na wyjaśnienia, albo nigdzie nie pójdę! Skąd znasz imię tego rycerza i jak to możliwe, że czekaliście na nas...

– Och, przebij go po prostu – zapiał przenikliwy głos z głębi cienia. – Zostaw jego zwłoki wronom na pożarcie. Zresztą i tak się nie pofatygują – niewiele istot na tym świecie gustuje w krasnoludach...

– Jesteś zadowolony? – powiedział Tanis do Flinta, który poczerwieniał na twarzy z wściekłości.

– Któregoś dnia – przysiągł krasnolud – zatłukę tego kendera.

Z ulicy za nimi dobiegły ich gwizdy. Nie wahając się więcej, przyjaciele poszli za rycerzami przez kręte, zaszczurzone zaułki. Stwierdziwszy, że ma sprawy do załatwienia Tas znikł, zanim Tanis zdołał go złapać. Pótełf zauważył, że rycerzy wcale to nie zdziwiło, ani też nie próbowali go zatrzymać. Jednakże odmawiali odpowiedzi na jakiegokolwiek pytania i tylko popędzali grupę, aż dotarli do ruin starego miasta Tarsis Pięknego.

Tu rycerze zatrzymali się. Przyprawdzili towarzyszy do części miasta, której nikt obecnie nie odwiedzał. Ulice były tu puste i zniszczone, bardzo przypominały Tanisowi prastare miasto Xak Tsaroth. Biorąc Sturm za ramię, rycerze odprowadzili go niedaleko na bok i zaczęli rozmawiać po solamnijsku, pozwalając reszcie odpocząć.

Oparłszy się o budynek, Tanis rozejrzał się z ciekawością. Resztki domów, które jeszcze stały na tej ulicy, były imponujące, dużo piękniejsze niż w nowym mieście. Zobaczył, że Tarsis Piękne rzeczywiście zasługiwało na swą nazwę przed kataklizmem. Teraz nie

zostało nic, prócz rozrzuconych wokół olbrzymich bloków granitu. Przeszronne dziedzińce zarosły zielskiem i chwastami, które zbrązowiały od przenikliwego zimowego wiatru.

Podszedł do ławy, by usiąść obok Gilthanasa, który rozmawiał z Alhaną. Elfi pan przedstawił go.

– Alhaną Starbreeze, Tanis Półelf – powiedział Gilthanas. – Tanis mieszkał w Qualinesti przez wiele lat. Jest synem żony mojego wuja.

Alhaną odsunęła welon z twarzy i zmierzyła Tanisa zimnym spojrzeniem. „Syn żony mojego wuja” było uprzejmym sposobem powiedzenia, że Tanis jest dzieckiem z nieprawego łoża, bowiem inaczej Gilthanas przedstawiłby go jako „syna mojego wuja”. Półelf zaczerwienił się, bowiem stary ból powrócił ze wzmożoną siłą, sprawiając mu tyle samo cierpienia, co pięćdziesiąt lat temu. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek uwolni się od niego.

Drapiąc się po brodzie, Tanis rzekł szorstko – Moją matkę zgwałcili ludzcy wojownicy w czasach mroku po kataklizmie. Mówca łaskawie mnie przygarnął po jej śmierci i wychował jak swe własne dziecko.

Ciemne oczy Alhany pociemniały jeszcze bardziej, aż stały się sadzawkami mroku nocy. Uniosła brwi. – Czy czujesz potrzebę przeproszenia za swe pochodzenie? – spytała chłodnym tonem.

– N-nie... – wyjąkał Tanis czując, że twarz go pali. – Ja...

– W takim razie, nie czyń tego – rzekła i odwróciła się do Gilthanasa. – Pytałeś, czemu przybyłam do Tarsis? Przybyłam, by szukać pomocy. Muszę wrócić do Silvanesti, by odnaleźć swego ojca.

– Powrócić do Silvanesti? – powtórzył Gilthanas. – My – mój lud nie wiedział, że elfowie Silvanesti opuścili swą prastarą ojczyznę. Nic dziwnego, że straciliśmy kontakt...

– Tak – głos Alhany posmutniał. – Zło, które zmusiło was, naszych kuzynów, do opuszczenia Qualinesti, dotarło również i do nas. – Spuściła głowę, a potem podniosła ją i rzekła głosem cichym i niskim. – Długo zmagaliśmy się z tym złem. Lecz w końcu zmuszeni byliśmy uciekać, żeby nie ulec całkowitej zagładzie. Mój ojciec wysłał nasz lud pod moim przywództwem na Południowy Ergoth. Sam został w Silvanesti, by samotnie walczyć. Byłam przeciwna jego decyzji, lecz powiedział, że ma dość mocy, by nie dopuścić do zniszczenia naszej ojczyzny przez zło. Z ciężkim sercem zaprowadziłam nasz lud w bezpieczne miejsce, gdzie przebywa do tej pory. Ja wróciłam, by poszukać ojca, bowiem upłynęło wiele dni, a nie mieliśmy od niego żadnej wieści.

– Nie masz, pani, żadnych wojowników, którzy towarzyszyliby ci w tak niebezpiecznej podróży? – spytał Tanis.

Odwróciwszy się, Alhana spojrzała na Tanisa, jakby zdumiona tym, że wtrąca się do ich rozmowy. Z początku wydawało się, że nie zechce mu odpowiedzieć, lecz popatrzawszy dłużej na jego twarz zmieniła zdanie. – Wielu było wojowników, którzy chcieli mnie eskortować – rzekła dumnie. – Lecz mówiąc, że zaprowadziłam mój lud w bezpieczne miejsce, powiedziałam to zbyt pochopnie. Nie ma dziś na świecie miejsc bezpiecznych. Wojownicy zostali, by strzec mego ludu. Przybyłam do Tarsis w nadziei znalezienia wojowników, którzy udaliby się ze mną do Silvanesti. Przedstawiłam się władcy i radzie, jak nakazuje protokół...

Tanis potrząsnął głową, marszcząc pochmurnie czoło. – To było głupie – powiedział bez ogródek. – Powinnaś była wiedzieć, jak traktuje się elfów nawet jeszcze przed przybyciem smokowców! Miałaś piekielne szczęście, że rozkazali cię tylko wyrzucić z miasta.

Błada twarz Alhany pobladła jeszcze bardziej, jeśli było to w ogóle możliwe. Jej ciemne oczy zabłyśły. – Postąpiłam zgodnie z wymogami etykiety – odrzekła, zbyt dobrze wychowana, by okazać gniew inaczej jak chłodnym tonem głosu. – Postępując inaczej, zachowałabym się jak barbarzyńca. Kiedy władca odmówił mi pomocy, powiedziałam mu, że zamierzam szukać pomocy na własną rękę. Gdybym tego nie zrobiła, postąpiłabym niehonorowo.

Flint, który był w stanie zrozumieć zaledwie strzępki rozmowy w języku elfów, szturchnął Tanisa. – Ona i ten rycerz będą się świetnie rozumieli – parsknął. – Chyba, że wcześniej zginą przez ten swój honor. – Zanim Tanis zdążył odpowiedzieć, do grupy powrócił Sturm.

– Tanisie – rzekł podekscytowany Sturm – rycerze odnaleźli starożytną bibliotekę! Dlatego tu właśnie są. Odkryli zapisy w Palanthas mówiące o tym, że w zamierzonych czasach wiadomości o smokach przechowywano w tutejszej bibliotece, w Tarsis. Rada rycerzy wysłała ich, by sprawdzili, czy biblioteka jeszcze istnieje.

Sturm gestem wezwał rycerzy, by się zbliżyli. – Oto Brian Donner, rycerz miecza – powiedział. – Aran Tallbow, rycerz korony i Derek Crownguard, rycerz róży. – Rycerze skłonili się.

– A to jest Tanis Półelf, nasz wódz – rzekł Sturm. Półelf zobaczył, że Alhana drgnęła i spojrzała na niego ze zdumieniem, oglądając się na Sturma, jakby chcąc się upewnić, czy dobrze usłyszała.

Sturm przedstawił Gilthanasa i Flinta, a następnie zwrócił się do Alhany. – Lady Alhana – zaczął, a potem przerwał zakłopotany, uświadomiwszy sobie, że nic więcej o niej

nie wie.

– Alhana Starbreeze – dokończył Gilthanas. – Córka Mówcy Gwiazd. Księżniczka elfów Silvanesti. Rycerze znów się skłonili, tym razem niżej.

– Przyjmijcie me najserdeczniejsze wyrazy wdzięczności za ocalenie mnie – rzekła chłodno Alhana. Jej spojrzenie objęło całą grupę, lecz najdłużej spoczywało na Sturmie. Potem zwróciła się do Dereka, w którym poznała przywódcę, bo należał do zakonu róży. – Czy odkryliście zapiski, po jakie wysłały was wasze władze?

Kiedy kobieta przemówiła, Tanis przyjrzał się z ciekawością rycerzom, którzy teraz zdjęli kaptury. On również wiedział wystarczająco dużo, by wiedzieć, że Rada Rycerzy – zarząd zakonu rycerzy solamnijskich – wysłała swych najlepszych ludzi. W szczególności przyglądał się Derekowi, najstarszemu i najwyższemu rangą. Niewielu rycerzy dochodziło do zakonu róży. Próby były niebezpieczne i trudne, a należeć mogli tylko rycerze z rodów czystej krwi.

– Znaleźliśmy księgę, pani – rzekł Derek – napisaną w starożytnym języku, którego nie rozumieliśmy. Jednakże były w niej obrazki przedstawiające smoki, więc zamierzaliśmy skopiować ją i wrócić na Sancrist, gdzie, jak mieliśmy nadzieję, uczeni zdołają ją przetłumaczyć. Zamiast tego znaleźliśmy jednak kogoś, kto potrafi ją przeczytać. Kender...

– Tasslehoff? – wybuchnął Flint.

Tanis otworzył usta ze zdumienia. – Tasslehoff? – powtórzył z niedowierzaniem. – On ledwo potrafi czytać w mowie wspólnej. Nie zna żadnych starożytnych języków.

Jedynym spośród nas, który być może potrafiłby przetłumaczyć coś ze starego języka jest Raistlin.

Derek wzruszył ramionami. – Kender ma okulary, które jak twierdzi są „magicznymi okularami prawdziwego widzenia”. Nałożył je i mógł przeczytać książkę. Mówi ona o...

– Już sobie wyobrażam, o czym mówi! – uciął Tanis. – Historie o automatach i czarodziejskich pierścieniach teleportacji i roślinach, które się żywią powietrzem. Gdzie on jest? Już ja sobie porozmawiam z Tasslehoffem Burrfootem.

– Magiczne okulary prawdziwego widzenia – burknął Flint. – A ja jestem krasnoludem żlebowym!

Drużyna weszła do zrujnowanego budynku. Gramoląc się po gruzach, przeszli śladami Dereka pod niskim łukiem wejściowym. Unosił się silny zapach pleśni i stęchlizny. Po jaskrawym blasku słońca na zewnątrz wydawało się, że panuje tu nieprzenikniony mrok i wszyscy na chwilę byli oślepieni. Potem Derek zapalił pochodnię i wtedy ujrzeli wąskie, kręte schody wiodące w dół ku jeszcze większej ciemności.

– Bibliotekę wybudowano pod ziemią – wyjaśnił Derek. – Prawdopodobnie tylko dlatego w tak dobrym stanie przetrwała kataklizm.

Przyjaciele szybko zeszli po schodach i wkrótce znaleźli się w olbrzymiej komnacie. Tanisowi zaparło dech w piersi, a w migotliwym świetle pochodni widać było, że nawet Alhana otworzyła szerzej oczy. Ogromne pomieszczenie było po sufit wypełnione wysokimi drewnianymi regałami, które ciągnęły się jak okiem sięgnąć. Na półkach stały książki. Książki wszelkiego rodzaju. Książki w skórzanych oprawach, książki oprawione w drewno, a także w coś, co przypominało liście jakiegoś egzotycznego drzewa. Wiele w ogóle nie miało okładek. Były to po prostu arkusze pergaminu zszyte czarnymi wstążkami. Kilka regałów przewróciło się, wysypując księgi na podłogę, tak że można było brnąć po kostki w pergaminach.

– Muszą tu być ich tysiące! – rzekł z podziwem Tanis. – Jak udało wam się znaleźć właśnie tę wśród tylu innych?

Derek pokręcił głową. – Nie było to łatwe – powiedział. – Wiele dni spędziliśmy na poszukiwaniach. Kiedy wreszcie znaleźliśmy tę księgę, poczuliśmy bardziej rozpacz niż triumf, bowiem było jasne, że nie można jej ruszyć. Strony rozpadały nam się w rękach na proch. Obawialiśmy się, że przyjdzie nam spędzić długie, żmudne godziny na jej przepisywaniu. Jednakże kender...

– Właśnie, kender – powiedział Tanis tonem, który nie wróżył nic dobrego. – Gdzie on jest?

– Tutaj! – pisnął przenikliwy głos.

Tanis wyteżył wzrok, by spojrzeć w głąb słabo oświetlonego pomieszczenia i dostrzegł świeczkę palącą się na stole. Tasslehoff siedząc na wysokim drewnianym krześle, nachylał się nad grubą księgą. Kiedy towarzysze zbliżyli się do niego, dostrzegli na czubku jego nosa małe okulary.

– Dobrze, Tas – powiedział Tanis. – Skąd je masz?

– Co mam? – spytał kender niewinnym głosem. Zobaczył, że Tanis zmrużył oczy i wtedy dotknął okularków w drucianej oprawie. – Och, o to chodzi? Miałem je w sakwie i... ojej, jeśli już musicie wiedzieć, znalazłem je w królestwie krasnoludów...

Flint jęknął i zasłonił twarz dłonią.

– Leżały na stole! – zaprotestował Tas, dostrzegłszy groźną minę Tanisa. – Słowo honoru! W pobliżu nikogo nie było. Pomyślałem sobie, że pewno ktoś je zgubił. Wziąłem je tylko po to, żeby przechować. I całe szczęście. Jeszcze przyszedłby jakiś złodziej i je ukradł, a są bardzo cenne! Chciałem je oddać, ale potem mieliśmy tyle roboty, wiecie, walczyliśmy ze

złymi krasnoludami i smokowcami i znaleźliśmy młot, no i ja... właściwie... zapomniałem, że je mam. Kiedy sobie o nich przypomniałem, byliśmy już wiele kilometrów od krasnoludów, w drodze do Tarsis i pomyślałem sobie, że pewno nie chcecie, żebym wracał tylko po to, żeby je oddać, więc...

– Do czego one służą? – Tanis przerwał kenderowi, wiedząc, że mogliby tak stać do pojutrze, gdyby tego nie uczynił.

– Są cudowne – rzekł pośpiesznie Tas, odetchnąwszy z ulgą, że Tanis nie zamierza na niego krzyknąć. – Któregoś dnia zostawiłem je na mapie. – Tas poklepał swój mapnik. – Spojrzałem na nią i jak myślicie? Mogłem odczytać pismo na mapie przez te okulary! Nie, to nie brzmi zbyt cudownie – powiedział szybko Tas, widząc, że Tanis znów marszczy brwi – ale to była mapa napisana w języku, którego nigdy przedtem nie umiałem odczytać. Więc wypróbowałem je na wszystkich moich mapach i potrafiłem je przeczytać, Tanisie! Każdą z nich! Nawet te naprawdę bardzo stare!

– I nigdy nam o tym nie wspomniałeś? – Sturm zmierzył Tasa groźnym spojrzeniem.

– Cóż, ten temat nigdy nie był poruszany – powiedział Tas przepraszającym tonem. – Co innego, gdybyś zapytał mnie wprost – Tasslehoffie, czy masz magiczne okulary? – od razu powiedziałbym ci prawdę. Ale nigdy tego nie zrobiłeś, Sturmie Brightblade, więc nie patrz tak na mnie. W każdym razie potrafię przeczytać tę starą książkę. Zaraz wam powiem, co...

– Skąd wiesz, że są zaczarowane, a nie że to jakieś mechaniczne urządzenie krasnoludów? – zapytał Tanis, wyczuwając, że Tas coś ukrywa.

Tas przełknął ślinę. Miał nadzieję, że Tanis nie zada mu tego pytania.

– Yy – wyjąkał Tas – wydaje mi się, że tak jakby przypadkiem wspomniałem o nich Raistlinowi pewnego wieczoru, kiedy wszyscy byliście zajęci czym innym. Powiedział mi, że mogą być magiczne. Żeby się dowiedzieć, wypowiedział jedno z tych swoich dziwacznych zaklęć, no i one... ee... zaczęły się świecić. To znaczyło, że są zaczarowane. Zapytał mnie, do czego służą, więc zademonstrowałem mu, a on powiedział, że to „okulary prawdziwego widzenia”. Krasnoludzcy czarodzieje w zamierzchłych czasach używali ich do czytania ksiąg napisanych w innych językach i... – Tas urwał.

– I? – naciskał Tanis.

– E... ee – magicznych ksiąg z zaklęciami. – Głos Tasa przeszedł w szept.

– I co jeszcze powiedział Raistlin?

– Że jeśli dotknę jego ksiąg, albo choć spojrzę na nie kątem oka, zamieni mnie w świerszcza i p-połknie ż-yyw-cem – wyjąkał Tasslehoff. Popatrzył na Tanisa szeroko

rozwartymi oczami. – I ja mu uwierzyłem.

Tanis potrząsnął głową. Można było przewidzieć, że Raistlin potrafi wymyślić groźbę wystarczająco okropną, by zduścić ciekawość kendera. – Coś jeszcze? – spytał.

– Nie, Tanisie – powiedział niewinnie Tas. W rzeczywistości Raistlin wspominał coś jeszcze o okularach, ale Tas nie potrafił tego zbyt dobrze zrozumieć. Mówił coś o tym, że okulary widzą zbyt prawdziwie, co nie miało najmniejszego sensu, więc kender doszedł do wniosku, że nie warto o tym wspominać. Poza tym, Tanis był już wystarczająco wściekły.

– No, i co odkryłeś? – zapytał niechętnie Tanis.

– Och, Tanisie, to takie ciekawe! – powiedział Tas, uszczęśliwiony, że wywinął się już z oparów. Ostrożnie przewrócił kartkę i kiedy to czynił, kartka popękała i rozsypała się w jego małych palcach. Potrząsnął głową ze smutkiem. – Tak się dzieje niemal za każdym razem. Ale tu możecie zobaczyć – pozostali nachylili się, by popatrzeć na miejsce wskazywane przez palec kendera – obrazki ze smokami. Niebieskie smoki, czerwone smoki, czarne smoki, zielone smoki. Nie wiedziałem, że jest ich aż tyle. O, a tu, widzicie to? – Przewrócił następną kartkę. – Ojej! No cóż, teraz już nie zobaczycie, ale to była wielka, szklana kula. I – tak mówi ta księga – jeśli posiada się jedną z takich szklanych kul, można zdobyć władzę nad smokami i będą robić to, co im się rozkaże!

– Szklana kula? – parsknął szyderczo Flint, a potem kichnął. – Nie wierz mu, Tanisie. Myślę, że te okulary posłużyły tylko do wyolbrzymienia jego niewiarygodnych opowieści.

– Ale ja mówię prawdę! – powiedział urażony Tas:

– Nazywane są smoczymi kulami i możesz zapytać o nie Raistlina! On musi o nich wiedzieć, ponieważ zgodnie z tym, co mówi księga, wykonali je dawno temu czarodzieje.

– Wierzę ci – rzekł poważnie Tanis, widząc, że Tas naprawdę się zdenerwował. – Obawiam się jednak, że na wiele nam się to nie zda. Prawdopodobnie uległy zniszczeniu w czasie kataklizmu, a poza tym i tak nie wiemy, gdzie ich szukać...

– A właśnie, że wiemy. – stwierdził podniecony Tas.

– Tu jest lista miejsc, w których były przechowywane. Zobacz... – Przerwał i przechylił głowę. – Szszsz! – powiedział, nasłuchując. Pozostali umilkli. Przez moment nic nie słyszeli, a potem do ich uszu dotarło to, co ostrzejszy słuch kendera wychwycił już dawno.

Tanis poczuł, że ręce mu marzną, a suchy, gorzki smak lęku wypełnia usta. Teraz już słyszał dochodzący z oddali ochryply odgłos dęcia w rogi – rogi, które już wszyscy wcześniej słyszeli. Ryk spiżowych rogów oznajmiał zbliżanie się armii smokowców i nadejście

smoków.

Rogi śmierci.

Rozdział VII

„...nie będzie dane spotkać się znów na tym świecie”

Przyjaciele doszli do rynku w chwili, gdy pierwsza chmara smoków zaatakowała Tarsis. Drużyna rozstała się z rycerzami, a nie było to przyjemne rozstanie. Rycerze próbowali przekonać ich, by uciekli wraz z nimi na wzgórze. Kiedy drużyna odmówiła, Derek zażądał, by Tasslehoff towarzyszył im, bowiem tylko jeden kender wiedział, gdzie znajdują się smocze kule. Tanis wiedział, że Tas i tak ucieknie rycerzom i zmuszony był ponownie odmówić.

– Zabierz kendera, Sturmie, i chodź z nami – rozkazał Derek, nie zważając na Tanisa.

– Nie mogę, panie – odrzekł Sturm, kładąc dłoń na ramieniu Tanisa.

– On jest moim wodzem, a winny jestem wierność przede wszystkim moim przyjaciołom.

W głosie Dereka zabrzmiał chłód gniewu. – Jeśli taka jest twa decyzja – odpowiedział – nie mogę cię powstrzymywać. Jednak będzie to policzone przeciwko tobie, Sturmie Brightblade. Pamiętaj, że nie jesteś rycerzem. Jeszcze nie. Módl się, by mnie nie było przy tym, kiedy kwestia twego wstąpienia w szeregi rycerzy zostanie przedstawiona radzie.

Sturm zbladł śmiertelnie. Kątem oka spojrzał na Tanisa, który usiłował ukryć swe zdumienie. Nie mieli jednak czasu, by się nad tą zaskakującą wieścią zastanawiać. Dźwięk rogów rozchodzący się ochryplym rykiem w chłodnym powietrzu zbliżał się z każdą sekundą. Rycerze i drużyna rozstali się; rycerze udali się do swego obozowiska wśród wzgórz, a towarzysze powrócili do miasta.

Zastali mieszczan stojących przed domami i zastanawiających się nad znaczeniem dziwnych dźwięków rogów, których nigdy przedtem nie słyszeli i których nie rozumieli. Tylko jeden Tarsyjczyk słyszał je wcześniej i zrozumiał. Przebywający w sali narad władca zerwał się na równe nogi, usłyszawszy ten dźwięk. Odwróciwszy się gwałtownie, zwrócił się do smokowca, który zarozumiale uśmiechnięty siedział w cieniu za jego plecami.

– Powiedziałeś, że oszczędzicie nas!! – wycedził władca przez zaciśnięte zęby. – Negocjacje wciąż trwają...

– Smoczemu władcy znudziły się negocjacje – odpowiedział smokowiec, tłumiąc ziewnięcie. – A miasto oszczędzimy – choć oczywiście, dostanie odpowiednią nauczkę.

Władca spuścił głowę i zasłonił twarz dłońmi. Pozostali radni, do których nie docierało w pełni to, co się dzieje, ujrawszy łyzy spływające między palcami swego władcy, spojrzeli na siebie z pełnym zgrozy zrozumieniem.

Na niebie widoczne były czerwone smoki, setki smoków. Leciały w szyku od trzech do pięciu w grupie, a ich skrzydła połyskiwały kolorem płomieni w blasku zachodzącego słońca. Mieszkańcy Tarsis zapomnieli o wszystkim, z wyjątkiem jednej myśli: nad ich głowami leciała śmierć.

Kiedy smoki zniżyły swój lot, rozpoczynając pierwsze ataki na miasto, zaczęły promieniować smoczym strachem, siejąc panikę bardziej morderczą od ognia. Gdy cienie skrzydeł zasłoniły gasnące światło dnia, ludzie myśleli tylko o jednym – o ucieczce.

Lecz ucieczki nie było.

Przekonawszy się po pierwszym nalocie, że nie napotkają na opór, smoki przystąpiły do ataku. Jeden po drugim zawracały, a potem spadały z nieba jak rozżarzone do czerwoności pociski, spowijając płomieniami ognistego oddechu jeden budynek po drugim. Rozprzestrzeniający się pożar wywołał burzę ogniową. Duszący dym wypełniał ulice, zmieniając zmierzch w mrok północy. Popiół padał z nieba niczym deszcz. Krzyki przerażenia zmieniły się w krzyki agonii, gdy w płonącym piekle, jakim stało się Tarsis zaczęli ginąć ludzie.

A gdy smoki ruszyły do ataku, fala oszalałych z przerażenia ludzi popłynęła oświetlonymi blaskiem płomieni ulicami miasta. Niewielu miało pojęcie o tym, dokąd idą. Niektórzy krzyczeli, że będą bezpieczni na wzgórzach, inni biegli starym nabrzeżem, a jeszcze inni usiłowali dotrzeć do bram miasta. Nad nimi leciały smoki, paląc, co chciały i zabijając w wolnych chwilach.

Morze ludzkich istot zalało Tanisa i drużynę, wgniatając ich w ulicę, rozpraszając swymi wirami, ciskając nimi o budynki. Dym dusił i szczypał w oczy, a łzy oślepiały. Mimo tego wszystkiego przyjaciele próbowali walczyć ze smoczym strachem, który groził im pozbawieniem zdrowych zmysłów.

Od straszliwego żaru wybuchały całe domy. Tanis pochwycił Gilthanasę w chwili, gdy elf został ciśnięty o ścianę domu. Trzymając go, półelf mógł tylko bezradnie patrzeć, jak resztę jego towarzyszy porywa za sobą tłum.

– Wracajcie do gospody! – krzyknął Tanis. – Spotkamy się w gospodzie! – Nie potrafił jednak powiedzieć, czy go posłyszeli, czy też nie. Mógł tylko ufać, że wszyscy spróbują udać się w tym kierunku.

Sturm pochwycił Alhanę w silne ramiona i na wpół niósł, na wpół ciągnął ją przez ulice pełne zagłady. Przez deszcz popiołu usiłował dostrzec pozostałych, lecz nie miał szans. A potem rozpoczął najbardziej rozpaczliwą walkę, jaką stoczył w swym życiu, starając się utrzymać na nogach i podtrzymać Alhanę, gdy raz za razem przelewały się nad nimi

straszliwe fale tłumy.

Wtem rozwrzeszczany motłoch, który tratował obutymi stopami wszystko, co żyło, wydarł mu Alhanę z rąk. Sturm skoczył w tłum, przepychając się i tłukąc na oślep opancerzonymi ramionami i napierając ciałem, aż złapał Alhanę za nadgarstki. Była śmiertelnie blada i drżała z przerażenia. Kurczowo ścisnęła jego dłonie z całych sił, aż wreszcie udało mu się przyciągnąć ją do siebie. Wtem padł na nich cień. Z okrutnym wrzaskiem smok zanurkował nad ulicą, na której kłębiło się i falowało od mężczyzn, kobiet i dzieci. Sturm skoczył w bramę, ciągnąc Alhanę za sobą i zasłonił ją własnym ciałem, gdy smok przeleciał nisko nad ich głowami. Ulica stanęła w płomieniach i rozległy się rozdzierające serce krzyki konających.

– Nie patrz! – szepnął Sturm do Alhany, przytulając ją do siebie, a po twarzy płynęły mu łzy. Smok przeleciał i nagle na ulicy zapanował przerażający, nieznosny bezruch. Nic się nie poruszało.

– Chodźmy, póki możemy – rzekł Sturm drżącym głosem. Przywarłszy do siebie, oszołomieni oboje wyszli z bramy chwiejnym krokiem, poruszając się tylko dzięki instynktowi. Wreszcie czując mdłości i zawroty głowy od zapachu spalonego ciała i dymu, zmuszeni byli poszukać schronienia w następnej bramie.

Przez chwilę nie mogli zdobyć się na nic więcej, jak tylko trzymać się w objęciach, pełni wdzięczności za chwilę wytchnienia. Prześladowała ich jednak myśl, że za kilka chwil muszą wrócić na pełne śmieci ulice.

Alhana wsparła głowę na piersi Sturma. Prastara, staromodna zbroja była chłodna w dotyku. Jej twarda, metalowa powierzchnia dodawała otuchy, a pod nią można było wyczuć bicie jego serca, szybkie, równomierne i uspokajające. Ramiona, które ją obejmowały były silne, twarde i muskularne. Jego dłoń gładziła ją po czarnych włosach.

Alhana, skromna dziewczica z narodu o surowych i twardych zasadach, od dawna wiedziała kiedy, gdzie i kogo poślubi. On był elfim władcą, a miarą ich zrozumienia był fakt, iż w ciągu tych wszystkich lat, jakie upłynęły od chwili ich zaręczyn, ani razu nie dotknęli się. Jej wybrany został z ludem, podczas gdy Alhana powróciła, by szukać ojca. Zabłąkała się w ten świat ludzi i jej zmysły nie ochłonęły jeszcze z szoku. Pogardzała ludźmi, a jednak była nimi zafascynowana. Byli tacy mocarni, ich uczucia były takie pierwotne i niepoahamowane. W chwili, gdy już sądziła, że znienawidzi ich i będzie nimi gardzić po wieczne czasy, jeden wyróżnił się spośród innych.

Alhana spojrzała w pełną żalu twarz Sturma i dostrzegła wyrytą na niej dumę, szlachetność, surową, nieugiętą dyscyplinę, stałe dążenie do doskonałości – doskonałości nie-

osiągalnej. Stąd ten głęboki smutek w jego oczach. Alhana poczuła, że pociąga ją ten mężczyzna – ten człowiek. Ulegając jego sile i czując się bezpiecznie w jego obecności, poczuła ogarniające ją słodkie, palące ciepło i nagle uświadomiła sobie, że większe niebezpieczeństwo stanowi dla niej ten ogień niż ogień tysiąca smoków.

– Chodźmy już lepiej – szepnął łagodnie Sturm, lecz ku jego zdumieniu Alhana odsunęła się od niego.

– Tu się rozstaniemy – rzekła głosem zimnym niczym nocny wicher. – Muszę wrócić do swej kwatery. Dzięki ci za odprowadzenie mnie.

– Co takiego? – powiedział Sturm. – Chcesz iść sama? To szaleństwo. – Wyciągnął rękę i chwycił ją za ramię. – Nie mogę pozwolić... – Zdał sobie sprawę, że nie powinien był tego robić, bowiem wyczuł, że zeszywniała. Nie poruszyła się, lecz po prostu patrzyła na niego władczo tak długo, aż wypuścił ją.

– Mam własnych przyjaciół – powiedziała – tak samo jak ty. Powinieneś być im wierny. Ja jestem wierna swoim. Każde z nas musi pójść swą własną drogą. – Głos jej zadrżał na widok ogromnego bólu, jaki malował się na twarzy Sturma, mokrej wciąż od łez. Przez chwilę Alhana nie mogła tego wytrzymać i zastanawiała się, czy znajdzie dość sił, by ciągnąć dalej. Wtedy pomyślała o swym narodzie, którego los zależał od niej. Znalazła siły. – Dziękuję ci za serdeczność i okazaną pomoc, lecz teraz muszę już iść, póki ulice są puste.

Sturm spoglądał na nią, zraniony i zaskoczony. Potem jego twarz przybrała poważny i surowy wyraz. – Szczęśliwy jestem, że mogłem pomóc, lady Alhano. Jesteś jednak wciąż w niebezpieczeństwie. Pozwól, że odprowadzę cię do twej kwatery, a już więcej nie będę ci się narzucał.

– To zupełnie niemożliwe – rzekła Alhana, zaciskając zęby, by utrzymać zdecydowaną i dumną minę. – Do mojej kwatery jest niedaleko, a moi przyjaciele czekają na mnie. Wiemy, jak wydostać się z miasta. Wybacz, że nie zabiorę cię, lecz nie jestem pewna, czy należy ufać ludziom.

Brązowe oczy Sturma rozbliły się. Stojąc blisko, Alhana poczuła, że rycerz zadrżał. Znów nieomal nie zmieniła zdania.

– Wiem, gdzie się zatrzymaliście – powiedziała, przełknawszy ślinę. – W gospodzie „Pod Czerwonym Smokiem”. Być może – jeśli odnajdę mych przyjaciół – będziemy mogli zaproponować wam pomoc...

– Nie troskaj się tym, pani. – W głosie Sturma zabrzmiało echo jej oziębłości. – I nie dziękuj mi. Nie uczyniłem nic ponad to, czego wymaga od mnie mój kodeks. Żegnaj – rzekł i zaczął się oddalać.

Wtem zawrócił, przypomniawszy sobie o czymś. Wyciągnąwszy iskrzącą się diamentową szpilkę zza pasa, położył ją na dłoni Alhany. – Proszę – powiedział. – Spoglądając w jej ciemne oczy, nagle dostrzegł cierpienie, które usiłowała ukryć. Jego głos złagodniał, choć nie potrafił jej zrozumieć. – Cieszę się, że powierzyłaś mej pieczy ten klejnot – rzekł łagodnie – choćby na kilka chwil.

Elfia panna przyglądała się klejnotowi przez krótką chwilę, a potem zaczęła drzeć. Podniosła wzrok i spojrzawszy w oczy Sturm, dostrzegła w nich nie pogardę, jaką spodziewała się ujrzeć, lecz współczucie. I znów istoty ludzkie wprawiły ją w zdumienie. Alhana spuściła głowę, nie potrafiąc dłużej patrzeć mu w oczy i wzięła go za rękę. Potem położyła klejnot na jego dłoni i zacisnęła na nim jego palce.

– Zatrzymaj to – rzekła cicho. – Kiedy nań spojrzysz, pomyśl o Alhanie Starbreeze i wiedz, że gdzieś tam, ona myśli o tobie.

Łzy wypełniły oczy rycerza. Opuścił głowę, nie mogąc powiedzieć ni słowa. Potem ucałował klejnot, schował go starannie za pasem i wyciągnął do niej rękę, lecz Alhana cofnęła się w głąb bramy, odwracając bladą twarz.

– Proszę, idź – powiedziała. Sturm stał przez chwilę niezdecydowany, lecz zgodnie z nakazem honoru nie mógł nie usłuchać jej rozkazu. Odwrócił się i ponownie pogrzył w koszmarze ulicy.

Alhana przyglądała mu się przez chwilę z wnętrza bramy, a wokół niej tężała ochronna skorupa. – Wybacz mi Sturmie – szepnęła do siebie. A potem przerwała. – Nie, nie wybaczasz mi – rzekła chłodno. – Dziękuj mi.

Zamykając oczy, wyczarowała w myślach obraz i wysłała wiadomość na obrzeża miasta, gdzie czekali na nią przyjaciele, by zabrać ją z tego ludzkiego świata. Otrzymawszy ich telepatyczną odpowiedź, Alhana westchnęła i zaczęła czekać, z niepokojem wpatrując się w zadymione niebo.

– A nie mówiłem – rzekł spokojnie Raistlin, gdy pierwsze dźwięki rogów strzaskały ciszę popołudnia.

Riverwind posłał czarodziejowi pełne irytacji spojrzenie, jednocześnie starając się pomyśleć, co ma robić. Tanis powiedział mu, żeby strzegł drużyny przed strażą miejską, lecz przed armią smokowców, przed smokami? Spojrzenie ciemnych oczu Riverwinda omiotło całą grupę. Tika wstała, sięgając po miecz. Młoda dziewczyna była dzielna i nieugięta, lecz niewprawną w walce. Mieszkaniec równin zauważył wciąż widoczne blizny na jej ręce od skaleczenia.

– Co się dzieje? – zapytał zdumiony Elistan.

– Smoczy władca atakuje miasto – odrzekł szorstko Riverwind, starając się myśleć.

Usłyszał brzęk. To wstawał Caramon, spokojny i nieporuszony. Dzięki bogu za to. Choć Riverwind nie znosił Raistlina, musiał przyznać, że mag i jego brat wojownik tworzyli zespół skutecznie łączący magię i stal. Zobaczył, że również Laurana sprawiała wrażenie osoby spokojnej i zdecydowanej, lecz przecież była elfem – a Riverwind nigdy nie nauczył się ufać elfom.

– Opuście miasto, jeśli nie wrócimy – powiedział mu Tanis. Ale Tanis nie przewidział tego! Wyjdą z miasta wprost na spotkanie wojsk smoczycich władców, które stały na równinach. Riverwind teraz już doskonale wiedział, kto im się przyglądał w czasie podróży do tego przeklętego miasta. Zaklął pod nosem w swym własnym języku, a potem – gdy pierwsze smoki przeleciały nad miastem – poczuł, że Goldmoon obejmuje go ramieniem. Spuściwszy wzrok, zobaczył jej uśmiech – uśmiech córki wodza – i dostrzegł wiarę w jej oczach. Wiarę w bogów i wiarę w niego. Rozluźnił się, a moment paniki przeminął.

Fala uderzeniowa dotarła do budynku. Usłyszeli wrzaski docierające z ulic na dole i huk pożaru.

– Musimy zejść z piętra z powrotem na parter – powiedział Riverwind. – Caramonie, przynieś miecz rycerza i resztę broni. Jeśli Tanis i pozostali.... – przerwał. Miał zamiar powiedzieć „jeszcze żyją”, lecz wtedy dostrzegł minę Laurany. – Jeśli Tanis i pozostali uciekną, przyjdą tutaj. Zaczekamy na nich.

– Doskonale pomysł! – zasyczał zgryźliwie mag. – Szczególnie, że i tak nie mamy gdzie pójść!

Riverwind zlekceważył go. – Elistanie, zaprowadź pozostałych na dół. Caramonie, ty i Raistlin zostańcie ze mną przez chwilę. – Po wyjściu reszty powiedział szybko – Według mnie, będziemy mieli największe szansę, jeśli zostaniemy wewnątrz i zabarykadujemy się w gospodzie. Na ulicach grozi nam śmiertelne niebezpieczeństwo.

– Jak sądzisz, jak długo zdołamy wytrzymać? – zapytał Caramon.

Riverwind potrząsnął głową. – Może kilka godzin – odrzekł krótko.

Bracia spojrzeli na niego, a każdy myślał o zmasakrowanych ciałach, jakie widzieli w osadzie Que-Shu i o tym, co słyszeli o zniszczeniu Solące.

– Nie możemy dać się wziąć żywcem – szepnął Raistlin.

Riverwind wziął głęboki oddech. – Wytrzymamy tak długo, jak się da – rzekł drżącym lekko głosem – lecz kiedy będziemy wiedzieli, że nie wytrzymamy dłużej... – Ucichł, nie mogąc dokończyć zdania. Położył dłoń na rękojeści noża, myśląc o tym, co musi uczynić.

– Nie będzie takiej potrzeby – odezwał się cicho Raistlin. – Mam zioła. Odrobina na

szklanicę wina. Działa bardzo szybko i bezboleśnie.

– Jesteś pewien? – zapytał Riverwind.

– Zaufaj mi – odrzekł Raistlin. – Znam się dobrze na tej sztuce. Sztuce stosowania ziół – dodał gładko, widząc, że mieszkaniec równin wzdrygnął się.

– Jeśli będę żył – powiedział cicho Riverwind – sam dam jej... im wszystkim – ten napój. Jeśli nie...

– Rozumiem. Możesz mi zaufać – powtórzył czarodziej.

– A co z Laurana? – zapytał Caramon. – Znasz elfów. Ona nie zechce...

– Zostaw to mnie – powtórzył cicho Raistlin.

Mieszkaniec równin przyjrzał się magowi, czując ogarniającą go grozę. Raistlin stał przed nim spokojnie, schowawszy ręce w rękawy szaty i naciągnawszy kaptur na głowę. Riverwind spojrzał na sztylet, zastanawiając się nad alternatywą. Nie, nie mógłby tego zrobić. Nie w taki sposób.

– Zgoda – powiedział, przełknawszy ślinę. Zatrzymał się na moment, bojąc się zejść na dół i spojrzeć w oczy reszcie. Jednakże z ulicy dochodziły coraz głośniejsze odgłosy zagłady. Riverwind odwrócił się raptownie i zostawił braci samych.

– Zginę z bronią w ręku – oświadczył Raistlinowi Caramon, próbując mówić rzeczowym tonem. Jednakże po kilku pierwszych słowach, głos ogromnego wojownika załamał się. – Obiecuj mi, Raist, że weźmiesz ten lek, jeśli mnie... tu nie będzie...

– Nie będzie takiej potrzeby – rzekł po prostu Raistlin. – Nie mam dość sił, by przetrzymać bitwę na taką skalę. Umrę spowity swą magią.

Tanis i Gilthanas przedzierali się przez tłum. Silniejszy półelf przytrzymał elfa podczas przedzierania przez ogarnięty paniką tłum. Co jakiś czas kulili się przed nalotem smoków. Gilthanas zwicznął sobie kolano i zmuszony opierać się na ramieniu Tanisa, wpadł do bramy, kulejąc dotkliwie.

Ujrawszy gospodę „Pod Czerwonym Smokiem”, półelf wyszeptał modlitwę dziękczynną, która zmieniła się w przekleństwo na widok czarnych, gadzich postaci uwijających się przed wejściem. Znów wciągnął do wnęki drzwi Gilthanas, który wyczerpany bólem, kuśtykał za nim nie zważając na nic.

– Gilthanasie! – krzyknął Tanis. – Napadli na gospodę!

Gilthanas popatrzył na niego mętym, nie rozumiejącym wzrokiem. Potem coś najwyraźniej dotarło do niego, bowiem elf westchnął i pokręcił głową. – Laurana – jęknął i odepchnął się od muru, próbując wyjść z bramy chwiejnym krokiem. – Musimy dotrzeć do nich. – Upadł w ramiona Tanisa.

– Zostań tutaj – powiedział półelf, pomagając mu usiąść. – Nie jesteś w stanie się ruszyć. Ja spróbuję się tam dostać. Przejdę przecznicę i dostanę się tam od tyłu.

Tanis wybiegł na ulicę, biegnąc od bramy do bramy i chowając się wśród gruzów. Był przecznicę od gospody, gdy posłyszał ochrypy krzyk. Odwróciwszy się, zobaczył Flinta, który wściekle machał do niego rękoma. Tanis przemknął na drugą stronę ulicy.

– Co się stało? – spytał. – Dlaczego nie jesteś z pozostałymi... – Półelf urwał zdanie. – Och, nie – szepnął.

Krasnolud z twarzą usmarowaną popiołem i poznaczoną strużkami łez, klęczał przy Tasslehoffie. Kendera przygniotła belka, która spadła na ulicę. Twarz Tasa przypominająca twarz mądrego dziecka, była blada jak popiół i mokra od potu.

– Przeklęty, pustogłowy kender – jęczał Flint. – Musiał poleźć, żeby dom się na niego zawalił. – Dłonie krasnoluda były pokaleczone i krwawiły od prób podźwignięcia belki, do podniesienia której potrzeba było trzech mężczyzn, lub jednego Caramona. Tanis dotknął szyi Tasa. Puls był bardzo słaby.

– Zostań przy nim! – polecił zupełnie niepotrzebnie Tanis. – Idę do gospody. Sprowadzę Caramona!

Flint popatrzył żałośnie najpierw na niego, a potem na gospodę. Obaj słyszeli wycie smokowców i widzieli błysk ich broni w blasku ognia. Czasami w gospodzie rozbłyskiwało nienaturalne światło – to czary Raistlina. Krasnolud pokręcił głową. Wiedział, że Tanis ma takie same szansę przyprowadzić Caramona, co wzbic się w powietrze.

Mimo to Flint zdołał uśmiechnąć się. – Jasne, chłopcze, zostanę z nim. Żegnaj, Tanisie.

Przełknąwszy ślinę, Tanis próbował coś odpowiedzieć, a potem zrezygnował i pobiegł w głąb ulicy.

Raistlin, zanosząc się od kaszlu tak długo, aż ledwo mógł ustać na nogach, wytarł krew z warg i wyjął z wewnętrznej kieszeni swej szaty małą sakiewkę z czarnej skóry. Zostało mu już tylko jedno zaklęcie i ledwie dość sił, by je rzucić. Teraz, rękoma drżącymi z wyczerpania, usiłował wysypać zawartość torebki do dzbanka z winem, które kazał przynieść Caramonowi przed rozpoczęciem bitwy. Jednakże ręka dygotała mu gwałtownie, a spazmy kaszlu zginały go w pół.

Wtedy poczuł, że ktoś chwyta go za rękę. Podnosząc głowę, zobaczył Lauranę. Wyjęła sakiewkę z jego wątłych palców. Jej dłoń splamiona była ciemnozieloną krwią smokowców.

– Co to jest? – zapytała.

– Składniki zaklęcia. – Czarodziej zakrztusił się. – Wsyp je do wina.

Laurana pokiwała głową i wsypała mieszaninę zgodnie z poleceniem. Proszek natychmiast znikł.

– Nie pij tego – ostrzegł mag, gdy atak kaszlu ustąpił. Laurana przyjrzała mu się. – Co to jest?

– Napój nasenny – odszepnął Raistlin i oczy mu zabłysły.

Laurana uśmiechnęła się krzywo. – Sądysz, że będziemy mieli problemy z usnięciem dzisiejszej nocy?

– To nie taki sen – powiedział Raistlin, wbijając w nią wzrok. – Ten nadaje pozory śmierci. Bicie serca zwalnia niemal do zera, oddech nieomal ustaje, skóra staje się biała i zimna, a kończyny sztywnieją.

Laurana rozwarła szeroko oczy. – Dlaczego... – zaczęła.

– W ostateczności zażyjemy go. Wróg myśli, że jesteś martwy, zostawia cię na pobjawisku – jeśli masz szczęście. Jeśli nie...

– Jeśli nie? – podchwyciła pobladła Laurana. – Cóż, zdarzało się już, że ludzie budzili się na stosie pogrzebowym – odrzekł chłodno Raistlin. – Jednakże nie sądzę, by nam się przydarzyło coś podobnego.

Oddychając już lżej, usiadł i mimowolnie uchylił się przed strzałą, która z furkotem przeleciała mu nad głową i upadła na podłogę. Dostrzegł drżenie dłoni Laurany i zdał sobie sprawę, że wcale nie była tak spokojna, na jaką chciała wyglądać.

– Czy zamierzasz kazać nam go wypić? – zapytała.

– To nas ocali przed torturami smokowców.

– Skąd o tym wiesz?

– Zaufaj mi – odrzekł czarodziej z lekkim uśmiechem.

Laurana spojrzała na niego i zadygotała. Z roztargnieniem wytarła okrwawione palce w skórzaną zbroję. Krew nie zeszła, lecz dziewczyna nie zwróciła na to uwagi. Obok niej utkwiała ze świstem strzała. Laurana nawet nie drgnęła, po prostu spojrzała na nią tępo.

Z kłębow dymu płonącej dużej izby wyłonił się Caramon. Krwawił z rany od strzały na ramieniu, a jego czerwona krew mieszała się upiornie z zieloną posoką wroga.

– Wyważają frontowe drzwi – powiedział, oddychając ciężko. – Riverwind kazał nam wracać tutaj.

– Posłuchaj! – ostrzegł Raistlin. – To nie jedyne miejsce, które włamują się do wnętrza! – Rozległ się przenikliwy trzask pękających drzwi, które prowadziły do kuchni od strony zaułka.

Gotowi do obrony Laurana i Caramon odwrócili się raptownie w chwili, gdy drzwi wypadły z trzaskiem. Weszła tamtędy jakaś ciemna postać.

– Tanis! – krzyknęła Laurana. Schowawszy broń do pochwy, podbiegła do niego.

– Laurana! – westchnął. Chwytnąc ją w objęcia, przycisnął ją mocno, niemal roniąc łzy z ulgi. Potem Caramon zagarnął ich oboje w swe ogromne ramiona.

– Jak wszyscy? – zapytał Tanis, kiedy odzyskał już zdolność mówienia.

– Do tej pory, w porządku – powiedział Caramon, sięgając spojrzeniem za Tanisa. Mina mu zrzedła, gdy zobaczył, że półelf jest sam. – Gdzie...

– Sturm zaginał – powiedział znużonym tonem Tanis. – Flint i Tas są po drugiej stronie ulicy. Kendera przygniotła belka. Gilthanas jest jakieś dwie przecznice stąd. Jest ranny – powiedział do Laurany. – Niegroźnie, ale nie mógł iść dalej.

– Witaj, Tanisie – szepnął Raistlin, pokaszlując. – Przybyłeś w samą porę, by umrzeć z nami.

Tanis spojrział na dzbanek, zobaczył czarną torebkę leżącą obok niego i obejrzał się na Raistlina.

– Nie – rzekł zdecydowanie. – Nie umrzemy. Przynajmniej nie w taki... – przerwał raptownie. – Zbierz wszystkich.

Caramon oddalił się niezgrabnie, wrzeszcząc z całych sił. Riverwind przybiegł z głównej izby, gdzie strzelał do wroga jego strzałami, bowiem własnych zabrakło mu dawno temu. Pozostali przyszli za nim, witając Tanisa uśmiechami pełnymi nadziei.

Widok wiary, jaką w nim pokładała drużyna, rozwścieczył półelfa. Któregoś dnia, pomyślał sobie, zawiodą się na mnie. Może już tak się stało. Potrząsnął głową ze złością.

– Słuchajcie! – krzyknął, starając się przekrzyczeć hałas, jaki czynili smokowcy na zewnątrz. – Możemy spróbować ucieczki przez zaplecze! Gospodę atakuje niewielki oddział. Główna część wojsk jeszcze nie dotarła do miasta.

– Ktoś nas ściga – szepnął Raistlin.

Tanis pokiwał głową. – Na to wygląda. Nie mamy wiele czasu. Jeśli uda nam się zbiec na wzgórze...

Nagle umilkł i uniósł głowę. Wszyscy ucichli i nasłuchiwali, rozpoznając przenikliwy wrzask i zbliżające się coraz bardziej skrzypienie olbrzymich skórzastych skrzydeł.

– Kryć się! – krzyknął Riverwind.

Ale już było za późno. Rozległ się przenikliwy świst i łoskot. Gospoda wysoka na dwa piętra i zbudowana z kamienia i drewna, zatrzęsa się, jakby zrobiona była z piasku i patyków. Chmura kurzu i gruzu wzbiła się w powietrze. Na zewnątrz buchnął ogień. Drużyna usłyszała

nad swymi głowami pęknięcie i skrzywienie drewna i łomot spadających belek. Budynek zaczął się walić.

Przyjaciele przyglądali się temu w pełnym fascynacji otepieniu, sparaliżowani widokiem olbrzymich belek pod sufitem uginających się pod naciskiem dachu, który zawalił się na wyższe piętra.

– Uciekajcie! – krzyknął Tanis. – Cały ten budynek zaraz...

Belka znajdująca się dokładnie nad półelfem zaskrzypiała przeraźliwie, a potem trzasnęła i pękła. Chwyciwszy Lauranę w pól, Tanis odrzucił ją najdalej jak mógł i dostrzegł, że złapał ją Elistan, który stał przy frontowej ścianie gospody.

W chwili, gdy olbrzymia kłoda nad Tanisem runęła z łomotem i trzaskiem, półelf postąpił dziwne słowa, które wykrzyczał czarodziej. A potem już spadał, spadał w ciemność – i wydawało mu się, że cały świat zawalił się na niego.

Sturm wyszedł zza rogu by ujrzeć, jak gospoda „Pod Czerwonym Smokiem” wali się w kłębach dymu i płomieni. Unosił się nad nią smok. Serce zabiło rycerzowi gwałtownie z lęku i smutku.

Schował się w bramie, znikając w cieniu, bowiem minęło go kilku smokowców śmiejących się i rozmawiających w swym zimnym, gardłowym języku. Najwyraźniej uważali, że ich robota jest skończona i szukali innej rozrywki. Zauważył, że trzech inni, odziani w niebieskie mundury, a nie czerwone, sprawiali wrażenie nadzwyczaj wyprowadzonych z równowagi zniszczeniem gospody i wygrażali pięściami czerwonemu smokowi na niebie.

Sturm poczuł, że ogarnia go słabość rozpacz. Wsparł się ciężko o drzwi, przyglądając się smokowcom w otepieniu i zastanawiając się, co ma teraz uczynić. Czy wszyscy byli tam jeszcze? Może uciekli. Wtem serce zabiło mu boleśnie. Dostrzegł przeblysł biel.

– Elistanie! – krzyknął na widok kapłana, który wydobywał się z gruzów, ciągnąc kogoś za sobą. Smokowcy bowiem biegli w jego stronę z obnażonymi mieczami, wrzeszcząc do niego we wspólnej mowie, by się poddał. Sturm wykrzyknął do wroga wyzwanie rycerza solamijskiego i wybiegł z bramy. Smokowcy odwrócili się pośpiesznie, zdecydowanie zaniepokojeni widokiem rycerza.

Sturm jak przez mgłę zdał sobie sprawę, że ktoś biegnie obok niego. Oglądając się w bok, dostrzegł błysk ognia odbijający się w metalowym hełmie i postąpił ryk krasnoluda. A potem magiczne słowa z głębi bramy.

Nie mogąc stać bez pomocy, Gilthanas wyczołgał się i wskazywał na smokowców, recytując przy tym zaklęcie. Z jego rąk wystrzeliły płonące pociski. Jeden ze stworów przewrócił się, trzymając się za spaloną pierś. Flint skoczył na następnego, bijąc go po głowie

kamieniem, podczas gdy Sturm powalił kolejnego smokowca uderzeniem pięści. Kiedy slaniający się na nogach Elistan zbliżył się, Sturm pochwycił go w ramiona. Kapłan niósł kobietę.

– Laurano! – krzyknął z głębi bramy Gilthanas.

Oszołomiona i zatruta dymem elfia panna podniosła rozkojarzony wzrok. – Gilthanas? – szepnęła. Potem uniósłszy głowę, dostrzegła rycerza.

– Sturmie – powiedziała mętnie, wskazując gdzieś za siebie. – Twój miecz jest tam. Widziałam go...

Rzeczywiście, Sturm zobaczył srebrzysty błysk, ledwo widoczny wśród gruzów. Jego miecz, a obok niego miecz Tanisa, elfi oręż Kith-Kanana. Odgarniając sterty kamieni, Sturm z szacunkiem wyjął miecze leżące niczym relikwie w olbrzymim, strasznym kopcu grobowym. Rycerz nadstawiał ucha, czy nie usłyszy jakiś ruchów, wołania, krzyków. Panowała tylko przerażająca cisza.

– Musimy wydostać się stąd – rzekł powoli, nie poruszając się. Spojrzał na Elistana, który oglądał się na ruiny śmiertelnie poblady. – A pozostali?

– Wszyscy tam byli – odpowiedział Elistan drżącym głosem. – I półelf...

– Tanis?

– Tak. Wszedł tylnymi drzwiami tuż zanim smok zaatakował gospodę. Wszyscy byli razem, w samym środku. Ja stałem na progu. Tanis zobaczył pękającą belkę. Rzucił Lauranę, ja ją złapałem i wtedy sufit zawalił się na nich. Nie ma mowy, aby...

– Nie wierzę w to! – rzekł zawzięcie Flint i skoczył na stertę gruzu.

Sturm złapał go i odciągnął.

– Gdzie jest Tas? – Rycerz zapytał krasnoluda surowym tonem.

Na twarzy krasnoluda odmalowało się zmartwienie. – Przygniotła go belka – rzekł z twarzą poszarzałą ze smutku i żalu. Strąciwszy z głowy hełm, chwycił się za włosy gestem rozpacz. – Muszę wrócić do niego. Ale nie mogę ich zostawić... Caramon... – Krasnolud zaczął płakać, a łzy ciekły mu po brodzie. – Ten wielki, tępy osiłek! Potrzebuję go. Nie może mi tego zrobić! I Tanis też! – Krasnolud zaklął. – Do diabła, oni są mi potrzebni!

Sturm położył dłoń na ramieniu Flinta. – Wracaj do Tasa. On ciebie teraz potrzebuje. Po ulicach kręcą się smokowcy. Wszyscy będziemy...

Laurana krzyknęła, a był to przerażający, żalony odgłos, który przeszył Sturma niczym włócznia. Odwróciwszy się, chwycił ją w chwili, gdy chciała rzucić się między gruzy.

– Laurano! – krzyknął. – Spójrz tylko! Spójrz! – Potrząsnął nią, sam cierpiąc. – Tam nikt nie mógł przeżyć!

– Nie możesz być pewny! – wrzasnęła ze wściekłością, wydzierając mu się z rąk. Osunąwszy się na czworaki, spróbowała podnieść jeden z osmolonych kamieni. – Tanisie! – krzyknęła. Kamień był tak ciężki, że zdołała go poruszyć zaledwie kilka centymetrów.

Sturm przyglądał się temu z bólem serca, nie wiedząc, co ma zrobić. Wtedy nadeszła odpowiedź. Dźwięk rogów! Był coraz bliżej. Setki, tysiące rogów. Nadchodziły wojska nieprzyjaciela. Sturm obejrzał się na Elistana, który pokiwał głową z pełnym smutku zrozumieniem. Obaj mężczyźni podbiegli do Laurany.

– Moja droga – zaczął łagodnie Elistan – nic już nie możesz dla nich zrobić. Potrzebna jesteś żywym. Twój brat jest ranny, tak samo kender. Zbliżają się smokowcy. Musimy albo uciec teraz i nadal walczyć z tymi nikczemnymi potworami, albo zmarnować życie w bezużytecznym żalu. Tanis oddał życie dla ciebie, Laurano. Nie pozwól, by była to niepotrzebna ofiara.

Laurana podniosła ku niemu czarną od sadzy i brudu twarz poznaczoną smużkami łez i krwi. Słyszała rogi, słyszała wołanie Gilthanasa, słyszała, że Flint krzyczy coś o tym, że Tasslehoff umiera, słyszała słowa Elistana. A potem zaczął padać deszcz, kapiąc z nieba na skutek żaru smoczego ognia, który stopił śnieg, zmieniając go w wodę.

Deszcz spływał jej po twarzy, chłodząc rozgorączkowaną skórę.

– Pomóż mi, Sturmie – szepnęła przez wargi zbyt zdrętwiałe, by ukształtować słowa. Otoczył ją ramieniem. Wstała, czując zawroty głowy i mdłości.

– Laurano! – zawołał jej brat. Elistan ma rację. Żywi jej potrzebują. Musi iść do niego. Chociaż wolałaby położyć się na tej stercie kamieni i umrzeć, musi żyć dalej. Tak postąpiłby Tanis. Była im potrzebna. Musi żyć dalej.

– Żegnaj, Tanthalasie – szepnęła. Deszcz przybrał na sile, padając łagodnie, jakby sami bogowie oplakiwali Tarsis Piękne.

Woda kapiała mu na głowę. Była denerwująca, zimna. Raistlin spróbował przekreślić się na bok, z dala od wody. Nie mógł się jednak poruszyć. Jakiś wielki ciężar przygniatał go. Wpadając w panikę, rozpaczliwie usiłował wydostać się. Ogarnięty falą strachu, odzyskał w pełni przytomność. Wraz z powrotem świadomości znikła panika. Raistlin znów panował nad wszystkim i w sposób, jakiego go nauczono, zmusił się do odprężenia i przestudiowania sytuacji.

Niczego nie widział. Było przeraźliwie ciemno, więc zmuszony był polegać na pozostałych zmysłach. Najpierw musi pozbyć się tego ciężaru, który go dusi i miażdży. Ostrożnie poruszył rękoma. Nie poczuł bólu, żadna kość nie sprawiała wrażenia złamanej. Wyciągnąwszy ręce ku górze, napotkał jakieś ciało. Caramon, sądząc po zbroi – i zapachu.

Czarodziej westchnął. Mógł się tego domyśleć. Pchnąwszy z całej siły, odsunął brata na bok i wypełził spod niego.

Mag oddychając teraz z mniejszym wysiłkiem, otarł wodę z twarzy. Namacał w ciemności szyję brata i poszukał pulsu. Puls był silny, ciało ciepłe, a oddech regularny. Raistlin położył się na podłodze z uczuciem ulgi. Gdziekolwiek był, przynajmniej nie jest sam.

Ale gdzie jest? – Raistlin odtworzył w pamięci tych kilka ostatnich, przerażających chwil. Przypomniał sobie pękającą belkę i Tanisa, który wyrzucił Lauranę spod niej. Przypomniał sobie, że rzucił ostatnie zaklęcie, na którego użycie starczyło mu sił. Magia krążyła w jego ciele, tworząc wokół niego i pobliskich osób siłę zdolną osłonić ich przed materialnymi przedmiotami. Pamiętał Caramona, który rzucił się, by go zasłonić, walący się wokół nich budynek i uczucie spadania.

Spadania...

Ach, Raistlin już rozumiał. Musieli spaść przez podłogę do piwnicy gospody. Wodząc rękoma po kamiennej posadzce, czarodziej nagle uświadomił sobie, że jest przemoczony do suchej nitki. Jednak wreszcie znalazł to, czego szukał

– laskę Magiusa. Kryształ nie stłukł się; tylko smoczy ogień mógłby uszkodzić laskę podarowaną mu przez Par-Saliana w wieżach Wielkiej Magii.

– *Shirak* – szepnął Raistlin i laska rozbłysła światłem. Usiadłszy, czarodziej rozejrzał się. Tak, nie mylił się. Znajdowali się w piwnicy gospody. Zawartość rozbitych butelek wina wylała się na podłogę. Beczki piwa rozpadły się na połowy. To, w czym leżał, nie było wyłącznie wodą.

Mag poświecił dookoła, oświetlając posadzkę. Jest Tanis,

Riverwind, Goldmoon i Tika, wszyscy skuleni przy Caramonie. Wygląda na to, że nic im nie jest, pomyślał i przyjrzał im się pobieżnie. Dookoła leżały zwalone resztki murów. Połowa belki przebiła ukośnie zwały gruzu i spoczęła na kamiennej posadzce. Raistlin uśmiechnął się. To zaklęcie to była niezła robota. Znów mieli wobec niego dług.

Jeśli nie umrzemy z zimna, przypomniał sobie z goryczą. Cały tak się trząsł, że ledwo mógł utrzymać laskę. Zaczął kaszleć. Nie przeżyje tu długo. Muszą się stąd wydostać.

– Tanisie – zawołał, wyciągając rękę, by potrząsnąć półelfem.

Tanis leżał skulony na samym skraju magicznego kręgu ochronnego Raistlina. Wymamrotał coś i poruszył się. Raistlin znów nim potrząsnął. Półelf krzyknął, odruchowo zasłaniając głowę ramieniem.

– Tanisie, jesteś bezpieczny – szepnął Raistlin kaszląc. – Obudź się.

– Co? – Tanis raptownie zerwał się, rozglądając dookoła. – Gdzie... – Potem przypomniał sobie. – Laurana?

– Nie ma jej. – Raistlin wzruszył ramionami. – Wyrzuciłeś ją poza obszar zagrożenia...

– Tak... – powiedział Tanis, znów kładąc się. – A ja usłyszałem, że wypowiedziałeś jakieś magiczne słowa...

– Dlatego nie jesteśmy zmiążdżeni. – Raistlin dygocząc, owinał się przemoczonymi szatami i przysunął bliżej do Tanisa, który rozglądał się wokół, jakby spadł z księżyca.

– Na otchłań! Gdzie...

– Jesteśmy w piwnicy gospody – rzekł czarodziej.

– Podłoga nie wytrzymała i spadliśmy na dół.

Tanis podniósł głowę. – Na wszystkich bogów – wyszeptał z lękiem.

– Tak – powiedział Raistlin, śledząc jego spojrzenie.

– Jesteśmy żywcem pogrzebani.

Znajdująca się pod gruzami gospody „Pod Czerwonym Smokiem” drużyna zastanawiała się nad swoją sytuacją. Nie wyglądało to za dobrze. Goldmoon zajęła się ich obrażeniami, które dzięki czarom Raistlina okazały się niegroźne. Nie mieli jednak pojęcia, jak długo byli nieprzytomni, ani też co się dzieje nad nimi. Co gorsza, nie mieli pojęcia, jak stąd uciec.

Caramon ostrożnie spróbował poruszyć kilka kamieni nad ich głowami, lecz cała konstrukcja zaskrzypiała i jęknęła. Raistlin ostro przypomniał mu, że nie ma już sił na rzucanie następnych zaklęć i Tanis znużonym głosem kazał wielkiemu mężczyźnie zaprzestać prób. Siedzieli w wodzie, której poziom podnosił się przez cały czas.

Tak jak stwierdził Riverwind, niejasną kwestią pozostawało tylko to, co przyczyni się do ich śmierci najpierw: brak powietrza, zimno, zawalenie się stropu, czy utopienie.

– Moglibyśmy zawołać o pomoc – podsunęła Tika, starając się, by jej głos brzmiał śmiało.

– W takim razie dodaj do tej listy smokowców – warknął Raistlin. – Są tu jedynymi istotami, które mogą cię usłyszeć.

Tika zaczerwieniła się i szybko wytarła dłonią oczy. Caramon posłał bratu pełne wyrzutu spojrzenie, a potem objął Tikę ramieniem i przytulił ją. Raistlin spojrzął na nich oboje ze wstrętem.

– Na górze nic nie słychać – rzekł zdumiony Tanis.

– Można by pomyśleć, że smoki i wojsko... – Urwał zdanie i napotkał wzrok

Caramona. Obaj żołnierze pokiwali głowami w nagłym, ponurym zrozumieniu.

– Co się stało? – spytała Goldmoon, przyglądając im się. .

– Jesteśmy na tyłach wroga – powiedział Caramon.

– Armia smokowców okupuje miasto. Prawdopodobnie też okolice w promieniu wielu kilometrów. Nie ma stąd wyjścia, a nawet gdyby było, nie mielibyśmy gdzie pójść.

Jakby dla podkreślenia jego słów w tym momencie drużyna posłyszała jakieś dźwięki dochodzące z góry. Gardłowe głosy smokowców, które znali aż za dobrze, przedostały się przez rumowisko.

– Mówię ci, że to strata czasu – zaskomlał w mowie wspólnej inny głos, z brzmienia przypominający głos goblina. – W tej kupie gruzu nie ma nikogo żywego.

– Powiedzcie to smoczemu władcy, wy żałosne pożeracze psów – warknął smokowiec. – Jestem pewien, że jego majestat zainteresuje się waszym zdaniem. Albo raczej zainteresuje się tym jego smok. Dostaliście rozkazy. A teraz, wszyscy kopać!

Rozległy się zgrzyty i odgłosy odciągania kamieni na bok. Przez szpary zaczęły się sypać strużki kurzu i ziemi. Wielka belka zadrżała lekko, lecz wytrzymała.

Przyjaciele spojrzeli na siebie, niemal przestając oddychać, a w pamięci wszystkich stanęli dziwni smokowcy, którzy napadli na gospodę. „Ktoś nas ściga” – powiedział wtedy Raistlin.

– Czego szukamy w tych gruzach? – zaskrzeczał goblin w swoim języku. – Srebra? Klejnotów?

Tanis i Caramon, którzy nieco znali mowę goblinów, nadstawili ucha.

– Ee tam – powiedział pierwszy goblin, który narzekał na rozkazy. – Szpiegów, czy kogoś takiego, których smoczy władca chce przesłuchać osobiście.

– Tutaj? – zapytał zdumiony drugi goblin.

– To samo powiedziałem – burknął jego towarzysz. – Widziałeś, co mi z tego przyszło. Jaszczuroludzie mówią, że osaczyli ich w gospodzie, kiedy smok zaatakował. Powiedzieli, że nikt z nich nie uciekł, więc smoczy władca twierdzi, że wciąż muszą być tutaj. Jeśli chcesz znać moje zdanie – jaszczurki spaprały robotę, a my musimy teraz płacić za ich błędy.

Odgłosy kopania i poruszania skał były coraz głośniejsze, podobnie jak głosy goblinów, co jakiś czas przerywane ostrym rozkazem wydawanym gardłowym głosem smokowców. Musi ich być tam z pięćdziesięciu! – pomyślał oszołomiony Tanis.

Riverwind szybko podniósł swój miecz z wody i zaczął go wycierać do sucha. Pogodny zazwyczaj Caramon sposepniał, wypuścił Tikę i znalazł swoją broń. Tanis nie miał

miecza, więc Riverwind rzucił mu sztylet. Tika zaczęła wyciągać miecz, lecz Tanis pokręcił głową. Będą walczyć w bliskiej odległości od siebie, a Tika potrzebowała dużo przestrzeni. Półelf spojrzał pytająco na Raistlina.

Czarodziej potrząsnął głową. – Spróbuję, Tanisie – szepnął. – Jednak jestem bardzo zmęczony. Bardzo zmęczony. Nie mogę myśleć, nie mogę się skupić. – Spuścił głowę, trzęsąc się gwałtownie w swych mokrych szatach. Wysiłkiem woli powstrzymał się od kaszlu, żeby ich nie zdradzić i rękawem tłumiał rżenie.

Tanis uświadomił sobie, że jedno zakłęcie dobije go, nawet jeśli mu się uda. Mimo to, może i tak będzie miał więcej szczęścia od nich. Przynajmniej nie wezmą go żywcem.

Dochodziło ich coraz głośniejsze stukanie. Gobliny są silnymi, niestrudzonymi robotnikami. Chciały szybko skończyć pracę i wrócić do plądrowania Tarsis. Drużyna czekała na dole w ponurym milczeniu. Wraz z świeżą deszczówką spadał na nich niemal stały deszcz ziemi i drobnych kamyków. Przyjaciele zacisnęli broń w dłoniach. Nim upłynie kilka minut, zostaną odkryci.

Wtem niespodziewanie rozległy się nowe dźwięki. Przyjaciele posłyszeli przerażone wrzaski goblinów i krzyzących na nich smokowców, którzy rozkazywali im wrócić do pracy. Doszły ich jednak odgłosy rzuconych na kamienie łopat i kilofów, a potem przekleństwa smokowców, którzy usiłowali powstrzymać ten najwyraźniej zakrojony na pełną skalę bunt goblinów.

A ponad tumultem czynionym przez rozwrzeszczane gobliny rozległ się głośny, czysty i przenikliwy okrzyk, któremu odpowiedział z oddali następny. Przypominał on krzyk orła szybującego nad stepem o zachodzie słońca. Jednak ten głos słyhać było tuż nad nimi.

Wtem rozległ się wrzask – krzyk smokowca. A potem odgłos rozszarpywania, jakby rozdzierania ciała tego stwora.

Następne wrzaski, brzęk wyciąganego oręża, kolejny okrzyk i kolejna odpowiedź – tym razem dużo bliżej.

– Co to? – spytał Caramon, wybałuszając oczy. – To nie smok. Brzmi jak... jak jakiś olbrzymi drapieżny ptak!

– Cokolwiek to jest, rozdziera smokowców na strzępy! – powiedziała zalekciona Goldmoon po chwili przysłuchiwania się. Krzyki ucichły, zostawiając po sobie ciszę, która była chyba jeszcze gorsza. Cóż to za nowe zło zastąpiło stare?

Wtem posłyszeli łoskot podnoszonych i zrzucanych z hukiem na ulicę głazów, kamieni, tynku i drewnianych bali. Cokolwiek było tam na górze, zamierzało dotrzeć do nich!

– Zżarło wszystkich smokowców – mruknął Caramon – a teraz chce zjeść nas!

Tika pobiła śmiertelnie i ścisnęła Caramona za ramię. Goldmoon jęknęła cicho i wydawało się, że nawet Riverwind, spoglądając z uwagą w górę tracił nieco ze swego stoickiego spokoju.

– Caramonie – rzekł Raistlin dygocząc – zamilcz!

Tanis podzielał zdanie czarodzieja. – Niepotrzebnie sami się straszy... – zaczął.

Nagle posłyszeli okropny łoskot. Kamienie, gruzy, belki i tynk posypały się na nich z hukiem. Ujrawszy ogromną, szponiastą łapę, która wsunęła się przez gruzy, rzucili się do ucieczki. Pazury zabłyśły w świetle laski Raistlina.

Bezradnie szukając schronienia pod połamanymi belkami, bądź pod beczkami piwa, towarzysze przyglądali się olbrzymiej łapie, która wyplątała się z rumowiska i cofnęła, zostawiając po sobie wielką, ziejącą dziurę. Zapanowała cisza. Przez kilka chwil nikt z drużyny nie odważył się ruszyć. Ciszy jednak nic nie zmąciło.

– To nasza szansa – szepnął głośno Tanis. – Caramonie, zobacz, co tam jest na górze.

Ogromny wojownik już wyczołgiwał się ze swej kryjówki i sunął po zasypanej gruzem podłodze najsprawniej, jak potrafił. Riverwind szedł tuż za nim z mieczem w rękę.

– Nic – rzekł zdziwiony Caramon, podnosząc głowę.

Tanis, czując się nagi bez swego miecza, podszedł, stanął obok otworu i popatrzył w górę. Wtem, ku jego zdumieniu, pojawiła się nad nimi ciemna postać, której sylwetka odciła się od płonącego nieba. Zza jej pleców wyłaniała się ogromna bestia. Ledwo dostrzegali głowę gigantycznego orła, którego oczy połyskiwały w łunie pożarów, a drapieżnie zakrzywiony dziób odbijał blask płomieni.

Drużyna cofnęła się, lecz było za późno. Najwyraźniej postać zauważyła ich. Podeszła bliżej. Riverwind pomyślał – zbyt późno – o swym łuku. Caramon przycisnął Tikę do siebie jedną ręką, a w drugiej ścisnął miecz.

Jednakże postać tylko przyklękła na krawędzi otworu, uważając, by nie poślizgnąć się na obsuwających się kamieniach i zsunęła kaptur nakrywający jej głowę.

– Znów się spotykamy, Tanisie Półelfie – rzekł głos tak zimny, czysty i odległy jak gwiazdy.

Rozdział VIII

Ucieczka z Tanis. Historia smoczych kul

Błoniastoskrzydłe smoki leciały nad spustoszonej Tarsis, które zajmowały nadchodzące wojska smokowców, smoki wykonały swe zadanie. Wkrótce smoczy władca odwoła je i będzie trzymał w pogotowiu do następnego ataku. Tymczasem jednak mogły się odprężyć, szybując w prądach rozgrzanego powietrza, które wznosiło się znad płonącego miasta i pożerając od czasu do czasu ludzi na tyle głupich, by wyjść z ukrycia. Czerwone smoki krążyły po niebie w doskonale zorganizowanych formacjach, szybowały lekko i nurkowały, wykonując figury tańca śmierci.

Na Krynnie nie było teraz takiej siły, która mogłaby je powstrzymać. Wiedziały o tym i w uniesieniu świętowały swe zwycięstwo. Czasami jednak wydarzało się coś, co przerywało ich taniec. Na przykład jednemu z wódzów oddziałów doniesiono o walkach w pobliżu zburzonej gospody. Młody czerwony samiec powiódł swój oddział na miejsce wydarzenia, mrużąc pod nosem niepochlebne uwagi na temat niekompetencji dowódców piechurów. Czego jednak można się było spodziewać, skoro smoczym władcą jest nadęty hobgoblin, który nawet nie miał dość odwagi, by przyglądać się zajęciu tak słabego miasta jak Tarsis!

Czerwony samiec westchnął, przypominając sobie dni chwały, gdy Verminaard osobiście przewodził im z grzbietu Pyrosa. To był smoczy władca! Czerwony smok pokręcił głową niepokieszony. Ach, to tu toczy się walka. Teraz już widział wyraźnie. Rozkazawszy swej grupie pozostać w powietrzu, zniżył swój lot, by przyrzeć się z bliska.

– Rozkazuję ci zatrzymać się!

Czerwony smok zatrzymał się w locie i ze zdumieniem spojrzał w górę. Głos był silny i wyraźny, a należał do smoczego władcy. Jednakże tym smoczym władcą z pewnością nie był Toede! Ten smoczy władca, choć spowity ciężką peleryną i odziany w lśniącą maskę i zbroję ze smoczych łusek charakterystyczną dla władców, sądząc po głosie był człowiekiem, a nie hobgoblinem. Skąd jednak wziął się tutaj? I dlaczego? Ku swemu zdumieniu czerwony smok spostrzegł, iż władca dosiada ogromnego niebieskiego smoka, a towarzyszyło mu dalszych kilka oddziałów niebieskich smoków.

– Czego życzysz sobie, czcigodny panie? – zapytał z powagą czerwony smok. – I jakim prawem zatrzymujesz nas, ty, który nie masz powodów, by znajdować się w tej części Krynnu?

– Los ludzkości jest wystarczającym dla mnie powodem w tej, czy innej części Krynnu – odparł smoczy władca.

– Nie potrzeba mi prawa innego niż siła mego zbrojnego ramienia, by ci rozkazywać, waleczny czerwony smoku. A co do mego życzenia, nakazuję ci, byś złapał te żałosne istoty ludzkie, a nie zabijał ich. Muszą zostać przesłuchani. Przeprowadź ich do mnie, a zostaniesz dobrze nagrodzony.

– Spójrzcie! – zawołała młoda czerwona smoczyca.

– Gryfy!

Smoczy władca wydał okrzyk zaskoczenia i niezadowolenia. Smoki spojrzały w dół i dostrzegły trzy gryfy wznoszące się z kłębow dymu. Gryfy, nieomal w połowie tak duże, jak czerwone smoki, znane były z dzikości. Wojska smokowców rozpierzchały się przed nimi niczym popiół niesiony podmuchem wiatru. Ostre szpony i zakrzywione dzioby gryfów urywały głowy gadoludzi, którzy mieli nieszczęście znaleźć się na ich drodze.

Czerwony smok warknął nienawistnie i przygotował się do zanurkowania wraz ze swym oddziałem, lecz smoczy władca zastąpił mu drogę, zmuszając do zatrzymania.

– Powiedziałem, że nie wolno ich zabić! – rzekł surowo smoczy władca.

– Ale oni uciekają! – zasyczał wściekle czerwony smok.

– Niech uciekają – powiedział chłodno władca. – Nie zajdą daleko. Zdejmuję z ciebie dalszą odpowiedzialność za tę sprawę. Wracaj do głównego oddziału. A jeśli ten idiota Toede piśnie choć słowo, powiedz mu, że tajemnica tego, jak stracił łaskę z błękitnego kryształu nie umarła wraz z Verminaardem. Wspomnienie o małomistrzu Toede żyje – w mej pamięci – i poznają je też inni, jeśli ośmieli się rzucić mi wyzwanie!

Smoczy władca zasalutował, a następnie zawrócił swego wielkiego błękitnego smoka i pomknął w ślad za gryfami, których ogromna szybkość pozwoliła im wymknąć się z jeźdźcami na grzbiecie daleko za bramy miasta. Czerwony smok przyglądał się znikającemu na nocnym nieboskłonie pościgowi niebieskich smoków.

– Czy nie powinniśmy też wziąć udziału w pościgu? – zapytała czerwona smoczyca.

– Nie – odrzekł w zamyśleniu czerwony samiec, ognistymi oczyma śledząc znikającą w oddali postać smoczego władcy. – Jemu nie będę wchodził w drogę!

– Wasze podziękowania nie są konieczne, ani nawet pożądane – Alhana Starbreeze przerwała Tanisowi w pół słowa jego kulejącą, zadyszaną wypowiedź. Drużyna jechała w zacinającym deszczu na grzbietach trzech gryfów, trzymając się kurczowo ich opierzonych karków i z obawą spoglądając na dogorywające miasto, które szybko znikało w dole.

– Poza tym, możecie nie zechcieć ich wyrazić po tym, co mam wam do powiedzenia – stwierdziła chłodno Alhana, oglądając się na Tanisa, który jechał za nią. – Miałam własne powody, by was uratować. Potrzebni mi są wojownicy, którzy pomogą mi uratować ojca.

Lecimy do Silvanesti.

– Ależ to niemożliwe! – wysapał Tanis. – Musimy spotkać się z przyjaciółmi! Leć na wzgórze. Nie możemy udać się do Silvanesti, Alhano. Stawka jest zbyt wielka! Jeśli zdołamy znaleźć smocze kule, będziemy mieli szansę unicestwić te okropne potwory i zakończyć wojnę. Wtedy możemy udać się do Silvanesti...

– Teraz polecimy do Silvanesti – odrzekła Alhana.

– Nie masz wyboru, Półelfie. Moje gryfy są posłuszne wyłącznie moim rozkazom. Gdybym tylko im rozkazała, rozdarłyby cię na strzępy, tak jak tych smokoludzi.

– Któregoś dnia elfowie obudzą się i stwierdzą, że przynależą do jednej wielkiej rodziny – powiedział Tanis głosem drżącym z gniewu. – Nie będą już dłużej traktowani jak rozpieszczone najstarsze dziecko, które wszystko dostaje, podczas gdy reszta czeka na okruchy.

– Zasłużyliśmy na dary, które otrzymaliśmy od bogów. Wy, ludzie i półludzie – pogarda w jej głosie raniła niczym sztylet – mieliście te same dary i wyrzuciliście je z żądy posiadania jeszcze więcej. Potrafimy walczyć o własne przetrwanie bez waszej pomocy. A co do waszego przetrwania, mało ono nas obchodzi.

– Niemniej jednak teraz skłonna jesteś przyjąć naszą pomoc!

– Za co zostaniecie sownie wynagrodzeni – odparła Alhana.

– Nie ma dość stali, ani klejnotów w Silvanesti, by zapłacić nam...

– Szukacie smoczycich kul – przerwała Alhana. – Wiem, gdzie znajduje się jedna z nich. Jest w Silvanesti.

Tanis mrugnął z zaskoczenia. Przez chwilę nie wiedział, co ma powiedzieć, lecz wzmianka o smoczycich kulach przywiodła mu na myśl przyjaciela. – Gdzie jest Sturm? – zapytał Alhanę. – Kiedy ostatni raz go widziałem, był z tobą.

– Nie wiem – odrzekła. – Rozstaliśmy się. Szedł do gospody, żeby się z wami spotkać. Ja wezwałam moje gryfy.

– Dlaczego nie pozwoliłaś, by odprowadził cię do Silvanesti, skoro potrzebujesz wojowników?

– To nie twoja sprawa – Alhana odwróciła się plecami do Tanisa, który siedział w milczeniu, zbyt zmęczony, by myśleć trzeźwo. Wtem posłyszał wołający go głos, ledwo rozpoznawalny w pierzastym łopocie potężnych skrzydeł gryfa.

Był to Caramon. Wojownik wołał i wskazywał za siebie. Co tam znowu? – pomyślał znużony Tanis.

Wzbiwszy się w czyste nocne niebo, zostawili za sobą kłęby dymu i ciemne chmury

zakrywające Tarsis. Nad ich głowami błyszczą gwiazdy. Migotliwe światełka lśniły zimnym blaskiem jak diamenty, podkreślając czerń dziur ziejących w nocnym niebie tam, gdzie dawniej dwa gwiazdozbiory krążyły swym torem nad światem. Zaszły oba księżyce, czerwony i srebrny, lecz Tanis nie potrzebował ich blasku, by rozpoznać ciemne kształty, które przesłaniały światło gwiazd.

– Smoki – powiedział do Alhany. – Lecą za nami.

Tanis nigdy później wyraźnie nie pamiętał koszmarnej ucieczki z Tarsis. Były to godziny mroźnego, przenikliwego wiatru, przy których nawet śmierć od ognistego oddechu smoka wydawała się miłsza. Były to godziny paniki, podczas których oglądał się wstecz, by dostrzec doganiające ich ciemne kształty i wpatrywał się tak długo, aż oczy zachodziły mu łzami, a łzy zamarzały na policzkach, lecz nie był w stanie oderwać wzroku. Było to zatrzymywanie się o zmroku, gdy wycieńczeni strachem i zmęczeniem kładli się do snu w jaskiniach na wysokich skałach. Było to budzenie się o świcie tylko po to, by natychmiast po wzbiciu się w powietrze znów ujrzeć za sobą ciemne, skrzydlate kształty.

Niewiele żywych stworzeń potrafi prześcignąć w locie gryfa o orlich skrzydłach. Lecz smoki – pierwsze niebieskie smoki, jakie zobaczyli – wciąż widniały na horyzoncie, wciąż ich ścigały, nie pozwalając na odpoczynek za dnia i zmuszając drużynę do ukrywania się w ciągu nocy, gdy zmęczone gryfy musiały spać. Nie mieli wiele jedzenia, tylko quith-pah – żelazne racje z suszonych owoców, które utrzymują przy życiu, lecz nie czynią wiele, by zaspokoić głód – które Alhana miała ze sobą i którymi się z nimi podzieliła. Jednakże nawet Caramon był zbyt znużony i zniechęcony, by dużo jeść.

Jedynie wydarzenie, które utkwiło Tanisowi w pamięci nastąpiło drugiej nocy podróży. Opowiadał małej grupce skulonej wokół ogniska w wilgotnej i ponurej jaskini o tym, co kender odkrył w bibliotece w Tarsis. Na wzmiankę o smoczych kulach Raistlinowi rozbłysły oczy, a jego chudą twarz rozjaśnił od wewnątrz żarliwy, pełen życia blask.

– Smocze kule? – powtórzył cicho.

– Pomyślałem, że możesz coś o nich wiedzieć – rzekł Tanis. – Czym one są?

Raistlin nie odpowiedział natychmiast. Zawinięty zarówno w swój płaszcz, jak i brata, leżał najbliżej ognia jak mógł, a mimo to jego wątłym ciałem wciąż wstrząsały dreszcze.

Czarodziej nie spuszczał złotych oczu z Alhany, która siedziała nieco na uboczu, łaskawie dzieląc z nimi przestrzeń jaskini, lecz już nie zaszczycając ich swym udziałem w rozmowie. Teraz jednak wydawało się, że odwróciwszy nieco głowę, przysłuchiwała się, o czym mówią.

– Powiedziałaś, że smocza kula jest w Silvanesti – szepnął mag, spoglądając na

Tanisa. – Chyba nie mnie należy o to wypytywać.

– Ja niewiele wiem o niej – powiedziała Alhana, odwracając bladą twarz w stronę ognia. – Trzymamy ją jako relikwinię minionych dni, bardziej ciekawostkę, niż cokolwiek innego. Kto uwierzyłby, że ludzie znów obudzą zło i ponownie sprowadzą smoki na Krynn?

Zanim Raistlin zdołał odpowiedzieć, Riverwind odezwał się gniewnie. – Nie masz dowodów, że to byli ludzie!

Alhana obrzuciła mieszkańca równin władcym spojrzeniem. Nie udzieliła mu odpowiedzi, uznając, że wyklócanie się z barbarzyńcą jest poniżej jej godności.

Tanis westchnął. Mieszkaniec Równin nie przepadał za elfami. Upłynęło wiele dni, nim zaufał Tanisowi, a jeszcze dłużej trwało, nim zaczął ufać Gilthanasowi i Lauranie. Teraz, gdy właśnie wydawało się, że Riverwind zdoła pokonać swe wrodzone uprzedzenia, w równym stopniu uprzedzona Alhana zadała nowe rany.

– Dobrze, Raistlinie – powiedział cicho Tanis – powiedz nam, co ty wiesz o smoczycich kulach.

– Podaj mi moje ziółka, Caramonie – polecił czarodziej. Posłusznie przynosząc kubek gorącej wody, Caramon postawił go przed bratem Raistlin wsparł się na łokciu i sypał zioła do wody mieszając. Rozszedł się osobliwy, ostry zapach. Krzywiąc się Raistlin popijał gorzki napar i zaczął opowiadać.

– W Wieku Snów, kiedy członków mego bractwa szanowano i darzono czcią na Krynnie, istniało pięć Wież Wielkiej Magii. – Głos czarodzieja załamał się, jakby mag przypominał sobie jakieś bolesne przeżycia. Jego brat siedział z posępną twarzą i wbijał wzrok w kamieniste podłoże grotu. Dostrzegłszy cień, jaki padł na obu braci, Tanis znów zaciekawił się, co wydarzyło się w Wieżach Wielkiej Magii, że zmieniło ich życie w tak dramatyczny sposób. Wiedział, że nie ma sensu pytać. Obu zabroniono rozmawiać na ten temat.

Raistlin milczał przez chwilę, a następnie zaczerpnąwszy głęboko tchu, podjął opowieść. – Kiedy wybuchła druga smocza wojna, najwyżsi rangą spośród mego bractwa zebrali się w największej z wież – w wieży w Palanthas – i stworzyli smocze kule.

Oczy zaszyły Raistlinowi mgłą, a szept umilkł na chwilę. Kiedy mag ponownie przemówił, zabrzmiało to tak, jakby opowiadał wydarzenie, które ponownie przeżywał w myślach. Nawet głos mu się zmienił i nabrał silniejszego, głębszego, czystszy brzmienia. Czarodziej już nie kaszlał. Caramon przyjrzał mu się ze zdumieniem.

– Członkowie bractwa białych szat weszli do komnaty na szczycie wieży pierwsi, wraz z wzejściem srebrnego księżyca, Solinari. Potem na niebie pojawił się Lunitari ocie-

kający krwią i weszli czarodzieje czerwonych szat. Wreszcie czarny krąg Nuitari, dziura ciemności pośród gwiazd ukazała się tym, którzy go szukali i do komnaty weszli czarodzieje czarnych szat.

Był to przedziwny moment w historii, gdy pohamowano wszelką wrogość między bractwami. Miał on powtórzyć się jeszcze raz na tym świecie, kiedy czarodzieje połączyli swe siły podczas przegranej bitwy, lecz czasów tych nie można było przewidzieć. Tymczasem dość było wiedzieć, że to wielkie zło musi zostać zniszczone. Wreszcie zrozumieliśmy, że zamierza ono unicestwić wszelką magię na świecie, aby mogła przetrwać tylko ta, która jemu służy! Byli tacy pośród bractwa czarnych szat, którzy chcieliby sprzymierzyć się z tą wielką potęgą – Tanis dostrzegł ogień w oczach Raistlina – lecz wkrótce zdali sobie sprawę, że nie byłiby jej panami, a tylko niewolnikami. I tak narodziły się smocze kule, tej nocy, gdy wszystkie trzy księżycy stały w pełni na niebie.

– Trzy księżycy? – zapytał cicho Tanis, lecz Raistlin nie słyszał go i ciągnął nieswoim głosem.

– Wielkie i potężne czary odprawiono tej nocy – tak potężne, że niejeden nie mógł ich znieść i padał w omdleniu, wyczerpany fizycznie i psychicznie. Lecz następnego poranka pięć smoczych kul stało na postumentach, rozsiewając blask i roztaczając mrok wewnętrznych cieni. Wszystkie poza jedną zabrano z Palanthis i mimo ogromnego niebezpieczeństwa, zanesiono po jednej do każdej z czterech pozostałych wież, by stamtąd pomogły przepędzić Królową Ciemności poza granice tego świata.

Gorączkowy blask w oczach Raistlina zgasł. Czarodziej zgarbił się, ucichł i zaczął gwałtownie kaszleć. Pozostali przyglądali mu się w milczeniu z zapartym tchem.

Wreszcie Tanis odkaslnął. – Co masz na myśli, mówiąc o trzech księżycach?

Raistlin podniósł otępiaty wzrok. – Trzy księżycy? – szepnął. – Ja nic nie wiem o trzech księżycach. O czym mówiliśmy?

– O smoczych kulach. Opowiedziałeś nam o ich stworzeniu. Skąd... – Tanis przerwał, widząc, że Raistlin osuwa się na posłanie.

– Nic wam nie powiedziałem – rzekł poirytowany Raistlin. – O czym ty mówisz?

Tanis spojrzął na pozostałych. Riverwind potrząsnął głową. Caramon przygryzł wargę i odwrócił zmartwioną twarz.

– Rozmawialiśmy o smoczych kulach – powiedziała Goldmoon. – Miałeś nam powiedzieć, co o nich wiesz.

Raistlin wytarł krew z warg. – Nie wiem wiele – powiedział zmęczonym głosem i wrzucił ramionami. – Smocze kule stworzyli najwięksi magowie. Tylko najpotężniejsi z

mego bractwa mogli ich używać. Powiadano, że wielkie zło spotka tego, kto spróbuje nimi zawładnąć bez wielkiej siły magicznej. Poza tym, nie wiem już nic. Wszelka wiedza na temat smoczycich kul przepadła w czasie przegranej bitwy. Powiadano, że dwie uległy zniszczeniu podczas upadku Wieży Wielkiej Magii, gdyż wołano je raczej zniszczyć, niż pozwolić by wpadły w ręce hołoty. Wiedza o pozostałych trzech umarła wraz ich czarodziejami. – Raistlin umilkł. Osunąwszy się ponownie na posłanie, usnął wyczerpany.

– Przegrana bitwa, trzy księżycy, Raistlin mówiący dziwnym głosem. To wszystko nie ma sensu – mruknął Tanis.

– Ja mu nie wierzę! – powiedział chłodno Riverwind. Wytrzeptał futra, przygotowując się do snu. Tanis miał zamiar pójść w jego ślady, gdy dostrzegł Alhanę, która wysunęła się z mroku w grocie i podeszła do Raistlina. Spoglądając na śpiącego czarodzieja, załamała ręce.

– Bez wielkiej siły magicznej! – szepnęła głosem pełnym obawy. – Mój ojciec!

Tanis spojrział na nią z nagłym zrozumieniem.

– Chyba nie sądzisz, że twój ojciec próbował użyć smoczyczej kuli?

– Boję się – szepnęła Alhana, załamując ręce. – Powiedział, że tylko on potrafi zwalczyć to zło i wypędzić je z naszej ziemi. Musiał mieć na myśli... – Pośpiesznie nachyliła się nad Raistlinem. – Obudź go! – rozkazała, z błyskiem w czarnych oczach. – Muszę wiedzieć! Obudź go i każ mu powiedzieć, jakie to niebezpieczeństwo!

Caramon odciągnął ją łagodnie, lecz stanowczo. Alhana zmierzyła go piorunującym spojrzeniem, a jej piękną twarz wykrzywił grymas strachu i gniewu. Przez moment wydawało się, że może go uderzyć, lecz Tanis podszedł do niej i wziął ją za rękę.

– Lady Alhano – rzekł spokojnie – nic nie da obudzenie go. On nam już powiedział wszystko, co sam wie. A co do tego drugiego głosu, najwyraźniej nie pamięta niczego, co powiedział.

– Już widywałem to u Raistlina – powiedział przyciszonym głosem Caramon – zupełnie jakby stawał się kimś innym. Potem zawsze jest wyczerpany i nic nie pamięta.

Alhana wyszarpnęła dłoń z uścisku Tanisa, a jej twarz ponownie przybrała wyraz zimnej, czystej, marmurowej niewzruszoności. Kobieta odwróciła się gwałtownie i podeszła do wyjścia z jaskini. Chwyciwszy za koc, który Riverwind zawiesił, by ukryć blask ognia, nieomal zerwała go, odsuwając na bok i zdecydowanym krokiem wychodząc na zewnątrz.

– Stanę na pierwszej warcie – poinformował Caramona Tanis. – Ty się prześpij.

– Posiedzę jeszcze trochę przy Raistlinie – powiedział potężny mężczyzna, rozścielając swe posłanie obok wątego bliźniaka. Tanis wyszedł za Alhaną na zewnątrz.

Gryfy spały mocno, wciskając głowę w miękkie pióra na szyi i pewnie trzymając się

krawędzi skały szponami przednich łap. Przez chwilę Tanis nie mógł znaleźć Alhany w mroku, a potem zobaczył, że stoi oparta o skałę i gorzko płacze, ukrywając głowę w ramionach.

Dumna kobieta Silvanesti nigdy by mu nie wybaczyła, gdyby zobaczył ją tak słabą i bezbronną. Tanis schylił się i schował za derkę.

– Idę na wartę – krzyknął głośno przed ponownym wyjściem. Podnosząc koc, zobaczył mimowolnie, jak Alhana drgnęła i wytarła szybko twarz dłonią. Odwróciła się do niego plecami. Zbliżał się powoli, by dać jej czas na odzyskanie panowania nad sobą.

– W jaskini było duszno – powiedziała cicho. – Nie mogłam tego znieść. Musiałam wyjść odetchnąć świeżym powietrzem.

– Ja pierwszy stoję na warcie – rzekł Tanis. Przerwał na chwilę, a potem dodał – Wydawało mi się, że boisz się tego, że twój ojciec mógł użyć smoczej kuli. Z pewnością znałby jej historię. Z tego, co pamiętam, twój ojciec jest czarodziejem.

– Wiedział, skąd pochodzi smocza kula – powiedziała Alhana drżącym głosem, zanim doszła do siebie. – Ten młody mag miał rację, mówiąc o przegranej bitwie i zniszczeniu wież. Mylił się jednak, twierdząc iż pozostałe trzy kule zaginęły. Jedną przyniósł na przechowanie do Silvanesti mój ojciec.

– Co to była przegrana bitwa? – zapytał Tanis, wspierając się o skały obok Alhany.

– Czyżby nie przechowano żadnej wiedzy w Qualinesti? – odparła, spoglądając na Tanisa z pogardą. – Jakimiż barbarzyńcami staliście się od czasu, gdy zadajecie się z ludźmi!

– Powiedzmy, że to moja wina – rzekł Tanis – że nie słuchałem dość uważnie mistrza wiedzy.

Alhana spojrzała na niego, podejrzewając ironię. Ujrawszy jego poważną minę i nie mając chęci zostać sama, postanowiła odpowiedzieć na jego pytanie. – Gdy Istar w Wieku Potęgi wzniosło się na wyżyny chwały, król-kapłan Istar i podlegli mu duchowni zaczęli coraz bardziej zazdrościć mocy magom. Kapłani nie widzieli dalszej potrzeby istnienia magii na świecie, oczywiście obawiając jej się, jako czegoś, co wymyka im się spod kontroli. Sami czarodzieje, choć otoczeni szacunkiem, nigdy nie cieszyli się powszechnym zaufaniem, nawet ci, którzy nosili białe szaty. Podburzenie ludzi przeciw magom okazało się prostą sprawą dla kapłanów. Kiedy nastawały coraz gorsze czasy, kapłani obarczali za to winą czarodziejów. Wieże Wielkiej Magii, gdzie czarodzieje muszą przechodzić ostatnie, mordercze próby, były siedzibami potęgi magów. Naturalnie one stały się celami. Podburzony tłum zaatakował je i stało się tak, jak powiedział twój młody przyjaciel: zaledwie po raz drugi w swej historii bractwa szat połączyły siły, by bronić ostatnich bastionów swej mocy.

– Jak to możliwe, że ich pokonano? – zapytał Tanis z niedowierzaniem.

– I ty o to pytasz, dobrze znając swego przyjaciela maga? Jest potężny, lecz musi odpoczywać. Nawet najsilniejsi muszą mieć czas na odnowienie swych czarów i ponowne utrwalenie ich w pamięci. Nawet najstarsi członkowie bractwa – czarodzieje, jakich Krynn nie widział od tamtych czasów – musieli spać i godzinami czytać księgi magiczne. A wtedy, podobnie jak teraz, liczba magów nie była duża. Niewielu ma odwagę podjąć się prób w Wieżach Wielkiej Magii wiedząc, iż niepowodzenie oznacza śmierć.

– Niepowodzenie oznacza śmierć? – powtórzył cicho Tanis.

– Tak – odrzekła Alhana. – Twój przyjaciel wykazał wielką odwagę, poddając się próbie w tak młodym wieku. Bardzo wielką odwagę – lub wielką ambicję. Nigdy ci o tym nie powiedział?

– Nie – szepnął Tanis. – On nigdy nie mówi na ten temat. Mów dalej, proszę.

Alhana wzruszyła ramionami. – Kiedy stało się jasne, że walka jest beznadziejna, sami czarodzieje zniszczyli dwie z wież. Wybuchy spustoszyły okolice na wiele kilometrów wokół. Tylko trzy pozostały – wieża Istar, wieża Palanthis i wieża Wayreth. Jednakże straszliwe zniszczenie pozostałych dwóch wież przeraziło króla-kapłana. Zezwolił czarodziejom z wież w Istar i Palanthis bezpiecznie opuścić miasto, jeśli zostawią wieże całe, bowiem król-kapłan dobrze wiedział, że mogli zetrzeć te dwa miasta z powierzchni ziemi.

I tak oto czarodzieje udali się do jedynej wieży, której nigdy nic nie groziło – wieży Wayreth w górach Kharolis. Przybyli do Wayreth, by leczyć swe rany i, pielęgnować tę niewielką iskierkę magii, jaka pozostała na świecie. Księgi magiczne, których nie mogli zabrać ze sobą – bowiem były one liczne, a na wielu spoczywały zaklęcia ochronne – przekazano do wielkiej biblioteki w Palanthis. O ile wiem, do dzisiaj tam się znajdują.

Wstał srebrny księżyc, którego promienie obdarzyły swą córkę pięknem, na widok którego Tanisowi zaparło dech w piersi, choć jednocześnie jego chłód zmroził mu serce.

– Co wiesz o trzecim księżycu? – spytał, wpatrując się w nocne niebo i drżąc. – Czarnym księżycu...

– Niewiele – odrzekła Alhana. – Czarodzieje czerpią moc z księżyców: członkowie bractwa białych szat z Solinari, czerwonych z Lunitari. Zgodnie z tym, co mówią przekazy, istnieje księżyc dający moc czarodziejom czarnych szat, lecz tylko oni znają jego imię i wiedzą, jak go odnaleźć na niebie.

Raistlin znał jego imię, pomyślał Tanis, a przynajmniej znał je ten drugi głos. Jednak tę wiedzę zachował dla siebie.

– W jaki sposób twój ojciec zdobył smoczą kulę?

– Mój ojciec, Lorac, był uczniem czarodzieja – odpowiedziała cicho Alhana, odwracając twarz ku srebrnemu księżycowi. – Udał się do Wież Wielkiej Magii na próbę, z której wyszedł żywy. Tam po raz pierwszy ujrzał smoczą kulę. – Kobieta umilkła na chwilę. – Powiem ci coś, czego nikomu jeszcze nie powiedziałam i czego on nie powiedział nikomu – z wyjątkiem mnie. Mówię ci o tym tylko dlatego, że masz prawo wiedzieć, czego... czego się spodziewać.

– Podczas próby smocza kula... – Alhana zawahała się, jakby szukając właściwych słów – ... przemówiła do niego w myślach. Obawiała się nadejścia jakiejś okropnej katastrofy. „Nie możesz zostawić mnie w Istar”, powiedziała mu. „Jeśli tak się stanie, przypadnę, a wraz ze mną zginie cały świat”. Mój ojciec... sędzę, że można by powiedzieć, iż skradł smoczą kulę, chociaż on sam uważał się za jej wybawcę.

– Wieża w Istar została opuszczona. Król-kapłan wprowadził się do niej i zajął ją dla własnych celów. Wreszcie czarodzieje opuścili wieżę w Palanthas. – Alhana zadrżała.

– Historia tej wieży jest straszna. Regent Palanthas, uczeń króla-kapłana przybył do wieży, by opieczetować jej bramy

– tak przynajmniej twierdził. Wszyscy jednak widzieli, jakim łakomym wzrokiem mierzył piękną wieżę, bowiem legendy o cudach w jej wnętrzu – zarówno wspaniałych, jak i strasznych – rozeszły się daleko.

Czarodziej bractwa białych szat zatrzasnął wiotkie, złote bramy wieży i zamknął je srebrnym kluczem. Regent niecierpliwie wyciągnął rękę po klucz, gdy w oknie jednego z górnych pięter pojawił się czarodziej czarnych szat.

„Bramy pozostaną zamknięte, a sale puste aż do dnia, gdy władca przeszłości i teraźniejszości powróci w potęgę”, krzyknął. A następnie zły czarodziej wyskoczył i rzucił się na bramę. W chwili, gdy kolce przeszły jego czarne szaty, rzucił na wieżę przekleństwo. Krew spłynęła na ziemię, a srebrne i złote wrota zmarniały, wypaczyły się i szerniały. Migotliwa, białoczerwona wieża wyblakła, przybrałszy kolor szarego kamienia, a jej czarne wieżyczki rozsypały się w proch.

Regent i jego ludzie rozpierchli się w panice. Po dziś dzień nikt nie ośmielił się przekroczyć progu wieży w Palanthas, ani nawet zbliżyć się do jej bram. Właśnie po tym, jak przekłęto wieżę, mój ojciec przyniósł smoczą kulę do Silvanesti.

– Twój ojciec musiał chyba jednak wiedzieć coś o tej kuli, zanim ją zabrał – upierał się Tanis. – Jak jej użyć...

– Jeśli tak, nie powiedział o tym – rzekła zmęczonym głosem Alhana – bo wiem tylko tyle. Muszę teraz odpocząć. Dobranoc – powiedziała do Tanisa, nie patrząc na niego.

– Dobranoc, lady Alhano – powiedział łagodnie Tanis.

– Odpoczywaj spokojnie tej nocy. I nie martw się. Twój ojciec jest mądry i przeżył wiele. Pewien jestem, że wszystko jest w porządku.

Alhana chciała już przemknąć obok niego bez słowa, lecz słysząc współczucie w jego głosie, zawahała się.

– Choć przeszedł próbę – rzekła tak cicho, że Tanis musiał podejść bliżej, by ją usłyszeć – nie był obdarzony tak silną mocą magiczną, jak twój młody przyjaciel. A jeśli sądził, że smocza kula jest naszą jedyną nadzieją, lękam się...

– Głos jej się załamał.

– Krasnoludowie mają pewne powiedzenie. – Wyczuwając, iż na chwilę bariery dzielące ich zostały opuszczone, Tanis objął jednym ramieniem szczupłe ramiona Alhany i przyciągnął ją do siebie. – „Pożyczone kłopoty zostaną splecione wraz z procentem od smutku”. Nie martw się. Jesteśmy przy tobie.

Alhana nie odpowiedziała. Przez chwilę pozwalała się pocieszać, po czym wyślizgnąwszy się z jego objęć, podeszła do wejścia do jaskini. Tam przystanęła i obejrzała się za siebie.

– Martwisz się o swoich przyjaciół – powiedziała. – Niepotrzebnie. Uciekli z miasta i są bezpieczni. Choć przez pewien czas kender był bliski śmierci, przeżył i teraz wszyscy podążają ku Lodowej Ścianie w poszukiwaniu smoczyczej kuli.

– Skąd o tym wiesz? – zdumiał się Tanis.

– Powiedziałam wszystko, co mogę. – Alhana potrząsnęła głową.

– Alhano! Skąd o tym wiesz? – powtórzył twardo Tanis.

Rumieniec pokrył jej blade policzki. Wyszeptała – Jaja dałam rycerzowi gwiezdny klejnot. On, oczywiście nie zna jego mocy, nie wie też, jak go używać. Nie potrafię powiedzieć, czemu mu go dałam, z wyjątkiem tego, że...

– Z wyjątkiem czego? – zapytał Tanis, zdziwiony bezmiernie.

– Był taki uprzejmy, taki dzielny. Narażał życie, żeby mi pomóc, a nie wiedział nawet, kim jestem. Pomógł mi, bo miałam kłopoty. I... – oczy jej zabłysły – ...i płakał, kiedy smoki zabijały ludzi. Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby dorosły płakał. My nie płakaliśmy nawet, gdy nadeszły smoki i przegnały nas z ojczyzny. Myślę, że już chyba zapomnieliśmy, co to łzy.

Potem, jakby zdając sobie sprawę z tego, że powiedziała zbyt wiele, pośpiesznie odsunęła koc i weszła do jaskini.

– O bogowie! – westchnął Tanis. Gwiezdny klejnot! Jakież to rzadki i bezcenny

podarunek! Wymieniany przez elfich kochanków zmuszonych do rozstania, klejnot tworzy więź między ich duszami. Połączeni tak, dzielą swe najskrytsze uczucia i mogą wzajemnie dodawać sobie otuchy w potrzebie. Nigdy jednak w swym długim życiu Tanis nie słyszał, by klejnot podarowano istocie ludzkiej. Co dałby ten klejnot człowiekowi? Jaki miałby na niego wpływ? A Alhana – nigdy przecież nie mogłaby pokochać człowieka, nigdy nie odwzajemniłaby miłości. To musi być jakieś ślepe zauroczenie. Była przerażona, samotna. Nie, to może się zakończyć jedynie smutkiem, chyba że wśród elfów i w samej Albanie znajdą jakieś znaczące zmiany.

Tanis odczuł ulgę wiedząc, że Laurana i pozostali są bezpieczni, lecz jednocześnie jego serce ścisnął żal i lęk o los Sturma.

Rozdział IX

Silvanesti. Wejście w sen

Trzeciego dnia kontynuowali podróż, lecąc ku wschodzącemu słońcu. Wydawało się, że zgubili pościg smoków, choć Tika, która trzymała tylną straż miała wrażenie, że dostrzega ciemne punkty na horyzoncie. Tego też popołudnia, kiedy słońce za ich plecami chyliło się ku zachodowi, zbliżyli się do rzeki znanej jako Thon-Thalas – Rzeka Władcy – która odgradzała Silvanesti od świata zewnętrznego.

Przez całe swe życie Tanis słyszał o cudach i pięknie starożytnego Domu Elfów, choć elfowie z Qualinesti mówili o nim bez żalu. Nie tęsknili za utraconą wspaniałością Silvanesti, bowiem właśnie te cuda stały się symbolem różnic dzielących ród elfów.

W Qualinesti elfowie żyli w zgodzie z naturą, rozwijając ją i dodając jej uroku. Budowali swe domy wśród osik, magicznie zdobiąc ich pnie srebrem i złotem. Wznosili swe domostwa z lśniącego, różowego kwarcu i zapraszali przyrodę, by zamieszkała wśród nich.

Silvanesti zaś we wszystkim kochali wyjątkowość i różnorodność. Nie dostrzegając istnienia owej unikalności w naturze, przekształcali przyrodę tak, by dopasowała się do ich ideałów. Mieli cierpliwość i mieli czas – Czymże bowiem były stulecia dla elfów, których życie mierzone było setkami lat? Tak więc zmieniali kształt całych lasów, przystrzygając i kopiając, zmuszając drzewa i kwiaty do tworzenia fantastycznych ogrodów niezrównanej urody.

Nie budowali domów, lecz obciosywali i kształtowali naturalnie występujące na ich ziemiach marmurowe skały w tak cudowne i osobliwe kształty, iż za nim rasy krasnoludów i elfów poróżniły się, krasnoludzcy rzemieślnicy przemierzali tysiące kilometrów, by je ujrzeć, a zobaczywszy je, mogli tylko zapłakać na widok tak niespotykanego piękna. Powiadano również, że człowiek, który zawędrował do ogrodów Silvanesti, nie potrafił już ich opuścić, lecz zostawał w nich na zawsze – uwięziony i urzeczony pięknym snem.

Tanis oczywiście znał to wszystko jedynie z legend, bowiem od czasów bratobójczych wojen żaden Qualinesti nie odwiedził swej pradawnej ojczyzny. Mniemano, że ludzi nie wpuszczano do Silvanesti już na sto lat przed tymi wydarzeniami.

– Czy prawdę mówią opowieści – Tanis spytał Alhanę, gdy przelatywali nad drzewami na grzbietach gryfów – opowieści o ludziach uwięzionych przez piękno Silvanesti i nie mogących się zeń wydostać? Czy moi przyjaciele mogą wejść na tę ziemię?

Alhana obejrzała się na niego. – Wiedziałam, że ludzie są słabi – rzekła chłodno – lecz nie sądziłam, że aż tak bardzo. To prawda, że ludzie nie przybywają do Silvanesti, lecz

dlatego, że ich nie wpuszczamy. Z całą pewnością nie chcielibyśmy żadnego z nich zatrzymać u siebie. Gdybym uważała, że może to nam grozić, nie wpuściłabym was do mojej ojczyzny.

– Nawet Sturma? – nie mógł się powstrzymać od kąśliwej uwagi, dotknięty jej zjadliwym tonem.

Nie oczekiwał jednak takiej reakcji. Alhana odwróciła się ku niemu tak szybko, że poczuł na skórze smagnięcie jej długich, czarnych włosów. Twarz jej tak pobladła z gniewu, aż wydawała się przezroczysta. Mógł dostrzec żyłki pulsujące pod jej skórą. Wydawało mu się, że tonie w czarnej głębi jej ciemnych oczu.

– Nigdy więcej nie wspominaj o tym przy mnie! – wycodziła przez zaciśnięte zęby i pobladłe wargi. – Nigdy więcej nie wspominaj o nim!

– Ale zeszej nocy... – zdumiony Tanis zawahał się, dotykając dłonią palącego policzka.

– Zeszej nocy nie było – powiedziała Alhana. – Byłam słaba, zmęczona, przerażona. Tak jak wtedy... gdy spotkałam Stur – tego rycerza. Żałuję, że rozmawiałam z tobą o nim. Żałuję, że powiedziałam ci o gwiezdnych klejnocie.

– Czy żałujesz, że mu go dałaś? – zapytał Tanis.

– Żałuję dnia, w którym moja noga postąpiła w Tarsis – odparta Alhana niskim, pełnym pasji głosem. – Obym nigdy tam się nie zjawiała! Nigdy! – Odwróciła się gwałtownie, zostawiając Tanisa ponurym myśłom.

Drużyna dotarła właśnie do rzeki, gdy gryfy nagle zatrzymały swój lot. W zasięgu wzroku mieli wysoką Wieżę Gwiazd, która lśniła jak rozwijający się ku słońcu sznur pereł. Spoglądając przed siebie Tanis nie dostrzegał żadnych oznak niebezpieczeństwa, a jednak ich gryfy wciąż szybko zbliżały się ku ziemi.

Trudno doprawdy byłoby uwierzyć, że Silvanesti zostało napadnięte. W powietrzu nie było śladu cienkich smug dymu z obozowisk, jakich nie brakowałyby, gdyby smokowcy zajęli te ziemie. Okolica nie była spalona, ani spustoszona. W dole Tanis widział zieleń osik błyszczących w słońcu. Tu i ówdzie lśnił w lesie biały splendor marmurowych domów.

– Nie! – Alhana odezwała się do gryfów w języku elfów. – Rozkazuję wam! Lećcie dalej! Muszę dotrzeć do wieży!

Gryfy ignorowały ją jednak, zataczając koła coraz niżej.

– Co się dzieje? – zapytał Tanis. – Dlaczego się zatrzymujemy? Jesteśmy już blisko wieży. Co się stało? – Rozejrzył się wokół. – Nie widzę niczego, czym należałoby się martwić.

– Nie chcą lecieć dalej – powiedziała Alhana. – Na jej twarzy malował się niepokój. – Nie chcą mi powiedzieć dlaczego, tylko twierdzą, że dalej musimy iść sami. Nie rozumiem tego.

Tanisowi nie podobało się to. Gryfy znane były ze swej dzikości i niezależności, lecz kiedy raz już pozyskało się ich wierność, służyły swym panom z pełnym oddaniem. Królewski ród Silvanesti zawsze oswajał gryfy dla swych potrzeb. Choć były mniejsze od smoków, ich ogromna szybkość, ostre szpony, zakrzywiony dziób i zakończone lwimi pazurami tylne łapy czyniły z nich przeciwników, z którymi należało się liczyć. Tanis słyszał, że nie lękały się niemal niczego na Krynnie. Pamiętał, że gryfy przedarły się do Tarsis przez chmary smoków bez oznak strachu.

Teraz jednakże gryfy najwyraźniej się czegoś obawiały. Wylądowały na brzegu rzeki, nie zważając na gniewne i władcze polecenia Alhany, która kazała im lecieć dalej. Muskały ponuro swe pióra i uparcie odmawiały posłuszeństwa.

W końcu drużynie nie pozostało nic innego, jak zsunąć się z grzbietów gryfów i ściągnąć z nich bagaże. Wtedy ptasio-lwie stworzenia rozpostarły skrzydła z dziką godnością i wzbiły się w niebo.

– No cóż, to tyle – rzuciła ostro Alhana, ignorując gniewne spojrzenia, jakie jej posyłano. – Będziemy musieli po prostu iść pieszo. To już niedaleko.

Drużyna stanęła bezradnie na brzegu rzeki, spoglądając ponad jej skrzącym się nurtem na las po drugiej stronie. Wszyscy byli spięci, czujni i wypatrywali kłopotów. Widzieli jednak tylko drzewa błyszczące w ostatnich promieniach zachodzącego słońca. Rzeka szmerząc, omywała brzeg. Choć osiki były jeszcze zielone, cisza zimy spowijała już ziemię.

– O ile pamiętam, powiedziałaś, że twój lud zbiegł przed oblężeniem – Tanis powiedział wreszcie do Alhany.

– Jeśli ten kraj jest pod władzą smoków, to ja jestem krasnolud żlebowy! – parsknął Caramon.

– Tak było! – odparła Alhana, uważnie badając wzrokiem nasłoneczniony las. – Smoki przesłaniały niebo

– tak jak w Tarsis! Smokowcy wkroczyli do naszych ukochanych lasów, paląc, niszcząc... – jej głos ucichł.

Caramon pochylał się ku Riverwindowi i mruknął. – Niepotrzebnie zadaliśmy sobie tyle trudu.

Mieszkaniec równin rzucił mu posępne spojrzenie. – Będziemy mieli szczęście, jeśli skończy się tylko na tym – oświadczył, spoglądając na elfią pannę. – Po co ona nas tu

sprowadziła? Może to podstęp.

Caramon zastanowił się nad tym przez chwilę, a potem posłał zaniepokojone spojrzenie bratu, który od chwili, gdy gryfy odleciały nie odezwał się, nie poruszył, ani nie oderwał swych dziwnych oczu od lasu. Potężny wojownik poluzował miecz w pochwie i podszedł krok bliżej do Tiki. Wydawało się, że wzięli się za ręce niemal przez przypadek. Tika spojrzała ze strachem na Raistlina, lecz mocno trzymała się Caramona.

Czarodziej tylko spoglądał na las nieruchomym wzrokiem.

– Tanisie! – odezwała się nagle Alhana, zapominając się z radości i kładąc dłoń na jego ramieniu. – Może udało się! Może mój ojciec pokonał ich i możemy wrócić do domu. Och, Tanisie... – Drżała z podniecenia. – Musimy przeprowić się przez rzekę i dowiedzieć się! Chodźcie! Przystań promu znajduje się tuż za zakretem... –

– Alhano, zaczekaj! – zawołał Tanis, lecz ona już biegła po równym, porośniętym trawą brzegu, a długa spódnica furkotała jej wokół kostek. – Alhano! Do licha. Caramonie, idź za nią wraz z Riverwindem. Goldmoon, spróbuj przemówić jej do rozsądku.

Riverwind i Caramon zamienili niespokojne spojrzenia, lecz posłuchali rozkazu Tanisa i pobiegli za Alhana brzegiem rzeki. Goldmoon i Tika ruszyły za nimi nieco wolniej.

– Kto wie, co jest w tych lasach? – mruknął Tanis. – Raistlinie...

Mag zdawał się go nie słyszeć. Tanis podszedł bliżej. – Raistlinie? – powtórzył, dostrzegając jego puste spojrzenie.

Raistlin popatrzył na niego niewidzącym wzrokiem, jakby budził się ze snu. Wtedy zdał sobie sprawę, że ktoś do niego mówi. Spuścił oczy.

– Co to takiego, Raistlinie? – zapytał Tanis. – Co wyczuwasz?

– Nic, Tanisie – odpowiedział mag. Tanis zamrugał. – Nic? – powtórzył.

– To jest jak nieprzenikniona mgła, jak pusta ściana – szepnął Raistlin. – Nic nie widzę, niczego nie wyczuwam.

Tanis przyjrzał mu się uważnie i nagle zorientował się, że Raistlin kłamie. Ale dlaczego? Mag spokojnie wytrzymał spojrzenie półelfa, a nawet na jego cienkich wargach pojawił się nikły uśmiezek, jakby wiedział, że Tanis mu nie wierzy, lecz było mu to obojętne.

– Raistlinie – rzekł cicho Tanis – przypuśćmy, że Lorac, król elfów, próbował użyć smoczej kuli – co by się wtedy stało?

Czarodziej uniósł oczy, by spojrzeć na las. – Czy sądzisz, że to możliwe? – zapytał.

– Tak – odparł Tanis. – Z tych kilku stów, jakie powiedziała mi Alhana wynika, że podczas prób w Wieży Wielkiej Magii w Istar smocza kula przemówiła do Loraca, polecając

mu ocalić ją przed zbliżającą się katastrofą.

– I posłuchał jej? – zapytał Raistlin głosem cichym jak wody prastarej rzeki.

– Tak. Przyniósł ją do Silvanesti.

– A zatem to smocza kula z Istar – szepnął Raistlin. Zmarszczył brwi, a potem westchnął tęsknie. – Nic nie wiem o smoczycach kulach – oświadczył chłodno – poza tym, co już ci powiedziałem. Wiem jednakże jedno, Półelfie – nikt z nas nie opuści Silvanesti cało, jeśli w ogóle stąd wyjdziemy.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Jakie niebezpieczeństwo tam czeka?

– A cóż to za różnica, jakie niebezpieczeństwo dostrzegam? – spytał Raistlin, wsuwając dłonie w rękawy swej czerwonej szaty. – Musimy wejść do Silvanesti. Wiesz o tym równie dobrze, jak ja. A może zrezygnujesz z szansy odnalezienia smoczyczej kuli?

– Jeśli widzisz niebezpieczeństwo, powiedz nam! Moglibyśmy przynajmniej wejść przygotowani – zaczął gniewnie Tanis.

– Zatem przygotujcie się – szepnął cicho Raistlin, po czym odwrócił się i ruszył wolno piaszczystą plażą w ślad za swoim bratem.

Liście drzew na przeciwległym brzegu połyskiwały w ostatnich promieniach słońca, gdy drużyna przeprowaiała się na drugi brzeg. Stopniowo baśniowy las Silvanesti pogrążał się w mroku. Cienie nocy snuły się u podnóża drzew, jak ciemna woda przepływająca pod kilem promu.

Płynęli powoli. Ozdobnie rzeźbiona, płaskodenna łódź, która służyła za prom łączący oba brzegi za pomocą wymyślnego systemu lin i krążków, pozornie była w dobrym stanie. Gdy jednak znaleźli się na pokładzie i zaczęli przeprowę, odkryli, iż liny były przegniłe. Łódź zaczęła się rozpadać na ich oczach. A i sama rzeka zdawała się zmieniać. Czerwono – brunatna woda o słabym zapachu krwi sączyła się przez kadłub.

Ledwie wyskoczyli z łodzi na brzeg i zaczęli wyładowywać bagaże, gdy wystrzępiona lina pękła. Nurt natychmiast porwał prom w dół rzeki. W tej samej chwili zmierzch zniknął i pochłonęła ich noc. Choć niebo było czyste i żadna chmura nie szpeciła jego ciemnej głębi, nie widać było gwiazd. Nie wzeszedł ani czerwony, ani srebrny księżyc. Jedyne źródłem światła była rzeka, która lśniła niezdrowym, upiornym blaskiem.

– Raistlinie, twoja laska – powiedział Tanis. Jego głos zabrzmiał nienaturalnie głośno w cichym lesie. Nawet Caramon zadrżał.

– *Shirak* – rozkazał Raistlin i kryształowa kula osadzona w smoczyczych szponach rozblęła światłem. To światło było jednak zimne i blade. Wydawało się, że oświetla tylko dziwne, klepsydrowe oczy maga.

– Musimy wejść do lasu – powiedział drżącym głosem Raistlin. Odwrócił się i niepewnym krokiem ruszył w stronę puszczy.

Nikt poza nim nie drgnął ani się nie odezwał. Wszyscy stali na brzegu ogarnięci nieuzasadnioną trwogą. Było to tym bardziej przerażające, że nielogiczne. Spod ziemi wypełzał strach. Strach przenikał ich członki i wnętrzności, kradnąc siłę z serca i mięśni, wżerając się w mózg.

Strach... przed czym? Nic tam nie było! Nic! Nie było czego się bać, a jednak wszyscy bali się tej nicości bardziej niż czegokolwiek.

– Raistlin ma rację. My... musimy wejść w ten las... znaleźć schronienie... – Tanis wypowiadał te słowa z wysiłkiem, dzwoniąc zębami. – Chodźmy za Raistlinem.

Dygocząc, ruszył przed siebie i nie wiedział, czy ktokolwiek idzie za nim. Było mu to zresztą obojętne. Słyszał za sobą głos Tiki, która pochlipywała cicho i Goldmoon, która próbowała się modlić, choć wargi odmawiały jej posłuszeństwa. Słyszał, jak Caramon woła do swojego brata, by się zatrzymał i jak Riverwind krzyczy coś przerażony. To nie miało jednak żadnego znaczenia. Musiał biec, wydostać się stąd! Jego jedynym przewodnikiem było światełko laski Raistlina.

Rozpaczliwie podążał za magiem w głąb lasu. Gdy jednak dotarł do drzew, zabrakło mu sił. Był zbyt przerażony, by iść dalej. Drżąc, osunął się na kolana, a potem przypadł do ziemi, kurczowo wbijając w nią palce.

– Raistlinie! – z jego gardła wydobył się ochryply okrzyk.

Czarodziej nie mógł mu jednak pomóc. Ostatnią rzeczą, jaką widział Tanis był blask laski Raistlina, która wolno, coraz wolniej opadała ku ziemi wypuszczona z bezwładnej, pozornie martwej dłoni maga.

Drzewa. Piękne drzewa Silvanesti. Drzewa kształtowane przez wieki w gaje pełne cudów i czarów. Wszędzie wokół Tanisa rosły drzewa. Ale teraz te drzewa zwróciły się przeciw swym panom, zmieniając się w gaje żywej grozy. Jadowicie zielone światło sączyło się poprzez ich drżące liście. Tanis rozglądał się wokół przerażony. Widział w życiu wiele rzeczy dziwnych i strasznych, nigdy jednak czegoś takiego. To mogło przyprawić o utratę zmysłów. Rzucił się jak szalony, to w tę, to w tamtą stronę, nie znajdując drogi ucieczki. Wszędzie wokół były drzewa – drzewa Silvanesti. Ohydnie zmienione.

Dusza każdego z drzew uwięziona była wewnątrz pnia i skazana na męki. Powykręcane gałęzie przypominały skrzywione z bólu członki. Korzenie rozgrzebywały ziemię w beznadziejnej próbie ucieczki. Sok żywych drzew wyciekał z głębokich ran w korze. Szum liści brzmiał jak krzyk bólu i przerażenia. Drzewa Silvanesti płakały krwią.

Tanis nie miał pojęcia, gdzie się znajdował i od jak dawna. Pamiętał, że rozpoczął swój marsz ku Wieży Gwiazd, którą widział ponad koronami osik. Szedł i szedł, i nic go nie zatrzymywało. Nagle usłyszał krzyk przestraszonego kendera, zupełnie jakby krzyczało małe, dręczone zwierzątko. Odwrócił się i ujrzał Tasslehoffa, który wskazywał na drzewo. Spoglądając na nie trwożliwie, Tanis dopiero wówczas zrozumiał, że Tasslehoffa w ogóle nie powinno tu być. Widział też pobladłego ze strachu Sturma i płaczącą rozpaczliwie Lauranę, i Flinta o nieruchomych, szeroko otwartych oczach.

Tanis objął Lauranę i w objęciach czuł istotę z krwi i kości, ale mimo to wiedział, że jej tam nie ma i ta świadomość go przerażała. Stał pośród lasu, który przypominał więzienie dla potępionych. Wokół narastała groza. Spoza udręczonych drzew wyskoczyły zwierzęta i rzuciły się w stronę drużyny.

Aby odeprzeć atak, Tanis wyciągnął miecz, ale nie potrafił go utrzymać w rozdygotanej dłoni. Nie mógł na to patrzeć, bowiem żyjące zwierzęta przybrały potworne, wypaczone kształty żywych trupów.

Pośród nich jechały zastępy elfich wojowników o przerażających, trupich twarzach. W ich pustych oczodołach nie jaśniały oczy, ciało nie okrywało delikatnych kości ich rąk. Wjechali pomiędzy drużynę z płonącymi jasno mieczami, które piły żywą krew, lecz gdy dosięgała ich jakaś broń, znikali bez śladu.

Jednakże rany zadane przez nich były prawdziwe. Caramon walczący z wilkiem, z którego ciała wyrastały węże, podniósł wzrok i ujrzał, jak jeden z elfów zmierza ku niemu, dzierżąc błyszczącą włócznię w odartej za skóry dłoni. Caramon krzyknął do brata, wołając o pomoc.

– *Ast kiranann Soth – aran/Suh kali Jalaran* – powiedział Raistlin. Kula ognia strzeliła z dłoni maga i rozprysła się wprost na elfie – bez skutku. Włócznia elfa z ogromną siłą przebiła zbroję Caramona, przeszła jego ciało i przyspiliła go do drzewa.

Upiór wyszarpnął oszczep z barku człowieka i Caramon osunął się na ziemię. Jego krew mieszała się z krwią drzewa. Z wściekłością, która jego samego wprawiła w zdumienie, Raistlin oderwał srebrny sztylet z rzemienia ukrytego na przedramieniu i cisnął nim w elfa. Ostrze dosięgło celu i wojownik wraz z koniem rozpląnął się w powietrzu. Caramon leżał jednak nieruchomo na ziemi z ramieniem niemal odrąbanym od ciała.

Goldmoon uklękła, by zaleczyć ranę, lecz słowa modlitwy zamarły jej na ustach, bowiem wiara zawiodła ją pośród tego koszmaru.

– Pomóż mi, Mishakal – modliła się Goldmoon. – Pomóż mi, bym mogła pomóc memu przyjacielowi.

Okropna rana zasklepiła się. Choć krew wciąż sączyła się z niej, spływając po ręce Caramona, śmierć wypuściła go ze swych szponów. Raistlin ukląkł przy bracie. Zaczął mówić do niego i nagle zamilkł. Spojrzał na drzewa za Caramonem i jego dziwne oczy rozszerzyły się z niedowierzania.

– Ty! – szepnął Raistlin.

– Kto to? – wyszeptał Caramon, słysząc nutę grozy i strachu w głosie Raistlina. Potężny mężczyzna wbijał wzrok w zielonkawe światło, lecz nic nie widział. – O kim mówisz?

Raistlin jednak nie odpowiedział, pogrążony już w innej rozmowie.

– Potrzebuję twojej pomocy – mówił z powagą czarodziej. – Teraz, tak jak przedtem.

Caramon zobaczył, że jego brat wyciąga rękę, jakby sięgając poprzez wielką przepaść i zdjął go strach, choć nie wiedział, czemu.

– Nie, Raist! – krzyknął, w panice chwytając brata. Raistlin opuścił rękę.

– Nasza umowa nadal obowiązuje. Co? Żądasz więcej? – Raistlin umilkł na chwilę, a potem westchnął. – Powiedz, czego chcesz!

Przez długą chwilę mag nasłuchiwał. Caramon, który przyglądał mu się z pełnym miłości zatroskaniem ujrzał, jak chuda, metalicznie połyskująca twarz jego brata blednie śmiertelnie. Raistlin zamknął oczy i przełknął ślinę, jakby pił swój gorzki ziołowy napar. Wreszcie spuścił głowę.

– Zgadzam się.

Caramon krzyknął ze zgrozy, widząc jak czerwone szaty Raistlina, których kolor symbolizował jego neutralność wobec spraw tego świata, zaczynają ciemnieć, przybierając barwę karmazynu, potem krwawej czerwieni, a wreszcie ciemnieją jeszcze bardziej – przechodząc w czern.

– Zgadzam się – powtórzył spokojnie Raistlin – rozumiejąc, że przyszłość może ulec zmianie. Co musimy zrobić?

Słuchał uważnie. Caramon trzymał się za ramię i jęczał z bólu.

– Jak dostaniemy się żywi do wieży? – zapytał Raistlin swego niewidzialnego rozmówcę. Raz jeszcze z uwagą wysłuchał odpowiedzi i skinął głową. – I dostanę, czego mi potrzeba? Doskonale. Żegnaj zatem i odejdź w pokoju, jeśli to możliwe na twych mrocznych ścieżkach.

Raistlin podniósł się z szelestem szat. Nie zwracając uwagi na łkania Caramona i pełne grozy westchnienie, jakim go powitała Goldmoon, mag ruszył na poszukiwanie Tanisa. Znalazł półelfa, który wsparty plecami o drzewo, odpierał atak gromady elfich wojowników.

Raistlin sięgnął spokojnie do sakwy i wyjął z niej strzęp króliczego futra i małą, bursztynową różdżkę. Pocierając je w lewej dłoni, prawą uniósł i powiedział: *Ast kiranann kair Gadurm Soth-arn/suh kali Jalaran.*

Z jego palców wystrzeliły błyskawice, które przeszły zielonkawą oświatę i trafiły elfów. Podobnie jak przedtem wszyscy znikli bez śladu. Wyczerpany Tanis odstaąpił o krok, chwiejąc się na nogach.

Raistlin stał na polanie pośród udręczonych i okaleczonych drzew.

– Stańcie wokół mnie! – polecił czarodziej swym towarzyszom.

Tanis zawahał się. Widmowi wojownicy czaili się na obrzeżach polany. Gotowali się do ataku, lecz Raistlin uniósł dłoń, a oni zatrzymali się, jakby napotkali niewidzialną ścianę.

– Podejdźcie i stańcie blisko mnie. – Przyjaciele byli zdziwieni, słysząc że Raistlin mówi swym normalnym głosem – po raz pierwszy od czasu próby. – Pośpieszcie się – dodał. – Teraz nie zaatakują. Boją się mnie, ale nie mogę powstrzymywać ich długo.

Tanis wystąpił naprzód, a jego ruda broda i krew sącząca się z rany na głowie wyraźnie odcinały się od poblądłej twarzy. Goldmoon podtrzymywała Caramona. Wojownik trzymał się za broczące krwią ramię, a jego rysy wykrzywiały ból. Powoli, towarzysze kolejno posuwali się naprzód. W końcu tylko Sturm stał poza kręgiem.

– Zawsze wiedziałem, że do tego dojdzie – powiedział powoli rycerz. – Prędzej umrę, niż zawierzę twej opiece, Raistlinie.

Powiedziawszy to, odwrócił się i zanurzył się w głębi lasu. Tanis ujrzał, jak przywódca elfów jednym gestem posyła za nim część swego upiornego oddziału. Półelf chciał iść za nimi, lecz nagle przystanął, czując na ramieniu uścisk zadziwiająco silnej dłoni.

– Niech idzie – powiedział twardo czarodziej – inaczej wszyscy zginiemy. Mam wieści do przekazania, a mój czas jest ograniczony. Musimy udać się przez las do Wieży Gwiazd. Będziemy stąpać ścieżką śmierci, bowiem każde potworne stworzenie, jakie kiedykolwiek narodziło się w upiornych koszmarach śmiertelników wstanie, by zagrozić nam drogę. Wiedźcie jednak, że błąkamy się we śnie – w koszmarnym śnie Loraca. I naszym własnym koszmarze. Wizje przyszłości pojawiają się, by pomóc nam, bądź przeszkodzić. Pamiętajcie, że choć nasze ciała istnieją na jawie, nasze umysły śpią. Śmierć istnieje tylko w naszych myślach, póki w nią nie uwierzymy.

– Dlaczego więc nie możemy się obudzić? – zapytał gniewnie Tanis.

– Bo Lorac zbyt mocno wierzy w ten sen, a wasza wiara jest zbyt słaba. Kiedy będziecie przekonani do końca, bez żadnych wątpliwości, że to sen – powrócicie do rzeczywistości.

– Jeśli to prawda – powiedział Tanis – a ty jesteś pewien, że to sen, dlaczego się nie budzisz?

– Być może nie chcę – odparł Raistlin z uśmiechem.

– Nie rozumiem! – zawołał rozżalony Tanis.

– Zrozumiesz – ponuro wróżył Raistlin – albo umrzesz. A wtedy to nie będzie już ważne.

Rozdział X

Sen na jawie. Wizje przyszłości

Nie zważając na przerażone spojrzenia swych towarzyszy, Raistlin podszedł do brata, który stał, trzymając się za broczące krwią ramię.

– Ja się nim zajmę – powiedział Raistlin do Goldmoon, obejmując bliźniaka ramieniem spowitym w czarną tkaninę.

– Nie – wysapał Caramon – nie jesteś dość sil... – Umilkł, czując podtrzymujące go ramię brata.

– Teraz jestem już wystarczająco silny, Caramonie – rzekł łagodnie Raistlin, a na sam dźwięk jego łagodnego głosu wojownika przeszedł dreszcz. – Wesprzyj się na mnie, mój bracie.

Oslabiony bólem i strachem, po raz pierwszy w życiu Caramon wsparł się na ramieniu Raistlina. Mag podtrzymywał go i razem zaczęli iść przez okropny las.

– Co się dzieje, Raist? – zapytał zdławionym głosem Caramon. – Dlaczego masz na sobie strój czarnych szat? A twój głos...

– Oszczędzaj siły, mój bracie – poradził cicho Raistlin.

We dwóch zagłębili się w lesie, a powstali z grobu wojownicy elfów mierzyli ich pełnymi wrogości spojrzeniami spomiędzy drzew. Widzieli nienawiść, jaką martwi darzą żywych, jarzącą się w pustych oczodołach trupich wojowników. Żaden jednakże nie ośmielił się napaść maga w czarnych szatach. Caramon czuł, jak jego krew serdeczna sączy mu się obfitą i ciepłą strugą przez palce. Czuł się coraz słabszy, przyglądając się jak krople kapią na martwe, oślizgłe liście pod jego stopami. W majakach nawet wydało mu się, że jego czarny cień rósł w siłę w miarę, jak on ją tracił.

Tanis śpieszył przez las w poszukiwaniu Sturma. Znalazł go walczącego z gromadą migotliwych elfich wojowników.

– To sen – krzyknął Tanis do Sturma, który ciął i dźgał powstałe z grobu istoty. Za każdym razem, gdy którąś trafiał, znikala, by po chwili znów się pojawić. Półelf wyciągnął miecz i pobiegł walczyć u boku Sturma.

– Akurat! – mruknął rycerz, a potem krzyknął z bólu, gdy strzała wbiła mu się w ramię. Rana nie była głęboka, bowiem ochroniła go kolczuga, lecz obficie krwawiła. – I to ma być sen? – rzekł Sturm, wyszarpując z rany okrwawione drzewce.

Tanis zasłonił sobą rycerza, odpędzając wrogów, dopóki Sturm nie zdoła powstrzymać upływu krwi.

– Raistlin powiedział nam... – zaczął Tanis.

– Raistlin! Ha! Spójrz na jego szaty, Tanisie!

– Ale ty jesteś tutaj! W Silvanesti! – zaprotestował zbity z tropu Tanis. Miał nadzwyczaj osobliwe uczucie, że sprzecza się sam ze sobą. – Alhana powiedziała, że jesteś na Lodowej Ścianie!

Rycerz wzruszył ramionami. – Może wysłano mnie, bym wam pomógł.

W porządku. To jest sen, powiedział sobie Tanis. Obudzę się!

Nie nastąpiła jednak zmiana. Elfowie wciąż byli i nie zaprzestawali walki. Sturm musi mieć rację. Raistlin skłamał. Tak samo, jak skłamał, gdy wchodzili do lasu. Ale dlaczego? W jakim celu?

Wtedy Tanis zrozumiał. Smocza kula!

– Musimy dotrzeć do wieży przed Raistlinem! – Tanis krzyknął do Sturma.

Rycerz nie mógł uczynić nic innego, jak tylko skinać głowę. Tanisowi wydawało się, że od tego momentu nie robili nic innego, jak tylko walczyli o każdą piędź ziemi, o jaką się posuwali naprzód. Co jakiś czas dwaj wojownicy zmuszali martwych elfów do wycofania się, lecz po chwili fala napastników była jeszcze większa. Wiedzieli, że mija czas, lecz nie mieli pojęcia o jego rzeczywistym upływie. W jednej chwili słońce przeświecało przez duszną, zieloną mgłę, a w następnej cień nocy zwieszał się nad ziemią niczym skrzydła smoków.

A potem, gdy zapadł głęboki zmrok, Sturm i Tanis dostrzegli wieżę. Wysoka, marmurowa wieża błyszczała bielą. Stała samotnie na polanie, wznosząc się ku niebu jak palec szkieletu wystający z mogiły.

Na widok wieży obaj mężczyźni zaczęli biec. Choć byli słabi i wycieńczeni, żaden nie miał ochoty zostawać w tym upiornym lesie po zmierzchu. Elfi wojownicy, ujrawszy, że ofiary wymykają im się, krzyknęli z wściekłości i popędzili za nimi.

Tanis biegł, aż wydawało mu się, że płuca mu pękną z bolesnego wysiłku. Sturm biegł w przód, tnąc upiory, które pojawiały się przed nimi i próbowały zagrażać im drogę. W chwili, gdy Tanis zbliżał się do wieży, poczuł, że zaczepia butem o korzeń drzewa i zwałił się na ziemię głową naprzód.

Półelf rozpaczliwie usiłował wypłatać się, lecz korzeń trzymał mocno. Tanis szarpał się bezradnie, a tymczasem martwy elf o wykrzywionej groteskowo twarzy uniósł włócznię, by przeszyć nią Tanisa. Nagle zjawa otworzyła szerzej oczy i wypuściła oręż z bezwładnych palców, gdyż jej przezroczyste ciało przeszył miecz. Elf znikł z wrzaskiem.

Tanis podniósł głowę, by zobaczyć, kto uratował mu życie. Był to nieznajomy wojownik, obcy – a jednak dobrze znany. Wojownik zdjął hełm i Tanis spojrzał w błyszczące,

brązowe oczy!

– Kitiara! – sapnął wstrząśnięty. – Ty tutaj? Jak? Dlaczego?

– Słyszałam, że potrzebujesz pomocy – powiedziała Kitiara, której krzywy uśmiech nie stracił nic ze swego uroku. – Zdaje się, że nie myliłam się. – Wyciągnęła rękę. Chwycił ją, nie mogąc pozbyć się wątpliwości, gdy stawiała go na nogi. Jednakże była z krwi i kości. – Kto tam jest na przodzie? Sturm? Cudownie! Jak za dawnych czasów! Idziemy do wieży? – zapytała Tanisa, wybuchając śmiechem na widok zaskoczenia na jego twarzy.

Riverwind samotnie zmagał się z zastępami martwych elfów. Wiedział, że nie wytrzyma już długo. Wtem posłyszał czysto brzmiący okrzyk. Podnosząc wzrok, ujrzał współplemieńców z Que-Shu! Odkrzyknął radośnie. Lecz, ku swemu przerażeniu, dostrzegł, iż mierzą do niego z łuków.

– Nie! – krzyknął. – Nie poznajecie mnie? Jestem...

Wojownicy Que-Shu odpowiedzieli jedynie brzękiem cięciw. Riverwind poczuł, jak jedno pierzaste drzewce za drugim zagłębia się w jego ciało.

– Ty przyniosłeś laskę z błękitnego kryształu między nas! – wołali. – To twoja wina! Zagłada naszej wioski to twoja wina!

– Nie chciałem tego – szepnął, osuwając się na ziemię. – Nie wiedziałem. Wybaczcie mi.

Tika cięła i wyrąbywała sobie drogę wśród elfich wojowników, lecz nagle dostrzegła, że zmienili się w smokowców! Ich gadzie oczka połyskiwały czerwono. Językami oblizywali miecze. Barmankę zmroził strach. Potknąwszy się, wpadła na Sturma. Rycerz gniewnie odwrócił się, rozkazując jej zejść z drogi. Dziewczyna cofnęła się niezdarnie i potraçała Flinta. Zniecierpliwiony krasnolud odepchnął ją na bok.

Oślepiąca łzami i zdjęta paniką na widok smokowców, którzy powracali do boju, wyrastając w pełni rozmiarów ze swych własnych martwych ciał, Tika straciła panowanie nad sobą. Ogarnięta strachem dźgała na oślep wszystko, co się ruszało.

Oprzytomniała dopiero wtedy, gdy podniosła głowę i zobaczyła Raistlina stojącego przed nią w czarnych szatach. Czarodziej nic nie powiedział, tylko wskazał na dół.

U stóp Tiki leżał nieżywy Flint, przeбитý jej własnym mieczem.

Ja ich tu przyprowadziłem, pomyślał Flint. To ja jestem odpowiedzialny. Jestem najstarszy. Wydostanę ich stąd.

Krasnolud podrzucił w dłoniach topór bojowy i okrzykiem rzucił wyzwanie elfim wojownikom, którzy stali przed nim. Jednakże oni tylko zaśmiali się.

Rozgniewany Flint ruszył naprzód – i stwierdził, że sztywno chodzi. Stawy kolanowe

spuchły mu i okropnie dokuczały. Sękate palce trzęsły się tak, że topór wyslizgiwał mu się z rąk. Brak mu było tchu. I wtedy Flint zrozumiał, dlaczego elfowie nie atakują: pozwalają mu umrzeć ze starości.

Uświadomiwszy sobie ten fakt, Flint stwierdził, że umysł zaczyna go zawodzić. Oczy zaszyły mu mgłą. Poklepując się po kieszeni kamizeli, zastanawiał się, gdzie wsadził te przekłete okulary. Jakiś kształt zamajaczył przed nim, znajomy kształt. Czyżby to była Tika? Bez okularów nic nie widział...

Goldmoon biegła wśród pokręconych, udreńczonych drzew. Zagubiona i samotna, rozpaczliwie szukała przyjaciół. Z dala doszedł ją głos Riverwinda wołającego ją przez donośny brzęk stali. A potem usłyszała jego krzyk przerwany charkotem agonii. Rozpaczliwie rzuciła się naprzód, przedzierając się przez kolczaste chaszczce, aż pokrwawiła sobie twarz i rękę. Wreszcie znalazła Riverwinda. Wojownik leżał na ziemi przeszyty licznymi strzałami – strzałami, które poznawała!

Podbiegłszy do niego, przyklękła obok. – Ulecz go, Mishakal! – pomodliła się, tak jak czyniła to wiele razy.

Jednakże nic się nie stało. Rumieniec nie wrócił na poblądłą twarz Riverwinda. Jego oczy wciąż nieruchomo tkwiły w zielonkawo zabarwionym nieboskłonie.

– Czemu nie odpowiadacie? Uleczcie go! – wołała Goldmoon do bogów. I wtedy zrozumiała. – Nie! – krzyknęła. – Ukarzcie mnie! To ja zwątpiłam. To ja poddawałam w wątpliwość wasze wyroki! Widziałam zniszczenie Tarsis i konające w mękach dzieci! Jak możecie na to pozwolić! Próbuję nie tracić wiary, lecz nie mogę powstrzymać się od powątpiewania, gdy widzę takie okropności! Nie karzcie go. – Płacząc, nachyliła się nad martwym ciałem swego męża. Nie dostrzegła elfich wojowników zacieśniających krąg wokół niej.

Tasslehoff zafascynowany straszliwymi cudami dookoła, zszedł ze ścieżki, a potem odkrył, że w jakiś sposób jego przyjaciółom udało się zgubić. Żywe trupy nie budziły w nim lęku. Ci, którzy żywili się strachem, nie znajdowali strachu w jego małej osobie.

Wreszcie, kręcący się tu i tam przez niemal cały dzień kender dotarł do drzwi Wieży Gwiazd. Tu jego beztraska podróż dobiegła nagle końca, bowiem odnalazł swoich przyjaciół – a przynajmniej jedną ze znajomych mu osób.

Zapędzona pod zamknięte drzwi Tika walczyła na śmierć i życie z zastępem poczwarnych wrogów rodem z koszmaru. Tas dostrzegł, że gdyby udało jej się dostać do wnętrza wieży, byłaby bezpieczna. Skoczył naprzód i dzięki drobnej figurce z łatwością dobiegł do drzwi, przemykając się wśród walczących. Zaczął przyglądać się zamkowi, a

tymczasem Tika powstrzymywała elfów szaleńczymi wymachami miecza.

– Pośpiesz się, Tas! – krzyknęła zasapana.

Nie był to trudny zamek do otworzenia. Pułapka zabezpieczająca go była tak prostacka, że Tas był zdziwiony, że elfowie w ogóle pofatygowali się zakładać ją.

– Powiniennem otworzyć ten zamek w ciągu kilku sekund – oświadczył. Jednakże w chwili, gdy zabierał się do roboty, coś szturchnęło go od tyłu tak, że ręka mu się ześlizgnęła.

– Hej! – krzyknął rozzłoszczony do Tiki i odwrócił się. – Uważaj trochę... – Przerwał nagle, zdjęty zgrozą. Tika leżała u jego stóp, a po jej rudych kędziorach spływała krew.

– Nie, nie Tika! – szepnął Tas. Może jest tylko ranna! Może jeśli wniesie ją do wnętrza wieży, ktoś będzie umiał jej pomóc. Oczy zaszyły mu łzami, ręce zaczęły mu się trząść.

Muszę się śpieszyć, pomyślał rozpaczliwie Tas. Dlaczego ten zatrzask nie chce się otworzyć? Jest taki prosty! W przypływie wściekłości szarpnął zamek.

Poczuł leciutkie ukłucie w palec w tej samej chwili, gdy w zamku coś trzasnęło. Drzwi do wieży otworzyły się. Tasslehoff jednak patrzył tylko na swój palec, na którym błyszczała maleńka kropla krwi. Spojrzał ponownie na zamek, w którym połyskiwała niewielka, złota igiełka. Prosty zamek, prosta pułapka. Uruchomił jedno i drugie. A gdy pierwsze efekty działania trucizny rozeszły się straszliwym ciepłem po jego ciele, spojrzał w dół i zobaczył, że było już za późno. Tika nie żyła.

Raistlin i jego brat przebyli las, nie ucierpiawszy przy tym. Caramon z rosnącym zdumieniem przyglądał się bratu, który odpędzał atakujące ich potwory czasami popisami niewiarygodnej magii, a czasem samą siłą woli.

Raistlin był dobry, czuły i współczujący. W miarę upływu godzin Caramon musiał coraz częściej się zatrzymywać. O zmierzchu ledwo powłóczył nogami, nawet wspierając się na ramieniu brata. A im słabszy stawał się Caramon, tym bardziej Raistlin rósł w siłę.

Wreszcie gdy mrok nocy przyniósł litościwy kres udręce zielonego dnia, bliźniacy dotarli do wieży. Tu zatrzymali się. Caramon miał gorączkę i cierpiał.

– Muszę odpocząć, Raist – wysapał. – Pomóż mi usiąść.

– Oczywiście, mój bracie – powiedział czule Raistlin. Pomógł Caramonowi oprzeć się o perłowy mur wieży, a potem przyjrzał się bratu chłodnym, błyszczącym wzrokiem.

– Żegnaj, Caramonie – rzekł.

Caramon popatrzył na bliźniaczego brata z niedowierzaniem. W mroku pod drzewami wojownik dostrzegł powstałych z grobu elfów, którzy szli za nimi w pełnej szacunku odległości. Zjawy podkładały się teraz coraz bliżej, wyczuwając, że mag, który ich odpędzał

odchodzi.

– Raist – powiedział powoli Caramon – nie możesz mnie tu zostawić! Nie mogę z nimi walczyć. Nie mam dość siły! Potrzebuję cię!

– Być może, lecz widzisz, mój bracie, ja już ciebie nie potrzebuję. Zyskałem twoją siłę. Teraz wreszcie jestem taki, jakim mógłbym być, gdyby nie okrutny żart natury – jedną całą osobą.

Caramon patrzył na niego nierozumiejącym wzrokiem, a Raistlin odwrócił się, by odejść.

– Raist!

Pełen udręki krzyk Caramona zatrzymał go. Raistlin wstrzymał swe kroki i obejrzał się na bliźniaka. W głębi jego czarnego kaptura widoczne były tylko złote oczy.

– Jakie to uczucie być słabym i przerażonym, mój bracie? – zapytał cicho. Odwróciwszy się, Raistlin ruszył w stronę wejścia do wieży, gdzie leżały już ciała Tiki i Tasa. Raistlin przekroczył zwłoki kendera i znikł w ciemności.

Dotarłszy do wieży, Sturm, Tanis i Kitiara zobaczyli ciało leżące w trawie u jej wrót. Zaczynały je otaczać widmowe sylwetki martwych elfów, wrzeszcząc, wyjąc i rąbiąc je swymi zimnymi mieczami.

– Caramon! – krzyknął Tanis, czując jak mu się serce ścisza.

– A gdzie jest jego brat? – zapytał Sturm, spojrzawszy z ukosa na Kitiarę. – Bez wątpienia zostawił go na pastwę losu.

Tanis kręcił głową, gdy razem pobiegli na pomoc wojownikowi. Wymachując mieczami Sturm i Kitiara odpędzali elfów, podczas gdy Tanis przyklął przy śmiertelnie rannym wojowniku.

Caramon podniósł zeszkłony wzrok i popatrzył na Tanisa, ledwo go rozpoznając przez krwawą mgłę przesłaniającą mu oczy. Rozpaczliwie próbował coś powiedzieć. – Chroń Raistlina, Tanisie... – Caramon zakrztusił się własną krwią – bo mnie już tu nie będzie. Pilnuj go.

– Chronić Raistlina? – powtórzył rozwścieczony Tanis. – On cię tu zostawił na pewną śmierć! – Tanis objął Caramona.

Znużony Caramon zamknął oczy. – Nie, mylisz się, Tanisie. Ja kazałem mu odejść... – Głowa mu opadła.

Ogarnął ich mrok nocy. Elfowie znikli. Sturm i Kitiara podeszli do martwego wojownika.

– A nie mówiłem ci? – rzekł surowo Sturm.

– Biedny Caramon – szepnęła Kitiara, nachylając się nad nim. – Zawsze podejrzewałam, że tak to się skończy. – Milczała przez chwilę, a potem powiedziała cicho. – A więc mój mały Raistlinek stał się prawdziwie potężny – mruknęła niemal tylko do siebie.

– Kosztem życia twojego brata!

Kitiara spojrzała na Tanisa jakby zdumiała ją jego sugestia. Potem, wzruszywszy ramionami, popatrzyła na Caramona, który leżał w kałuży własnej krwi. – Biedny dzieciak – powiedziała cicho.

Sturm przykrył ciało Caramona swoim płaszczem, a potem poszukali wejścia do wieży.

– Tanisie... – rzekł Sturm, wskazując.

– Och, nie. Nie Tas – szepnął Tanis. – I Tika.

Zwłoki kendera leżały tuż za progiem. Konwulsje wywołane trucizną wykręciły jego małe kończyny. Obok niego leżała barmanka o rudych kędziorach zlepionych krwią. Tanis przykląkł przy nich. W czasie agonii kendera otworzyła się jedna z jego toreb, wysypując swą zawartość. Tanis dostrzegł błysk złota. Nachylił się i podniósł pierścień elfiej roboty grawerowany w liście bluszczu. Łzy zaćmiły mu wzrok. Zasłonił twarz dłońmi.

– Nic nie możemy zrobić, Tanisie. – Sturm położył dłoń na ramieniu przyjaciela. – Musimy iść dalej i położyć temu kres. Choćbym nawet nie uczynił niczego innego, przeżyję by zabić Raistlina.

Śmierć jest w umyśle. To sen, powtarzał Tanis. Lecz były to słowa Raistlina, a pamiętał, kim stał się czarodziej.

Obudzę się, pomyślał, naginając całą siłę woli do wiary, że to sen. Lecz kiedy otworzył oczy, ciało kendera wciąż leżało na posadzce.

Ściskając pierścionek w dłoni, Tanis wszedł za Kit i Sturmem do wilgotnego, oślizgłego korytarza z marmuru. Wysokie okna z witrażami wpuszczały niesamowite, trupe światło. Korytarz zapewne niegdyś był piękny, lecz teraz nawet malowidła na ścianach miały zniekształcony wygląd i przedstawiały przerażające wizje śmierci. Idąc dalej, troje ludzi stopniowo dostrzegło jaskrawozielone światło, które promieniowało z komnaty na końcu korytarza.

Wyczuwali zło emanujące z tego zielonego blasku, które biło im w twarze ciepłym ohydneho słońca.

– To środek zła – powiedział Tanis. Gniew przepętniał jego serce – gniew, żal i paląca chęć zemsty. Chciał pobiec naprzód, lecz zielonkawe powietrze zdawało się przyciskać go i powstrzymywać, a każdy krok był wysiłkiem.

Obok niego zachwiała się Kitiara. Tanis objął ją ramieniem, choć ledwo miał dość siły, by sam iść. Pot zalewał twarz Kit, a ciemne loki lepiły się do jej wilgotnego czoła. Otworzyła szeroko oczy ze strachu – po raz pierwszy Tanis widział ją przestraszoną. Sturm oddychał z trudem, z wysiłkiem brnąc naprzód, przygnieciony ciężarem zbroi.

Początkowo wydawało im się, że wcale się nie posuwają. Potem powoli uświadomili sobie, że zbliżają się centymetr po centymetrze do jarzącego się na zielono pokoju. Jego jaskrawy blask boleśnie raził oczy, a ruch wymagał straszliwego wysiłku. Ogarnęło ich wyczerpanie, bolały mięśnie, paliły płuca.

W chwili, gdy Tanis zdał sobie sprawę, że nie zrobi już następnego kroku, usłyszał, że ktoś go woła po imieniu. Unosząc obolałą głowę, zobaczył stojącą przed nim Lauranę z elfim mieczem w ręku. Ciężar tegoż zdawał się nie mieć na nią wpływu, bowiem podbiegła do niego z radosnym okrzykiem.

– Tanthalas! Nic ci nie jest! Czekałam... Urwała, bowiem jej wzrok spoczął na kobiecie w objęciach Tanisa.

– Kto... – zaczęła pytanie Laurana, a potem nagle już wiedziała. To ta ludzka kobieta, Kitiara. Kobieta, którą Tanis kocha. Laurana najpierw zbladła na twarzy, a następnie poczerwieniała.

– Laurano... – zaczął Tanis, czując ogarniające go zażenowanie i poczucie winy. Nienawidził siebie za to, że sprawił jej ból.

– Tanisie! Sturmie! – krzyknęła Kitiara, wskazując ręką.

Zaskoczeni strachem w jej głosie, wszyscy się odwrócili i spojrzeli w głąb oświetlonego na zielono marmurowego korytarza.

– *Drakus Tsaro, deghnyah!* – zaintonował Sturm po solamnijsku.

Na końcu korytarza siedział olbrzymi zielony smok. Nazywał się Cyan Bloodbane i był jednym z największych smoków na Krynnie. Tylko sama Wielka Czerwona Smoczyca była większa od niego. Wysunąwszy łeb przez drzwi węzowym ruchem, zasłonił oślepiające, zielone światło ogromnym cielskiem. Cyan wywęszył zapach stali, ludzkiego ciała i elfiej krwi. Utkwił w grupie spojrzenie swych jarzących się oczu.

Nie mogli się ruszyć. Zdjęci smoczym strachem, mogli tylko bezradnie stać i patrzeć, jak smok przebija się przez wejście, roztrzaskując marmurową ścianę z taką łatwością, jakby była z wyschniętego błota. Rozdziawiwszy szeroko paszczę, Cyan ruszył w głąb korytarza.

Nie mogli nic zrobić. Broń zwisała bezradnie w ich zmartwiałych dłoniach. W myślach królowała śmierć. Lecz kiedy smok się zbliżył, ciemna postać wyłoniła się z jeszcze głębszego mroku niewidocznego przejścia i stanęła naprzeciwko nich.

– Raistlin! – powiedział cicho Sturm. – Na wszystkich bogów, zapłacisz mi za śmierć twego brata!

Zapomniawszy o smoku, pamiętając jedynie martwe ciało Caramona, rycerz rzucił się w stronę czarodzieja z wzniesionym mieczem. Raistlin tylko zmierzył go chłodnym spojrzeniem.

– Zabij mnie, rycerzu, a zgubisz siebie i pozostałych, bowiem dzięki mej magii – i tylko dzięki niej – zdołasz pokonać Cyana Bloodbane!

– Zaczekaj, Sturmie! – Choć jego duszę przepełniała odraza, Tanis wiedział, że magia ma rację. Wyczuwał moc Raistlina promieniującą przez czarne szaty. – Potrzebujemy jego pomocy.

– Nie – rzekł Sturm, potrząsając głową i cofając się, gdy Raistlin zbliżył się do grupy. – Powiedziałem już, że nie chcę, by on mnie bronił. Nie teraz. Żegnaj, Tanisie.

Zanim ktokolwiek zdołał go powstrzymać, Sturm wyminął Raistlina i zbliżył się do Cyana Bloodbane. Smok kiwał wielkim łbem, nie mogąc doczekać się pierwszego wyzwania od chwili, gdy podbił Silvanesti.

Tanis chwycił Raistlina. – Zrób coś!

– Rycerz zagradza mi drogę. Każde zakłęcie, jakie rzucę, unicestwi również jego.

– Sturmie! – krzyknął Tanis, a jego głos powrócił posępnym echem.

Rycerz zawahał się. Słuchał, lecz nie głosu Tanisa. On słyszał czysty, piękny dźwięk surm bojowych, których głos był chłodny, niczym podmuch powietrza z ośnieżonych gór jego ojczyzny. Czysta, szlachetna melodia wzniosła się bohatercko ponad ciemność, śmierć i rozpacz, przesywając jego serce.

Sturm odpowiedział na sygnał radosnym okrzykiem bojowym. Uniósł miecz – ojcowski miecz, którego prastare ostrze oplatały róże i znak zimorodka. Srebrne światło księżyca wpadające strugami przez rozbite okno zaśniło na mieczu, rozsiewając czystobiałą blask, który rozdarł jadowicie zielone powietrze.

I znów rozległ się dźwięk surm i znów Sturm odpowiedział, lecz tym razem głos mu zdrzął, bowiem sygnał, jaki postyszał, zmienił ton. Nie był już miły i czysty, a ryczący, chrapliwy i przenikliwy.

Nie! – pomyślał Sturm, zbliżając się do smoka. To głos rogów wroga! Został zwabiony w pułapkę! Teraz widział już dookoła żołnierzy smokowców wypełzających zza smoka i śmiejących się okrutnie z jego łatwości.

Sturm zatrzymał się, ściskając miecz w dłoni, która spociała się w rękawicy. Nad nim wznosił się smok, niepokonany potwór otoczony zastępami swych wojsk, zaśliniony i ob-

lizujący paszczę giętkim językiem.

Sturma ze strachu ścisnęło w dołku. Oblał go zimny pot. Po raz trzeci zabrzmiał dźwięk rogu, straszny i porażający złem. To koniec. Wszystko na nic. Czeką go śmierć i haniębna klęska. W przypływie rozpaczy przerażony Sturm rozejrzył się wokół. Gdzie jest Tanis? Potrzebował Tanisa, lecz nie mógł go znaleźć. Rozpaczliwie powtarzał słowa kodeksu rycerskiego: Mój honor to moje życie, lecz brzmiały one pusto i bezsensownie w jego uszach. On nie jest rycerzem! Cóż może dla niego znaczyć kodeks? Żył fałszem! Sturm wypuścił miecz z drżącej ręki, a potem osunął się na kolana, dygocząc i płacząc jak dziecko, kuląc się przed potworem, który stał przed nim.

Jednym zamachem lśniących szponów Cyan Bloodbane zakończył życie Sturma, przebijając ciało rycerza okrwawionymi pazurami. Cyan pogardliwie strząsnął nieszczęsnego człowieka na posadzkę, podczas gdy smokowcy podbiegli z wrzaskiem do żywego jeszcze ciała z zamiarem porąbania go na kawałki.

Ujrzeni jednak, że ktoś zagradza im drogę. Jasna postać błyszcząca srebrem w blasku księżycy podbiegła do ciała rycerza. Nachylając się szybko, Laurana podniosła miecz Sturma. Potem wyprostowawszy się, stanęła twarzą w twarz ze smokowcami.

– Dotknijcie go tylko, a zginiecie! – powiedziała przez łyż.

– Laurano! – krzyknął Tanis i próbował podbiec, by jej pomóc. Jednakże rzucili się na niego smokowcy. Ciął mieczem na oślep, usiłując dotrzeć do elfiej panny. W tej samej chwili, gdy udało mu się przedostać, usłyszał wołającą go po imieniu Kitiarę. Odwróciwszy się gwałtownie, zobaczył, że kobieta przegrywa w walce z czterema smokowcami. Półelf zatrzymał się w udręce, wahając się i w tej samej chwili Laurana upadła na ciało Sturma, przeszyta mieczami smokowców.

– Nie! Laurano! – wykrzyknął Tanis. Chcąc już do niej biec, posłyszał znów wołanie Kitiary. Zatrzymał się i odwrócił. Trzymając się za głowę, stał niezdecydowany i bezradny, zmuszony patrzeć, jak Kitiara pada pod ciosami wroga.

Półelf szlochał bez opamiętania, czując iż popada w obłęd i pragnąc śmierci, która zakończyłaby tę mękę. Ścisnął w dłoni magiczny miecz Kith-Kanana i popędził ku smokowi, myśląc tylko o tym, by zabić i zostać zabitym.

Lecz drogę zagroził mu Raistlin, stając przed smokiem niczym czarny obelisk.

Tanis upadł na podłogę, przekonany że czeka go pewna zguba. Ścisnął w dłoni z całych sił złoty pierścionek, czekał na śmierć.

Wtem posłyszał dziwne i potężne słowa, które nucił czarodziej. Usłyszał wściekły ryk smoka. Toczył się między nimi bój, lecz Tanisowi już było wszystko jedno. Zacisnąwszy

mocno powieki, tłumiał otaczające go dźwięki, tłumiał życie. Tylko jedna rzecz została rzeczywista. Złoty pierścień, który mocno trzymał w ręku.

Nagle Tanis jasno uświadomił sobie niesamowity ucisk pierścionka na skórę dłoni: metal był chłodny, krawędzie szorstkie. Czuł, jak splecione złote listki bluszczu wbijają mu się w ciało.

Tanis zamknął dłoń, ściskając pierścionek. Złoto wbiło się w ciało, wbiło głęboko. Ból... realny ból...

Ja śnię!

Tanis otworzył oczy. Srebrny blask Solinari zalał wieżę, mieszając się z czerwonymi promieniami Lunitari. Półelf leżał na zimnej, marmurowej posadzce. Dłoń miał mocno zaciśniętą, tak mocno zaciśniętą, że ból go obudził. Ból! Pierścionek. Sen! Przypomniawszy sobie o śnie, Tanis usiadł, zdjęty przerażeniem i rozejrzał się dookoła. Poza nim w pustej komnacie znajdowała się jeszcze tylko jedna osoba. Pod ścianą siedział skulony i kaszlący Raistlin.

Półelf ciężko wstał i chwiejnym krokiem podszedł do czarodzieja. Zbliżając się, zauważył krew na wargach maga. Krew błyszczała czerwienią w świetle Lunitari – taką samą czerwienią jak szaty, które okrywały wątłe, drżące ciało Raistlina.

Sen.

Tanis otworzył dłoń. Była pusta.

Rozdział XI

Koniec snu. Początek koszmaru

Półelf rozejrzał się po korytarzu. Był tak samo pusty jak jego ręka. Trupy jego przyjaciół znikły. Smok znikł. Przez strzaskaną ścianę wiał wicher, który łopotał szatami Raistlina i rozrzucał zeschnięte liście osiczyny po posadzce. Półelf podszedł do Raistlina, chwytając w ramiona młodego czarodzieja, który osunął się bezwładnie.

– Gdzie oni są? – zapytał Tanis, potrząsając Raistlinem. – Laurana? Sturm? A pozostali, twój brat? Czy nie żyją? – Rozejrzał się. – A smok...

– Smoka nie ma. Kula odesłała go, gdy zdała sobie sprawę, że nie zdoła mnie pokonać. – Odpychając ręce Tanisa, Raistlin stał o własnych siłach, skulony pod marmurową ścianą. – Nie mogła pokonać mnie wtedy. Teraz mogłoby pokonać mnie dziecko – rzekł gorzko. – A co do pozostałych... – wzruszył ramionami – nie wiem. Utkwił spojrzenie swych dziwnych oczu w Tanisie. – Ty, półelfie, przeżyłeś dzięki sile swej miłości. Ja dzięki mej ambicji. Uczepiliśmy się rzeczywistości w otchłani tego koszmaru. Kto wie, co stało się z pozostałymi?

– A więc Caramon żyje – powiedział Tanis. – Dzięki swej miłości. Ostatnim tchnieniem błagał mnie, bym oszczędził ci życie. Powiedz mi, czarodzieju, czy przyszłość, jaką zobaczyliśmy, jest nieodwracalna?

– Po co pytasz? – powiedział zmęczonym głosem Raistlin. – Zabiłbyś mnie, Tanisie? Teraz?

– Nie wiem – rzekł cicho Tanis, myśląc o ostatnich słowach konającego Caramona. – Być może.

Raistlin uśmiechnął się gorzko. – Oszczędź sobie wysiłku – powiedział. – Przyszłość stale się zmienia, bowiem inaczej bylibyśmy pionkami w rękach bogów, a nie ich dziedzicami, jak nam przyrzeczono. Jednakże – czarodziej odszedł się od ściany – daleko jeszcze do końca. Musimy odnaleźć Loraca – i smoczą kulę.

Raistlin powlókł się w głąb korytarza, wspierając się ciężko na lasce Magiusa, której kryształ oświetlał mrok panujący po zgaśnięciu zielonego blasku.

Zielony blask. Tanis stał w korytarzu, zagubiony i zdezorientowany. Próbował obudzić się i odróżnić sen od rzeczywistości, bowiem sen wydawał mu się teraz dużo bardziej rzeczywisty od tego, co go w tej chwili otaczało. Popatrzył na rozbitą ścianę. Czyba był tu smok? A oślepiające światło na końcu korytarza? Jednakże w korytarzu panował mrok. Zapadła noc. Kiedy wyruszali, był poranek. Księżycy jeszcze nie wzeszły, a teraz stały w

pełni. Ile nocy minęło? Ile dni?

Wtem Tanis posłyszał dudniący głos dobiegający od strony drzwi na drugim końcu korytarza.

– Raist!

Czarodziej zatrzymał się i zgarbił. Potem odwrócił się powoli. – Mój bracie – szepnął.

Caramon – żywy i najwyraźniej cały i zdrowy – stanął w drzwiach. Jego sylwetka odcinała się od rozgwieżdżonego nieba. Wojownik przyglądał się swemu bliźniakowi.

Wtedy Tanis usłyszał, jak Raistlin wzdycha cicho.

– Jestem zmęczony, Caramonie. – Mag kaszlnął, a potem odetchnął głęboko. Zarzęziło mu w płucach. – A tyle jeszcze jest do zrobienia zanim zakończy się ten koszmar, zanim zajdą trzy księżycy. – Raistlin wyciągnął chudą rękę. – Potrzebuję twojej pomocy, bracie.

Tanis usłyszał, jak Caramon pochlipuje. Ogromny mężczyzna wbiegł do komnaty, pobrzękując mieczem, który obijał się o jego udo. Dotarłszy do brata, podtrzymał go swym ramieniem.

Raistlin wsparł się na mocarnym barku Caramona. Bliźniacy razem poszli przez chłodny korytarz, a potem przez strzaskaną ścianę do pokoju, gdzie Tanis widział zielone światło i smoka. Z sercem ciężkim od obawy Tanis podążył w ich ślady.

We trzech weszli do sali audiencyjnej Wieży Gwiazd. Tanis przyjrzał jej się z ciekawością. Przez całe życie słyszał o jej urodzie. Wieżę Słońce w Qualinoście wybudowano na pamiątkę tej wieży – Wieży Gwiazd. Były do siebie podobne, a jednak odmienne. Jedną wypełniało światło, drugą mrok. Rozejrzał się wokół. Wieża wznosiła się wysoko nad jego głową marmurowymi spiralami, które migotały perłową poświatą. Zbudowano ją w taki sposób, by skupiała światło księżyców, tak jak Wieża Słońce skupiała słoneczny blask. W okna wieży wprawiono klejnoty, które chwytały i wzmacniały światło dwóch księżyców, Solinari i Lunitari, nakazując czerwonym i srebrnym promieniom księżyca tańczyć w całej komnacie. Teraz jednak klejnoty były stłuczone. Blask księżyca wpadał do wnętrza zniekształcony – srebro zmieniło się w trupa biel, a czerwień w kolor krwi.

Drżąc Tanis spojrzał w górę. W Qualinoście sufit pokrywały malowidła przedstawiające słońce, gwiazdozbiory i dwa księżycy. Tutaj na sklepieniu wieży nie było niczego, prócz wyciętej dziury. Przez ten otwór widział tylko pustą czerń. Nie świeciły w niej gwiazdy. Wyglądało to tak, jakby doskonale okrągła, czarna kula pojawiła się w rozgwieżdżonym mroku. Zanim zdołał zastanowić się co zwiastuje ten omen, usłyszał cichy głos Raistlina i odwrócił się.

Oto w mroku sali audiencyjnej siedział ojciec Alhany, Lorac, król elfów. Jego

wyschnięte i przypominające mumię ciało niemal nikło na ogromnym kamiennym tronie rzeźbionym w fantastyczne ptaki i zwierzęta. Niegdyś musiał być to piękny sprzęt, lecz teraz zwierzęta miały czaszki zamiast głów.

Lorac siedział nieruchomo z głową odrzuconą do tyłu i ustami otworzonymi szeroko w bezgłośnym krzyku. Jedną jego dłoń spoczywała na gładkiej, kryształowej kuli.

– Czy on żyje? – zapytał Tanis zdjęty zgrozą.

– Tak – odrzekł Raistlin – bez wątpienia na swe nieszczęście.

– Co mu się stało?

– Przeżywa koszmar na jawie – odpowiedział Raistlin, wskazując na dłoń Loraca. – Oto smocza kula. Najwyraźniej próbował zawładnąć nią. Nie był dość silny, więc kula zapanowała nad nim. Wezwała Cyana Bloodbane, by strzegł Silvanesti, a smok postanowił zniszczyć je, podszeptując Loracowi koszarne wizje. Lorac tak mocno uwierzył w ten koszmar, a jego więź z ziemią była tak wielka, że koszmar stał się rzeczywistością. Tak więc, to jego sen śniliśmy od chwili wejścia. Jego sen – i nasz własny. Bowiem my też znaleźliśmy się pod wpływem smoka, kiedy wkroczyliśmy do Silvanesti.

– Wiedziałaś, z czym mamy do czynienia! – zarzucił

Raistlinowi Tanis, chwytając go za ramię i odwracając ku sobie. – Tam, na brzegu rzeki, wiedziałaś, gdzie wkraczamy...

– Tanisie – powiedział ostrzegawczo Caramon, odsuwając dłoń półelfa. – Daj mu spokój.

– Może tak – rzekł Raistlin, rozcierając ramię i mrużąc oczy. – Może nie. Nie muszę ujawniać przed wami, co wiem, ani też jakim sposobem!

Zanim Tanis zdążył odpowiedzieć, posłyszał jęk. Brzmiał on tak, jakby dochodził z podstawy tronu. Rzuciwszy Raistlinowi gniewne spojrzenie, Tanis odwrócił się szybko i wbił wzrok w ciemność. Zbliżył się ostrożnie z mieczem w ręku.

– Alhana! – Elfia panna siedziała skulona u stóp swego ojca, trzymając głowę na jego kolanach i płacząc. Zdawała się nie słyszeć Tanisa. Podeszedł do niej. – Alhano – przemówił łagodnie.

Popatrzyła na niego, nie poznając go.

– Alhano – powtórzył.

Mrugnęła oczami, a potem wzdrygnęła się i złapała go za rękę, jakby chwytając się rzeczywistości.

– Półelfie! – szepnęła.

– Jak tu się znalazłaś? Co się stało?

– Usłyszałam, jak czarodziej mówi, że to sen – odrzekła Alhana, drżąc na samo wspomnienie – i... i odmówiłam uwierzenia w niego. Obudziłam się, lecz tylko po to, by zobaczyć urzeczywistniony koszmar! Mój piękny kraj pełny okropieństw! – Ukryła twarz w dłoniach. Tanis ukląkł przy niej i przygarnął ją do piersi.

– Przedostałam się tutaj. Trwało to...wiele dni. Wędrowałam przez koszmar. – Ścisnęła Tanisa mocno. – Kiedy weszłam do wieży, pojmał mnie smok. Sprowadził mnie tutaj, do mego ojca, sądząc, że skłoni Loraca, by mnie zamordował. Jednak nawet w środku koszmaru mój ojciec nie mógłby skrzywdzić swego dziecka. Więc Cyan dręczył go wizjami... tego, co ze mną zrobi.

– A ty? Ty też je widziałaś? – szepnął Tanis, gładząc długie, ciemne włosy kobiety uspokajającym gestem.

Po chwili Alhana odezwała się. – To nie było takie straszne. Wiedziałam, że to tylko sen. Ale dla mojego biednego ojca to była rzeczywistość... – Zaczęła szlochać.

Półelf gestem wezwał Caramona. – Zaprowadź Alhanę do komnaty, gdzie będzie mogła się położyć. Zrobimy, co będzie można dla jej ojca.

– Nic mi nie będzie, mój bracie – powiedział Raistlin, odpowiadając na zatroskane spojrzenie Caramona. – Rób, jak ci Tanis każe.

– Chodź, Alhano – zachęcił Tanis, pomagając jej wstać. Zachwiała się ze zmęczenia. – Czy jest tu jakieś miejsce, gdzie mogłabyś wypocząć? Będziesz potrzebowała sił.

Początkowo chciała się sprzeciwić, lecz potem zdała sobie sprawę, jaka jest słaba. – Zabierz mnie do pokoju mego ojca – powiedziała. – Pokażę ci drogę. – Caramon objął ją i powoli wyszli z komnaty.

Tanis odwrócił się ponownie do Loraca. Raistlin stał przed królem elfów. Tanis usłyszał, jak mag mówi coś cicho do siebie.

– Co się stało? – powiedział cicho półelf. – Czy on umarł?

– Kto? – Raistlin drgnął i mrugnął oczami. Spostrzegł, że Tanis przygląda się Loracowi. – Och, Lorac? Nie, nie sędzę. Jeszcze nie.

Tanis zdał sobie sprawę, że czarodziej przyglądał się smoczej kuli.

– Czy kula wciąż wywiera wpływ? – zapytał nerwowo Tanis, nie odrywając oczu od przedmiotu, którego odnalezienie tak wiele ich kosztowało.

Smocza kula była wielkim kryształowym globem, który miał co najmniej sześćdziesiąt centymetrów średnicy. Umieszczono ją na złotym stojaku, na którym wyrzeźbiono ohydne, pokręcone kształty odzwierciedlające wypaczone, udrećzone życie Silvanesti. Chociaż to właśnie ona musiała być źródłem tego jaskrawego zielonego światła, teraz w jej głębi

pulsował zaledwie słabiutki, tęczyowy płomyk.

Raistlin trzymał dłonie nad powierzchnią kuli, lecz Tanis zauważył, że czarodziej bardzo uważa, by podczas nucenia nieprzeniknionych słów magii nie dotknąć jej. Słaba, czerwona poświata otoczyła kulę. Tanis cofnął się.

– Nie obawiaj się – szepnął Raistlin, patrząc, jak poświata gaśnie. – To moje zaklęcie. Kula jest nadal zaklęta. Jej magia nie rozwiązała się wraz z odejściem smoka, jak się obawiałem. Mimo wszystko wciąż panuje.

– Panuje nad Lorakiem?

– Nad sobą samą. Wypuściła Loraca.

– Ty to sprawiłeś? – szepnął Tanis. – Pokonałeś ją?

– Kuli nikt nie pokona! – rzucił ostro Raistlin. – Z pewną pomocą pokonałem smoka. Uświadomiwszy sobie, że Cyan Bloodbane przegrywa, kula odesłała go. Loraca uwolniła spod swej władzy, bowiem nie mogła już dłużej nim się posługiwać. Sama kula jest nadal bardzo potężna.

– Raistlinie, powiedz mi...

– Nie mam nic więcej do powiedzenia, Tanisie. – Młody mag zakaszał. – Muszę oszczędzać siły.

Czyją pomoc otrzymał Raistlin? Co jeszcze wie o tej kuli? Tanis otworzył usta, by kontynuować rozmowę, a potem dostrzegł błysk w złotych oczach Raistlina. Półelf zamilkł.

– Możemy teraz wyzwolić Loraca – dodał Raistlin. Podchodząc do króla elfów, delikatnie zdjął dłoń Loraca ze smoczej kuli, a następnie przyłożył smukłe palce do szyi Loraca. – Żyje. Na razie. Puls jest bardzo słaby. Możecie podejść bliżej.

Tanis jednak trzymał się z dala, nie spuszczać smoczej kuli z oczu. Raistlin spojrzał na półelfa z rozbawieniem, a potem wezwał go gestem.

Tanis zbliżył się z ociąganiem. – Powiedz mi jeszcze jedno: czy kula może nam się jeszcze przydać?

Przez długą chwilę Raistlin milczał. Potem odrzekł cicho. – Tak, jeśli odważymy się na to...

Drżący Lorac zaczerpnął tchu, a potem krzyknął – a był to żaloszny, zawodzący wrzask, przerażający dla uszu. Jego dłonie, przypominające wyschnięte ręce żywego szkieletu, wiły się i zaciskały. Elf przymknął mocno powieki. Na próżno Tanis próbował go uspokoić. Lorac krzyczał, dopóki nie zabrakło mu tchu, a potem wrzeszczał bezgłośnie.

– Ojcie! – Tanis postyszał wołanie Alhany. Pojawiła się ponownie w drzwiach komnaty audiencyjnej i odepchnęła Caramona na bok. Podbiegłszy do ojca, chwyciła jego

kościście dłonie. Całując je, płakała i błagała go, by umilkł.

– Odpocznij, ojcze – powtarzała bez przerwy. – Koszmar się skończył. Smoka już nie ma. Możesz usnąć, ojcze! Lecz mężczyzna wciąż krzychał.

– Na wszystkich bogów! – powiedział pobladły Caramon, podchodząc do niej. – Długo tego nie wytrzymam.

– Ojcze! – błagała Alhana, wciąż go wołając. Powoli jej drogi mu głos przenikał upiorne sny zalegające w udręczonym umyśle Loraca. Pomału jego wrzaski przycichły, zmieniając się zaledwie w przestraszony skowyt. Potem, jakby obawiając się tego, co może ujrzeć, Lorac otworzył oczy.

– Alhano, moje dziecko. Ty żyjesz! – Uniósł drżącą rękę i dotknął jej policzka. – To niemożliwe! Widziałem, jak zginęłaś, Alhano. Widziałem, jak umierasz setki razy, a za każdym razem było to straszniejsze niż poprzednio. On cię zabił, Alhano. Chciał, żebym ja cię zabił. Ale ja nie mogłem. Choć nie wiem dlaczego, skoro zabiłem tylu innych. – Wtedy dostrzegł Tanisa. Na jego widok rozwarł szeroko oczy, w których zapłonęła nienawiść.

– Ty! – warknął Lorac, wstając z tronu i sękatymi dłońmi wspierając się na jego poręczach. – Ty, półelfie! Zabiłem cię – a raczej, próbowałem. Muszę bronić Silvanesti! Zabiłem cię! Zabiłem twoich towarzyszy. – Wtedy jego spojrzenie padło na Raistlina. Wyraz nienawiści zastąpił wyraz strachu. Dygocząc, król skulił się przed magiem. – Ale ciebie, ciebie nie mogłem zabić!

Przerażenie Loraca ustąpiło poczuciu dezorientacji. – Nie! – krzyknął. – To nie ty! Twoje szaty nie są czarne! Kim jesteś? – Znów spojrzał na Tanisa. – A ty? Nie grozisz mi? Cóż ja uczyniłem? – jęknął.

– Dość, ojcze – błagała Alhana, uspokajając go i gładząc po rozgrzanej twarzy. – Musisz teraz odpocząć. Koszmar dobiegł końca. Silvanesti jest bezpieczne.

Silny Caramon wziął Loraca na ręce i zaniósł go do jego komnaty. Alhana szła obok, mocno trzymając ojca za rękę.

Bezpieczne, pomyślał Tanis, wyglądając przez okno na zbolale drzewa. Choć upiorni elfi wojownicy nie snuli się już po lesie, udręczone istoty, jakie Lorac stworzył w swym koszmarze, wciąż żyły. Drzewa powykręcane w męce płakały krwią. Kto tu teraz zamieszka? – pomyślał ze smutkiem Tanis. Elfowie tu nie wrócą. Złe istoty wkroczą do tego mrocznego lasu i koszmar Loraca stanie się rzeczywistością.

Rozmyślając o potwornym lesie, Tanis nagle zastanowił się nad tym, gdzie się teraz znajdują jego przyjaciele. Czy nic im się nie stało? A gdyby uwierzyli w koszmar – jak powiedział Raistlin? Czy naprawdę zginęliby? Z drzeniem serca uświadomił sobie, że

musiałby wrócić do tego obłąkanego lasu, by ich poszukać.

Właśnie kiedy półelf zaczynał zbierać siły, by skłonić swe znużone ciało do wysiłku, jego przyjaciele weszli do komnaty w wieży.

– Zabiłam go! – krzyknęła Tika na widok Tanisa. Oczy miała rozszerzone ze smutku i przerażenia. – Nie! Nie dotykaj mnie, Tanisie. Nie wiesz, co zrobiłam. Zabiłam Flinta! Nie chciałam tego, Tanisie, przysięgam!

Kiedy do pomieszczenia wszedł Caramon, Tika odwróciła się do niego, szlochając. – Zabiłam Flinta, Caramonie. Nie podchodź do mnie!

– Spokojnie – rzekł Caramon, czule tuląc ją w swych wielkich ramionach. – To był tylko sen, Tiko. Tak mówi Raist. Krasnoluda nigdy tu nie było. Szsz... – Głaszcząc rude loki Tiki, pocałował ją. Tika przywarła do niego, a Caramon do niej. Oboje czerpali pociechę ze swej bliskości. Stopniowo szlochanie Tiki ucichło.

– Mój przyjacielu – rzekła Goldmoon, wyciągając rękę do Tanisa.

Ujrawszy poważny, pełen smutku wyraz jej twarzy, półelf uścisnął ją mocno, posławszy pytające spojrzenie Riverwindowi. Co każdemu z nich się przyśniło? Jednakże mieszkaniec równin tylko potrząsnął głową, sam blady i pełen żalu.

Wtedy Tanisowi przyszło na myśl, że każde musiało przeżyć swój własny sen i nagle przypomniał sobie o Kitiarze! Jakże była prawdziwa! A umierająca Laurana... Zamykając oczy, Tanis przytknął czoło do czoła Goldmoon. Poczul, że Riverwind otoczył ich oboje silnymi ramionami. Ich miłość pobłogosławiła go. Groza snu zaczęła ustępować.

I wtedy Tanisowi przebiegła przez głowę przerażająca myśl. Sen Loraca stał się rzeczywistością! A ich sny?

Tanis posłyszał, jak za jego plecami Raistlin zaczyna kaszleć. Przyciskając rękę do piersi, czarodziej osunął się na stopnie prowadzące do tronu Loraca. Tanis zobaczył, że Caramon, który wciąż trzymał Tikę, spogląda na brata z zatroskaniem. Raistlin jednakże zignorował brata. Zgarniając fałdy swej szaty, mag położył się na zimnej posadzce i zamknął oczy z wyczerpania.

Westchnąwszy, Caramon przytulił Tikę mocniej. Tanis przyglądał się, jak jej mały cień staje się częścią większego cienia Caramona, gdy tak stoją oboje na tle zniekształconych srebrnych i czerwonych promieni strzaskanego blasku księżyca.

Wszyscy musimy spać – pomyślał Tanis, czując piasek w oczach. Lecz czy zdołamy? Czy będziemy mogli kiedykolwiek usnąć?

Rozdział XII

Wspólne wizje. Śmierć Loraca

A jednak wreszcie usnęli. Skuleni na kamiennej podłodze Wieży Gwiazd, trzymali się najbliżej siebie, jak tylko mogli. Gdy oni spali, inni w krainie zimnej, wrogiej i dalekiej od Silvanesti, przebudzili się.

Laurana obudziła się pierwsza. Wyrwawszy się z głębokiego snu z krzykiem, początkowo nie wiedziała, gdzie jest. Wypowiedziała jedno słowo – Silvanesti!

Flint przebudził się, dygocząc i stwierdził, że wciąż może poruszać palcami, a bóle w nogach są nie gorsze niż zwykle.

Sturm obudził się zdjęty paniką. Drżąc z przerażenia, przez dłuższą chwilę kulił się tylko pod kocami i dygotał. Potem usłyszał coś na zewnątrz swego namiotu. Poderwał się, sięgnął po miecz i podczołgawszy do wejścia, otworzył szarpnięciem klapę.

– Och! – jęknęła Laurana na widok jego wymęczonej twarzy.

– Przepraszam – powiedział Sturm. – Nie chciałem... – Wtedy zobaczył, że Laurana drży tak, że o mało nie upuściła świeczki. – Co się stało? – zapytał zaniepokojony, wciągając ją do ciepłego wnętrza.

– W...wiem, że to zabrzmi niemądrze – powiedziała Laurana, czerwieniąc się – ale miałam przerażający sen i nie mogłam usnąć.

Wstrząsana dreszczem, pozwoliła Sturmowi wprowadzić się do namiotu. Płomyk jej świeczki rzucał tańczące cienie po całym namiocie. Bojąc się, że upuści ją, Sturm wziął od niej świeczkę.

– Nie chciałam cię budzić, ale usłyszałam, jak krzyczysz. A mój sen był taki prawdziwy! Byłeś w nim – widziałam cię...

– Jak wygląda Silvanesti? – przerwał jej nagle Sturm.

Laurana spojrzała na niego uważnie. – Ależ właśnie tam byliśmy w moim śnie! Czemu pytasz? Chyba, że... tobie też się przyśniło Silvanesti!

Sturm otulił się płaszczem i pokiwał głową. – Ja... – zaczął, a potem posłyszał kolejny hałas przed namiotem. Tym razem po prostu uchylił klapę wejściową. – Wejdz, Flincie – powiedział zmęczonym głosem.

Zaczerwieniony na twarzy krasnolud wgramolił się do środka. Jednakże sprawiał wrażenie zażenowanego, zastawszy tu Lauranę, więc mamrotał i kręcił się, póki Laurana nie uśmiechnęła się do niego.

– Wiemy – rzekła. – Miałeś sen. Silvanesti? Flint kaszlnął, chrząknął i wytarł twarz

dłonią. – Domniemam, że nie ja jeden? – zapytał, przyglądając się tym dwojgu przymrużonymi oczyma spod krzaczastych brwi. – Sądzę, że chcecie... żebyśmy wam opowiedział, co mi się przyśniło?

– Nie! – rzekł spieszenie poblady Sturm. – Nie, nie chcę o tym mówić – nigdy!

– Ja też – powiedziała cicho Laurana.

Z wahaniem Flint poklepał ją po ramieniu. – Cieszę się – burknął. – Ja również nie mógłbym mówić o swoim śnie. Chciałem tylko się upewnić, że to rzeczywiście był sen. Wydawał się tak prawdziwy, że spodziewałem się zastać was oboje...

Krasnolud przerwał. Na zewnątrz rozległ się szelest, a potem przez klapę wpadł podniecony Tasslehoff.

– Czy dobrze słyszę, że rozmawiacie o snach? Mnie się nigdy nic nie śni – przynajmniej nic z tego nie pamiętam. Kenderzy nie śnią zbyt wiele. Och, przypuszczam, że w sumie tak. Nawet zwierzęta śnią, ale... – Dostrzegł minę Flinta i pośpiesznie wrócił do początkowego tematu. – Wiecie co? Miałem fantastyczny sen! Drzewa płakały krwią. Okropni nieżywi elfowie chodzili i zabijali ludzi! Raistlin nosił czarne szaty! Niesamowite, mówię wam! I ty byłeś tam, Sturmie. I Laurana i Flint. I wszyscy zginęli! No, niemal wszyscy. Raistlin nie zginął. No i ten zielony smok...

Tasslehoff urwał. Co się stało jego przyjaciółom? Byli śmiertelnie bladzi i mieli szeroko rozwarte oczy. – Zielony smok – wyjąkał. – Raistlin odziany w czerń. Czy już o tym wspominałem? Właściwie to nawet całkiem mu w niej do twarzy. W czerwonym wygląda jakby miał żółtaczkę, jeśli wiecie, o co mi chodzi. Chyba nie wiecie. Cóż, to ja już lepiej pójdę spać. Chyba, że chcecie jeszcze posłuchać? – Rozejrzał się wokół z wyrazem nadziei na twarzy. Nikt nie odpowiedział.

– No, to ddobranoc – wymamrotał. Wycofawszy się pośpiesznie z namiotu, wrócił do łóżka, potrząsając głową ze zdziwienia. Co się wszystkim stało? W końcu to tylko sen...

Przez dłuższą chwilę nikt się nie, odzywał. Wreszcie Flint westchnął.

– Nie mam nic przeciwko koszmarom – rzekł surowo krasnolud. – Ale stanowczo sprzeciwiam się dzieleniu „ich z kenderem. Jak sądzicie, jak to się stało, że mieliśmy ten sam sen? I co to oznacza?

– Silvanesti to dziwna kraina – powiedziała Laurana. Biorąc swą świeczkę, ruszyła do wyjścia. Potem obejrzała się. – Czy...czy myślicie, że to była prawda? Czy oni zginęli, tak jak widzieliśmy? – Czy Tanis był z tą ludzką kobietą? – pomyślała, lecz nie zadała pytania na głos.

– Jesteśmy tutaj – powiedział Sturm. – Nie zginęliśmy. Możemy tylko ufać, że tamci

też żyją. Poza tym... – tu przerwał – ... może to się wyda dziwne, ale ja wiem, że im nic się nie stało.

Laurana uważnie przyglądała się rycerzowi przez chwilę i zobaczyła, że jego poważna twarz uspokoiła się po tym, jak minął pierwszy wstrząs i przerażenie. Sama poczuła się spokojniejsza. Wyciągnawszy rękę, wzięła Sturm za szczupłą, mocną dłoń i ścisnęła ją bez słowa. Potem odwróciła się i wyszła, zanurzając się ponownie w rozgwieżdżoną noc.

Krasnolud podniósł się na nogi. – No, to sen mamy z głowy. Stanę teraz na warcie.

– Pójdę z tobą – rzekł Sturm, wstając i przypasując miecz.

– Chyba nigdy się już nie dowiemy – powiedział Flint – dlaczego, ani też w jaki sposób wszystkim nam przyśniło się to samo.

– Chyba nie – zgodził się Sturm.

Krasnolud wyszedł z namiotu. Sturm chciał już iść w jego ślady, gdy zatrzymał się, zobaczywszy błysk światła. Sądząc, iż być może to kawałek knota, który spadł ze świeczki Laurany, nachylił się, by go zgasić. Zobaczył jednak, że klejnot, który dała mu Alhana, wysunął się zza jego pasa i leży na ziemi. Podnosząc go, zauważył, że migocze on własnym wewnętrznym blaskiem, czego przedtem nigdy nie zauważył.

– Chyba nie – powtórzył w zamyśleniu Sturm, obracając klejnot w dłoni.

Poranek zaświtał w Silvanesti po raz pierwszy od wielu długich, strasznych miesięcy. Lecz tylko jedna osoba zobaczyła go. Lorac, spoglądając przez okna swej sypialni, dostrzegł słońce wznoszące się nad błyszczącymi osikami. Pozostali, utrudzeni, spali mocno.

Alhana przez całą noc nie opuściła swego ojca. Wyczerpanie jednak zwyciężyło i usnęła, siedząc na krześle. Lorac zobaczył blade słońce padające na nią. Jej długie, czarne włosy spadły na twarz, przypominając pęknięcia w białym marmurze. Jej skóra była podrapana przez ciernie, pokryta zaschniętą krwią. Ujrzał piękno, lecz piękno to psuła arogancja. Alhana była ucieleśnieniem wszystkich cech swego narodu. Odwróciwszy się, spojrzął na Silvanesti za oknami, lecz nie znalazł tam pociechy. Nad Silvanesti wciąż wisiała zielona, zjadliwa mgła, jakby sama ziemia gniła.

– To moje dzieło – rzekł do siebie, spoglądając na pokręcone, udęczone drzewa i żałosne, zniekształcone zwierzęta, które snuły się po okolicy, szukając kresu swej męki.

Przez ponad czterysta lat Lorac mieszkał na tej ziemi. Widział, jak nabiera kształtów i kwitnie w rękach jego i jego ludu.

Były również czasy nieszczęścia. Lorac był jednym z nielicznych żyjących na Krynnie, którzy pamiętali kataklizm. Lecz elfowie Silvanesti przetrwali go dużo lepiej od pozostałych na świecie – będąc odizolowani od innych ras. Wiedzieli, czemu starzy bogowie

opuścili Krynn – dlatego, że dostrzegli zło w rasie ludzkiej – choć nie umieli wyjaśnić, czemu znikli również kapłani elfów.

Elfowie Silvanesti dowiedzieli się oczywiście, dzięki wiatrom, ptakom i innym tajemniczym sposobom, o cierpieniach swych kuzynów Qualinesti w latach po kataklizmie. I choć zasmuceni wieściami o grabieży i morderstwach, Silvanesti zadawali sobie pytanie, czego można się było spodziewać, mieszkając wśród ludzi? Wycofali się w głąb swego lasu, wyrzekając się świata zewnętrznego i nie dbając wiele o to, że świat zewnętrzny wyrzekł się również ich.

Tak więc Lorac nie mógł pojąć tego napływającego z północy nowego zła, które groziło jego ojczyźnie. Dlaczego mieliby zaczepiać Silvanesti? Spotkał się przecież ze smoczymi władcami i wyjaśnił, że Silvanesti nie będzie sprawiać im kłopotów. Elfowie wierzyli, że wszyscy mają prawo żyć na Krynnie, każdy na swój sposób, zły czy dobry. Mówił, a oni słuchali i początkowo wydawało się, że wszystko układa się pomyślnie. Wtedy nadszedł dzień, gdy Lorac zdał sobie sprawę, że został oszukany – dzień, gdy niebo wybuchło smokami.

Mimo wszystko elfowie nie zostali zaskoczeni. Lorac żył zbyt długo, by tak mogło się stać. Statki oczekiwały, by zabrać ludzi w bezpieczne miejsce. Lorac rozkazał im wyruszyć pod dowództwem swej córki. Potem, kiedy został sam, zszedł do komnat w podziemiach Wieży Gwiazd, gdzie ukrył smoczą kulę.

Tylko jego córka i dawno zaginieni kapłani elfów wiedzieli o istnieniu kuli. Wszyscy inni na świecie byli przekonani, iż zniszczył ją kataklizm. Lorac siedział przy niej, wpatrując się w nią przez wiele dni. Przywołał na myśl ostrzeżenia najwyższych magów, przypominając sobie wszystko, co wiedział o smoczej kuli. Wreszcie, choć w pełni świadom tego, że nie ma pojęcia, jak ona działa, Lorac postanowił, że musi jej użyć, by spróbować uratować swój kraj.

Przypominał sobie wyraźnie kulę, przypominał sobie, jak jarzyła się wirującym, fascynującym, zielonym światłem, które pulsowało i rosło w siłę, kiedy zaczął mu się przyglądać. Przypominał sobie też, że niemal od pierwszych sekund po przyłożeniu palców do kuli, wiedział, iż popełnił straszliwy błąd. Nie miał ani dość siły, ani opanowania, by zawładnąć czarodziejską potęgą. Lecz wtedy już było za późno. Kula pojęła go w niewolę. Najokropniejszą częścią koszmaru Loraca było stałe przypominanie mu o tym, że to tylko sen, z którego nie może się wyrwać.

A teraz koszmar stał się rzeczywistością. Lorac spuścił głowę, czując w ustach gorzki smak łez. Wtedy poczuł łagodny dotyk dłoni na swych ramionach.

– Ojcze, nie mogę znieść widoku twych łez. Odejdź od okna. Chodź do łóżka. Ziemia znów będzie piękna. Pomożesz ukształtować ją...

Lecz Alhana nie mogła spojrzeć przez okno bez wzdrygnięcia się. Lorac wyczuł jej drżenie i uśmiechnął się smutno.

– Czy nasz lud powróci, Alhano? – Popatrzył na zieleń, która nie była bujną zielenią życia, lecz kolorem śmierci i rozkładu.

– Oczywiście – odrzekła szybko Alhana. Lorac poklepał ją po dłoni. – Kłamstwo, moje dziecko? Od kiedy to elfowie okłamują się nawzajem?

– Sądzę, że być może zawsze okłamywaliśmy się – szepnęła Alhana, przypominając sobie, czego się dowiedziała z nauk Goldmoon. – Dawni bogowie nie opuścili Krynnu, ojcze. Podróżowała z nami kapłanka Mishakal – uzdrowicielka i opowiedziała nam o tym, czego sama się dowiedziała. Nie chciałam uwierzyć, ojcze. Byłam zazdrosna. W końcu przecież ona jest człowiekiem, dlaczego bogowie mieliby przyjść do ludzi z tą nadzieją? Teraz jednak rozumiem, bogowie są mądrzy. Przyszli do ludzi, bowiem my, elfowie, nie przyjęlibyśmy ich. Przez naszą niedolę, żyjąc w tym miejscu zagłady, nauczymy się – tak, jak ty i ja nauczyliśmy się już – że nie możemy dłużej żyć na tym świecie i jednocześnie nie być jego częścią. Elfowie przyłożą ręki nie tylko do odbudowy tej krainy, lecz także wszystkich krajów spustoszonych przez zło.

Lorac słuchał. Odwrócił oczy od krajobrazu udreki ku twarzy córki, bladej i promiennej jak srebrny księżyc i wyciągnął rękę, by jej dotknąć.

– Sprowadzisz ich? Nasz lud?

– Tak, ojcze – obiecała, biorąc w swe dłonie jego zimną, kościstą dłoń i trzymając ją mocno. – Będziemy pracować nie szczędząc sił. Wybłagamy przebaczenie bogów. Pójdziemy pomiędzy narody Krynnu i... – Łzy stanęły jej w oczach i zdławiły głos, bowiem dostrzegła, że Lorac nie słyszy już jej. Oczy mu zasły mgłą i zaczął osuwać się na krzesło.

– Oddaję siebie ziemi – szepnął. – Zakop me ciało w ziemi, córko. Skoro moje życie sprowadziło na nią to przekleństwo, może moja śmierć przyniesie jej błogosławieństwo.

Dłoń Loraca wysunęła się z dłoni jego córki. Jego martwe oczy spoglądały na udreńczoną krainę Silvanesti. Jednakże wyraz zgrozy ustąpił z jego twarzy, zostawiając ją przepełnioną spokojem.

A Alhana nie mogła się smucić.

Tej nocy drużyna przygotowała się do opuszczenia Silvanesti. Mieli podróżować pod osłoną mroku przez większość drogi na północ, bowiem wiedzieli już, że smocze armie zawładnęły ziemiami, przez jakie będą musieli przejść. Nie mieli map, którymi mogliby się

kierować. Obawiali się zaufać starożytnym mapom po doświadczeniu z Tarsis, portem morskim w środku lądu. Jednakże jedyne mapy, jakie można było znaleźć w Silvanesti, pochodziły sprzed tysięcy lat. Przyjaciele postanowili wyruszyć z Silvanesti na północ na oślep, mając nadzieję, że po drodze natkną się na port morski, skąd bada mogli popłynąć do Sancrist.

Nie brali ze sobą wiele, by podróżować szybko. Poza tym, niewiele mogliby wziąć; przed odejściem elfowie zabrali im całe jedzenie i ekwipunek.

Czarodziej wziął smoczą kulę – a był to obowiązek, co do którego nikt nie miał sprzeciwów. Tanis początkowo rozpaczał, nie mogąc sobie wyobrazić, jak będą nieśli ze sobą masywny kryształ – miał niemal 60 cm średnicy i był nadzwyczaj ciężki. Lecz tego wieczoru zanim wyruszyli, Alhana przyszła do Raistlina z małym woreczkiem w rękę.

– Mój ojciec nosił kulę w tym woreczku. Zawsze uważałam, że to dziwne, biorąc pod uwagę rozmiary kuli, lecz on twierdził, że torbę tę dostał w Wieży Wielkiej Magii. Być może pomoże ci ona.

Czarodziej wyciągnął chudą rękę i chwycił woreczek pożądliwie.

– *Jistrah tagopar Ast moirparann Kim* – szepnął i przyjrzał się z satysfakcją, gdy bury worek zaczął się jarzyć blad różowym blaskiem.

– Tak, jest zaczarowany – szepnął. Potem podniósł wzrok i spojrzał na Caramona. – Idź i przynieś mi kulę.

Caramon wybałuszył oczy ze strachu. – Za żadne skarby tego świata! – zaklął olbrzym.

– Przynieś mi kulę! – rozkazał Raistlin, patrząc gniewnie na brata, który wciąż kręcił głową.

– Och, nie bądź durniem, Caramonie! – warknął zirytowany Raistlin. – Kula nie może skrzywdzić tych, którzy nie próbują jej użyć. Uwierz mi, drogi bracie, ty nie masz dość mocy, by zapanować nad karaluchem, a co dopiero nad smoczą kulą!

– Ale ona może mnie uwięzić – zaprotestował Caramon.

– Bzdury! Ona szuka tych, którzy... – Raistlin nagle przerwał.

– Tak? – zapytał cicho Tanis. – Mów dalej. Czego ona szuka?

– Inteligentnych ludzi – warknął Raistlin. – Wobec czego, jestem przekonany, że członkowie tej drużyny są bezpieczni. Przynieś mi kulę, Caramonie, a może chcesz sam ją nieść? Albo może ty, Półelfie? A może ty, kapłanko Mishaka?

Caramon niepewnie obejrzał się na Tanisa i półelf uświadomił sobie, iż wielki mężczyzna czeka na aprobatę z jego strony. Było to dziwne, jak na bliźniaka, który zawsze

bez wahania wykonywał polecenia Raistlina.

Tanis dostrzegł, że nie tylko on zauważył nieme błaganie Caramona. Oczy Raistlina rozbliły się gniewnie.

Teraz bardziej niż kiedykolwiek Tanis poczuł niechęć do maga i dziwnej, stale rosnącej mocy Raistlina. To nielogiczne, sprzeczał się sam ze sobą. Reakcja na koszmar, nic więcej. Jednakże to nie rozwiązywało jego problemu. Co ma zrobić w sprawie smoczej kuli? Zdał sobie sprawę, że prawdę mówiąc, miał niewielki wybór.

– Tylko Raistlin ma dość wiedzy i umiejętności i – powiedzmy sobie szczerze – odwagi, by zająć się tym przedmiotem – powiedział z ociąganiem Tanis. – Uważam, że to on powinien ją wziąć, chyba, że ktoś z was chce wziąć na siebie odpowiedzialność?

Nikt nie odezwał się, choć Riverwind potrząsnął głową, marszcząc ponuro brwi. Tanis wiedział, że mieszkaniec równin zostawiłby kulę – i Raistlina również – w Silvanesti, gdyby tylko dano mu wybór.

– Idź, Caramonie – rzekł Tanis. – Tylko ty jesteś dość silny, by ją unieść.

Caramon niechętnie podszedł do złotego stojaka, by zabrać zeń kulę. Kiedy sięgał po nią, trzęsły mu się ręce, lecz kiedy położył na niej dłoń, nic się nie stało. Kula nie zmieniła wyglądu. Westchnąwszy z ulgą, Caramon uniósł glob, sapiąc z wysiłku i zaniósł go bratu, który otworzył woreczek.

– Wrzuć ją do torby – polecił Raistlin.

– Co takiego? – Caramonowi opadła szczęka na widok olbrzymiej kuli i małej torebki w wątych dłoniach czarodzieja. – Nie mogę, Raist! Nie zmieści się! Potłucze się!

Ogromny mężczyzna zamilkł, gdy oczy Raistlina zapłonęły złotem w gasnącym blasku dnia.

– Nie! Caramonie, poczekaj! – Tanis skoczył naprzód, lecz tym razem Caramon postąpił tak, jak mu kazał Raistlin. Powoli, nie mogąc oderwać oczu od przenikliwego spojrzenia brata, Caramon upuścił smoczą kulę.

Kula znikła!

– Co? Gdzie... – Tanis posłał Raistlinowi podejrzliwe spojrzenie.

– W worku – odparł spokojnie mag, pokazując torebkę. – Zobacz sam, jeśli mi nie ufasz.

Tanis zajrzał do torebki. Kula znajdowała się w jej wnętrzu i była to z pewnością prawdziwa smocza kula. Nie miał wątpliwości. Widział wirującą, zieloną mgłę, jakby w środku tliło się słabo jakieś życie. Musiała się zmniejszyć, pomyślał, zdjęty strachem, lecz wydawało się, że kula jest tych samych rozmiarów, co zawsze, przez co Tanis miał okropne

wrażenie, że to on się zwiększył.

Wzdrygnąwszy się, Tanis odstąpił o krok. Raistlin krótkim szarpnięciem zaciągnął sznureczek na szczycie torebki, zamykając ją. Potem, zmierzyszy ich nieufnym spojrzeniem, wsunął woreczek za pazuchę, chowając go do jednej z licznych tajnych kieszeni i chciał już się odwrócić, lecz Tanis zatrzymał go.

– Nic już nie będzie między nami tak, jak dawniej, prawda? – zapytał cicho półelf.

Raistlin przyglądał mu się przez chwilę i Tanis dostrzegł przebłysk żalu w oczach młodego czarodzieja, tęsknotę za ufnością, przyjaźnią i powrotem do dni młodości.

– Nie – szepnął Raistlin. – Lecz taka była cena, jaką zapłaciłem. – Zaczął kaszleć.

– Cena? Komu ją zapłaciłeś? Za co?

– Nie zadawaj pytań, Półelfie. – Chude ramiona czarodzieja zgarbiły się od kaszlu. Caramon objął silnym ramieniem brata i Raistlin oparł się na swym bliźniaku. Kiedy atak minął, czarodziej uniósł złote oczy. – Nie mogę ci dać odpowiedzi, Tanisie, ponieważ sam jej nie znam.

Potem, spuściwszy głowę, pozwolił Caramonowi odprowadzić się na spoczynek przed podrożą.

– Chciałbym, abyś zastanowiła się ponownie i pozwoliła nam udzielić ci pomocy przy obrzędach pogrzebowych twego ojca – rzekł Tanis do Alhany, gdy kobieta stanęła w drzwiach Wieży Gwiazd, aby pożegnać się z nimi. – Dzień zwłoki nie ma dla nas znaczenia.

– Tak, zezwól nam – prosiła serdecznie Goldmoon. – Wiem wiele na ten temat od naszego ludu, bowiem nasze zwyczaje pogrzebowe są podobne do waszych, jeśli to, co Tanis mi powiedział, jest prawdą. Jako kapłanka w mym plemieniu byłam obecna przy zawijaniu zwłok w nasączone wonnymi korzeniami bandażę, które je zakonserwują...

– Nie, moi przyjaciele – rzekła zdecydowanie blada Alhana. – Życzeniem mego ojca było, abym... abym uczyniła to sama.

Nie było to całkowicie zgodne z prawdą, lecz Alhana wiedziała, jak wstrząśnięci byliby ci ludzie na widok ciała jej ojca zakopywanego w ziemi – który to zwyczaj praktykowały tylko gobliny i inne złe stwory. Sama myśl o tym wzbudziła w niej odrazę. Mimowolnie jej spojrzenie powędrowało ku udręczonemu i powykręcанemu drzewu, które miało stanąć nad jego grobem, niczym jakiś straszny ptak ścierwojad. Szybko odwróciła wzrok i odezwała się drżącym głosem.

– Jego grób... jest od dawna przygotowany, a ja sama mam pewne doświadczenie w tej dziedzinie. Nie martwcie się o mnie, proszę.

Tanis dostrzegł cierpienie malujące się na jej twarzy, lecz nie mógł odmówić

uszanowania jej woli.

– Rozumiemy – rzekła Goldmoon. Potem, pchnięta impulsem, barbarzyńska kobieta z plemienia Que-Shu objęła księżniczkę elfów i przytuliła ją tak, jakby tuliła zagubione i przestraszone dziecko. Alhana początkowo zeszywniała, a później rozluźniła się we współczującym uścisku Goldmoon.

– Zostań w pokoju – szepnęła Goldmoon, odsuwając Alhanie z twarzy ciemne włosy. Potem mieszkanka równin odeszła.

– A kiedy pochowasz ojca, co wtedy? – zapytał Tanis, gdy został sam z Alhana na stopniach wieży.

– Powrócę do mego ludu – odrzekła smutno Alhana. – Gryfy przylecą po mnie teraz, gdy zło opuściło tę krainę i zabiorą mnie na Ergoth. Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, by pomóc pokonać to zło, a potem wrócimy do domu.

Tanis rozejrzał się po Silvanesti. Było przerażające za dnia, lecz w nocy jego grozy nie sposób było opisać.

– Wiem – Alhana odpowiedziała na jego nie wypowiedzianą myśl. – To będzie nasza pokuta.

Tanis uniósł sceptycznie brwi, wiedząc, jaka walka ją czeka, jeśli będzie chciała nakłonić swój lud do powrotu. Wtedy dostrzegł przekonanie malujące się na twarzy Alhany. Zrozumiał, że szansę są wyrównane.

Uśmiechając się, zmienił temat. – A czy znajdziesz czas, by wybrać się na Sancrist? – zapytał. – Rycerze będą zaszczytzeni twoją obecnością. Szczególnie jeden z nich.

Błądą twarz Alhany pokrył rumieniec. – Być może – rzekła. – Nie potrafię jeszcze powiedzieć. Dowiedziałam się wielu rzeczy o sobie. Jednak pogodzenie się z nimi zajmie mi jeszcze dużo czasu. – Potrząsnęła głową i westchnęła. – Być może tak naprawdę nigdy się z nimi nie pogodzę.

– Jak na przykład z nauczeniem się miłości do człowieka?

Alhana uniosła głowę i utkwiała czyste spojrzenie swych oczu w oczach Tanisa. – Czy on byłby szczęśliwy, Tanisie? Z dala od swej ojczyzny, bowiem ja muszę wrócić do Silvanesti? I czy ja mogłabym być szczęśliwa, wiedząc, że muszę patrzeć, jak on się starzeje i umiera, gdy tymczasem ja jestem wciąż młoda?

– Zadawałem sobie te same pytania, Alhano – powiedział Tanis, rozmyślając z bólem o decyzji, jaką podjął w sprawie Kitiary. – Jeśli wzgardzimy miłością, jaka jest nam dana, jeśli nie chcemy dać miłości, obawiając się cierpienia straty, nasze życie będzie puste, a strata jeszcze większa.

– Kiedy po raz pierwszy spotkaliśmy się, zastanawiałam się, dlaczego ci ludzie idą za tobą, Tanisie Półelfie – rzekła cicho Alhana. – Teraz rozumiem. Rozważę twe słowa. Żegnaj, do czasu kresu wędrówki twego życia.

– Żegnaj, Alhano – odpowiedział Tanis, biorąc dłoń, którą do niego wyciągnęła. Nie wiedział, co ma więcej powiedzieć, więc odwrócił się i odszedł.

Oddalając się jednak nie mógł powstrzymać się od refleksji, że skoro jest taki diabelnie mądry, to dlaczego jego życie jest tak sparane?

Tanis zastał swych towarzyszy na skraju polany. Przez chwilę po prostu stali tak, ociągając się przed wejściem do lasów Silvanesti. Choć wiedzieli, że zła już w nich nie ma, myśl o podróżowaniu wiele dni przez makabryczny, zniekształcony las, nie była miła. Nie mieli jednak wyjścia. Już ogarnęło ich to poczucie konieczności pośpiechu, które zagnało ich aż tu. Czas przesypywał się w klepsydrze i wiedzieli, że nie mogą pozwolić, by piasek przesypał się do końca, choć nie wiedzieli, czemu.

– Chodźmy, mój bracie – rzekł wreszcie Raistlin. Czarodziej poprowadził ich w głąb lasu. Laska Magiusa rozsiewała wokół blade światło. Caramon ruszył za nim z westchnieniem. Jedno po drugim, reszta poszła w ich ślady. Tylko Tanis został jeszcze, by obejrzeć się.

Nie zobaczą księżyców tej nocy. Ziemię spowijał ciężki mrok, jakby ona również oplakiwała śmierć Loraca. Alhana stała w drzwiach Wieży Gwiazd, a jej sylwetka odcinała się od tła murów migoczących w świetle pojmanyh wieki temu księżycowych promieni. Z ciemności wyłaniała się tylko twarz Alhany, niczym duch srebrnego księżyca. Tanis dostrzegł jakiś ruch. Kobieta uniosła rękę i na krótko rozbłysło jasno czyste, białe światło – gwiazdny klejnot. A potem odeszła.

KSIĘGA DRUGA

Historia wyprawy drużyny do zamku na Lodowej Ścianie i ich zwycięstwo nad złym smoczym władcą, Feal-Thasem, stały się legendą wśród lodowych barbarzyńców zamieszkujących tę niegościnną krainę. Nadal opowiada ją wioskowy kapłan podczas długich zimowych nocy, gdy wspomina się bohaterskie czyny i śpiewa pieśni.

PIEŚŃ LODOWEGO TOPORA

*Jam jest ten, który ich wyprowadził.
Jam jest Raggart ja wam to opowiadam.
Śnieg na śniegu zamazuje znaki lodu
Po śniegu słońce krwawi bielą
W mroźnym świetle wiecznie nieznośną.
A jeśli nie opowiem wam o tym
Śnieg przysypie czyny bohaterów
A ich siła w moim śpiewie
Spocznie w skorupie szronu nie wstając już nigdy
Nigdy już, gdy zagubiony oddech się skruszy.*

*Siedmioro ich było z gorących krain
(To ja ich wyprowadziłem)
Czterech szermierzy zaprzysiężonych na Północy
Elfia kobieta Laurana
Krasnolud z kraju kamiennej kry
Kender drobnokościsty niczym jastrzęb.
Na trzech łyżwach wjechali do tunelu
Do gardła jedynego zamku.*

*Zeszli między Thanoi starych strażników
Gdzie ich wojownicy rozrąbali gorące powietrze
Znajdując ścięgna znajdując kość
A tunele spłynęły krwią.
Zeszli między minotaury między lodowe niedźwiedzie
I miecze znów zaświstały*

*Lśniące na krawędzi obłędu
Tunel po kolana wypełniały ręce
Szpony rzeczy ohydne
Gdy wojownicy schodzili
A błyszcząca mgła zamarzała za nimi.*

*Potem ku komnatom w sercu zamku
Gdzie czekał Feal-Thas pan smoków i wilków
Opancerzony w biel, która jest nicością
Jaka pokrywa lód, gdy słońce krwawi bielą.
I zawezwał wilki porywaczy dzieci
Które w norach przodków wyssały wraz z mlekiem mord
Wokół bohaterów krąg noży krąg pożądania
Gdy wilki skradały się w oku swego pana.*

I Aran pierwszy przerwał krąg Gorący wiatr u gardła Feal-Thasa

*Powalony i rozpruty
W tańcu doskonałych łowów.
Brian następny, gdy miecz wilczego pana
Wysłał go na poszukiwanie ciepłych krajów.
Wszyscy stali zmrożeni w kręgu brzytw
Wszyscy zmrożeni z wyjątkiem Laurany.
Zaślepią gorącym światłem strzelającym z korony umysłu
Gdzie śmierć stapia się z tonącym słońcem
Podnosi lodowy topór
I ponad kłębem wilków ponad rzezią
Niosąc lodowe ostrze niosąc ciemność
Otworzyła gardło wilczego pana
I wilki zamilkły, gdy głowa spadła.*

*Resztę krótko się opowiada.
Niszcząc jaja brutalne potomstwo smoków
Tunelem łusek i plugastwa
Dotarli do straszliwej spizami*

*Dotarli dalej dotarli do skarbcza.
Tam kula tańczyła błękitem tańczyła bielą
Nabrzmiała niczym serce wiecznie bijące
(Pozwolili mi ją potrzymać jam ich wyprowadził)
Z tunelu krew na krwi pod lodem
Obarczeni swym niewiarygodnym ciężarem
Młodych rycerzy milczących i poszarpanych
Wyszli zaledwie teraz pięcioro
Kender ostatni z wypchanymi kieszonkami.
Jam jest Raggart ja wam to opowiadam.
Jam jest ten, który ich wyprowadził.*

Rozdział I

Ucieczka z Lodowej Ściany

Stary krasnolud umierał. Nie mógł się już utrzymać na nogach. Żołądek i kiszki wiły mu się niczym węże. Ogarniały go fale mdłości. Nawet nie mógł podnieść głowy ze swej koi. Przyglądał się lampce oliwnej, która kołysała się powoli nad jego głową. Światło lampki zdawało się pomału przygasać. To już koniec, pomyślał krasnolud. To koniec. Mrok zasnuwa mi oczy...

Postłyszał jakiś dźwięk w pobliżu, skrzypienie desek, jakby ktoś po cichutku skradał się do niego. Flintowi udało się z wielkim trudem odwrócić głowę.

– Kto tam? – wychrypiał.

– Tasslehoff – szepnął współczujący głos. Flint westchnął i wyciągnął do niego rękę. Tas uściskał jego sękatą dłoń.

– Ach, chłopcze. Cieszę się, że zdążyłeś przyjść, żeby się ze mną pożegnać – rzekł słabym głosem krasnolud. – Umieram, chłopcze. Wybieram się do Reorxa...

– Gdzie? – zapytał Tas, nachylając się mocniej.

– Do Reorxa – powtórzył poirytowany krasnolud. – Wybieram się w objęcia Reorxa.

– Nieprawda – stwierdził Tas. – Wybieramy się do Sancrist. Chyba, że masz na myśli jakąś gospodę. Zapytam Sturma. „Objęcia Reorxa”. Hmm...

– Reorxa, boga krasnoludów, ty tępą pało! – ryknął Flint.

– Och – stwierdził Tas po chwili. – Tego Reorxa.

– Posłuchaj, chłopcze – powiedział Flint spokojniej, postanawiając nie zostawiać po sobie złych wspomnień. – Chcę, żebyś wziął sobie mój hełm. Ten, który przyniosłeś mi w Xak – Tsaroth, ten z grzywą gryfa.

– Naprawdę? – zapytał Tasslehoff, będąc pod wrażeniem tego gestu. – To okropnie miło z twojej strony, Flincie, ale co ty będziesz nosił zamiast hełmu?

– Ach, chłopcze, tam, gdzie ja się wybieram, nie będę potrzebował hełmu.

– Na Sancrist możesz go potrzebować – stwierdził Tas z powątpiewaniem. – Derek sądzi, że smoczy władcy przygotowują się do natarcia na pełną skalę i myślę, że hełm może ci się przydać...

– Nie mówię o Sancrist! – warknął Flint, usiłując się podnieść. – Nie będę potrzebował hełmu, ponieważ umieram!

– Ja raz o mało nie umarłem – powiedział poważnie Tas. Postawiwszy dymiącą miskę na stole, usadowił się wygodnie na krześle, żeby opowiedzieć swoją historię. – To było w

Tarsis, wtedy, gdy smok zawałił na mnie dom. Elistan powiedział, że niemal już wykitowałem. Prawdę mówiąc, niezupełnie takie były jego słowa, ale stwierdził, że tylko dzięki wstawię... wsiądzie.... och, wstawię – coś – tam bogów jestem tu z wami dzisiaj.

Flint jęknął przeraźliwie i bezwładnie zwałił się na pryczę. – Czyżbym prosił o zbyt wiele – powiedział do lampy kołyszącej się nad jego głową – jeśli pragnę skonać w spokoju? A nie otoczony przez kenderów! – Ostatnie słowo było praktycznie wrzaskiem.

– Och, daj spokój. Wiesz przecież, że nie umierasz – powiedział Tas. – To tylko choroba morska.

– Umieram – twierdził zawzięcie krasnolud. – Zaraziłem się poważną chorobą i teraz konam. A moja śmierć spadnie na wasze głowy. To wy zaciągnęliście mnie na tę przeklętą łódkę...

– Statek – przerwał Tas.

– Łódkę! – powtórzył z wściekłością Flint. – Zaciągnęliście mnie na tę przeklętą łódkę, a potem zostawiliście w zaszczurzonej sypialni, żebym skonał od jakiejś strasznej choroby...

– Mogliśmy cię zostawić przy Lodowej Ścianie, no wiesz, z ludźmi – morsami i... – Tasslehoff przerwał.

Flint znów usiłował podnieść się do pozycji siedzącej, tym razem z dzikim błyskiem w oku. Kender wstał i zaczął się wycofywać w stronę drzwi. – Wiesz, to ja już lepiej sobie pójdę. Przyszedłem tylko, żeby... ee... zobaczyć, czy nie chciałbyś czegoś zjeść. Kucharz okrętowy właśnie przyrządził coś, co według niego jest zupą z zielonego groszku...

Laurana, skulona w zacisznym miejscu na przednim pokładzie, drgnęła, usłyszawszy przerażający ryk spod pokładu, a po nim trzask rozbijanych naczyń. Spojrzała na Sturma, który stał obok niej. Rycerz uśmiechnął się.

– Flint – stwierdził.

– Tak – powiedziała zaniepokojona Laurana. – Może powinnam...

Przerwało jej pojawienie się Tasslehoffa ociekającego zupą z zielonego groszku.

– Wydaje mi się, że Flint czuje się lepiej – rzekł Tasslehoff z powagą. – Ale chyba jeszcze nie jest gotowy coś zjeść.

Podróż powrotna z Lodowej Ściany trwała krótko. Mały statek niemal szybował po morzu, niesiony na północ prądami i zimnym, silnym wichrem.

Drużyna udała się do Lodowej Ściany, gdzie według Tasslehoffa w zamku była przechowywana smocza kula. Znaleźli kulę i pokonali jej złego strażnika, Feal – Thasa – potężnego smoczego władcę. Uciekłszy z pomocą plemienia lodowych barbarzyńców przed

zniszczeniem zamku, znajdowali się obecnie na pokładzie statku płynącego do Sancrist. Choć cenna smocza kula była bezpiecznie schowana w kufrze pod pokładem, okropne przeżycia podróży do Lodowej Ściany wciąż nękały ich nocami w koszmarnych snach.

Koszmary Lodowej Ściany były jednakże niczym w porównaniu z dziwnym i wyrazistym snem, który im się przyśnił dobrze ponad miesiąc temu. Nikt z nich o nim nie wspominał, lecz Laurana czasami dostrzegała w oczach Sturma niezwykle dla niego wyraz strachu i samotności, który skłaniał ją do podejrzeń, że on również wspomina ten sen.

Poza tym drużyna była dobrej myśli – z wyjątkiem krasnoluda, którego siłą wniesiono na pokład statku i który natychmiast dostał choroby morskiej. Wyprawa do Lodowej Ściany bez wątpienia okazała się zwycięstwem. Wraz ze smoczą kulą wieźli złamane drzewce prastarej broni, którą uważano za smoczą lancę. I wieźli ze sobą jeszcze coś znacznie ważniejszego, choć nie zdawali sobie z tego sprawy w chwili, gdy to znaleźli...

Drużyna w towarzystwie Dereka Crownguarda i pozostałych dwóch młodych rycerzy, którzy przyłączyli się do nich w Tarsis szukała smoczej kuli w zamku na Lodowej Ścianie. Poszukiwania nie szły dobrze. Wciąż walczyli ze złymi morsoludźmi, zimowymi wilkami i niedźwiedziami. Przyjaciele zaczęli już sądzić, że przybyli tu nadaremnie, lecz Tas przysięgał, że według księgi, jaką przeczytał w Tarsis, smocza kula tu się znajduje. Więc nadal szukali.

Właśnie w czasie poszukiwań dostrzegli zdumiewający widok: olbrzymi smok o migotliwie srebrnej skórze, długości ponad dwunastu metrów, całkiem zatopiony w lodowej ścianie. Smok miał rozpostarte skrzydła, jakby przygotowując się do lotu. Wyraz pyska był groźny, lecz głowa miała szlachetne rysy, nie wzbudzające w nich tego strachu i odrazy, jakich doświadczali w obecności czerwonych smoków. Raczej poczuli ogarniający ich wielki, nieodparty żal nad tym wspaniałym stworzeniem.

Lecz najdziwniejszy w tym wszystkim był fakt, iż smok ten miał jeźdźca! Drużyna widziała już wcześniej smoczych władców dosiadających swych smoków, lecz sądząc po starożytnej zbroi, ten człowiek był rycerzem solamnijskim! W dłoni ścisnął mocno ułamane drzewce broni, która wyglądała na wielką lancę.

– Dlaczego rycerz solamnijski miałby dosiadać smoka? – zapytała Laurana, myśląc o smoczych władcach.

– Byli rycerze, którzy zaprzędali się złu – rzekł surowo Derek Crownguard. – Choć przyznaję to ze wstydem.

– Nie wyczuwam tu zła – powiedział Elistan. – Tylko wielki smutek. Ciekaw jestem, jak zginęli. Nie widzę ran...

– Wydaje mi się, że skądś to znam – przerwał Tasslehoff i zmarszczył czoło. – Jakby z obrazka. Rycerz na srebrnym smoku. Widziałem...

– Akurat! – burknął Flint. – Ty widywałeś kosmate słonie...

– Mówię poważnie – zaprotestował Tas.

– Gdzie to było, Tas? – zapytała łagodnie Laurana, widząc urazę malującą się na twarzy kendera. – Potrafisz sobie przypomnieć?

– Wydaje mi się... – Oczy zaszyły Tasslehoffowi mgłą.

– Przypomina mi się Pax Tharkas i Fizban...

– Fizban! – wybuchł Flint. – Ten stary czarodziej był bardziej zbzikowany niż Raistlin, jeśli to możliwe.

– Nie wiem, o czym mówi Tas – rzekł Sturm, spoglądając w zamyśleniu na smoka i jeźdźca. – Ale pamiętam opowieści mojej matki o tym, jak na ostatni bój Huma pojechał na srebrnym smoku, dzierżąc w rękę smoczą lancę.

– A ja pamiętam, jak moja matka mówiła mi, żebym zostawiał słodkie placki dla białego starca, który przychodził do naszego zamku na zimowe święto – szydził Derek. – Nie, to z pewnością jakiś zdradziecki rycerz, omotany przez zło.

Derek i dwaj młodzi rycerze odwrócili się i poszli, lecz reszta została z tyłu, przyglądając się postaci na grzbiecie smoka.

– Masz rację, Sturmie. To jest smocza lanca – stwierdził ze smutkiem Tas. – Nie mam pojęcia, skąd o tym wiem, ale jestem tego pewien.

– Czy widziałeś ją w tej książce w Tarsis? – zapytał Sturm, wymieniając spojrzenia z Laurana. Oboje uważali, że powaga kendera jest niezwykła, a nawet przerażająca.

Tas wzruszył ramionami. – Nie wiem – pisnął cichutko. – Przykro mi.

– Może powinniśmy zabrać ją ze sobą – zaproponowała niepewnie Laurana. – Nie zaszkodziłoby.

– Chodź już, Brightblade! – dobiegło ich szorstkie echo głosu Dereka. – Thanoi może chwilowo nas zgubili, lecz wkrótce podejną nasz trop.

– Jak zdołamy ją wydostać? – zapytał Sturm, ignorując rozkaz Dereka. – Jest zatopiona w lodzie grubym niemal na metr!

– Ja potrafię – powiedział Gilthanas.

Wskoczywszy na olbrzymią ścianę lodu, jaka się utworzyła wokół smoka i jego jeźdźca, elf znalazł zaczepienie dla rąk i zaczął się pomału wspinać na posąg. Z zamrzniętego smoczego skrzydła mógł już pełznąć na czworakach, aż dotarł do lancy w zaciśniętej dłoni jeźdźca. Gilthanas przycisnął rękę do lodu pokrywającego lancę i przemówił w

niesamowitym, tajemniczym języku magii.

Czerwony blask rozprzestrzenił się od dłoni elfa na lód i szybko go stopił. Po kilku chwilach elf mógł już włożyć rękę do otworu i chwycić lancę. Jednak broń mocno tkwiła w dłoni martwego rycerza.

Gilthanas szarpał i nawet próbował odgiąć zamrożone palce. Wreszcie nie mógł już dłużej znieść zimna i dygocząc, zsunął się z powrotem na ziemię. – Nie ma mowy – oświadczył. – Trzyma ją mocno w ręku.

– Złam palce... – zasugerował pomocnie Tas.

Sturm uciszył kendera oburzonym spojrzeniem. – Nie pozwolę bezcześcić zwłok – rzekł ostrym tonem. – Może uda nam się wysunąć lancę z dłoni. Ja spróbuję...

– Nic z tego nie będzie – powiedział Gilthanas do siostry, kiedy oboje przyglądali się wspinaczce Sturmowi po lodzie. – Miałem wrażenie, że lanca stała się częścią ręki. Ja... – Elf urwał.

Gdy Sturm wsunął rękę do otworu w lodzie i chwycił lancę, zlodowaciała postać rycerza zdała się nagle poruszyć, tylko odrobinę. Sztywna i zamrożona dłoń rozluźniła chwyt na strzaskanej lancy. Sturm niemal spadł ze zdumienia i wypuściwszy szybko broń, wycofał się po zamrożonym skrzydle smoka.

– On ci ją daje – krzyknęła Laurana. – Śmiało, Sturmie! Weź ją! Nie widzisz – on ją daje innemu rycerzowi.

– Którym nie jestem – rzekł gorzko Sturm. – Lecz być może to o czymś świadczy, może jest zła... – Wahając się, wsunął rękę do otworu i jeszcze raz chwycił lancę. Sztywna ręka martwego rycerza wypuściła oręż. Trzymając złamaną broń, Sturm ostrożnie wyciągnął ją z lodu. Zeskoczył na ziemię i przyjrzał się staremu drzewcu.

– To było wspaniałe – powiedział z pełnym podziwu lękiem Tas. – Flincie, widziałeś, jak ten nieboszczyk ożył?

– Nie! – warknął krasnolud. – I ty też nie widziałeś. Chodźmy już stąd – powiedział, trzęsąc się z zimna.

Wtedy zjawił się Derek. – Dałem ci rozkaz, Sturmie Brightblade! Co to za ociąganie się? – Na widok lancy twarz Dereka pociemniała z gniewu.

– Poprosiłam go, żeby mi ją przyniósł – powiedziała Laurana głosem równie chłodny, jak ściana lodu za jej plecami. Biorąc lancę, zaczęła szybko ją zawijać w futrzany płaszcz wyjęty z plecaka.

Derek gniewnie przyglądał jej się przez chwilę, a potem skłonił się sztywno i odwrócił na pięcie.

– Martwi rycerze, żywi rycerze, sam nie wiem, którzy są gorsi – mamrotał Flint, łapiąc Tasa i ciągnąc go ze sobą w ślad za Derekiem.

– A jeśli to oręż zła? – Sturm zapytał Lauraną przyciszonym głosem podczas wędrówki lodowymi korytarzami zamku.

Laurana obejrzała się po raz ostatni na martwego rycerza na grzbiecie smoka. Zimne, blade słońce południowych krain zachodziło właśnie, rzucając wodniste cienie na zwłoki i nadając im złowieszczy wygląd. Kiedy im się przyglądała, wydało jej się, że martwe ciało osunęło się bezwładnie.

– Czy wierzysz w historię o Humie? – zapytała cicho Laurana.

– Już nie wiem, w co wierzyć – rzekł Sturm, a rozgoryczenie nadawało jego głosowi szorstkie brzmienie. – Wszystko niegdyś było dla mnie czarne i białe, wszystkie kwestie jasne i nie budzące wątpliwości. Wierzyłem w historię o Humie. Moja matka nauczyła mnie, że to prawda. Potem udałem się do Solamnii. – Przerwał, jakby nie chcąc kontynuować. Wreszcie, dostrzegając zainteresowanie i współczucie malujące się na twarzy Laurany, przełknął ślinę i mówił dalej. – Nigdy nikomu o tym nie powiedziałem, nawet Tanisowi. Kiedy wróciłem do ojczyzny, stwierdziłem, że krąg rycerski nie był już tym zakonem honorowych, pełnych poświęcenia ludzi, jaki opisywała moja matka. Wrzało w nim od intryg politycznych. Najlepsi mężowie przypominali Dereka – honorowi, lecz sztywni i nieustępliwi, pogardzali tymi, których uważali za gorszych od siebie. Najgorsi... – Potrząsnął głową. – Kiedy mówiłem o Humie, śmiali się. Nazywali go błędnym rycerzem. Według nich, wyrzucono go z zakonu za nieprzestrzeganie jego praw. Mówili, że Huma krąży po wsiach, schlebując chłopom, którzy w zamian zaczęli tworzyć o nim legendy.

– A czy on rzeczywiście istniał? – dopytywała się Laurana, zdjeta żalem na widok smutku malującego się na twarzy Sturma.

– O, tak. Co do tego nie ma wątpliwości. Dokumenty, które przetrwały kataklizm wymieniają jego nazwisko wśród rycerzy niższej rangi. Lecz opowieści o srebrnym smoku, ostatniej bitwie, nawet o samej smoczej lancy – w to już nikt nie wierzy. Jak mówi Derek, nie ma dowodu. Wedle legendy grobowiec Humy był olbrzymią budowlą – jednym z cudów świata. Mimo to, nie znajdziesz nikogo, kto by go kiedykolwiek widział. Zostały nam tylko bajki dla dzieci, jakby powiedział Raistlin. – Sturm przyłożył dłonie do twarzy, zasłaniając oczy i westchnął głęboko, drżąc przy tym.

– Czy wiesz – rzekł cicho. – Nigdy nie myślałem, że to powiem, ale tęsknię za Raistlinem. Tęsknię za nimi wszystkimi. Czuję się tak, jakbym był odcięty od części mojej osoby. Tak właśnie się czułem, kiedy byłem w Solamnii. Dlatego właśnie wróciłem, zamiast

zaczekać do ukończenia moich prób rycerskich. Ci ludzie – moi przyjaciele – czynili więcej dla zwalczania zła na świecie niż wszyscy rycerze ustawieni w szereg. Nawet Raistlin, w jakiś sposób, którego nie rozumiem. On umiałby nam powiedzieć, co to wszystko oznacza. – Wskazał kciukiem na zamrożonego rycerza. – Przynajmniej on by w to uwierzył. Gdyby tylko był tutaj. Gdyby był tu Tanis... – Sturm nie mógł dalej mówić.

– Tak – powiedziała cicho Laurana. – Gdyby tylko Tanis tu był..

Pamiętając o jej wielkim smutku, o wiele większym od jego zmartwień, Sturm objął Lauranę ramieniem i przytulił do siebie. Stali tak przez chwilę, czerpiąc ze swej bliskości pociechę w żalu po utracie bliskich. Potem posłyszeli ostry głos Dereka, karcący ich za zostawanie w tyle.

A teraz złamana lanca, owinięta w futrzany płaszcz Laurany, leżała w skrzyni wraz ze smoczą kulą i zabójcą smoków, mieczem Tanisa, który Laurana i Sturm zabrali ze sobą / Tarsis. Obok skrzyni leżały ciała dwóch młodych rycerzy, którzy oddali życie w obronie drużyny. Wieziono je, by zostały pogrzebane w ojczyźnie.

Od lodowców dał silny południowy wiatr, który szybko pchał statek po Morzu Sirriona. Kapitan oświadczył, że jeśli wiatr się utrzyma, mogą dopłynąć do Sancrist za dwa dni.

– Tam leży Południowy Ergoth – kapitan powiedział Elistanowi, wskazując za sterburtę. – Wkrótce będziemy go wymijać od południowej strony. Dzisiaj wieczorem zobaczycie wyspę Cristyne. Przy dobrym wietrze wkrótce będziemy już na Sancrist. Dziwna rzecz z tym Południowym Ergothem – rzekł kapitan, oglądając się na Lauranę – powiadają, że pełno tam elfów, choć sam tam nie byłem, więc nie mogę zaświadczyć, że to prawda.

– Elfowie! – powiedziała z przejęciem Laurana, podchodząc na dziób statku, by stanąć obok kapitana. Poranny wiatr szarpał jej pelerynę.

– Ponoć uciekli z ojczyzny – ciągnął kapitan. – Przepędziły ich smocze armie.

– To może być nasz lud! – powiedziała Laurana, ściskając Gilthanasę, który stał obok niej. Wyrzała przez dziób statku uważnie, jakby siłą woli mogła wymusić pojawienie się lądu.

– Najprawdopodobniej to Silvanesti – powiedział Gilthanas. – Prawdę mówiąc, wydaje mi się, że lady Alhana wspomniała coś na temat Ergothu. Pamiętasz, Sturmie?

– Nie – odrzekł nagle rycerz. Odwróciwszy się, podszedł do bakburty, oparł się o barierkę i spojrzął na zaróżowione morze. Laurana dostrzegła, że wyciągnął coś zza pasa i pogładził czule. Przedmiot błysnął jasno w promieniach słońca, a potem Sturm schował go z powrotem za pas i spuścił głowę. Laurana chciała do niego podejść, gdy nagle zatrzymała się,

zauważywszy jakieś poruszenie.

– Co to za dziwna chmura na południu?

Kapitan odwrócił się natychmiast, wyciągając lunetę z kieszeni swej futrzanej kurtki i przykładając ją do oka. – Poślij kogoś na maszt – rozkazał pierwszemu oficerowi.

Po chwili marynarz wspinał się już po olinowaniu. Trzymając się masztu jedną ręką na zawrotnej wysokości, spojrział na południe przez lunetę.

– Poznajesz, co to jest? – zawołał kapitan.

– Nie, panie kapitanie – odkrzyknął marynarz. – Jeśli to chmura, to jeszcze takiej nie widziałem.

– Ja popatrzę! – Tasslehoff z zapalem zgłosił się na ochotnika. Kender zaczął się wspinać po linach równie sprawnie jak żeglarz. Wspiąwszy się na maszt, uczeplił się olinowania przy marynarzu i popatrzył na południe.

Rzeczywiście, wyglądało to na chmurę. Było wielkie, białe i wydawało się unosić nad wodą. Lecz poruszało się dużo szybciej niż inne chmury na niebie i...

Tasslehoff sapnął. – Pożycz mi to – poprosił, wyciągając rękę po lunetę obserwatora. Marynarz dał mu ją niechętnie. Tas przyłożył ją do oka i jęknął cicho. – Ojej – wyszeptał. Opuściwszy lunetę, złożył ją z traskiem i od niechcienia schował za pazuchę. Kiedy kender miał zamiar ześlizgnąć się na dół, żeglarz złapał go za kołnierz.

– O co ci chodzi? – zapytał zaskoczony Tas. – Och! To twoje? Przepraszam. – Klepnąwszy z żalem lunetę, oddał ją marynarzowi. Tas zsunął się zwinnie po linach, lekko wylądował na pokładzie i podbiegł do Sturma.

– To smok – oświadczył zasapany kender.

Rozdział II

Biały Smok. W niewoli!

Smoczyca miała na imię Śnieżyca. Była białym smokiem, smokiem należącym do gatunku mniejszego od innych na Krynnie. Te urodzone i wychowane w rejonach arktycznych smoki zdolne były wytrzymać ogromne chłody, toteż panowały nad skutymi lodem południowymi rejonami Ansalonu.

Z powodu małych rozmiarów białe smoki latają najszybciej spośród całego smoczego rodzaju. Smoczy władcy często wysyłali je na zwiady. Tak więc Śnieżyca nie było w jej leżu na Lodowej Ścianie, gdy drużyna wdarła się do niego w poszukiwaniu smoczey kuli. Królowa Ciemności otrzymała wiadomość, że do Silvanesti wdarła się grupa poszukiwaczy przygód. Jakimś cudem udało im się pokonać Cyana Bloodbane i podobno w ich posiadaniu znajdowała się smocza kula.

Królowa Ciemności domyśliła się, że mogą udać się przez Równiny Pyłu, wędrując królewskim traktem, który był najkrótszą drogą lądową na Sancrist, gdzie rycerze solamnijscy ponoć próbowali się przegrupować. Królowa Ciemności rozkazała Śnieżyca i jej oddziałowi białych smoków pomknąć na północ, na pokryte teraz grubą warstwą zbitego śniegu Równiny Pyłu, by odnaleźć smoczą kulę.

Widząc połyskujący w dole śnieg, Śnieżyca bardzo wątpiła, czy nawet istoty ludzkie byłyby tak nierozsądne, by poważić się teraz na przebycie takiego pustkowia. Jednak dostała rozkazy i wypełniła je. Rozdzieliwszy swój oddział, Śnieżyca przeszukała każdą piędź ziemi od granic Silvanesti na wschodzie do gór Kharolis na zachodzie. Kilka jej smoków zapędziło się nawet aż na Nowe Wybrzeże kontrolowane przez niebieskie smoki.

Kiedy smoki spotkały się, zameldowały, że nie dostrzegły żywego ducha na równinach. Wtedy Śnieżyca otrzymała wiadomość, że gdy ona pilnowała frontowego wejścia, niebezpieczeństwo tymczasem zakradło się tylnymi drzwiami.

Rozwścieczona Śnieżyca poleciała z powrotem, lecz przybyła za późno. Feal-Thas nie żył, smoczą kulę zabrano. Jednakże jej sprzymierzeńcy, Thanoi, morsoludzie, zdołali jej opisać grupę, która odważyła się na tak nikczemny czyn. Wskazali nawet kierunek, w jakim odpląnął ich statek, choć z Lodowej Ściany można było płynąć tylko w jednym kierunku – na północ.

Śnieżyca zawiadomiła o stracie smoczey kuli Królową Ciemności, która bardzo się rozłościła i jednocześnie przestraszyła. Straciła już dwie kule! Choć była pewna, że nic na Krynnie nie może się równać z jej złymi siłami, Królową

Ciemności nękała wciąż myśl, że siły dobra wciąż stąpają po ziemi. Ktoś spośród ich szeregów może okazać się dość silny i mądry, by odkryć tajemnicę kuli.

Toteż Śnieżycy rozkazano znaleźć smoczą kulę i zanieść ją nie z powrotem na Lodową Ścianę, lecz do samej Królowej. Pod żadnym pozorem smoczyca nie wolno było zgubić jej, ani też pozwolić, żeby zaginęła. Kule były inteligentne i obdarzone wielką zdolnością przetrwania. Dlatego też istniały jeszcze tak długo po śmierci swych stwórców.

Śnieżycy mknęła nad falami Morza Sirriona, a jej potężne, białe skrzydła wkrótce zaniósł ją w pobliże statku. Lecz tu Śnieżycy stanęła przed interesującym problemem intelektualnym, do rozwiązania którego nie była przygotowana.

Być może to z powodu chowu wsobnego, niezbędnego do stworzenia gada, który może tolerować zimno, białe smoki charakteryzują się najniższą inteligencją wśród wszystkich smoków. Śnieżycy nigdy nie musiała zbyt wiele samodzielnie myśleć. Feal-That zawsze mówił jej, co ma robić. Toteż okrążając statek, poważnie się teraz głowiła nad obecnym problemem: jak dostać się do kuli?

Początkowo chciała po prostu zmrozić statek swym lodowatym oddechem. Potem uzmysłowiła sobie, że przez to smocza kula zostanie uwięziona w zamrożonej bryle drewna, skąd będzie ją niezmiernie trudno wydostać. Istniało także bardzo duże prawdopodobieństwo, że statek zatoni, zanim zdąży go rozerwać szponami. A nawet gdyby udało jej się go rozerwać, kula mogłaby zatonać. Statek był za ciężki, żeby go podnieść i polecieć z nim na ląd. Śnieżycy okrążała statek i zastanawiała się, przyglądając się żalosnym istotom ludzkim, które biegały w dole niczym spłoszone myszy.

Biała smoczyca zastanowiła się nad wysłaniem kolejnego telepatycznego komunikatu do swej królowej i poproszenia o pomoc. Śnieżycy jednak zawahała się przed przypomnieniem mściwej królowej zarówno o swej obecności, jak i swej nieporadności. Smoczyca śledziła statek przez cały dzień, wisząc tuż nad nim i rozmyślając. Lekko szybując na prądach powietrznych, swą aurą smoczego strachu siała wśród ludzi niepokój. Tuż przed zachodem słońca Śnieżycy przyszedł do głowy pomysł. Nie zastanawiając się dłużej, natychmiast wprowadziła go w czyn.

Raport Tasslehoffa o białym smoku, który podąża za statkiem zasiał grozę wśród załogi. Marynarze uzbroili się w kordelasy i przygotowali się zawzięcie walczyć z bestią tak długo, jak tylko zdołają, choć wszyscy wiedzieli, jaki musi być koniec takiego starcia. Gilthanas i Laurana, oboje będąc doskonałymi łucznikami, przyłożyli strzały do cięciw swych łuków. Sturm i Derek trzymali tarcze i miecze. Tasslehoff złapał swój hoopak. Flint usiłował wstać z łóżka, lecz nie mógł nawet ustać na nogach. Elistan zachował spokój i modlił się do

Paladine.

– Więcej wiary pokładam w moim mieczu niż w tym starcu i jego bogu – rzekł Derek do Sturm.

– Rycerze zawsze szanowali Paladine – powiedział strofującym tonem Sturm.

– Szanuję go – jego pamięć – powiedział Derek. – Nie podoba mi się ta mowa o „powrocie” Paladine, Brightblade. To samo powie rada, kiedy usłyszysz o tym. Dobrze zrobisz, zastanawiając się nad tym, kiedy wypłynie kwestia twego przyjęcia w szeregi rycerzy.

Sturm przygryzł wargę, przełykając gniewną odpowiedź jak gorzkie lekarstwo.

Mijały długie minuty. Wszyscy wbijali wzrok w białoskrzydłego potwora, który leciał nad nimi. Nie mogli jednak nic uczynić, więc czekali.

Czekali i czekali. A smoczyca nie atakowała.

Krażyła nad nimi bez końca, a jej cień padał na pokład z monotonną, mrozącą krew w żyłach regularnością. W szeregach marynarzy, którzy bez wahania przygotowani byli na bój, wkrótce zaczęło się szemranie, gdyż atmosfera oczekiwania stała się nie do zniesienia. Co gorsza, smoczyca zdawała się pożreć wiatr, bowiem żagle załopotały i zwisły bezwładnie.

Statek przestał z wdziękiem sunąć naprzód i ugrzązł na wodzie. Na północnym horyzoncie zebrały się ciężkie chmury i powoli sunęły nad wodą, rzucając cień na jasne morze.

Laurana wreszcie opuściła łuk i roztartą obolałe mięśnie na plecach i barkach. Oczy jej łzawiły od wpatrywania się w słońce.

– Wsadzić ich na szalupę i spuścić na morze – podsłuchiwała sugestię jednego ze starych wilków morskich skierowaną do kolegi głosem, który miał zostać dobrze usłyszany. – Może ta wielka bestyja zostawi nas w spokoju. Ona ich goni, nie nas.

Nawet nie nas, pomyślała z niepokojem Laurana. Prawdopodobnie chodzi jej o smoczą kulę. Dlatego nie zaatakowała. Laurana jednak nie mogła tego powiedzieć, nawet kapitanowi. Smocza kula musi pozostać tajemnicą.

Nadeszło popołudnie, a smok wciąż kołował nad ich głowami, niczym upiorny ptak morski. Kapitan był coraz bardziej poirytowany. Musiał poradzić sobie nie tylko ze smokiem, ale i z możliwością wybuchu buntu na pokładzie. Tuż przed obiadem rozkazał drużynie zejść pod pokład.

Derek i Sturm odmówili i wyglądało na to, że sytuacja może się wymknąć spod kontroli, gdy... – Ziemia! Ziemia z prawej burty!

– Południowy Ergom – rzekł ponuro kapitan. – Prąd znosi nas na skały. – Spojrzał w niebo na krążącego smoka. – Jeśli wkrótce nie zerwie się wiatr, rozbijemy się.

W tym momencie smoczyca zaprzestała krążenia. Wisiała w powietrzu przez chwilę, a potem wzbijała się w niebo. Żeglarze zakrzyknęli radośnie, sądząc, że odlatuje. Laurana jednak, pamiętając Tarsis, wiedziała, że to nieprawda.

– Ona zamierza zanurkować – krzyknęła. – Będzie atakować!

– Zejdźcie pod pokład! – krzyknął Sturm i marynarze, raz tylko spojrzawszy niepewnie na niebo, rzucili się do luków. Kapitan pobiegł do koła steru.

– Zejdź pod pokład – rozkazał sternikowi, przejmując ster.

– Nie może pan zostać na górze! – krzyknął Sturm. Zostawiając luk otwarty, podbiegł do kapitana. – Ona pana zabije!

– Zatonimy, jeśli nie zostanę – odkrzyknął gniewnie kapitan.

– Zatonimy, jeśli pan zginie! – rzekł Sturm. Zacisnąwszy pięść, uderzył kapitana w szczękę i zaciągnął go pod pokład.

Laurana, zbiegła po schodach, potykając się a Gilthanas tuż za nią. Elf zaczekał, aż Sturm zniesie nieprzytomnego kapitana, a potem zatrzasnął klapę luku.

W tej chwili podmuch smoczyca uderzył statek z taką siłą, że niemal go zatopił. Statek zakołysał się niebezpiecznie. Wszyscy, nawet najwytrawniejsi żeglarze, stracili równowagę i powpadali na siebie w zatłoczonych pomieszczeniach pod pokładem. Flint, klnąc, stoczył się na podłogę.

– Teraz czas pomodlić się do twego boga – powiedział Derek do Elistana.

– Czynie to – odrzekł spokojnie Elistan, pomagając podnieść się krasnoludowi.

Uczepiona słupa Laurana czekała z lękiem na rozbłysk pomarańczowego światła, żar i płomienie. Zamiast tego, owionął ją nagły, przeraźliwy, szczypiący mróz, który zaparł jej dech w piersi i zmroził jej krew. Usłyszała jak na górze pękają z traskiem liny, a żagle przestają furkotać. Potem, gdy podniosła głowę, dostrzegła biały szron sypiący się spomiędzy desek pokładu.

– Białe smoki nie zieją ogniem! – rzekła przerażona i zdumiona Laurana. – Zieją lodem! Elistanie! Twoje modły zostały wysłuchane!

– Równie dobrze mogły to być płomienie – parsknął kapitan, potrząsając głową i trąc brodę. – Od mrozu zamarzniemy na bryłę lodu.

– Smok ziejący lodem! – powiedział z zalem Tas. – Szkoda, że tego nie widziałem!

– Co się teraz stanie? – zapytała Laurana, gdy statek powoli wyprostował się ze skrzypieniem i jękiem.

– Jesteśmy bezradni – mruknął kapitan. – Olinowanie popęka pod naporem lodu i zerwie żagle. Maszt złamie się niczym drzewo podczas śnieżycy. Prąd zniesie pozbawiony

możliwości sterowania statek na skały, gdzie rozbijemy się i to będzie koniec. Nie możemy nic na to poradzić!

– Moglibyśmy spróbować zestrzelić ją, kiedy będzie przelatywała obok – powiedział Gilthanas. Ale Sturm pokiwał głową, napierając jednocześnie na klapę luku.

– Musi być na niej co najmniej trzydzieści centymetrów lodu – oświadczył rycerz. – Jesteśmy uwięzieni.

W taki właśnie sposób smoczyca zdobędzie kulę, pomyślała żałośnie Laurana. Rozbije statek o brzeg, zabije nas, a potem zabierze kulę, kiedy nie będzie już groziło niebezpieczeństwo zatopienia jej w oceanie.

– Następnym taki podmuch wyśle nas na dno – zapowiadał kapitan, lecz taki podmuch, jak pierwszy już się nie powtórzył. Następne dmuchnięcie było łagodniejsze i wszyscy wtedy zdali sobie sprawę, że smoczyca dmuchając kieruje ich statek do brzegu.

Był to doskonały plan, z którego Śnieżyca była zdecydowanie zadowolona. Mknęła za statkiem, pozwalając, by prąd morski i przyptyw zaniósł go na brzeg, co jakiś czas tylko dmuchając lekko. Dopiero, gdy dostrzegła zębate skały wystające z oświetlonej blaskiem księżycy wody, smoczyca nagle zrozumiała błąd w swym planie. Wtem blask księżycy zgasł, zaćmiony przez ciężkie chmury i smoczyca przestała widzieć cokolwiek. Zapadł mrok czarniejszy niż dusza jej królowej.

Smoczyca przeklinała burzowe chmury, tak doskonale odpowiadające celom smoczycich władców na północy. Lecz tu chmury działały na jej niekorzyść, zasłaniając dwa księżyce. Śnieżyca usłyszała trzask i chrupot pękającego drewna, gdy statek zderzył się ze skałami. Słyszała nawet krzyki i wrzaski marynarzy – lecz nic nie widziała! Nurkując nisko nad wodą, miała nadzieję, że uda jej się zamknąć w lodzie te żałosne stwory do nadejścia świtu. Wtedy usłyszała inny, bardziej przerażający dźwięk w ciemności – brzęk cięciw łuków.

Strzała świsnęła jej koło głowy. Następna rozerwała wiotką błonę jej skrzydła. Wrzeszcząc z bólu, Śnieżyca zaprzestała stromego lotu nurkowego. Z wściekłością uświadomiła sobie, że tam na dole muszą być elfowie! Kolejne strzały przeleciały koło niej ze świstem. Przekłęci, widzący w nocy elfowie! Dzięki ich elfiemu wzrokowi będzie stanowiła dla nich łatwy cel, szczególnie z okaleczonym skrzydłem.

Czując, że ją opuszczają siły, smoczyca postanowiła wrócić do Lodowej Ściany. Była zmęczona lataniem przez cały dzień, a rana od strzały okropnie bolała. Co prawda, będzie musiała donieść Królowej Ciemności o kolejnym niepowodzeniu, lecz – gdyby się nad tym zastanowić – nie było to wcale takie niepowodzenie. Nie dopuściła, by smocza kula dotarła do Sancrist i zniszczyła statek. Wiedziała, gdzie kula się znajduje. Królowa, przy tak rozległej

sieci szpiegów na Ergoth, z łatwością ją odzyska.

Uspokojona biała smoczyca powoli pofrunęła na południe. Przed porankiem dotarła do swego olbrzymiego ojczystego lodowca. Po złożeniu raportu, który został przyjęty z umiarkowanym entuzjazmem, Śnieżyca mogła wślizgnąć się do swej lodowej jaskini i kurować zranione skrzydło.

– Odleciała! – powiedział Gilthanas ze zdumieniem.

– Oczywiście – rzekł znużonym tonem Derek, pomagając wydobywać co się dało z rozbitego statku. – Jej zdolność widzenia nie dorównuje twemu elfiemu wzrokowi. Poza tym, trafiłeś ją raz.

– To strzał Laurany, nie mój – powiedział Gilthanas, uśmiechając się do siostry, która stała na brzegu z łukiem w dłoni.

Derek parsknął z powątpiewaniem. Ostrożnie postawiwszy na ziemi skrzynię, którą dźwigał, rycerz ruszył ponownie w stronę morza. Wyłaniająca się z mroku postać zatrzymała go.

– Nie ma sensu, Dereku – rzekł Sturm. – Statek zatonął.

Sturm niósł na plecach Flinta. Widząc, że Sturm chwieje się na nogach ze zmęczenia, Laurana wbiegła do wody, żeby mu pomóc. We dwoje wynieśli krasnoluda na brzeg i położyli go na piasku. Na morzu ucichł już trzask pękających belek i słychać było tylko niekończący się łoskot fal.

A potem rozległ się plusk. Tasslehoff wypełził na brzeg za nimi, podzwaniając zębami, lecz uśmiechając się szeroko, jak zawsze. Dalej szedł kapitan podtrzymywany przez Elistana.

– Co z ciałami moich ludzi? – zapytał natarczywie Derek, gdy tylko ujrzał kapitana. – Gdzie one są!

– Mieliśmy ważniejsze rzeczy do wyniesienia – rzekł surowo Elistan. – Rzeczy potrzebne żywym, takie jak żywność i broń.

– Niejeden dobry mąż spoczął na wieki pod falami morza. Pańscy ludzie nie będą pierwsi, a tym większy żal, że, jak sądzę, nie ostatni – dodał kapitan.

Derek zamierzał coś powiedzieć, lecz kapitan z żalem i zmęczeniem widocznym w jego oczach, rzekł – Tej nocy zostawiłem tam sześciu ludzi, dostojny panie. W odróżnieniu od pańskich, oni żyli, gdy rozpoczynaliśmy tę podróż. Nie wspominając o tym, że mój statek i moje źródło utrzymania też tam spoczęło. Nie sądzę, abym musiał dodawać coś jeszcze, jeśli mnie zrozumiałeś, dostojny panie.

– Przykro mi z powodu strat, jakie pan poniósł, kapitanie – odrzekł sztywno Derek. – Udzielam panu pochwały za wszystko, co pan i pańska załoga usiłowaliście zrobić.

Kapitan mruknął coś i stał rozglądając się bezcelowo po plaży, jakby się zgubił.

– Wystaliśmy pańskich ludzi na północ wzdłuż brzegu, kapitanie – powiedziała Laurana, wskazując ręką. – Tam pomiędzy drzewami jest szalaś.

Jakby na potwierdzenie jej słów, zapłonęło jasne światło, blask wielkiego ogniska.

– Głupcy! – Derek zaklął wściekle. – Znów sprowadzą nam na kark smoka!

– Albo to, albo poumieramy z zimna – rzucił gorzko kapitan przez ramię. – Wybieraj, co chcesz, panie rycerzu. Mało mnie to obchodzi. – Zniknął w mroku.

Sturm przeciągnął się i jęknął, próbując rozluźnić zziębnięte i zdrętwiałe mięśnie. Flint leżał żałośnie skulony, trzęsąc się tak, że aż dzwoniły sprzączki jego zbroi. Nachylając się nad nim, by go otulić płaszczem, Laurana nagle zdała sobie sprawę, jak bardzo jest zmarznięta.

W podnieceniu ucieczki ze statku i walki ze smokiem zapomniała o chłodzie. Prawdę mówiąc, nie pamiętała żadnych szczegółów swej ucieczki. Pamiętała, że dotarła na brzeg, widząc smoka, który nurkował nad nimi. Pamiętała, że sięgnęła po łuk zgrabiałymi, trzęsącymi się rękoma. Dziwiła się, że ktoś w ogóle miał dość przytomności umysłu, by ratować cokolwiek...

– Smocza kula! – powiedziała przestraszona.

– Tutaj, w skrzyni – odrzekł Derek. – Razem z lancą i tym elfim mieczem, który nazywasz zabójcą smoków. A teraz powinniśmy skorzystać z ognia...

– Nie sądzę. – Z mroku odezwał się obcy głos, a wokół zapłonęły pochodnie, oślepiając ich.

Drużyna drgnęła i natychmiast wyciągnęła broń, gromadząc się wokół bezradnego krasnoluda. Lecz Laurana, po chwili początkowego lęku, przyjrzała się twarzom w blasku pochodni.

– Zatrzymajcie się! – zawołała. – To nasi ludzie! To elfowie!

– Silvanesti! – rzekł serdecznie Gilthanas. Upuszczając łuk na ziemię, podszedł do elfa. – Długo podróżowaliśmy przez mrok – powiedział w języku elfów, wyciągając do niego rękę. – Szczęśliwe to spotkanie, mój bra...

Nie dokończył prastarego powitania. Wódz drużyny elfów wystąpił naprzód i uderzył Gilthanasę w twarz końcem swej laski, pozbawiając go przytomności.

Sturm i Derek natychmiast wzniesli miecze i stanęli plecami do siebie.

Wśród elfów błysnęła stal.

– Przestańcie! – krzyknęła Laurana w mowie elfów. Uklękawszy przy bracie, zsunęła do tyłu kaptur płaszcza, by światło padło na jej twarz. – Jesteśmy waszymi kuzynami,

Qualinesti! Ci ludzie są rycerzami solamnijskimi!

– Dobrze wiemy, kim jesteście! – Wódz elfów wykrztusił te słowa. – Szpiegami Qualinesti! Nie dziwi nas, że podróżujecie w towarzystwie ludzi. Wasza krew od dawna jest skażona. Zabrać ich – powiedział, dając znak swym ludziom.

– Jeśli nie pójdą spokojnie, róbcie, co trzeba. Dowiedźcie się, co mieli na myśli, wspominając o tej smoczej kuli. Elfowie wystąpili naprzód.

– Nie! – zawołał Derek, skokiem stając przed skrzynią. – Sturmie, oni nie mogą zabrać kuli!

Sturm już wykonał rycerski salut dla wroga i zbliżał się z mieczem w rękę.

– Wygląda na to, że będą walczyć. Niech i tak będzie – rzekł wódz elfów, wznosząc oręż.

– Mówię wam, to szaleństwo! – wołała gniewnie Laurana. Rzuciła się między błyszczące miecze. Elfowie zatrzymali się niepewnie. Sturm chwycił ją i chciał odciągnąć, lecz wyrwała mu się z rąk.

– Gobliny i smokowcy, przy całej swej ohydnej nikczemności, nie zniżają się do walki między sobą – głos jej drżał z wściekłości – podczas, gdy my, elfowie, odwieczne ucieleśnienie dobra, próbujemy się pozabijać! Spójrzcie! – Podniosła wieko skrzyni jedną ręką i szarpnięciem otworzyła ją szeroko. – Tu spoczywa nadzieja świata! Smocza kula przez wielkie niebezpieczeństwa przywieziona z Lodowej Ściany. Wrak naszego statku leży w tutejszych wodach. Odpędziliśmy smoka, który chciał odebrać nam kulę. A po tym wszystkim odkrywamy, że największe niebezpieczeństwo czeka nas wśród naszego własnego ludu! Jeśli to prawda, jeśli upadliśmy tak nisko, tedy zabijcie nas natychmiast i przysięgam, nikt w tej drużynie nie spróbuje was powstrzymać.

Sturm, nie rozumiejąc języka elfów, przyglądał się przez chwilę, a potem zobaczył, że elfowie opuszczają broń. – Cóż, cokolwiek powiedziała, chyba poskutkowało. – Schował broń z ociąganiem. Derek po chwili wahania opuścił miecz, lecz nie schował go do pochwy.

– Zastanowimy się nad waszą opowieścią – zaczął wódz elfów, mówiąc z trudem w mowie wspólnej. Potem przerwał, gdyż od strony plaży dobiegły krzyki i wołania. Towarzysze ujrzeli ciemne postaci zbliżające się z wszystkich stron do ogniska. Elf spojrzął w tamtym kierunku, zaczekał aż zapadła cisza, a potem odwrócił się ponownie do grupy. Szczególnie przyjrzał się Lauranie, która nachylała się nad bratem. – Może postąpiliśmy zbyt pochopnie, lecz gdybyś żyła tu dłużej, zrozumiałabyś.

– Nigdy tego nie zrozumiem! – rzekła Laurana, łykając łzy.

Z ciemności wyłonił się elf. – Ludzie, panie – Laurana posłyszała jego meldunek

złożony w języku elfów. – Z wyglądu żeglarze. Mówią, że ich statek został zaatakowany przez smoka i rozbił się o skały.

– Jakież dowody?

– Znaleźliśmy kawałki drewna wyrzucone na brzeg. Możemy poszukać jutro rano. Ludzie są przemoknięci, nieszczęśliwi i na wpół utopieni. Nie stawiali oporu. Nie sądzę, żeby kłamali.

Wódz elfów zwrócił się do Laurany. – Twoja opowieść wydaje się prawdziwa – rzekł, ponownie mówiąc w mowie powszechniej. – Moi wojownicy donieśli, że ludzie, których pojмали, są żeglarzami. Nie martw się o nich. Oczywiście weźmiemy ich do niewoli. Mając tyle kłopotów, nie możemy pozwolić, żeby nam po wyspie chodzili ludzie. Będziemy jednak o nich dbać. Nie jesteśmy goblinami – dodał z goryczą. – Żałuję, że uderzyłem twojego przyjaciela...

– Brata – odparła Laurana. – I młodszego syna Mówcy Słońce. Nazywani się Lauralanthalasa, a to Gilthanas. Pochodzimy z królewskiego rodu Qualinesti.

Wydawało się, że elf zbladł, gdy usłyszał te nowiny, lecz natychmiast odzyskał panowanie nad sobą. – Zajmiemy się troskliwie twoim bratem. Poślę po uzdrowiciela...

– Nie potrzebujemy waszego uzdrowiciela! – powiedziała Laurana. – Ten człowiek – wskazała na Elistana – jest kapłanem Paladine. On pomoże memu bratu...

– Człowiek? – zapytał surowo elf.

– Tak, człowiek! – krzyknęła zniecierpliwiona Laurana. – Elfowie uderzyli mojego brata! Zwracam się do ludzi, by go uleczyli. Elistanie...

Kapłan wystąpił naprzód, lecz na znak swego wodza, kilku elfów szybko chwyciło go i wykręciło mu ręce do tyłu. Sturm chciał mu przyjść z pomocą, lecz Elistan zatrzymał go spojrzeniem, oglądając się znacząco na Lauranę. Sturm odstąpił, rozumiejąc nieme ostrzeżenie Elistana. Ich życie leżało w jej rękach.

– Puśćcie go! – zażądała Laurana. – Pozwólcie mu zająć się moim bratem!

– Nie sposób uwierzyć w tę nowinę o kapłanie Paladine, lady Laurano – rzekł wódz elfów. – Wszyscy wiedzą, że kapłani znikli z Krynny, gdy bogowie odwrócili swe twarze od nas. Nie wiem, kim jest ten szarlatan, ani w jaki sposób cię omotał, lecz nie pozwolę, by swymi ludzkimi dłońmi dotknął elfa!

– Nawet elfa, który jest wrogiem? – krzyknęła wściekle.

– Nawet, gdyby ten elf zabił mego ojca – odrzekł elf zawzięcie. – A teraz, lady Laurano, muszę porozmawiać z tobą na osobności i spróbuję ci wyjaśnić, co się dzieje na Południowym Ergoth.

Widząc wahanie Laurany, Elistan powiedział – Idź, moja droga. Tylko ty nas możesz teraz ocalić. Ja zostanę przy Gilthanasie.

– Dobrze – powiedziała Laurana, wstając. Błada na twarzy, odeszła na bok z wodzem elfów.

– Nie podoba mi się to – rzekł Derek, gniewnie marszcząc brwi. – Powiedziała im o smoczej kuli, a nie powinna była tego robić.

– Dowiedzieli się o niej z naszej rozmowy – powiedział znużony Sturm.

– Tak, ale ona powiedziała im, gdzie kula się znajduje! Nie ufam jej – ani jej ludowi. Kto wie, jakie umowy teraz zawierają? – dodał Derek.

– Dość już tego! – zazgrzytał czyjś głos.

Obaj mężczyźni odwrócili się ze zdumieniem i ujrzeli Flinta, który podnosił się z trudem. Wciąż dzwonił zębami, lecz gdy spojrział na Dereka, w jego oczach zapalił się chłodny blask. – Mm-mam już cię dość, pp-panie w-wielki i dd-dostojny. – Krasnolud zacisnął zęby, by przerwać dygotanie na wystarczająco długo, by przemówić.

Sturm chciał interweniować, lecz krasnolud odepchnął go na bok, by zmierzyć się z Derekiem. Był to komiczny widok, który Sturm często wspominał z uśmiechem, powierzwszy go pamięci, by podzielić się nim później z Tanisem. Krasnolud miał przemoczoną i zmierzwioną długą, siwą brodę i ociekał wodą, która kapiała mu z ubrania, tworząc kałuże wokół stóp. Znajdując się w takim oto stanie i sięgając głową do klamry pasa Dereka, Flint strofował wysokiego, dumnego rycerza solamnijskiego, jakby to był Tasslehoff.

– Wy, panowie rycerze, od tak dawna nosicie zbroje, że wam się mózgi odparzyły w hełmach! – szydził krasnolud. – Jeśli w ogóle kiedykolwiek mieliście jakieś mózgi w tych zakutych łbach, w co śmiem wątpić. Byłem świadkiem dorastania tej dziewczynki. I mogę ci powiedzieć, że nie ma dzielniejszej ani szlachetniejszej osoby na Krynnie. Dopiekło ci to, że właśnie uratowała ci życie. I tego nie możesz jej darować!

Widoczna w świetle pochodni twarz Dereka pociemniała.

– Nie potrzebuję obrony krasnoludów, ani elfów... – zaczął gniewnie Derek, lecz wtedy nadbiegła Laurana. Oczy jej błyszczały.

– Jak gdyby nie dość było zła – wymamrotała przez zaciśnięte wargi – odkrywam, że wrze ono wśród mych pobratymców!

– Co się dzieje? – zapytał Sturm.

– Sytuacja przedstawia się następująco: na Południowym Ergoth obecnie żyją trzy rasy elfów...

– Trzy rasy? – przerwał Tasslehoff, gapiąc się na Lauranę z zaciekawieniem. – Co to

za trzecia rasa? Skąd oni się wzięli? Czy mogę ich zobaczyć? Nigdy nie słyszałem...

Laurana miała już dość. – Tas – rzekła podenerwowanym głosem. – Zostań z Gilthanasem. I poproś Elistana, żeby tu przyszedł.

– Ale...

Sturm pchnął kendera. – Idź już! – rozkazał.

Urażony i niepokieszony Tasslehoff powlekł się do leżącego Gilthanasa. Kender usiadł na piasku i nadał się. Elistan poklepał go serdecznie, odchodząc do pozostałych.

– Tą trzecią rasą są Kaganesti, zwani we wspólnej mowie dzikimi elfami – ciągnęła Laurana. – Walczyli u naszego boku podczas bratobójczych wojen. W nagrodę za ich wierność Kith-Kanan podarował im góry Ergoth – było to zanim kataklizm rozdzielił Qualinesti i Ergoth. Nie dziwi mnie, że nie słyszeliście o dzikich elfach. Są skrytym ludem i nie zadają się z obcymi. Niegdyś nazywano ich elfami pogranicza. Są zaciętymi wojownikami i dobrze służyli Kith-Kananowi, lecz nie kochają miast. Bratali się z druidami i poznali ich mądrość. Przywrócili do życia obyczaj pradownych elfów. Mój lud uważa ich za barbarzyńców – tak, jak wasi ludzie uważają za barbarzyńców mieszkańców równin.

Kilka miesięcy temu, kiedy Silvanesti zostali wypędzeni ze swej odwiecznej ojczyzny, zbiegli tutaj, prosząc Kaganesti o pozwolenie na tymczasowe zamieszkanie na Ergoth. Potem przybył zza morza mój naród, Qualinesti. I tak oto nareszcie spotkali się krewni, przez setki lat rozdzieleni.

– Nie widzę związku... – przerwał Derek.

– Zobaczysz – powiedziała Laurana, zaczerpując głęboko tchu. – Bowiem nasze życie zależy od zrozumienia tego, co się dzieje na tej nieszczęsnej wyspie. – Głos jej się załamał. Elistan podszedł do niej i objął ją ramieniem w geście pocieszenia.

– Na początku panował względny spokój. W końcu wygnani kuzyni mieli wiele wspólnego ze sobą – oba narody wypędziło z ich ukochanej ojczyzny zło tego świata. Założyli siedziby na wyspie – Silvanesti na zachodnim brzegu, Qualinesti na wschodnim, rozdzieleni cieśniną znaną jako Thon-Tsalarian, co w języku Kaganesti znaczy Rzeka Zmarłych. Kaganesti mieszkają na wzgórzach na północ od rzeki.

Przez jakiś czas podejmowano nawet próby nawiązania przyjacielskich kontaktów między Silvanesti i Qualinesti. I właśnie od tego zaczęły się kłopoty. Bowiem elfowie ci nie potrafili się spotkać, nawet po setkach lat, żeby stare nienawiści i nieporozumienia nie zaczęły wypływać na wierzch. – Laurana zamknęła oczy na chwilę. – Rzeka Zmarłych równie dobrze może się nazywać Thon-Tsalaroth – Rzeką Śmierci.

– Już dobrze, dobrze, panienko – powiedział Flint, dotykając jej dłoni. –

Krasnoludowie też to znają. Widziałaś, w jaki sposób potraktowano mnie w Thorbardinie – krasnoluda podgórskiego wśród górskich krasnoludów. Ze wszystkich nienawiści, najokrutniejsze są rodzinne.

– Jeszcze nie doszło do mordów, lecz starszyzna była tak wstrząśnięta na myśl o tym, co może się wydarzyć – elfowie zabijający swych pobratymców – że wydali zakaz przekraczania cieśniny pod karą aresztu – kontynuowała Laurana. – I tak właśnie wygląda sytuacja. Żadna ze stron nie ufa drugiej. Padały nawet oskarżenia o zdradę na rzecz smoczych władców. Po obu stronach ujęto szpiegów.

– To tłumaczy, dlaczego napadli na nas – szepnął Elistan.

– No, a co z Kag... Kag... – Sturm zająknął się na obcym mu elfim słowie.

– Kaganesti – westchnęła znużonym głosem Laurana. – Ich, którzy zgodzili się podzielić z nami swą ojczyznę, potraktowano najgorzej. Kaganesti byli zawsze ubodzy pod względem materialnym. Ubodzy wedle naszego standardu, choć nie swego. Żyją oni w lasach i górach, czerpiąc z przyrody wszystko, co im potrzebne do życia. Są zbieraczami i łowcami. Nie uprawiają roli, nie wykuwają stali. Kiedy przybyliśmy, nasi ludzie, obwieszani złotą biżuterią i uzbrojeni w stalowy oręż, wydali im się bogaci. Wiele ich młodzieży przyszło do Qualinesti i Silvanesti, chcąc poznać sekret wytwarzania błyszczącego złota i srebra, i stali.

Laurana sposepniała i przygryzła wargę. – Ku swej hańbie muszę powiedzieć, że mój lud wykorzystał ubóstwo dzikich elfów. Kaganesti pracują wśród nas jako niewolnicy. Z tego powodu starsi Kaganesti stają się jeszcze dziksi i wojowniczy, gdy widzą, jak zabiera się ich młodzież i zagraża dawnemu sposobowi życia.

– Laurano! – krzyknął Tasslehoff.

Odwrociła się. – Spójrz – rzekła cicho do Elistana

– oto jedna z nich. – Kapłan poszedł wzrokiem za jej spojrzeniem i zobaczył zwinną młodą kobietę – przynajmniej po długich włosach sądził, że jest to kobieta, bowiem odziana była w męskie ubranie. Uklękła przy Gilthanasie i pogładziła go po czole. Elfi pan drgnął pod jej dotykiem i jęknął z bólu. Kaganesti sięgnęła do torby u boku i szybko zaczęła mieszać coś w małym glinianym kubku.

– Co ona robi? – zapytał Elistan.

– Najwyraźniej jest „uzdrowicielem”, po jakiego posłali – powiedziała Laurana, śledząc uważnie dziewczynę.

– Kaganesti słyną ze zdolności druidycznych.

Dziki elf to odpowiednie dla niej określenie, doszedł do wniosku Elistan, uważnie przyglądając się dziewczynie. Z całą pewnością nie widział nigdy rozumnej istoty na

Krynnie, która miałyby tak dziki wygląd. Ubrana była w skórzane spodnie wpuszczone w cholewki skórzanych butów. Z jej ramion zwisała koszula, najwyraźniej wyrzucona przez jakiegoś elfiego szlachcica. Dziewczyna była blada i za chuda, niedożywiona. Miała tak brudne i zmierzwione włosy, że nie sposób było powiedzieć, jakiego są koloru. Jednakże dłoń dotykająca Gilthanasa była smukła i zgrabna. Na łagodnej twarzy dziewczyny wyraźnie malowało się współczucie i troska o niego.

– No i cóż my mamy uczynić, znalazłszy się w środku tego wszystkiego? – zapytał Sturm.

– Silvariesti zgodzili się odprowadzić nas do mojego ludu

– powiedziała Laurana, czerwieniąc się. Najwyraźniej było to przyczyną zacieklego sporu. – Początkowo domagali się, żebyśmy udali się do ich starszyny, lecz powiedziałam, że nigdzie nie pójdę, nie powitawszy najpierw mego ojca i nie porozmawiawszy z nim o tej sprawie. Na to niewiele mógł powiedzieć. – Laurana uśmiechnęła się lekko, choć w jej głosie pobrzmiwała gorycz. – Zwyczaj wszystkich ludów elfów mówi, iż córka jest związana z domem swego ojca, póki nie dorośnie. Zatrzymywanie mnie tu wbrew mej woli widziane byłoby jako porwanie i wywołałoby otwartą wrogość. Żadna ze stron nie jest na to przygotowana.

– Wypuszczają nas, chociaż wiedzą, że mamy smoczą kulę? – zapytał zdumiony Derek.

– Nie wypuszczają nas – powiedziała ostro Laurana.

– Powiedziałam, że odprowadzą nas do mojego ludu.

– Ależ na północy jest solamnijski posterunek – sprzeciwiał się Derek. – Moglibyśmy tam wsiąść na statek, który zabierze nas na Sancrist...

– Nie dotarłbyś żywy do tych drzew, gdybyś spróbował ucieczki – rzekł Flint, kichając gwałtownie.

– On ma rację – powiedziała Laurana. – Musimy pójść do Qualinesti i przekonać mego ojca, żeby pomógł nam zawieźć kulę na Sancrist. – Mała zmarszczka, która pojawiła się między brwiami Laurany ostrzegła Sturma, że to wcale jej się nie wydaje takie łatwe. – A teraz, dość już tego rozmawiania. Pozwolili mi wyjaśnić wam wszystko, lecz spieszo im już wyruszać. Muszę zająć się Gilthanasem. Czy doszliśmy do porozumienia?

Laurana przyjrzała się każdemu z rycerzy z miną, która nie tyle oczekiwała aprobaty, co po prostu uznania jej przywództwa. Przez moment tak przypominała Tanisa stanowczym wysunięciem podbródka i spokojnym, pełnym rozmysłu spojrzeniem, że Sturm się uśmiechnął. Derek wręcz przeciwnie. Był wściekły i sfrustrowany, tym bardziej, że wiedział,

iż nic nie może na to poradzić.

Wreszcie jednak burknął pod nosem, że cóż, muszą się z tym pogodzić i kipiąc gniewem, poszedł podnieść skrzynię. Flint i Sturm poszli za nim. Krasnolud kichał tak strasznie, że mało nie przewrócił się.

Laurana wróciła do brata, poruszając się niesłyszalnie po piasku w miękkich, skórkowych butach. Lecz dzika elfka posłyszała jej zbliżanie się. Unosząc głowę, rzuciła Lauranie wystraszone spojrzenie i odczołgała się do tyłu, jak zwierzę, które kuli się na widok człowieka. Lecz Tas, który gawędził z nią dziwną mieszanką elfiego języka i mowy wspólnej, łagodnie złapał ją za rękę.

– Nie odchódź – powiedział wesoło kender. – To siostra tego elfiego pana. Spójrz, Laurano. Gilthanas już wraca do siebie. Pewno od tego błota, które mu przyłożyła do czoła. Mógłbym przysiąc, że będzie nieprzytomny przez wiele dni. – Tas wstał. – Laurano, to moja przyjaciółka... jak ty masz na imię?

Dziewczyna, nie podnosząc wzroku, zadrżała gwałtownie. Podniosła w garściach nieco piasku, a potem go wypuściła. Wymamrotała coś, czego żadne z nich nie dosłyszało.

– Jak masz na imię, dziecko? – zapytała Laurana głosem tak łagodnym i miłym, że dziewczyna uniosła nieśmiało wzrok.

– Silvart – powiedziała cicho.

– To znaczy srebrnowłosa w języku Kaganesti, prawda? – zapytała Laurana. Uklękawszy przy Gilthanasie, pomogła mu usiąść. Oszołomiony elf przyłożył dłoń do twarzy, gdzie dziewczyna posmarowała mu krwawiący policzek gęstą mazią.

– Nie dotykaj – ostrzegła Silvart, szybko chwytając Gilthanasę za dłoń. – To ci pomoże wyzdrowieć. – Mówiła w mowie wspólnej, i to nie łamanym językiem, lecz wyraźnie i precyzyjnie.

Gilthanas jęknął z bólu, zamykając oczy i opuszczając rękę. Silvart spojrzała na niego z głęboką troską. Chciała pogłaskać go po twarzy, lecz – popatrzawszy szybko na Lauranę – pośpiesznie cofnęła dłoń i zaczęła wstawać.

– Zaczekaj – zawołała Laurana. – Zaczekaj, Silvart.

Dziewczyna zamarła niczym królik, przyglądając się Lauranie z takim strachem w wielkich oczach, że Lauranie zrobiło się wstyd.

– Nie bój się. Chcę ci podziękować za opiekę nad moim bratem. Tasslehoff ma rację. Myślałam, że jego rana jest rzeczywiście poważna, lecz ty mu pomogłaś. Proszę, zostań przy nim, jeśli tylko zechcesz.

Silvart wbiła wzrok w ziemię. – Zostanę przy nim, o pani, jeśli taki jest twój rozkaz.

– To nie mój rozkaz, Silvart – powiedziała Laurana. – To moje życzenie. A na imię mam Laurana.

Silvart podniosła wzrok. – W takim razie zostanę z nim z chęcią, pa – Laurano, jeśli takie jest twe życzenie. – Spuściła głowę i ledwo posłyszeli jej słowa. – Moje prawdziwe imię, Silvara, znaczy srebrnowłosa. To oni nazywają mnie Silvart. – Obejrzała się na wojowników Silvanesti, a potem popatrzyła znów na Lauranę. – Proszę, chcę, byś nazywała mnie Silvara.

Elfowie Silvanesti przynieśli prowizoryczne nosze z gałęzi i koca. Podnieśli Gilthanasa i delikatnie położyli na nich. Silvara szła obok noszy. Tasslehoff wędrował przy niej, wciąż paplając i ciesząc się, że znalazł kogoś, kto jeszcze nie słyszał jego historyjek. Laurana i Elistan szli po drugiej stronie Gilthanasa. Laurana trzymała go za rękę i czuwała nad nim czule. Za nimi stąpał zasepiony i pochmurny Derek, dźwigając na ramieniu skrzynię ze smoczą kulą. Pochód zamykała straż elfów Silvanesti.

Wstawał właśnie świt, szary i ponury, gdy doszli do szpaleru drzew rosnących wzdłuż brzegu. Flint zadygotał. Wykręcając głowę, popatrzył na morze. – Czyżby Derek wspominał o...statku na Sancrist?

– Obawiam się, że tak – odparł Sturm. – To również wyspa.

– I musimy tam się udać?

– Tak.

– Żeby użyć smoczej kuli? Nic o niej nie wiemy!

– Rycerze dowiedzą się – powiedział cicho Sturm. – Od tego zależy przyszłość świata.

– Aa...psik! – Krasnolud kichnął. Rzuciwszy przestraszone spojrzenie w stronę czarnej jak noc wody, pokręcił głową posepnie. – Wiem tylko, że dwukrotnie się topiłem, zapadłem na śmiertelną chorobę...

– Dostałeś choroby morskiej.

– Zapadłem na śmiertelną chorobę – powtórzył głośno Flint – i zostałem zatopiony wraz ze statkiem. Zapamiętaj me słowa, Sturmie Brightblade – łodzie przynoszą nam pecha. Pech nas prześladowuje bezustannie od chwili, gdy tylko wsiedliśmy do tej przeklętej łódki na jeziorze Crystalmir. Wtedy ten obłąkany czarodziej zauważył zniknięcie gwiazdozbiorów, a od tego momentu o naszym szczęściu lepiej nie wspominać. Dopóki nie przestaniemy polegać na łodziach, będziemy spadać z deszczu pod rynnę.

Sturm uśmiechnął się na widok krasnoluda brnącego przez piach, który przy każdym jego kroku wydawał mokre cmoknięcie. Jednakże jego uśmiech zmienił się w westchnienie. Gdyby to było takie proste, pomyślał rycerz.

Rozdział III

Mówca Słońc. Decyzja Laurany

Mówca Słońc, przywódca elfów Qualinesti, zasiadał w prymitywnej lepiance z drewna i gliny, jaką elfowie Kaganesti przeznaczyci mu na dom. On uważał ją za prymitywną, gdyż dla Kaganesti był to cudownie wielki i wspaniale wykonany dom, odpowiedni dla pięciu czy sześciu rodzin. Prawdę mówiąc, z takim właśnie zamiarem go wybudowano, więc Kaganesti byli zaszokowani, gdy Mówca oświadczył, że ledwie wystarczy na jego potrzeby i wprowadził się do niego sam – tylko ze swoją żoną.

Oczywiście Kaganesti nie mogli wiedzieć, że dom Mówcy na wygnaniu stał się ośrodkiem wszelkich spraw Qualinesti. Ceremonialna straż zajęła dokładnie te same pozycje, co w rzeźbionych salach pałacu w Qualinoście. Audycje u Mówcy odbywały się o tej samej porze i w tej samej dworskiej atmosferze. Jediną różnicą było to, iż sklepienie jego pałacu stanowiła oblepiona gliną kopuła z trawy, a nie migotliwa mozaika, a ściany wykonano z drewna, nie kryształowego kwarcu.

Każdego dnia Mówca zasiadał w majestacie, a córka siostry jego żony siedziała u jego boku, pełniąc funkcję pisarza dworskiego. Mówca odziany był w te same szaty i rozstrzygał sprawy z tą samą chłodną wyniosłością. Były jednak różnice. Mówca niesamowicie zmienił się w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Nikt jednak w Qualinesti temu się nie dziwił. Mówca wysłał swego młodszego syna z misją, którą większość uważała za samobójczą. Co gorsza, jego ukochana córka uciekła z domu w ślad za swym półelfim kochankiem. Mówca nie spodziewał się już ujrzeć żadnego z tych dzieci.

Mógłby pogodzić się ze stratą swego syna, Gilthanasa. W końcu pojął bohaterski, szlachetny czyn. Młodzieniec zaprowadził drużynę poszukiwaczy przygód do kopalni Pax Tharkas, by uwolnić ludzi tam uwięzionych i odciągnąć uwagę smoczycich armii, które zagrażały Qualinesti. Plan ten zakończył się powodzeniem – niespodziewanym powodzeniem. Smocze armie wezwano do Pax Tharkas, dając elfom czas na ucieczkę na zachodnie brzegi swej ojczyzny, a stamtąd przez morze na Południowy Ergoth.

Mówca jednakże nie mógł pogodzić się z utratą córki – ani też z jej hańbą.

Starszy syn Mówcy, Porthios, chłodno wyjaśnił mu sytuację, gdy odkryto zniknięcie Laurany. Uciekła za swym przyjacielem z dzieciństwa – Tanisem Półelfem. Mówcy serce się krajało z żalu. Jak mogła tak postąpić? Jak mogła tak okryć hańbą ich ród? Księżniczka uganiana się za bękartem półkrwi!

Ucieczka Laurany sprawiła, że dla jej ojca zgasło słońce. Na szczęście konieczność

przewodzenia ludowi dodała mu siłę, by żyć dalej. Niemniej jednak były takie chwile, gdy Mówca zadawał sobie pytanie, po co to wszystko? Mógł przecież wycofać się i oddać tron najstarszemu synowi. Porthios i tak zajmował się niemal wszelkimi sprawami, radząc się ojca we wszystkim, co było stosowne, lecz podejmując większość decyzji samodzielnie. Poważny jak na swój wiek, młody elfi pan udawał, iż jest doskonałym wodzem, choć niektórzy uważali, że zbyt obcesowo obchodzi się z Silvanesti i Kaganesti.

Zaliczał się do nich Mówca, co w głównej mierze zadecydowało o tym, że nie przekazał rządów Porthiosowi. Czasami próbował wykazać swemu starszemu synowi, że więcej zwycięstw przyniosły umiarkowanie i cierpliwość, niż groźby i pobrzękiwanie mieczem. Porthios jednak był przekonany, że jego ojciec jest miękki i sentymentalny. Silvanesti, przy swej sztywnej strukturze kastowej, ledwo uważali Qualinesti za część rasy elfów, do której już w ogóle nie zaliczali Kaganesti, uważając ich za podrasę, podobnie jak krasnoludy żłebowe uważano za podrasę krasnoludów. Porthios był święcie przekonany, choć nie mówił tego ojcu, że musi to doprowadzić do przelewu krwi.

Te same poglądy po drugiej stronie Thon-Tsalarian podzielał wyniosły i zimny władca imieniem Quinath, który jak wieść niesła, był narzeczonym księżniczki Alhany Starbreeze. Lord Quinath był teraz przywódcą Silvanesti na czas jej niewyjaśnionej nieobecności i to on wraz z Porthiosem podzielił wyspę między dwa zwaśnione narody elfów, zupełnie nie biorąc pod uwagę trzeciej rasy.

Lekceważąco zawiadomiono Kaganesti o przebiegu granic, tak jak psu daje się do zrozumienia, żeby nie wchodził p. do kuchni. Kaganesti, którzy słyną z wybuchowego charakteru, wpadli we wściekłość, dowiedziawszy się, że ich ziemię dzieli się i parceluje. Polowania nie udawały się. Zwierzęta, od których zależało przeżycie dzikich elfów były masowo zabijane, by wyżywić uciekinierów. Jak wspomniała Laurana, Rzeka Zmarłych w każdej chwili mogła spłynąć krwią, a jej nazwa zmienić się tragicznie.

Tak oto Mówca zobaczył, że żyje w zbrojnym obozie. Lecz jeśli w ogóle bolał nad tym, fakt ten nikł w takim mnóstwie smutków, że władca wreszcie przestał czuć cokolwiek. Nic go nie wzruszało. Zamknął się w swej lepiance i pozwalał Porthiosowi coraz więcej spraw rozstrzygać samodzielnie.

Tego poranka, gdy drużyna przybyła do miejsca, które obecnie zwano Qualin-Mori Mówca wstał wcześniej. Zawsze wstawał wcześniej. Nie dlatego, że miał tak wiele do roboty, lecz dlatego, że i tak większość nocy spędził wpatrując się w sufit. Sporządzał notatki na mające się odbyć tego dnia spotkanie z głowami rodów – niewdzięczne zadanie, ponieważ naczelnicy bez końca się uskarżali – gdy usłyszał wrzawę przed swymi drzwiami.

Mówca popadł w przygnębienie. Co teraz? – pomyślał z obawą. Wydawało się, że dwa lub trzy razy każdego dnia przydarzał się taki alarm. Porthios pewno przyłapał kilku zadziornych młodzieńców Qualinesti i Silvanesti na najazdach lub bójkach. Nie przerywał pisania, spodziewając się, że tumult ucichnie. Jednak nie ucichł, a nabrał siły i zbliżał się coraz bardziej. Mówca mógł tylko przypuszczać, że wydarzyło się coś poważniejszego. I nie po raz pierwszy zastanawiał się, co zrobiłby, gdyby wśród elfów znów wybuchła wojna.

Odłożywszy pióro, Mówca przywdział szaty królewskie i czekał pełen lęku. Usłyszał, jak na zewnątrz gwardziści stają na baczność. Usłyszał głos Porthiosa, który zgodnie z tradycją prosi o zezwolenie na wejście, ponieważ godziny dworskiego urzędowania jeszcze się nie zaczęły. Mówca spojrzął z obawą na drzwi prowadzące do jego prywatnych komnat, bojąc się, że spokój jego żony może zostać zakłócony. Od czasu wyjazdu z Qualinesti była słabego zdrowia. Zadrzał i wstał, przybierając surowy i chłodny wyraz twarzy, który stał mu się tak bliski, jak część stroju, którą się nakłada i nakazał im wejść.

Strażnik otworzył drzwi, najwyraźniej zamierzając zaanonsować gościa. Jednakże słowa ugrzęzły mu w gardle i zanim zdążył odezwać się, wysoka, smukła postać otulona w ciężką, futrzaną pelerynę przepchnęła się obok niego i podbiegła do Mówcy. Ten odsunął się zaskoczony i zaniepokojony, dostrzegając tylko, że postać uzbrojona jest w miecz i łuk.

Postać zrzuciła kaptur płaszcza. Mówca dostrzegł włosy barwy miodu spływające wokół kobiecej twarzy – twarzy niezwyklej nawet wśród elfów dzięki swej delikatnej urodzie.

– Ojczy! – zawołała, Laurana a potem znalazła się w jego ramionach.

Powrót Gilthanasa, od dawna opłakiwanego przez jego naród, był dla Qualinesti okazją do największego świętowania od czasu tej nocy, gdy drużynę podejmowano ucztą przed wyruszeniem do Sla-Mori.

Gilthanas wydobrzeł wystarczająco, by brać udział w uroczystościach, a jedyną pozostałością po ranie była niewielka blizna na policzku. Laurana i jej przyjaciele byli tym zdziwieni, bowiem wszyscy widzieli, jak straszny cios zadał mu elf Silvanesti. Kiedy jednak Laurana wspomniała o tym ojcu, Mówca wzruszył tylko ramionami i powiedział, że Kaganesti przyjaźnili się z druidami, którzy mieszkają w lasach i pewnie nauczyli się od nich sztuki leczenia.

Złościło to Lauranę, która wiedziała, jaką rzadkością na Krynnie jest prawdziwa moc uzdrawiania. Chciała bardzo porozmawiać o tym z Elistanem, lecz ten na długie godziny zamykał się z jej ojcem. Mówca wkrótce znalazł się pod wrażeniem jego mocy prawdziwego kapłana.

Lauranę ucieszył fakt, iż jej ojciec zaakceptował Elistana – pamiętała, jak potraktował

Goldmoon, kiedy po raz pierwszy zjawiła się w Qualinesti z medalionem Mishakal, bogini uzdrawiania. Lauranie jednak brakowało jej mądrego nauczyciela. Choć cieszyła się niezmiernie z powrotu do domu, zaczynała jednak zdawać sobie sprawę, że dla niej dom zmienił się i nigdy już nie będzie taki sam, jak przedtem.

Pozornie wszyscy cieszyli się na jej widok, lecz traktowano ją z tym samym szacunkiem, jaki okazywano Derekowi, Sturmowi, Flintowi i Tasowi. Była obca. Nawet jej rodzice stali się chłodni i nieprzystępni po początkowym serdecznym powitaniu. Nie dziwiłaby się temu tak bardzo, gdyby nie okazywali tyle czułości Gilthanasowi. Skąd ta różnica? Laurana nie mogła tego pojąć. Zadanie otworzenia jej oczu przypadło jej starszemu bratu, Porthiosowi.

Incydent zaczął się podczas uczyty.

– Przekonasz się, że nasze tutejsze życie różni się znacznie od tego, jakie wiedliśmy w Qualinesti – powiedział ojciec do jej brata, gdy zasiedli do uczyty wydanej w wielkim, drewnianym domu wybudowanym przez Kaganesti. – Wkrótce jednak przyzwyczaisz się. – Zwracając się do Laurany, rzekł oficjalnie. – Chętnie przyjąłbym cię znów jako mego pisarza, lecz wiem, że będziesz zajęta czym innym w naszym domostwie.

Laurana była zaskoczona. Nie zamierzała oczywiście zostać, lecz nie podobało jej się, że kto inny zajął miejsce, które wedle tradycji należne było córce królewskiego rodu. Nie była również zachwycona tym, że choć rozmawiała z ojcem o zabranii kuli na Sancrist, on ją najwyraźniej lekceważył.

– Mówco – rzekła powoli, próbując zamaskować irytację w głosie – mówiłam już nieraz. Nie możemy zostać. Czyżbyś nie słuchał mnie i Elistana? Odkryliśmy smoczą kulę! Teraz mamy sposób na zapanowanie nad smokami i zakończenie tej wojny! Musimy zabrać kulę na Sancrist...

– Przestań, Laurano! – odezwał się ostro jej ojciec, wymieniając spojrzenia z Porthiosem. Jej brat zmierzył ją surowym spojrzeniem. – Nie wiesz, o czym mówisz, Laurano. Smocza kula jest rzeczywiście wielkim skarbem i jako taka, nie powinna być tematem rozmów tutaj. A co do zabrania jej na Sancrist, to wykluczone.

– Wybacz, panie – rzekł Derek, wstając i kłaniając się – lecz nie masz w tej sprawie nic do powiedzenia. Smocza kula nie należy do ciebie. Rada rycerzy wysłała mnie, żebym zdobył smoczą kulę, jeśli to będzie możliwe. Udało mi się i zgodnie z rozkazem zamierzam zabrać ją ze sobą. Nie masz prawa mnie zatrzymywać.

– Czyżby? – w oczach Mówcy zabłysnął gniew. – Mój syn, Gilthanas, wniósł ją na ziemię, którą my, Qualinesti, ogłosiliśmy swą ojczyzną na wygnaniu. To daje nam prawo do

kuli.

– Nigdy tak nie twierdziłem, ojczy – powiedział Gilthanas, oblewając się rumieńcem i czując na sobie spojrzenia towarzyszy. – Kula nie jest moja. Ona należy do nas wszystkich...

Porthios posłał młodszemu bratu wściekłe spojrzenie. Gilthanas zająknął się i umilkł.

– Jeśli już ktoś ma do niej prawo, to tylko Laurana – odezwał się Flint Fireforge, bynajmniej nie speszony wrogimi spojrzeniami elfów. – Bowiem to ona zabiła Feal – Thasa, złego elfiego czarodzieja.

– Jeśli kula należy do niej – rzekł Mówca głosem starszym, niżby wskazywały jego setki lat – w takim razie zgodnie z prawem, jest moją własnością. Laurana nie jest jeszcze pełnoletnia, więc, co należy do niej, należy do mnie, ponieważ ja jestem jej ojcem. Takie jest elfie prawo i krasnoludzkie również, jeśli się nie mylę.

Flint zaczerwienił się. Otworzył usta, by coś odpowiedzieć, lecz Tasslehoff wyprzedził go.

– Czy to nie dziwne? – zauważył kender wesoło, jako że nie dotarła do niego poważna część rozmowy. – Według prawa kenderów, jeśli istnieje w ogóle prawo kenderów, każdy właściwie jest właścicielem każdej rzeczy. (To szczerza prawda. Beztronski stosunek kenderów do cudzej własności odnosi się także do ich własnej. Nic nie utrzymuje się długo w domu kendera, chyba, że jest przybite gwoździami do podłogi. W każdej chwili może przyjść jakiś sąsiad, zachwycić się przedmiotem i zabrać go sobie z roztargnienia. Kenderskie dziedzictwo rodowe było definiowane jako każda rzecz pozostająca w domu dłużej niż trzy tygodnie.)

Nikt się po tym nie odezwał. Flint kopnął Tasa pod stołem i kender zapadł w urażone milczenie, które trwało, póki nie odkrył, że sąsiadujący z nim elfi dostojnik, którego wezwano od stołu, zostawił swą sakwę. Grzebanie w rzeczach elfiego pana dostarczyło kenderowi uciechy na czas reszty posiłku.

Flint, który zazwyczaj miał oko na Tasa, nie zauważył tego wśród swych innych zmartwień. Jasne było, że szykują się kłopoty. Derek był wściekły. Tylko sztywny kodeks rycerski powstrzymywał go przed odejściem od stołu. Laurana siedziała w milczeniu, nie tknąwszy jedzenia. Była blada mimo opalenizny i wybijała widelcem małe dziurki w delikatnej tkaninie obrusa. Flint trącił łokciem Sturm.

– Myśleliśmy, że wydostanie smoczjej kuli z Lodowej Ściany było trudne – mruknął krasnolud pod nosem. – Tam musieliśmy uciekać tylko przed szalonym czarnoksiężnikiem i kilkoma morsoludźmi. Teraz jesteśmy otoczeni przez trzy narody elfów!

– Będziemy musieli porozmawiać z nimi rozsądnie – powiedział cicho Sturm.

– Porozmawiać rozsądnie! – parsknął krasnolud. – Dwa kamienie mają więcej szans

dogadania się ze sobą!

I tak też się stało. Na prośbę Mówcy drużyna nie wstała od stołu, gdy inni elfowie wyszli po obiedzie. Gilthanas i jego siostra siedzieli obok siebie. Na ich twarzach odmalowało się zmartwienie i niepokój, gdy Derek podniósł się i stanąwszy przed Mówcą, zaczął rozmawiać z nim „rozsądnie”.

– Kula jest nasza – oświadczył chłodno Derek. – Nie masz do niej żadnych praw. Z całą pewnością nie należy ona do twojej córki, ani do twego syna. Podróżowali ze mną tylko z uprzejmości od chwili, gdy uratowałem ich podczas zagłady Tarsis. Szczęśliwy jestem, że mogłem odprowadzić ich do ojczyzny i dziękuję za gościnę. Jutro jednak ruszam do Sancrist i zabieram kulę ze sobą.

Porthios wstał, odwracając się do Dereka. – Kender może twierdzić, że kula należy do niego. To nie ma znaczenia. – Elfi władca mówił miłym, uprzejmym głosem, który ciął nocne powietrze niczym nóż. – Kula jest teraz w rękach elfów i w nich zostanie. Czy sądzisz, że jesteśmy na tyle nierozsądni, by pozwolić ludziom zabrać ten skarb i wyrządzić kolejne nieszczęścia na tym świecie?

– Kolejne nieszczęścia! – Derek spurpurowiał na twarzy. – Czy wiesz, jakie nieszczęście dotknęło teraz świat? Smoki wypędziły was z waszej ojczyzny. Zbliżają się teraz do naszej! W odróżnieniu od was, my nie zamierzamy uciekać. Zostaniemy i będziemy walczyć! Ta kula może być naszą jedyną nadzieją...

– Masz moje pozwolenie, by wrócić do ojczyzny. Nic mnie to nie obchodzi, czy spała was tam do cna – odparł Porthios. – To wy, ludzie, obudziliście prastare zło. Dobrze więc los zrządził, że to wam przypadnie z nim walczyć. Smoczy władcy dostali od nas, co chcieli. Teraz bez wątplenia zostawią nas w spokoju. Tutaj, na Ergoth, kula będzie bezpieczna.

– Głupcze! – Derek uderzył pięścią w stół. – Smoczy władcy myślą tylko o jednym – żeby podbić cały Ansalon! Razem z waszą żalosną wyspą! Może przez jakiś czas będziecie tu bezpieczni, lecz jeśli my poniesiemy klęskę, będzie to również wasz koniec!

– Wiesz, ojczu, że jego słowa są prawdziwe – powiedziała Laurana, zdobywając się na wielką śmiałość. Kobiety elfów nie brały udziału w naradach wojennych, a tym bardziej nie zabierały głosu. Laurana była obecna tylko z powodu swego niezwyklego związku ze sprawą. Wstając, zwróciła się do brata, który spojrzał na nią z dezaprobatą. – Porthiosie, nasz ojciec powiedział nam w Qualinesti, że smoczy władca pragnie nie tylko naszej ziemi, ale także zagłady naszej rasy! Czyżbyś już zapomniał!

Porthios parsknął pogardliwie. – To był tylko jeden smoczy władca, Verminaard. On nie żyje...

– Tak, dzięki nam – krzyknęła gniewnie Laurana – nie tobie!

– Laurano! – Mówca Słońc wstał i wyprostował się, a był wyższy nawet od swego najstarszego syna. Jego postać górowała nad nimi wszystkimi. – Zapominasz się, młoda kobieto. Nie masz prawa tak się zwracać do swego starszego brata. My też stawialiśmy czoła niebezpieczeństwom w trakcie wędrówki. On pamiętał o swych obowiązkach i odpowiedzialności, jaka na nim spoczywa, podobnie jak Gilthanas. Oni nie pobiegli za jakimś półelfim bękartem, jak bezwstydną dziw... – Mówca nagle urwał.

Laurana pobladła aż po wargi. Zachwiała się, chwytając krawędź stołu, by się nie przewrócić. Gilthanas szybko wstał i podbiegł do niej, lecz odepchnęła go. – Ojczy – rzekła głosem, którego nie rozpoznawała jako swój – co zamierzałeś powiedzieć?

– Chodźmy, Laurano – błagał Gilthanas. – On nie miał tego na myśli. Porozmawiamy jutro rano.

Mówca nic nie powiedział, a jego twarz była szara i zimna.

– Miałaś zamiar powiedzieć „dziwka”! – powiedziała cicho Laurana, a jej słowa wbijały się jak szpilki w napięte do kresu wytrzymałości nerwy.

– Idź do swej komnaty, Laurano – rozkazał Mówca zduszonym głosem.

– Więc tak o mnie myślisz – szepnęła Laurana przez ściśnięte gardło. – To dlatego wszyscy tak mi się przyglądają i przestają rozmawiać, kiedy podchodzę do nich. Dziwka.

– Siostró, uczyni, jak ci ojciec rozkazuje – rzekł Porthios. – A co do tego, co o tobie myślimy – pamiętaj, że sama jesteś temu winna. Czego się spodziewałaś? Spójrz na siebie, Laurano! Jesteś ubrana jak mężczyzna. Z dumą nosisz miecz splamiony krwią. Gładko mówisz o swych „przygodach”! Podróżowałaś z mężczyznami takimi, jak ci – ludzie i krasnoludy! Spędzałaś z nimi noc. Spędzałaś noc ze swym półelfim kochankiem. Gdzie on jest? Czyżbyś mu się znudziła i...

Przed oczami Laurany raptownie wybuchł ogień. Żar ogarnął jej ciało, a po nim nastąpił straszliwy chłód. Nic nie widziała i pamiętała, tylko przerażające uczucie spadania bez możliwości przytrzymania się czegokolwiek. Z wielkiej odległości dochodziły do niej głosy, zniekształcone twarze nachylały się nad nią.

– Laurano, moja córko... A potem już nic.

– Pani...

– Co? Gdzie ja jestem? Kim jesteś? Nie widzę! Pomóż mi!

– Już dobrze, pani. Proszę wziąć mnie za rękę. Szs... Jestem tuż obok. Nazywam się Silvara. Pamiętasz mnie?

Laurana poczuła dotyk łagodnych dłoni, które wzięły ją za ręce, gdy usiadła.

– Możesz to wypić, pani?

Przyłożono jej kubek do warg. Laurana wypła łyk i poczuła smak czystej, zimnej wody. Chwyliła kubek i zaczęła łapczywie pić, czując, jak woda ochładza jej rozgorączkowaną krew. Wróciły jej siły, a wraz z nimi zdolność widzenia. Przy łożu paliła się mała świeczka. Laurana znajdowała się w swej komnacie w domu ojca. Jej ubranie leżało na prostej, drewnianej ławie, pas z mieczem znajdował się obok, a plecak spoczywał na podłodze. Za stołem pod drugą ścianą siedziała niańka i spała mocno, złożony głowę na ramionach.

Laurana odwróciła się do Silvary, która widząc pytanie w jej oczach, przyłożyła palec do warg.

– Mów cicho – odpowiedziała dziewczyna z plemienia dzikich elfów. – Och, nie z jej powodu – Silvara obejrzała się na niańkę – ona będzie spać spokojnie jeszcze przez wiele godzin, zanim napar przestanie działać. Ale w domostwie są inni, którzy mogą czuć. Czy czujesz się lepiej?

– Tak – odrzekła zdezorientowana Laurana. – Nie pamiętam...

– Zemdlałeś – odpowiedziała Silvara. – Usłyszałam, jak o tym mówili, niosąc cię tutaj. Twój ojciec jest szczerze zasmucony. Nie miał zamiaru powiedzieć czegoś podobnego. Po prostu straszliwie go zraniłaś...

– Jak o tym usłyszałaś?

– Schowałam się tam, w ciemnym kącie. To dla naszego ludu drobnostka. Stara niańka powiedziała, że nic ci nie jest, tylko musisz odpocząć, więc wyszli. Kiedy poszła przynieść koc, wlałam jej soku na sen do herbaty.

– Dlaczego? – zapytała Laurana. Przyglądając się dziewczynie uważnie, Laurana zobaczyła, że dzika elfka musi być piękną kobietą – albo raczej byłaby, gdyby zmyto z niej nawarstwiony brud.

Zauważywszy badawcze spojrzenie Laurany, Silvara zaczerwieniła się, zawstydzona.

– Pani, ja... uciekłam od Silvanesti, kiedy przeprowadzili was przez rzekę.

– Laurana. Proszę, dziecko, mów mi Laurana.

– Laurano – poprawiła się Silvara, rumieniąc. – Przyszłam, by cię prosić, żebyś mnie zabrała ze sobą, kiedy będziesz odchodzić

– Odchodzić? – zapytała Laurana. – Nigdzie nie.... – Przerwała.

– Naprawdę? – spytała łagodnie Silvara.

– Ja... nie wiem – odrzekła zbita z tropu Laurana.

– Mogę pomóc – powiedziała z zapalem Silvara. – Znam ścieżkę przez góry, która

proceedzi do posterunku rycerzy, skąd wypływają statki o skrzydłach ptaków. Pomogę wam uciec.

– Dlaczego miałabyś to dla nas zrobić? – spytała Laurana. – Przykro mi, Silvaro. Nie chcę, żeby zabrzmiało to podejrzliwie, lecz ty nas nie znasz, a to jest bardzo niebezpieczne. Z pewnością sama mogłabyś łatwiej się wymknąć.

– Wiem, że niesiecie smoczą kulę – szepnęła Silvara.

– Skąd wiesz o kuli? – zapytała Laurana ze zdumieniem.

– Usłyszałam jak Silvanesti rozmawiali o niej po tym, jak zostawili was przy rzece.

– I ty wiesz, co to jest? Skąd?

– Mój... lud przechowuje opowieści... o niej – powiedziała Silvara, załamując ręce. – Wiem, że koniecznie trzeba zakończyć tę wojnę. Twój lud i elfowie Silvan wrócą do swych ojczyzn i pozwolą Kaganesti żyć w spokoju. To właśnie jest powód i... – Silvara milczała przez chwilę, a potem odezwała się tak cicho, że Laurana ledwo ją słyszała. – Jesteś pierwszą osobą, która wiedziała, co znaczy moje imię.

Laurana przyjrzała jej się ze zdumieniem. Dziewczyna sprawiała wrażenie szczerej. Laurana jednak nie wierzyła jej. Dlaczego miałaby narażać własne życie, żeby im pomóc? Może jest szpiegiem Silvanesti nasłanym, by zdobyć kulę? Wydawało się to mało prawdopodobne, lecz dziwniejsze rzeczy...

Laurana spuściła głowę i próbowała pomyśleć. Czy mogą zaufać Silvarze – przynajmniej na tyle, by się stąd wydostać? Wyglądało na to, że nie mieli innego wyjścia. Jeśli zamierzali udać się w góry, będą musieli przejść przez ziemie Kaganesti. Pomoc Silvary byłaby nieoceniona.

– Muszę porozmawiać z Elistanem – powiedziała Laurana. – Czy możesz go tu sprowadzić?

– Nie ma potrzeby, Laurano – odrzekła Silvara. – Czeka za drzwiami na twoje przebudzenie.

– A pozostali? Gdzie jest reszta moich przyjaciół?

– Pan Gilthanas jest w domu twego ojca, oczywiście.... – Czy to wyobraźnia Laurany, czy też blade policzki Silvary zaróżowiły się, gdy wymawiała jego imię? – Pozostałym przydzielono „kwatery gościnne”.

– Tak – powiedziała ponuro Laurana. – Wyobrażam sobie.

Silvara zostawiła ją. Cichutko skradając się przez pokój, podeszła do drzwi, otworzyła je i pomachała ręką.

– Laurano?

– Elistanie! – Rzuciła mu się na szyję. Kładąc głowę na jego piersi, Laurana zamknęła oczy, wtulając się w jego czułe, silne ramiona. Wszystko teraz będzie dobrze, była tego pewna. Elistan wszystkim się zajmie. On będzie wiedział, co trzeba zrobić.

– Lepiej się czujesz? – zapytał kapłan. – Twój ojciec...

– Tak, wiem – przerwała mu Laurana. Czuła tępy ból w sercu za każdym razem, gdy wymieniano imię jej ojca.

– Musisz zdecydować, co mamy począć, Elistanie. Silvara zaproponowała nam pomoc w ucieczce. Moglibyśmy zabrać kulę i uciec dziś w nocy.

– Jeśli zamierzasz to uczynić, moja droga, w takim razie nie powinnaś marnować czasu – rzekł Elistan, siadając na krześle obok niej.

Laurana drgnęła ze zdumienia. Chwyciła go za ramię.

– Elistanie, co to ma znaczyć? Musisz pójść z nami...

– Nie, Laurano – rzekł Elistan, ściskając mocno jej dłoń. – Jeśli odejdiesz, będziesz musiała zrobić to samodzielnie. Szukałem pomocy Paladine i wiem, że muszę zostać tu, wśród elfów. Jestem przekonany, że jeśli zostanę, zdołam przekonać twego ojca, iż jestem kapłanem prawdziwych bogów. Gdybym odszedł, zawsze uważałby mnie za szarlatana, jakim nazywa mnie twój brat.

– A co ze smoczą kulą?

– To już zależy od ciebie, Laurano. Elfowie nie mają racji w tej kwestii. Mam nadzieję, że kiedyś zrozumieją to. Nie mamy jednak stuleci, by o tym dyskutować. Sądzę, że powinnaś zabrać kulę na Sancrist.

– Ja? – jęknęła Laurana. – Ja nie potrafię!

– Moja droga – rzekł stanowczo Elistan – musisz uświadomić sobie, że jeśli podejmiesz tę decyzję, ciężar dowodzenia spocznie na tobie. Sturm i Derek zbyt ugrzęźli we własnych konfliktach, a poza tym są ludźmi. Ty będziesz miała do czynienia z elfami – twoim własnym narodem i z Kaganesti. Gilthanas opowiada się po stronie twego ojca. Jesteś jedyną osobą, która ma szansę powodzenia.

– Ale ja nie potrafię...

– Potrafisz więcej, niż ci się wydaje, Laurano. Być może wszystko, co przeszłaś do tej pory przygotowywało cię do tego właśnie. Nie wolno ci dłużej marnować czasu. Żegnaj, moja droga. – Elistan wstał i położył dłoń na jej głowie. – Przyjmij błogosławieństwo Paladine – i moje własne.

– Elistanie! – szepnęła Laurana, lecz kapłan już wyszedł. Silvara cicho zamknęła drzwi.

Laurana opadła znów na posłanie, starając się pomyśleć. Elistan oczywiście ma rację. Smocza kula nie może tu zostać. A jeśli zamierzamy uciec, musi się to stać tej nocy. Wszystko dzieje się tak prędko! I wszystko spada na mnie! Czy mogę zaufać Silvarze? Czemu jednak pytać? Tylko ona może być naszym przewodnikiem. W takim razie muszę tylko zdobyć kulę i lancę i uwolnić przyjaciół. Wiem, jak zabrać kulę i lancę. Lecz przyjaciele...

Nagle Laurana wiedziała, co powinna zrobić. Zdała sobie sprawę, że w głębi duszy planowała to już podczas rozmowy z Elistanem.

To ostateczna decyzja, pomyślała. Nie będzie już odwrotu. Kradzież smoczej kuli i ucieczka w mrok nocy, w głąb obcego i nieprzyjaznego kraju. No i jest jeszcze Gilthanas. Zbyt wiele przeszliśmy razem, żebym miała go zostawić. On jednak będzie wstrząśnięty myślą o kradzieży kuli i ucieczce. A jeśli postanowi zostać, czy nas zdradzi?

Laurana zamknęła oczy na chwilę. Znużona, położyła głowę na kolanach. Tanisie, pomyślała, gdzie jesteś? Co powinnam zrobić? Dlaczego to spadło na mnie? Ja tego nie chciałam.

I wtedy Laurana przypomniała sobie, że widywała na twarzy Tanisa zmęczenie i smutek, identyczne z tym, co sama w tej chwili czuła. Być może on zadawał sobie te same pytania. Przez cały czas myślałam, że jest taki silny, a może on w rzeczywistości czuł się równie zagubiony i przestraszony jak ja. Na pewno czuł się opuszczony przez swój lud. A my polegaliśmy na nim, bez względu na to, czy chciał tego, czy nie. Mimo to, godził się na to. Tanis postępował zgodnie ze swoimi przekonaniem.

Ja też tak muszę.

Szybko, by nie pozwolić sobie na dalsze rozważania, Laurana podniosła głowę i gestem wezwała Silvarę.

Sturm, nie mogąc usnąć, chodził w tę i z powrotem po prymitywnej chacie, jaką im dano. Krasnolud wyciągnął się na łóżku i głośno chrapał. Pod drugą ścianą leżał zwinięty w kłębek Tasslehoff, którego przykuto łańcuchem za nogę do wezgłowia łóżka. Sturm westchnął. W jakie jeszcze kłopoty mogą popaść?

Tego wieczoru sytuacja ze złą szybko zmieniała się w jeszcze gorszą. Kiedy Laurana zemdlała, Sturm z trudem powstrzymał rozwścieczonego krasnoluda. Flint przysięgał, że rozszarpie Porthiosa na strzępy. Derek oświadczył, że uważa się za więźnia przetrzymywanego przez nieprzyjaciół i w związku z tym jego obowiązkiem jest próba ucieczki; następnie sprowadzi rycerzy, żeby odebrać kulę siłą. Derek został natychmiast odprowadzony pod strażą. W chwili gdy właśnie Sturm uspokoił Flinta, nie wiadomo skąd zjawił się elfi szlachcic i oskarżył Tasslehoffa o kradzież sakwy.

Teraz byli przetrzymywani pod podwójną strażą, jako „goście” Mówcy Słońc.

– Czy musisz tak chodzić w tę i z powrotem? – zapytał chłodno Derek.

– Dlaczego? Czyżbym nie pozwalał ci usnąć? – odparł ostro Sturm.

– Oczywiście, że nie. Tylko głupcy mogliby spać w takich okolicznościach.

Rozpraszasz...

– Ciii! – szepnął Sturm, podnosząc dłoń ostrzegawczo.

Derek natychmiast umilkł. Sturm dał znak dłonią. Starszy rycerz podszedł do Sturma, który stał na środku pomieszczenia i wpatrywał się w sklepienie. Chata z bali była prostokątna, miała jedne drzwi, dwa okna i palenisko pośrodku podłogi. Dziura w dachu zapewniała wentylację.

Właśnie przez ten otwór Sturm usłyszał dziwny dźwięk, który przyciągnął jego uwagę. Był to odgłos jakby skrobania i szurania. Belki sklepienia zaskrzypiały, jakby czołgało się po nich coś ciężkiego.

– Jakieś dzikie zwierzę – mruknął Derek. – A my jesteśmy bezbronni!

– Nie – rzekł Sturm, nasłuchując uważnie. – To coś nie warczy. Porusza się zbyt cicho, jakby nie chciało, by je usłyszano czy zobaczono. Co tam robią strażnicy?

Derek podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. – Siedzą przy ogniu. Dwaj śpią. Nie przejmują się zbyt namiętnie, prawda? – zapytał z goryczą.

– Dlaczego miałiby? – powiedział Sturm, nie spuszczać sufitu z oczu. – W odległości wołania choćby szeptem mają tysiące elfów. Co ta...

Sturm cofnął się zaniepokojony. Niespodziewanie jakiś ciemny, nierozpoznawalny kształt przesłonił gwiazdy, którym się przyglądał przez otwór w dachu. Sturm szybko się schylił i wyciągnął z żarzącego się paleniska kłodę, chwyciwszy ją za jeden koniec, niczym maczugę.

– Sturmie! Sturmie Brightblade! – odezwał się niewyraźny cień.

Sturm wbijał wzrok w ciemność, próbując sobie przypomnieć ten głos. Skądś go znał. Przyszło mu na myśl Solące. – Theros! – westchnął. – Theros Ironfeld! Co ty tu robisz? Ostatni raz, kiedy cię widziałem, leżałeś bliski śmierci w królestwie elfów!

Wielki kowal z Solące z wysiłkiem przeciskał się przez dziurę w dachu, zawalając przy okazji część sklepienia. Wylądował ciężko, budząc krasnoluda, który usiadł na posłaniu i mętym wzrokiem spojrzął na zjawę pośrodku chaty.

– Co... – krasnolud zerwał się, sięgając po swój topór bojowy, którego już nie miał u boku.

– Cisza! – rozkazał kowal. – Nie ma czasu na pytania. Lady Laurana przysłała mnie,

bym was uwolnił. Mamy się z nią spotkać w lesie za obozem. Śpieszcie się! Mamy tylko kilka godzin do świtu, a do tego czasu musimy być za rzeką. – Theros podszedł, by popatrzeć na Tasslehoffa, który bezskutecznie próbował się uwolnić. – O, widzę, mistrzu złodziejski, że komuś wreszcie się udało cię przyłapać.

– Nie jestem złodziejem! – powiedział obrażony Tas. – Znasz mnie przecież, Therosie. Tę sakiewkę mi podrzucono...

Kowal zachichotał. Chwyciwszy łańcuch w dłoń, niespodziewanie szarpnął zań i zerwał go. Jednakże Tasslehoff nawet tego nie zauważył. Przyglądał się ramionom kowala. Jedno z nich było czarne, tego samego koloru, co skóra kowala. To drugie jednak, prawe, było z błyszczącego jasno srebra!

– Therosie – powiedział Tas zduszonym głosem. – Twoje ramię...

– Pytania zostaw na później, złodziejaszku – rzekł surowo kowal. – Teraz idziemy szybko i cicho.

– Przez rzekę – jęknął Flint, potrząsając głową. – Znowu łódki. Znowu te łódki...

– Chcę się widzieć z Mówcą – powiedziała Laurana strażnikowi przy drzwiach do komnat ojca.

– Już późno – odpowiedział strażnik. – Mówca śpi.

Laurana zsunęła kaptur. Strażnik skłonił się. – Wybacz mi, księżniczko. Nie rozpoznałem cię. – Popatrzył podejrzliwie na Silvarę. – Kim jest ta osoba?

– Moją pokojówką. Sama przecież nie wyszłabym w nocy.

– Skądże, oczywiście, że nie – rzekł spiesznie strażnik, otwierając drzwi. Proszę wejść. Jego sypialnia jest trzecia na prawo.

– Dziękuję – odrzekła Laurana i przemknęła obok strażnika. Silvara, spowita w obszerną pelerynę, cicho wsunęła się za nią.

– Skrzynia jest w jego pokoju, przy nogach jego łoża

– Laurana szepnęła do Silvary. – Jesteś pewna, że zdołasz unieść smoczą kulę? Jest ogromna i bardzo ciężka.

– Nie taka znowu ogromna – szepnęła Silvara, przyglądając się ze zdumieniem Lauranie. – Mniej więcej, taka

– dłońmi pokazała kształt mniej więcej wielkości dziecięcej piłki.

– Nie – rzekła Laurana, marszcząc brwi. – Ty jej nie widziałaś. Ma niemal sześćdziesiąt centymetrów średnicy. Dlatego kazałam ci wziąć tę długą pelerynę.

Silvara spojrzała na nią ze zdziwieniem. Laurana wzruszyła ramionami. – Cóż, nie będziemy tak stać i sprzeczać się. Wymyślimy coś, kiedy nadejdzie pora.

We dwie skradały się korytarzem, cicho jak kender, aż dotarły do sypialni.

Powstrzymując oddech i obawiając się, że nawet bicie jej serca jest zbyt głośne, Laurana popchnęła drzwi. Drzwi otworzyły się ze skrzypieniem, na dźwięk którego zacisnęła zęby. Stojąca obok Silvara zatrząsała się ze strachu. Postać na łóżku poruszyła się i odwróciła – była to matka Laurany. Laurana dostrzegła, że jej ojciec nawet przez sen wyciągnął rękę, by poklepać ją pocieszająco. Oczy zaszyły jej łzami. Zaciskając stanowczo wargi, chwyciła Silvarę za rękę i wślizgnęła się do komnaty.

Skrzynia stała przy łóżku jej ojca. Była zamknięta, lecz wszyscy członkowie drużyny mieli kopie srebrnego kluczyka. Laurana szybko otworzyła skrzynię i podniosła wieko. Wtedy nieomal upuściła je ze zdumienia. Smocza kula nadal tam się znajdowała i jarzyła się delikatnym białym i błękitnym blaskiem. Nie była to jednak ta sama kula! A jeśli tak, to skurczyła się! Zgodnie ze słowami Silvary, kula była teraz nie większa od dziecięcej piłki! Laurana nachyliła się, by ją wziąć. Nadal była ciężka, lecz mogła ją unieść bez trudu. Ostrożnie chwytając ją trzęsącymi się dłońmi, wyjęła ją ze skrzyni i podała Silvarze. Dziewczyna natychmiast ukryła ją pod swą peleryną. Laurana wyjęła drzewce złamanej smoczej lancy, zastanawiając się jednocześnie, po co bierze ten stary, bezużyteczny oręż.

Wezmę ją, ponieważ tamten rycerz dał ją Sturmowi, pomyślała. Chciał, żeby on ją miał.

Na dnie skrzyni leżał miecz Tanisa, zabójca smoków, który półelf otrzymał od Kith – Kanana. Laurana spojrzała najpierw na miecz, a następnie na smoczą lancę. Nie mogąc nieść obu, pomyślała i chciała już odłożyć lancę. Silvara jednak zatrzymała ją z błyskiem w oczach.

– Co robisz? – Ułożyła wargi na kształt tych słów. – Zabierz ją! Zabierz ją też!

Laurana popatrzyła na dziewczynę ze zdumieniem. Potem pośpiesznie wyjęła ponownie lancę, ukryła ją w fałdach płaszcza i ostrożnie zamknęła skrzynię, zostawiając miecz w środku. Kiedy tylko wypuściła wieko z chłodnych palców, jej ojciec obrócił się na posłaniu i niemal podniósł.

– Co tam? Kto tu jest? – zapytał, otrząsając się ze snu, zdjęty niepokojem.

Laurana poczuła drżenie Silvary i pocieszająco ścisnęła dłoń dziewczyny, ostrzegając ją, by zachowała ciszę.

– To ja, ojciec – rzekła niepewnie. – Laurana. Ja... chciałam... chciałam ci powiedzieć, ojciec, że jest mi przykro. I proszę, żebyś mi wybaczył.

– Ach, Laurana. – Mówca opadł na poduszki i zamknął oczy. – Wybaczam ci, córko. Wracaj teraz do łóżka. Pomówimy jutro rano.

Laurana odczekała, dopóki jego oddech nie stał się cichy i regularny. Potem

wyprowadziła Silvarę z pokoju, ściskając smoczą lancę mocno pod peleryną.

– Kto idzie? – cicho zawołał ludzki głos w języku elfów.

– Kto pyta? – odpowiedział czysty, elfi głos.

– Gilthanas? Czy to ty?

– Theros! Mój przyjacielu! – Młody elfi pan szybko wyłonił się z ciemności, by uściskać człowieka. Przez chwilę Gilthanas był tak przejęty, że nie mógł mówić. Potem, zaskoczony, wysunął się z niedźwiedziego uścisku kowala. – Therosie! Masz obie ręce! A przecież smokowcy w Solące obcięli ci prawe ramię! Umarłbyś, gdyby Goldmoon nie wyleczyła cię.

– Czy pamiętasz, co powiedziała mi ta świnia, Małomistrz? – zapytał Theros dźwięcznym, głębokim głosem, szepcząc cicho. – „Tylko wtedy odzyskasz rękę, kowalu, kiedy ją sobie wykujesz”. I tak właśnie zrobiłem! Długo by opowiadać o moich przygodach w trakcie szukania srebrnej ręki, którą teraz noszę...

– I nie czas, by teraz o nich opowiadać – burknął czyjś głos z tyłu. – Chyba, że chcesz zaprosić kilka tysięcy elfów, by ich również posłuchało.

– A więc udało ci się zbiec, Gilthanasie – z mroku dobiegł głos Dereka. – Przyniosłeś smoczą kulę?

– Nie zbiegłem – odparł chłodno Gilthanas. – Opuściłem dom mego ojca, by towarzyszyć siostrze i Sil... jej pokojówce podczas drogi w ciemności. Zabranie kuli to pomysł mojej siostry, nie mój. Czas jeszcze, by się zastanowić nad tym szaleństwem, Laurano. – Gilthanas zwrócił się do niej. – Odnieś kulę. Nie pozwól, by nierozważne słowa Porthiosa zaćmiły twój zdrowy rozsądek. Jeśli zatrzymamy kulę tutaj, możemy jej użyć, by obronić nasz lud. Możemy dowiedzieć się, jak ona działa, są przecież wśród nas czarodzieje.

– Oddajmy się od razu w ręce straży! Wtedy przynajmniej prześpimy się w cieple! – Przy każdym słowie z ust Flinta buchały mroźne obłoczki.

– Albo ogłoś alarm, elfie, albo puść nas. Przynajmniej daj nam trochę czasu, zanim nas zdradzisz – powiedział Derek.

– Nie mam zamiaru was zdradzać – oświadczył oburzony Gilthanas. Lekceważąc pozostałych, zwrócił się znów do siostry. – Laurano?

– Nic mnie nie odwiedzie od tego postanowienia – odpowiedziała powoli. – Przemyślałam to sobie i uważam, że postępujemy właściwie. Tak samo sądzi Elistan. Silvara poprowadzi nas przez góry...

– Ja też znam te góry – odezwał się Theros. – Nie miałem tu wiele do roboty, więc chodziłem po nich. Będę wam potrzebny przy przekradaniu się obok straży.

– W takim razie, jesteśmy zdecydowani.

– Dobrze. – Gilthanas westchnął. – Idę z wami. Gdybym został, Porthios zawsze podejrzewałby mnie o współudział.

– Wyśmienicie – warknął Flint. – Czy możemy już uciekać? Czy musimy jeszcze kogoś obudzić?

– Tędy – powiedział Theros. – Straże są przyzwyczajone do moich wędrówek późno w nocy. Nie wychylajcie się z cienia, a rozmowę zostawcie mnie. – Nachyliwszy się, schwycił Tasslehoffa za kołnierz jego grubego kozuska i podniósł kendera tak, by spojrzeć mu w oczy. – To dotyczy również ciebie, złodziejaszku – rzekł surowo ogromny kowal.

– Tak, Therosie – odparł potulnie kender, wjąc się w srebrnej ręce mężczyzny, dopóki kowal go nie postawił na ziemi. Nieco wstrząśnięty Tas poprawił swe sakwy i próbował odzyskać swą nadszarpniętą godność.

Drużyna wyruszyła za wysokim, ciemnoskórym kowalem przez obrzeża cichego obozowiska elfów, idąc na tyle bezgłośnie, na ile mogli to czynić dwaj rycerze w zbrojach i krasnolud. Lauranie wydawało się, że robią tyle hałasu, co orszak weselny. Przygryzała wargę, by nie odezwać się, gdy zbroje rycerzy grzechotały i skrzypiały w ciemności, a Flint padał na każdym korzeniu i chlupotał w każdej kałuży.

Elfowie jednak spoczywali, spowici w samozadowolenie niczym w miękkiej, puszystej kocu. Wymknęli się niebezpieczeństwu i sądzili, że nic już im nie grozi. Nikt nie wierzył, że może ono znów ich odnaleźć. Tak więc nie przebudzili się, gdy drużyna oddalała się w mrok nocy.

Rozdział IV

Rzeka Zmarłych. Legenda o Srebrnym Smoku

Noc była cicha i zimna. Ciężkie chmury przysłoniły księżyc i gwiazdy. Nie było deszczu ani wiatru, tylko przygnębiające uczucie oczekiwania. Laurana czuła, że cała przyroda była czujna, zaniepokojona, zalękniona. A za nią spali elfowie, otuleni kokonem własnych przyziemnych obaw i nienawiści. Zastanawiała się, jakież to straszny skrzydlaty stwór wykluje się z tego kokona.

Drużyna nie miała wielu trudności, by wymknąć się elfim strażom. Poznawszy Therosa, strażnicy zatrzymali się, by pogawędzić z nim przyjaźnie, a tymczasem pozostali przekradli się przez las wokół nich. Dotarli do rzeki o pierwszym, zimnym blasku świtu.

– Jak się przedostaniemy na drugą stronę? – zapytał krasnolud, spoglądając posepnie na wodę. – Nie przepadam za łódkami, ale zdecydowanie zwyciężają w porównaniu z pływaniami.

– To nie powinno stanowić problemu. – Theros odwrócił się do Laurany i powiedział. – Zapytaj swą przyjaciółkę – skinął głową w stronę Silvary.

Zaskoczona Laurana spojrzała na dziką elfkę, podobnie jak pozostali. Silvara, zawstydzona faktem, że tyle osób jej się przygląda, zaczerwieniła się mocno i spuściła głowę. – Kargai Sargaron ma rację – szepnęła. – Zaczekajcie tutaj, w cieniu drzew.

Zostawiła ich i podbiegła lekko do brzegu rzeki z dzikim, swobodnym wdziękiem, który był tak urzekający dla oczu. Laurana zauważyła, że szczególnie Gilthanas śledził spojrzeniem dziką elfkę.

Silvara przyłożyła palce do warg i świsnęła jak ptak. Odczekała chwilę, a następnie powtórzyła sygnał trzy razy. Po chwili odpowiedź zabrzmiała echem nad wodą, dobiegając z przeciwnego brzegu rzeki.

Zadowolona Silvara wróciła do grupy. Laurana zobaczyła, że choć Silvara rozmawiała z Therosem, wzrok dziewczyny wędrował ku Gilthanasowi. Dostrzegłszy, że elf jej się przygląda, zarumieniła się i pośpiesznie przeniosła spojrzenie na Therosa.

– Kargai Sargaron – powiedziała szybko – moi pobratymcy nadchodzą, ale powinienes być ze mną, żeby wyjść im na spotkanie i wyjaśnić wszystko. – Spojrzenie niebieskich oczu Silvary – Laurana widziała je wyraźnie w świetle poranka – padło na Sturma i Dereka. Dzika elfka potrząsnęła lekko głową. – Obawiam się, że nie będą zadowoleni ze sprowadzenia ludzi na naszą ziemię, ani też tych elfów – powiedziała, oglądając się przepraszająco na Lauranę i Gilthanasę.

– Porozmawiam z nimi – rzekł Theros. Spoglądając na jezioro, pomachał ręką.

– Już się zbliżają.

Laurana dostrzegła dwa czarne kształty sunące po szarej jak niebo rzece. Zdała sobie sprawę, że Kaganesti muszą stale czuwać. Rozpoznali sygnał Silvary. Dziwne – niewolnica ma taką swobodę. Jeśli ucieczka była tak łatwa, czemu Silvara była wciąż u Silvanesti? To nie miało sensu... chyba, że nie zależało jej na ucieczce.

– Co znaczy Kargai Sargaron? – zapytała nagle Therosa.

– Srebrnoręki – odpowiedział Theros, uśmiechając się.

– Wydają się ufać ci.

– Tak. Powiedziałem ci, że spędzam sporo czasu na wędrówkach. Nie jest to zupełnie zgodne z prawdą. Spędzam dużo czasu wśród ludu Silvary. – Czarną twarz kowala wykrzywił grymas. – Nie chciałbym cię urazić, elfia pani, lecz nie masz pojęcia, jakich trudów twój naród przysparza temu dzikiemu ludowi: zabija zwierzynę, bądź ją przepłasza, i zniewala młodzież złotem, srebrem i stalą. – Theros westchnął gniewnie. – Zrobiłem, co mogłem. Pokazałem im, jak wykuwać broń myśliwską i narzędzia. Obawiam się jednak, że zima będzie długa i ciężka. Już brakuje zwierzyny. Jeśli dojdzie do wyboru pomiędzy śmiercią głodową, a zabijaniem swych elf ich kuzynów...

– Może gdybym została – szepnęła Laurana – mogłabym pomóc... – Wtedy uświadomiła sobie, że to śmieszne. Cóż mogłaby zrobić? Nawet jej własny lud jej nie akceptował!

– Nie możesz być wszędzie jednocześnie – rzekł Sturm. – Elfowie muszą sami rozwiązać swe problemy, Laurano. Postępujesz właściwie.

– Wiem – powiedziała i westchnęła. Odwróciła głowę i obejrzała się za siebie, na obozowisko Qualinesti. – Byłam taka, jak oni, Sturmie – powiedziała, drżąc. – Mój śliczny, mały świat obracał się wokół mnie tak długo, że myślałam, iż jestem pępkiem wszechświata. Uciekłam w ślad za Tanisem, ponieważ byłam przekonana, że zdołam go nakłonić do pokochania mnie. Dlaczego nie miałby mnie kochać? Wszyscy mnie kochali. I wtedy odkryłam, że świat nie kręci się wokół mnie. Nawet mu na mnie nie zależy! Zobaczyłam cierpienie i śmierć. Zmuszona byłam zabijać – spojrzała na swe ręce – albo zabito by mnie. Zobaczyłam prawdziwą miłość. Miłość taką, jak Riverwinda i Goldmoon, miłość, dla której warto poświęcić wszystko – nawet samo życie. Poczułam się bardzo małostkowa i bardzo mała. Tacy wydają mi się teraz elfowie. Małostkowi i mali. Kiedyś uważałam ich za doskonałych, lecz teraz rozumiem, co czuł Tanis – i dlaczego odszedł.

Łodzie Kaganesti dobiły do brzegu. Silvara i Theros zeszli na dół, by porozmawiać z

elfami, którzy siedzieli przy wiosłach. Na znak Therosa drużyna wyszła z cienia drzew i stanęła na brzegu – z rękoma daleko od broni – tak, by Kaganesti mogli im się przyjrzeć. Na początku sytuacja wydawała się beznadziejna. Elfowie szwargotali w osobliwej, szorstkiej odmianie języka elfów, której zrozumienie sprawiało Lauranie trudności. Najwyraźniej z miejsca odmówili udzielenia drużynie jakiegokolwiek pomocy.

Wtem w lesie za nimi zagrały rogi. Gilthanas i Laurana spojrzeli na siebie z niepokojem. Obejrawszy się, Theros wskazał srebrnym palcem grupę, a potem znacząco stuknął się w pierś – najwyraźniej poświadczając własnym słowem za drużynę. Znów zabrzmiały rogi. Silvara przyłączyła się do próśb. Wreszcie Kaganesti zgodzili się, choć z zauważalnym brakiem entuzjazmu.

Drużyna pośpieszyła nad wodę, wiedząc już, że zauważono ich nieobecność i wszczęto pościg. Jeden po drugim wszyscy ostrożnie weszli do łodzi, które były niczym więcej jak wydrążonymi pniami drzew. To znaczy wszyscy oprócz Flinta, który jęknął i rzucił się na ziemię, kręcąc głową i mruczając coś po krasnoludzku. Sturm przyglądał mu się z zatroskaniem, obawiając się powtórzenia incydentu znad Crystalmir, gdzie krasnolud stanowczo odmówił wejścia do łódki. Jednak to Tasslehoff ciągnąc i szarpiąc wreszcie postawił marudnego krasnoluda na nogi.

– Jeszcze zrobimy z ciebie żeglarza – powiedział wesoło kender, stukając Flinta w plecy swym hoopakiem.

– Jeszcze czego! I przestań mnie szturchać tym patykiem! – warknął krasnolud. Dotarłszy nad wodę, zatrzymał się i nerwowo szarpał się z kawałkiem drewna, o który zaczepił. Tas wskoczył do łodzi i stał wyczekująco z wyciągniętą ręką.

– Do licha, Flincie, wsiadaj do łódki! – rozkazał Theros.

– Powiedźcie mi tylko jedno – rzekł krasnolud, przetykając ślinę. – Dlaczego nazywają ją Rzeką Zmarłych?

– Wkrótce sam zobaczysz – burknął Theros. Wyciągnąwszy silną, czarną rękę, zdjął krasnoluda z brzegu i rzucił go na ławkę jak worek kartofli. – Odbijajcie – polecił dzikim elfom, którzy nie potrzebowali popędzania. Drewniane wiosła już zanurzyły się głęboko w toni rzeki.

Dłubanka szybko popłynęła z nurtem na zachód. Zalesione brzegi migały obok, a przyjaciele kulili się w łodziach przed zimnym wiatrem, który szczypał ich w twarze i zapierał dech w piersi. Na południowym brzegu, gdzie osiedlili się Qualinesti nie było widać żywego ducha. Laurana dostrzegła jednak niewyraźne, szybko poruszające się postaci, które migały wśród drzew na północnym brzegu. Zdała sobie sprawę, że Kaganesti nie byli tak

naiwni, na jakich wyglądali – stale uważnie obserwowali swych kuzynów. Zastanawiała się, ilu Kaganesti żyjących jako niewolnicy w rzeczywistości jest szpiegami. Jej spojrzenie padło na Silvarę.

Nurt niósł ich szybko ku rozwidleniu rzeki, gdzie łączyły się dwa strumienie. Jeden płynął z północy, drugi – ten, którym płynęli – wpływał doń ze wschodu. Oba łączyły się w szeroką rzekę, która płynęła na południe ku morzu. Nagle Theros wyciągnął rękę, pokazując coś.

– Patrz, oto twoja odpowiedź, krasnoludzie – rzekł z powagą.

Odgązieniem rzeki spływającej z północy dryfowała następna łódź. Początkowo myśleli, że urwała się z cum, bowiem nie widzieli w niej nikogo. Potem dostrzegli, że była zbyt głęboko zanurzona w wodzie, by mogła być pusta. Dzicy elfowie spowolnili ruch swych łodzi, wpływając na płytką wodę, a następnie zatrzymali je i w milczeniu spuścili głowy z szacunkiem.

I wtedy Laurana domyśliła się.

– To łódź pogrzebowa – szepnęła.

– Tak – rzekł Theros, spoglądając na nią smutnym wzrokiem. Łódź przepłynęła obok, niesiona prądem. W jej wnętrzu zobaczyli ciało młodego dzikiego elfa, wojownika, sądząc po prymitywnej skórzanej zbroi. Ręce miał złożone na piersi, a w zimnych palcach ścisnął żelazny miecz. U jego boku leżał łuk i kołczan ze strzałami. Oczy zamknął mu spokojny sen, z którego już się nie przebudzi.

– Teraz już wiesz, dlaczego nazywana jest Thon-Tsalarian, Rzeką Zmarłych – powiedziała Silvara cichym, melodyjnym głosem. – Od wieków mój lud zwracał zmarłych morzu, gdzie się narodziliśmy. Ten pradawny zwyczaj stał się przyczyną zażartych sporów między Kaganesti a naszymi kuzynami. – Spojrzała na Gilthanasę. – Wasz lud uważa to za bezczeszczenie rzeki. Próbuje nas powstrzymać.

– Któregoś dnia z prądem rzeki spłynie ciało Qualinesti albo Silvanesti ze strzałą Kaganesti w piersi – przepowiadał Theros. – A wtedy wybuchnie wojna.

– Sądzę, że wszyscy elfowie będą musieli zmierzyć się ze znacznie groźniejszym nieprzyjacielem – powiedział Sturm, potrząsając głową. – Spójrzcie! – pokazał.

U stóp martwego wojownika leżała tarcza, tarcza wroga, w walce z którym poległ. Poznając nienawistny symbol wymalowany na powgniatanej tarczy, Laurana westchnęła głośno.

– Smokowiec!

Podróż w górę Thon – Tsalarian była długa i męcząca, bowiem nurt rzeki był rwący i

silny. Nawet Tas dostał wiosło, by pomagać w wiosłowaniu, lecz oczywiście natychmiast je wypuścił, a potem omal nie wypadł za burtę, próbując je złapać. Schwyciwszy Tasa za pasek, Derek wciągnął go z powrotem, a Kaganesti językiem migowym dali znać, że jeśli przysporzy im znów kłopotów, wyrzucą go do wody. Tasslehoff wkrótce zaczął się nudzić i wyglądał za burtę, mając nadzieję, że zobaczy rybę.

– Oo, jakie to dziwne! – stwierdził nagle kender. Nachylając się, włożył małą rękę do wody. – Spójrzcie – rzekł z podnieceniem. Jego dłoń pokrywała delikatna warstewka srebra, które migotało w blasku wczesnego poranka.

– Woda błyszczy! Popatrz, Flincie – zawołał do krasnoluda siedzącego w drugiej łodzi – Spójrz na wodę...

– Nigdy – wycedził krasnolud, dzwoniąc zębami. Flint wiosłował zacięcie, choć możnaby mieć pewne wątpliwości, co do skutków jego wysiłku. Zawzięcie odmawiał patrzenia na wodę, w związku z czym wiosłował w zupełnie innym tempie, co wszyscy pozostali.

– Masz rację, Kenderken – powiedziała Silvara, uśmiechając się. – Prawdę mówiąc, Silvanesti nazwali tę rzekę Thon-Sargon, co oznacza Srebrna Droga. Jaka szkoda, że przybyliście tu w taką okropną pogodę. Kiedy srebrny księżyc wstaje w pełni, rzeka zmienia się w płynne srebro i jest rzeczywiście przepiękna.

– Dlaczego? Co sprawia, że tak jest? – zapytał kender, przyglądając się z uciechą swej błyszczącej ręce.

– Nikt nie wie, choć wśród mego ludu krąży legenda....

– Silvara nagle umilkła i zaczerwieniła się.

– Jaka legenda? – spytał Gilthanas. Elfi pan siedział naprzeciw Silvary, która była na dziobie łódki. Wiosłował nie lepiej od Flinta, bowiem bardziej interesowała go twarz Silvary niż praca. Za każdym razem, gdy Silvara podnosiła wzrok, widziała, że on jej się przygląda. W miarę upływu godzin popadała w coraz większe zakłopotanie i coraz bardziej się rumieniła.

– Z pewnością to was nie zainteresuje – powiedziała, spoglądając na srebrnoszarą toń, by uniknąć wzroku Gilthanasasa. – To opowiadka dla dzieci o Humie...

– Huma! – zza pleców Gilthanasasa odezwał się Sturm, który zręcznie i silnie wiosłując nadrabiał niewprawność zarówno elfa, jak i krasnoluda. – Opowiedz nam swą legendę o Humie, dziki elfie.

– Tak, opowiedz nam swą legendę – powtórzył Gilthanas z uśmiechem.

– Zgoda – powiedziała, oblewając się rumieńcem. Chrząknawszy, zaczęła. – Według

Kaganesti, w ostatnich dniach straszliwych smoczyczych wojen, Huma wędrował przez kraje, chcąc pomóc ludziom. Z żalem jednak zdał sobie sprawę, że jest bezsilny i nie może powstrzymać zagłady i spustoszenia, jakie siały smoki. Pomodlił się więc do bogów, by udzielili mu rady. – Silvara spojrziała na Sturma, który pokiwał głową z powagą.

– To prawda – rzekł rycerz. – I Paladine odpowiedział na jego modły, przysyłając Białego Jelenia. Lecz dokąd go zaprowadził, nikt nie wie.

– My wiemy – powiedziała cicho Silvara – ponieważ jeleni po wielu trudach i niebezpieczeństwach zaprowadził Humę do cichego zagajnika, tu na Ergoth. W tym gaju spotkał kobietę, piękną i cnotliwą, która ukoiliła jego ból. Huma pokochał ją, a ona jego. Nie chciała jednak przyjąć jego miłosnych przysięg przez wiele miesięcy. Wreszcie nie mogąc już dłużej opierać się żarowi, który w niej płonął, kobieta odwzajemniła miłość Humy. Ich szczęście podobne było do srebrnego blasku księżyca w straszliwej ciemności nocy.

Silvara zamilkła na chwilę, spoglądając w dal. Mimowolnie spuściła rękę, by dotknąć szorstkiej tkaniny płaszcza przykrywającego smoczą kulę, która leżała u jej stóp.

– Mów dalej – zachęcał ją Gilthanas. Elfi pan zrezygnował z udawania, że wiośłuje i siedział nieruchomo, zauroczony pięknymi oczami Silvary i jej melodyjnym głosem.

Silvara westchnęła. Wypuszczając materiał z rąk, rzuciła spojrzenie na ciemny las za wodą. – Ich radość była krótka – rzekła cicho. – Bowiem kobieta skrywała straszną tajemnicę – nie urodziła się kobietą, lecz smokiem. Tylko dzięki swym czarom utrzymywała kobiecy kształt. Nie mogła jednak dłużej okłamywać Humy. Za bardzo go kochała. Zalekniona, wyjawiała Humie, kim jest naprawdę, pojawiając się przed nim pewnej nocy w swej prawdziwej postaci – postaci srebrnego smoka. Łudziła się nadzieją, że on ją znienawidzi, a może nawet zabije, bowiem jej cierpienie było tak wielkie, że nie chciała żyć. Spojrzawszy jednakże na promieniejące, wspaniałe stworzenie stojące przed nim, rycerz dostrzegł w jej oczach szlachetnego ducha kobiety, którą kochał. Czary przywróciły jej kobiecą postać, a wtedy pomodliła się do Paladine, by dał jej na zawsze kształty kobiety. Zrezygnuje z magii i długiego życia smoków, by żyć na tym świecie z Humą.

Silvara przymknęła oczy, a na jej twarzy odmalował się wyraz cierpienia. Gilthanas, który obserwował ją, dziwił się, czemu tak przejęła się legendą. Wyciągnawszy rękę, dotknął jej dłoni. Dziewczyna drgnęła jak dzikie zwierzę, odskakując tak nagle, że łódka się zakołysała.

– Przepraszam – rzekł Gilthanas. – Nie chciałem cię przestraszyć. Co się stało? Jak brzmiała odpowiedź Paladine?

Silvara odetchnęła głęboko. – Paladine spełnił jej życzenie – stawiając straszny

warunek. Pokazał im obojgu przyszłość. Jeśli ona zostanie smokiem, ona i Huma dostaną smoczą lancę i moc niezbędną, by pokonać złe smoki. Gdyby stała się śmiertelniczką, wraz z Humą mogliby żyć razem jak mąż i żona, lecz złe smoki zostałyby na ziemi na zawsze. Huma poprzysiągł, że odda wszystko, nawet rycerski honor, żeby tylko zostać z nią. Ona jednak zobaczyła, że w jego oczach gasł blask, gdy to mówił. Płacząc, wiedziała już, jakiej odpowiedzi musi udzielić. Nie można pozwolić, by złe smoki zostały na świecie. Powiadają, że srebrna rzeka powstała z łez wylanych przez smoczycę, kiedy Huma opuścił ją, by odszukać smoczą lancę.

– Ładna bajka. Trochę smutna – stwierdził Tasslehoff, ziewając. – Czy stary Huma wrócił? Czy ta opowieść dobrze się kończy?

– Opowieść o Humie nie kończy się szczęśliwie – rzekł Sturm, marszcząc czoło i gniewnie spoglądając na kendera. – Huma poniósł wielce chwalebny śmierć w bitwie, zwyciężając przywódcę smoków, choć sam przy tym odniósł śmiertelną ranę. Słyszałem jednak – dodał rycerz w zamyśleniu – że jechał do boju na srebrnym smoku.

– A my widzieliśmy rycerza na srebrnym smoku w Lodowej Ścianie – wtrącił się wesoło Tas. – Dał Sturmowi...

Rycerz szybko wymierzył kenderowi kuksańca w plecy. Zbyt późno Tas przypomniał sobie, że to miał być sekret.

– Nic nie wiem o srebrnym smoku – powiedziała Silvara, wzruszając ramionami. – Mój lud wie niewiele o Humie. W końcu to był człowiek. Sądzę, że opowiadają tę historię tylko dlatego, że mówi ona o rzece, którą kochają, rzece, która zabiera ich zmarłych.

W tym momencie jeden z Kaganesti wskazał na Gilthanasa i powiedział coś ostrym tonem do Silvary. Gilthanas spojrzał na nią, nie rozumiejąc. Elfia dziewczyna uśmiechnęła się. – On pyta, czy nie jesteś zbyt wielkim panem, by wiosłować, bo jeśli tak – to pozwoli waszej wysokości popływać.

Gilthanas wyszczerzył zęby w uśmiechu i zaczerwienił się. Pośpiesznie podniósł wiosło i zabrał się do roboty.

Pomimo wszelkich wysiłków – a pod koniec dnia nawet Tasslehoff znów wiosłował – podróż w górę potoku była powolna i wyczerpująca. Zanim przybili do brzegu bolały ich mięśnie z wysiłku, a pokryte pęcherzami dłonie krwawiły. Ledwo zdołali wyciągnąć na brzeg łódki i pomóc ukryć je.

– Czy sądzisz, że zgubiliśmy pościg? – Laurana zapytała Therosa zmęczonym głosem.

– Czy to wystarczy ci za odpowiedź? – wskazał w dół rzeki.

W zapadającym zmroku Laurana ledwo dostrzegła kilka ciemnych kształtów na

wodzie. Wciąż były daleko w dole rzeki, lecz Laurana nie miała wątpliwości, że tej nocy drużyna wiele nie wypocznie. Jednak jeden z Kaganesti powiedział coś Therosowi, pokazując na rzekę. Potężnie zbudowany kowal pokiwał głową.

– Nie martw się. Jesteśmy bezpieczni do świtu. Mówi, że oni też będą musieli przybić do brzegu. Nikt nie ośmiela się podróżować rzeką w nocy. Nawet Kaganesti, a oni znają każdy zakręt i każdą mieliznę. Mówi, że rozbije obóz tutaj, w pobliżu rzeki. Dziwne stwory krążą po lesie w nocy – ludzie z głowami jaszczurek. Jutro popłyniemy wodą tak daleko, jak się da, lecz wkrótce będziemy musieli opuścić rzekę i podróżować łądem.

– Zapytaj go, czy jego ludzie zatrzymają pościg Qualinesti, jeśli wejdziemy na jego ziemię – powiedział Sturm do Therosa.

Theros zwrócił się do elfa Kaganesti, posługując się mową elfów nieporadnie, lecz wystarczająco dobrze, by zostać zrozumianym. Elf Kaganesti potrząsnął głową. Był istotą o dzikim, barbarzyńskim wyglądzie. Laurana teraz pojmowała, dlaczego jej lud uważał ich za stworzenia niewiele różniące się od zwierząt. Jego twarz zdradzała ślady odległego pokrewieństwa z ludźmi. Choć nie miał zarostu – w żyłach Kaganesti płynęła zbyt czysta krew elfów, by pozwolić na to – elf żywo przypominał Lauranie Tanisa, swym szybkim, stanowczym sposobem mówienia, silną, muskularną budową ciała i zdecydowanymi gestami. Przytłoczona wspomnieniami, odwróciła głowę.

Theros przetłumaczył. – Mówi, że Qualinesti muszą postępować zgodnie z ceremoniałem i prosić starszysznę o pozwolenie na wejście na terytorium Kaganesti w pościgu za wami. Starszyszna zapewne udzieli pozwolenia, a być może nawet zaproponuje pomoc. Ludzie na Południowym Ergoth są im równie niemili, co ich kuzyni. Prawdę mówiąc – dodał powoli Theros – nie ukrywa, iż jedynym powodem, dla którego pomaga nam wraz ze swymi towarzyszami, jest spłacenie długu wdzięczności, jaki zaciągnęli wobec mnie w przeszłości i by pomóc Silvarze.

Laurana przeniosła spojrzenie na dziewczynę. Silvara stała na brzegu rzeki, rozmawiając z Gilthanasem.

Theros dostrzegł nieprzychylną widniejącą na twarzy Laurany. Oglądając się na dziką elfkę i elfiego pana, domyślił się, o czym myślała.

– Dziwne jest widzieć zazdrość na twarzy osoby, która – jak wieść niesie – uciekła, by zostać kochanką mego przyjaciela, Tanisa, który jest półelfem – zauważył Theros. – Sądziłem, że jesteś inna od swych pobratymców, Laurano.

– Nie o to chodzi! – odparła ostro, czując, że ją twarz pali. – Nie jestem kochanką Tanisa. Zresztą, to nie ma znaczenia. Nie ufam tej dziewczynie. Ona... po prostu zbyt garnie

się do pomocy, jeśli wiesz, co mam na myśli.

– Twój brat może mieć coś z tym wspólnego.

– On pochodzi ze szlacheckiego rodu... – zaczęła oburzona Laurana. Wtedy, uświadomiwszy sobie, co zamierzała powiedzieć, przerwała. – Co wiesz o Silvarze? – zapytała zamiast tego.

– Niewiele – odrzekł Theros, przypatrując się Lauranie z wyrazem rozczarowania, który nie wiedzieć czemu rozwścieczył ją. – Wiem, że jej plemię bardzo ją szanuje i kocha, szczególnie za talent uzdrowicielki.

– A za talent szpiega? – zapytała chłodno Laurana.

– Ci ludzie walczą o przetrwanie. Robią to, co muszą

– powiedział szorstko Theros. – Piękną mowę wygłosiłaś na plaży, Laurano. Niemal ci uwierzyłem.

Kowal poszedł pomóc Kaganesti ukrywać łodzie. Rozgniewana i zawstydzona Laurana przygryzła wargę w poczuciu frustracji. Czy Theros ma rację? Czy jest zazdrosna o uczucia Gilthanas? Czy uważa, że Silvara nie jest jego godna? Zapewne w taki właśnie sposób Gilthanas zawsze myślał o Tanisie. Czy to coś innego?

Słuchaj swych uczuć, powiedział jej Raistlin. Wszystko świetnie, tylko najpierw musiałaby zrozumieć swe uczucia! Czyż miłość do Tanisa nie nauczyła jej niczego?

Tak, doszła wreszcie do wniosku Laurana i w jej myślach zapanowała jasność. To co powiedziała Therosowi, powiedziała szczerze. Jeśli nie ufała z jakiegoś powodu Silvarze, nie miało to nic wspólnego z tym, że dziewczyna podobała się Gilthanasowi. To było coś nie dającego się określić. Lauranie było przykro, że Theros źle ją zrozumiał, lecz postanowiła posłuchać rady Raistlina i zaufać swym przeczuciom.

Będzie miała oko na Silvarę.

Rozdział V

Silvara

Choć każdy muskuł ciała Gilthanasa gwałtownie domagał się odpoczynku, a on sam nie mógł się doczekać chwili, gdy wczółga się do śpiwora, elfi pan nie potrafił zasnąć i wpatrywał się w niebo. Ciężkie chmury wciąż zasnuwały grubą warstwą nieboskłon, lecz z zachodu wiała bryza niosąc słony zapach morza i zaczynała je rozwiewać. Czasami dostrzegał błysk gwiazdy, a raz czerwony księżyc zapłonął na niebie niczym płomyk świecy, by po chwili zostać zgaszony przez chmury.

Elf próbował ułożyć się wygodnie, wiercąc się i kręcąc, aż skopał całe postanie. Potem musiał usiąść, by się zeń wyplatać. Wreszcie zrezygnował, dochodząc do wniosku, że nie może spać na twardej, zamarzniętej ziemi.

Żaden z jego pozostałych towarzyszy nie miał podobnych trudności, zauważył z goryczą. Laurana leżała pogrążona w mocnym śnie, opierając policzek o dłoń, jak miała w zwyczaju od dzieciństwa. Jak dziwnie się ostatnio zachowuje, pomyślał Gilthanas. W końcu jednak nie powinien mieć o to do niej pretensji. Wyrzekła się wszystkiego po to, by zrobić to, co według niej należało uczynić i zabrać kulę na Sancrist. Ich ojciec kiedyś mógłby przyjąć ją ponownie do rodziny, lecz teraz na zawsze stała się wygnańcem.

Gilthanas westchnął. A on sam? Chciał zatrzymać kulę w Qualin-Mori. Wierzył, że ojciec ma rację... A może nie?

Najwyraźniej nie, skoro jestem tutaj, powiedział sobie Gilthanas. Na bogów, jego wartości stają się równie niejasne, co Laurany! Najpierw nienawiść do Tanisa – nienawiść, którą starannie pielęgnował przez lata – zaczęła wygasać, zastępowana przez podziw, a nawet sympatię. Potem poczuł, że wygasa jego nienawiść do innych ras. Niewielu znał elfów tak szlachetnych i pełnych poświęcenia, co ten człowiek, Sturm Brightblade. A choć nie lubił Raistlina, był pełen podziwu dla zdolności młodego czarodzieja. Było to coś, na co Gilthanas, amatorsko zajmujący się magią, nigdy nie miał cierpliwości ani odwagi. Wreszcie musiał przyznać, że polubił nawet kendera i marudnego, starego krasnoluda. Nigdy jednak nie myślał, że zakocha się w kobiecie z plemienia dzikich elfów.

– No i masz! – rzekł na głos Gilthanas. – przyznałem się. Kocham ją! – Ale czy to miłość – zastanawiał się – czy może tylko fizyczne pożądanie. Roześmiał się, myśląc o Silvarze z umorusaną twarzą, brudnymi włosami i w obszarpanym ubraniu. Widać oczy mej duszy widzą przenikliwiej niż mój rozum, pomyślał, spoglądając z czułością na jej postanie.

Ku swemu zdumieniu, zobaczył, że jest puste! Zaskoczony Gilthanas rozejrzał się

szybko po obozowisku. Nie odważyli się rozpaść ogniska – nie tylko mieli za sobą pościg Qualinesti, lecz Theros wspominał również o grupach smokowców kręcących się po okolicy.

Myśląc o tym, Gilthanas wstał szybko i zaczął szukać Silvary. Poruszał się bezszelestnie, mając nadzieję uniknąć pytań Dereka i Sturma, którzy stali na warcie. Nagła myśl zdjęła go chłodem. Pośpiesznie poszukał smoczej kuli. Leżała wciąż tam, gdzie ją Silvara położyła. Obok niej spoczywało ułamane drzewce smoczej lancy.

Gilthanas odetchnął spokojniej. Wtem jego ostry słuch wychwycił odgłos plusku wody. Przysłuchując się uważnie, doszedł do wniosku, że nie była to ryba, ani nocny ptak nurkujący po zdobycz w rzece. Elfi szlachcic obejrzał się na Dereka i Sturma. Obaj stali w pewnej odległości od siebie na skale wznoszącej się nad obozem. Gilthanas słyszał, jak kłóć się zawziętym szeptem. Elfi pan oddalił się ostrożnie od obozowiska, udając się w stronę, skąd dobiegał cichy plusk wody.

Gilthanas szedł przez ciemny las, czyniąc nie więcej hałasu, niż uczyniłby nocny cień. Czasami zauważał błysk rzeki przeświecającej słabo między drzewami. Potem dotarł do miejsca, gdzie woda spływając między skałami, tworzyła małą sadzawkę. Tutaj Gilthanas zatrzymał się i tu serce nieomal przestało mu bić. Znalazł Silvarę.

Ciemny krąg drzew odcinał się wyraźnie na tle mknących po niebie chmur. Ciszę nocy zakłócał tylko łagodny szept srebrnej rzeki, która spływała po skalnych stopniach do sadzawki i plusk, który przyciągnął uwagę Gilthanas. Teraz wiedział, co oznaczały.

Silvara kąpała się. Nie zważając na ziąb w powietrzu, elfia panna zanurzyła się w wodzie. Jej ubranie leżało rozrzucone na brzegu obok postrzępionego koca. Gilthanas swym elfim wzrokiem dostrzegał tylko jej ramiona i ręce. Głowę odchyliła do tyłu, myjąc długie włosy, które rozpościerały się za nią na powierzchni wody, niczym ciemna pajęczyna na jeszcze ciemniejszej toni. Elfi pan przestał oddychać, przyglądając się jej. Wiedział, że powinien odejść, lecz stał bez ruchu, zauroczony.

Wtedy chmury się rozstały. Solinari, srebrny księżyc, choć tylko w połowie pełny, płonął na czarnym niebie zimnym blaskiem. Woda w sadzawce zmieniła się w płynne srebro. Silvara podniosła się, stając w sadzawce. Srebrzysta woda połyskiwała na jej skórze, błyszczała w jej srebrnych włosach, spływała lśniącymi strużkami po jej ciele pomalowanym srebrną poświatą księżyca. Jej piękno przeszło serce Gilthanas, sprawiając mu taki ból, że aż jęknął.

Silvara drgnęła i obejrzała się, przerażona. Jej dziki, zalekziony wdzięk tyle dodał jej urody, że Gilthanas, choć pragnął przemówić do niej uspokajająco, nie mógł wykrztusić ani słowa z powodu bólu w piersi.

Silvara wybiegła z wody na brzeg, gdzie leżały jej rzeczy. Nie dotknęła ich jednak. Sięgnęła natomiast do kieszeni. Chwyciwszy nóż, odwróciła się, gotowa się bronić.

Gilthanas widział, jak jej ciało drży w srebrnym blasku księżyca i przed oczami żywo stanął mu obraz łani, jaką dogonił po długich łowach. W oczach zwierzęcia błyszczał ten sam strach, jaki teraz widział w lśniących oczach Silvary. Dzika dziewczyna rozejrzała się, zdjeta lękiem. Dlaczego ona mnie nie widzi? Gilthanas zastanowił się nad tym przez chwilę, wyczuwając, że jej spojrzenie kilkakrotnie już padło na niego. Przy jej elfim wzroku powinienem być dla niej widoczny niczym...

Nagle Silvara odwróciła się, rzucając się do ucieczki przed złem, które wyczuwała, choć nie mogła go dostrzec.

Gilthanas poczuł, że wreszcie może się odezwać. – Nie! Zaczekaj, Silvaro! Nie bój się. To ja, Gilthanas. – Mówił stanowczym, lecz przyciszonym tonem – tak jak przemawiał do zaszczutej łani. – Nie powinnaś oddalać się sama – to niebezpieczne...

Silvara zatrzymała się, stojąc na wpół w srebrzystym świetle, na wpół w ochronnym cieniu, cała spięta, gotowa do ucieczki. Gilthanas, posłuszny instynktowi myśliwego, szedł powoli, nie przestając mówić, zatrzymując ją pewnym głosem i łagodnym wyrazem oczu.

– Nie powinnaś być tu sama. Zostanę z tobą. I tak chcę z tobą porozmawiać. Chcę, żebyś posłuchała mnie przez chwilę. Muszę z tobą porozmawiać, Silvaro, ja też nie chcę być tu sam. Nie opuszczaj mnie, Silvaro. Tyle osób już opuściło mnie na tym świecie. Nie opuszczaj mnie...

Przemawiając cicho i nieprzerwanie, Gilthanas zbliżał się płynnymi, pewnymi krokami do Silvary, aż dostrzegł, że cofnęła się o krok. Unosząc ręce, usiadł szybko na głazie przy brzegu sadzawki tak, by dzieliła ich woda. Silvara zatrzymała się, nie spuszczając go z oczu. Nie uczyniła żadnego ruchu, by się przyodziać, najwyraźniej dochodząc do wniosku, że obrona jest ważniejsza niż skromność. Wciąż ścisnęła nóż w rękę.

Gilthanas był pełen podziwu dla jej zdecydowania, choć jej nagość zawstydziała go. Każda dobrze wychowana elfia dama dawno by już zemdląła. Wiedział, że powinien odwrócić wzrok, lecz jej uroda zbyt go przytłaczała. Czuł ogień we krwi. Z wysiłkiem kontynuował rozmowę, choć nie wiedział, o czym mówi. Dopiero stopniowo uświadomił sobie, że wypowiada to, co skrywał najgłębiej w sercu.

– Silvaro, co ja tu robię? Mój ojciec mnie potrzebuje, mój lud mnie potrzebuje. A jednak jestem tutaj, łamiąc prawo mego władcy. Mój naród jest na wygnaniu. Znajduję jedyną rzecz, jaka może im pomóc – smoczą kulę – a teraz narażam swe życie, odbierając ją memu narodowi, żeby oddać ją ludziom, by im pomóc w ich wojnie! To nawet nie jest moja wojna,

to nie wojna mego ludu. – Gilthanas nachylił się ku niej z przejęciem, zauważając, że nie odrywa od niego wzroku. – Dlaczego, Silvaro? Dlaczego ściągnąłem tę hańbę na swą głowę? Dlaczego zrobiłem to memu ludowi?

Powstrzymał oddech. Silvara obejrzała się w mrok lasu niosącego jej bezpieczeństwo, a potem znów spojrzała na niego. Ona ucieknie, pomyślał z biciem serca. Wtedy Silvara powoli opuściła nóż. W jej oczach był taki smutek i żal, że Gilthanas wreszcie odwrócił głowę, wstydząc się za siebie.

– Silvaro – zaczął łamiącym się głosem – wybac mi. Nie chciałem wciągać cię w swoje kłopoty. Nie rozumiem, co powinienem zrobić. Wiem tylko...

– ...że musisz to zrobić – dokończyła za niego Silvara.

Gilthanas podniósł głowę. Silvara okryła się postrzępionym kocem. Ta próba zachowania skromności tylko podsyciła płomień jego pożądania. Jej srebrne włosy sięgające poniżej pasa połyskiwały w blasku księżyca. Koc zasłaniał jej srebrną skórę.

Gilthanas podniósł się powoli i zaczął iść wzdłuż brzegu w jej stronę. Dziewczyna wciąż stała dla bezpieczeństwa na krawędzi lasu. Wciąż wyczuwał przyczajony w jej wnętrzu lęk. Lecz jednak upuściła nóż.

– Silvaro – rzekł – to, co zrobiłem jest wbrew wszelkim elfim obyczajom. Kiedy moja siostra powiedziała mi o spisku, mającym na celu kradzież kuli, powinienem był pójść natychmiast do ojca. Powinienem był ogłosić alarm. Powinienem był sam zabrać kulę...

Silvara zrobiła krok w jego stronę, wciąż ściskając koc, którym się otuliła. – Dlaczego tego nie zrobiłeś? – zapytała ściszone głosem.

Gilthanas zbliżał się do kamiennych stopni na północnym brzegu sadzawki. Woda spływająca po nich tworzyła srebrną zasłonę w poświacie księżyca. – Ponieważ wiem, że mój lud się myli. Laurana ma rację. Sturm ma rację. Zanosząc kulę ludziom postępujemy właściwie! Musimy walczyć w tej wojnie. Moi pobratymcy myślą się, ich prawa, ich zwyczaje myślą się. Wiem o tym – w głębi serca! Lecz nie potrafię przekonać o tym mego rozsądku. To mnie dręczy...

Silvara szła wolno brzegiem sadzawki. Ona również zbliżała się do srebrnej zasłony, choć z przeciwnej strony.

– Rozumiem – rzekła cicho. – Mój... własny lud nie rozumie, co robię, ani też dlaczego to robię. Ale ja rozumiem. Wiem, co jest właściwe i wierzę w to.

– Zazdroszczę ci, Silvaro – szepnął Gilthanas.

Gilthanas podszedł do największego głazu, płaskiej wyspy w migoczącej kaskadzie wody. Silvara, którą mokre włosy otulały niczym srebrna suknia, stała teraz w odległości

zaledwie kilkudziesięciu centymetrów od niego.

– Silvaro – rzekł Gilthanas drżącym głosem – był jeszcze jeden powód, dla którego opuściłem swój lud. Ty wiesz, co to jest.

Wyciągnął ku niej otwartą dłoń.

Silvara cofnęła się, potrząsając głową. Jej oddech przyspieszył się.

Gilthanas zrobił następny krok w jej stronę. – Silvaro, ja cię kocham – powiedział cicho. – Wydajesz się taka samotna, tak samotna, jak ja. Proszę, Silvaro, nigdy już nie będziesz samotna. Przysięgam...

Wahając się, Silvara uniosła rękę ku jego dłoni. Nagłym ruchem Gilthanas chwycił ją i pociągnął przez wodę. Łapiąc, gdy się potknęła, postawił ją na skale obok siebie.

Zbyt późno łania zdała sobie sprawę, że wpadła w sidła. Nie męskich ramion, bo z łatwością mogłaby wyrwać się z ich objęć. To jej własna miłość do tego mężczyzny usidliła ją. A fakt, iż jego miłość do niej była głęboka i serdeczna, przypieczętował ich los. On również był uwięziony.

Gilthanas czuł drżenie jej ciała, lecz teraz wiedział – patrząc jej w oczy – że drżała z namiętności, nie ze strachu. Biorąc jej twarz w dłonie, ucałował ją czule. Silvara wciąż przyciskała koc do ciała jedną ręką, lecz poczuł, że drugą chwyta go za rękę. Jej usta były miękkie i chętne. Wtedy Gilthanas poczuł słoną łzę na swych wargach. Odsunął się, zdumiony wybuchem jej płaczu.

– Silvaro, proszę, nie. Przepraszam... – Wypuścił ją.

– Nie! – szepnęła gardłowym głosem. – Płaczę nie dlatego, żebym obawiała się twej miłości. Płaczę tylko nad sobą. Ty tego nie zrozumiesz.

Wyciągnąwszy rękę, nieśmiało objęła go za szyję i przyciągnęła do siebie. A potem, gdy ją całował, poczuł, że podniosła drugą rękę – tę, którą przytrzymywała koc – by pieścić jego twarz.

Koc Silvary niepostrzeżenie osunął się do wody i odpłynął z prądem srebrnego strumienia.

Rozdział VI

Pościg. Rozpaczliwy plan

W południe następnego dnia dotarliśmy do źródła rzeki, które wypływało z gór, drużyna zmuszona była zostawić czółna. Woda była płytka i spieniona od burzliwego wodospadu przed nimi. Na brzegu stało wiele łodzi Kaganesti. Po wyciągnięciu łódek na brzeg drużyna spotkała grupę elfów Kaganesti, którzy wyszli z lasu. Nieśli ze sobą ciała dwóch młodych wojowników. Kilku sięgnęło po broń i ruszyłoby do ataku, gdyby Theros Ironfeld i Silvara nie pośpieszyli porozmawiać z nimi.

We dwoje długo rozmawiali z Kaganesti, a tymczasem drużyna czuwała, z niepokojem spoglądając w dół rzeki. Choć towarzysze obudzili się przed świtem i wyruszyli, gdy tylko Kaganesti uznali, że podróż przez rwącą wodę jest bezpieczna, nieraz widzieli ścigające ich czarne czółna.

Theros wrócił z pochmurną miną. Na twarz Silvary wypłynął rumieniec gniewu.

– Mój lud nie uczyni niczego, by nam pomóc – oświadczyła Silvara.

– Dwukrotnie w ciągu ostatnich dwóch dni zostali napadnięci przez jaszczuroludzi. Winą za to nowe zło obciążają ludzi, którzy ich zdaniem, przywieźli tu te stwory białoskrzydłym statkiem...

– To śmieszne! – wybuchła Laurana. – Therosie, nie powiedziałeś im o smokowcach?

– Próbowałem – rzekł kowal. – Obawiam się jednak, że dowody świadczą przeciwko wam. Kaganesti zobaczyli białego smoka nad statkiem, lecz najwyraźniej nie widzieli, że go przepędziliście. W każdym razie, ostatecznie zgodzili się przepuścić nas przez swe ziemie, lecz nie udzielił nam pomocy. Silvara i ja zagwarantowaliśmy wasze poprawne zachowanie naszym życiem.

– Co tu robią smokowcy? – zapytała Laurana, dręczona wspomnieniami. – Czy to wojsko? Czy to inwazja na Południowy Ergoth? Jeśli tak, może powinniśmy wrócić...

– Nie, nie sędzę – rzekł Theros po chwili namysłu. – Gdyby armie smoczych władców były gotowe zająć tę wyspę, władcy dokonaliby tego przy pomocy oddziałów smoków i tysięcy żołnierzy. To mi wygląda na małe patrole wysłane po to, by jeszcze pogorszyć i tak złą sytuację. Smoczy władcy prawdopodobnie łudzą się nadzieją, że elfowie oszczędzą im wypowiedzenia wojny i sami się wpierw wyniszczą.

– Najwyższe dowództwo smoczych armii nie jest gotowe do ataku na Ergoth – oświadczył Derek. – Ich wojska jeszcze nie czują się pewnie na północy. To jednak tylko kwestia czasu. Dlatego też musimy niezwłocznie dostarczyć kulę na Sancrist i zwołać

posiedzenie rady Białego Kamienia, by zdecydować, co z nią uczynić.

Zebrawszy swe pakunki, drużyna wyruszyła w góry. Silvara prowadziła ich ścieżką, wiodącą obok pluskającego, srebrnego strumienia, który spływał ze wzgórz. Czuli, że odprowadzają ich nieprzyjazne spojrzenia Kaganesti.

Teren zaczął się wznosić niemal natychmiast. Theros wkrótce powiedział im, że znaleźli się w okolicy, w której przedtem nigdy nie był. Teraz ich jedynym przewodnikiem będzie Silvara. Laurana nie była uszczęśliwiona tą sytuacją.

Domyśliła się, że coś się wydarzyło między jej bratem a dziewczyną, kiedy zauważyła, jak wymieniają słodki, potajemny uśmiech.

Wśród swych pobratymców Silvara znalazła czas, by zmienić ubranie. Teraz ubrana była jak kobieta Kaganesti, w długą skórzaną tunikę, skórzane spodnie i narzuconą na to grubą, futrzaną pelerynę. Kiedy umyła i uczesała włosy, wszyscy mogli zobaczyć, skąd wzięło się jej imię. Jej włosy o dziwnym, metalicznie srebrnym odcieniu tworzyły na czole trójkąt, z którego spływały na ramiona płaszczem promiennego piękna.

Silvara okazała się doskonałą przewodniczką i nakłaniała ich do szybkiego marszu. Szła obok Gilthanasa i rozmawiała z nim cicho w mowie elfów. Tuż przed zmierzchem dotarli do jaskini.

– Tu możemy spędzić noc – powiedziała Silvara. – Powinniśmy już zostawić pościg daleko w tyle. Niewielu zna te góry tak dobrze, jak ja. Lepiej jednak nie rozpalać ognia. Obawiam się, że czeka nas zimna kolacja.

Wyczerpana całodzienną wspinaczką drużyna spożyła posiłek w niewesołych humorach, a następnie rozłożyła sobie pośłania w jaskini. Zawinięci w koce i wszystkie ubrania, jakie mieli, przyjaciele spali niespokojnie. Wystawiono warty i zarówno Laurana, jak i Silvara domagały się wzięcia ich pod uwagę. Noc minęła spokojnie i jedynym dźwiękiem, jaki słyszeli, było wycie wiatru wśród skał.

Lecz gdy następnego poranka Tasslehoff przecisnął się przez szczelinę w ukrytym wejściu do grotty, by się rozejrzeć, szybko wrócił do środka. Przykładając palec do warg, Tas gestem dał znak, by poszli za nim na zewnątrz. Theros odepchnął wielki głaz, którym zamknęli wejście do jaskini i drużyna wypełzła na zewnątrz w ślad za Tasem. Kender zaprowadził ich do miejsca odległego o jakieś sześć metrów od grotty i ponuro wskazał na śnieg.

Odcisnięte były na nim ślady stóp, dość świeże, bo wiatr nie zasypał ich jeszcze całkowicie. Ślady lekkich, delikatnych stóp nie odcisnęły się głęboko w śniegu. Nikt się nie odezwał. Nie było potrzeby. Wszyscy poznali wyraźne zarysy obuwia elfów.

– Musieli minąć nas w nocy – rzekła Silvara. – Nie powinniśmy zostawać tu dłużej.

Wkrótce odkryją, że zgubili trop i wrócą po śladach. Musimy stąd odejść.

– Moim zdaniem, nie uczyni to wielkiej różnicy – burknął Flint ze wstrętem. Wskazał ich własne rzucające się w oczy ślady. Potem zerknął na czyste, niebieskie niebo. – Równie dobrze możemy tu poczekać na nich. Oszczędzimy im czasu, a sobie fatygi. W żaden sposób nie zatrzymamy naszych śladów!

– Może nie zatrzymamy śladów – powiedział Theros – lecz być może zdołamy zyskać kilka kilometrów przewagi.

– Być może – powtórzył ponuro Derek. Poluzował miecz w pochwie, a potem wrócił do jaskini.

Laurana zatrzymała Sturm. – Nie można dopuścić do rozlewu krwi! – szepnęła gorączkowo, zaniepokojona postępowaniem Dereka.

Rycerz potrząsnął głową, idąc za pozostałymi. – Nie możemy pozwolić, żeby twoi ludzie powstrzymali nas przed zabraniem kuli na Sancrist.

– Wiem! – rzekła cicho Laurana. Ogarnięta żalością, spuściła w milczeniu głowę i weszła do groty.

Po kilku chwilach pozostali byli gotowi. Derek, kipiąc wściekłością, stanął u wejścia i spoglądał niecierpliwie na Lauranę.

– Idź pierwszy – powiedziała do niego, nie chcąc, by zobaczył jej łzy. – Ja wyjdę za chwilę.

Derek natychmiast wyszedł. Theros, Sturm i pozostali wyszli wolniej, oglądając się niepewnie na Lauranę.

– Idźcie! – Machnęła ręką. Musiała na chwilę zostać sama. Cały czas jednak stał jej przed oczami obraz Dereka kładącego dłoń na mieczu. – Nie! – stwierdziła stanowczo. – Nie będę walczyć z moimi pobratymcami. Dzień, kiedy to się stanie, będzie dniem, w którym smoki odniosą zwycięstwo. Pierwsza odłożę miecz i...

Usłyszała, że ktoś się poruszył za jej plecami. Odwróciła się gwałtownie i sięgnawszy odruchowo po miecz, Laurana zatrzymała się.

– Silvara? – powiedziała ze zdumieniem, widząc dziewczynę w cieniu. – Myślałam, że już wyszłaś. Co tam robisz?

Laurana podeszła szybko do miejsca, gdzie Silvara klęczała w mroku, dotykając czegoś na podłodze. Dzika elfka pośpiesznie wstała.

– N-nic – szepnęła Silvara. – Tylko zbierałam swoje rzeczy.

Lauranie wydawało się, że za plecami Silvary widziała na zimnej podłodze groty smoczą kulę, której kryształową powierzchnię rozjaśniało dziwne, wirujące światło. Zanim

jednak zdołała przyjrzeć się uważniej, Silvara szybko zarzuciła płaszcz na kulę. Kiedy to robiła, Laurana dostrzegła, że dziewczyna stale stoi, by zasłonić sobą to, co układała na podłodze.

– Chodź, Laurano – powiedziała Silvara – musimy się śpieszyć. Przykro mi, że byłam tak powolna...

– Za chwilę – rzekła surowo Laurana. Chciała wyminąć elfią dziewczynę. Silvara złapała ją za rękę.

– Musimy się pośpieszyć! – powiedziała, a w jej cichym głosie zabrzmiała nuta stalowej stanowczości. Uścisk był bolesny, nawet przez grube futro płaszcza Laurany.

– Puść mnie – rzekła chłodno Laurana, mierząc wzrokiem dziewczynę, a jej zielone oczy nie zdradzały ani gniewu, ani strachu. Silvara rozluźniła uścisk i spuściła oczy.

Laurana poszła w głąb płytkiej groty. Jednakże kiedy spojrzała na ziemię, nie zobaczyła niczego sensownego. Leżały tam jakieś splecione patyczki, kawałki kory i zwęglonego drewna oraz kilka kamyków, i to wszystko. Jeśli był to znak, to bardzo niezdarny. Laurana kopnięciem roztrąciła patyki i kamienie. Potem odwróciła się i chwyciła Silvarę za ramię.

– Patrz – rzekła Laurana, przemawiając niewzruszonym, spokojnym tonem – bez względu na to, jaką wiadomość zostawiłaś dla swoich przyjaciół, trudno ją będzie teraz odczytać.

Laurana była przygotowana na niemal każdą reakcję dziewczyny – gniew, wstyd, że została odkryta. Nawet spodziewała się napaści. Lecz Silvara zaczęła drżeć. Jej oczy – którymi wpatrywała się w Lauranę – pełne były błagania, niemal żałości. Przez chwilę Silvara próbowała coś powiedzieć, lecz nie mogła. Potrząsając głową, wyrwała się z rąk Laurany i wybiegła na zewnątrz.

– Pośpiesz się, Laurano! – zawołał szorstko Theros.

– Już idę! – odpowiedziała, oglądając się na śmieci na podłodze jaskini. Pomyślała, by jeszcze przez chwilę przyjrzeć się im uważniej, lecz wiedziała, że nie ma na to czasu.

Być może rzeczywiście jestem za bardzo podejrzliwa wobec tej dziewczyny i to bez żadnego powodu, pomyślała Laurana, wzdychając i opuszczając pośpiesznie grotę. Wtem, w połowie drogi pod górę, zatrzymała się tak gwałtownie, że Theros, który szedł na końcu, wpadł na nią. Chwycił ją za rękę i podtrzymał.

– Nic ci nie jest? – zapytał.

– N-nie – odpowiedziała Laurana, ledwo go słysząc.

– Jesteś taka blada. Coś zobaczyłaś?

– Nie. Czuję się świetnie – odparła pośpiesznie Laurana i znów zaczęła się wspinać po skale, ślizgając się na śniegu. Jaka była głupia! Jacy wszyscy byli głupi!

Znów wyraźnie zobaczyła w myślach Silvarę, która podnosi się i narzuca pelerynę na smoczą kulę. Kulę, która jarzy się dziwnym światłem!

Chciała właśnie zapytać Silvarę o kulę, gdy nagle myśli jej rozproszyły się. W powietrzu świsnęła strzała i utkwiała w drzewie obok głowy Dereka.

– Elfowie! Brightblade, do ataku! – zawołał rycerz, wyciągając miecz.

– Nie! – Laurana podbiegła naprzód, chwytając go za rękę z mieczem. – Nie będziemy walczyć! Nie będzie zabijania!

– Oszalałaś! – krzyknął Derek. Gniewnie wrywając się z rąk Laurany, popchnął ją do tyłu na Sturm. Kolejna strzała przeleciał obok.

– Ona ma rację! – błagała Silvara, zawracając szybko. – Nie możemy z nimi walczyć. Musimy dotrzeć do przełęczy! Tam możemy ich zatrzymać.

Następna strzała, niemal już pozbawiona impetu, uderzyła w kolczą kamizelę, jaką Derek nosił na skórzanym kaftanie. Stracił ją poirytowanym gestem.

– Nie mierzają, by zabić – dodała Laurana. – Gdyby tak było, już byś nie żył. Musimy uciekać. I tak nie moglibyśmy tu stoczyć walki. – Wskazała na gęsty las. – Lepiej obronimy się na przełęczy.

– Odłóż miecz, Derek – rzekł Sturm, wyciągając swój oręż. – Albo najpierw będziesz walczył ze mną.

– Jesteś tchórzem, Brightblade! – krzyknął Derek głosem trzęsącym się z wściekłości.
– Uciekasz przed nieprzyjacielem!

– Nie – odrzekł chłodno Sturm – uciekam przed przyjaciółmi. – Rycerz nie chował miecza. – Naprzód, Crownguard, bo elfowie przybędą za późno, by cię wziąć do niewoli.

Obok przeleciała kolejna strzała, wbijając się w drzewo w pobliżu Dereka. Rycerz, na którego twarz wystąpiły plamy wściekłości, schował miecz i odwróciwszy się, ruszył szybko przed siebie. Przedtem jednak posłał Sturmowi spojrzenie pełne tak straszliwej nienawiści, że Laurana zadrżała.

– Sturmie... – zaczęła, lecz on tylko chwycił ją za łokieć i popędził naprzód za szybko, by można było rozmawiać. Wspinali się pośpiesznie. Słyszała, jak za jej plecami Theros brnie w śniegu, co jakiś czas zatrzymując się, by zrzucić za siebie głąz. Wkrótce po odgłosach można było się domyślić, że po stromej ścieżce osuwa się całe skalne zbocze i deszcz strzał przestał spadać.

– To tylko na jakiś czas – wy sapął kowal, doganiając Sturmą i Lauranę. – To ich na

długo nie zatrzyma.

Laurana nie mogła odpowiedzieć. Czowała ogień w płucach. Niebieskie i złote gwiazdy wybuchały jej przed oczami. Nie tylko ona cierpiała. Sturm oddychał chrapliwie. Ledwo trzymał ją za ramię i ręka mu drżała. Nawet mocarny kowal sapał jak zdyszany koń. Obchodząc głąz dookoła, zobaczyli klęczącego krasnoluda. Tasslehoff nadaremnie usiłował go postawić na nogi.

– Muszę... odpocząć... – wychrypiła Laurana przez zbolełe gardło. Chciała usiąść, lecz powstrzymały ją silne ręce.

– Nie! – powiedziała z naciskiem Silvara. – Nie tutaj! Jeszcze kilka metrów! Chodź! Nie zatrzymuj się!

Dzika elfka pociągnęła Lauranę naprzód. Jak przez mgłę widziała, że Sturm pomaga wstać Flintowi, który jęczy i klunie. Razem z Therosem Sturm pociągnął krasnoluda pod górę. Tasslehoff snuł się z tyłu, zbyt zmęczony, by mówić.

Wreszcie dotarli na szczyt przełęczy. Laurana osunęła się w śnieg, nie dbając już o to, co się stanie. Pozostali padli obok niej, wszyscy, z wyjątkiem Silvary, która spoglądała w dół.

Skąd ona bierze siły? – pomyślała Laurana przez szarą mgłę udreki. Była jednak zbyt wycieńczona, by o to zapytać.

W tym momencie była tak zmęczona, że nie przejmowała się tym, czy elfowie znajdują ją, czy nie. Silvara odwróciła się do nich.

– Musimy się rozdzielić – powiedziała zdecydowanie. Laurana popatrzyła na nią nierozumiejącym wzrokiem.

– Nie – zaczął Gilthanas, próbując bezskutecznie wstać.

– Posłuchajcie mnie! – rzekła z naciskiem Silvara przyklękając. – Elfowie są zbyt blisko. Z pewnością nas dogonią, a wtedy będziemy zmuszeni albo walczyć, albo się poddać.

– Walczyć – mruknął zaciekle Derek.

– Jest lepszy sposób – syknęła Silvara. – Ty, rycerzu, musisz sam zabrać smoczą kulę na Sancrist! My odciągniemy pościg.

Przez chwilę nikt się nie odzywał. Wszyscy patrzyli w milczeniu na Silvarę, rozważając tę nową możliwość. Derek uniósł głowę, a oczy mu błyszczały. Laurana posłała Sturmowi zaniepokojone spojrzenie.

– Uważam, że tak wielka odpowiedzialność nie powinna spaść na jedną osobę – rzekł Sturm, oddychając z trudem. – Powinny pójść co najmniej dwie osoby.

– Masz na myśli siebie, Brightblade? – zapytał gniewnie Derek.

– Tak, oczywiście, jeśli już ktokolwiek powinien pójść, to właśnie Sturm –

powiedziała Laurana.

– Mogę narysować mapę trasy przez góry – rzekła z zapałem Silvara. – Droga nie jest trudna. Posterunek rycerzy jest zaledwie dwa dni drogi stąd.

– Ale my nie potrafimy latać – zaprotestował Sturm. – Co z naszymi śladami? Z pewnością elfowie zauważą, że się rozdzieliliśmy.

– Lawina – zasugerowała Silvara. – Theros zrzucający głazy za nami podsunął mi ten pomysł. – Spojrzała w górę. Poszli za jej spojrzeniem. Nad nimi wznosiły się ośnieżone szczyty, a nad krawędziami wisiały zasy.

– Mogę wywołać lawinę swymi czarami – rzekł powoli Gilthanas. – To zatrze wszystkie ślady.

– Nie całkowicie – ostrzegła Silvara. – Musimy pozwolić, by nasze znów odnaleziono – choć nie mogą być zbyt oczywiste. W końcu chcemy, by poszli za nami.

– Ale dokąd pójdziemy? – zapytała Laurana. – Nie zamierzam błądzić bezcelowo po pustkowiu.

– Ja... znam pewne miejsce. – Silvara ucichła i spuściła oczy. To tajemnica znana tylko memu ludowi. Zaprowadzę was tam. – Złożyła dłonie. – Proszę, musimy się śpieszyć. Nie mamy wiele czasu!

– Zabiorę kulę na Sancrist – rzekł Derek – i pójdę sam. Sturm powinien towarzyszyć wam. Będzie wam potrzebny wojownik.

– Mamy wojowników – powiedziała Laurana. – Theros, mój brat, krasnolud. Mnie samej nie obca jest bitwa...

– I ja też – pisnął Tasslehoff.

– I kender – dodała zawzięcie Laurana. – Poza tym, nie dojdzie do rozlewu krwi. – Zauważyła zmartwioną twarz Sturma i zastanawiała się, o czym on myśli. Głos jej złagodniał. – Decyzja oczywiście należy do Sturma. Postąpi tak, jak uzna za słuszne, lecz sądzę, że powinien towarzyszyć Derekowi.

– Zgadza się – mruknął Flint. – W końcu to nie my będziemy się wystawiać na niebezpieczeństwo. Będziemy bezpieczniejsi bez smoczej kuli. Na tym właśnie zależy elfom.

– Tak – przyznała cichym głosem Silvara. – Będziemy bezpieczniejsi bez kuli. To wam będzie groziło niebezpieczeństwo.

– A więc, wszystko jasne – rzekł Sturm. – Pójdę z Derekiem.

– A gdybym rozkazał ci zostać? – zapytał natarczywie Derek.

– Nie masz nade mną władzy – powiedział Sturm ze smutkiem w brązowych oczach. – Zapomniałeś? Ja nie jestem rycerzem.

Zapadła bolesna, głęboka cisza. Derek zmierzył wzrokiem Sturm.

– Nie – rzekł – i jeśli postawię na swoim, nigdy nim nie zostaniesz!

Sturm skulił się, jakby Derek wymierzył mu rzeczywisty cios..Potem wstał, wzdychając ciężko.

Derek już zaczął zbierać swoje rzeczy. Sturm poruszał się wolniej, podnosząc swój śpiwór w zamyśleniu. Laurana podniosła się i podeszła do Sturm.

– Weź to – powiedziała, sięgając do swego plecaka. – Będziesz potrzebował jedzenia...

– Mogłabyś pójść z nami – powiedział Sturm cicho, gdy rozdzielala prowiant. – Tanis wie, że udajemy się na Sancrist. On też tam przybędzie, jeśli tylko będzie to możliwe.

– Masz rację – powiedziała Laurana i oczy jej rozblęły. – To może być dobry pomysł... – Potem jej spojrzenie padło na Silvarę. Dzika elfka trzymała smoczą kulę, wciąż owiniętą w płaszcz. Miała zamknięte oczy, jakby komunikowała się z jakimś niewidzialnym duchem. Wzdychając, Laurana potrząsnęła głową. – Nie, muszę zostać z nią, Sturmie – powiedziała cicho. – Coś mi się tu nie podoba. Nie rozumiem... – przerwała, nie potrafiąc wyrazić swych myśli. – A Derek? – zapytała natomiast. – Dlaczego on tak nalega, żeby pójść sam? Krasnolud ma rację co do niebezpieczeństwa. Jeśli elfowie was pojماją, nie zawahają się was zabić.

Twarz Sturm była pełna żalu i goryczy. – Ty jeszcze pytasz? Derek Crownguard powraca, pokonawszy straszliwe niebezpieczeństwa i przynosi bezcenną smoczą kulę... – Sturm wzruszył ramionami.

– Ale przecież stawka jest tak wielka – zaprotestowała Laurana.

– Masz rację, Laurano – rzekł szorstko Sturm. – Stawka jest wysoka. Większa niż ci się wydaje – przywództwo zakonu rycerzy solamnijskich. Teraz nie mogę ci wyjaśnić...

– Chodź już, Brightblade, jeśli zamierzasz iść! – warknął Derek.

Sturm wziął jedzenie i schował je do plecaka. – Żegnaj, Laurano – rzekł, kłaniając jej się z cichą rycerskością, która charakteryzowała wszystkie jego poczynania.

– Żegnaj, Sturmie, mój przyjacielu – szepnęła, obejmując rycerza.

Przygarnął ją blisko, a potem łagodnie ucałował w czoło.

– Przekazemy kulę mędrcom, by ją zbadali. Rada Białego Kamienia wkrótce się zbierze – powiedział. – Elfowie zostaną zaproszeni na jej posiedzenie, ponieważ są członkami doradcami. Musisz przybyć na Sancrist najszybciej jak możesz, Laurano. Twoja obecność będzie tam potrzebna.

– Będę tam, jeśli bogowie pozwolą – powiedziała Laurana, oglądając się na Silvarę,

która powierzyła smoczą kulę Derekowi. Przez twarz Silvary przemknął wyraz nie dającej się opisać ulgi, gdy Derek odwrócił się, by odejść.

Sturm pożegnał się, a następnie zaczął brnąć przez śnieg w ślad za Derekiem. Drużyna dostrzegła błysk światła, gdy słońce odbiło się w jego tarczy.

Nagle Laurana zrobiła krok naprzód. – Zaczekajcie!

– krzyknęła. – Musimy ich zatrzymać. Powinni też wziąć smoczą lancę.

– Nie! – zawołała Silvara, podbiegając, by zagrozić drogę Lauranie.

Laurana gniewnie chciała odepchnąć dziewczynę, lecz zobaczyła wyraz twarzy Silvary i powstrzymała rękę.

– Co robisz, Silvaro? – spytała Laurana. – Dlaczego ich odesłałaś? Dlaczego tak ci zależało, by nas podzielić? Dlaczego dałaś im kulę, ale nie lancę...

Silvara nie odpowiedziała. Po prostu wzruszyła ramionami i zmierzyła Lauranę spojrzeniem swych oczu bardziej błękitnych niż niebo o pomocy. Laurana miała wrażenie, że te tak niebieskie oczy kruszą jej wolę. Silvara zastraszająco przypominała jej teraz Raistlina.

Również Gilthanas przyglądał się Silvarze z zakłopotanym i zmartwionym wyrazem twarzy. Theros, ponury i surowy, spoglądał na Lauranę, jakby zaczynał podzielać jej wątpliwości. Nie byli jednak w stanie się ruszyć. Silvara całkiem zawładnęła nimi – lecz cóż im uczyniła? Mogli tylko przyglądać się, jak dzika elfka podeszła do miejsca, w którym znużona Laurana upuściła plecak. Nachyliwszy się, Silvara odwinęła ułamany kawałek strzaskanego drzewca. Potem uniosła go wysoko w górę.

Na srebrzystych włosach Silvary błysnęło słońce, naśladując błysk tarczy Sturma.

– Smocza lanca zostanie przy mnie – rzekła Silvara. Powiodła wzrokiem po zauroczonej drużynie i dodała – i wy też.

Rozdział VII

Mroczna podróż

Śnieg za nimi zagrzmiał i stoczył się po górskim zboczu. Spadając kaskadą białych płacht, blokując i zasypując przełęcz, zatarł wszelkie ślady ich obecności. Jeszcze nie przebrzmiał huk magicznego grzmotu Gilthanasa, a może było to dudnienie głazów toczących się po zboczu. Nie mieli pewności.

Drużyna pod przewodnictwem Silvary wędrowała powoli i ostrożnie ścieżkami na wschód, idąc po skałach i unikając miejsc ośnieżonych, jeśli tylko było to możliwe. Stawiali stopy na śladach swoich poprzedników, aby ścigający ich elfowie nie dowiedzieli się, ilu ich było naprawdę w drużynie.

Prawdę mówiąc, byli tak ostrożni, że Laurana zaniepokoiła się.

– Pamiętaj, że chcemy, aby nas znaleźli – przypomniała Silvarze, kiedy wspinali się po szczycie skalnej grani.

– Nie martw się. Znajdą nas bez trudu – odparła Silvara.

– Czemu jesteś taka pewna? – chciała zapytać Laurana, lecz wtedy poślizgnęła się i upadła na dłonie i kolana. Gilthanas pomógł jej wstać. Krzywiąc się z bólu, popatrzyła na Silvarę w milczeniu. Nikt z nich, łącznie z Therosem, nie ufał zmianie, jaka nastąpiła w dzikiej elfce od czasu rozstania z rycerzami. Nie mieli jednak innego wyjścia, jak iść za nią.

– Ponieważ oni wiedzą, dokąd się udajemy – odpowiedziała Silvara. – Bystra jesteś domyślając się, że zostawiłam im znak w grocie. To prawda. Na szczęście, nie znalazłaś go. Pod tymi patykami, które łaskawie mi rozrzuciłaś, narysowałam prostą mapę. Kiedy ją znalazła, pomyślała, że narysowałam ją, by pokazać wam drogę do celu. Dzięki tobie, Laurano, nabrało to bardzo realistycznego wyglądu.

– Jej głos brzmiał dumnie i zadziornie, póki nie dostrzegła spojrzenia Gilthanasa.

Elfi szlachcic odwrócił się od niej z posępną twarzą. Silvara straciła pewność siebie. Jej głos nabrał błagalnego brzmienia. – Miałam powód, by to uczynić – dobry powód. Kiedy zobaczyłam ślady, wiedziałam, że musimy się rozdzielić. Musicie mi uwierzyć!

– A smocza kula? Co z nią robiłaś? – domagała się odpowiedzi Laurana.

– N-nic – wyjąkała Silvara. – Musicie mi uwierzyć!

– Nie widzę powodu, dlaczego mielibyśmy to zrobić – odparła chłodno Laurana.

– Nie uczyniłam wam nic złego... – zaczęła Silvara.

– Chyba, że wysłałaś rycerzy i smoczą kulę wprost w śmiertelną zasadzkę! – krzyknęła Laurana.

– Nie! – Silvara załamywała ręce. – To nieprawda! Uwierzcie mi. Im nic nie grozi. Taki miałam plan od samego początku. Nic nie może się stać smoczej kuli. Przede wszystkim, nie może wpaść w ręce elfów. Dlatego odesłałam ją. Dlatego pomogłam wam uciec! – Rozejrzała się, zdając się węszyć w powietrzu niczym zwierzę. – Chodźcie! Zbyt długo tu popasaliśmy.

– Jeśli w ogóle z tobą pójdziemy! – rzekł szorstko Gilthanas. – Co wiesz o smoczej kuli?

– Nie pytaj mnie! – głos Silvary nagle stał się głęboki i pełen smutku. Jej błękitne oczy posłały mu spojrzenie tak przepełnione miłością, że nie mógł dłużej patrzeć jej w twarz. Potrząsnął głową, unikając jej wzroku. Silvara chwyciła go za ramię. – Proszę, shalori, najdroższy, zaufaj mi! Pamiętasz, o czym rozmawialiśmy na brzegu sadzawki? Powiedziałeś, że musisz to zrobić – sprzeciwić się woli swego ludu, stać się wyrzutkiem – z powodu przekonań, jakie kryjesz w głębi serca. Powiedziałam, że rozumiem, że ja musiałam uczynić to samo. Nie uwierzyłeś mi?

Gilthanas stał przez chwilę ze spuszczoną głową. – Uwierzyłem ci – rzekł cicho. Wyciągnąwszy ręce, przygarnął ją do siebie i ucałował jej srebrne włosy. – Pójdziemy z tobą. Chodź, Laurano. – Nadal objęci, ruszyli przez kopny śnieg.

Laurana powiodła nie rozumiejącym spojrzeniem po pozostałych. Unikali jej wzroku. Wtedy Theros podszedł do niej.

– Przeżyłem na tym świecie niemal pięćdziesiąt lat, młoda kobieto – powiedział łagodnie. – Wiem, że dla was, elfów, to niedługo. Lecz my, ludzie, rzeczywiście przeżywamy te lata – nie pozwalamy im tylko przemykać obok. I coś ci powiem – ta dziewczyna kocha twego brata najprawdziwszą miłością, jaką kobieta może obdarzyć mężczyznę. A on kocha ją. Z takiej miłości nie może narodzić się nic złego. Choćby tylko dla dobra ich miłości poszedłbym za nimi do jaskini smoka.

Kowal ruszył śladami pary.

– Dla dobra moich zmarzniętych nóg, poszedłbym do smoczej jaskini, gdyby tylko smok pogrzał mi stopy! – Flint zatupał. – Chodźmy, nie ma czasu. – Chwytając kendera, pociągnął go za sobą w ślad za kowalem.

Laurana została sama. Wiadomo było już, że pójdzie za nimi. Nie miała wyboru. Chciała zaufać słowom Therosa. Kiedyś uwierzyłaby, że taka jest kolej rzeczy. Teraz wiedziała jednak, że wiele z tego, w co wierzyła, było fałszem. Dlaczego nie miłość?

W myślach wciąż widziała wirujące kolory smoczej kuli.

Drużyna podróżowała na wschód, pograżając się w mroku nadchodzącej nocy.

Schodząc z wysokich górskich przełęczy, stwierdzili, że lżej im teraz oddychać. Zamarznięte skały ustąpiły miejsca rachitycznym sosenkom, a następnie ponownie zamknęła się wokół nich puszcza. Silvara pewnie zaprowadziła ich wreszcie do spowitej w mgłę doliny.

Dzika elfka zdawała się już nie martwić śladami. Zależało jej teraz tylko na szybkości. Popędzała stale drużynę, jakby ścigała się ze słońcem na niebie. Kiedy zapadła noc, przyjaciele zanurzyli się w otoczoną kręgiem drzew ciemność, zbyt zmęczeni, by jeść. Lecz Silvara pozwoliła im zaledwie na kilka godzin niespokojnego, wyczerpującego snu. Kiedy wstały księżycy, srebrny i czerwony, będące niemal już w pełni, znów zaczęła nakłaniać drużynę do marszu.

Kiedy wszyscy zapytali, czemu tak jej się śpieszy, odpowiedziała tylko: – Są już blisko. Są bardzo blisko.

Każdy zakładał, że ma na myśli elfów, choć Laurana dawno temu przestała mieć wrażenie, że śledzą ich te ciemne postaci.

Wstał świt, lecz światło sączyło się przez mgłę tak gęstą, że Tasslehoff był przekonany, iż mógłby złapać jej garść i wsadzić do jednej ze swoich sakiew. Towarzysze szli blisko siebie, nawet trzymając się za ręce, by nie pogubić się. Powietrze ociepliło się. Zrzucili ciężkie, przemoczone płaszcze i wędrowali po omacku szlakiem, który zdawał się materializować pod ich stopami wprost z mgły. Silvara szła przed nimi. Słabe światło połyskujące na jej włosach było ich jedynym przewodnikiem.

Wreszcie ziemia pod ich stopami wyrównała się, drzewa się rozstały i wyszli na gładką, zbrązowiałą od chłodu trawę. Choć żadne z nich nie sięgało wzrokiem dalej jak na kilkadziesiąt centymetrów w tej szarej mgle, odnosili wrażenie, że znajdują się na rozległej polanie.

– To Dolina Mgieł – Silvara odpowiedziała na ich pytania. – Dawno temu, przed kataklizmem, było to jedno z najpiękniejszych miejsc na Krynnie... tak mówi mój lud.

– Mogłoby wciąż być piękne – burknął Flint – gdybyśmy tylko mogli coś zobaczyć w tej przeklętej mgle.

– Nie – rzekła smutno Silvara. – Jak wiele innych rzeczy na tym świecie, piękno Doliny Mgieł znikło. Niegdyś forteca Doliny Mgieł wznosiła się nad oparami, jakby na obłoku. Wschodzące słońce zabarwiało mgłę o poranku na różowo i wypalało ją w południe, tak że strzeliste wieżyczki fortecy widoczne były z wielkiej odległości. Pod wieczór mgła wracała, by otulić zamek niczym kocem. W nocy srebrny i czerwony księżyc rozsiewał swój migotliwy blask wśród mgieł. Ze wszystkich stron Krynnu przybywali pielgrzymi... – Silvara przerwała nagle. – Zatrzymamy się tu dziś na noc.

– Jacy pielgrzymi? – zapytała Laurana, upuszczając plecak.

Silvara wzruszyła ramionami. – Nie wiem – rzekła, odwracając twarz. – To tylko legenda mojego ludu. Być może to nawet nie jest prawda. Na pewno nikt już tu teraz nie przychodzi.

Ona kłamie, pomyślała Laurana, lecz nie odezwała się. Była zbyt zmęczona, by się tym przejmować. Nawet łagodny, cichy głos Silvary wydawał się nienaturalnie głośny i rażący w tej niesamowitej ciszy. Przyjaciele rozścielili swe koce w milczeniu. Również w milczeniu spożyli posiłek, skubiąc bez chęci suszone owoce ze swych zapasów. Nawet kender był przygaszony. Mgła przygnębiała i przytłaczała ich. Słyszeć było tylko stałe kap, kap, kap, gdy woda spływała na ściółkę z martwych liści w lesie.

– Śpijcie – powiedziała cicho Silvara, rozkładając swój koc obok posłania Gilthanas – bowiem kiedy srebrny księżyc stanie w zenicie, musimy wyruszyć.

– Cóż za różnica? – Kender ziewnął. – I tak go nie widzimy.

– Mimo to, musimy pójść. Obudzę was.

– Kiedy wrócimy z Sancrist – po posiedzeniu rady Białego Kamienia – możemy się pobrać – szepnął Gilthanas do Silvary, gdy położyli się razem, owinięci kocem.

Dziewczyna poruszyła się w jego ramionach. Poczł, jak jej miękkie włosy ocierają się o jego policzek. Nie odpowiedziała jednak.

– Nie trap się mym ojcem – powiedział Gilthanas z uśmiechem, głaszcząc jej piękne włosy, które lśniły nawet w ciemności. – Będzie surowy i pochmurny przez jakiś czas, ale ja jestem młodszym bratem – nikogo nie obchodzi, co się ze mną stanie. Porthios będzie zrzędził i narzekał bez końca. Ale my go zignorujemy. Nawet nie musimy żyć wśród mojego ludu. Nie jestem pewien, jakbym się dopasował do twojego, ale mógłbym spróbować. Dobrze strzelam z łuku. I pragnąłbym, żeby nasze dzieci dorastały w puszczy, wolne i szczęśliwe... co ci... Silvaro – ty płaczesz!

Gilthanas objął ją mocno, a ona wtuliła twarz w jego ramię i szlochała gorzko. – No już dobrze, dobrze – szeptał pocieszająco, uśmiechając się w mroku. Kobiety to takie dziwne stworzenia. Zastanawiał się, co on takiego powiedział. – Sza, Silvaro – zamruczał. – Wszystko będzie dobrze. – I Gilthanas zapadł w sen, śniąc o srebrnowłosych dzieciach biegających po zielonym lesie.

– Już czas. Musimy iść.

Laurana poczuła, że ktoś potrząsa jej ramieniem. Wystraszona, przebudziła się z mętnego, przerażającego snu, którego nie umiała sobie przypomnieć i zobaczyła dziką elfkę klęczącą nad nią.

– Obudzę pozostałych – rzekła Silvara i znikła.

Czując się bardziej zmęczona, niż gdyby w ogóle nie spała, Laurana bezwiednie spakowała swoje rzeczy i stała w mroku, drżąc z chłodu. Usłyszała, jak w pobliżu jęczy krasnolud. Wilgotne powietrze sprawiało, że bolały go stawy. Laurana uzmysłowiła sobie, jakim wysiłkiem jest ta podróż dla Flinta. W końcu miał – ile to już – niemal sto pięćdziesiąt lat? Szacowny wiek dla krasnoluda. Flint pobladł nieco na twarzy z powodu choroby w czasie podróży. Jego wargi, ledwo widoczne spod brody, miały sinawy kolor. Od czasu do czasu przyciskał dłoń do piersi, lecz zawsze stanowczo twierdził, że czuje się świetnie i dotrzymywał im kroku na szlaku.

– Wszystko gotowe! – wrzasnął Tas. Jego przenikliwy głos zabrzmiał upiornym echem we mgle. Kender miał wrażenie, że zakłócił czyjś spokój. – Przepraszam – rzekł, wciskając głowę w ramiona. – Wiesz co, czuję się jakbym był w świątyni – szepnął do Flinta.

– Zamknij się wreszcie i idź już! – burknął krasnolud. Zapłonęła pochodnia. Przyjaciele drgnęli na widok nagłego, oślepiającego światła w ręku Silvary.

– Musimy mieć światło – powiedziała, zanim ktokolwiek zdążył zaprotestować. – Nie obawiajcie się. Dolina, w której się znajdujemy, jest szczelnie odcięta od świata. Dawno temu istniały dwa wejścia: jedno prowadziło do krain ludzi, gdzie rycerze mieli swoją placówkę, drugie prowadziło na wschód, do kraju ogrów. Pamięć o obu przejściach zaginęła w czasie kataklizmu. Nie musimy się lękać. Przeprowadziłam was drogą, która jest znana tylko mnie.

– I twojemu ludowi – przypomniała jej ostro Laurana.

– Tak... mojemu ludowi... – rzekła Silvara, a Laurana ze zdumieniem zobaczyła, iż dziewczyna zbladła.

– Dokąd nas prowadzisz? – naciskała Laurana.

– Zobaczcie. Znajdziemy się tam przed upływem godziny.

Członkowie drużyny powiedli spojrzeniem po sobie, a potem wszyscy popatrzyli na Lauranę.

A niech to! – pomyślała. – Nie oczekujcie odpowiedzi ode mnie! – powiedziała ze złością. – Co chcecie robić? Zostać tu, zagubieni we mgle...

– Nie zdradzę was! – szepnęła żałośnie Silvara. – Proszę, zaufajcie mi jeszcze trochę.

– Prowadź – powiedziała znużona Laurana. – Pójdziemy za tobą.

Mgła zdawała się spowijać ich tak szczelnie, że tylko blask pochodni Silvary rozjaśniał otaczający ich mrok.

Nikt nie miał pojęcia, w jakim kierunku idą. Krajobraz nie zmienił się. Szli w wysokiej trawie. Nie było drzew. Czasami z mroku wyłaniał się wielki głaz, lecz to wszystko.

Po nocnych zwierzętach, czy ptakach nie było śladu. W powietrzu wisiała konieczność pośpiechu. Atmosfera ta narastała w miarę marszu, aż wreszcie wszyscy ją wyczuli i przyspieszyli kroku, nie wychodząc jednakże poza krąg światła pochodni.

Wtem Silvara zatrzymała się niespodziewanie i bez ostrzeżenia.

– Jesteśmy na miejscu – rzekła i wysoko podniosła pochodnię.

Blask ognia przeszył mgłę. Wszyscy dostrzegli jakiś zarys za zasłoną oparów. Początkowo materializujący się wśród mgieł obiekt był tak widmowy, że drużyna nie mogła go poznać.

Silvara zbliżyła się. Przyjaciele poszli za nią ostrożni i pełni obawy.

Nagle ciszę nocy zakłóciło bulgotanie przypominające odgłos wody gotującej się w wielkim czajniku. Opary stały się jeszcze gęstsze, a powietrze było ciepłe i duszne.

– Gorące źródła! – rzekł Theros, nagle rozumiejąc.

– Oczywiście, to wyjaśnia stałą mgłę. A ten ciemny kształt...

– To most nad nimi – odparła Silvara, przyświecając pochodnią, by mogli zobaczyć połyskujący wilgocią kamienny most nad gotującą się wodą w źródle, która wypełniała nocne powietrze kłębami ciepłej mgły.

– I my mamy po tym przejść! – wykrzyknął Flint, spoglądając z przerażeniem na czarną, wrzącą wodę. – Mamy przejść po...

– Nazywa się on Mostem Przejścia – rzekła Silvara.

Jedyną odpowiedzią krasnoluda było zdławiony odgłos przełknięcia śliny.

Most Przejścia był długim, gładkim łukiem z czystobiałego marmuru. Wzdłuż jego boków przedstawione wyraziście na płaskorzeźbie długie kolumny rycerzy przechodziły symbolicznie przez bulgoczący strumień. Łuk mostu był tak wysoki, że w kłębach oparów nie było widać jego szczytu. Był przy tym stary, tak stary, że kiedy Flint z szacunkiem dotykał wytartej skały, nie potrafił rozpoznać, czyje to dzieło. Nie była to robota krasnoludów ani elfów, ani istot ludzkich. Kto wykonał tak cudowne dzieło?

Wtedy zauważył, że most nie ma poręczy. Nie było nic, prócz marmurowego łuku, śliskiego i lśniącego od oparów unoszących się stale znad bulgoczącego źródła w dole.

– Nie zdołamy po ty m przejść – powiedziała Laurana drżącym głosem. – Teraz jesteśmy w pułapce...

– Zdołamy – rzekła Silvara. – Bowiem wezwano nas.

– Wezwano? – powtórzyła poirytowana już Laurana.

– Kto? Gdzie?

– Zaczekajcie – rozkazała Silvara.

Czekali. Nic innego im nie pozostało. Każdy stał, rozglądając się w blasku pochodni, lecz widać było tylko mgłę podnoszącą się znad źródeł, a słychać jedynie bulgotanie wody.

– Oto czas Solinari – powiedziała nagle Silvara i zamachnąwszy się wrzuciła pochodnię do wody.

Pochłonęła ich ciemność. Mimowolnie zbliżyli się do siebie. Wydawało się, że Silvara zniknęła wraz ze światłem. Gilthanas zawołał ją, lecz nie odpowiedziała.

Wtedy mgła zmieniła się w migotliwe srebro. Wróciła im zdolność widzenia i wówczas zobaczyli Silvarę, jej ciemną, niewyraźną sylwetkę na tle srebrzystych oparów. Stała u stóp mostu i spoglądała w niebo. Powoli uniosła ręce i powoli mgły się rozstały. Popatrzwszy w górę towarzysze zobaczyli, że mgła rozsuwa się niczym długie, pełne wdzięku palce, odsłaniając srebrny księżyc błyszczący w pełni na rozgwieżdżonym niebie.

Silvara wypowiedziała dziwne słowa i stanęła skąpana w blasku księżyca, który spłynął na nią. Księżycowa poświata lśniła na bulgoczącej wodzie, ożywiając ją i wprawiając w srebrzysty taniec. Połyskiwała na marmurowym moście, tchnąc życie w rycerzy, którzy spędzili wieczność przechodząc przez most.

Jednak to nie ten przepiękny widok sprawił, że przyjaciele wzięli się za ręce i przywarli do siebie. Nie blask księżyca na wodzie skłonił Flinta do powtarzania imienia Reorxa w najpobożniejszej modlitwie, jaką zdarzyło mu się odmówić, ani nakazał Lauranie z oczami pełnymi niespodziewanych łez oprzeć głowę na ramieniu brata, czy Gilthanasowi objąć ją mocno w poczuciu lęku, podziwu i szacunku.

Wysoko nad nimi, tak wysoko, że głową zdawała się móc zerwać księżyc z nieba, wznosiła się figura smoka, którą wykuto w górze lśniącej srebrem w świetle księżyca.

– Gdzie jesteśmy? – spytała Laurana przyciszonym głosem. – Co to za miejsce?

– Kiedy przebędziecie Most Przejścia, staniecie przed pomnikiem srebrnego smoka – odrzekła cicho Silvara. – Strzeże on grobowca Humy, rycerza solamnijskiego.

Rozdział VIII

Grobowiec Humy

W blasku rzucanym przez Solinari Most Przejścia wiodący przez bulgoczące źródła Doliny Mgieł połyskiwał niczym jasne perły nanizane na srebrny łańcuszek.

– Nie obawiajcie się – znów powiedziała Silvara. – Przejść jest trudno tylko tym, którzy chcą wejść do grobowca w złych zamiarach.

Towarzysze jednak nie byli przekonani. Z lękiem weszli na schody prowadzące do samego mostu. Potem z wahaniem stanęli na marmurowym łuku, który wznosił się przed nimi, połyskując wilgocią oparów ze źródła. Silvara przeszła pierwsza, stąpając lekko i bez trudu. Pozostali poszli w jej ślady ostrożniej, trzymając się samego środka marmurowego łuku. Naprzeciw nich, po drugiej stronie mostu, wznosił się olbrzymi pomnik smoka. Choć przyjaciele wiedzieli, że powinni patrzeć pod nogi, nie mogli od niego oderwać oczu. Wielokrotnie zmuszeni byli zatrzymać się i patrzeć z podziwem, a gorące źródła pod nimi kipiały i wydzierały kłęby pary.

– Hej, założę się, że woda jest tak gorąca, że można by w niej ugotować mięso! – stwierdził Tasslehoff. Kładąc się na brzuchu, wychylił się za krawędź w najwyższym wysklepionym punkcie mostu.

– Z-założę się, że m-mógłbyś się w nim sam u-ugoto-wać – wyjąkał przerażony krasnolud, pełznąc po moście na czworakach.

– Patrz, Flincie! Posłuchaj. Mam w plecaku kawałek mięsa. Wezmę sznurek i spuścimy go do wody...

– Idźże już! – ryknął Flint. Tas westchnął i zamknął torbę.

– Z tobą nigdzie nie ma zabawy – poskarżył się i zjechał na pupie po drugiej części mostu.

Dla reszty drużyny była to jednak straszna podróż i wszyscy odetchnęli z ulgą, gdy zeszli z marmurowego łuku na ziemię.

Nikt nie odezwał się do Silvary w czasie przechodzenia, bowiem wszystkim zbyt zależało na przebyciu Mostu Przejścia tak, by nie stracić przy tym życia. Kiedy jednak dotarli na drugi brzeg, Laurana pierwsza zadała pytanie.

– Dlaczego nas tu sprowadziłaś?

– Czyżbyś jeszcze mi nie ufała? – spytała smutno Silvara.

Laurana zawahała się. Jej spojrzenie powędrowało ku ogromnemu kamiennemu smokowi, którego łeb wieńczyły gwiazdy. Kamienna paszcza była otwarta w bezgłośnym

krzyku, a kamienne oczy spoglądały bojowo. Kamienne skrzydła wykuto w zboczach góry. Smok wyciągał przed siebie jedną z kamiennych łap, masywną jak pnie stu drzew vallen.

– Odesłałaś smoczą kulę, a potem przyprowadziłaś nas do posągu czczącego pamięć smoka! – powiedziała Laurana po chwili drżącym głosem. – Co ja mam sobie pomyśleć? Przyprowadziłaś nas do miejsca, które nazywasz grobowcem Humy. Nawet nie wiemy, czy Huma rzeczywiście istniał, czy nie był przypadkiem legendą. Jaki jest dowód, że to miejsce jego ostatniego spoczynku? Czy wewnątrz jest ciało?

– N-nie – zająknęła się Silvara. – Jego ciało znikło, tak samo jak...

– Jak co?

– Jak lanca, którą władał, smocza lanca, którą zgładził smoka wszystkich kolorów i żadnego. – Silvara westchnęła i spuściła głowę. – Wejdźcie do środka – błagała – i odpocznijcie przez noc. Rano wszystko stanie się jasne, obiecuję.

– Nie sądzę... – zaczęła Laurana.

– Wchodzimy do środka! – rzekł zdecydowanie Gilthanas. – Laurano, zachowujesz się jak rozkapryszone dziecko! Dlaczego Silvara miałaby nas prowadzić w pułapkę? Przecież gdyby rzeczywiście żył tu smok, wiedzieliby o tym wszyscy na Ergoth! Mógłby już dawno temu pozabijać wszystkich na wyspie. Nie wyczuwam w tym miejscu zła, lecz tylko wielki i pradawny spokój. Poza tym, to idealna kryjówka! Wkrótce elfowie dowiedzą się, że kula dotarła bezpiecznie do Sancrist. Zaprzestaną pościgu i wtedy będziemy mogli spokojnie odejść. Prawda Silvaro? Czyż nie dlatego nas tu przyprowadziłaś?

– Tak – powiedziała cicho Silvara. – T-taki był mój plan. Chodźcie już, chodźcie szybko, póki świeci srebrny księżyc. Bowiem tylko wtedy można tam wejść.

Gilthanas, trzymając Silvarę za rękę, wszedł w migoczącą, srebrną mgłę. Tas wybiegł przed nich w podskokach, powiewając sakwami. Flint i Theros weszli wolniej, a najwolniej Laurana. Gładkie wyjaśnienia Gilthanasasa nie uspokoiły jej obaw, ani też niechętna zgoda Silvary. Nie było jednak gdzie pójść, a poza tym musiała przyznać, że pożerała ją niesamowita ciekawość.

Trawa rosnąca po drugiej stronie mostu była gładka i przygnieciona wilgotnymi kłębami pary, lecz kiedy zbliżyli się do ciała smoka wykutego w skale, grunt zaczął się podnosić. Nagle z mgły przed nimi dobiegł ich głos Tasslehoffa.

– Raistlin! – posłyszeli jego zdławiony krzyk. – Zmienił się w olbrzyma!

– Ten kender oszalał – stwierdził Flint z ponurą satysfakcją. – Zawsze o tym wiedziałem...

Pobiegłszy naprzód, przyjaciele zobaczyli, że Tas podskakuje i wskazuje coś. Stanęli

obok, sapiąc i dysząc.

– Na brodzie Reorxa – wysapał z pełnym łęku podziwem Flint. – To rzeczywiście Raistlin.

Z kłębow mgły wznosił się wysoki na dwa metry siedemdziesiąt centymetrów kamienny posąg przedstawiający doskonałą podobiznę młodego maga. Dokładny pod każdym względem, oddawał nawet gorzki i cyniczny wyraz twarzy i przedstawiał oczy ze źrenicami w kształcie klepsydr.

– A tam jest Caramon! – krzyknął Tas. Kilka metrów dalej stał kolejny posąg, tym razem mający kształt bliźniaczego brata czarodzieja.

– I Tanis... – szepnęła ze strachem Laurana. – Cóż to za zły czar?

– Nie jest zły – rzekła Silvara – chyba, że sami tu wniesiecie zło, a wtedy na posągach ujrzycie twarze swych najgorszych wrogów. Trwoga i groza, jaką emanowałyby, nie pozwoliłyby wam przejść. Lecz wy widzicie tylko przyjaciół, więc możecie przejść bezpiecznie.

– Szczerze mówiąc, nie zaliczałbym Raistlina do moich przyjaciół – mruknął Flint.

– Ani ja – powiedziała Laurana., Drżąc, przeszła z wahaniem obok zimnego wizerunku maga. Obsydianowe szaty czarodzieja połyskiwały czernią w blasku księżyców. Laurana przypomniała sobie żywo koszmar w Silvanesti i wzdrygnęła się, wchodząc w krąg, który jak teraz dostrzegła, składał się z kamiennych posągów, uderzająco, niemal przerażająco podobnych do jej przyjaciół. We wnętrzu tego milczącego kamiennego kręgu znajdowała się mała świątynia.

Prostokąt budynku wznosił się ku mgłę znad ośmiokątnej podstawy lśniących stopni. On również był wykonany z obsydianu, a cała budowla lśniła wilgocią wiecznej mgły. Każdy detal rzucał się w oczy, jakby wyrzeźbiono go zaledwie kilka dni temu; żaden ślad wieku nie zacierał ostrych, wyraźnych rysów płaskorzeźb, na których rycerze dzierżący smocze lance wciąż szarżowali na olbrzymie potwory. Smoki przeszyte długimi, delikatnymi drzewcami wrzeszczały bezgłośnie w znieruchomiałej agonii.

– Wewnątrz tej świątyni złożono ciało Humy – powiedziała cicho Silvara, prowadząc ich po stopniach.

Zimne wrota ze spizgu otworzyły się bezgłośnie pod dotykiem Silvary. Drużyna stanęła niepewnie na schodach otaczających ozdobioną kolumnami świątynię. Lecz jak rzekł Gilthanas, nie czuli, by z tego miejsca promieniowało zło. Lauranie przypomniał się natychmiast grób królewskiej gwardii w Sla-Mori i grozę, jaką siali upiorni wartownicy postawieni na wiecznej straży przy swym zmarłym królu, Kith-Kananie. Jednakże w tej

świętyni wyczuwała tylko smutek i żal rozstania, złagodzony świadomością wielkiego zwycięstwa – bitwy wygranej straszliwym kosztem, która mimo wszystko przyniosła wieczny pokój i słodkie ukojenie.

Laurana poczuła, że ciężar jej spada z serca. Jej osobiste zmartwienia i troski zdawały się tu mniej ważne. Przypomniały jej się własne zwycięstwa i triumfy. Jeden po drugim, towarzysze weszli do grobowca. Spiżowe drzwi zatrzęsły się za nimi, zostawiając ich w kompletnej ciemności.

Wtedy zabłysło światło, Silvara trzymała w dłoni pochodnię, najwyraźniej wziętą ze ścian. Laurana przez moment zastanowiła się, w jaki sposób udało jej się ją zapalić. Jednakże zapomniała o tym trywialnym pytaniu, rozglądając się z zalęknionym podziwem po grobowcu.

Był on pusty, z wyjątkiem sarkofagu wykutego z obsydianu, który stał pośrodku pomieszczenia. Mary były podtrzymywane przez rzeźbione postaci rycerzy, lecz ciało, które powinno na nich spoczywać, znikło. U stóp leżała starodawna tarcza, a obok niej miecz podobny do miecza Sturma. Drużyna przyglądała się tym relikwiom w milczeniu. Grzechem zdawało się zakłócanie rozmową smutnego spokoju tego miejsca i nikt nie dotknął tych przedmiotów, nawet Tasslehoff.

– Jaka szkoda, że Sturma nie ma tutaj – szepnęła Laurana ze łzami w oczach, rozglądając się wokół. – To z pewnością jest miejsce ostatniego spoczynku Humy... a jednak... – Nie umiała wyjaśnić rosnącego uczucia niepokoju, jaki ją ogarniał. Nie był to strach, a raczej wrażenie, jakiego doznała, wkraczając do doliny – uczucie ponagłania.

Silvara zapaliła następne pochodnie na ścianach, a drużyna przeszła obok nagrobka, z ciekawością rozglądając się po grobowcu. Nie był on duży. Sarkofag stał pośrodku, a pod ścianami znajdowały się kamienne ławy, prawdopodobnie dla żałobników, którzy przychodzili złożyć wyrazy szacunku. Na drugim końcu stał mały kamienny ołtarz. Na jego powierzchni wykuto symbole zakonów rycerskich – koronę, różę i zimorodka. Na wierzchu leżały rozsypane wyschnięte płatki róż i zioła, których słodki aromat wciąż unosił się w powietrzu po setkach lat. Pod ołtarzem znajdowała się duża żelazna płyta wpuszczona w posadzkę.

Kiedy Laurana przyglądała się z zaciekawieniem tej płycie, podszedł do niej Theros.

– Jak sądzisz, co to jest? – zastanawiała się Laurana. – Studnia?

– Zobaczmy – mruknął kowal. Nachyliwszy się, wziął pierścień umocowany na wierzchu płyty w swą wielką, srebrną dłoń i pociągnął. Początkowo nic się nie stało. Theros chwycił pierścień obiema dłońmi i szarpnął z całych sił. Żelazna płyta wydała przeraźliwy jęk

i zsunęła się na posadzkę ze zgrzytem, od którego aż ich ciarki przeszły.

– Cóżście uczynili? – Silvara, która stała przy nagrobku, przyglądając mu się ze smutkiem, raptownie odwróciła się ku nim.

Theros wstał ze zdumieniem na dźwięk ostrego tonu jej głosu. Laurana mimowolnie odsunęła się od ziejącego otworu w posadzce. Oboje spojrzeli na Silvarę.

– Nie podchodźcie tam! – ostrzegła Silvara drżącym głosem. – Odsuńcie się! Tam jest niebezpiecznie!

– Skąd wiesz? – spytała chłodno Laurana, odzyskując pewność siebie. – Nikogo tu nie było od setek lat. A może nie jest to prawda?

– Nie! – powiedziała Silvara, przygryzając wargę.

– Wiem o tym z... legend mego ludu...

Ignorując dziewczynę, Laurana zbliżyła się do krawędzi dziury i zajrzała do środka. Nawet trzymając pochodnię, jaką jej podał ze ściany Flint, nic nie widziała na dole. Z otworu unosił się słaby zapach stęchlizny i to wszystko.

– To mi nie wygląda na studnię – stwierdził Tas, przepychając się, by lepiej zobaczyć.

– Odejdźcie od niej! Proszę! – błagała Silvara. – Ona ma rację, złodziejaszku! – Theros złapał Tasa i odciągnął od dziury. – Gdybyś tam wpadł, mógłbyś przelecieć na drugą stronę świata.

– Naprawdę? – zapytał z zapartym tchem Tasslehoff.

– Rzeczywiście mógłbym przelecieć na drugą stronę świata, Therosie? Ciekawe, jak tam jest? Czy są tam ludzie? Tacy jak my?

– Miejmy nadzieję, że nie tacy jak kenderzy! – mruknął Flint. – Bo inaczej dawno już wymarliby z głupoty. Poza tym wszyscy wiedzą, że świat spoczywa na kowadle Reorxa. Ci, którzy spadną na drugą stronę świata, wpadną między jego młot a wciąż wykuwany świat. Ludzie po drugiej stronie, też mi pomysł! – zachnął się, przyglądając się Therosowi, który bezskutecznie próbował umieścić płytę na poprzednim miejscu. Tasslehoff wciąż gapił się na nią z ciekawością. Wreszcie Theros zmuszony był zaprzestać wysiłków, lecz tak długo mierzył kendera ponurym spojrzeniem, aż Tas westchnął głęboko i powędrował do kamiennych mar, popatrzeć tęsknym wzrokiem na tarczę i miecz.

Flint pociągnął Lauranę za rękaw.

– O co chodzi? – zapytała od niechcienia, myśląc o czym innym.

– Znam się na kamieniarstwie – rzekł cicho krasnolud – i wiem, że tu jest coś dziwnego. – Przerwał i zerknął czy Laurana przypadkiem nie śmieje się z niego. Jednakże Laurana przysłuchiwała mu się uważnie. – Grobowiec i posągi na zewnątrz są dziełem

ludzkich rąk. Grobowiec jest stary...

– Dość stary, by być grobowcem Humy? – przerwała Laurana.

– Pod każdym względem. – Krasnolud pokiwał głową dla podkreślenia. – Ale ta wielka bestia na zewnątrz – machnął ręką w kierunku kamiennego smoka – nie jest dziełem rąk człowieka ani elfa, ni krasnoluda.

Laurana zmrużyła oczy, nie rozumiejąc.

– Poza tym jest jeszcze starsza – rzekł krasnolud schrypniętym głosem. – tak stara, że to – machnął ręką w stronę grobowca – jest przy niej nowoczesne.

Laurana zaczęła pojmować. Flint, ujrawszy, że jej oczy rozszerzyły się, pokiwał głową powoli i z namaszczeniem.

– Żadna istota chodząca po Krynnie na dwóch nogach nie wykuła posągu w tej ścianie skalnej – powiedział.

– Musiała być to istota o ogromnej sile – szepnęła Laurana. – Olbrzymia istota...

– Skrzydlata...

– Skrzydlata – szepnęła Laurana.

Nagle przestała mówić i poczuła strach przejmujący ją do szpiku kości, bowiem postyszała śpiewne słowa, słowa, w których poznała osobliwy, tajemniczy język magii.

– Nie! – Odwracając się, uniosła odruchowo rękę, by zasłonić się przed zaklęciem, już wtedy wiedząc, że jest to bezcelowe.

Silvara stała obok ołtarza, krusząc w palcach płatki róż i nucąc cicho.

Laurana walczyła z zaczarowaną sennością, która ją ogarniała. Osunęła się na kolana, przeklinając swą głupotę i oparła się o kamienną ławę, by nie upaść. Nie pomogło. Podnosząc zasnutą sennością oczy, ujrzała przewracającego się Therosa i Gilthanasa, który padał na ziemię. Obok niej, krasnolud zaczął chrapać, zanim jeszcze uderzył głową o ławę.

Laurana usłyszała łoskot, jakby tarcza spadła na ziemię, a potem w powietrzu rozszedł się zapach róż.

Rozdział IX

Zaskakujące odkrycie kendera

Tasslehoff postłyszał śpiew Silvary. Poznając, że są to słowa zaklęcia, zareagował instynktownie, chwytając tarczę, która leżała na marach i pociągnął za nią. Ciężka tarcza spadła na niego, uderzając o posadzkę z dźwięcznym brzękiem, przygniatając kendera. Tarcza przykryła go całkowicie.

Leżał pod nią nieruchomo, póki nie usłyszał, że Silvara skończyła nucić. Nawet wtedy odczekał jeszcze kilka chwil, żeby sprawdzić, czy nie zamieni się w żabę, nie stanie w płomieniach, albo coś innego w tym stylu. Nic mu się nie stało – czym był raczej rozczarowany. Nawet nie słyszał Silvary. Wreszcie znudziło mu się leżenie w ciemności na zimnej kamiennej posadzce, więc wypęził spod ciężkiej tarczy, nie czyniąc więcej hałasu niż spadające piórko.

Wszyscy jego przyjaciele leżeli pogrążeni we śnie! A więc to taki czar na nich rzuciła. Lecz gdzie jest Silvara? Poszła gdzieś sprowadzić jakiegoś strasznego potwora, żeby ich zjadł?

Tas ostrożnie podniósł głowę i wyrzął zza sarkofagu. Ku swemu zdumieniu, zobaczył Silvarę skuloną na podłodze w pobliżu wejścia do grobowca. Kołysała się w przód i w tył, wydając przy tym zdławione odgłosy szlochania.

– Jak ja zdołam doprowadzić to do końca? – Tas usłyszał jej słowa skierowane do niej samej. – Sprowadziłam ich tutaj. Czyż to nie dość? Nie! – Potrząsnęła żałośnie głową. – Nie, odesłałam kulę. Oni nie wiedzą, jak jej użyć. Muszę złamać przysięgę. Tak, jak mówiłaś, siostró – wybór należy do mnie. Jakże jednak jest trudny! Kocham go...

Szlochając i mamrocząc do siebie jak opętana, Silvara spuściła głowę na kolana, zasłaniając twarz. Kender o czułym sercu nigdy nie widział takiego żalu i bardzo chciał ją pocieszyć. Wtedy uświadomił sobie, że to, o czym ona mówi, nie brzmi miło. – Decyzja jest trudna, złamać przysięgę...

Nie, pomyślał Tas, lepiej poszukać drogi wyjścia stąd, zanim ona się zorientuje, że zaklęcie nie podziałało na mnie.

Jednak Silvara zasłaniała drzwi do grobowca. Mógłby spróbować prześlizgnąć się obok niej... Tas potrząsnął głową. Zbyt ryzykowne.

Dziura! Rozpromienił się. I tak chciał ją zbadać dokładniej. Miał tylko nadzieję, że pokrywa jest nadal zdjęta.

Kender obszedł na palcach mary, aż dotarł do ołtarza. Nadal ziała tam otwarta dziura.

Theros leżał obok z głową wspartą na srebrnym ramieniu, pogrążony w głębokim śnie. Oglądając się na Silvarę, Tas zakradł się po cichu do otworu.

Z całą pewnością łatwiej się tu schować niż tam, gdzie jest teraz. Nie było stopni, lecz dostrzegł uchwyty wystające ze ściany. Zwinny kender – taki jak on – nie powinien mieć żadnych trudności z zejściem na dół. Może droga ta wiedzie na zewnątrz. Nagle Tas usłyszał jakiś hałas za sobą. To Silvara wzdycha i porusza się...

Nie namyślając się dłużej, Tas cicho ześlizgnął się do otworu i zaczął się spuszczać w dół. Ściany były śliskie od wilgoci i mchu, a uchwyty rozstawione w zbyt dużych odległościach. Zbudowane z myślą o istotach ludzkich, pomyślał z irytacją. Nikt nie bierze pod uwagę małych ludzi!

Tak był zajęty, że nawet nie zauważył klejnotów, póki dosłownie nie znalazły się tuż pod jego nosem.

– Na brodzie Reorxa! – zaklął (bardzo lubił to przekleństwo, które zapożyczył od Flinta). Sześć prześlicznych klejnotów – każdy wielkości jego dłoni – tkwiło w ścianie szybu, tworząc poziomy pierścień. Były porośnięte mchem, lecz Tasowi wystarczyło jedno spojrzenie, by określić, jak są cenne.

– Ciekawe, po co ktoś miałby wkładać tu tak cudowne klejnoty? – zapytał na głos. – Założę się, że to był jakiś złodziej. Jeśli wydlubię te kamienie, zwrócę je ich prawowitemu właścicielowi. – Dotknął klejnotu.

W szybie zahuczał nagle straszny wiatr, odrywając kendera od ściany tak łatwo, jak zimowy wichur zrywa liść z drzewa. Spadając, Tas popatrzył w górę, obserwując malejące światełko na szczycie szybu. Krótco zastanawiał się, jak duży jest młot Reorxa, a potem przestał spadać.

Przez chwilę koziółkował na wietrze, a potem wiatr zmienił kierunek, niosąc go gdzieś w bok. Jednak nie spadną na drugą stronę świata, pomyślał z żalem. Wzdychając, szybował kolejnym tunelem. Wtem niespodziewanie poczuł, że się wznosi! Silny wiatr pchał go w górę szybu! Było to niezwykle uczucie, całkiem przyjemne. Instynktownie rozłożył ręce, by zobaczyć, czy zdoła dotknąć ścian. Rozłożywszy ramiona, poczuł, że wznosi się szybciej, łagodnie niesiony ku górze przez szybkie prądy powietrzne.

Może jestem nieżywy, pomyślał Tas. Jestem teraz nieżywy i lżejszy od powietrza. Skąd mam to wiedzieć? Spuściwszy ręce, zaczął rozpaczliwie szukać swoich sakiewek. Kender nie był pewien – miał bardzo mętne wyobrażenie o życiu pozagrobowym – lecz odnosił wrażenie, że nie pozwolono by mu zabrać ze sobą jego rzeczy. Nie, wszystko jest na swoim miejscu. Tas westchnął z ulgą, która zmieniła się w jęk przerażenia, gdy odkrył, iż

zwalnia tempo, a nawet zaczyna spadać!

Co to? – pomyślał rozpaczliwie, a potem zdał sobie sprawę, że przycisnął obie ręce do ciała. Szybko znów je wyciągnął i oczywiście zaczął się wznosić. Przekonany już, że nie jest martwy, rozkoszował się lotem.

Trzepocząc, rękoma, kender przewrócił się na plecy w powietrzu i spojrzął w górę, by zobaczyć, dokąd leci.

Aha, wysoko nad nim było światło, które z każdą chwilą stawało się coraz jaśniejsze. Teraz widział już, że znajduje się w szybie, lecz znacznie dłuższym, niż ten, którym spadał.

– Zaczekaj, aż Flint się o tym dowie! – powiedział z żalem. Potem dostrzegł sześć drogocennych kamieni podobnych do tych, które widział w tamtym szybie. Pęd wiatru zaczął maleć.

Właśnie kiedy Tas doszedł do wniosku, że latanie jako sposób życia mogłoby mu się spodobać, dotarł do szczytu szybu. Strumień powietrza utrzymywał go na wysokości kamiennej posadzki komnaty, którą oświetlały pochodnie. Tas czekał chwilę, by sprawdzić, czy nie polecą dalej, a nawet pomachał trochę rękoma, ale nic nie pomogło. Najwyraźniej jego lot dobiegł końca.

Skoro już tu jestem, mogę zbadać, co tu jest, pomyślał kender z westchnieniem. Wskoczywszy ze strumienia powietrza, wylądował lekko na kamiennej posadzce, a potem zaczął się rozglądać.

Na ścianach płonęły pochodnie, rozświetlając komnatę jaskrawym, białym światłem. Ta sala na pewno była większa od grobowca! Znajdował się u stóp wielkich, krętych schodów. Olbrzymie, kamienne płyty stopni – a także wszystkie inne kamienie w tej sali – były czysto białe, całkiem inne od czarnego kamienia grobowca. Schody skręcały na prawo, prowadząc najprawdopodobniej na następny poziom komnaty. U góry widać było poręcz przy schodach – najwyraźniej był tam jakiś balkon. Wykręcając głowę tak, że mało sobie karku nie skręcił, Tas był przekonany, że zobaczył spirale i plamy jaskrawych kolorów lśniących w świetle pochodni na przeciwległej ścianie.

Ciekaw był, kto zapalił te pochodnie. Co to za miejsce? Część grobowca Humy? A może wleciałem do Smoczjej Góry? Kto tu mieszka? Te pochodnie przecież same się nie zapaliły?

Kiedy Tas pomyślał o tym, wyciągnął zza pazuchy mały nóż – na wszelki wypadek. Ściskając go w dłoni, wspiął się po wielkich schodach na balkon. Była to olbrzymia komnata, lecz niewiele było widać w migotliwym blasku pochodni. Wysokie, masywne sklepienie wsparte było na gigantycznych kolumnach. Z poziomu balkonu kolejne schody prowadziły na

następne piętro. Tas odwrócił się i oparł o barierkę, by przyjrzeć się ścianom za jego plecami.

– Na brodę Reorxa! – rzekł cicho. – Spójrzcie tylko na to!

To był obraz. Ściślej mówiąc, fresk. Zaczynał się on naprzeciwko miejsca, gdzie stał Tas, u szczytu schodów, i ciągnął się wzdłuż balkonu, metr za metrem migotliwych barw. Kender nie interesował się zbytnio sztuką, lecz nie przypominał sobie, by kiedykolwiek przedtem widział coś równie pięknego. A może widział? Fresk jakoś wydawał mu się znajomy. Im dłużej przyglądał mu się, tym bardziej był przekonany, że już go kiedyś widział.

Tas przyjrzał się obrazowi, próbując przypomnieć sobie. Na ścianie naprzeciw niego namalowano okropną scenę przedstawiającą nadlatujące smoki wszelkich kolorów i kształtów. Miasta stały w płomieniach – jak Tarsis – domy waliły się, ludzie uciekali. To był straszny widok i kender szybko go minął.

Kontynuował spacer wokół balkonu, nie odrywając oczu od malowidła. Właśnie dotarł do środkowej części fresku, kiedy jęknął.

– Smocza Góra! O właśnie – tu, na ścianie! – szepnął do siebie i z zaskoczeniem usłyszał, że szept wrócił do niego echem. Rozejrzawszy się pośpiesznie, podkraść się do brzegu balkonu. Wychylając się przez poręcz, popatrzył uważnie na obraz. Rzeczywiście, była na nim Smocza Góra, w której teraz się znajdował. Jednakże przedstawiał on ją tak, jakby miecz jakiegoś olbrzyma przeciął całą górę wzdłuż na pół!

– Jakie wspaniałe! – westchnął uwielbiający mapy kender. – Oczywiście – rzekł. – Przecież to mapa! A ja jestem tutaj! Dostałem się do środka góry. – Powiódł wzrokiem po sali, nagle zrozumiał. – Jestem w gardle smoka! Dlatego ta komnata ma taki dziwny kształt. – Odwrócił się znów do mapy. – Tu jest malowidło na ścianie i balkon, na którym stoję. I kolumny... – Obrócił się dookoła. – Tak, a tu są wielkie schody. – Znów się odwrócił. – Prowadzą prosto do smoczej głowy! A tędy się tu dostałem. To jakby komnata wiatrów. Ale kto ją zbudował... i po co?

Tasslehoff chodził dalej wzdłuż balkonu, mając nadzieję, że znajdzie jakąś wskazówkę na obrazie. Po prawej stronie galerii malowidło przedstawiało następną bitwę. Ta jednak nie wzbudziła w nim lęku. Na obrazie były czerwone smoki i czarne, niebieskie i białe – ziejące ogniem i lodem – lecz walczyły z nimi inne smoki, smoki w kolorze srebra i złota...

– Pamiętam! – wrzasnął Tasslehoff. Kender zaczął podskakiwać, krzycząc jak dzikus. – Pamiętam, pamiętam! To było w Pax Tharkas. Fizban mi pokazał. Na świecie są dobre smoki. Pomogą nam walczyć ze złymi! Trzeba je tylko znaleźć. A tu są smocze lance!

– Tam do licha! – burknął czyjś głos z dołu. – Czy tu nie można się choć trochę przespać! Co to za wrzaski! Hałasujesz tak, że pobudziłyś zmarłych!

Zaniepokojony Tasslehoff odwrócił się pośpiesznie, trzymając nóż w ręku. Mógłby przysiąc, że jest na górze sam. Lecz nie. Z kamiennej ławy stojącej w mrocznym kącie poza kręgiem światła pochodni podnosiła się ciemna postać w luźnej szacie. Przeciągnęła się, otrząsnęła, a potem wstała i weszła na schody, zbliżając się szybko do kendera. Tas nie zdołałby uciec, nawet gdyby chciał, a poza tym stwierdził, że jest straszliwie ciekawy tego, kto to jest. Otworzył usta, by zapytać tę dziwną istotę, kim jest i czemu wybrała gardło Smoczej Góry na drzemkę, gdy postać weszła w krąg światła. Był to starzec. Był to...

Nóż Tasslehoffa spadł ze stukiem na podłogę. Kender oparł się bezwładnie o barierkę. Po raz pierwszy, ostatni i jedyny w swym życiu, Tasslehoff Burrfoot zapomniał języka w gębie.

– F-F-F... – tylko tyle zdołał wychrypieć.

– No, co tam? Mów głośno! – burknął starzec, nachylając się nad nim. – Jeszcze minutę temu robiłeś tyle hałasu. Co ci jest? Coś ci wpadło nie tam, gdzie trzeba?

– F-F-F... – wyjąkał cichutko Tas.

– Och, biedny chłopiec. Jesteś upośledzony, prawda? Zaburzenia mowy. To smutne, smutne. Masz tu – Starzec zaczął szukać w swych szatach, otwierając rozliczne sakiewki, a tymczasem Tas stał przed nim i dygotał.

– Masz – powtórzył stary człowiek. Wyciągnąwszy monetę, położył ją na zdętwiałej dłoni kendera i zacisnął na niej jego małe, bezwładne palce. – A teraz zmykaj. Znajdź jakiegoś kleryka...

– Fizban! – wreszcie zdołał wykrztusić Tasslehoff.

– Gdzie! – Staruszek odwrócił się raptownie. Unosząc laskę, popatrzył lękliwie w mrok. Wtedy coś mu przyszło do głowy. Odwracając się, zapytał Tasa głośnym szeptem – Słuchaj, pewny jesteś, że widziałeś tego Fizbana? Czy on przypadkiem nie jest nieżywy?

– Tak mnie się wydawało... – powiedział żałośnie Tas.

– W takim razie nie powinien kręcić się tu i straszyć ludzi – oświadczył oburzony starzec. – Już ja z nim porozmawiam. Hej, ty tam! – zaczął krzyczeć.

Tas wyciągnął drżącą rączkę i pociągnął staruszka za szatę. – N-nie jestem pewny, ale chyba to ty jesteś Fizban.

– Nie, serio? – powiedział stary mężczyzna, wyraźnie zaskoczony. – Rzeczywiście dziś rano trochę kiepsko się czułem, ale nie miałem pojęcia, że aż tak źle ze mną. – Zgarbił się. – Więc umarłem. Wykorkowałem. Odwaliłem kitę. Kopnąłem w kalendarz. – Zataczając się, doszedł do ławy i usiadł ciężko. – Czy miałem ładny pogrzeb? – zapytał. – Czy przyszło dużo ludzi? Była salwa z dwudziestu jeden dział? Zawsze marzyła mi się salwa z dwudziestu

jeden dział.

– Ja-ee – zająknął się Tas, zastanawiając się, co to jest działo. – Wiesz, to była... raczej... powiedzmy, uroczystość pożegnalna. Widzisz, nie mogliśmy znaleźć twoich – jakby to powiedzieć...?

– Szczątków? – odpowiedział pomocnie starzec.

– No... szczątków. – Tas się zaczerwienił. – Szukaliśmy, ale te wszystkie kurze piórka... no i ten czarny elf... i Tanis powiedział, że mieliśmy szczęście, że uszliśmy z życiem...

– Kurze piórka! – rzekł z urazą staruszek. – Co mają wspólnego kurze pióra z moim pogrzebem?

– My... to znaczy ty i ja, i Sestun. Pamiętasz Sestuna, krasnoluda żlebowego? No więc, w Pax Tharkas był ten ogromniasty łańcuch. I czerwony smok. Wisieliśmy na łańcuchu i smok zionął ogniem i łańcuch się zerwał i spadaliśmy... – Opowiadając tę historię, Tas zaczął się rozkręcać; była to jedna z jego ulubionych opowiastek – i wiedziałem, że to już koniec. Mieliśmy zginąć. Musieliśmy

spadać z dwudziestu pięciu metrów (wysokość wzrastała za każdym razem, gdy Tas opowiadał tę historię), a ty byłeś pode mną i usłyszałem, jak nucisz zaklęcie...

– Tak, wiesz, jestem całkiem niezłym czarodziejem.

– No, właśnie – wyjąkał Tas, po czym kontynuował pośpiesznie. – Nucieś to zaklęcie – *Piórkospadanie*, czy coś takiego. W każdym razie, wypowiedziałeś tylko pierwsze słowo, piórko i nagle... – kender rozłożył ręce, a na to wspomnienie na jego twarzy odmalował się wyraz podziwu zmieszanego z lękiem – pojawiły się niezliczone miliony, miliony kurzych piórek...

– I co było potem ? – spytał natarczywie starzec, szturchając Tasa.

– No, właśnie od tego momentu trochę się...ee...namieszało – powiedział Tas. – Usłyszałem wrzask i łomot. Cóż, właściwie był to raczej taki odgłos, jakby się coś rozplasnęło, no i ja ... pomyślałem sobie, że to ty się rozplasnęłaś.

– Ja? – wrzasnął starzec. – Rozplasnąć się! – Staruszek zmierzył kendera wściekłym spojrzeniem. – Ja nigdy w życiu się nie rozplaskiwałem!

– Wtedy Sestun i ja spadliśmy w to pierze razem z łańcuchem. Ja szukałem – naprawdę. – Tasowi łzy stanęły w oczach na wspomnienie jego rozpaczliwych poszukiwań ciała staruszka. – Ale tych piór było za dużo... no i to straszne zamieszanie na zewnątrz, gdzie walczyły smoki. Sestunowi i mnie udało się dotrzeć do drzwi, a potem znaleźliśmy Tanisa i chciałem jeszcze wrócić, żeby cię poszukać, ale Tanis nie pozwolił...

– Więc zostawiłeś mnie pogrzebanego pod stertą kurzych piór.

– To była naprawdę strasznie miła ceremonia pożegnalna – zająknął się Tas. – Przemawiała Goldmoon i Elistan. Nie spotkałeś Elistana, ale Goldmoon pamiętasz, prawda? I Tanisa też?

– Goldmoon... – szepnął szaruszek. – Ach, tak. Śliczna dziewczyna. Kochał się w niej taki duży, poważnie wyglądający facet.

– Riverwind! – rzekł podniecony Tas. – A Raistlin?

– Taki chudzielec. Diabelnie dobry czarodziej – stwierdził z powagą starzec – ale nigdy do niczego nie dojdzie, jeśli czegoś nie zrobi z tym kaszlem.

– Ty naprawdę jesteś Fizbanem! – powiedział Tas. Podskakując radośnie, objął starca i uściskał go z całych sił.

– No już, już – rzekł Fizban z zakłopotaniem, poklepując Tasa po plecach. – Już wystarczy. Pognieciesz mi szaty. Nie smarkaj. Nie znoszę tego. Potrzebna ci chusteczka?

– Nie, mam własną...

– No, tak już lepiej. Oo, ta chusteczka jest chyba moja. Tu jest mój monogram...

– Naprawdę? Musiałeś ją upuścić.

– Teraz sobie przypomniałem! – powiedział głośno starzec. – Nazywasz się Tassle, Tassle-coś-tam.

– Tasslehoff. Tasslehoff Burrfoot – odparł kender.

– A ja nazywam się... – stary człowiek przerwał. – Powiedziałeś, że jak ja mam na imię?

– Fizban.

– Fizban. Tak... – Starzec zastanawiał się przez chwilę, a potem pokręcił głową. – A przekonany byłem, że on nie żyje...

Rozdział X

Sekret Silvary

– Jak przeżyłeś? – zapytał Tas, wyciągając z torby suszone owoce, by podzielić się nimi z Fizbanem.

Staruszek popatrzył smutno. – Naprawdę wydawało mi się, że wcale nie przeżyłem – powiedział przepaszająco. – Obawiam się, że nie mam najmniejszego pojęcia, jak to się stało. Kiedy jednak się nad tym zastanowić, od tamtej pory nie mogłem zjeść kurczaka. Ale, ale – zmierzył kendera byстрыm spojrzeniem – co ty tu robisz?

– Przyszedłem z moimi przyjaciółmi. Reszta gdzieś błądzi w okolicy, jeśli jeszcze żyje. – Znów pociągnął nosem.

– Żyją, żyją. Nie martw się. – Fizban poklepał go po plecach.

– Naprawdę tak myślisz? – Tas rozpromienił się. – W każdym razie, jesteśmy tu z Silvarą...

– Silvarą! – Starzec zerwał się na równe nogi. Siwe włosy rozwiały mu się dziko. Twarz nabrała przytomnego wyrazu.

– Gdzie ona jest? – starzec zapytał surowo. – A twoi przyjaciele, gdzie oni są?

– N-na dole – wyjąkał Tas, zdumiony zmianą, jaka nastąpiła w starym człowieku. – Silvarą rzuciła na nich czar!

– No, proszę, proszę – wymamrotał starzec. – Zajmiemy się tym. Chodź. – Zaczął iść wzdłuż balkonu tak szybko, że Tas musiał biec, by go dogonić.

– Mówiłeś, że gdzie są? – zapytał starzec, zatrzymując się przy schodach. – Tylko mów konkretnie – warknął.

– Ee – w grobowcu! W grobowcu Humy! Tak mi się wydaje, że to grobowiec Humy. Tak powiedziała Silvarą.

– Hm. Przynajmniej nie będziemy musieli chodzić.

Zszedłszy ze schodów i zbliżywszy się do otworu, którym przybył Tas, staruszek stanął na jego środku. Tas z duszą na ramieniu stanął obok starca, łapiąc go za szaty. Wisieli zawieszeni nad czarną otchłanią, czując owiewające ich strumienie chłodnego powietrza.

– Na dół – powiedział starzec. Zaczęli się wznosić, szybując ku sufitowi górnej galerii. Tas stwierdził, że włosy mu stają dęba.

– Powiedziałem na dół! – krzyknął ze złością starzec, wygrażając dziurze łaską.

Rozległo się młaśnięcie i obaj zostali wessani do otworu tak szybko, że Fizbanowi spadł kapelusz. Jest zupełnie taki, jak ten, który zgubił w legowisku czerwonego smoka, po-

myślał Tas. Był zmięty, bezkształtny i najwyraźniej obdarzony własną wolą. Fizban rozpaczliwie zamachnął się, usiłując go złapać, lecz bez skutku. Kapelusz jednak łagodnie opadał za nimi, jakieś siedemnaście metrów wyżej.

Zafascynowany Tasslehoff zerknął w dół i chciał już zadać pytanie, lecz Fizban uciszył go. Chwyciwszy mocno swą laskę, mag zaczął szeptać coś pod nosem, rysując osobliwy znak w powietrzu.

Laurana otworzyła oczy. Leżała na zimnej, kamiennej ławie, patrząc na czarny, połyskujący sufit. Nie miała pojęcia, gdzie się znajduje. Wtedy wróciła jej pamięć. Silvara!

Siadając szybko, powiodła wokół spojrzeniem. Flint jęczał i rozcierał sobie kark. Theros mrugał oczami i rozglądał się ze zdumieniem. Gilthanas, który wstał już wcześniej, stał na końcu grobowca Humy, spoglądając na coś przy drzwiach. Kiedy Laurana zbliżyła się do niego, odwrócił się. Przykładając palec do warg, skinął głową w stronę drzwi.

Siedziała tam Silvara, która zasłoniła twarz rękoma i szlochała gorzko.

Laurana zawahała się, a pełne goryczy słowa zamarły jej na wargach. Z pewnością nie tego się spodziewała. A czego się właściwie spodziewała? – zadawała sobie pytanie. Najprawdopodobniej tego, że nigdy się nie obudzi. Musi istnieć jakieś wytłumaczenie, Zrobiła krok naprzód.

– Silvaro... – zaczęła.

Dziewczyna podskoczyła, podnosząc białą ze strachu, zapłakaną twarz.

– Dlaczego nie śpicie? – Jak wyzwoliliście się spod mego czaru? – wysapała, przywierając plecami do ściany.

– Nieważne! – odparła Laurana, choć nie miała pojęcia, w jaki sposób przebudziła się. – Powiedz nam...

– To moje dzieło! – oświadczył głęboki głos. Laurana i pozostali odwrócili się i ujrzeli siwobrodego starca w szatach mysiego koloru, który majestatycznie wznosił się z otworu w podłodze.

– Fizban! – szepnęła Laurana z niedowierzaniem. Rozległ się łomot i huk. Flint zemdlał i zwałił się jak kłoda. Nikt nawet nie spojrział na niego. Wszyscy tylko wpatrywali się w starego czarodzieja, zdjęci strachem. Wtem Silvara rzuciła się na posadzkę z przenikliwym krzykiem, drżąc i płacząc cicho.

Ignorując spojrzenia pozostałych, Fizban przemaszerował po posadzce grobowca obok sarkofagu i nieprzytomnego krasnoluda, by zatrzymać się przy Silvarze. Za nim z dziury wygramolił się Tasslehoff.

– Patrzcie, kogo znalazłem – powiedział z dumą kender. – Fizbana! Laurano, ja

latałem. Wskoczyłem do dziury i wyleciałem prosto w powietrze. I tam na górze jest ma-
lowidło ze złotymi smokami, a potem Fizban podniósł się i nakrzyczał na mnie – i muszę
przyznać, że zrobiło mi się trochę dziwnie. Nie mogłem wykrztusić słowa i... co się stało
Flintowi?

– Cicho, Tas – rzekła słabym głosem Laurana, nie odrywając oczu od Fizbana. Ten,
przyklękawszy, potrząsnął dziewczyną z plemienia dzikich elfów.

– Silvaro, co ty zrobiłaś? – zapytał surowo Fizban.

Laurana pomyślała, że zapewne pomyliła się – to musi być jakiś inny starzec w
ubraniu starego czarodzieja. Ten potężny mężczyzna o surowej, poważnej twarzy z pewnością
nie był tym sklerotycznym starym magiem, jakiego pamiętała. Ale nie, tę twarz poznałaby
wszędzie, nie wspominając już o kapeluszu!

Obserwując tych dwoje – Silvarę i Fizbana – Laurana wyczuwała olbrzymią i
starszliwą moc krążącą pomiędzy nimi, niczym bezgłośny grom. Miała ogromną ochotę uciec
stąd i nie zaprzestawać biegu, póki nie padnie z wyczerpania. Nie była zdolna jednak ruszyć
się z miejsca. Mogła tylko przyglądać się.

– Co uczyniłaś, Silvaro? – dopytywał się Fizban. – Złamałaś przysięgę!

– Nie! – Dziewczyna jęknęła, wijąc się u stóp starego maga. – Nie, nieprawda. Jeszcze
nie...

– Zesłaś na ziemię w obcym ciele, wtrącając się do spraw ludzkich. Samo to
wystarczyłoby. Ale ty sprowadziłaś ich tutaj!

Zapłakaną twarz Silvary wykrzywił grymas cierpienia. Laurana poczuła, że
niepowstrzymane łzy cieką jej po policzkach.

– Dobrze więc! – krzyknęła wyzywająco Silvara. – Złamałam przysięgę, a
przynajmniej taki miałam zamiar. Przyprowadziłam ich tutaj. Musiałam! Widziałam te nie-
szczęścia i cierpienie. Poza tym... – ściszyła głos i spojrzała gdzieś w dal – oni mieli kulę...

– Tak – rzekł Fizban cicho. – Smoczą kulę. Zabraną z zamku na Lodowej Ścianie.
Dostała się w twoje ręce. Co z nią zrobiłaś, Silvaro? Gdzie ona jest teraz?

– Odesłałam ją stąd... – rzekła Silvara niemal niedosłyszalnym głosem.

Wydawało się, że Fizban postarzał się. Na jego twarzy odmalowało się znużenie.
Wzdychając głęboko, wsparł się ciężko na lasce. – Gdzie ją wysłałaś, Silvaro? Gdzie jest
teraz smocza kula?

– S-Sturm ją ma – przerwała zalękniona Laurana. – Zabrał ją na Sancrist. Co to
oznacza? Czy Sturmowi grozi niebezpieczeństwo?

– Komu? – Fizban obejrzał się przez ramię. – Och, witaj, moja droga – Uśmiechnął się

do niej radośnie. – Jak to miło znów cię zobaczyć. Jak tam twój ojciec?

– Mój ojciec... – Laurana potrząsnęła zdezorientowana głową. – Posłuchaj, starcze, darujmy sobie rozmowy o moim ojcu. Kto...

– O, jest i twój brat. – Fizban wyciągnął rękę do Gilthanasa. – Miło mi cię ujrzeć, synu. I pana. – Ukłonił się zdumionemu Therosowi. – Srebrna ręka? Ojej – rzucił ponownie spojrzenie na Silvarę – cóż za zbieg okoliczności. Theros Ironfeld, nieprawdaż? Wiele o panu słyszałem. A ja nazywam się...

Stary czarodziej przerwał i zmarszczył czoło.

– Nazywam się...

– Fizban – podsunął pomocnie Tasslehoff.

Lauranie wydawało się, że dostrzegła, jak stary mag posyła Silvarze ostrzegawcze spojrzenie. Dziewczyna spuściła głowę, jakby potwierdzając jakiś bezgłośny, tajny sygnał, który jej posłał.

Zanim jednak Laurana zdołała poskładać swe rozbiegane myśli, Fizban zwrócił się ponownie do niej. – Pewnie zastanawiasz się, Laurano, kim jest Silvara? Od Silvary zależy, czy ci powie. Bowiem ja muszę już was opuścić. Przede mną długa droga.

– Czy muszę im powiedzieć? – spytała cicho Silvara. Wciąż klęczała i mówiąc to, spojrzała na Gilthanasa. Fizban poszedł za jej spojrzeniem. Kiedy ujrzał stroskaną twarz elfiego pana, jego mina złagodniała. Potem potrząsnął głową ze smutkiem.

Silvara wzniosła do niego ręce w błagalnym geście. Fizban powoli zbliżył się do niej. Biorąc ją za ręce, postawił ją na nogi. Objęła go, a on przycisnął ją do piersi.

– Nie, Silvaro – rzekł łagodnym i serdecznym głosem – nie musisz im mówić. Przed tobą ten sam wybór, jaki miała twoja siostra. Możesz sprawić, że w ogóle zapomną o tym, że tu byli.

Nagle jedynym kolorem, jaki pozostał w twarzy Silvary, był głęboki błękit jej oczu. – Lecz to będzie oznaczało...

– Tak, Silvaro – rzekł. – To zależy od ciebie. – Ucałował dziewczynę w czoło. – Żegnaj, Silvaro.

Odwracając się, zmierzył spojrzeniem resztę drużyny. – Do widzenia, do widzenia. Miło was było znów zobaczyć. Trochę mi przykro z powodu tego pierza, ale nie mam urazy. – Cekał niecierpliwie minutę, patrząc gniewnie na Tasslehoffa. – Idziesz wreszcie? Nie mam całej nocy na czekanie!

– Idę? Z tobą? – krzyknął Tas, wypuszczając głowę Flinta, która ponownie z hukiem uderzyła w posadzkę. Kender wstał. – Jasne, tylko wezmę plecak... – Potem zatrzymał się i

spojrzał na nieprzytomnego krasnoluda. – Flincie..

– Nic mu nie będzie – obiecał Fizban. – Nie będziesz długo z dala od swych przyjaciół. Zobaczymy się ponownie za... – zmarszczył brwi, mamrocząc pod nosem – ... siedem dni, dodać trzy, odjąć jeden, ile to jest siedem razy cztery? Nieważne, około pory głodu. Wtedy odbędzie się posiedzenie rady. Chodź już wreszcie. Mam masę roboty. Twój przyjaciele są w dobrych rękach. Silvara zajmie się nimi, prawda, moja droga? – Zwrócił się do dzikiej elfki.

– Powiem im – obiecała smutnym głosem, spoglądając na Gilthanasa.

Elfi szlachcic przyglądał się jej i Fizbanowi z pobladłą twarzą. Zdjął go strach.

Silvara westchnęła. – Masz rację. Złamałam przysięgę dawno temu. Muszę dokończyć to, co zaczęłam.

– Rób to, co uważasz za najlepsze. – Fizban położył dłoń na głowie Silvary, głaszcząc ją po srebrzystych włosach. Potem odwrócił się.

– Czy spotka mnie kara? – zapytała w chwili, gdy starzec wszedł w cień.

Fizban zatrzymał się. Potrząsając głową, obejrzał się przez ramię. – Niektórzy powiedzieliby, że już jesteś ukarana, Silvaro – rzekł cicho. – Lecz to, co robisz, robisz z miłości. Tak, jak wybór należał do ciebie, taka jest i twoja kara.

Starzec wszedł w mrok. Tasslehoff popędził za nim tak, że aż mu sakwy podskakiwały. – Do widzenia, Laurano! Do widzenia, Therosie! Zaopiekujcie się Flintem! – W ciszy, jaka zapanowała, Laurana usłyszała głos starca.

– Jak to ja mam na imię? Fizbut, Furball...

– Fizban! – zapiszczał Tas.

– Fizban... Fizban... – mamrotał starzec.

Wszyscy spojrzeli na Silvarę.

Dziewczyna była teraz spokojna, pogodzona ze sobą. Chociaż na jej twarzy malował się żal, nie był to ten pełen udręki gorzki żal, jaki widzieli przedtem. Był to smutek straty, spokojny, pełen akceptacji smutek kogoś, kto nie ma czego żałować. Silvara podeszła do Gilthanasa. Wzięła go za rękę i popatrzyła mu w oczy z taką miłością, iż Gilthanas czuł się pobłogosławiony, choć wiedział, że zamierza pożegnać się z nim.

– Tracę cię, Silvaro – szepnął urywanym głosem. – Widzę to w twoich oczach. Nie wiem jednak, czemu! Kochasz mnie...

– Kocham cię, elfi księżę – powiedziała cicho Silvara. – Pokochałam cię, gdy ujrzałam cię rannego, leżącego na piasku. Kiedy podniosłeś głowę i spojrziałeś na mnie, wiedziałam, że los, który spotkał mą siostrę, przypadnie również mnie w udziale. – Westchnęła. –

Lecz takie jest ryzyko, jakie podejmujemy przyjmując tę postać. Bo choć wnosimy w nią własną siłę, forma narzuca nam swe słabości. A może to nie jest słabość? Miłość...

– Silvaro, ja nie rozumiem! – krzyknął Gilthanas.

– Zrozumiesz – obiecała cicho. Spuściła głowę.

Gilthanas wziął ją w ramiona. Wtuliła twarz w jego pierś. On ucałował jej piękne, srebrzyste włosy, a potem przytulił ze szlochem.

Laurana odwróciła głowę. Ich smutek wydawał się taką świętością, że patrząc na nich, czuła się intruzem. Łykając łzy, rozejrzała się i wtedy przypomniała sobie o krasnoludzie. Nalała nieco wody z jego bukłaka i spryskała nią twarz Flinta.

Jego powieki zatrzepotały, a potem podniosły się. Krasnolud patrzył na Lauraną przez chwilę i wyciągnął do niej drżącą rękę.

– Fizban! – wychrypiął krasnolud.

– Wiem – powiedziała Laurana, zastanawiając się, jak krasnolud przyjmie wieści o odejściu Tasa.

– Fizban nie żyje! – wy sapał Flint. – Tas tak powiedział! Zginął w stercie pierza! – Krasnolud usiłował się podnieść. – Gdzie jest ten pustogłowy kender?

– Nie ma go, Flincie – rzekła Laurana. – Odszedł z Fizbanem.

– Jak to, odszedł? – Krasnolud powiódł dookoła błędnym wzrokiem. – Pozwoli liście mu pójść? Z tym starcem?

– Obawiam się, że tak..

– Pozwoliliście mu pójść z nieżywym starcem?

– Naprawdę nie mieliśmy wielkiego wyboru. – Laurana uśmiechnęła się. – Sam tak zdecydował. Nic mu się nie stanie...

– Dokąd poszli? – Flint wstał i zarzucił plecak na ramiona.

– Nie możesz pójść za nimi – powiedziała Laurana. – Proszę, Flincie. – Otoczyła ramieniem krasnoluda. – Potrzebuję cię. Jesteś najstarszym przyjacielem Tanisa, moim doradcą...

– Ale on poszedł beze mnie – rzekł żałośnie Flint. – Jak on mógł odejść? Nie widziałem, jak odchodził?

– Zemdlałeś...

– Nieprawda! – zaperzył się krasnolud.

– Straciłeś... przytomność – wyjąkała Laurana.

– Ja nigdy nie mdleję! – oświadczył krasnolud z oburzeniem. – To musiał być nawrót owej śmiertelnej choroby, jakiej dostałem na pokładzie tego statku... – Flint rzucił plecak i

usiadł ciężko obok niego. – Idiota z tego kendera. Żeby uciec z martwym starcem.

Theros zbliżył się do Laurany i odciągnął ją na bok. – Kim był ten stary człowiek? – zapytał z ciekawością.

– To długa historia. – Laurana westchnęła. – Poza tym, i tak nie jestem pewna, czy umiałabym odpowiedzieć na to pytanie.

– Wydaje mi się znajomy. – Theros zmarszczył czoło i potrząsnął głową. – Nie mogę jednak przypomnieć sobie, gdzie go już widziałem, choć nasuwa mi się na myśl Solące i gospoda „Ostatni Dom”. I on mnie znał... – Kowal spojrzał na swą srebrną rękę. – Kiedy spojrzał na mnie, poczułem przechodzący mnie dreszcz, jakby piorun strzelił w drzewo. – Ogromny kowal zadrżał, a potem popatrzył na Gilthanasa i Silvarę. – A co z nimi?

– Myślę, że wreszcie dowiemy się – powiedziała Laurana.

– Miałaś rację – stwierdził Theros. – Nie ufałaś jej...

– Ale nie z właściwego powodu – przyznała Laurana z poczuciem winy.

Westchnąwszy lekko, Silvara odsunęła się od Gilthanasa. Elfi pan niechętnie ją wypuścił.

– Gilthanasie – rzekła, biorąc głęboki, drżący oddech – zdejmij pochodnię ze ściany i unieś ją przede mną.

Gilthanas zawahał się. Następnie niemal gniewnie wykonał jej polecenie.

– Trzymaj pochodnię tutaj... – poleciła, kierując jego dłoń tak, by światło paliło się tuż przed nią. – Teraz – spójrz na mój cień na ścianie za mną – powiedziała drżącym głosem.

W grobowcu panowała cisza, przerywana jedynie skwierczeniem pochodni. Cień Silvary ożył na zimnym, kamiennym murze za nią. Przyjaciele przyglądali mu się – i przez moment – nikt nie był w stanie powiedzieć choćby słowa.

Cień, jaki Silvara rzucała na ścianę, nie był cieniem młodej elfiej panny.

Był to cień smoka.

– Ty jesteś smokiem! – stwierdziła z niedowierzaniem wstrząśnięta Laurana. Położyła dłoń na mieczu, lecz Theros powstrzymał ją.

– Nie! – rzekł nagle. – Przypomniałem sobie. Ten starzec... – Popatrzył na swą rękę. – Teraz sobie przypomniałem. Zwykł przychodzić do gospody „Ostatni Dom”! Był inaczej ubrany. Nie był czarodziejem, ale to był on! Przysięgam, że to prawda! Opowiadał dzieciom bajki. Bajki o dobrych smokach. Złoty i...

– Srebrnych smokach – powiedziała Silvara, spoglądając na Therosa. – Jestem srebrnym smokiem. Moją siostrą była srebrna smoczyca, która pokochała Humę i stoczyła wraz z nim ostatni bój...

– Nie! – Gilthanas cisnął pochodnię na ziemię. Przez chwilę migotała u jego stóp, a potem przydeptał ją gniewnie, gasząc jej blask. Silvara, która obserwowała go smutnym wzrokiem, wyciągnęła rękę, by go pocieszyć.

Gilthanas odsunął się, patrząc na nią ze zgrozą.

Silvara powoli opuściła rękę. Wzdychając łagodnie, pokiwała głową. – Rozumiem – szepnęła. – Przepraszam.

Gilthanas zaczął drżeć, a potem zgiął się z bólu. Obejmując go silnymi ramionami, Theros zaprowadził Gilthanasę do ławy i okrył go swą peleryną.

– Nic mi nie będzie – wymamrotał Gilthanas. – Zostawcie mnie tylko w spokoju, dajcie mi pomyśleć. To obłąd! To wszystko koszmarny sen. Smok! – Zacisnął mocno powieki, jakby chciał zatrzeć ten widok na zawsze. – Smok... – szepnął łamiącym się głosem. Theros poklepał go łagodnie, a potem wrócił do pozostałych.

– Gdzie jest reszta dobrych smoków? – spytał Theros. – Ten starzec powiedział, że jest ich wiele. Srebrne smoki, złote smoki...

– Jest nas wiele – odrzekła z ociąganiem Silvara.

– Jak ten srebrny smok, którego widzieliśmy w Lodowej Ścianie! – powiedziała Laurana. – To był dobry smok. Jeśli jest was wiele, zbierzcie się! Pomóżcie nam walczyć ze złymi smokami!

– Nie! – krzyknęła dziko Silvara. Jej niebieskie oczy rozblęły, a Laurana cofnęła się o krok przed jej gniewem.

– Dlaczego nie?

– Nie mogę ci powiedzieć. – Silvara nerwowo zacisnęła dłoń.

– To ma coś wspólnego z tą przysięgą! – naciskała Laurana. – Nie mam racji? Przysięgą, którą złamałaś. I karą, o którą pytałaś Fizbana...

– Nie mogę ci powiedzieć! – powiedziała Silvara niskim, pełnym uczucia głosem. – To co już zrobiłam, jest wystarczająco złe. Musiałam jednak coś zrobić! Nie mogłam dłużej żyć na tym świecie i patrzeć na cierpienia niewinnych ludzi! Myślałam, że być może zdołam pomóc, więc przybrałam elfią postać i czyniłam, co mogłam. Długo pracowałam nad nakłonieniem elfów do zjednoczenia się. Powstrzymałam ich przed wojną, lecz sytuacja pogarszała się.

Wtedy wy przybyliście i zobaczyłam, że jesteśmy w wielkim niebezpieczeństwie, większym niż ktokolwiek z nas uświadamiał sobie. Bowiem przynieśliście ze sobą... – głos jej zadrżał.

– Smoczą kulę! – stwierdziła nagle Laurana.

– Tak. – Silvara zacisnęła pięści, czując się strasznie nieszczęśliwa. – Wiedziałam wtedy, że muszę podjąć decyzję. Mieliście kulę, lecz mieliście także lancę. Lanca i kula trafiły do mnie! Obie razem! Pomyślałam, że to znak, lecz nie wiedziałam, co robić. Postanowiłam przynieść tu kulę i schować ją bezpiecznie na zawsze. Potem, kiedy zaczęliśmy podróż, uświadomiłam sobie, że rycerze nigdy nie zezwolą, by tu została. Byłyby trudności. Więc, kiedy tylko dostrzegłam okazję, odesłałam ją. – Przygarbiła się. – Najwyraźniej była to błędna decyzja. Ale skąd miałam o tym wiedzieć?

– Dlaczego? – zapytał ostro Theros. – Co czyni ta kula? Czy jest zła? Czy wysłałaś tych rycerzy na śmierć?

– Wielkie zło – szepnęła Silvara. – Wielkie dobro. Kto wie? Nawet ja nie rozumiem smoczycich kuł. Stworzyli je dawno temu najpotężniejsi czarodzieje.

– Ale księga, którą przeczytał Tas, twierdzi, że można ich użyć do zapanowania nad smokami! – oświadczył Flint. – Preczytał ją przy pomocy jakichś okularów. Nazywał je okularami prawdziwego widzenia. Mówił, że one nie kłamią...

– Nie – rzekła smutno Silvara. – To prawda. To zbyt prawdziwa prawda i obawiam się, że odkrywszy to, twój przyjaciele gorzko tego pożałują.

Ogarnięci strachem przyjaciele zasiedli razem w ciszy przerywanej jedynie szlochaniem Gilthanasa. Pochodnie rzucały cienie, które tańczyły po cichym grobowcu niczym upiory powstałe z grobu. Laurana przypomniała sobie Humę i srebrnego smoka. Pomyślała o tej ostatniej, straszliwej bitwie, kiedy niebo było pełne smoków, a ziemia wybuchała ogniem i krwią.

– Dlaczego więc nas tu sprowadziłaś? – Laurana zapytała cicho Silvarę. – Czemu po prostu nie pozwoliłaś, żebyśmy zabrali kulę gdzieś daleko?

– Czy mogę im powiedzieć? Czy mam dość sił? – szepnęła Silvara do niewidzialnego ducha.

Przez dłuższą chwilę siedziała spokojnie z twarzą pozbawioną wyrazu, zaciskając tylko dłonie na podołku. Zamknęła oczy, spuściła głowę i poruszała bezgłośnie wargami. Zasłoniła twarz rękoma i zupełnie znieruchomiła. Potem wzdrygnęła się i podjęła decyzję.

Wstając Silvara podeszła do plecaka Laurany. Klęknięta i powoli, starannie odwinęła złamane drzewce, które drużyna przyniosła ze sobą z tak dalekiej i ciężkiej wyprawy. Silvara wstała, a na jej twarzy znów malował się wyraz spokoju. Teraz jednak widniała na niej również duma i siła. Po raz pierwszy Laurana zaczęła wierzyć, że ta dziewczyna rzeczywiście może być kimś tak potężnym i wspinałym jak smok. Stąpając dumnie w blasku pochodni, który lśnił na jej srebrnych włosach, Silvara podeszła do Therosa Ironfelda.

– Therosowi Srebrnorękiemu – rzekła – daję moc wykucia smoczej lancy.

KSIĘGA TRZECIA

Rozdział I

Czerwony Czarnoksiężnik i jego wspaniałe iluzje!

Cienie skradały się po zakurzonych stołach karczmy „Pod Świnia i Gwizdkiem”. Morski wiatr od Zatoki Baliforskiej świstał przenikliwie w nie dopasowanych oknach frontowych – dzięki temu oto charakterystycznemu gwizdowi karczma zyskała drugą część swej nazwy. Jakikolwiek wątpliwości co do tego, skąd wzięła się pierwsza jej część kończyły się na widok karczmarza. Jowialny człowiek o złotym sercu, William Sweetwater, został przeklęty przy narodzinach (jak głosiła miejscowa plotka), gdy wędrująca świnia przewróciła kołyskę niemowlęcia, tak przerażając małego Williama, że na jego twarzy utrwalił się na zawsze świński ryj.

Nieszczęsne to podobieństwo nie zepsuło charakteru Williama. Z zawodu żeglarz, wycofał się jednak, by poświęcić się spełnieniu swej odwiecznej ambicji prowadzenia karczmy. W całym porcie Balifor nie było bardziej szanowanego i lubianego człowieka niż William Sweetwater. Nikt serdeczniej nie śmiał się z dowcipów o świniach niż William. Potrafił nawet dość realistycznie chrząkać i często zabawiał gości udawaniem świni. (Lecz nikt nigdy – po przedwczesnej śmierci Ala Kuternogi – nie ośmielił się nazwać Williama „Prosiakiem”).

Ostatnio William rzadko chrząkał i kwiczał dla swych gości. Atmosfera „Pod Świnia i Gwizdkiem” była posępna i ponura. Nieliczni starzy klienci, którzy jeszcze przychodzili, siedzieli zbici w gromadkę i rozmawiali przyciszonymi głosami. Bowiem Balifor był miastem okupowanym – zajęтым przez wojska smoczycich władców, których okręty niedawno wpłynęły do zatoki, wyładowując transporty ohydnych, smokokształtnych żołnierzy.

Mieszkańcy portu Balifor – w większości ludzie – straszliwie użalali się nad sobą. Oczywiście nie mieli pojęcia, co się dzieje na świecie, bowiem wtedy uważaliby się za wyjątkowo szczęśliwych. Smoki nie przybyły, by spalić im domy. Smokowcy na ogół zostawiali ludzi w spokoju. Smoczy władcy nie byli szczególnie zainteresowani podbojem wschodniej części Ansalonu. Okolica była słabo zaludniona: kilka ubogich, rozrzuconych ludzkich osad i Kendermore, ojczyzna kenderów. Oddział smoków mógłby obrócić w perzynę tę okolicę, lecz smoczy władcy skupili swe siły na zachodzie i północy. Jak długo porty stały otwarte, władcy nie mieli potrzeby pustoszyć okolic Baliforu i Goodlundu.

Choć niewielu dawnych klientów odwiedzało karczmę „Pod Świnia i Gwizdkiem”, interesy Williama Sweetwatera szły lepiej. Smokowcy i gobliny na służbie smoczycich władców byli dobrze opłacani, a ich jedyną słabością była skłonność do mocnych napojów.

William jednakże nie otworzył karczmy dla pieniędzy. Uwielbiał towarzystwo starych i nowych przyjaciół. Nie podobało mu się natomiast towarzystwo wojsk władców. Kiedy oni przychodzili, wychodzili starzy klienci. W związku z tym William natychmiast podniósł ceny dla smokowców trzykrotnie w porównaniu z innymi karczmami w mieście. Oprócz tego zaczął rozwadniać piwo. Skutkiem tego, karczma świeciła pustkami, a jedynymi gośćmi byli jego starzy znajomi. Taki układ doskonale odpowiadał Williamowi.

Tego wieczoru rozmawiał właśnie z kilkoma z tych znajomych – w większości bezzębnymi marynarzami o brązowej, ogorzalej skórze – gdy do jego karczmy weszli obcy. William przez chwilę przyglądał im się podejrzliwie spode łba, podobnie jak jego przyjaciele. Ujrzawszy jednak strudzonych wędrówką podróżnych, a nie żołnierzy smoczycy władców, powitał ich serdecznie i zaprowadził do stołu w kącie.

Przybysze zamówili piwo dla wszystkich, z wyjątkiem mężczyzny w czerwonych szatach, który poprosił tylko o gorącą wodę. Potem, po prowadzonej przyciszonymi głosami dyskusji, która skupiała się na wytartej, skórzanej sakiewce oraz ilości znajdującej się w niej monet, poprosili Williama, by przyniósł im chleba i sera.

– Oni są nietutejsi – powiedział cicho William swym znajomym, utaczając piwa ze specjalnej beczki, jaką trzymał pod szynkwasem (nie z beczki dla smokowców). – A do tego, jeśli się nie mylę, biedni, jak marynarz po tygodniu spędzonym na lądzie.

– Uciekinierzy – powiedział jego przyjaciel, przyglądając im się uważnie.

– Osobliwa grupa – dodał drugi żeglarz. – Nie ma wątpliwości, że ten rudobrody gość to półelf. A ten wielki ma dość broni, by rozprawić się z całym wojskiem smoczycy władców.

– Założę się, że niejednego z nich już nadzieł na ten miecz – mruknął William. – Jestem pewien, że uciekają przed kimś. Spójrzcie, ten rudobrody nie odrywa oczu od drzwi. Cóż, nie możemy im pomóc walczyć ze smoczycy władcą, ale już ja się postaram, żeby niczego im nie zabrakło. – Poszedł ich obsłużyć.

– Schowajcie pieniądze – burknął William, stawiając z hukiem na stole nie tylko chleb i ser, lecz także półmisek pełen zimnego mięsiwa. Odsunął monety na bok. – Jesteście w jakiś tarapatach, to rzuca się w oczy, jak świński ryj na mojej twarzy.

Jedna z kobiet uśmiechnęła się do niego. Była najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek William ujrzał. Srebrno-złote włosy połyskiwały spod futrzanego kaptura, a błękitne oczy miały barwę oceanu w spokojny dzień. Kiedy uśmiechnęła się, William poczuł rozchodzące się po jego ciele ciepło, jakby napił się dobrej brandy. Lecz siedzący obok niej ciemnowłosa mężczyzna o surowej twarzy ponownie przysunął karczmarzowi pieniądze.

– Nie przyjmujemy jałmużny – rzekł wysoki mężczyzna w futrach.

– Naprawdę? – zapytał z żalem ogromny mężczyzna, spoglądając tęsknie na półmisek wędzonego mięsiwa.

– Riverwindzie – skarciła go kobieta, łagodnym gestem kładąc dłoń na jego ramieniu. Półelf również zamierzał się wtrącić, gdy odziany na czerwono mężczyzna, który zamawiał gorącą wodę, wyciągnął rękę i podniósł monetę ze stołu.

Balansując monetą na wierzchu kościstej, metalicznie połyskującej dłoni, mężczyzna niespodzianie i od niechcienia sprawił, że pieniądz zaczął tańczyć po jego knykciach. William wytrzeszczył oczy. Dwóch jego znajomych oderwało się od szynkwasy i podeszło, by przyjrzeć się lepiej. Moneta migąła w palcach człowieka w czerwonych szatach, wirując i skacząc. Znikła wysoko w powietrzu, by niespodziewanie pojawić się nad głową maga w postaci sześciu monet krążących nad jego kapturem. Jednym gestem nakazał im krążyć nad głową Williama. Żeglarze przyglądali się z otwartymi ze zdumienia ustami.

– Weź sobie jedną za fatygę – szepnęła czarodziej.

William z ociąganiem spróbował złapać pieniądze, które wirowały mu przed oczami, lecz ręka przeszła przez nie na wylot! Nagle wszystkie sześć monet znikło. Została tylko jedna, leżąca na otwartej dłoni maga w czerwonych szatach.

– Daję ci ją jako zapłatę – rzekł czarodziej z przebiegłym uśmiechem – lecz bądź ostrożny. Może ci wypalić dziurę w kieszeni.

William ostrożnie przyjął pieniądz. Trzymając go w dwóch palcach, przyglądał mu się podejrzliwie. Wtem moneta stanęła w płomieniach! Z okrzykiem zaskoczenia William upuścił ją na podłogę i przydeptał nogą. Jego dwaj przyjaciele wybuchli śmiechem. Podnosząc monetę, William stwierdził, że jest idealnie chłodna.

– To warte pieczeni! – rzekł karczmarz, szczerząc wesoło zęby.

– I noclegu – dodał jego znajomy żeglarz, kładąc z rozmachem na stole garść monet.

– Wydaje mi się – rzekł cicho Raistlin, oglądając się na pozostałych – że nasz problem jest rozwiązany.

Tak narodził się „Czerwony czarnoksiężnik i jego wspaniałe iluzje”, wędrująca z widowiskiem trupa, o której do dziś wspomina się od Baliforu na południu do ruin na północy.

Tego samego wieczoru odziany na czerwono czarodziej zaczął pokazywać swe sztuczki pełnej podziwu publiczności składającej się z przyjaciół Williama. Wieść rozchodziła się szybko. Po tygodniu występów „Pod Świnia i Gwizdkiem” Riverwind – początkowo niechętny całemu pomysłowi – musiał przyznać, że popisy Raistlina najprawdopodobniej rozwiążą nie tylko ich problemy finansowe, lecz także inne, bardziej

znaczące.

Brak pieniędzy był sprawą największej wagi. Drużyna pewnie mogłaby wyżyć się tym, co znajdzie w lesie – nawet zimą, bowiem zarówno Riverwind jak i Tanis byli zręcznymi myśliwymi. Potrzebne im były jednakże pieniądze na opłacenie żeglugi do Sancrist. Kiedy już zdobędą pieniądze, muszą znaleźć sposób na swobodne podróżowanie przez ziemie zajęte przez nieprzyjaciela.

Za młodych lat Raistlin często korzystał ze swych niemałych zdolności prestidigitatora, by zarobić na chleb dla siebie i brata. Choć jego mistrz przyglądał się temu niechętnym okiem i groził, że wyrzuci młodego maga ze swej szkoły, Raistlin odnosił spore sukcesy. Teraz rosnąca moc magiczna dała mu niedostępne przedtem możliwości. Jego publiczność była dosłownie oczarowana sztuczkami i złudzeniami.

Na rozkaz Raistlina „Pod Świnią i Gwizdkiem” białoskrzydłe statki żeglowały po kontuarze, ptaki wyfruwały z waz, a smoki zaglądały przez okna, ziejąc ogniem na zdumionych gości. W wielkim finale czarodziej – odziany we wspaniałe, czerwone szaty uszyte przez Tikę – spalał się w szalejących płomieniach, by po chwili wejść frontowymi drzwiami (przy hucznych wiwatach) i spokojnie wypić kieliszek białego wina za zdrowie gości.

Przez tydzień karczma „Pod Świnią i Gwizdkiem” zarobiła więcej niż przez cały poprzedni rok. William cieszył się jeszcze bardziej z tego, że jego przyjaciele mogli zapomnieć o kłopotach. Lecz wkrótce zaczęli przybywać także niechciani goście. Początkowo obecność goblinów i smokowców w tłumie złościła go, lecz Tanis ubłagał go i William niechętnie pozwolił im przyglądać się widowisku.

Prawdę mówiąc, Tanis ucieszył się na ich widok. Z punktu widzenia półelfa wszystko szło pomyślnie i rozwiązało ich drugi problem. Jeśli żołnierzom smoczego władcy spodoba się widowisko i rozgłoszą to, drużyna będzie mogła spokojnie podróżować i nikt ich nie zatrzyma.

Po omówieniu planu z Williamem postanowili udać się do Flotsam, miasta na północ od Baliforu, leżącego na wybrzeżu Krwawego Morza Istar. Tam mieli nadzieję znaleźć statek. William wyjaśnił im, że w Baliforze nikt nie zabierze ich na pokład. Wszyscy miejscowi właściciele statków albo pracowali dla smoczych władców, albo odebrano im statki. Flotsam natomiast było znaną siedzibą tych, których bardziej interesowały pieniądze niż polityka.

Przyjaciele mieszkali „Pod Świnią i Gwizdkiem” przez miesiąc. William zapewnił im darmowe pokoje i wyżywienie, a nawet pozwalał zatrzymać wszystko, co zarobili. Chociaż Riverwind był przeciwny tej szczodrości, William oświadczył, iż jemu wystarczy tyle, że wrócili jego starzy klienci.

W tym czasie Raistlin wzbogacił i rozszerzył swój występ, który początkowo składał się tylko z jego iluzji. Ponieważ mag męczył się szybko, więc Tika zaproponowała, że będzie tańczyć, by mógł odpocząć pomiędzy występami. Raistlin był nastawiony sceptycznie, lecz Tika uszyła sobie tak powabny kostium, że Caramon początkowo był przeciwny całemu temu pomysłowi. Tika jednak tylko zaśmiała mu się w nos. Jej tańce spodobały się i zwiększyły znacząco napływ pieniędzy. Raistlin natychmiast włączył jej występ do swego.

Stwierdziwszy, że widowni podoba się odmiana, czarodziej pomyślał o pozostałych. Caramon, czerwieniąc się strasznie, dał się wreszcie nakłonić do popisywania się siłą. Gwoździem jego programu było podniesienie krzepkiego Williama jedną ręką wysoko nad głowę. Tanis zdumiewał publiczność elfią zdolnością „widzenia” w ciemności. Raistlin zdumiał się jednakże pewnego dnia, gdy w trakcie liczenia zysków z poprzedniego wieczoru odwiedziła go Goldmoon.

– Chciałabym zaśpiewać w czasie dzisiejszego występu – powiedziała.

Raistlin zmierzył ją pełnym niedowierzania wzrokiem. Zerknął na Riverwinda. Wysoki mieszkaniec równin skinął głową z ociąganiem.

– Masz silny głos – rzekł Raistlin, zgarniając pieniądze do sakiewki i zaciągając mocno sznureczek. – Dobrze pamiętam. Ostatnim razem, kiedy śpiewałaś w gospodzie „Ostatni Dom”, wywołałaś zamieszki, w których omal nie zginęliśmy.

Goldmoon zaczerwieniła się, przypomniawszy sobie tę nieszczęsną pieśń, dzięki której poznała z drużynę. Marszcząc ponuro brwi, Riverwind położył dłoń na jej ramieniu.

– Chodź! – rzekł ostro, obrzucając wrogim spojrzeniem Raistlina.

– Uprzedzałem cię...

Lecz Goldmoon potrząsnęła uparcie głową, unosząc podbródek znanym, władcym gestem. – Zaśpiewam – oświadczyła chłodno – a Riverwind będzie mi akompaniował. Napisałam pieśń.

– Zgoda – warknął czarodziej, chowając sakiewkę za pazuchę. – Spróbujemy dziś wieczorem.

„Pod Świnia i Gwizdkiem” było tego wieczoru tłoczno. Publiczność była bardzo zróżnicowana – małe dzieci z rodzicami, marynarze, smokowcy, gobliny i kilku kenderów, którzy skłonili wszystkich do bacznego pilnowania swych rzeczy.

William i dwaj jego pomocnicy uwijali się rażno, roznosząc napoje i jedzenie.

Potem zaczął się występ.

Widownia nagrodziła oklaskami wirujące monety Raistlina, śmiała się z iluzorycznej świni tańczącej na szynkwasiu i z przerażeniem zerwała się z krzesła na widok olbrzymiego

trolla, który gramolił się przez okno. Skłoniwszy się, czarodziej wyszedł odpocząć. Na scenę weszła Tika.

Publiczność, a szczególnie smokowcy, powitała tańczącą Tikę radosnymi wrzaskami i uderzaniem kuflami w stół.

Potem stanęła przed nimi Goldmoon w bladobłękitnej sukni. Srebrnozłote włosy spływały na jej ramiona, niczym woda połyskująca w blasku księżyca. Tłum natychmiast uciszył się. Nic nie mówiąc, kobieta usiadła na krześle postawionym na podwyższeniu pośpiesznie wzniesionym przez

Williamą. Tak była piękna, że z tłumu nie wyrwał się nawet szmer. Wszyscy oczekiwali z niecierpliwością na jej występ. Riverwind usiadł na podłodze u jej stóp. Przykładając ręcznie rzeźbiony flet do ust, zaczął grać, a po chwili do dźwięku fletu przyłączył się głos Goldmoon. Jej pieśń była prosta, melodia słodka i harmonijna, lecz przejmująca. Jednakże słowa pieśni zwróciły uwagę Tanisa, który zamienił zaniepokojone spojrzenie z Caramonem. Raistlin, który siedział obok, chwycił Tanisa za ramię.

– Tego się obawiałem! – zasyczał czarodziej. – Kolejne zamieszki!

– Może jednak nie – rzekł Tanis, przyglądając się widzom. – Spójrz na publiczność.

Kobiety wsparły głowy na ramionach swych mężów, dzieci siedziały cicho i w skupieniu. Smokowcy sprawiali wrażenie zauroczonych – jak czasem dzikie zwierzę da się zaczarować muzyką. Tylko gobliny przebierały klapiastymi stopami, najwyraźniej nudząc się, lecz bojąc się przyznać do tego w obecności smokowców.

Goldmoon śpiewała o dawnych bogach. Opowiedziała, jak bogowie zesłali kataklizm, by ukarać króla-kapłana Istar i mieszkańców Krynnu za ich pychę. Śpiewała o grozie tej nocy i następnych, które po niej nadeszły. Przypomniała im o tym, że uznawszy się za opuszczonych, ludzie modlili się do fałszywych bogów. Prawdziwi bogowie są tu i czekają tylko, by ktoś ich wysłuchał.

Kiedy pieśń się skończyła i ucichł smętny dźwięk fletu, większość ludzi otrząsnęła się, jakby budząc się z miłego snu. Kiedy pytano ich, o czym była pieśń, nie potrafili odpowiedzieć. Smokowcy wzruszyli ramionami i zażądali piwa. Gobliny wrzaskiem domagały się, by Tika znów zatańczyła. Lecz tu i tam Tanis dostrzegał twarze, na których wciąż malowało się to samo zafascynowanie, co w czasie pieśni. Nie był też zaskoczony, gdy młoda ciemnoskóra kobieta zbliżyła się nieśmiało do Goldmoon.

– Wybacz, proszę, że ci przeszkadzam, pani – Tanis usłyszał głos kobiety – lecz twoja pieśń poruszyła mnie do głębi. Chciałabym dowiedzieć się czegoś więcej o dawnych bogach, poznać ich nauki.

Goldmoon uśmiechnęła się. – Przyjdź do mnie jutro – rzekła – a nauczę cię wszystkiego, co wiem.

I tak powoli zaczęło rozchodzić się słowo starodawnych bogów. W chwili, gdy drużyna wyjechała z Baliforu, ciemnoskóra kobieta, cicho mówiący młodzieniec i wielu innych ludzi nosiło już niebieski medalion Mishaka, bogini uzdrawiania. Potajemnie wyruszyli dalej, niosąc nadzieję w głąb tej nieszczęsnej i niespokojnej krainy.

Pod koniec miesiąca drużyna mogła już zakupić wóz, konie do zaprzęgu, konie pod wierzch i prowiant na drogę. To, co zostało, odłożono na zapłacenie za rejs statkiem do Sancrist. Towarzysze mieli zamiar powiększyć tę sumę, występując w małych wioskach i osadach pomiędzy Baliforem i Flotsam.

Kiedy „Czerwony czarnoksiężnik” wyruszał z Baliforu tuż przed zbliżającą się porą zimowych świąt, jego wóz odprowadzały rozentuzjzmowane tłumy. Wóz wyładowany kostiumami, prowiantem na dwa miesiące i baryłką piwa (podarowaną przez Williama) był dość duży, by Raistlin mógł w nim spać i podróżować. Załadowano nań również wielobarwne, pasiaste namioty, w których mieli mieszkać pozostali.

Tanis przyjrzał się osobliwemu widokowi, jaki obecnie przedstawiali i potrząsnął głową. Wydawało się, że pośród wszystkiego, co im się przydarzyło do tej pory, to było najdziwniejsze. Spojrzał na Raistlina siedzącego obok brata, który powoził. Czerwone, wyszywane cekinami szaty czarodzieja błyszcząły jak ogień w jasnym słońcu zimowego dnia. Kuląc się z powodu wiatru, Raistlin spoglądał wprost przed siebie, spowity aurą tajemniczości, tak uwielbianą przez publiczność. Caramon ubrawszy się w niedźwiedzie futro (kostium był prezentem od Williama), nałożył też na głowę niedźwiedzi łeb, przez co wyglądało, że to miś powozi. Dzieci wrzeszczały radośnie, gdy warczał i ryczał na nie w udawanej złości. .

Na rogatkach miasta zatrzymał ich dowódca oddziału smokowców. Z sercem w gardle Tanis wyjechał naprzód, trzymając rękę na mieczu. Jednakże dowódca chciał tylko upewnić się, że pojedą przez Bloodwatch, gdzie stacjonowały wojska smokowców. Smokowiec wspomniał o występach przyjacielowi. Żołnierze oczekiwali na nie z niecierpliwością. Przysięgając sobie w myślach, że nie postawi nogi w pobliżu tego miejsca, Tanis zapewnił ich uroczyście, że z pewnością tam zawitają.

Wreszcie zbliżyli się do bram miasta. Zsiadając z koni, pożegnali się z przyjacielem. William uściskał każdego z osobna, zaczynając od Tiki i kończąc na niej. Chciał uściskać Raistlina, lecz złote oczy czarodzieja rozszerzyły się tak niepokojąco na widok podchodzącego Williama, że karczmarz szybko się cofnął.

Drużyna ponownie dosiadła koni. Raistlin i Caramon wrócili do wozu. Tłum radośnie wiwatował i zachęcał ich do powrotu na wiosenne święto orki. Straże otworzyły bramy, życząc im bezpiecznej podróży i drużyna wyjechała. Wrota zamknęły się za nimi.

Wiał zimny wiatr. Z szarych chmur nad ich głowami co jakiś czas prószył śnieg. Przed nimi rozpościerała się pusta i ponura droga, zgodnie z zapewnieniami często uczęszczana. Raistlin zaczął trząść się i kaszleć. Po chwili powiedział, że woli jechać wewnątrz wozu. Pozostali naciągnęli kaptury na głowy i otulili się szczelniej futrzanymi płaszczami.

Powozący po błotnistym, pełnym kolein gościńcu Caramon sprawiał wrażenie dziwnie zamyślnego.

– Wiesz, Tanisie – rzekł z powagą przez brzęk dzwoneczków, które Tika przyczepiła do końskich grzyw – nie potrafię wyrazić, jak bardzo jestem wdzięczny, że nie widzi nas nikt z naszych przyjaciół. Wyobrażasz sobie, co by powiedział Flint? Ten marudny, stary krasnolud nie dałby mi spokoju. A wyobrażasz sobie Sturma! – Wielki mężczyzna pokręcił głową, jakby mu się to w niej nie mieściło.

Tak, westchnął Tanis. Wyobrażam sobie Sturma. Drogi przyjacielu, nigdy nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo polegałem na tobie – twojej odwadze, twojej szlachetności. Czy żyjesz, mój przyjacielu? Czy dotarłeś na Sancrist bezpiecznie? Czy jesteś już rycerzem ciałem, tak jak zawsze byłeś nim duchem? Czy spotkamy się jeszcze, czy rozstaliśmy się, by nigdy więcej się nie zobaczyć w tym życiu – jak przepowiadał Raistlin?

Drużyna jechała dalej. Zapadał zmierzch, śnieżycy wzmagała się. Riverwind został z tyłu, by jechać obok Goldmoon. Tika przywiązała swego konia za wozem i wspięła się na kozioł, by siaść przy Caramonie. Raistlin spał wewnątrz wozu.

Spuściwszy głowę, Tanis jechał sam, myślami błędząc daleko stąd.

Rozdział II

Sąd rycerski

– Wreszcie – oświadczył Derek cichym i wyważonym głosem – oskarżam Sturma Brightblade o tchórzostwo w obliczu nieprzyjaciela.

Wśród rycerzy zebranych w zamku lorda Gunthara przebiegł lekki szmer. Trzej rycerze, którzy zasiadali przed zgromadzeniem za masywnym stołem z czarnego dębu, nachylili głowy ku sobie, by porozumieć się ściszonymi głosami.

Dawno temu, na miejscu tych trzech rycerzy przewodniczących obradom sądu rycerskiego – zgodnie z nakazami reguły – zasiadałby wielki mistrz, najwyższy klerysta i najwyższy sędzia. Jednakże obecnie nie było wielkiego mistrza. Urząd najwyższego klerysta stał pusty od czasu kataklizmu. A co do urzędu najwyższego sędziego, to choć piastujący go tymczasem lord Alfred MarKenin był obecny, utrzymywał się na nim w najlepszym przypadku w sposób niepewny. Ktokolwiek zostanie nowym wielkim mistrzem, bez wysiłku będzie mógł go stamtąd usunąć.

Pomimo tych braków pośród głów poszczególnych zakonów, zakon solamnijski musiał funkcjonować jak zwykle. Mimo iż lord Gunthar Uth Wistan nie był wystarczająco silny, by zająć pożądane przez wszystkich stanowisko wielkiego mistrza, miał dość władzy, by pełnić tę funkcję tymczasowo. Tak więc zasiadał dziś, na początku pory świąt zimowych, by uczestniczyć w sądzie nad młodym giermkim, Sturmem Brightblade. Po jego prawej ręce siedział lord Alfred, a po lewej młody lord Michael Jeffrey, zastępujący najwyższego klerysta.

Naprzeciwko nich, w wielkiej sali zamku Uth Wistan, zasiadało dwudziestu rycerzy solamnijskich, których pośpiesznie sprowadzono z wszystkich zakątków Sancrist, by pełnili funkcje świadków na sądzie rycerskim, jak nakazywała reguła. Podczas dyskusji dowódców rycerze mruzcili i potrząsali głowami.

Lord Derek wstał zza stołu stojącego bezpośrednio naprzeciwko trzech rycerzy osądających i uklonił się lordowi Guntharowi. Jego zeznania dobiegły końca. Pozostała jeszcze odpowiedź rycerza i sam osąd. Derek zajął ponownie swe miejsce wśród innych rycerzy, śmiejąc się i rozmawiając z nimi.

Tylko jedna osoba w sali milczała. Sturm Brightblade siedział nieruchomo podczas odczytywania wszystkich ciężkich oskarżeń Dereka. Słyszał zarzut niesubordynacji, odmowy wykonania rozkazów, podawania się za rycerza – i nie odezwał się ani słowem. Jego twarz w wystudiowany sposób nie wyrażała żadnych uczuć, dłonie były zaciśnięte na blacie stołu.

Lord Gunthar przyglądał się Sturmowi teraz, jak i przez całą rozprawę. Zaczął wątpić, czy on w ogóle jeszcze żyje, tak nieruchoma i blada była jego twarz, a postawa tak sztywna. Gunthar dostrzegł, że Sturm drgnął tylko raz. Kiedy zarzucono mu tchórzostwo, mężczyzna zadrżał. A wyraz jego twarzy... cóż, Gunthar przypomniał sobie, że widział już kiedyś to samo spojrzenie – w oczach człowieka, który właśnie został przeszyty włócznią. Brightblade jednak szybko odzyskał panowanie nad sobą.

Gunthara tak wciągnęło przyglądanie się Sturmowi, że niemal stracił wątek rozmowy, jaką prowadzili dwaj rycerze obok niego. Dosłyszał tylko koniec oświadczenia lorda Alfreda.

– ...nie zezwala się na odpowiedź rycerza.

– Dlaczego nie? – wtrącił lord Gunthar ostro, choć bez podnoszenia głosu. – Zgodnie z regułą przysługuje mu takie prawo.

– Nigdy nie mieliśmy do czynienia z podobnym przypadkiem – oświadczył beznamytnie lord Alfred, rycerz miecza. – Dawniej zawsze, gdy giermek stawał przed radą zakonu, by zostać pasowanym na rycerza, byli obecni świadkowie, wielu świadków. Daje mu się szansę wyjaśnienia powodów swego postępowania. Nikt nie poddaje w wątpliwość faktu, że dokonał tych czynów. A jedyną ścieżką obrony Brightblade...

– Jest twierdzenie, że Derek kłamie – dokończył lord Michael Jeffrey, rycerz korony. – A to jest niedopuszczalne. Żeby wyżej cenić słowo giermka od słowa rycerza róży!

– Mimo to, ten młody człowiek będzie mógł się wypowiedzieć – rzekł lord Gunthar, mierząc surowym spojrzeniem obu mężczyzn. – Reguła mówi, że takie jest prawo. Czy któryś z was kwestionuje je?

– Nie...

– Nie, oczywiście, że nie. Ale...

– Doskonale. – Gunthar pogładził wąsy i nachyliwszy się, postukał lekko w drewniany blat stołu ręką leżącą na nim miecza – miecza Sturma. Pozostali dwaj rycerze wymienili spojrzenia za jego plecami, jeden unosząc brwi, drugi wzruszając lekko ramionami. Gunthar doskonale zdawał sobie z tego sprawę, podobnie jak wiedział o wszystkich tajnych spiskach i knowaniach, od jakich wrzało teraz w zakonie. Udawał jednak, że tego nie widzi.

Nie mając jeszcze wystarczających sił, by zająć wakujące stanowisko wielkiego mistrza, lecz i tak dysponując największą siłą i władzą wśród rycerzy obecnie zasiadających w radzie, Gunthar zmuszony był ignorować wiele zjawisk, które w innych czasach i o innej porze zdławiłby bez wahania. Spodziewał się tej zdrady po Alfredzie MarKeninie – rycerz ten od dawna przebywał w obozie Dereka Crownguarda – lecz zaskoczył go Michael, którego do tej pory uważał za wiernego sobie. Najwyraźniej Derek zjednał sobie i jego.

Gunthar obserwował Dereka Crownguarda w czasie, gdy rycerze wracali na swoje miejsca. Derek był jedynym rywalem, który posiadał dość pieniędzy i poparcia, by kandydować na stanowisko wielkiego mistrza. Mając nadzieję na zdobycie dodatkowych głosów, Derek spiesznie zgłosił chęć wyruszenia na niebezpieczną wyprawę w celu odnalezienia legendarnych smoczyczych kuł. Gunthar nie miał wielkiego wyboru. Musiał się zgodzić. Gdyby odmówił, wyglądałoby na to, że obawiał się rosnącej potęgi Dereka. Derek bez wątpienia najlepiej się do tego nadawał – jeśli by tę kwestię rozpatrywać ściśle według reguły. Jednakże Gunthar, który znał Dereka od dawna, zatrzymałby go, gdyby tylko mógł – nie dlatego, żeby bał się tego rycerza, lecz dlatego, że naprawdę nie ufał mu. Mężczyzna ów był zadufany w sobie i żądny władzy, a poza tym, w gruncie rzeczy Derek był wierny tylko sobie samemu.

Obecnie nie można się było oprzeć wrażeniu, że triumfalny powrót Dereka ze smoczą kulą przechylił szalę zwycięstwa na jego stronę. Skłonił on do przejścia do jego obozu wielu rycerzy, którzy w tym kierunku już zdążali, a nawet odciągnął niektórych z odłamu wiernego Guntharowi. Wciąż sprzeciwiali mu się jedynie młodszy rycerze należący do najniższego zakonu – rycerze korony.

Ci młodzi ludzie nie byli zadowoleni ze sztywnego i surowego interpretowania reguły, które weszło w krew starszym rycerzom. Domagali się zmian – i zostali surowo ukarani przez lorda Dereka Crownguarda. Niektórzy byli bliscy usunięcia z zakonu. Owi młodzi rycerze stali murem za lordem Guntharem. Na nieszczęście było ich niewielu i w większości byli bardziej wierni niż majątni. Mimo to, młodzi ludzie uznali sprawę Sturma za swoją własną.

To było mistrzowskie posunięcie Dereka Crownguarda, pomyślał z goryczą Gunthar. Tym samym ciosem miecza Derek pozbedzie się zniechęconego człowieka i swego głównego rywala.

Lord Gunthar był dobrze znanym przyjacielem rodu Brightblade, a przyjaźń, jaka ich łączyła, sięgała pokolenia wstecz. To Gunthar poparł wniosek Sturma, gdy młodzieniec pojawił się nie wiadomo skąd pięć lat temu, by odszukać swego ojca i odzyskać dziedzictwo. Dzięki listom od matki Sturmowi udało się udowodnić prawo do noszenia nazwiska Brightblade. Kilka osób usiłowało insynuować, że jest synem z nieprawego łoża, lecz Gunthar szybko zdusił te pogłoski. Ów młody człowiek bez wątpienia był synem jego starego przyjaciela – to można było wyczytać z twarzy Sturma. Popierając go jednakże, Gunthar wiele ryzykował.

Gunthar przeniósł spojrzenie na Dereka, który spacerował wśród rycerzy, uśmiechając się i ściskając im dłonie. Tak, ta rozprawa czyni z niego – Gunthara Uth Wistana – durnia.

Co gorsza, pomyślał ze smutkiem Gunthar, patrząc znów na Sturma,

najprawdopodobniej jednocześnie zmarnuje karierę komuś, kogo uważał za wspaniałego człowieka, iście godnego pójsicia w ślady swego ojca.

– Sturmie Brightblade – rzekł pan Gunthar, gdy w sali zapadła cisza – czy słyszałeś stawiane ci oskarżenia?

– Tak jest, panie – odpowiedział Sturm. Jego głęboki głos zabrzmiał niesamowitym echem w sali. W wielkim kominku za plecami Gunthara niespodziewanie trzasnęła kłoda, wysyłając falę żaru i iskier w głąb komina. Gunthar przerwał na czas, gdy służba sprawnie dorzucała drewno do ognia. Kiedy służący wyszli, powrócił do rytualnego zadawania pytań.

– Sturmie Brightblade, czy rozumiesz stawiane ci zarzuty oraz czy rozumiesz, że są to bardzo poważne zarzuty, które mogą wpłynąć na decyzję rady o nieprzyjęciu cię w szeregi rycerstwa?

– Tak jest – zaczął Sturm. Głos mu się załamał. Kaszlnął i powtórzył bardziej stanowczo – Tak jest, panie.

Gunthar pogładził się po wąsach, zastanawiając się, jak zacząć, wiedząc jednocześnie, że cokolwiek młodzieniec powie przeciwko Derekowi, źle się to odbije na samym Sturmie.

– Ile masz lat, Sturmie Brightblade? – zapytał Gunthar. Sturm mrugnął ze zdumienia na to niespodziewane pytanie.

– Ponad trzydzieści, jak sądzę? – ciągnął w zamyśleniu Gunthar.

– Tak, panie – odrzekł Sturm.

– I sądząc z tego, co Derek opowiedział nam o twoich czynach w zamku na Lodowej Ścianie, jesteś doskonałym wojownikiem...

– Nigdy temu nie przeczyłem, panie – rzekł Derek, wstając. W jego głosie wyczuwało się nutę zniecierpliwienia.

– A jednak zarzucasz mi tchórzostwo – rzucił ostro Gunthar. – Jeśli pamięć mnie nie zawodzi, stwierdziłeś, że kiedy zaatakowali elfowie, odmówił wykonania twojego rozkazu przystąpienia do walki.

Twarz Dereka oblał rumieniec. – Wasza wysokość zechce przypomnieć sobie, że to nie ja jestem postawiony przed sądem...

– Oskarżasz Brightblade o tchórzostwo w obliczu nieprzyjaciela – przerwał Gunthar. – Wiele lat upłynęło, odkąd elfowie byli naszymi nieprzyjaciółmi.

Derek zawahał się. Pozostali rycerze poczuli się niepewnie. Elfowie byli członkami rady Białego Kamienia, lecz bez prawa głosu. Z powodu odkrycia smoczej kuli elfowie będą uczestniczyć w zbliżającym się posiedzeniu rady i nie byłoby dobrze, gdyby doniesiono im, iż rycerze uważają ich za wrogów.

– Być może „nieprzyjaciel” jest w tej sytuacji zbyt silnym słowem, panie – Derek gładko wybrnął z sytuacji. – Jeśli się omyliłem, to tylko dlatego, iż zmuszony jestem postępować zgodnie z tym, co dyktuje reguła. W chwili, o której mówię, elfowie – choć w zasadzie nie będąc naszymi nieprzyjaciółmi – czynili wszystko, co było w ich mocy, by przeszkodzić nam w dostarczeniu kuli na Sancrist. Ponieważ takie było moje zadanie – a elfowie sprzeciwiali się wykonaniu go – zgodnie z literą reguły zmuszony jestem nazwać ich nieprzyjaciółmi.

Chytry drań, pomyślał z niechętnym podziwem Gunthar.

Przepraszając ukłonem za odezwanie się zanim udzielono mu prawa głosu, Derek ponownie usiadł. Wielu starych rycerzy pokiwało głowami z aprobatą.

– Reguła mówi również – rzekł powoli Sturm – że nie powinniśmy niepotrzebnie odbierać życia i nakazuje nam walczyć tylko w obronie – własnej, bądź innych. Elfowie nie zagrażali naszemu życiu. W żadnym momencie nie groziło nam rzeczywiste niebezpieczeństwo.

– Człowieku, przecież strzelali do was! – Lord Alfred uderzył w stół pięścią w rękawicy.

– To prawda, panie – odparł Sturm – lecz wszystkim wiadomo, że elfowie są świetnymi łucznikami. Gdyby chcieli nas zabić, nie trafialiby w drzewa!

– Co według ciebie stałoby się, gdybyś zaatakował elfów? – zapytał Gunthar.

– Moim zdaniem, rezultaty byłyby tragiczne, panie – powiedział cichym i niskim głosem Sturm. – Po raz pierwszy od pokoleń ludzie i elfowie zabijaliby się. Myślę, że smoczy władcy byłiby temu radzi.

Kilku młodych rycerzy powitało to stwierdzenie oklaskami.

Lord Alfred zmierzył ich gniewnym spojrzeniem, oburzony tym poważnym złamaniem zasad zachowania, jakie nakazuje reguła. – Lordzie Guntharze, czy wolno mi przypomnieć, że to nie lord Derek jest postawiony w stan oskarżenia. Niejednokrotnie udowodnił swe męstwo na polu walki. Sądzę, że możemy spokojnie zaufać jego słowu w kwestii zadecydowania, co jest, a co nie jest wrogim czynem. Sturmie Brightblade, czy twierdzisz, że zarzuty stawiane ci przez Dereka Crownguarda są fałszywe?

– Panie – zaczął Sturm, oblizując suche i spękane wargi – nie twierdzę, że ten rycerz kłamie. Twierdzę jednak, że przedstawił moje czyny w niewłaściwym świetle.

– W jakim celu? – zadał pytanie lord Michael.

Sturm zawahał się. – Wolałbym nie odpowiadać, panie – rzekł tak cicho, iż wielu rycerzy w tylnych rzędach nie dosłyszało i zażądało od Gunthara powtórzenia pytania.

Uczynił to i uzyskał tę samą odpowiedź, tyle że tym razem głośniejszą.

– Na jakiej podstawie odmawiasz udzielenia odpowiedzi, Brightblade? – zapytał surowo Gunthar.

– Dlatego, że – zgodnie z tym, co mówi reguła – splamiłoby to honor zakonu – odparł Sturm.

Lord Gunthar sposepniał. – To poważny zarzut. Stawiając go, zdajesz sobie sprawę, że nie masz nikogo, kto byłby twoim świadkiem?

– Tak jest, panie – odrzekł Sturm – i dlatego wolę nie odpowiadać.

– A gdybym ci rozkazał mówić?

– Wtedy, oczywiście, to co innego.

– Więc mów, Sturmie Brightblade. To niezwykła sytuacja i nie pojmuję, jak możemy wydać sprawiedliwy wyrok, jeśli nie wysłuchamy wszystkiego.

Dlaczego uważasz, że Derek Crownguard przedstawia twe postępowanie w niewłaściwym świetle?

Na twarz Sturma wystąpił rumieniec. Zaciskając i otwierając nerwowo dłonie, podniósł głowę i spojrzał prosto w oczy trzem rycerzom, którzy osądzali go. Wiedział, że jego sprawa jest przegrana. Nigdy nie zostanie rycerzem, nigdy nie osiągnie tego, co było mu droższe od samego życia. Wystarczająco gorzko byłoby zaprzepaścić to z własnej winy, lecz przegrana w ten sposób bolała niczym ropiejąca rana. A więc wypowiedział te słowa, mając świadomość, że uczynią one Dereka jego zażartym wrogiem do końca jego dni.

– Uważam, panie, że lord Derek Crownguard przedstawił me czyny w niewłaściwym świetle, aby poprzeć własną sprawę.

Podniosła się wrzawa. Derek zerwał się na równe nogi. Przyjaciele powstrzymali go siłą, bowiem inaczej rzuciłby się na Sturma w sali obrad. Gunthar postukał ręką miecza, nakazując spokój i wreszcie zgromadzenie uciszyło się, lecz zanim do tego doszło, Derek wyzwiał Sturma na pojedynek.

Gunthar zmierzył rycerza chłodnym wzrokiem.

– Jak ci wiadomo, lordzie Dereku, w chwili obecnej – w trakcie ogłoszonej wojny – pojedynki z powodów honorowych są zabronione! Uspokój się, albo rozkażę cię siłą wyprowadzić z sali sądowej.

Oddychając ciężko, Derek wrócił na swoje miejsce z twarzą w czerwone plamy.

Gunthar dał zgromadzeniu jeszcze kilka chwil na uspokojenie się, po czym kontynuował. – Czy masz jeszcze coś do powiedzenia na swoją obronę, Sturmie Brightblade?

– Nie, panie – odpowiedział Sturm.

– W takim razie możesz oddalić się na czas rozważenia sprawy.

Sturm wstał i skłonił się dostojnikom. Odwróciwszy się, skłonił się także zgromadzonym rycerzom. Następnie opuścił salę pod eskortą dwóch rycerzy, którzy zaprowadzili go do przedsionka. Tutaj dwaj rycerze, nie będąc pozbawieni serca, zostawili Sturmowi samego. Stanęli przy zamkniętych drzwiach, rozmawiając cicho o kwestiach nie związanych z rozprawą.

Sturm siadł na ławie w drugim końcu komnaty. Wydawał się spokojny i opanowany, lecz udawał tylko. Za wszelką cenę chciał ukryć przed tymi rycerzami zamęt, jaki krył się w jego duszy. Wiedział, że nie ma nadziei. Powiedział mu to zasmucony wyraz twarzy Gunthara. Jaki jednak może zapaść wyrok? Wygnanie, odebranie majątku i ziem? Sturm uśmiechnął się gorzko. Nie miał niczego, co mogliby mu odebrać. Od tak dawna żył poza granicami Solamnii, że wygnanie straciło dla niego sens. Śmierć? Powitałby ją niemal z radością. Wszystko było lepsze od tej beznadziejnej egzystencji, tego tępego, pulsującego bólu.

Mijały godziny. Z korytarzy otaczających wielką salę dobiegał szmer trzech głosów. Czasami słyhać było głos podniesiony w gniewie. Większość pozostałych rycerzy wyszła, ponieważ tylko ci trzej, jako przewodniczący rady, mogli wydać wyrok. Reszta rycerzy podzieliła się na odłamy o sprzecznych poglądach.

Młodzi rycerze otwarcie mówili o szlachetnych czynach Sturmowi oraz jego odwadze i nawet Derek nie mógł zakazać im tego. Sturm miał rację, nie walcząc z elfami. Rycerzom solamnijskim są teraz potrzebni wszyscy przyjaciele, jakich mogą pozyskać. Po co atakować niepotrzebnie, i tak dalej. Starsi rycerze mieli tylko jedną odpowiedź – reguła. Derek wydał Sturmowi rozkaz. Ten odmówił wykonania go. Według zasad reguły jest to niewybaczalne. Spór ciągnął się przez większość popołudnia.

Potem, około zmierzchu, zadzwonił srebrny dzwoneczek.

– Brightblade – rzekł jeden z rycerzy.

Sturm podniósł głowę. – Czy już czas? – Rycerz skinął głową.

Sturm spuścił głowę na chwilę, prosząc Paladine o odwagę. Potem wstał. Wraz ze strażą zaczekał, aż inni rycerze wejdą i zasiądą. Wiedział, że dowiadują się o wyroku natychmiast po wejściu.

Wreszcie dwóch rycerzy wyznaczonych do pełnienia roli eskorty otworzyło drzwi i gestem nakazało Sturmowi wejść. Młody człowiek wkroczył do sali, a rycerze za nim. Sturm natychmiast spojrzał na stół przed lordem Guntharem.

Miecz jego ojca – miecz, o którym legenda głosiła, iż był własnością samego Berthela

Brightblade, miecz, który miał złamać się tylko wtedy, gdyby załamał się jego właściciel – leżał na blacie stołu. Spojrzenie Sturm padło na klingę. Rycerz spuścił głowę, by ukryć palące łzy w oczach.

Klingę oplatał pradawny symbol winy – czarne róże.

– Przeprowadźcie tego męża, Sturm Brightblade – zarządził lord Gunthar.

Tego męża, Sturm Brightblade, nie rycerza! – pomyślał Sturm z rozpaczą. Wtedy przypomniał sobie o Dereku. Szybko i dumnie podniósł głowę, ocierając łzy mrugnięciem powiek. Tak samo, jak ukryłyby swe cierpienie przed wrogiem na polu walki, tak zamierzał ukryć je przed Derekiem. Wznosząc dumnie głowę i nie patrząc na nikogo, poza lordem Guntharem, giermek w niełasce stanął przed trzema urzędnikami zakonu, by poczekać na osąd.

– Sturmie Brightblade, zostałeś uznany winnym. Jesteśmy gotowi wydać wyrok. Czy ty jesteś gotowy przyjąć go?

– Tak jest, panie – rzekł Sturm zdławionym głosem.

Gunthar szarpał wąsiska, a był to gest znany ludziom, którzy z nim służyli. Lord Gunthar zawsze pociągał się za wąsy tuż przed wyruszeniem do boju.

– Sturmie Brightblade, wyrokiem sądu z chwilą obecną zaprzestasz noszenia wszelkich oznak czy ekwipunku rycerza solamijskiego.

– Tak, jest, panie – powiedział cicho Sturm, przełykając ślinę.

– Ponadto, z chwilą obecną zaprzestasz pobierania zapłaty z kasy zakonu, jak również nie przyjmiesz żadnego majątku, ani też daru od niego...

Rycerze w sali zamkowej zaczęli się kręcić niespokojnie. To było śmieszne! Nikt nie pobierał zapłaty w służbie zakonu od czasów kataklizmu. Coś się szykowało. Czuli woń gromów przed burzą.

– I wreszcie... – Gunthar przerwał. Nachylił się, obracając w dłoniach czarne róże zdobiące prastary miecz. Byстрыm wzrokiem powiódł po zgromadzonych, przyciągając uwagę swej widowni i budując napięcie. Do czasu, gdy przemówił, nawet ogień w kominku przestał trzaskać.

– Sturmie Brightblade! Zgromadzeni rycerze! Nigdy przedtem podobna sprawa nie była rozpatrywana przez tę radę. Być może, nie jest to tak dziwne, jakby mogło się wydawać, bowiem nadeszły mroczne i niezwykle czasy. Stoi przed nami młody giermek – a przypominam wam, że Sturm Brightblade jest młody według wszelkich wymogów zakonu – młody giermek, którego dzielność i sprawność w boju jest powszechnie znana. Nawet jego oskarżyciel nie zaprzecza temu. Młodzieniec ten jest oskarżony o odmowę wykonania

rozkazów i tchórzostwo w obliczu wroga. Ów młody giermek nie podważa tego oskarżenia, lecz twierdzi, iż jego czyny zostały niewłaściwie przedstawione.

Zgodnie z nakazami reguły jesteśmy zobowiązani uznać wyższość słowa doświadczonego i wypróbowanego rycerza, jakim jest Derek Crownguard, nad słowem męża, który jeszcze nie zdobył tarczy. Jednakże reguła twierdzi również, że oskarżony powinien móc wezwać świadków obrony. Z powodu niezwykłych okoliczności, których przyczyną są dzisiejsze niespokojne czasy, Sturm Brightblade nie jest w stanie wezwać świadków. To samo zresztą odnosi się do Dereka Crownguarda, który również nie był w stanie przedstawić świadków potwierdzających jego zeznania. W związku z tym, po porozumieniu się postanowiliśmy odwołać się do następującej, nieco nietypowej procedury.

Sturm stał przed Guntharem, czując się zaniepokojony i zbity z tropu. Co się dzieje? Rzucił spojrzenie na pozostałych dwóch rycerzy. Lord Alfred nawet nie raczył kryć swego gniewu. Było jasne, że Gunthar ciężko okupił to „porozumienie”.

– Wyrokiem rady – kontynuował lord Gunthar – ten młody człowiek, Sturm Brightblade, zostanie przyjęty w szeregi najniższego zakonu rycerzy – zakonu korony – na moje słowo honoru...

Rozległ się powszechny odgłos zdumienia.

– A ponadto ma on być mianowany trzecim w kolejności dowodzenia armią, która wkrótce wypływa do Palanthis. Zgodnie z nakazami reguły, w skład dowództwa naczelnego muszą wchodzić przedstawiciele wszystkich trzech zakonów. W związku z tym Derek Crownguard będzie dowódcą naczelnym wojsk i przedstawicielem zakonu róży. Lord Alfred MarKenin będzie reprezentować zakon miecza, a Sturm Brightblade, za którego świadczę swym honorem – będzie pełnić funkcję dowódcy zakonu korony.

Wśród ciszy zdumienia, jaka zapadła, Sturm poczuł łzy spływające mu po policzkach, lecz teraz nie musiał już ich ukrywać. Usłyszał, że za nim ktoś wstaje, gniewnie pobrzękując mieczem. Kipiąc z wściekłości, Derek wymaszerował z sali zamkowej, a za nim pozostali rycerze, którzy należeli do jego odłamu. Rozległy się również nieliczne radosne okrzyki. Przez łzy Sturm zobaczył, że niemal połowa rycerzy w sali – w szczególności młodszych, którymi będzie dowodził – wiwatowała. Sturm poczuł ostry ból, który przeszył jego serce. Chociaż odniósł zwycięstwo, był dogłębnie wstrząśnięty, ujrawszy czym stał się zakon, podzielony przez żadnych władzy ludzi na skłócone ze sobą odłamy. Nie był już niczym więcej, jak wypaczoną, pustą skorupą niegdyś szacownego bractwa.

– Gratuluję, Brightblade – rzekł sztywno lord Alfred. – Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, co lord Gunthar uczynił dla ciebie.

– Tak, panie – powiedział Sturm, kłaniając się – i przysięgam na miecz mego ojca – położył na nim dłoń – że okażę się godny jego zaufania.

– Postaraj się o to, młody człowieku – odrzekł lord Alfred i opuścił salę. Młodszy z dostojników, Michael, wyszedł za nim, nie odezwał się nawet do Sturma.

Wtedy zbliżyli się inni młodzi rycerze, gratulując mu entuzjastycznie. Pili wino za jego zdrowie i zostaliby na całonocne pijaństwo, gdyby Gunthar nie kazał im ruszać w drogę.

Kiedy w sali zamkowej zostali tylko we dwóch, lord Gunthar uśmiechnął się serdecznie do Sturma i uściśnął mu dłoń. Młody rycerz odpowiedział szczerym uściskiem dłoni, nawet jeśli nie mógł zdobyć się na uśmiech. Ból był jeszcze zbyt świeży.

Następnie Sturm powoli i ostrożnie zdjął czarne róże ze swego miecza. Odłożywszy je na stół, wsunął miecz z powrotem do pochwy u swego boku. Chciał odsunąć róże na bok, lecz zatrzymał się, a potem wziął jedną i schował za pas.

– Muszę ci podziękować, panie – zaczął Sturm drżącym głosem.

– Nie masz mi za co dziękować, synu – rzekł lord Gunthar. Rozglądając się po komnacie, zadygotał. – Chodźmy stąd gdzieś, gdzie jest ciepłej. Napij się grzanego wina?

Dwaj rycerze szli kamiennymi korytarzami starego zamku Gunthara, słysząc docierające z dołu odgłosy towarzyszące odjazdowi młodych rycerzy – stuk końskich kopyt na wybrukowanym dziedzińcu, okrzyki, a nawet kilka głosów intonujących pieśń wojenną.

– Muszę ci podziękować, panie – powiedział zdecydowanie Sturm. – Podjąłeś wielkie ryzyko. Mam nadzieję, że okażę się godny...

– Ryzyko! Nonsens, mój chłopcze. – Zacierając dłonie, by przywrócić w nich krążenie, Gunthar zaprowadził Sturma do małej komnaty ozdobionej na zbliżające się zimowe święto czerwonymi różami, które hodowano w cieplarniach, piórami zimorodka i maleńkimi, delikatnymi koronami ze złota. Na kominku płonął jasno ogień. Na polecenie

Gunthara służba przyniosła dwa kubki parującego płynu, który rozsiewał ciepły, korzenny zapach. – Nie jeden raz twój ojciec rzucał swą tarczę przede mnie i stawał nade mną, osłaniając mnie swym ciałem, gdy upadłem.

– A ty czyniłeś to samo dla niego – rzekł Sturm. –

Nie jesteś mu nic winny. Poświadczenie za mnie twym honorem oznacza, że jeśli zawiodę, ty ucierpisz. Odbiorą ci urząd, tytuł i ziemie. Derek już się o to postara – dodał ponuro.

Pociągając mocny łyk wina, Gunthar przyjrzał się uważnie młodemu człowiekowi, który przed nim stał. Sturm sączył wino tylko z uprzejmości, trzymając kubek w dłoni, która wyraźnie drżała. Gunthar serdecznie położył dłoń na ramieniu Sturma i łagodnym pchnięciem

posadził go na krześle.

– Czy zawiodłeś kogoś w przeszłości, Sturmie? – spytał Gunthar.

Sturm podniósł wzrok, a w jego brązowych oczach pojawił się błysk. – Nie, panie – odpowiedział. – Nie zawiodłem. Przysięgam!

– Wobec tego nie mam czego się obawiać w przyszłości – oświadczył lord Gunthar i uśmiechnął się. – Za twoje powodzenie w bitwie, Sturmie Brightblade.

Sturm zamknął oczy. Napięcie dobiegło granicy wytrzymałości. Spuściwszy głowę na ramię, rozplakał się – a całym jego ciałem wstrząsał bolesny szloch. Gunthar ścisnął go za ramię.

– Rozumiem... – powiedział, oczami wyobraźni wracając do chwili, gdy jeszcze w Solamni ojciec tego młodego człowieka załamał się i tak samo płakał – tej nocy, gdy pan Brightblade wysłał swą młodą żonę i maleńkiego syna w podróż na wygnanie – podróż, z której ich powrotu miał nigdy nie doczekać.

Wyczerpany płaczem Sturm wreszcie usnął z głową na blacie stołu. Gunthar siedział przy nim, pograżywszy się we wspomnieniach i popijał grzane wino, aż on również zapadł w sen.

Tych kilka dni przed odpłynięciem wojsk do Palanthis szybko upłynęło Sturmowi. Musiał znaleźć zbroję – używaną, bowiem nie było go stać na nową. Starannie zapakował zbroję swego ojca, zamierzając zabrać ją ze sobą jako bagaż, skoro nie wolno mu było jej nosić. Następnie musiał brać udział w spotkaniach, przestudiować dyspozycje bojowe i przyswoić sobie informacje na temat nieprzyjaciela.

Bitwa o Palanthis będzie zacięła, bowiem od niej będzie zależało, kto uzyska panowanie nad całą północną częścią Solamni. Wodzowie uzgodnili strategię. Na murach miasta stanie miejskie wojsko. Sami rycerze zajmą Wieżę Najwyższego Klerysta, która blokowała przejście przez pasmo gór Vingaard. Jednakże była to jedyna kwestia, co do której się zgadzali. Spotkania przywódców odbywały się w lodowatej atmosferze stałego napięcia.

Wreszcie nadszedł dzień, gdy statki miały odpłynąć. Rycerze weszli na pokład. Ich rodziny stały cicho na brzegu. Choć widać było pobladłe twarze, niewiele było łez, a kobiety stały z zaciśniętymi wargami, równie surowe, jak ich mężczyźni. Niektóre z żon przypasały miecze. Wszyscy wiedzieli, że jeśli bitwa na północy zostanie przegrana, wróg przebędzie morze.

Gunthar stał na przystani w błyszczącej zbroi, rozmawiając z rycerzami i żegnając się ze swoimi synami. Zamienił z Derekiem kilka rytualnych słów, których wymagała reguła. Urzędowo uściskał lorda Alfreda. Na końcu Gunthar odszukał Sturma. Młody rycerz odziany

w prostą, nędzną zbroję, stał z dala od tłumu.

– Brightblade – rzekł Gunthar ściszym głosem, kiedy ten zbliżył się do niego – od dawna zamierzałem cię o to zapytać, lecz ostatnimi dniami nie miałem ani chwili czasu. Wspominałeś, że twoi przyjaciele zamierzając przybyć na Sancrist. Czy jest wśród nich ktoś, kto mógłby stanąć przed radą w roli twego świadka?

Sturm zastanowił się. Przez jedną oszalałą chwilę na myśl przychodził mu tylko Tanis. W tych ostatnich ciężkich dniach często myślał o swym przyjacielu. Przez jakiś czas nawet łudził się nadzieją, że Tanis przybędzie na Sancrist. Nadzieja ta jednak już wygasła. Gdziekolwiek jest teraz Tanis, ma swoje kłopoty i musi stawiać czoła własnym problemom. Istniała jeszcze jedna osoba, którą wbrew wszystkiemu miał nadzieję ujrzeć. Nieświadomym gestem Sturm położył dłoń na gwiezdny klejnocie, który nosił zawieszony na łańcuszku na szyi. Niemał wyczuwał jego ciepło i wiedział – nie wiedząc, skąd – że choć daleko stąd, Alhana jest przy nim. Wtedy...

– Laurana! – powiedział.

– Kobieta? – Gunthar zmarszczył brwi.

– Tak, jest córką Mówcy Słońc i należy do królewskiego rodu Qualinesti. I jeszcze jej brat, Gilthanas. Oboje poświadczą za mnie.

– Królewski ród... – zamyślił się Gunthar. Twarz mu pojaśniała. – Doskonale, tym bardziej, że otrzymaliśmy wieść, że sam Mówca weźmie udział w posiedzeniu rady najwyższej, aby omówić kwestię smoczej kuli. Jeśli to nastąpi, mój chłopcze, dam ci jakoś znać i będziesz mógł znów przywdziać tę zbroję! Zostaniesz uniewinniony! Będziesz mógł nosić ją bez poczucia hańby!

– A ty zostaniesz uwolniony od swej przysięgi – rzekł Sturm, z wdzięcznością ściskając dłoń rycerzowi.

– Też mi coś! Nie myśl nawet o tym. – Gunthar położył dłonie na głowie Sturma, tak jak kładł je na głowach swych synów. Sturm ukląkł przed nim z czcią. – Przyjmij me błogosławieństwo, Sturmie Brightblade, ojcowskie błogosławieństwo, którego ci udzielałam w zastępstwie twego własnego ojca. Spełń swą powinność, młody człowieku i pozostań synem swego ojca. Niech duch pana Humy będzie z tobą.

– Dzięki ci, panie – rzekł Sturm, wstając. – Żegnaj.

– Żegnaj, Sturmie – powiedział Gunthar. Uściskawszy szybko młodego rycerza, odwrócił się i odszedł.

Rycerze weszli na pokład statków. Świtało, lecz na zimowym niebie nie widać było słońca. Nad szarym jak ołów morzem wisały szare chmury. Nikt nie wiwatował, a jedynymi

odgłosami były tylko wydawane okrzykiem komendy kapitana i odpowiedzi załogi, skrzypienie kołowrotek i łopotanie żagli na wietrze.

Pomału białoskrzydłe statki podniosły kotwicę i pożeglowały na północ. Wkrótce ostatni żagiel znikł z horyzontu, lecz mimo to nikt nie opuścił przystani, nawet gdy rozszalał się nagły szkwał, bombardując zgromadzonych lodowatym deszczem ze śniegiem i zasnuwając zimną toń morza delikatną, szarą zasłoną.

Rozdział III

Smocza kula. Przysięga Caramona

Raistlin stał w niedużych drzwiach wozu i przyglądał się złotymi oczyma nasłonecznionej puszczy. Wszędzie panowała cisza. Było już po zimowych świętach. Zima ścisnęła okolicę ostrym mrozem. W ośnieżonym krajobrazie panował bezruch. Towarzysze czarodzieja oddalili się, zajęci własnymi sprawami. Raistlin pokiwał posępnie głową. Doskonale. Odwróciwszy się, wszedł do wozu i mocno zatrzaskał za sobą drzwi.

Już od kilku dni drużyna obozowała tu, na obrzeżu Kendermore. Ich podróż dobiegała kresu. Mieli niewiarygodne szczęście. Dziś wyruszą w dalszą drogę, udając się do Flotsam pod osłoną ciemności. Zgromadzili dość pieniędzy, by wynająć statek i jeszcze zostało im trochę na zakup prowiantu i opłacenie przez tydzień noclegów we Flotsam. Po południu dali ostatnie przedstawienie.

Młody czarodziej przeciskał się wśród gratów na tyły wozu. Jego spojrzenie padło na migotliwą czerwoną szatę, która wisiała na gwoździu. Tika już chciała ją spakować, lecz Raistlin gniewnie warknął na nią. Wzruszając ramionami, dziewczyna zostawiła szatę i poszła na spacer do lasu, wiedząc, że Caramon – jak zawsze – odnajdzie ją.

Raistlin wyciągnął chudą rękę, by dotknąć szaty, muskając ze smutkiem smukłymi palcami naszywaną cekinami tkaninę i żałując, iż ten okres w jego życiu dobiegł kresu.

– Byłem szczęśliwy – szepnął do siebie. – To dziwne. Nieczęsto mogłem to powiedzieć w swym życiu. Z pewnością nie kiedy byłem młody, ani w ciągu tych ostatnich kilku lat po tym, jak zniszczono me ciało i obdarzono tym przeklętym wzrokiem. Jednakże nie spodziewałem się nigdy szczęścia. Jakże niepozorne jest ono w porównaniu z moją magią! A mimo to... mimo to, minione tygodnie były tygodniami spokoju. Tygodniami szczęścia. Nie sądzę, aby miało się to kiedykolwiek powtórzyć. Nie po tym, co muszę uczynić...

Raistlin trzymał szatę w dłoni jeszcze przez chwilę, a potem, wzruszywszy ramionami, cisnął ją w kąt i ruszył dalej na tył wozu, który oddzielił zasłonką dla swego prywatnego użytku. Kiedy już znalazł się wewnątrz, starannie zaciągnął zasłonki.

Doskonale. Nikt mu nie będzie przeszkadzał przez kilka godzin, prawdę mówiąc, do zmierzchu. Tanis i Riverwind poszli na polowanie. Caramon niby też się wybrał, lecz wszyscy wiedzieli, że to tylko wymówka, by znaleźć się sam na sam z Tiką. Goldmoon szykowała jedzenie na drogę. Nikt nie zakłóci jego spokoju. Zadowolony mag pokiwał głową.

Zasiadając za małym stolikiem, jaki zrobił mu Caramon, Raistlin ostrożnie wyciągnął

z najgłębszej kieszeni swych szat pospolicie wyglądający woreczek, w którym znajdowała się smocza kula. Drżącymi, chudymi jak u szkieletu palcami szarpnął za sznureczek. Sakiewka otworzyła się. Wkładając dłoń do środka, Raistlin chwycił smoczą kulę i wyjął ją z woreczka. Bez trudu trzymał ją w dłoni, przyglądając jej się z bliska, jakby chciał zobaczyć, czy nie zaszły jakieś zmiany.

Nie. Błada zieleń wciąż wirowała wewnątrz. Wciąż była tak zimna w dotyku, jak kulka gradu. Uśmiechając się, Raistlin zacisnął kulę w jednej dłoni, a drugą po omacku szukał czegoś wśród rekwizytów pod stołem. Wreszcie znalazł, czego szukał – z grubsza ociosany stojak na trzech nóżkach. Wyciągnąwszy ów przedmiot, Raistlin umieścił go na stole. Nie było czego podziwiać – Flint wzgardziłby czymś podobnym. Raistlin nie miał ani zamiłowania, ani talentu niezbędnego do pracy w drzewie. Potajemnie i pracowicie rzeźbił ten stojak, zamknięty wewnątrz podskakującego na wybojach wozu w czasie długich dni spędzanych w drodze. Nie, nie było czego podziwiać, lecz nie dbał o to. Dla jego potrzeb wystarczy.

Ustawwszy stojak na stole, Raistlin umieścił na nim smoczą kulę. Glob wielkości kulki do dziecinnych zabaw wyglądał śmiesznie, lecz czarodziej usiadł wygodnie, cierpliwie czekając. Tak jak się spodziewał, kula wkrótce zaczęła rosnać. A może nie? Może to on małał? Raistlin nie był w stanie tego ustalić. Wiedział tylko, że nagle kula odzyskała właściwe rozmiary. Jeśli cokolwiek zmieniło się, to chyba tylko on, bowiem czuł się zbyt mały, zbyt nieważny, by znajdować się w tym samym pomieszczeniu z kulą.

Czarodziej potrząsnął głową. Wiedział, że musi utrzymać panowanie i natychmiast zdał sobie sprawę z subtelnych podstępów, jakich kula używała, by podminować jego wysiłki. Wkrótce podstępny te nie będą już tak delikatne. Raistlin poczuł ściskanie w gardle. Kaszlnął, przeklinając swe słabe płuca. Zacerpnąwszy z wysiłkiem tchu, zmusił się do głębokiego i lekkiego oddychania.

Odprężyć się, pomyślał. Muszę się odprężyć. Nie boję się. Jestem silny. Spójrz na moje dzieło! Bezgłośnie zawołał do kuli: Spójrz na moc, jaką zdobyłem! Przyjrzyj się temu, czego dokonałem w Mrocznej Puszczy. Przyjrzyj się temu, co zrobiłem w Silvanesti. Jestem silny. Nie boję się.

Kolory kuli zawirowały miękko. Glob nie odpowiedział.

Mag zamknął oczy na chwilę, zacierając w nich obraz kuli. Odzyskawszy panowanie, ponownie je otworzył i westchnąwszy, wbił wzrok w kulę. Nadszedł odpowiedni moment.

Smocza kula odzyskała swoje pierwotne rozmiary. Raistlin niemal widział zaciśnięte na niej pomarszczone dłonie Loraca. Młody czarodziej wzdrygnął się mimowolnie. Nie!

Przestań! – rzekł do siebie stanowczo i przepędził obraz z myśli.

Ponownie rozluźnił się, oddychając regularnie i nie spuszczać kuli z oczu o klepsydrowych źrenicach. Potem – powoli – wyciągnął smukłe, metalicznie połyskujące palce. Po chwili wahania Raistlin położył dłonie na zimnym kryształce smoczej kuli i wypowiedział prastare słowa.

– *Ast bilak moiparalan/ Suh akvlar tantangusar.*

Skąd wiedział, co powiedzieć? Skąd wiedział, jakie prastare słowa sprawią, że kula zrozumie go i uświadomi sobie jego obecność? Raistlin nie wiedział. Wiedział tylko, że nie wiadomo skąd, gdzieś w głębi duszy znał te słowa! Ten głos przemówił do niego w Silvanesti? Może? Nieważne.

Znów wypowiedział te słowa na głos:

– *Ast bilak moiparalan/ Suh avlar tantangusar!*

Powoli dryfująca zieleń pograżyła się w wirze niezliczonych, płynnych kolorów, od których zakręciło mu się w głowie. Kryształ był tak zimny w dotyku, że bolały go dłonie. Raistlinowi stanął przed oczami przerażający obraz – odrywa ręce i zostawia ciało przymarznięte do kuli. Zaciskając zęby, nie zważał na ból i znów wyszeptał słowa.

Kolory przestały wirować. W środku płonęło światło, światło ani nie białe, ani czarne, wszystkich kolorów, a jednak żadnego. Raistlin przełknął ślinę, dławiąc się flegmą, która stanęła mu w gardle.

Z wnętrza światła wyłoniły się ręce! Rozpaczliwie pragnął cofnąć swoje, lecz zanim zdołał się ruszyć, ręce złapały go mocno i stanowczo za dłonie. Kula znikła! Pomieszczenie znikło! Raistlin nie widział niczego wokół siebie. Nie było światła. Nie było ciemności. Nie! Nic... tylko dwie dłonie, które trzymały go za ręce. Z czystego przerażenia Raistlin skupił się na tych dłoniach.

Ludzkie? Elfie? Stare? Młode? Nie potrafił powiedzieć. Palce były długie i wysmukłe, lecz ich uścisk był mocny jak kleszcze śmierci. Gdyby je wypuścił, spadłby w próżnię, gdzie unosiłby się, póki nie pochłonęłaby go litościwa ciemność. Uczepiony tych rąk siłą zrodzoną z lęku, Raistlin uświadomił sobie, że powoli przyciągają go coraz bliżej, wciągają go w...

Nagle Raistlin otrząsnął się, jakby ktoś chlusnął mu zimną wodą w twarz. Nie! – powiedział umysłowi, który kierował rękoma. Nie pójde! Choć bał się wypuścić z rąk tych zbawicielskich dłoni, jeszcze bardziej obawiał się wciągnięcia tam, gdzie nie chciał pójść. Nie da się. Nie stracę panowania, powiedział zawzięcie umysłowi rąk. Zaciskając własne dłonie, czarodziej zebrał wszystkie siły ciała i ducha i pociągnął dłonie ku sobie!

Ręce zatrzymały się. Przez chwilę dwie wole zmagaly się ze sobą, zwarte w

śmiertelnym pojedynku. Raistlin czuł, że siły opuszczają jego ciało, ręce słabną, dłonie zaczynają się pocić. Znow poczuł, że ręce z kuli ciągną go pomalutku do siebie. Raistlin w męce zebrał każdą kroplę swej krwi, skupił każdy nerw i poświęcił każdy mięsień swego wątłego ciała na odzyskanie panowania.

Powoli... powoli... kiedy już myślał, że łomoczące serce wyskoczy mu z piersi lub mózg stanie w Ogniu – Raistlin poczuł, że ręce przestają ciągnąć. Nadal mocno go trzymały – tak samo, jak on je. Nie walczyli już jednak. Jego dłonie i dłonie smoczej kuli nadal były związane w uścisku, każde przyznawało prawo do szacunku, żadne nie pragnęło dominacji.

Ekstaza zwycięstwa, ekstaza magii przepłynęła przez Raistlina i trysnęła na zewnątrz, skąpowy go w ciepłym, złotym blasku. Jego ciało rozluźniło się. Drżąc czuł, że dłonie trzymają go łagodnie, podtrzymują go i dodają sił.

Kim jesteś? – zapytał bezgłośnie. Jesteś dobry? Zły?

Nie jestem ani jednym, ani drugim. Jestem niczym. Jestem wszystkim. Esencją smoków uwięzioną dawno temu.

Jak działasz? – zapytał Raistlin. Jak władasz smokami?

Na twój rozkaz przywalam je do siebie. Nie potrafią oprzeć się memu wezwaniu. Będą posłuszne.

Czy rzucą się na swych panów? Czy posłuchają moich rozkazów?

To zależy od siły pana i więzi pomiędzy nim a smokiem. W niektórych przypadkach więź jest tak silna, że pan smoka może utrzymać nad nim władzę. Większość jednak uczyni, co im każesz. Nie mogą się oprzeć.

Muszę to zgłębić, szepnął Raistlin, czując się coraz słabszy. Nie rozumiem...

Bądź spokojny. Ja ci dopomogę. Teraz, gdy połączyliśmy siły, możesz często zasięgać mej pomocy. Znam wiele dawno zapomnianych tajemnic. Mogą należeć do ciebie...

Jakie tajemnice?... Raistlin czuł, że traci przytomność. Wysilek był zbyt wielki. Starał się nie wypuszczać rąk z uścisku, lecz czuł, że mu się wyślizgują.

Ręce trzymały go czule, jak matka trzyma dziecko.

Odpręż się, nie pozwolę ci spaść. Śpij. Jesteś znużony.

Powiedz mi! Muszę wiedzieć! – krzyknął bezgłośnie Raistlin.

Tylko to jedno ci powiem, a potem musisz odpocząć. W bibliotece Astinusa w Palanthas są książki, setki ksiąg zabranych tam przez dawnych magów w czasach przegranej bitwy. Wszystkim, którzy przyglądają się tym księgom wydaje się, że to tylko encyklopedie magii, nudne historie o czarodziejach, którzy przepadli w otchłani czasu.

Raistlin dostrzegł zakradającą się ku niemu ciemność. Chwycił mocniej dłonie.

Co te księgi zawierają w rzeczywistości? – szepnął.

Wtedy dowiedział się i wraz z nadejściem tej wiedzy ciemność zamknęła się nad nim z hukiem, niczym fala oceanu.

W jaskini niedaleko wozu, ukryci w mroku, ogrzani żarem namiętności, Tika i Caramon leżeli w swych objęciach. Rude włosy Tiki przylepiły się do jej twarzy i czoła ciasnymi lokami, oczy miała zamknięte, a wargi na wpół rozwarte. Przywarła do Caramona miękkim ciałem odzianym w różnobarwną spódnicę i białą bluzkę z burkami. Oplatała go nogami, dłońią pieściła jego twarz, wargami muskała jego wargi.

– Proszę, Caramonie – szepnęła. – To udręka. Pożądamy siebie. Nie boję się. Proszę, kochaj mnie!

Caramon zamknął oczy. Jego twarz błyszczała od potu. Ból miłości zdawał się być nie do zniesienia. Mógł go zakończyć, zakończyć wszystko słodką ekstazą. Przez chwilę wahał się. Miał w nozdrzach zapach pachnących włosów Tiki, czuł dotyk jej miękkich warg na swej szyi. To byłoby takie proste... takie cudowne... Caramon westchnął. Zdecydowanie zacisnął silne dłonie na nadgarstkach Tiki. Zdecydowanie odsunął je od swej twarzy i odepchnął od siebie dziewczynę.

– Nie – rzekł głosem, który dławiała namiętność. Odwrócił się na bok i wstał. – Nie – powtórzył. – Przepraszam. Nie chciałem, żeby... sprawy zaszły tak daleko.

– Ale ja chciałam! – zawołała Tika. – Nie boję się! Już nie.

Nie, pomyślał, przyciskając dłonie do głowy, w której mu łomotało. Czuję, jak drżysz w mych rękach niczym królik schwyty w sidła.

Tika zaczęła zawiązywać sznurówki swej białej bluzki. Nie widząc dobrze przez łzy w oczach, szarpnęła za sznurówkę z taką wściekłością, że pękła jej w rękę.

– No i masz! Widzisz! – cisnęła zerwany jedwabny sznureczek w głąb jaskini. – Zniszczyłam sobie bluzkę!

Będę musiała ją teraz zaszyć. Oczywiście wszyscy zaraz będą wiedzieć, co się stało. Albo będzie im się wydawało, że wiedzą. Ja... ja... Och, to i tak nie ma sensu! – Szlochając z poczucia bezsilnej złości, Tika zasłoniła twarz dłońmi i zaczęła się kołysać.

– Nic mnie nie obchodzi, co oni sobie pomyślą! – powiedział Caramon, a jego słowa zadudniły echem w jaskini. Nie pocieszył jej. Wiedział, że gdyby jej znów dotknął, uległby pożądaniu. – Poza tym oni niczego sobie nie wyobrażają. To są nasi przyjaciele. Troszczą się o nas...

– Wiem! – krzyknęła załamującym się głosem Tika. – To Raistlin, prawda? Nie podobam mu się. On mnie nienawidzi!

– Nie mów tak, Tiko. – Głos Caramona zabrzmiał zdecydowanie. – Gdyby tak było i gdyby był silniejszy, nie miałyby to znaczenia. Nie obchodziłoby mnie, co inni powiedzą, czy pomyślą sobie. Oni chcą, żebyśmy byli szczęśliwi. Nie rozumieją, dlaczego my... ee... nie zostaliśmy kochankami. Tanis nawet powiedział mi w oczy, że głupi jestem...

– I ma rację. – Mokre od łez włosy Tiki tłumili jej głos.

– Może tak. Może nie.

Coś w głosie Caramona sprawiło, że dziewczyna przestała płakać. Podniosła głowę i spojrzała na niego w chwili, gdy on odwrócił się do niej.

– Ty nie wiesz, co się stało z Raistlinem w Wieży Wielkiej Magii. Żadne z was nie wie. I nigdy się nie dowiecie. Ale ja wiem. Byłem tam. Widziałem. Zmusili mnie do patrzenia! – Caramon wzdrygnął się, przykładając dłonie do twarzy. Tika siedziała nieruchomo. Później wojownik znów popatrzył na nią i zaczerpnął głęboko tchu. – Powiedzieli, że jego siła ocali świat. Jaka siła? Wewnętrzna? Ja jestem jego zewnętrzną siłą! Nie...nie rozumiem tego, ale we śnie Raist powiedział mi, że jesteśmy jedną całą osobą, przeklętą przez bogów i umieszczoną w dwóch ciałach. Potrzebujemy siebie nawzajem – przynajmniej w tej chwili. –

Ogromny mężczyzna sposepniał. – Może któregoś dnia to się zmieni. Może któregoś dnia odnajdzie swą zewnętrzną siłę...

Caramon umilkł. Tika przełknęła ślinę i wytarła twarz dłonią. – Ja... – zaczęła, lecz Caramon przerwał jej.

– Zaczekaj chwilę – powiedział. – Daj mi dokończyć. Kocham cię, Tiko, najszczerzej, jak mężczyzna może kochać kobietę na tym świecie. Chcę się z tobą kochać. Gdybyśmy nie byli wplątani w tę głupią wojnę, już dzisiaj byłabyś moja. Już w tej chwili. Ale nie mogę. Ponieważ gdybym to zrobił, byłoby to zobowiązanie wobec ciebie, któremu poświęciłbym resztę życia. Musisz być pierwsza w moich myślach. Nie zasługujesz na mniej. Nie mogę jednak uczynić takiego zobowiązania, Tiko. Poświęciłem się przede wszystkim bratu. – Tika znów zalała się łzami, tym razem nie z żalu nad sobą, lecz nad nim. – Musisz być wolna, żeby znaleźć sobie kogoś, kto będzie mógł...

– Caramonie! – Słodką ciszę popołudnia przerwał krzyk. – Caramonie, chodź szybko!
– To wołał Tanis.

– Raistlin! – powiedział wielki mężczyzna i bez jednego słowa wybiegł z jaskini.

Tika stała przez chwilę, odprowadzając go wzrokiem. Potem westchnęła i spróbowała zaczesać wilgotne włosy.

– Co się stało? – Caramon wpadł do wozu. – Raist? Tanis z poważną miną pokiwał głową.

– Zastałem go w takim stanie. – Pótlef odsunął zasłonkę niewielkiego zakątka czarodzieja. Caramon odepchnął go na bok.

Raistlin leżał na podłodze. Był bardzo blady i płytko oddychał. Z ust sączyła mu się krew. Przyklękawszy, Caramon wziął go na ręce.

– Raistlinie? – szepnął. – Co się stało?

– To się stało – powiedział ponuro Tanis i wskazał.

Caramon podniósł głowę i jego spojrzenie padło na smoczą kulę, która teraz urosła do tej wielkości, jaką Caramon widział w Silvanesti. Spoczywała na stojaku, który wykonał

Raistlin, a kiedy zaczął jej się przyglądać, zobaczył wirujące kolory, które nieustannie zmieniały się. Caramon wciągnął powietrze ze zgrozy. Ujrzał przed oczami straszne wizje Loraca. Lorac obłąkany, konający...

– Raist! – jęknął, przyciskając brata mocno do piersi. Raistlin słabo poruszył głową. Powieki mu drgnęły, a po chwili mag otworzył usta.

– Co mówisz? – Caramon nachylił się blisko, czując chłodny oddech brata na skórze.
– Co?

– Moje... – wyszeptał Raistlin, – Zakłęcia... starożytnych... moje... Moje...

Głowa opadła czarodziejowi, słowa zamarły na wargach. Na jego twarzy jednak malował się wyraz spokoju, wytchnienia, odprężenia. Jego oddech stał się równomierny.

Raistlin rozwarł wąskie wargi w uśmiechu.

Rozdział IV

Goście na zimowe święto

Dotarcie do domu na czas zimowych świąt po wyjeździe rycerzy do Palanthas zajęło lordowi Guntharowi wiele dni ciężkiej jazdy konno. Na drogach było po kolana błota. Jego koń nieraz przewrócił się, a Gunthar, który kochał go niemal tak samo serdecznie, jak swych synów, szedł pieszo, kiedykolwiek było to konieczne. Toteż zanim dotarł do zamku, był wyczerpany, przemoknięty i zziębnięty. Stajenny wyszedł osobiście zająć się koniem.

– Wytrzymaj go dobrze – rzekł Gunthar, sztywno zsuwając się z siodła. – Daj mu ciepłego owsa i... – Kontynuował wydawanie poleceń, a stajenny cierpliwie kiwał głową, jakby nigdy przedtem nie zajmował się koniem. Prawdę mówiąc, niewiele brakowało, by Gunthar sam zaprowadził konia do stajni, gdy nadszedł szukający go stary służący, Wills.

– Panie! – Wills odciągnął Gunthara na bok. – Masz gości. Przybyli zaledwie kilka godzin temu.

– Kto? – zapytał bez zainteresowania Gunthar, jako że goście nie byli niczym nowym, szczególnie w okresie świąt. – Lord Michael? Nie mógł pojechać z nami, lecz poprosiłem go, żeby wstąpił do nas w drodze powrotnej...

– To jakiś starzec, jaśnie panie – przerwał Wills – i kender.

– Kender? – powtórzył nieco zaniepokojony Gunthar.

– Niestety, panie. Proszę się jednak nie obawiać – dodał pośpiesznie stary sługa. – Zamknąłem srebro w szufladzie, a małżonka jaśnie pana zaniósła swe klejnoty do piwnicy.

– Można by pomyśleć, że jesteśmy oblegani! – parsknął Gunthar. Niemniej jednak przeszedł przez dziedziniec szybciej niż zwykle.

– W obecności tej hałastry nie można być zbyt ostrożnym, jaśnie panie – wymamrotał Wills, drepcząc za swym panem.

– Więc kim są ci dwaj? Żebrakami? Dlaczego ich wpuściłeś? – dopytywał się natarczywie Gunthar, który zaczynał tracić cierpliwość. Chciał tylko napić się grzanego wina i przebrać w ciepłe ubranie. I jeszcze żeby żona wymasowała mu plecy tak, jak tylko ona potrafi. – Daj im coś do jedzenia, trochę pieniędzy i odeślij ich w drogę. Oczywiście wpierw obszukaj kendera.

– Miałem zamiar tak zrobić, jaśnie panie – rzekł uparcie Wills. – Ale w nich jest coś dziwnego – szczególnie w tym staruszk. On ma nie po kolei w głowie, gdyby jaśnie pan pytał mnie o zdanie – ale mimo to, nie da sobie w kaszę dmuchać. On coś wie i to może nie wyjść na zdrowie jemu – albo i nam.

– Co masz na myśli?

Otworzyli właśnie wielkie drewniane wrota prowadzące do mieszkalnej części samego zamku. Gunthar zatrzymał się i zmierzył wzrokiem Willsa, znając i szanując bystre oko swego sługi. Wills rozejrzał się, po czym nachylił blisko swego pana.

– Ten starzec polecił mi przekazać ci, panie, że przynosi niezmiernie ważne wieści dotyczące smoczej kuli!

– Smoczej kuli! – szepnął Gunthar. Kula była tajemnicą, a przynajmniej tak sądził. Rycerze oczywiście wiedzieli o niej. Czyżby Derek powiedział o niej komuś jeszcze? Czy to kolejne z jego posunięć?

– Jak zwykle postąpiłeś mądrze, Wills – powiedział wreszcie Gunthar. – Gdzie oni są?

– Zaprowadziłem ich do sali wojennej, panie, zakładając, że nie będą tam mogli uczynić wiele szkód.

– Przebiorę się tylko, zanim przeziębę się na śmierć, a potem natychmiast pójdę do nich. Czy zatroszczyłeś się o nich?

– Tak, jaśnie panie – odrzekł Wills, śpiesząc za Guntharem, który znów ruszył przed siebie. – Dostali gorącego wina, trochę chleba i mięsa. Chociaż obawiam się, że kender zdążył już ukraść talerze...

Gunthar i Wills stali pod drzwiami sali wojennej przez chwilę, podsłuchując, o czym rozmawiają goście.

– Odłóż go zaraz! – rozkazał surowy głos.

– Nie odłożę! Jest mój! Popatrz, był w mojej sakwie.

– Akurat! Widziałem, jak wkładałeś go tam pięć minut temu!

– No wiesz, mylisz się – zaprotestował drugi głos urażonym tonem. – To moje. Patrz, tu jest wygrawerowane moje imię...

– „Dla Gunthara, mojego ukochanego męża w dniu Daru Życia” – przeczytał pierwszy głos.

Na chwilę w sali zapadła cisza. Wills zbladł. Następnie piskliwy głos znów się odezwał, tym razem pokorniej.

– Musiał mi sam wpaść do torby, Fizbanie. No właśnie! Widzisz, plecak był pod stołem. Czy to nie szczęśliwy traf? Gdyby spadł na posadzkę, potłukłby się...

Pan Gunthar rozwarł drzwi z gniewną miną.

– Wesołych świąt, panowie – rzekł. Wills wpadł za nim, omiatając spojrzeniem pokój.

Dwaj przybysze szybko odwrócili się. Starzec trzymał w ręku ceramiczny kufel. Wills skoczył po ten kufel, wrywając mu go z dłoni. Rzucając obrażone spojrzenie kenderowi,

postawił kufel na kominku, poza zasięgiem ręki kendera.

– Czy życzysz sobie czegoś jeszcze, panie? – spytał Wills, znacząco spoglądając na kendera. – Czy mam zostać i dopilnować wszystkiego?

Gunthar otworzył usta, żeby odpowiedzieć, lecz starzec machnął ręką od niechcenia.

– Tak, dziękuję, mój dobry człowieku. Przynies nam jeszcze piwa. Tylko nie przynoś tego sikacza z beczki dla służby! – Starzec zmierzył Willsa surowym wzrokiem. – Utocz no nam piwa z baryłki, która stoi w ciemnym kącie przy schodach do piwniczki. Wiesz – tej, która jest cała w pajęczynach.

Wills gapił się na niego z otwartymi ustami.

– No idźże już. Nie stój tak, wybałuszając oczy jak ryba wyrzucona na brzeg! Nie jest zbyt bystry, nieprawdaż? – starzec zapytał Gunthara.

– N-nie – wyjąkał Gunthar. – W porządku, Wills. Ja...też się chyba napiję... tego piwa z tej baryłki... przy schodach. Skąd wiedziałeś? – Zapytał starca podejrzliwie.

– Och, to czarodziej – powiedział kender i usiadł, nie czekając na zaproszenie.

– Czarodziej? – Starzec rozejrzał się wokół. – Gdzie? Tas szepnął coś, szturchając staruszkę.

– Naprawdę? Ja? – powiedział. – Co ty nie powiesz? Niesamowite. Choć, wiesz, kiedy się nad tym zastanowić, to chyba przypominam sobie jakieś zaklęcie... Kula ognista. Jak to szło?

Stary mag zaczął mówić dziwne słowa. Zaniepokojony kender zerwał się na równe nogi i złapał starca.

– Nie, staruszkule! – zawołał, szarpnięciem sadzając go znów na krzesło. – Nie teraz!

– Chyba masz rację – rzekł z żalem starzec. – Ale to wspaniałe zaklęcie...

– Jestem tego pewien – szepnął Gunthar, absolutnie zdumiony. Potem potrząsnął głową, powracając do swej surowej manieri. – A teraz, wytłumaczcie się. Kim jesteście? Co tu robicie? Wills powiedział coś o smoczej kuli...

– Nazywam się... – Czarodziej przerwał i zaczął mrugać oczami.

– Fizban – podpowiedział kender z westchnieniem. Wstał, uprzejmie podając małą rękę Guntharowi. – A ja nazywam się Tasslehoff Burrfoot. – Chciał już ponownie usiąść. – Och! – zawołał, znów się zrywając. – Wesołych świąt, panie rycerzu.

– Tak, tak – Gunthar uściskał mu dłoń, kiwając głową z roztargnieniem. – Wróćmy może do smoczej kuli?

– Ach, tak, smocza kula! – Z twarzy Fizbana natychmiast znikł głupkowaty wyraz. Starzec zmierzył Gunthara przebiegłym, przenikliwym wzrokiem. – Gdzie ona jest?

Przebyliśmy daleką drogę, szukając jej.

– Obawiam się, że nie mogę wam powiedzieć – rzekł chłodno Gunthar. – Nawet gdyby rzeczywiście coś podobnego tu było...

– Och, oczywiście, że było – odparł Fizban. – Przyniósł ją rycerz róży, niejaki Derek Crownguard. Był z nim Sturm Brightblade.

– To moi przyjaciele – wyjaśnił Tasslehoff, widząc, jak Gunthar otwiera usta ze zdumienia. – Prawdę mówiąc, pomogłem im zdobyć kulę – dodał skromnie kender. – Zabraliśmy ją złemu czarnoksiężnikowi w pałacu zrobionym z lodu. To wspaniała historia... – Nachylił się z zapalem. – Chciałbyś jej posłuchać?

– Nie – powiedział Gunthar, przyglądając się im obu ze zdumieniem. – A jeśli miałbym uwierzyć w te bzdury... zaczekaj... – Opadł znów na oparcie krzesła. – Sturm rzeczywiście coś mówił o kenderze. Kim byli pozostali w waszej drużynie?

– Krasnolud Flint, kowal Theros, Gilthanas i Laurana...

– Tak, właśnie! – wykrzyknął Gunthar, a następnie zmarszczył brwi. – Ale nic nie wspominał o czarodzieju...

– Och, to dlatego, że ja nie żyję – oświadczył Fizban, kładąc nogi na stole.

Gunthar wybałuszył oczy, lecz zanim zdążył odpowiedzieć, wszedł Wills. Patrząc wściekle na Tasslehoffa, stary sługa postawił kufle na stole przed swym panem.

– Tu są trzy kufle, jasnie panie. Z tym na kominku będą cztery. I mają być cztery, kiedy wrócę!

Wszedł, zatraskując za sobą drzwi z hukiem.

– Przypilnuję ich – obiecał solennie Tas. – Czyżby u pana kradli kufle? – zapytał Gunthara.

– Ja – nie...Ty nie żyjesz? – Gunthar odnosił wrażenie, że szybko traci orientację, co tu się dzieje.

– To długa historia – rzekł Fizban, wypijając piwo duszkiem. Otarł pianę z ust końcem brody. – Ach, wyśmienite. O czym to ja mówiłem?

– Że jesteś nieżywy – podsunął pomocnie Tas

– Ach, tak. To długa historia. Za długa na dzisiaj. Muszę zabrać kulę. Gdzie ona jest?

Gunthar wstał gniewnie, zamierzając wyprosić tego starca i kendera z komnaty i ze swego zamku. Miał zamiar wezwać strażę, by ich wyprowadziły. Lecz zamiast tego stwierdził, że jest przyszpilony przenikliwym spojrzeniem starca.

Rycerze solamnijscy zawsze obawiali się magii. Choć nie brali udziału w zniszczeniu Wieży Wielkiej Magii – byłoby to wbrew regule – nie żalowali wygnania czarodziejów z

Palanthas.

– Co chcesz wiedzieć – zająknął się Gunthar, czując przenikający go do szpiku kości zimny strach w chwili, gdy zawładnęła nim dziwna moc starca. Gunthar usiadł powoli, niechętnie.

Oczy Fizbana błyszczały. – Nie muszę nikomu nic mówić – rzekł cicho. – Dość ci wiedzieć, że to ja przybyłem po kulę. Stworzyli ją w dawnych czasach czarodzieje! Znam ją. Wiele wiem o niej.

Gunthar wahał się, zmagając się z samym sobą. W końcu kuli strzegli rycerze, a jeśli ten starzec rzeczywiście coś o niej wie, cóż szkodzi, jeśli powie mu, gdzie się znajduje? Poza tym, naprawdę odnosił wrażenie, że nie ma w tej kwestii żadnego wyboru.

Roztargnionym gestem Fizban podniósł kufel, chcąc się z niego napić. Żałośnie zajrzał do środka w chwili, gdy Gunthar odpowiedział.

– Smocza kula jest u gnomów.

Fizban upuścił kufel z trzaskiem. Naczynie rozbiło się na setki kawałków, które rozprysnęły się po drewnianej posadzce.

– A nie mówiłem? – powiedział żałośnie Tas, przyglądając się potłuczonemu kufłowi.

Gnomy mieszkały w Górze Nieważne od niepamiętnych czasów – a ponieważ tylko ich to obchodziło, tylko one liczyły upływ czasu. Z pewnością były tam już, gdy pierwsi rycerze przybyli na Sancrist z nowo powstałego królestwa Solamnii, by wznieść fortece i zamki na najbardziej wysuniętej na zachód części swych granic.

Zawsze podejrzliwe wobec przybyszy, gnomy wpadły w panikę na widok przybijającego do ich brzegów statku, na którego pokładzie przybyły hordy wysokich, wojowniczych ludzi o surowych twarzach. Postanowiwszy ukryć przed ludźmi to, co uważały za swój górski raj, gnomy zabrały się do roboty. Będąc najbardziej technologicznie usposobioną rasą spośród wszystkich ludów Krynnu (to one wynalazły maszynę parową i sprężynę), początkowo gnomy zamierzały ukryć się w swych górskich jaskiniach, lecz potem wpadły na lepszy pomysł. Ukryją samą górę!

Po kilku miesiącach niekończących się wysiłków największych mechanicznych geniuszy, gnomy były przygotowane. A jaki miały plan? Zamierzały sprawić, by cała ich góra zniknęła!

W tym właśnie momencie jeden z członków gnomiego cechu filozofów zadał pytanie, czy nie jest prawdopodobne, iż rycerze już zdążyli zauważyć górę, która jest największa na wyspie. A jeśli nagłe zniknięcie góry wzbudzi ludzką ciekawość?

To pytanie posiało zamęt wśród gnomów. Na dyskusjach upływały dni. Kwestia

wkrótce podzieliła filozofów gnomich na dwa odłamy: tych, którzy byli przekonani, że jeśli drzewo zwali się w lesie i nikt tego nie usłyszy, rozlegnie się przy tym łoskot, oraz tych, którzy twierdzili, że nie jest to prawdą. Pytanie, co to ma właściwie wspólnego z początkową kwestią, pojawiło się siódmego dnia obrad, lecz natychmiast oddalono je do rozpatrzenia przez specjalny komitet.

Tymczasem, urażeni inżynierowie mechanicy postanowili mimo wszystko uruchomić urządzenie.

I tak nadszedł dzień wciąż wspominany w kronikach Sancrist (kiedy niemal wszystko inne przepadło podczas kataklizmu) jako Dzień Śmierdzących Jaj.

Tego poranka przodek pana Gunthara obudził się, sennie zastanawiając się, czy przypadkiem jego syn znów nie wpadł przez dach do kurnika. To się wydarzyło zaledwie kilka tygodni temu. Chłopiec gonił koguta.

– Ty go zaprowadzisz nad sadzawkę – przodek Gunthara powiedział sennie do żony, obracając się na drugi bok i naciągając kołdrę na głowę.

– Nie mogę! – odrzekła zaspana żona. – Dymi się z komina!

Wtedy oboje w pełni się przebudzili, uświadomiwszy sobie, że kłęby dymu w ich domu nie lecą z komina, a przeraźliwy odór nie pochodzi z kurnika.

Podobnie jak wszyscy mieszkańcy nowej kolonii, oboje wybiegli na zewnątrz, krztusząc się i dławiąc smrodem, który z każdą chwilą stawał się coraz gorszy. Jednakże niczego nie zobaczyli. Nad ziemią wisiał ciężki, żółty dym cuchnący jajami, które stały na słońcu od trzech dni.

Przed upływem kilku godzin wszyscy w kolonii straszliwie się pochorowali od smrodu. Spakowawszy koce i ubrania, pobiegli na plażę. Z wdzięcznością oddychając świeżym, morskim powietrzem, zastanawiali się, czy kiedykolwiek będą mogli wrócić do swoich domów.

Kiedy koloniści dyskutowali o tym i spoglądali na horyzont, czy wisząca na nim żółta chmura przypadkiem nie rozwiewa się, ku swemu niemałemu zdumieniu zauważyli armię niskich, brązowych istotek, które wyłoniły się chwiejnym krokiem z dymu i padły niemal nieżywe u ich stóp.

Serdeczni Solamniczycy przyszli z pomocą biednym gnomom i tak oto zetknęły się dwie rasy zamieszkujące Sancrist.

Spotkanie gnomów i rycerzy okazało się przyjazne. Solamniczycy wysoce cenią cztery rzeczy: indywidualny honor, kodeks rycerski, regułę i technologię. Ogromne wrażenie wywarły na nich urządzenia oszczędzające pracę, jakie w tych czasach wynalazły gnomy, a

wśród nich blok, dźwignia, śruba i koło zębate.

Właśnie w czasie tego pierwszego spotkania Góra Nieważne otrzymała swą nazwę.

Rycerze wkrótce odkryli, że mimo wyglądu sugerującego pokrewieństwo z krasnoludami – gnomy były niskie i krępe – wszelkie podobieństwo na tym się kończy. Gnomy były chudymi istotami o brązowej skórze i bladosiwych włosach, bardzo nerwowymi i łatwo podniecającymi się. Mówiły tak szybko, że rycerze początkowo sądzili, iż mówią obcym językiem. Okazało się, że to znacznie przyspieszona mowa wspólna. Powód tego stał się jasny, gdy jeden ze starszyszy popełnił błąd, pytając gnomy o nazwę ich góry.

W surowym przekładzie brzmiało to mniej więcej tak: Wielka, ogromna, wysoka góra zrobiona z kilku różnych warstw skał, wśród których rozpoznaliśmy granit, obsydian, kwarc z domieszkami innych skał, nad którymi wciąż pracujemy, która posiada własny wewnętrzny system ogrzewania, który badamy w celu skopiowania go któregoś dnia, który ogrzewa skały do temperatury, w której przybierają postać zarówno płynną, jak i gazową, które czasami wydobywają się na powierzchnię i spływają po zboczu wielkiej, ogromnej, wysokiej góry....

– Nieważne – rzekł szybko dostojnik.

Nieważne! Gnomy były pod wrażeniem. Myśl, że ludzie potrafili zredukować coś tak gigantycznego i cudownego do czegoś tak prostego, była niewiarygodnie wspaniała. Od tego dnia górę nazwano Górą Nieważne – ku wielkiej uldze gnomiego cechu kartografów.

Później rycerze na Sancrist i gnomy żyli w harmonii, rycerze przynosząc gnomom wszelkie problemy natury technicznej, które należało rozwiązać, a gnomy zapewniając stały napływ nowych wynalazków.

Kiedy rycerzom dostarczono smoczą kulę, musieli dowiedzieć się, jak ona działa. Powierzeli ją więc gnomom, posyłając wraz z nią dwóch młodych rycerzy, aby jej strzegli. Na myśl im nie przyszło, że kula może być magiczna.

Rozdział V

Gnomociskacze

– Pamiętaj. Żaden żywy, czy martwy gnom nigdy w życiu nie dokończył zdania. Jedyny sposób, aby cokolwiek się dowiedzieć, to przerwać im. Nie martw się, że jesteś nieuprzejmy. Oni tego się spodziewają.

Staremu czarodziejowi przerwało wejście odzianego w długą, brązową szatę gнома, który zbliżył się i skłonił z szacunkiem.

Tasslehoff przyjrzał się gnomowi z podnieceniem i ciekawością, bowiem kender nigdy przedtem nie widział gнома, choć stare legendy dotyczące szarego klejnotu z Gargath wskazywały na odległe pokrewieństwo tych dwóch ras. Rzeczywiście, w tym młodym gnomie było coś z kendera – smukłe dłonie, pełen zapału wyraz twarzy i bystre, błyszczące oczy, które chciałyby wszystko zobaczyć. Lecz na tym kończyło się wszelkie podobieństwo. Nie było śladu po niefrasobliwych manierach kenderów. Gnom był nerwowy, poważny i rzeczowy.

– Tasslehoff Burrfoot – rzekł uprzejmie kender podając mu dłoń. Gnom wziął Tasa za rękę, przejrzał jej się uważnie, po czym – nie znalazłszy tam niczego ciekawego – potrząsnął nią słabiutko. – A to... – Tas zamierzał przedstawić Fizbana, lecz przerwał, gdy gnom z całym spokojem zabrał kenderowi jego hoopak.

– Ach... – westchnął gnom z błyskiem w oku, chwytając broń. – Poślijciepokogośczechuoreża...

Strażnik przy wejściu na najniższym poziomie góry nie czekał, aż gnom dokończy zdanie. Podniósł rękę i pociągnął za dźwignię, a wtedy rozległ się przeraźliwy świst. Przekonany o tym, że za jego plecami wylądował smok, Tas odwrócił się gwałtownie, gotów się bronić.

– Gwizdek – powiedział Fizban. – Będziesz musiał przyzwycząić się do tego.

– Gwizdek? – powtórzył zaintrygowany Tas. – Nigdy jeszcze takiego nie słyszałem. Leci z niego dym! Jak to dzieje... – Hej! Wracaj! Oddajcie mój hoopak! – wrzasnął do trzech pełnych zapału gnomów, którzy porwali jego laskę i ponieśli w głąb korytarza.

– Salabadań – rzekł gnom – na Skimbosh...

– Co?

– Sala badań – przetłumaczył Fizban. – Reszty nie dosłyszałem. Naprawdę powinieneś mówić wolniej – stwierdził, wymachując laską w stronę gнома.

Gnom pokiwał głową, byстрыm wzrokiem mierząc laskę Fizbana. Zauważywszy, że

jest to zwykły, nieco poobijany kawał drewna, gnom skupił swą uwagę na czarodzieju i kenderze.

– Obcy – rzekł. – Postaram się pamiętać... Postaram się pamiętać, więc nie martw się, ponieważ – mówił teraz wolno i wyraźnie – twojej broni nic się nie stanie, jako że zamierzamy tylko wykonać rysunek...

– Naprawdę – przerwał Tas, któremu to schlebiło. – Jeśli chcesz, mógłbym zademonstrować ci, jak ona działa. Gnomowi zaświeciły się oczy. – Tobylobybardzo...

– A teraz – przerwał mu znowu kender, zadowolony, że zaczyna się uczyć porozumiewania – jak masz na imię? Fizban wykonał pośpieszny gest, lecz było za późno.

– Gnoshoshallamarionininillisylyphanitdisdisslishxdie... Przerwał, by zaczerpnąć tchu.

– Czy tak masz na imię? – zapytał zdumiony Tas.

Gnom wypuścił powietrze. – Tak – rzekł ostro, nieco zbity z tropu. – Tak brzmi moje pierwsze imię, a teraz, gdybyś mógł mi nie przerywać...

– Zaczekaj! – krzyknął Fizban. – Jak do ciebie zwracają się przyjaciele?

Gnom ponownie nabrał powietrza. – Gnoshoshallama-rionininillis...

– A jak nazywają cię rycerze?

– Och... – gnom sprawiał wrażenie niepocieszonego. – Gnosh, jeśli...

– Dziękuję – uciął Fizban. – Posłuchaj, Gnosh, nam się raczej śpieszy. Wiesz, wojna i te rzeczy. Zgodnie z tym, co lord Gunthar przekazał w swoim komunikacie, musimy obejrzeć smoczą kulę.

Małe, ciemne oczy Gnosha rozbliły. Nerwowo zatarł dłonie. – Oczywiście, możecie obejrzeć smoczą kulę, skoro lord Gunthar sobie tego życzy, ale – jeśli wolno mi zapytać – dlaczego interesujecie się tą kulą, pomijając naturalną cieką...?

– Jestem czarodziejem... – zaczął Fizban.

– Czarodziej! – oświadczył gnom, z podniecenia zapominając o tym, by mówić powoli. – Chodźtędynatychmiastdosalibadańskorokulęwykonałczarodziej...

Zarówno Tas, jak i Fizban wybałuszyli oczy, nic nie rozumiejąc.

– Och, po prostu chodźcie... – powiedział zniecierpliwiony gnom.

Zanim zorientowali się, co się naprawdę dzieje, gnom – wciąż mówiąc – wepchnął ich za próg bramy do wnętrza góry, uruchamiając niesamowitą ilość dzwonek i gwizdków.

– Sala badań? – rzekł po cichu Tas do Fizbana, śpiesząc za Gnoshem. – Co to znaczy? Nie zrobiliby jej przecież krzywdy, prawda?

– Nie sądzę – mruknął Fizban, ścigając krzaczaste, siwe brwi w groźne V nad nosem.

– Pamiętaj, że Gunthar wysłał rycerzy, by jej strzegli.

– Więc czym się martwisz? – zapytał Tas.

– Smocze kule są przedziwnymi przedmiotami. Bardzo potężnymi. Dręczy mnie obawa – rzekł Fizban bardziej do siebie niż do Tasa – że mogą jej spróbować użyć!

– Ale księga, którą czytałem w Tarsis mówiła, że kula potrafi zapanować nad smokami! – szepnął Tas. – Czy to nie jest dobre? To znaczy, kule nie są złe, prawda?

– Złe? Och, skądże! Nie są złe. – Fizban potrząsnął głową. – To jest właśnie niebezpieczeństwo. Nie są ani dobre, ani złe. Nie są niczym! Albo może powinienem powiedzieć, że są wszystkim.

Tas zauważył, że prawdopodobnie nigdy nie doczeka się jasnej odpowiedzi od Fizbana, który myślami błądził gdzieś daleko. W poszukiwaniu rozrywki kender przeniósł uwagę na ich gospodarza.

– Co znaczy twoje imię? – spytał Tas.

Gnosh uśmiechnął się radośnie. – Na początku bogowie stworzyli gnomy, a jeden z pierwszych, jakiego stworzyli nosił imię gnosh i, a oto godne uwagi wydarzenia z jego życia: ożenił się z Marioninillis...

Tas odniósł wrażenie, że ziemia mu się osuwa spod nóg. – Zaczekaj... – przerwał. – Jak długie jest twoje imię?

– Zapelnia księgę tej wielkości w bibliotece – oświadczył dumnie Gnosh rozkładając ręce – ponieważ jesteśmy bardzo starym rodem. Sam zobaczysz, kiedy będę kontynu...

– Dobra – powiedział szybko Tas. Nie patrząc pod nogi, potknął się o linę. Gnosh pomógł mu wstać. Podnosząc głowę Tas dostrzegł, że lina wiodła do kłębu połączonych ze sobą lin, z których każda wiała się w innym kierunku. Ciekaw był, dokąd prowadzą. – Może kiedy indziej.

– Ale niektóre kawałki są bardzo dobre – powiedział Gnosh, kiedy podchodzili do wielkich, stalowych drzwi – i mógłbym od razu przejść do nich, gdybyś miał ochotę, na przykład do tego, jak pra-pra-pra-prababcia Gnosh wynalazła wrzątek...

– Bardzo chciałbym tego posłuchać – jęknął Tas. – Ale nie mam czasu...

– No tak, chyba masz rację – rzekł Gnosh – w każdym razie i tak już jesteśmy przy wejściu do głównej komnaty, więc za pozwoleniem...

Nie przestając mówić pociągnął za sznurek. Rozległ się gwizd. Zadzwoił gong i dwa dzwony. Buchnęła straszna para, która niemal ich ugotowała i olbrzymie, stalowe wrota znajdujące się we wnętrzu góry, zaczęły się rozsuwać. Niemal natychmiast drzwi zacięły się, a po chwili zaroilo się od gnomów, które wykrzykiwały, pokazywały rękoma i kłóciły się, czyja to wina.

Tasslehoff Burrfoot od dawna układał sobie w myślach plany, co będzie robił, kiedy przygoda zakończy się i wszystkie smoki zostaną zabite (kender usiłował zachować optymistyczny światopogląd). Pierwszą rzeczą, jaką sobie zaplanował, było spędzenie kilku miesięcy z jego przyjacielem Sestunem, krasnoludem żlebowym w Pax Tharkas. Krasnoludy żlebowe prowadziły interesujący tryb życia i Tas był przekonany, że mógłby tam się osiedlić, pod warunkiem, że nie musiałyby jeść ich potraw.

Jednak w chwili, gdy Tas wszedł do wnętrza Góry Nieważne, postanowił, że pierwszą rzeczą, jaką zrobi, będzie powrót tutaj i zamieszkanie z gnomami. Kender w całym swoim życiu nie widział czegoś tak cudownego. Stał jak wryty.

Gnosh zerknął na niego. – Imponujące, prawda? – zapytał.

– Niezupełnie tak bym to nazwał – mruknął Fizban.

Stali w środkowej części miasta gnomów. Wybudowane wewnątrz starego komina wulkanu miasto rozciągało się na setki metrów szerokości i kilometry wysokości. Poszczególne poziomy miasta wznosiły się wokół komina. Tas podniósł głowę i spojrzał w górę... w górę... w górę....

– Ile tam jest poziomów? – zapytał kender, niemal przewracając się do tyłu, chcąc zobaczyć wszystko.

– Trzydzieści pięć i...

– Trzydzieści pięć! – powtórzył zdjęty podziwem i grozą Tas. – Nie chciałbym mieszkać na trzydziestym piątym poziomie. Po ilu schodach musicie się wspinać?

Gnosh zachnął się. – To prymitywne urządzenie, które udoskonaliśmy dawno temu, a teraz... – wskazał – spójrzcie na niektóre cudowne techniki jakie u nas funkcjonują...

– Widzę – rzekł Tas spuszczać głowę do poziomu parteru. – Musicie przygotowywać się do wielkiej bitwy. Jeszcze nigdy w życiu nie widziałem tylu katapult...

Słowa zamarły mu na ustach. Rozległ się gwizd, następnie na oczach kendera katapulta wystrzeliła z głuchym świstem, wyrzucając w powietrze gнома. Tas nie patrzył na maszyny wojenne, lecz na urządzenia, które zastąpiły schody!

Dno komnaty zapełniały wszelkiego rodzaju katapulty, jakie kiedykolwiek zostały wymyślone przez gnomów. Były tam katapulty – proce, katapulty – kusze, katapulty, których siłą napędową były giętkie pręty wierzbowe, a także katapulty parowe (eksperymentalne – nadal pracowano nad uregulowaniem temperatury wody).

Nad katapultami, pod katapultami, przez katapulty, a także dookoła katapult wiły się kilometry lin, które uruchamiały obłąkańczy zestaw trybików, kółek i bloków, które wszystkie obracały się ze zgrzytem i skrzypieniem. Z podłogi, z samych maszyn, a także ze

ścian wystawały ogromne dźwignie pchane lub pociągane przez dziesiątki gnomów, czasami jedno i drugie jednocześnie.

– Podejrzewam, że sala badań nie znajduje się na parterze? – zapytał Fizban beznadziejnym tonem.

Gnosh pokręcił głową. – Sala badań na poziomie piętra...

Stary mag westchnął rozdzierająco.

Nagle rozległ się przeraźliwy zgrzyt, od którego Tasowi włosy stanęły dęba.

– Ach, już są gotowi. Chodźcie... – rzekł Gnosh.

Tas pośpieszył za nim w radosnych poskokach, gdy zaczęli podchodzić do olbrzymiej wyrzutni. Gnom wezwał ich poirytowanym gestem, wskazując na długi szereg gnomów czekających na swoją kolej. Tas wskoczył na siedzenie w ogromnej katapulcie procowej i zawzięcie wpatrywał się w głąb szybu nad nim. Widział gnomów spoglądających na niego z różnych balkonów, a każdy otoczony był wielkimi maszynami, gwizdkami, linami i ogromnymi, bezkształtnymi rzeczami, które zwisały ze ścian jak nietoperze. Gnosh stanął obok niego i strofował go.

– Starsi mają pierwszeństwo, młody człowieku, więc wyłaźstamtąd natychmiast – ustąp... – z zaskakującą siłą wyciągnął Tasslehoffa z zajmowanego przezeń miejsca – miejscaczarodziejowi...

– Ależ nic nie szkodzi – zaprotestował Fizban, cofając się i wpadając na zwój liny. – Właśnie przypomniało mi się zakłęcie, dzięki któremu znajduję się na górze. Lewitacja. Jak to było? Dajcie mi chwileczkę.

– To tobie się śpieszyło – rzekł surowo Gnosh, mierząc niechętnym wzrokiem Fizbana. Stojące w kolejce gnomy zaczęły krzyżeć ordynarnie, pchać się i szturchać.

No, dobra – mruknął czarodziej i z pomocą Gnosha wgramolił się na łyżkę katapulty. Gnom, który pociągał za dźwignię uruchamiającą wyrzutnię krzyknął do Gnosha coś, co zabrzmiało jak „jakipozio?”

Gnosh pokazał w górę i odwrzasnął – Skimbosh!

Szef zbliżył się do pierwszej z szeregu pięciu dźwigni i stanął przed nią. Nieprawdopodobna ilość lin ciągnęła się ku górze w nieskończoność. Fizban siedział żałośnie w łyżce katapulty wciąż usiłując sobie przypomnieć zakłęcie.

– Teraz – wrzasnął Gnosh przyciągając Tasa bliżej, by zapewnić mu doskonały widok – za chwilę szef da znak, tak – o właśnie...

Szef pociągnął za jedną z lin.

– Do czego to służy? – przerwał Tas.

– Lina uruchomi dzwonek na skimbosh – ee – poziomie piętnastym, dając znać o przybyciu...

– A jeśli dzwonek nie zadzwoni? – zapytał głośno i natarczywie Fizban.

– Wtedy zadzwoni drugi dzwonek, zawiadamiając o tym, że pierwszy nie zadzwonił...

– A co się stanie tu na dole, jeśli dzwonek nie zadzwoni?

– Nic. To problem skimboshanietwój...

– To mój problem, jeśli oni nie będą wiedzieli, że lecę! – krzyknął Fizban. – A może mam po prostu wpaść do nich znienacka!

– Ach – rzekł dumnie Gnosh – widzisz...

– Ja wysiadam... – oświadczył Fizban.

– Nie, zaczekaj – powiedział Gnosh, z rozpaczy mówiąc coraz szybciej – onisajążgotowi...

– Kto jest gotowy? – zapytał napastliwie poirytowany Fizban.

– Skimbosh! Zsieciążebyciężłapać, rozumiesz...

– Sieć! – Fizban zbladł. – Dość tego! – Przerzucił nogę przez krawędź.

Zanim jednak zdołał się ruszyć, szef pociągnął za pierwszą dźwignię. Ponownie rozległ się zgrzyt i umocowana linami katapulta zaczęła ,się obracać. Nagły ruch odrzucił Fizbana w tył, strącając mu kapelusz na oczy.

– Co się dzieje? – krzyknął Tas.

– Ustawiają go w pozycji startowej – odkrzyknął Gnosh. – Wyliczono już długość i szerokość geograficzną oraz ustawiono katapultę w odpowiedniej pozycji do wyrzucenia pasażera...

– A co z siecią? – wrzasnął Tas.

– Czarodziej doleci do skimbosh – och, zapewniam, że nic mu nie grozi – prawdę mówiąc, przeprowadzone przez nas badania dowiodły, że latanie jest bezpieczniejsze od chodzenia – i kiedy znajdzie się w szczytowym punkcie trajektorii lotu zaczynając nieco opadać, skimbosh wyrzuci pod niego sieć, łapiąc go ot, tak... – Gnosh zademonstrował machając ręką, jakby łapał muchę – i wyciągnie go...

– Jakiego nieprawdopodobnego zgrania musi to wymagać!

– Kwestia synchronizacji została rozwiązana w sposób genialny, ponieważ wszystko zależy od pewnego haczyka, który opracowaliśmy, chociaż... – Gnosh zacisnął wargi i zmarszczył brwi – coś powoduje drobne zakłócenia, ale już zawiązała się komisja...

Gnom pociągnął za dźwignię i Fizban z wrzaskiem poszybował w górę.

– Ojej – powiedział Gnosh wybałuszając oczy – coś mi się wydaje...

– Co takiego? Co takiego? – wykrzyknął Tas, usiłując coś zobaczyć.

– Sieć się znowu za wcześnie otworzyła. – Gnosh pokręcił głową. – Już drugi raz dzisiaj coś podobnego się wydarzyło tylko na samym skimbosh i stanowczotakwestia-zostanieporuszonanastępnymzebraniuucechusieci...

Tas z otwartymi ustami gapił się na Fizbana, który szybował w powietrzu wypchnięty niesamowitą siłą katapulty i nagle zobaczył, o czym mówi Gnosh. Sieć na piętnastym poziomie – zamiast otworzyć się po przelocie maga i złapać go w czasie spadania – otworzyła się zanim czarodziej doleciał do poziomu piętnastego. Fizban zderzył się z siecią i rozpląszczył się na niej niczym rozgnieciony pająk. Przez chwilę wisiał tam ledwo trzymając się rozłożonymi rękoma i nogami – a potem spadł.

Natychmiast zabrzmiały dzwonki i gongi.

– Nie mów mi – Tas wyraził przypuszczenie żalonym tonem. – To alarm ogłaszający, że sieć się nie otworzyła.

– Właściwie tak, ale nie musisz czuć się zaalarmowany (drobny żart) – zachichotał Gnosh – ponieważ alarm uruchamia urządzenie, które otwiera sieć na poziomie trzynastym w samą porę, żeby... och, niestety, już troszkę za późno, ale mamy jeszcze poziom dwunasty...

– Zrób coś! – wrzasnął przeraźliwie Tas.

– Nie wściekaj się tak strasznie! – powiedział rozgniewany Gnosh. – Dajmiwreszcieokończyćopowiadanieobstatecznymsystemiezabezpieczenia,którymjest...o,właś nie-jużdziałał...

Tas ze zdumieniem zobaczył, jak z sześciu olbrzymich beczek wiszących na ścianach trzeciego poziomu wypadają denka, a z wnętrza sypią się na podłogę pośrodku komnaty tysiące gąbek. Działo się tak najwyraźniej w sytuacji, gdy wszystkie sieci na wszystkich poziomach zawodziły. Na szczęście sieć na poziomie dziewiątym zadziałała, rozpościerając się pod czarodziejem w samą porę. Następnie owinęła go i wyciągnęła na balkon, gdzie słyszającym przekleństwa ciskane przez znajdującego się w środku maga gnomom nie śpieszyło się wypuścić go stamtąd.

– Widziszzewszystkojestwnajlepszymporządkuateratwojakolej – rzekł Gnosh.

– Jeszcze tylko jedno pytanie! – krzyknął Tas do Gnosh, siadając w łyżce katapulty.
– Co się stanie, jeśli ostatni, gąbkowy system zabezpieczenia zawiedzie?

– Mamy doskonale rozwiązanie... – oświadczył radośnie Gnosh – bo widzisz, jeśli gąbki wysypią się nieco zbyt późno, rozlega się alarm, który powoduje wylanie wody. z wielkiej beczki na środek podłogi – a ponieważ gąbki już są – bardzo łatwo jest potem posprzątać...

Szef pociągnął za dźwignię.

Tas spodziewał się znaleźć mnóstwo fascynujących rzeczy w sali badań, lecz ku swemu zdziwieniu stwierdził, że jest niemal pusta. Oświetlało ją słońce, które wpadało przez dziurę wywierconą w zboczu góry. (Ten prosty, acz genialny wynalazek podsunął gnomom przebywający tam z wizytą krasnolud, który nazywał go „oknem”. Gnomy były bardzo dumne z tego wynalazku). Były tam trzy stoły, lecz poza tym niewiele więcej. Na środkowym stole, który otaczały gnomy, spoczywała smocza kula i hoopak.

Tas zauważył z zainteresowaniem, że kula powróciła do swoich poprzednich rozmiarów. Wyglądała tak samo – wciąż była okrągłym kawałkiem kryształu ze snującą się w środku jakby mleczną mgłą. W pobliżu kuli stał na straży młody rycerz solamnijski ze straszliwie znudzoną miną. Na widok nadchodzących przybyszy wyraz znudzenia na jego twarzy natychmiast uległ zmianie.

– Wszystkowporządku – powiedział uspokajająco Gnosh do rycerza – to są ci dwaj, o przybyciu których zawiadamiał lord Gunthar... – Nie przerywając mówienia Gnosh podprowadził ich do środkowego stołu. Gnom spoglądał na kulę błyszczącymi oczami. – Smocza kula – szepnął z wyrazem uszcześliwienia – po tylu latach...

– Jakich latach? – warknął Fizban, zatrzymując się w pewnej odległości od stołu.

– Widzisz – wyjaśniał Gnosh – każdy gnom w dniu swych urodzin otrzymuje zadanie życia i od tej pory jego jedynym celem w życiu jest wykonanie owego zadania, a moim zadaniem życiowym jest zbadanie smoczej kuli, ponieważ...

– Ależ smocze kule zaginęły setki lat temu! – rzekł z niedowierzaniem Tas. – Nikt o nich nie wiedział! Jak mogło to być twoim zadaniem życiowym?

– Och, my o nich wiedzieliśmy – odparł Gnosh – ponieważ takie było Zadanie Życiowe mojego dziadka, a następnie mojego ojca. Obaj umarli nie zobaczywszy nawet smoczej kuli. Bałem się, że mnie przypadnie ten sam los, lecz wreszcie znalazła się jedna z kul i teraz mogę zapewnić rodzinie miejsce w zaświatach...

– Chcesz powiedzieć, że nie możecie znaleźć się... ee..i na tamtym świecie, dopóki nie wypełnicie swego zadania życiowego? – spytał Tas. – Ale twój dziadek i twój ojciec...

– Prawdopodobnie cierpią okropne niewygody – oświadczył Gnosh ze smutną miną – gdziekolwiek są... Ojej!

Smocza kula uległa niewiarygodnej zmianie. Zaczęła migotać licznymi, wirującymi kolorami, jakby coś ją wzburzyło.

Mamrocząc dziwne słowa Fizban zbliżył się do kuli i położył na niej dłoń. Natychmiast poczerwiała. Fizban powiódł spojrzeniem po komnacie z tak surowym i

odstraszającym wyrazem twarzy, że nawet Tas cofnął się przed nim.

Rycerz skoczył naprzód.

– Precz! – zagrzmiął mag. – Wszyscy!

– Rozkazano mi nie opuszczać tego miejsca i nie zamierzam... – rycerz sięgnął po miecz, lecz Fizban wyszeptał kilka słów. Rycerz zwałił się na podłogę.

Gnomy natychmiast znikły z pokoju zostawiając tylko Gnosha, który stał z cierpiącą miną i załamywał ręce.

– Chodź, Gnosh! – popędzał Tas. – Nigdy nie widziałem go w takim humorze. Zróbmy lepiej, jak każe. Inaczej może nas zmienić w krasnoludów źlebowych, albo coś równie paskudnego!

Pochlipując Gnosh pozwolił, by Tas wyprowadził go z komnaty. Oglądał się jeszcze przez ramię na smoczą kulę, gdy zatrzaśnięto mu przed nosem drzwi.

– Moje zadanie życiowe... – lamentował gnomo.

– Jestem pewny, że wszystko będzie w porządku – rzekł Tas, choć ani trochę nie był o tym przekonany. Nie spodobał mu się wyraz twarzy Fizbana. Prawdę mówiąc, jego twarz w ogóle nie przypominała twarzy Fizbana – ani też nikogo innego, kogo Tas chciałby poznać!

Zrobiło mu się zimno i zaczęło go ścisnąć w dołku. Gnomy mamrotały coś do siebie i patrzyły na niego spode łba. Tas przełknął ślinę, próbując pozbyć się gorzkiego smaku w ustach. Następnie odciągnął Gnosha na bok.

– Gnosh, czy w czasie badań nad kulą odkryłeś coś? – spytał cicho Tas.

– No więc – Gnosh zamyślił się – odkryłem, że w środku coś się znajduje – albo wydaje się, że coś jest – bowiem gdy tak patrzyłem w nią i patrzyłem bardzo długo niczego nie widząc, nagle, gdy byłem gotów już zrezygnować, zobaczyłem słowa wirujące we mgle...

– Słowa? – przerwał zapalczywie Tas. – Jak brzmiały? Gnosh potrząsnął głową. – Nie wiem – rzekł z namaszczaniem – ponieważ nie umiałem ich przeczytać. . Nikt nie potrafił, nawet członek cechu języków obcych...

– Pewno czary – mruknął pod nosem Tas.

– Tak – odezwał się żałośnie Gnosh – do takiego właśnie wniosku doszedłem...

Nagle drzwi wyleciały z framugi, jakby coś wybuchło.

Gnosh odwrócił się gwałtownie ze strachem w oczach. W drzwiach stał Fizban w jednej ręce trzymając mały, czarny woreczek, a w drugiej swoją laskę i hoopak Tasa. Gnosh wyminął go biegiem.

– Kula! – wrzasnął przeraźliwie, tak zdenerwowany, że dokończył zdanie. – Ty ją masz!

– Tak, Gnosh. – rzekł Fizban.

W głosie czarodzieja pobrzmiwało zmęczenie. Przyglądając się mu uważnie Tas dostrzegł, że mag był skrajnie wyczerpany, szary na twarzy i opadały mu powieki. Ciężko wspierał się na swej lasce. – Chodź ze mną, mój chłopcze – powiedział do gнома. – I nie martw się. Twoje zadanie życiowe zostanie wypełnione. Teraz jednak kulę należy zabrać na zebranie rady Białego Kamienia.

– Mam pójść z wami – powtórzył zdumiony Gnosh – na posiedzenie rady – klasnął w dłoń z podniecenia – gdzie, być może, zostanę poproszony o złożenie raportu, jak myślicie...

– Nie wątpiłbym w to ani przez moment – odrzekł Fizban.

– Już, już, dajcie mi tylko chwilę na spakowanie się, gdzie są moje papiery...

Gnosh popędził przed siebie. Fizban odwrócił się szybko do pozostałych gnomów, które zakradały się do niego od tyłu, radośnie wyciągając ręce po jego laskę. Zrobił tak straszną minę, że odskoczyły i potykając się znikły w głębi sali badań.

– Czego się dowiedziałeś? – spytał Tas, z wahaniem podchodząc do Fizbana. Wydawało się, że starego maga otacza ciemność. – Gnomy chyba nic jej nie zrobiły, prawda?

– Nie, nie. – Fizban westchnął. – Na szczęście dla nich. Bowiem wciąż jest aktywna i bardzo potężna. Wiele będzie zależało od decyzji, jakie podejmie niewielu – być może los świata.

– Co masz na myśli? Czy to nie rada będzie podejmować decyzje?

– Nie rozumiesz, mój chłopcze – rzekł łagodnie Fizban. – Przestań na chwilę, muszę odpocząć. – Czarodziej usiadł wspierając się o ścianę. Potrząsnawszy głową ciągnął dalej. – Skupiłem swą wolę na kuli. Och, nie po to, by zawładnąć smokami – dodał widząc, że kender wybałusza oczy. – Spojrzałem w przyszłość.

– I co zobaczyłeś? – zapytał z wahaniem Tas, na widok poważnej miny czarodzieja tracąc pewność, czy chce się dowiedzieć.

– Ujrzałem dwie drogi rozpościerające się przed nami. Jeśli wybierzemy łatwiejszą, początkowo będzie się wydawać najlepsza, lecz w końcu nastanie ciemność, by nigdy już nie ustąpić. Jeśli wybierzemy drugą drogę, podróż będzie ciężka i żmudna. Niektórzy bliscy naszemu sercu mogą przyplacić to życiem, mój drogi chłopcze. Co gorsza, inni mogą zapłacić swą duszą. Jednakże tylko dzięki temu ogromnemu poświęceniu odnajdziemy nadzieję. – Fizban zamknął oczy.

– A czy to ma coś wspólnego z kulą? – spytał Tas drżąc.

– Tak.

– Czy wiesz, co trzeba zrobić, żeby... żeby wejść na tę mroczną drogę? – Tas bał się

usłyszeć odpowiedź.

– Wiem – odrzekł cicho Fizban. – Lecz decyzji nie zostawiono w mych rękach. To będzie zależało od innych.

– Rozumiem – westchnął Tas. – Ważnych ludzi, jak sądzę. Takich ludzi, jak królowie, elfi panowie i rycerze.

– Wtem posłyszał w myślach echo słów Fizbana. Niektórzy bliscy naszemu sercu mogą przypłacić to życiem...

Nagle Tas poczuł, że go ściska w gardle. Ukrył twarz w dłoniach. Zupełnie nie tak miała wyglądać ta przygoda! Gdzie jest Tanis? A drogi, stary Caramon? A śliczna Tika? Próbował nie myśleć o nich, szczególnie po tamtym śnie.

A Flint – nie powinienem był wyruszać bez niego, pomyślał żałośnie Tas. On może umrzeć, a może już nie żyje! Mogą przypłacić to życiem! Nigdy nie myślałem, że ktoś z nas może umrzeć – nie na serio. Zawsze wyobrażałem sobie, że jeśli będziemy się trzymać razem, pokonamy wszystko! Teraz jednak jakoś rozproszyliśmy się. I wszystko układa się niepomyślnie!

Tas poczuł, że Fizban głaszcze go po kitce, jego jedynym wielkim przejawie próżności. Po raz pierwszy w życiu kender czuł się strasznie samotny, zagubiony i wystraszony. Czarodziej przycisnął go do siebie serdecznie. Wtulając twarz w rękaw Fizbana, Tas zaczął płakać.

Fizban łagodnie poklepał go. – Tak – powtórzył mag – ważnych ludzi.

Rozdział VI

Rada Białego Kamienia. Ważna osobistość

Rada Białego Kamienia zebrała się dwudziestego ósmego dnia grudnia, w dniu znanym w Solamnii jako Dzień Głodu, nazwanym tak na pamiątkę cierpień ludzi podczas pierwszej zimy po kataklizmie. Pan Gunthar uznał, że wypada zwołać posiedzenie rady na ten właśnie dzień nacechowany powagą postu i rozmyślań.

Od chwili wypłynięcia floty do Palanthas upłynął ponad miesiąc. Wieści, jakie Gunthar otrzymywał z miasta, nie były dobre. W rzeczy samej, ostatni raport dostarczono wczesnym rankiem dwudziestego ósmego grudnia. Przeczytawszy go dwukrotnie, westchnął ciężko, zmarszczył czoło i schował papier za pas.

W niedawnej przeszłości odbyło się jeszcze jedno spotkanie rady Białego Kamienia, spotkanie wywołane przybyciem na Południowy Ergoth elfich uchodźców oraz pojawieniem się smoczycy armii w północnej Solamnii. To posiedzenie rady było zaplanowane na wiele miesięcy naprzód, toteż obecni byli wszyscy jej członkowie – zarówno stali, jak i ci o statusie doradców. Do stałych jej członków, uprawnionych do głosowania, zaliczali się rycerze solamnijscy, gnomy, krasnoludowie podgórcy, ciemnoskóry lud żeglarzy z Północnego Ergoth i przedstawiciele solamnijskich uchodźców mieszkających na Sancrist. Doradcami byli elfowie, krasnoludowie górscy i kenderzy. Tych uczestników narady zaproszono, by wyrazili swe zdanie, choć nie mieli oni prawa głosu.

Pierwsze posiedzenie rady nie przebiegło pomyślnie. Niektóre stare urazy i zatargi między rasami zapłonęły nowym ogniem. W pewnym momencie trzeba było siłą powstrzymać przedstawiciela krasnoludów górskich, Armana Kharasa i krasnoluda podgórskiego, Duncana Hammerrocka, albowiem w odwiecznym sporze między ich narodami znów polałaby się krew. Alhana Starbreeze, reprezentująca Silvanesti, pod nieobecność swego ojca nie odezwała się choćby słowem w ciągu całych obrad. Alhana przybyła tylko dlatego, iż był tu Porthios z Qualinesti. Obawiała się przymierza Qualinesti z ludźmi i zdecydowana była nie dopuścić do niego.

Alhana nie musiała się tym niepokoić. Ludzie i elfowie tak bardzo sobie nie ufali, że odzywali się do siebie tylko przez grzeczność. Nawet pełna uczucia przemowa pana Gunthara, w której oświadczył: „Od naszego zjednoczenia zacznie się pokój; podział między nami kładzie kres nadziei!", nie wywarła wrażenia.

W odpowiedzi Porthios winę za pojawienie się smoków zrzucił na ludzi. Ludzie powinni więc sami wypić piwo, które sobie nawarzyli. Wkrótce po tym, jak Porthios ogłosił

publicznie swe stanowisko, Alhana wstała hardo i opuściła zgromadzenie, nie pozostawiając żadnych wątpliwości co do stanowiska Silvanesti.

Krasnolud górski Arman Kharas oświadczył, że jego lud gotów jest pomóc, lecz dopóki nie znajdzie się młot Kharasa, krasnoludowie górscy nie mogą się zjednoczyć. Nikt wtedy jeszcze nie wiedział, że drużyna wkrótce zwróci młot, więc Gunthar zmuszony był przestać liczyć na pomoc krasnoludów. Prawdę mówiąc, jedyną osobą, która zaproponowała wsparcie był Kronin Thistleknott, wódz kenderów. Ponieważ ostatnią rzeczą, jakiej każdy zdrowy na umyśle naród życzyłby sobie, była „pomoc” armii kenderów, na ów gest zareagowano uprzejmymi uśmiechami, a tymczasem za plecami Kronina członkowie rady wymienili przerażone spojrzenia.

W związku z tym uczestnicy pierwszej narady rozstali się, nie osiągnąwszy porozumienia.

Gunthar pokładał większe nadzieje w drugim posiedzeniu rady. Odkrycie smoczej kuli stawiało wszystko w korzystniejszym świetle. Przybyli przedstawiciele obu odłamów elfów. Wśród nich znajdował się Mówca Słońc, który przyprowadził ze sobą człowieka podającego się za kapłana Paladine. Gunthar wiele słyszał o Elistanie od Sturma i z niecierpliwością czekał na spotkanie z nim. Natomiast nie był zupełnie pewien, kto będzie reprezentował Silvanesti. Zakładał, że będzie to elfi pan, którego ogłoszono regentem w następstwie tajemniczego zniknięcia Alhany Starbreeze.

Elfowie przybyli na Sancrist dwa dni temu. Ich rozbite na polach namioty z daleka rzucały się w oczy, a różnobarwne jedwabne proporce, furkoczące na wietrze, stanowiły ostry kontrast z szarym, zaciągniętym burzowymi chmurami niebem. Byli jedyną rasą oprócz ludzi, która się pojawiła. Nie było czasu, by powiadomić krasnoludów górskich, a krasnoludowie podgórscy walczyli ponoć ze smoczymi armiami o przetrwanie. Nie było mowy, by dotarł do nich jakikolwiek posłaniec.

Gunthar łudził się nadzieją, że to spotkanie zjednoczy ludzi i elfów w wielkiej walce o to, by przepędzić smocze armie z Ansalonu. Jednakże jego nadzieje prysły jeszcze przed rozpoczęciem obrad.

Pośpiesznie przeczytawszy raport z Palanthas, Gunthar opuścił swój namiot, zamierzając po raz ostatni obejść polanę Białego Kamienia, by upewnić się, że wszystko jest w porządku. Wills, jego stary sługa, wybiegł za nim.

– Jaśnie panie – wysapał staruszek – proszę natychmiast wrócić.

– O co chodzi? – spytał Gunthar. Stary sługa jednakże był zbyt zaspany, by odpowiedzieć.

Westchnawszy, solamnijski szlachcic powrócił do namiotu, gdzie zastał krążącego nerwowo lorda Michaela, odzianego w pełną zbroję.

– Co się stało? – zapytał Gunthar, czując ucisk w piersi na widok poważnego wyrazu twarzy młodego władcy. Michael zbliżył się szybko i chwycił Gunthara za ramię.

– Panie, otrzymaliśmy wiadomość, że elfowie zarządzają oddania smoczej kuli. Jeśli jej nie zwrócimy, gotowi są wydać wojnę, by ją odzyskać!

– Co takiego? – zapytał z niedowierzaniem Gunthar. – Wydać wojnę! Nam! To śmieszne! Oni nie mogą... Jesteś pewien? Jak pewna jest ta informacja?

– Obawiam się, że bardzo pewna, panie.

– Panie, przedstawiam ci Elistana, kapłana Paladine – rzekł Michael. – Proszę wybaczyć mi, że nie przedstawiłem go wcześniej, lecz od chwili, gdy przyniósł mi te wieści, mam zamęt w głowie.

– Wiele o tobie słyszałem, panie – powiedział Gunthar, wyciągając dłoń do mężczyzny.

Rycerz uważnie przyglądał się Elistanowi. Gunthar nie bardzo wiedział, czego spodziewał się po rzekomym kapłanie

Paladine – być może niedowidzącego filozofa, bladego i wychudzonego od ślęczenia nad księgami. Nie był przygotowany na spotkanie wysokiego, muskularnego mężczyzny, który mógłby śmiało ruszać w bój z najlepszymi spośród rycerzy. Na jego szyi lśnił prastary znak Paladine – smok, wyryty na platynowym medalionie.

Gunthar przypomniał sobie wszystko, czego dowiedział się o Elistanie od Sturma, łącznie z zamiarami kapłana, dotyczącymi prób przekonania elfów do zjednoczenia z ludźmi. Elistan uśmiechnął się z wysiłkiem, jakby świadom każdej myśli przebiegającej Guntharowi przez głowę. Udzielił na nie odpowiedzi.

– Tak, nie powiodło mi się – przyznał Elistan. – Ledwo udało mi się nakłonić ich do uczestnictwa w obradach, a obawiam się, że i tak przybyli tylko po to, by postawić ultimatum: macie zwrócić smoczą kulę elfom albo walczyć o jej zatrzymanie.

Gunthar opadł na krzesło, słabym gestem dłoni dając znak pozostałym, by też siedli. Na stole przed nim leżały mapy Ansalonu, na których pokazano odcieniami czerni podstępnie nadciągające smocze armie. Spojrzenie Gunthara padło na mapy. Nagle jednym zamachem ręki zrzucił je na podłogę.

– Równie dobrze możemy poddać się już teraz! – warknął. – Poślijcie wiadomość smoczym władcom: „Nie trudźcie się i nie przybywajcie tu, by nas zniszczyć. Całkiem dobrze sami sobie z tym radzimy”.

Z gniewem cisnął na stół list, który otrzymał tego ranka.

– Proszę! To nadeszło z Palanthas. Ludzie domagali się, by rycerze opuścili miasto. Palanthianie pertraktują ze smoczymi władcami, a obecność rycerzy „w poważnym stopniu utrudnia im zadanie”. Odmawiają udzielenia nam jakiegokolwiek pomocy. I tak oto tysięczne wojska Palanthian siedzą beczynnie!

– Co robi lord Derek? – spytał Michael.

– Wraz z rycerzami i tysiącem pieszych uciekinierów z okupowanych ziem Throtyl umacnia Wieżę Najwyższego Klerysta na południe od Palanthas – powiedział znużonym głosem Gunthar. – Strzeże ona jedyne przejście przez góry Vingaard. Przez jakiś czas będziemy bronić Palanthas, lecz jeśli smocze armie przedrą się... – Zamilkł.

– Do diabła – szepnął, lekko uderzając pięścią w stół – moglibyśmy obronić tę przełęcz mając dwa tysiące ludzi! Głupcy! A teraz jeszcze to! – Machnął dłonią w stronę elfich namiotów.

Gunthar westchnął, chowając twarz w dłoniach. – No i cóż radzisz, świątobliwy mężu?

Elistan milczał przez chwilę, a potem przemówił. – Zapisane jest na dyskach Mishakal, że zło ze swej natury zawsze obróci się przeciwko sobie samemu. Toteż zawsze jest bezcelowe. – Położył dłoń na ramieniu Gunthara. – Nie wiem, co może wyniknąć z tego spotkania. Moi bogowie nie uchylili przede mną rąbka tej tajemnicy. Być może sami nie wiedzą. Być może waży się przyszłość świata, a decyzje, jakie podejmiemy, rozstrzygną o niej. Wiem jedno: „Nie idź z rozpaczą w sercu, bowiem będzie to pierwsze zwycięstwo zła”.

Powiedziawszy to, Elistan wstał i cicho wyszedł z namiotu.

Po wyjściu kapłana Gunthar siedział w milczeniu. Pomyślał, że prawdę mówiąc odnosi wrażenie, że cały świat pograżył się w ciszy. Wiatr ucichł w nocy. Ciemne, ciężkie chmury wisiały nisko tłumiąc dźwięki, tak że nawet głos trąbki oznajmiający nastanie świtu wydawał się głuchy. Jego skupienie przerwał szmer. Michael powoli zbierał rozrzucone mapy.

Gunthar podniósł głowę i przetarł oczy.

– Co sądzisz?

– O czym? O elfach?

– O tym kapłanie – rzekł Gunthar, spoglądając przez otwarte wejście do namiotu.

– Z pewnością nie jest tym, kogo się spodziewałem – odparł Michael, idąc za wzrokiem Gunthara. – Przypomina bardziej kogoś z opowieści o kapłanach z dawnych czasów, tych którzy wspierali swym przewodnictwem rycerzy przed kataklizmem. Nie

przypomina szarlatanów, z jakimi teraz mamy do czynienia. Elistan jest człowiekiem, który mógłby stanąć obok ciebie na polu walki i jedną ręką błogosławić w imieniu Paladine, a drugą wymachiwać buławą. Nosi medalion, jakiego nikt nie widział od czasu, gdy bogowie nas porzucili. Czy jest jednak prawdziwym kapłanem? – Michael wzruszył ramionami. – Potrzeba czegoś więcej niż medalionu, żeby mnie przekonać.

– Racja. – Gunthar wstał i zaczął iść w stronę zasłony w drzwiach namiotu. – Już czas. Zostań tu, Michaelu, na wypadek, gdyby przyszły następne raporty. – Przed wyjściem zatrzymał się na progu namiotu. – Czy to nie dziwne, Michaelu? – szepnął, śledząc wzrokiem Elistana, którego białą sylwetkę ledwo było widać w oddali. – Zawsze byliśmy narodem, który szukał nadziei w bogu, narodem wierzącym, który nie ufał magii. Teraz szukamy oparcia w czarach, a kiedy nadchodzi okazja odnowienia naszej wiary, poddajemy ją w wątpliwość.

Lord Michael nie odpowiedział. Gunthar potrząsnął głową i wciąż pogrążony w rozmyślaniach, ruszył w stronę polany Białego Kamienia.

Jak powiedział Gunthar, Solamnijczycy byli zawsze wiernymi wyznawcami bogów. Dawno temu, jeszcze przed kataklizmem, polana Białego Kamienia była jednym z kultowych świętych miejsc. Niezwykłość białej skały przyciągała uwagę od niepamiętnych czasów. Sam król kapłan Istar pobłogosławił olbrzymi biały kamień pośrodku wiecznie zielonej polany, ogłaszając go poświęconym bogom i zakazując wszelkim śmiertelnikom dotykania go.

Nawet po kataklizmie, gdy wiara w dawnych bogów wygasła, polana pozostała świętym miejscem. Być może dlatego, że nawet kataklizm nie naruszył jej. Legenda mówiła, że kiedy z niebios spadła ognista góra, ziemia wokół Białego Kamienia popękała i rozstała się, lecz sam Biały Kamień stał nietknięty.

Widok olbrzymiej białej skały budził taki lęk, że nawet teraz nikt nie ośmielał się zbliżyć do niej ani jej tknąć. Nikt nie potrafił powiedzieć, jaką ma dziwną moc. Wiedziano tylko, że powietrze wokół Białego Kamienia zawsze było wiosenne i ciepłe. Bez względu na to, jak mroźna panowała zima, trawa na polanie Białego Kamienia była zawsze zielona. .

Choć Guntharowi było ciężko na sercu, poczuł się odprężony, wszedłszy na polanę i odetchnąwszy ciepłym, wonnym powietrzem. Przez moment znów czuł na ramieniu dotyk dłoni Elistana, który dodawał mu spokoju ducha.

Rozejrzawszy się, zobaczył, że wszystko jest gotowe. Masywne drewniane krzesła o rzeźbionych oparciach ustawiono już na zielonej trawie. Pięć krzeseł dla głosujących członków rady stało po lewej stronie Białego Kamienia, trzy dla członków doradczych po prawej. Wypolerowane ławy dla świadków obrad, których obecności wymagała reguła,

ustawiono naprzeciwko Białego Kamienia i członków rady.

Gunthar zauważył, że niektórzy świadkowie już przybyli. Większość elfów przybyłych z Mówcą i dostojnikiem z Silvanesti zajmowała właśnie miejsca. Dwie skłócone rasy elfów siadły blisko siebie, z dala od ludzi, którzy również zasiadali na swych miejscach. Wszyscy siedzieli w ciszy, niektórzy przez wzgląd na Dzień Głodu; inni, jak gnomy, które nie obchodziły tego święta, zaleźnieni majestatem otoczenia. Miejsca w pierwszym rzędzie zarezerwowano dla szacownych gości lub dla tych, którzy mieli prawo zabrać głos przed radą.

Gunthar dostrzegł, że surowy syn Mówcy, Porthios, wchodzi ze swiątą elfich wojowników. Zajęli miejsca na przedzie. Gunthar zastanawiał się, gdzie jest Elistan. Zamierzał poprosić go o wystąpienie. Zaimponowały mu słowa tego mężczyzny (nawet jeśli był oszustem) i miał nadzieję, że Elistan powtórzy je.

Na próżno szukając Elistana, zobaczył trzy nieznajome postaci, które weszły i zajęły miejsca w pierwszym rzędzie. Był to stary mag w pomiętym i bezkształtnym kapeluszu, jego przyjaciel kender i gnom, którego przywieźli ze sobą z Góry Nieważne. Cała trójka wróciła z wyprawy dopiero zeszłej nocy.

Gunthar był zmuszony przenieść uwagę ponownie na Biały Kamień. Wchodzili doradcy członkowie rady. Było ich tylko dwóch, lord Quinath z Silvanesti i Mówca Słońce. Gunthar z ciekawością przyjrzał się Mówcy, wiedząc że jest on jedną z nielicznych istot na Krynnie, która wciąż pamięta grozę kataklizmu.

Mówca był tak przygarbiony, że niemal sprawiał wrażenie kalekiego. Miał siwe włosy i wynędzniałą twarz. Jednak gdy zajął miejsce i skierował wzrok na świadków, Gunthar zobaczył, że oczy elfa były bystre i przenikliwe. Siedzący obok niego lord Quinath był znany Guntharowi, który uważał go za równie aroganckiego i pysznego, co Porthios z Qualinesti, lecz nie dorównującego mu inteligencją.

A co do Porthiosa, Gunthar pomyślał, że mógłby nawet polubić najstarszego syna Mówcy. Porthios miał wszystkie cechy, jakie rycerze podziwiali, z jednym wyjątkiem – porywczości. Obserwacje Gunthara zostały przerwane, bowiem nadszedł czas, by weszli głoszący członkowie rady i Gunthar musiał zająć swe miejsce. Pierwszy wszedł Mir Kar – Thon z Północnego Ergoth, ciemnoskóry mężczyzna o włosach szarych jak żelazo i ramionach olbrzyma. Następny był Serdin MarThasal, reprezentujący wygnańców na Sancrist i wreszcie lord Gunthar, rycerz solamnijski.

Usiadłszy, Gunthar rozejrzał się po raz ostatni. Za nim połyskiwał olbrzymi Biały Kamień, rozsiewając osobliwy blask, choć słońce nie chciało świecić tego dnia. Po drugiej stronie Białego Kamienia siedział Mówca, a obok niego lord Quinath. Naprzeciwko nich na

ławach zasiadali świadkowie. Kender siedział przyciszony na wysokiej ławie, wymachując krótkimi nogami. Gnom szeleścił czymś, co wyglądało na ryzę papieru; Gunthar wzdrygnął się, żałując, że nie było czasu, by poprosić o skrócony raport. Stary czarodziej ziewnął i podrapał się po głowie, rozglądając się rozkojarzonym wzrokiem.

Wszystko było gotowe. Na znak Gunthara weszło dwóch rycerzy, niosąc złoty stojak i drewnianą skrzynię. Widok wnoszonej smoczej kuli wywołał wśród zgromadzonych niemal śmiertelną ciszę.

Rycerze zatrzymali się dokładnie przed Białym Kamieniem. Tu jeden z nich umieścił złoty stojak. Drugi postawił skrzynię na ziemi, otworzył ją i ostrożnie wydobyl kule, która wróciła do swych pierwotnych rozmiarów, ponad sześćdziesięciu centymetrów średnicy.

Szmer przebiegł przez tłum. Mówca Słońc drgnął niespokojnie, przybierając groźną minę. Jego syn, Porthios, odwrócił się do elfiego pana siedzącego obok niego, by coś mu powiedzieć. Gunthar zauważył, że wszyscy elfowie byli uzbrojeni. Ze swej wiedzy o elfim ceremoniale dworskim wywnioskował, że nie był to dobry znak.

Nie miał jednak innego wyjścia, jak rozpocząć obrady. Nakazując zachowanie porządku, Gunthar Uth Wistan ogłosił: – Niech rozpocznie się rada Białego Kamienia.

Nim upłynęły dwie minuty Tasslehoff nie miał już wątpliwości, że sprawy mają się bardzo źle. Zanim jeszcze lord Gunthar zdążył zakończyć mowę powitalną, Mówca Słońc wstał.

– Moja mowa będzie krótka – oświadczył wódz elfów głosem równie zimnym co stalowoszare, zwiastujące burzę chmury na niebie. – Silvanesti, Qualinesti i Kaganesti spotkali się na naradzie wkrótce po tym, jak zabrano kulę z naszego obozowiska. Członkowie trzech społeczności spotkali się po raz pierwszy od czasów bratobójczych wojen. – Przerwał, kładąc znaczący nacisk na te ostatnie słowa.

– Postanowiliśmy odłożyć na bok nasze nieporozumienia, jako że wszyscy doskonale zgadzamy się co do tego, iż smocza kula powinna znajdować się w rękach elfów, a nie ludzi, ani żadnej innej rasy na Krynnie. W związku z tym stajemy przed radą Białego Kamienia i domagamy się, by bezzwłocznie oddano nam smoczą kulę. Wzamian gwarantujemy, że zabierzemy ją do naszego kraju i przechowamy bezpiecznie do czasów, gdy będzie potrzebna – jeśli taka pora kiedykolwiek nadejdzie.

Mówca usiadł, wodząc spojrzeniem po tłumie, którego milczenie przerywał tylko czasem szmer cichych głosów. Pozostali członkowie rady siedzący obok Gunthara mieli ponure miny i kręcili głowami. Ciemnoskóry przywódca ludzi z Północnego Ergoth szepnął coś do pana Gunthara szorstkim tonem, zaciskając przy tym pięści dla podkreślenia swych

słów.

Posłuchawszy i pokiwawszy głową przez kilka minut, lord Gunthar wstał, by udzielić odpowiedzi. Jego przemowa była chłodna, spokojna i uprzejma wobec elfów. Jednakże pomiędzy wierszami można było wyczytać, że rycerze prędzej posłają elfów do otchłani, niż dadzą im smoczą kulę.

Mówca, który doskonale rozumiał stalowe przesłanie zawarte w pięknych słowach, wstał i odpowiedział. Powiedział tylko kilka słów, które poderwały na nogi wszystkich obecnych.

– W takim razie, lordzie Guntharze – rzekł Mówca – z chwilą obecną elfowie wypowiadają wam wojnę!

Zarówno ludzie, jak i elfowie skierowali swe kroki w stronę smoczej kuli, która spoczywała na złotym stojaku, a w jej kryształowym wnętrzu wirowała łagodnie mleczno-biała mgła. Gunthar kilkakrotnie usiłował przywrócić porządek, wołając i stukając ręką w miecz w stół. Mówca rzekł kilka ostrych słów w języku elfów, przyglądając się stanowczo swemu synowi, Porthiosowi, i wreszcie ponownie zapanował spokój.

Atmosfera była jednakże naładowana niczym powietrze przed burzą. Gunthar przemawiał. Mówca odpowiadał. Mówca przemawiał. Gunthar odpowiadał. Ciemnoskóry żeglarz stracił cierpliwość i rzucił kilka ciętych uwag na temat elfów. Władca elfów Silvanesti swymi zgryźliwymi przycinkami doprowadził go do dygotania ze złości. Kilku rycerzy wyszło, po czym wróciło uzbrojonych po zęby. Stanęli przy Guntharze, trzymając ręce na broni. Elfowie pod przywództwem Porthiosa wstali i otoczyli swoich wodzów.

Gnosh, ściskając mocno swój raport w dłoni, zaczął zdawać sobie sprawę z tego, że nikt go nie poprosi o przedstawienie dokumentu.

Tasslehoff rozejrzył się rozpaczliwie w poszukiwaniu Elistana. Wciąż trzymał się rozpaczliwej nadziei, że kapłan przyjdzie. Elistan potrafiłby uspokoić tych wszystkich ludzi. Albo może Laurana. Gdzie ona teraz jest? Elfowie chłodno powiadomili kendera, że nie było żadnych wieści od jego przyjaciół. Wyglądało na to, że Laurana i jej brat zaginęli gdzieś na pustkowiu. Nie powinienem był ich zostawiać, pomyślał Tas. Nie powinienem być tutaj. No i po co ten zbikowany stary czarodziej mnie tu sprowadził? Jestem niepotrzebny! Może Fizban mógłby coś zrobić? Tas spojrział na maga z nadzieją, lecz Fizban spał mocno!

– Proszę, obudź się! – błagał Tas, szarpiąc go. – Ktoś musi coś zrobić!

W tym momencie usłyszał, jak lord Gunthar krzyczy – Nie macie żadnych praw do smoczej kuli! Lady Laurana i pozostali wieźli ją do nas, kiedy ich statek rozbił się. Próbowaliście zatrzymać ją siłą na Ergom, a twoja własna córka...

– Nie wspominaj o mojej córce! – rzekł Mówca głębokim, surowym głosem. – Ja nie mam córki.

Coś pękło w Tasslehoffie. Przed oczami stanęły mu pomieszane wspomnienia Laurany walczącej rozpaczliwie ze złym czarnoksiężnikiem pilnującym kuli, Laurany toczącej bój ze smokowcami, Laurany strzelającej z łuku do białego smoka, Laurany czule opiekującej się nim, gdy był bliski śmierci. Żeby odtrącił ją jej własny lud, gdy ona tak zawzięcie stara się go ocalić, kiedy poświęciła tak wiele...

– Dość tego! – Tasslehoff poznał swój własny głos, krzyczący z całych sił. – Przestańcie natychmiast i posłuchajcie mnie!

Nagle zobaczył, ku swemu zdumieniu, że wszyscy rzeczywiście przestali rozmawiać i patrzyli na niego.

Teraz, kiedy zdobył już słuchaczy, Tas uzmysłowił sobie, że nie ma pojęcia, co powiedzieć tym wszystkim ważnym osobistościom. Wiedział jednak, że musi coś powiedzieć. Mimo wszystko, pomyślał, to moja wina – to ja wyczytałem o tych przeklętych kulach. Przełknąwszy ślinę, zsunął się z ławy i zbliżył do Białego Kamienia oraz dwóch wrogich grup, zebranych wokół niego. Wydawało mu się, że kątem oka widzi, jak Fizban szczyrzy zęby spod ronda swego kapelusza.

– Ja...ja... – wyjąkał kender, zastanawiając się co powiedzieć. Ocaliło go nagłe natchnienie.

– Domagam się prawa reprezentowania mojego ludu – rzekł dumnie Tasslehoff – i zajęcia należnego mi miejsca pośród członków doradczych.

Przerzuciwszy brązową kité włosów przez ramię, kender podszedł do smoczej kuli i zatrzymał się tuż przed nią. Podniósłszy głowę, widział Biały Kamień, wznoszący się wysoko nad nią i nad nim. Drżąc, Tas spojrział na skałę, a potem szybko przeniósł wzrok na Gunthara i Mówcę Słońc.

I wtedy Tasslehoff już wiedział, co musi uczynić. Zaczął trząść się ze strachu. On – Tasslehoff Burrfoot – który nigdy nie bał się niczego w swym życiu! Bez drżenia spoglądał w oczy smokom, lecz świadomość tego, co ma teraz uczynić, przerażała go. Miał uczucie, jakby lepił śnieżki bez rękawiczek. Wydawało mu się, że jego język należy do znacznie większej osoby. Tas był jednak zdecydowany. Musi tylko skłonić ich do ciągłego mówienia, żeby nie domyślili się, co szykuje.

– Wiecie dobrze, że nigdy nie traktowaliście nas, kenderów, poważnie – zaczął Tas, a jego głos brzmiał za głośno i piskliwie w jego własnych uszach – i nie mogę powiedzieć, żebym miał do was o to wyjątkową pretensję. Sądzę, że nie mamy zbyt silnego poczucia

odpowiedzialności i prawdopodobnie jesteśmy zbyt wścibscy ale to dla naszego własnego dobra – lecz, pytam was, jak można się czegoś dowiedzieć, jeśli nie jest się wścibskim?

Tas widział, że twarz Mówcy przybiera wyraz stalowej zawziętości, a nawet lord Gunthar marszczy brwi. Kender przysuwał się coraz bliżej smoczej kuli.

– Myślę, że przysparzamy mnóstwa kłopotów, choć nie umyślnie, a czasami niektórzy z nas rzeczywiście biorą sobie przedmioty, które nie należą do nas. Jednak jedną rzeczą, o której kenderzy wiedzą, jest...

Tasslehoff rzucił się biegiem. Szybki i zwinny jak mysz, bez trudu wyślizgiwał się z rąk tym, którzy usiłowali go złapać, i w ciągu kilku sekund dopadł smoczej kuli. Twarze rozmyły się wokół niego, a usta otwierały się, krzycząc coś i wrzeszcząc do niego. Lecz było już za późno.

Jednym szybkim, płynnym ruchem Tasslehoff cisnął smoczą kulą w olbrzymi, lśniący Biały Kamień.

Okrągły, połyskliwy kryształ – o wrzącym wnętrzu – wisiał w powietrzu przez długie, długie sekundy. Tas zastanawiał się, czy kula ma dość mocy, by zatrzymać swój lot. Było to jednak tylko gorączkowe wrażenie w umyśle kendera.

Smocza kula zderzyła się ze skałą i pękła, rozpryskując się na tysiąc migoczących odłamków. Przez chwilę w powietrzu unosił się krąg mlecznobiałego dymu, jakby rozpaczywie próbował trzymać się razem. Potem ciepły, wiosenny podmuch wiatru rozwiął dym.

Zapadła pełna skupienia, straszliwa cisza.

Kender stał, spoglądając spokojnie na strzaskaną smoczą kulę u swych stóp.

– My wiemy – rzekł cichym głosem, który padł w przerażającą ciszę niczym maleńka kropla deszczu – że powinniśmy walczyć ze smokami. Nie ze sobą.

Nikt się nie ruszył. Nikt się nie odezwał. Wtem rozległ się łomot.

Gnosh zemdlał.

Cisza prysła – niemal z takim samym wstrząsem, jaki wywołało rozbicie kuli. Lord Gunthar i Mówca jednocześnie rzucili się na Tasa. Jeden złapał kendera za prawe ramię, drugi za lewe.

– Coś ty zrobił? – Lord Gunthar był purpurowy na twarzy. Z obłędem w oczach pochwyił kendera trzęsącymi się dłońmi.

– Sprowadziłeś śmierć na nas wszystkich! – Palce Mówcy wpijały się w ciało Tasa jak szpony drapieżnego ptaka. – Zniszczyłeś naszą jedyną nadzieję!

– I za to sam pierwszy zginiesz!

Porthios – wysoki elfi szlachcic o zaciętej twarzy – nachylał się nad skulonym

kenderem z lśniącym mieczem w ręku. Kender stał śmiało pomiędzy królem elfów i rycerzem, dumny i blady. Kiedy popełniał swą zbrodnię, wiedział, że karą będzie śmierć.

Tanis zmartwi się tym, co zrobiłem, pomyślał ze smutkiem Tas. Ale przynajmniej usłyszysz, że umarłem dzielnie.

– Nie, nie, nie... – odezwał się zaspany głos. – Nikt tu nie zginie! Przynajmniej nie w tej chwili. Przestań wymachiwać tym mieczem, Porthiosie! Jeszcze kogoś zranisz.

Tas wyjrzał spod wzburzonego morza ramion i błyszczących zbroi, dostrzegając Fizbana, który ziewając, przestąpił nieruchome ciało gнома i człapał w ich stronę.

Elfowie i ludzie ustępowali mu z drogi, jakby zmuszała ich do tego jakaś niewidzialna siła.

Porthios odwrócił się gwałtownie do Fizbana, tak wściekły, że piana rzuciła mu się na usta, a słowa były niemal niezrozumiałe.

– Strzeż się, starcze, albo poniesiesz karę wraz z nim!

– Powiedziałem, żebyś przestał machać tym mieczem – rzekł ostro poirytowany Fizban, kiwając palcem na miecz.

Porthios upuścił miecz z dzikim krzykiem. Trzymając się za pokłutą dłoń, która go paliła, spojrział ze zdumieniem na miecz leżący na ziemi – rękojeść porosła cierniami!

– Dobry z ciebie młodzieniec, lecz ktoś powinien był nauczyć cię nieco szacunku dla starszych. Kazałem ci odłożyć miecz i nie żartowałem! Może następnym razem posłuchasz mnie! – Groźne spojrzenie Fizbana spoczęło na Mówcy. – A ty, Solostaranie, byłeś dobrym mężczyzną jakieś dwieście lat temu. Zdołałeś wychować troje pięknych dzieci – powiedziałem troje pięknych dzieci. Przestań pleść bzdury, że nie masz córki. Masz córkę i to zuch dziewczynę. Ma więcej rozumu niż jej ojciec. Pewnie po matce. O czym to ja mówiłem? Ach, tak. Wychowałeś również Tanisa Półelfa. Wiesz, Solostaranie, z taką czwórką młodych ludzi może jeszcze uda nam się ocalić ten świat.

– A .teraz życzyłbym sobie, by wszyscy wrócili na swoje miejsca. Tak, ty też, lordzie Guntharze. No chodź, Solostaranie, pomogę ci. My starzy, musimy się trzymać razem. Szkoda, że z ciebie taki stary dureń.

Mamrocząc coś w głąb swej brody, Fizban odprowadził zdumionego Mówcę do jego krzesła. Porthios o twarzy wykrzywionej cierpieniem, z trudem wrócił na swoje miejsce z pomocą swych wojowników.

Powoli zgromadzeni elfowie i rycerze usiedli, mrużąc pod nosem – wszyscy rzucali groźne spojrzenia na strzaskaną smoczą kulę, która leżała u stóp Białego Kamienia.

Fizban posadził Mówcę na krzesło, rzucił wrogie spojrzenie lordowi Quinathowi,

któremu wydawało się, że ma coś do powiedzenia, lecz szybko doszedł do wniosku, że się mylił. Zadowolony z siebie stary mag wrócił do Białego Kamienia, gdzie Tas stał rozdygotany i zbity z tropu.

– Ty – Fizban spojrzał na kendera, jakby nigdy przedtem go nie widział – idź, zajmij się tym biedakiem. – Machnął ręką w kierunku gнома, który wciąż leżał nieprzytomny.

Czując jak się nogi pod nim uginają, Tasslehoff powoli podszedł do Gnoshy i ukląkł obok niego, rad że może popatrzeć na coś innego niż rozwścieczone, pełne strachu twarze.

– Gnosh – szepnął żałośnie, poklepując gнома po policzku – tak mi przykro. Naprawdę. No wiesz, z powodu twojego zadania życiowego i duszy twego ojca, i w ogóle. Ale naprawdę wydawało mi się, że nic innego nie można było zrobić.

Fizban powoli obrócił się twarzą do zgromadzonych, odsuwając kapelusz na tył głowy. – Tak, mam zamiar powiedzieć wam kazanie. Zasłużyliście sobie na nie, każdy z was – więc nie siedźcie tak, przybierając świątobliwe miny. Ten kender – wskazał Tasslehoffa, który wtulił głowę w ramiona – ma więcej rozumu pod tą śmieszoną kitką na głowie niż wy wszyscy razem wzięci. Czy wiecie, co by się stało, gdyby kender nie miał dość odwagi, by zrobić to, co zrobił? Wiecie? No to wam powiem. Pozwólcie mi tylko rozejrzeć się, gdzie by tu usiąść... – Fizban rozejrzał się błędnym wzrokiem. – O, tak, tutaj... – Kiwając głową z zadowolenia, stary czarodziej doczłapał się do Białego Kamienia i siadł na ziemi, opierając się plecami o świętą skałę!

Zebrani rycerze jęknęli ze zgrozy. Gunthar zerwał się na nogi, wstrząśnięty świętokradztwem.

– Żadnemu śmiertelnikowi nie wolno dotknąć Białego Kamienia! – krzyknął, zbliżając się długimi krokami.

Fizban powoli odwrócił głowę, by spojrzeć na kipiącego wściekłością rycerza. – Jeszcze jedno słowo – rzekł z namaszczeniem stary czarodziej – a sprawię, że odpadną ci wąsy. A teraz siadaj i milcz!

Władczy gest starca powstrzymał pieniacego się ze złości Gunthara. Rycerz nie mógł zrobić nic innego, jak wrócić na swoje miejsce.

– O czym to ja mówiłem, zanim mi przerwano? – Fizban zmarszczył gniewnie czoło. Kiedy się rozglądał, jego spojrzenie padło na szczątki stłuczonej kuli. – Ach, tak. Miałem zamiar opowiedzieć wam historyjkę. Jeden z was oczywiście zdobyłby kulę. I zabrałibyście ją – albo po to, by ją „przechować bezpiecznie”, albo by „ocalić świat”. O tak, ona jest w stanie ocalić świat, lecz tylko wtedy, gdy się wie, jak jej użyć. Kto z was ma taką wiedzę? Kto ma siłę? Kulę stworzyli najwięksi, najpotężniejsi czarodzieje minionych wieków. Wszyscy

najpotężniejsi – rozumiecie? Stworzyli ją, członkowie bractwa białych szat i czarnych. Zawiera esencję zarówno zła, jak i dobra. Czarodzieje czerwonych szat połączyli obie esencje swą mocą. Niewielu jest dzisiaj takich, którzy mają dość mocy i siły, by zrozumieć kulę, by zgłębić jej tajemnice i zapanować nad nią Doprawdy niewielu – oczy zabłyśły Fizbanowi – i nie jest to żaden z was!

Zapadła pełna skupienia cisza, podczas której wszyscy słuchali starego czarodzieja. Jego mocny głos wznosił się ponad szumem wiatru, który zerwał się i przeganiał deszczowe chmury z nieba.

– Jeden z was zabrałby kulę i użył jej, a wkrótce okazałoby się, iż sami rzuciliście się w objęcia klęski. Leglibyście w gruzach tak, jak tu leżą okruchy kuli stłuczonej przez kendera. A co do zdruzgotanych nadziei, powiem wam, że na jakiś czas nadzieja zginęła, lecz oto narodziła się na nowo.

Nagły podmuch wiatru porwał kapelusz starego maga, zdmuchując go z głowy i niosąc daleko, jakby chciał się bawić. Burcząc ze złości, Fizban podreptał na czworakach, by sięgnąć po niego.

W chwili, gdy czarodziej nachylił się, zza chmur wyjrzało słońce. Błysnęło oślepiające srebro, a potem rozległ się przeraźliwy, ogłuszający huk, jakby ziemia się rozstąpiła.

Na wpół oślepieni jaskrawym blaskiem ludzie mrugali powiekami i z nabożnym lękiem spoglądali na przerażający widok, jaki przedstawiał się ich oczom.

Biały Kamień został strzaskany.

U jego stóp leżał stary czarodziej, ściskając kapelusz w jednej ręce, drugą z przerażeniem zasłaniając głowę. Nad nim, wbita w skałę, pod którą siedział, znajdowała się długa włócznia z lśniącego srebra. Rzuciło ją srebrne ramię czarnego mężczyzny, który podszedł i stanął obok niej. Towarzyszyły mu trzy osoby: kobieta elf odziana w skórzaną zbroję, stary, siwobrody krasnolud i Elistan.

Na oczach osłupiałego tłumu czarna mężczyzna wyszarpnął oręż ze strzaskanych szczątków skały. Uniósł go wysoko nad głowę, a ząbkowany, srebrny grot załśnił jasno w promieniach słońca.

– Jestem Theros Ironfeld – zawołał mężczyzna donośnym głosem – i przez ostatni miesiąc wykuwałem oręż taki, jak ten! – Potrząsnął bronią w ręku. – Zacerpnałem płynnego srebra ze studni ukrytej w głębi pomnika srebrnego smoka. Srebrną ręką daną mi przez bogów wykułem broń, o której mówiła legenda. I przynoszę ją wam – i wszystkim ludom Krynnu – abyśmy mogli połączyć swe siły i pokonać wielkie zło, które chce pogrzyźć nas w mrokach

na zawsze.

– Przynoszę wam smoczą lancę!

Powiedziawszy to, Theros wbił broń głęboko w ziemię. Wysmukła i lśniąca lanca utkwiała pośród odłamków stłuczonej smoczej kuli.

Rozdział VII

Niespodziewana podróż

A teraz moje zadanie zostało wykonane – rzekła Laurana. – Mogę odejść.

– Tak – powiedział powoli Elistan – i wiem, czemu odchodzisz... – Laurana zaczerwieniła się i spuściła oczy – lecz dokąd pójdziesz?

– Do Silvanesti – odrzekła. – Tam go ostatni raz widziałam.

– Tylko we śnie...

– Nie, to było coś więcej niż sen – odpowiedziała Laurana, wzdrygnąwszy się. – To była prawda. On tam był. On żyje i muszę go znaleźć.

– W takim razie, moja droga, powinnaś tu zostać – zasugerował Elistan. – Mówisz, że we śnie on znalazł smoczą kulę. Jeśli ją ma, przybędzie na Sancrist.

Laurana nie odpowiedziała. Nieszczęśliwa i niezdecydowana, wyjrzała przez okno zamku lorda Gunthara, gdzie zatrzymała się jako gość wraz z Elistanem, Flintem i Tasslehoffem.

Powinna być z elfami. Zanim opuścili polanę Białego Kamienia, ojciec poprosił ją, by wróciła z nimi na Południowy Ergoth. Laurana jednak odmówiła. Choć nie powiedziała tego, wiedziała że nigdy już nie zamieszka pośród swego ludu.

Ojciec nie naciskał, a w jego oczach dostrzegła zrozumienie jej nie wypowiedzianych słów. Elfowie starzeją się z upływem lat, nie dni, jak ludzie. Wydawało się, że dla jej ojca czas przyspieszył, bowiem Mówca zmieniał się na jej oczach. Miała wrażenie, że widzi go przez klepsydrowe oczy Raistlina, i ta myśl przeraziła ją. Jednak wieści, jakie mu przyniosła, tylko pogłębiły jego poczucie goryczy.

Gilthanas nie wrócił. Laurana nie mogła też powiedzieć swemu ojcu, gdzie jest jego ukochany syn, bowiem wyprawa, na którą się udał z Silvarą, była pełna mroku i niebezpieczeństwa. Laurana powiedziała mu tylko, że Gilthanas żyje.

– Wiesz, gdzie on jest? – zapytał po chwili Mówca.

– Tak – odrzekła Laurana – a raczej, wiem dokąd się udaje.

– I nie możesz powiedzieć o tym nawet mnie – swemu ojcu?

Laurana stanowczo pokręciła głową. – Nie, nie mogę. Wybacz mi, lecz gdy zdecydowaliśmy się na ten rozpaczliwy czyn, ustaliliśmy, że ci z nas, którzy o tym wiedzą, nie zdradzą tajemnicy nikomu. Nikomu – powtórzyła.

– A więc nie ufasz mi...

Laurana westchnęła. Jej spojrzenie padło na strzaskany

Biały Kamień. – Ojciec – rzekła – niemal wypowiedziałeś wojnę... jedynym ludziom, którzy mogą nam pomóc w ocaleniu...

Jej ojciec nie odpowiedział, lecz – chłodnym pożegnaniem i sposobem, w jaki opierał się na ramieniu najstarszego potomka – jasno dał do zrozumienia Lauranie, że ma teraz tylko jedno dziecko.

Theros poszedł z elfami. Po jego dramatycznym pokazie smoczey lancy, rada Białego Kamienia jednogłośnie ustaliła, że należy wykonać więcej takiej broni i zjednoczyć wszystkie rasy do walki ze smoczymi armiami.

– Obecnie – oświadczył Theros – mamy tylko tych kilka lanc, które sam zdołałem wykuć w ciągu miesiąca. Przyniosłem również kilka prastarych, które srebrne smoki ukryły w czasach, gdy przepędzono ze świata. Będziemy jednak potrzebować więcej – dużo więcej. Potrzebni mi są ludzie do pomocy!

Elfowie zgodzili się przydzielić mężczyzn do pomocy w wykuwaniu smoczey lanc, lecz czy pomogą w walce...

– To nadal pozostaje kwestią, którą musimy przedyskutować – powiedział Mówca.

– Nie dyskutujcie zbyt długo – warknął Flint Fireforge – bo może się okazać, że będziecie dyskutować ze smoczym władcą.

– Elfowie mają własne zdanie i nie proszą krasnoludów o radę – odrzekł oziębłe Mówca. – Poza tym, nawet nie wiemy, czy te lance są skuteczne! Jedno jest pewne, legenda mówi, że miał je wykuć Srebrnoręki. Lecz mówi też, że do tego niezbędny jest młot Kharasa. Gdzie jest teraz młot? – spytał Therosa.

– Młota nie można było przywieźć tu na czas, nawet gdyby udało się obronić go przed smoczymi wojskami. Młot Kharasa był potrzebny w dawnych czasach, ponieważ same ludzkie zdolności nie były wystarczające do wytworzenia lanc. Ale moje są wystarczające – dodał dumnie. – Widzieliście, co lanca zrobiła ze skałą.

– Zobaczymy jeszcze, co robi ze smokami – rzekł Mówca i drugie posiedzenie rady Białego Kamienia dobiegło końca. Gunthar zaproponował wreszcie, by lance przywiezione przez Therosa wysłać rycerzom do Palanthas.

Takie myśli chodziły po głowie Lauranie, kiedy spoglądała na ponury, zimowy krajobraz. Lord Gunthar powiedział, że wkrótce w dolinie spadnie śnieg.

Nie mogę tu zostać, pomyślała Laurana, przyciskając twarz do zimnej szyby. Chyba oszaleję.

– Przyjrzałam się uważnie mapom Gunthara – szepnęła jakby do siebie – i widziałam rozmieszczenie smoczey armii. Tanis nigdy nie dotrze do Sancrist. A jeśli ma kulę, może nie

wiedzieć, jakie niebezpieczeństwo ona przedstawia. Muszę go ostrzec.

– Moja droga, nie mówisz rozsądnie – rzekł łagodnie Elistan. – Jeśli Tanis nie może bezpiecznie dotrzeć na Sancrist, jak ty dotrzesz do niego? Pomyśl logicznie, Laurano...

– Nie chcę myśleć logicznie! – krzyknęła Laurana, tupiąc nogą i mierząc kapłana gniewnym spojrzeniem. – Mam dość zachowywania się rozsądnie! Jestem zmęczona całą tą wojną. Wykonałam to co do mnie należało – nawet więcej. Chcę tylko odnaleźć Tanisa!

Widząc współczującą minę Elistana, Laurana westchnęła. – Przykro mi, mój drogi przyjacielu. Wiem, że to co mówisz, jest prawdą – powiedziała zawstydzona. – Lecz nie mogę siedzieć tutaj i nic nie robić!

Choć Laurana nie wspomniała o tym, martwiło ją coś jeszcze. Ta kobieta, ta Kitiara. Gdzie ona jest? Czy byli razem, tak jak widziała we śnie? Laurana teraz nagle uświadomiła sobie, że zapamiętany obraz Kitiary w objęciach Tanisa bardziej ją zaniepokoił niż obraz jej własnej śmierci.

W tym momencie do komnaty wszedł nagle lord Gunthar.

– Och! – rzekł zaskoczony, ujrawszy Elistaną i Lauranę. – Przepraszam, mam nadzieję, że nie przeszkadzam...

– Ależ skądże, wejść proszę – powiedziała szybko Laurana.

– Dziękuję – powiedział Gunthar, wchodząc do środka i starannie zamykając za sobą drzwi – wyjrawszy najpierw na korytarz, by się upewnić, że nikogo nie ma w pobliżu. Podszedł do okna, przy którym stał Elistan z Laurana. – Prawdę mówiąc i tak zamierzałem porozmawiać z wami. Posłałem Willsa, by was poszukał. Tak jest jednak lepiej. Nikt nie wie, że rozmawiamy.

Kolejne intrygi, pomyślała ze znużeniem Laurana. Przez całą podróż do zamku Gunthara nie słyszała o niczym innym, jak tylko o politycznych rozgrywkach, które niszczyły zakon rycerski.

Wstrząśnięta i oburzona wieścią o sędzie nad Sturmem, Laurana stanęła przed radą rycerzy, by wystąpić w obronie tegoż. Choć pojawienie się kobiety na zgromadzeniu rady było rzeczą niesłychaną, elokwentna przemowa broniąca Sturmą w wykonaniu tryskającej życiem, pięknej młodej kobiety wywarła na rycerzach wrażenie. Fakt, iż Laurana należała do królewskiego rodu elfów, i że przyniosła smocze lance, również bardzo poważnie przemawiał za nią.

Nawet poplecznikom Dereka – tym, którzy zostali – trudno byłoby coś jej zarzucić. Rycerze jednakże nie byli w stanie dojść do porozumienia. Człowiek, którego wybrano na stanowisko lorda Alfreda, stał zdecydowanie w cieniu Dereka – jak wieść głosiła – a lord

Michael był niezdecydowany do tego stopnia, że Gunthar zmuszony był poddać kwestię pod otwarte głosowanie. Rycerze zarządzali czasu do namysłu i spotkanie odłożono na później. Zebrali się ponownie dzisiejszego popołudnia. Najwyraźniej Gunthar powrócił właśnie z owego zebrania.

Z wyrazu twarzy Gunthara Laurana odgadła, że wszystko ułożyło się pomyślnie. Skąd więc te manewry?

– Czy Sturm został ułaskawiony? – spytała.

Gunthar uśmiechnął się i zatarł ręce. – Nie ułaskawiony, moja droga. To sugerowałoby, że był winny. Nie. Został całkowicie oczyszczony z zarzutów! Domagałem się tego. Ułaskawienie niczego by nam nie dało. Mianowano go rycerzem. Oficjalnie przydzielono mu dowództwo. A Derek jest w poważnych kłopotach!

– Cieszę się z powodu Sturma – rzekła chłodno Laurana, wymieniając zaniepokojone spojrzenia z Elistanem, Choć na podstawie tego, co widziała, polubiła lorda Gunthara, wychowywała się jednak na dworze królewskim i dobrze wiedziała, że Sturm staje się pionkiem w cudzych rozgrywkach.

Gunthar wychwycił lodowatą nutę w jej głosie i sposepniał.

– Lady Laurano – rzekł, przemawiając poważniej – wiem, o czym myślisz – że robisz ze Sturma marionetkę. Bądźmy brutalnie szczerzy, pani. Rycerze są podzieleni, rozdarci na dwa odłamy – Dereka i mój. Oboje dobrze wiemy, co dzieje się z pękniętym na pół drzewem: obie części usychają i umierają. Trzeba położyć kres tej wojnie między nami, bo inaczej będzie miała tragiczne konsekwencje. Teraz zostawiam to w waszych rękach twoich, pani i twych, Elistanie, bowiem przywykłem ufać ci i polegać na twym osądzie. Poznaliście mnie i poznaliście lorda Dereka Crownguarda. Kogo wybralibyście na przywódcę zakonu?

– Oczywiście siebie, Guntharze – rzekł szczerze Elistan.

Laurana pokiwała głową. – Zgadzam się. Ta wojna jest zabójstwem dla zakonu solamnijskiego. Widziałam to na własne oczy podczas zgromadzenia rady. A z tego, co słyszałam z raportów przybywających z Palanthas, szkodzi to również naszej sprawie. Jednakże ponad wszystko przedkładam dobro mego przyjaciela.

– Rozumiem to bardzo dobrze i ciszę się, że to mówisz

– rzekł z aprobatą w głosie Gunthar – bowiem dzięki temu łatwiej będzie ci zgodzić się na wielką przysługę, o jaką zamierzam cię prosić. – Gunthar wziął Lauranę za ramię.

– Chciałbym, żebyś pojechała do Palanthas.

– Co takiego? Dlaczego? Nie rozumiem!

– Nic dziwnego. Pozwól mi wytłumaczyć. Usiądź, proszę. Ty też, Elistanie. Należę

wina...

– Nie sędzę – rzekła Laurana, siadając pod oknem.

– Dobrze. – Twarz Gunthara przybrała bardzo poważny wyraz. Położył dłoń na dłoni Laurany. – Obojgu nam, pani, polityka nie jest obca. Rozstawię więc przed tobą wszystkie swe pionki. Pojedziesz do Palanthis pod pozorem nauczania rycerzy posługiwania się smoczymi lancami. To całkiem rozsądny powód. Teraz, kiedy nie ma Therosa tylko ty i krasnolud wiecie, jak się nimi posługiwać. A – powiedzmy to szczerze – krasnolud jest za niski, by władać taką lancą.

Gunthar chrząknął. – Zawieziesz lance do Palanthis. Lecz co ważniejsze, zabierzesz ze sobą wydany przez radę dokument uniewinnienia, który w pełni przywróci honor Sturmowi. To zada ambicjom Dereka śmiertelny cios. W chwili, gdy Sturm założy zbroję, wszyscy będą wiedzieli, że mam pełne poparcie rady. Nie zdziwiłbym się, gdyby po powrocie Derek stanął przed sądem.

– Ale dlaczego ja? – zapytała bez ogródek Laurana.

– Mogę każdego nauczyć władania smoczą lancą – na przykład lorda Michaela. On może zabrać je do Palanthis. On może zawieść pismo Sturmowi...

– Pani... – Gunthar mocno ścisnął jej dłoń, przysuwając się bliżej, mówił szeptem – ty wciąż nie rozumiesz! Nie mogę zaufać lordowi Michaelowi! Nie mogę – obawiam się powierzyć tego któremukolwiek z rycerzy! Derek został strącony z konia – używając przenośni – lecz jeszcze nie przegrał turnieju. Potrzebny jest mi ktoś, komu mogę zaufać bez ograniczeń! Ktoś, kto dobrze zna Dereka i któremu leży na sercu dobro Sturma!

– Mnie na tym zależy – odrzekła chłodno Laurana.

– Stawiam je dużo wyżej niż dobro zakonu.

– Ach, lecz pamiętaj, lady Laurano – powiedział Gunthar, wstając i skłoniwszy się, ucałował jej dłoń – dobro Sturma jest nierozdzielnie związane z zakonem. Jak myślisz, co się z nim stanie, gdy zakon upadnie? Co się z nim stanie, jeśli Derek przejmie władzę?

Oczywiście w końcu Laurana zgodziła się pojechać do

Palanthis, o czym Gunthar dobrze wiedział. Nie miała innego wyjścia. W miarę zbliżania się terminu jej wyjazdu zaczęło jej się niemal co noc śnić, że Tanis przybywa na wyspę w kilka godzin po jej odpłynięciu. Nieraz była na krawędzi odmowy wyjazdu, lecz wtedy myślała o tym, że będzie musiała spojrzeć Tanisowi w oczy i powiedzieć, że nie zgodziła się pojechać do Sturma, by ostrzec go przed niebezpieczeństwem. To powstrzymywało ją przed zmianą zdania. To – i szacunek dla Sturma.

Właśnie w czasie tych samotnych nocy, gdy jej serce tęskniło rozpaczliwie za

Tanisem, a w wyobraźni widziała go obejmującego tę kobietę o ciemnych kędziorach, ognistych brązowych oczach i czarującym uśmiechu, przeżywała największy wewnętrzny zamęt.

Przyjaciele nie mogli jej dodać wiele otuchy. Jeden z nich, Elistan, wyjechał po przybyciu posłańca od elfów, który zwrócił się z prośbą o przyjazd kapłana, wraz z wysłannikiem rycerzy. Nie było wiele czasu na pożegnania. Przed upływem dnia od przybycia elfiego posłańca Elistan i syn lorda Alfreda – poważny, skupiony młodzieniec imieniem Douglas – wyruszyli w podróż powrotną na Południowy Ergoth. Laurana nigdy nie czuła się tak samotna, jak wtedy, gdy żegnała się ze swym mistrzem.

Tasslehoffa również czekało smutne pożegnanie.

Pośród zamieszania, wywołanego odkryciem smoczej lancy, wszyscy zapomnieli o biednym Gnoshu i jego zadaniu życiowym, które leżało na trawie w tysiącu błyszczących kawałkach. Wszyscy, z wyjątkiem Fizbana. Stary czarodziej podniósł się z ziemi, na której się kulił przed strzaskanym Białym Kamieniem i podszedł do zmartwionego gнома, który ze smutkiem przyglądał się stłuczonej smoczej kuli.

– Dobrze już, dobrze, mój chłopcze – rzekł Fizban – jeszcze świat się nie zawałił!

– Naprawdę? – zapytał Gnosh, tak rozżalony, że dokończył zdanie.

– Oczywiście, że nie! Trzeba spojrzeć na to z właściwej perspektywy. Popatrz, teraz masz jedyną okazję zbadać smoczą kulę od środka!

Gnoshowi zabłyśły oczy. – Masz rację – powiedział po chwili przerwy – i prawdę mówiąc, mogę się założyć, że potrafiłbym ją skleić...

– Tak, tak – rzekł pośpiesznie Fizban, lecz Gnosh już pędził naprzód, mówiąc coraz szybciej i szybciej.

– Moglibyśmy poprzyczepiać metki do każdego kawałka, jaksądzisz, apotemnarysować diagram, gdziekażdykawałek leżałnaziemi, który....

– Jasne, jasne – mamrotał Fizban.

– Odsuńcie się, odsuńcie się – rzekł z poczuciem własnej ważności, odpędzając ludzi od kuli. – Proszę niech pan uważa, gdzie stąpa, lordzie Guntharze, no i tak, teraz zbadamy ją od wnętrza, a raport powinienem otrzymać przed upływem kilku tygodni...

Gnosh i Fizban odgradzili teren sznurem i zabrali się do pracy. Przez następne dwa dni Fizban stał na rozbitym Białym Kamieniu i ponoć zaznaczał dokładne położenie każdego odłamka kuli przed podniesieniem go. (Jeden z wykresów Fizbana przypadkowo zawędrował do sakwy kendera. Tas odkrył później, że w rzeczywistości była to gra znana jako „kółko i krzyżyk”, w którą czarodziej grał sam ze sobą – i najwyraźniej przegrał.)

Tymczasem uradowany Gnosh czołgał się w trawie, przyklejając kawałki pergaminu przyozdobione numerkami do szklanych odłamków mniejszych niż kawałki pergaminu. Wreszcie wraz z Fizbanem pozbiali 2687 kawałków smoczej kuli do koszyka i przetransportowali je z powrotem do Góry Nieważne.

Tasslehoff miał do wyboru albo zostać z Fizbanem, albo pojechać do Palanthas z Laurana i Flintem Fireforge. Wybór był prosty. Kender wiedział, że dwie takie gapy jak elfia panienska i krasnolud, nie przeżyją bez niego. Ciężko było jednak zostawiać starego przyjaciela. Dwa dni przed odpłynięciem statku złożył ostatnią wizytę gnomom i Fizbanowi.

Po cudownym locie z katapulty znalazł Gnosh w sali badań. Kawałki smoczej kuli – ometkowane i ponumerowane – zajmowały powierzchnię dwóch stołów.

– Absolutnie fascynujące – Gnosh mówił tak szybko, że aż się jąkał – bowiem przeanalizowaliśmy materiał, niepodobny do niczego, co kiedykolwiek widzieliśmy, największe odkrycie tego wieku...

– Więc twoje zadanie życiowe zostało spełnione? – przerwał Tas. – Dusza twego ojca...

– Spoczywaj w spokoju! – Gnosh rozpromienił się, a następnie wrócił do pracy. – Tak się cieszę, że zechciałeś wstąpić do nas i gdybyś był kiedyś wokolicy, odwiedź nas znówu...

– Oczywiście – rzekł Tas, uśmiechając się.

Tas znalazł Fizbana dwa poziomy niżej. (Fascynująca podróż – po prostu krzyknął nazwę poziomu, a potem skoczył w przepaść. Załopotwały i zafurkotały sieci, zadzwoniły dzwonki, zabręczały gongi i zagwizdały gwizdki. Tasa wreszcie złapano nad ziemią, w chwili, gdy okolicę zasypywano gąbkami.)

Fizban znajdował się w dziale badań nad bronią, otoczony przez gnomy, które wpatrywały się w niego z nie ukrywaniem podziwem.

– Ach, mój chłopcze! – zawołał, rzucając mętne spojrzenie na Tasslehoffa. – Przyszedłeś w samą porę, by ujrzeć próbę naszej nowej broni. Zrewolucjonizuje sztukę wojenną. Uczyni smocze lance bronią przestarzałą.

– Naprawdę? – spytał podniecony Tas.

– To fakt! – potwierdził Fizban. – Stań tutaj – Gestem wezwał gнома, który natychmiast zerwał się, by wykonać jego polecenie. Gnom stanął pośrodku zagraconego pomieszczenia.

Fizban uniósł coś, co skonfundowanemu kenderowi przypominało kuszę, na którą napadł wściekły rybak. To rzeczywiście była kusza. Lecz zamiast bełtu, na haku umieszczonym na jej końcu wisiała wielka sieć. Mrucząc i mamrocząc,

Fizban polecił gnomom stanąć za swymi plecami i zrobić mu miejsce.

– Teraz jesteś nieprzyjacielem – powiedział Fizban do gнома na środku pokoju. Gnom natychmiast zrobił groźną, wojowniczą minę. Pozostałe gnomy pokiwały głowami z aprobatą.

Fizban wymierzył, a potem wystrzelił. Sieć poszybowała w powietrzu, zaczepiła o haczyk na końcu kuszy i spadła jak zerwany żagiel, oplątując czarodzieja.

– Przeklęty haczyk! – wymamrotał Fizban. Dzięki pomocy gnomów Tasowi udało się wreszcie wyplątać maga.

– Chyba już czas się pożegnać – rzekł Tas, powoli wyciągając małą rączkę.

– Doprawdy? – Fizban sprawiał wrażenie zdumionego. – Czy ja gdzieś wyjeżdżam? Nikt mi nie powiedział! Nie spakowałem się...

– To ja wyjeżdżam – powiedział cierpliwie Tas – z Laurana. Zabieramy lance – och, nie powinienem chyba o tym nikomu mówić – dodał zakłopotany.

– Nie martw się. Ani pary z ust – rzekł Fizban ochryplym szeptem, który rozniósł się wyraźnie na całe zatłoczone pomieszczenie. – Spodoba ci się Palanthas. Piękne miasto. Pozdrów ode mnie Sturma. I wiesz co, Taslehoffie – stary czarodziej spojrział na niego bystrym wzrokiem – dobrze postąpiłeś, mój chłopcze!

– Naprawdę? – powiedział z nadzieją Tas. – Cieszę się. – Zawahał się. – Zastanawiałem się... nad tym, co powiedziałaś – o mrocznej ścieżce. Czy ja...?

Fizban spoważniał i ścisnął mocno Tasa za ramię. – Obawiam się, że tak. Lecz masz dość odwagi, by nią kroczyć.

– Mam nadzieję – westchnął cichutko Tas. – Cóż, do zobaczenia. Wrócę. Jak tylko wojna się skończy.

– Och, mnie tu prawdopodobnie nie będzie – powiedział Fizban, potrząsając głową tak gwałtownie, że kapelusz mu się zsunął. – Jak tylko udoskonalimy tę nową broń, wyjeżdżam do... – przerwał. – Gdzie to ja miałem jechać? Nie mogę sobie za nic przypomnieć. Nie martw się. Jeszcze się spotkamy. Przynajmniej nie zostawiasz mnie pogrzebanego pod stertą kurzych piórek! – mruknął, szukając swego kapelusza.

Tas podniósł go i podał mu.

– Do widzenia – powiedział kender, czując jak coś go dusi w gardle.

– Do widzenia, do widzenia! – Fizban wesoło pomachał ręką. Potem – rzuciwszy gnomom spłoszone spojrzenie – przyciągnął Tasa do siebie. – Wiesz, znów czegoś zapomniałem. Jak to ja mam na imię?

Jeszcze jedna osoba żegnała się ze starym magiem, choć niezupełnie w takich samych

okolicznościach.

Elistan chodził w tę i z powrotem po brzegu Sancrist, oczekując na łódź, która go zabierze na Południowy Ergoth. Młody mężczyzna, Douglas, siedł obok niego. Pograżeni byli w rozmowie, podczas której Elistan wyjaśniał nauki dawnych bogów uważnemu i wnikliwemu słuchaczowi.

Nagle Elistan uniósł głowę i dostrzegł starego, sklerotycznego czarodzieja, którego widział na zebraniu rady. Elistan od wielu dni starał się spotkać ze starym magiem, lecz Fizban unikał go. Elistan ze zdumieniem spoglądał na starca, który zbliżał się do nich brzegiem morza. Szedł ze spuszczoną głową, mamrocząc coś do siebie. Przez chwilę Elistanowi wydawało się, że wyminie ich, nie zauważywszy ich, lecz nagle stary czarodziej uniósł głowę.

– Och, a to dopiero! Czy my się przypadkiem nie znamy zapytał, mrugając oczami.

Przez chwilę Elistan nie mógł powiedzieć ani słowa. Ogorzała twarz kapłana zbladła śmiertelnie pod opalenizną. Wreszcie zdołał odpowiedzieć zachrypniętym głosem na pytanie starego maga. – Rzeczywiście, panie. Przedtem nie uświadamiałem sobie tego. A chociaż dopiero niedawno nas sobie przedstawiono, odnoszę wrażenie, że znam cię od bardzo dawna.

– Naprawdę? – Starzec podejrzliwie zmarszczył czoło. – To chyba nie miał być jakiś przytyk do mojego wieku?

– Nie, ależ skądże! – Elistan uśmiechnął się. Twarz staruszka rozpuściła się.

– W takim razie, szczęśliwej podróży. I bezpiecznej. Żegnaj.

Wspierając się na zgiętej i poobijanej lasce, starzec pocłapał dalej. Nagle zatrzymał się i obejrzał. – Och, a tak przy okazji, na imię mam Fizban.

– Będę pamiętał – rzekł z całą powagą Elistan, kłaniając się. – Fizban.

Zadowolony stary czarodziej pokiwał głową i ruszył w dalszą drogę wzdłuż brzegu, gdy tymczasem Elistan, nagle cichy i zamyślony, westchnął i również poszedł dalej.

Rozdział VIII

Perechon. Wspomnienia odległych czasów

To szaleństwo, mam nadzieję, że zdajesz sobie z tego sprawę! – zasyczał Caramon.

– Nie byłoby nas tu, gdybyśmy byli zdrowi na umyśle, nieprawdaż? – odrzekł Tanis, zaciskając zęby.

– No tak – mruknął Caramon. – Chyba masz rację.

Dwaj mężczyźni stali w mroku ciemnego zaułka w mieście, w którym zazwyczaj można było znaleźć jedynie szczury, pijaków i trupy.

To nędzne miasto nosiło nazwę Flotsam i zasługiwało na nią, bowiem leżało na brzegu Krwawego Morza Istar niczym wrak statku wyrzucony na skały. Zamieszkałe przez wyrzutków społeczeństwa, należących do większości ras Krynnu, Flotsam było obecnie dodatkowo miastem okupowanym, pełnym smokowców, goblinów i najemników wszelkiej maści, których zwabiły do smoczycich władców wysokie płace i łupy wojenne.

I w taki oto sposób, „tak jak inne śmieci” wedle słów Raistlina, przyjaciele unosili się na falach wojny, by osiąść na brzegach Flotsam. Mieli nadzieję znaleźć tu statek, który zabierze ich w długą, niebezpieczną podróż wokół północnej części Ansalonu do Sancrist – lub gdziekolwiek indziej...

Cel ich podróży był ostatnio przedmiotem częstych sporów – od czasu wyzdrowienia Raistlina. Od chwili, gdy użył smoczyczej kuli, przyjaciele z niepokojem śledzili jego poczynania, a ich zatroskanie nie dotyczyło tylko jego stanu zdrowia. Co się stało, gdy użył kuli? Jakie nieszczęście mógł na nich sprowadzić?

– Nie musicie się niepokoić – powiedział im Raistlin swym szepczącym głosem. – Nie jestem tak słaby i głupi, jak ten król elfów. Zapanowałem nad kulą. Ona nie zapanowała nade mną.

– W takim razie, do czego jest zdolna? Jak możemy jej użyć? – spytał Tanis, zaniepokojony zneruchomieniem rysów metalicznej twarzy maga.

– Zawładnięcie kulą wymagało całej mojej siły – odrzekł Raistlin, wpatrując się w sufit nad swym łóżkiem. – Będę musiał poświęcić się długim studiom nim nauczę się jej używać.

– Studia... – powtórzył Tanis. – Studia nad kulą?

Raistlin posłał mu przelotne spojrzenie, po czym ponownie wbił wzrok w sufit. – Nie – odparł. – Studia nad księgami napisanymi przez starożytnych, którzy stworzyli kulę. Musimy udać się do Palanthas, do biblioteki niejakiego Astinusa, który tam mieszka.

Tanis milczał przez chwilę. Słyszał, jak magowi rzezi w płucach przy każdym ciężkim oddechu.

Co trzyma go tak zawzięcie przy życiu? – zastanawiał się w duchu Tanis.

Tego poranka padał śnieg, lecz teraz zmienił się w deszcz. Tanis słyszał jego bębnienie o drewniany dach wozu. Po niebie snuły się ciężkie chmury. Być może to wina pochmurnego dnia, lecz kiedy Tanis spojrzął na Raistlina, poczuł ogarniający go ziąb, od którego serce zdawało mu się zamarzać.

– Czy to miałeś na myśli, mówiąc o starożytnych zaklęciach? – spytał Tanis.

– Oczywiście. A cóż innego? – Raistlin przerwał kaszląc, a następnie zapytał – Kiedy mówiłem o... starożytnych zaklęciach?

– Kiedy tylko cię znaleźliśmy – odpowiedział Tanis, obserwując uważnie czarodzieja. Zauważył zmarszczkę na czole Raistlina i usłyszał napięcie w jego zdartym głosie.

– Co powiedziałem?

– Niewiele – odparł ostrożnie Tanis. – Tylko coś o starożytnych zaklęciach, które wkrótce będą należały do ciebie.

– To wszystko?

Tanis nie odpowiedział natychmiast. Raistlin wbił w niego zimne spojrzenie dziwnych, klepsydrowych oczu. Półelf zadrżał i skinął głową. Raistlin odwrócił się. Zamknął oczy. – Teraz będę spał – rzekł cicho. – Pamiętaj, Tanisie. Palanthas.

Tanis zmuszony był przyznać, że chciał płynąć na Sancrist z czysto egoistycznych powodów. Wbrew wszelkim przesłankom łudził się nadzieją, że zastanie tam Lauranę, Sturma i wszystkich pozostałych. Tam też obiecał zabrać smoczą kulę. Musiał jednak brać pod uwagę stałe naleganie Raistlina, by udali się do biblioteki Astinusa, by dowiedzieć się, jak posługiwać się smoczą kulą.

Kiedy dotarli do Flotsam, wciąż był w rozterce. Wreszcie postanowił, że najpierw zajmą się znalezieniem statku płynącego na północ, a potem zastanowią się, dokąd wymuszą.

Lecz kiedy dojechali do Flotsam, czekał ich niemiły wstrząs. W mieście było więcej smokowców niż widzieli w ciągu całej podróży z portu Balifor na północ. Na ulicach roiło się od ciężkozbrojnych patroli, które bardzo interesowały się przybyszami. Na szczęście drużyna sprzedała wóz przed wejściem do miasta, więc udało im się wmieszać w tłum na ulicach. Nie minęło jednak pięć minut od czasu, gdy przekroczyli bramy miasta, kiedy ujrzeli patrol smokowców, aresztujący człowieka w celu „przesłuchania”.

Zaniepokojeni sytuacją, wynajęli pokoje w pierwszej karczmie, na jaką natrafili – w obskurnym lokalu na obrzeżach miasta.

– W jaki sposób dostaniemy się choćby do przystani, a co dopiero zapłacimy za rejs?
– zapytał Caramon, kiedy rozgościli się już w swoich nędznych izbach. – Co tu się dzieje?

– Karczmarz twierdzi, że w mieście jest smoczy władca. Smokowcy szukają szpiegów, czy kogoś takiego – mruknął niespokojnie Tanis. Przyjaciele wymienili spojrzenia.

– Może szukają nas – rzekł Caramon.

– To śmieszne! – odparł Tanis szybko – za szybko. – Boimy się własnego cienia. Skąd mieliby wiedzieć, że tu jesteśmy? Albo wiedzieć, co wieziemy?

– Ciekawe... – rzekł ponuro Riverwind, oglądając się na Raistlina.

Czarodziej rzucił lodowate spojrzenie, nie zniżając się do odpowiedzi. – Przynieś gorącej wody do mojego napoju – polecił Caramonowi.

– Przychodzi mi na myśl tylko jeden sposób – rzekł Tanis, gdy Caramon przyniósł bratu wodę, tak jak mu polecono. – Caramon i ja wyjdziemy dziś wieczorem i napadniemy dwóch żołnierzy smoczej armii. Skradniemy im mundury. Nie smokowców... – rzekł pośpiesznie, widząc jak Caramon marszczy czoło ze wstrętem. – Ludzkich najemników. Wtedy będziemy mogli swobodnie poruszać się po Flotsam.

Po krótkiej dyskusji wszyscy zgodzili się, że był to jedyny plan mający szansę powodzenia. Towarzysze spożyli obiad bez zbytniego apetytu – jedli w swych pokojach, by nie ryzykować zejścia do głównej sali.

– Nic ci nie będzie? – zapytał Raistlina zatroskany Caramon, kiedy zostali sami w pokoju, który dzielili.

– Całkiem dobrze potrafię dać sobie radę sam – odparł Raistlin. Wstał i sięgnął po książkę zaklęć, by pouczyć się, gdy nagle zgiął go wpół atak kaszlu.

Caramon wyciągnął rękę, lecz Raistlin odsunął się gwałtownie.

– Idź precz! – wysapał czarodziej. – Zostaw mnie w spokoju!

Caramon zawahał się, a potem westchnął. – Jasne, Raist – rzekł i wyszedł z izby, delikatnie zamykając za sobą drzwi.

Raistlin stał przez chwilę, próbując złapać oddechu. Potem, odłożywszy książkę, powoli przeszedł przez pokój. Drżącą dłonią uniósł jedną z wielu toreb, jakie Caramon położył na stole obok jego łóżka. Otworzywszy ją, Raistlin ostrożnie wyjął smoczą kulę.

Tanis i Caramon wędrowali ulicami Flotsam – półelf naciągał kaptur głęboko na twarz i uszy – w poszukiwaniu dwóch strażników, których mundury pasowałyby na nich. Dla Tanisa nie stanowiło to dużego kłopotu, lecz znacznie trudniej było znaleźć strażnika, którego zbroja pasowałaby na Caramona.

Obaj wiedzieli, że muszą szybko kogoś znaleźć. Nieraz smokowcy przyglądali im się

podejrzliwym wzrokiem. Dwóch smokowców nawet zatrzymało ich, brutalnie domagając się wytłumaczenia, czego tu szukają. Caramon odrzekł w prymitywnej mowie najemników, że szukają zajęcia w wojskach smoczego władcy i smokowcy wypuścili ich. Obaj mężczyźni wiedzieli jednak, że prędzej, czy później któryś patrol ich złapie.

– Ciekaw jestem, co tu się dzieje – mruknął zatroskany Tanis.

– Może wojna wreszcie dopiekle smoczym władcom

– zaczął Caramon. – Spójrz, Tanisie. Wchodzą do tego baru...

– Widzę. Tak, ten jest mniej więcej twoich rozmiarów. Skryj się w tym zaułku.

Zaczekamy aż wyjdą, a wtedy...

– Półelf wykonał gest ukręcania karku. Caramon pokiwał głową. Przemknęli przez brudne ulice i zniknęli w zaułku, chowając się w miejscu, z którego mieli widok na frontowe drzwi baru.

Była prawie północ. Tej nocy księżyc nie wzejda. Deszcz przestał padać, lecz chmury wciąż przesłaniały niebo. Dwaj mężczyźni, schowani w zaułku wkrótce zaczęli się trząść pomimo tego, że mieli na sobie grube płaszcze. Szczury przebiegły im po stopach, powodując że wzdrygnęli się w ciemności. Pijany hobgoblin źle skręcił i zataczając się, wyminął ich, po czym padł naprzód głową w stertę odpadków. Hobgoblin nie wstał już, a Tanis i Caramon niemal pochorowali się od smrodu, nie odważyli się jednak opuścić swego posterunku.

Wtedy posłyszeli utęsknione odgłosy – pijacki śmiech i ludzi rozmawiających we wspólnej mowie. Dwaj strażnicy, na których czekali wytoczyli się z baru i chwiejnym krokiem szli w ich stronę.

Na chodniku stał wysoki żelazny kosz z rozżarzoną węglą, który oświetlał mrok nocy. Najemnicy wtoczyli się w krąg jego światła, umożliwiając Tanisowi przyjrzenie im się z bliska. Zobaczył, że obaj byli oficerami smoczego wojska. Świeżo awansowani, domyślił się, i pewno właśnie to poszli uczyć. Ich zbroje były lśniące nowe, stosunkowo czyste i bez wgnieceń. Z zadowoleniem zauważył, że były to dobre pancerze. Wykonano je z błękitnej stali na wzór zbroi ze smoczych łusek smoczego władcy.

– Gotowy? – szepnął Caramon. Tanis skinął głową. Caramon wyciągnął miecz. – Ty elfia wywłoko! – ryknął donośnym, dudniącym basem. – Znalazłem cię, a teraz pójdziesz ze mną do smoczego władcy, szpiegu!

– Nigdy nie weźmiesz mnie żywcem! – Tanis wyciągnął swój miecz.

Na dźwięk tych głosów dwaj oficerowie zatrzymali się niepewnie i mętym wzrokiem zajrzeli w głąb zaułka.

Z rosnącym zaciekawieniem oficerowie przyglądali się Caramonowi i Tanisowi, którzy po wymianie kilku ciosów ustawili się na odpowiednich pozycjach. Kiedy Caramon był odwrócony plecami do żołnierzy, a Tanis stał naprzeciwko nich, półelf wykonał nagły ruch. Rozbroił Caramona, wytrącając mu miecz z dłoni.

– Szybko! Pomóżcie mi złapać go! – ryknął Caramon. – Wyznaczono za niego nagrodę – za żywego lub umarłego!

Oficerowie nie wahali się ani przez chwilę. Szukając w otumanieniu broni, zbliżali się do Tanisa z wyrazem okrutnej przyjemności malującym się na ich twarzach.

– Tak właśnie! Bierzcie go! – popędzał ich Caramon, czekając aż go wyminą. Wtedy – w chwili, gdy wzniesli miecze – Caramon chwycił ich wielkimi dłońmi za szyje. Uderzył ich głowami o siebie i upuścił bezwładne ciała na ziemię.

– Pośpiesz się! – wysapał Tanis. Chwyciwszy jedno ciało za nogi, odciągnął je z dala od światła. Caramon podążył za nim z drugim. Szybko zaczęli zdejmować z nich zbroje.

– Fuj! Ten musiał być chyba półtrollem – rzekł Caramon, wymachując dłonią, by odpędzić smród.

– Przestań narzekać! – warknął Tanis, próbując domyśleć się, w jaki sposób działa skomplikowany układ sprzączek i pasków. – Przynajmniej ty jesteś przyzwyczajony do noszenia czegoś takiego. Pomożesz mi, dobrze?

– Jasne. – Szczercząc zęby w uśmiechu, Caramon pomógł Tanisowi przywdziać zbroję. – Elf w zbroi płytowej. Do czego zmierza ten świat?

– Do niczego dobrego – mruknął Tanis. – Kiedy mieliśmy spotkać się z kapitanem statku, o którym mówił William?

– Powiedział, że możemy go zastać na pokładzie tuż koło świtu.

Gdy dotarli na miejsce, przywitała ich kobieta o chłodnym i rzeczowym wyrazie twarzy.

– Nazywam się Maquesta Kar-Thon – powiedziała.

– Pozwólcie, że zgadnę – nie jesteście oficerami smoczej armii. Chyba, że ostatnio zaczęli przyjmować elfów. Tanis zaczerwienił się, powoli zdejmując hełm oficera.

– Czy to aż tak rzuca się w oczy?

Kobieta wzruszyła ramionami. – Prawdopodobnie mało komu. Broda jest świetna – oczywiście, powinnam była powiedzieć półelf. A hełm zasłania ci uszy. Jednak jeśli nie zdobędziesz maski, te piękne, migdałowe oczy zdradzą cię z daleka. Ale przecież mało który smokowiec będzie patrzył w twoje piękne oczy, prawda? – Odchylając się w krzesło, kobieta położyła na stole nogę w wysokim bucie i przyjrzała mu się chłodnym wzrokiem.

Tanis usłyszał chichot Caramona i poczuł, że pali go twarz.

Znajdowali się na pokładzie Perechona, w kabinie kapitańskiej, naprzeciwko samego kapitana. Maquesta Kar-Thon pochodziła z ciemnoskórej rasy ludzi mieszkających na Północnym Ergoth. Jej naród zajmował się żeglarstwem od wieków i powszechnie wierzono, że potrafi mówić językiem morskich ptaków i delfinów. Patrząc na Maquestę, Tanis pomyślał o Therosie Ironfeldzie. Kobieta miała lśniącą czarną skórę i mocno skręcone włosy, przytrzymywane na czole złotą opaską. Jej oczy były brązowe i równie błyszczące, co skóra. Za jej paskiem połyskiwał sztylet, a w oczach widniał ten sam stalowy błysk.

– Przyszliśmy tu rozmawiać o interesach, kapitanie Maque... – Tanis zająknął się na obcym imieniu.

– Jasne – powiedziała kobieta. – Mówcie mi Maq.

Tak będzie nam obojgu łatwiej. Dobrze, że macie list od Williama Świńskiego Ryja, bo inaczej nawet nie rozmawiałabym z wami. Ale skoro pisze, że jesteście porządni i dobrze zapłacicie, wysłucham was. Więc, dokąd chcecie płynąć? Tanis spojrzał na Caramona. To było właśnie pytanie. Poza tym, wcale nie był pewien, czy dobrze jest zdradzać którykolwiek z celów ich podróży. Palanthas jest stolicą Solamnii, podczas gdy Sancrist jest dobrze znaną siedzibą rycerzy solamnijskich,

– Och, na miłość... – warknęła Maquesta, widząc że się wahają. Oczy jej zabłyśły. Zdejmując stopę ze stołu, zmierzyła ich ponurym wzrokiem. – Albo mi ufacie, albo nie!

– A powinniśmy? – zapytał wprost Tanis. Maq uniosła brew. – Ile macie pieniędzy?

– Dość – rzekł Tanis. – Powiedzmy, że chcemy płynąć na północ, wokół przylądka Nordmaar. Jeśli w tym momencie podróży towarzystwo wciąż nam będzie odpowiadało, popłyniemy dalej. Jeśli nie, zapłacimy ci, a ty nas wysadzisz w bezpiecznym porcie.

– Kalamana – powiedziała Maq, wspierając się o oparcie krzesła. Sprawiała wrażenie rozbawionej. – To bezpieczny port. Na tyle bezpieczny, na ile to dzisiaj możliwe. Połowa pieniędzy z góry. Połowa w Kalamanie. Reszta podlega negocjacji.

– Bezpieczne dowiezienie nas do Kalamanu – poprawił Tanis.

– Któż to może zagwarantować? – Maq wzruszyła ramionami. – O tej porze roku morze jest wzburzone. – Wstała leniwie, przeciągając się jak kot. Caramon, zerwawszy się szybko, przyglądał się jej z podziwem.

– Zgoda – oświadczyła. – Chodźcie. Pokażę wam statek.

Maq wyprowadziła ich na pokład. Statek sprawiał wrażenie, iż znajduje się w doskonałym stanie, na ile potrafił to ocenić Tanis, który zupełnie nie znał się na statkach. Kiedy rozmawiali z kapitanem po raz pierwszy, potraktowała ich raczej chłodno, lecz kiedy

zaczęła ich oprowadzać po statku rozkręciła się. Tanis zobaczył ten sam wyraz twarzy i usłyszał ten sam serdeczny ton w głosie Maq, która opowiadała o swym statku, jakiego Tika używała mówiąc o Caramonie. Perechon był najwyraźniej jedyną miłością Maq. Statek był cichy i opustoszały. Maq wyjaśniła, że załoga jest na lądzie razem z pierwszym oficerem. Jedyną osobą, jaką Tanis dostrzegł na pokładzie, był siedzący na uboczu mężczyzna, który łątał żagiel. Mężczyzna podniósł oczy, kiedy go mijali i Tanis dostrzegł w nich lęk na widok smoczej zbroi.

– Nocesta, Berem – powiedziała Maq uspokajającym tonem, kiedy przechodzili obok niego. Wykonała dłonią gest cięcia, wskazując na Tanisa i Caramona. – Nocesta. Klienci. Pieniądze.

Mężczyzna pokiwał głową i wrócił do pracy.

– Kto to jest? – Tanis zapytał Maq cichym głosem, kiedy wracali do jej kabiny, by dokończyć interesy.

– Kto? Berem? – spytała, rozglądając się. – To sternik. Nie wiem zbyt wiele o nim. Przyszedł kilka miesięcy temu, szukając zajęcia. Wzięłam go do mycia pokładów. Potem mój sternik zginął w małym nieporozumieniu z – nieważne z kim. Ten gość okazał się świetnym sternikiem, prawdę mówiąc, lepszym niż pierwszy. Tylko jest jakiś dziwny. Niemowa. Nigdy się nie odzywa. Nigdy nie schodzi na ląd, jeśli nie musi. Napisał mi w księdze pokładowej swoje imię, bo nie wiedziałabym o nim i tego. A bo co? – zapytała, widząc, że Tanis uważnie przygląda się mężczyźnie.

Berem był wysoki i dobrze zbudowany. Na pierwszy rzut oka można by powiedzieć, że jest w średnim wieku według ludzkiej miary czasu. Miał siwe włosy i gładko ogoloną twarz, mocno opaloną i ogorzałą od miesięcy przebywania na pokładzie statku. Jednakże jego oczy były młode, bystre i jasne. Dłonie, w których trzymał igłę, były gładkie i mocne, niczym dłonie młodego mężczyzny. Być może elfia krew, pomyślał Tanis, lecz jeśli to prawda, nie było po tym śladu na jego twarzy.

– Gdzieś go już widziałem – mruknął Tanis. – A ty, Caramonie? Pamiętasz go?

– Och, daj spokój – powiedział ogromny wojownik. – Widzieliśmy setki ludzi w zeszłym miesiącu. Prawdopodobnie był wśród publiczności na jednym z naszych pokazów.

– Nie. – Tanis potrząsnął głową. – Kiedy ujrzałem go po raz pierwszy, pomyślałem o Pax Tharkas i Sturmie...

– Hej, ja mam mnóstwo pracy, półelfie – rzekła Maquesta. – Idziesz, czy będziesz się gapił na faceta, który łąta żagiel?

Zeszła na dół do luku. Caramon zszedł za nią niezgrabnie, pobrzękując zbroją i

mieczem. Tanis ociągając się podążył za nimi. Odwrócił się jednak, by ostatni raz rzucić spojrzenie na mężczyznę – i dostrzegł, że ów przygląda mu się dziwnym, przenikliwym wzrokiem.

– W porządku, wrócisz do gospody po pozostałych. Ja kupię prowiant na drogę. Wyplłyniemy kiedy statek będzie gotowy. Maquesta mówi, że za jakieś cztery dni.

– Chciałbym, żeby to było prędej – mruknął Caramon.

– Ja też – rzekł ponuro Tanis. – W okolicy kręci się zbyt dużo tych przeklętych smokowców. Musimy jednak poczekać na przyływ, czy coś takiego. Wróc do karczmy i pilnuj, żeby nikt nie wychodził. Powiedz bratu, żeby zgromadził sobie zapas ziół, które pije – będziemy długo na morzu. Ja wrócę za kilka godzin, kiedy kupię prowiant.

Tanis szedł zatłoczonymi ulicami Flotsam i dzięki smoczej zbroi nikt na niego nawet nie spojrział. Z radością wreszcie ją zdejmie. Było mu w niej gorąco i ciężko. Trudno mu było również zapamiętać, że ma odpowiadać na saluty smokowców i goblinów. Kiedy zauważył, jaki szacunek wzbudza jego uniform zaczęło mu świtać w głowie, że ludzie, którym zabrali mundury, musieli mieć wysoką rangę. Ta myśl nie była pocieszająca. W każdej chwili ktoś mógł rozpoznać jego zbroję.

Wiedział jednak, że bez niej nie dałby sobie rady. Tego dnia na ulicach miasta było więcej smokowców niż zazwyczaj. We Flotsam panowała atmosfera napięcia. Większość mieszkańców nie wychodziła z domów, a sklepy były zamknięte – z wyjątkiem karczmy. Prawdę mówiąc, mijając jeden zamknięty sklep za drugim, Tanis zaczął się niepokoić, gdzie zaopatrzy się na długą podróż przez ocean.

Tanis rozmyślał o tym problemie, wpatrując się w wystawę zamkniętego sklepu, gdy nagle czyjaś ręka złapała go za but i przewróciła na ziemię.

Od upadku półelfowi zabrakło tchu w piersi. Głową uderzył mocno o bruk i na chwilę zrobiło mu się słabo z bólu. Odruchowo kopnął tego, kto go trzymał za nogi, lecz ściskające go ręce były silne. Poczuł, że wciągają go do ciemnego zaułka.

Otrząsnąwszy się, skupił wzrok na napastniku. To był elf! Brudny i obdarty elf o twarzy wykrzywionej rozpaczą i nienawiścią stał nad nim z włócznią w ręku.

– Smoczy żołnierzu! – warknął elf w mowie wspólnej. – Twój podli pobratymcy zamordowali moją rodzinę – moją żonę i dzieci! Zabili ich w łóżkach, nie zważając na błaganie o litość. To za nich! – Elf wznosił włócznię.

– *Shak! It mo dracosali!* – krzyknął rozpaczliwie Tanis w języku elfów, usiłując ściągnąć hełm. Jednakże do oszalałego z rozpacz elfa nie docierały te słowa. Jego włócznia zbliżała się do piersi Tanisa. Nagle elf rozwarł szeroko oczy. Broń wypadła mu z

bezwładnych palców w chwili, gdy od tyłu przeszył go miecz. Konający elf upadł z wrzaskiem, zwalając się ciężko na chodnik.

Zdumiony Tanis podniósł wzrok, by dostrzec, kto go uratował. Nad ciałem elfa stał smoczy władca.

– Usłyszałem twój krzyk i zobaczyłem jednego z moich oficerów w opałach. Domyśliłem się, że potrzebujesz pomocy – rzekł smoczy władca, wyciągając do Tanisa rękę, by pomóc mu wstać.

Oszołomiony, osłabiony bólem i świadom tylko tego, że nie może się zdradzić, Tanis przyjął podaną dłoń smoczego władcy i podniósł się na nogi. Odwracając twarz, wdzięczny za mrok panujący w zaułku Tanis wymamrotał słowa podziękowania szorstkim tonem. Wtem zobaczył, że widoczne zza maski oczy smoczego władcy rozwarły się szeroko.

– Tanis?

Półelf poczuł przebiegający go dreszcz, ból równie szybki i ostry, co grot elfiej włóczni. Nie mógł wykrztusić ani słowa, mógł tylko stać i patrzeć, jak smoczy władca szybko zdejmuje niebiesko – złotą smoczą maskę.

– Tanisie! To naprawdę ty! – krzyknął smoczy władca, chwytając go za ramiona.

Tanis ujrzał błyszczące, brązowe oczy i czarujący uśmiech.

– Kitiara...

Rozdział IX

Tanis pojmany

A więc, Tanisie! Jesteś oficerem i to pod moim dowództwem. Powinnaś częściej brać udział w przeglądach swych wojsk! – zaśmiała się Kitiara, biorąc go pod rękę. – Ty drzysz. Paskudnie upadłeś. Chodź. Niedaleko stąd jest moja kwatera. Napijemy się, opatrzę ci ranę, a potem... porozmawiamy.

Czując zawroty głowy – lecz nie od rany – Tanis dał się wyprowadzić Kitiarze z zaułka na chodnik. Zbyt wiele wydarzyło się zbyt szybko. Przed chwilą kupował prowiant, a teraz siedł pod ramię ze smoczym władcą, który ocalił mu życie i który był jednocześnie kobietą, którą kochał od wielu lat. Nie mógł powstrzymać się, by nie wpatrywać się w nią, a Kitiara – wiedząc, że przygląda się jej – posyłała mu spojrzenia spod długich, czarnych jak sadza rzęs.

Tanis przyłapał się na myśleniu o tym, jak jej do twarzy w błyszczącej, niebieskiej zbroi ze smoczycz łusek. Zbroja smoczego władcy była dopasowana i podkreślała smukłość jej długich nóg.

Otaczali ich smokowcy, którzy łudzili się nadzieją, że ich władca choćby skinie do nich głową. Kitiara jednak ignorowała ich, wesoło gawędząc z Tanisem, jakby rozstali się wczoraj po południu, a nie pięć lat temu. Jej słowa nie docierały do niego, jego umysł wciąż usiłował znaleźć w tym jakiś sens, podczas gdy jego ciało ponownie reagowało na jej bliskość.

Jej włosy były trochę wilgotne z powodu hełmu, a kędziory lepiły się do twarzy i czoła. Od niechcienia przeczesła włosy dłonią w rękawicy i potrząsnęła nimi. To było jej stare przyzwyczajenie, drobny gest, który nasunął na myśl wspomnienia...

Tanis potrząsnął głową, rozpaczliwie starając się złożyć swój strzaskany świat i posłuchać jej słów. Życie jego przyjaciół zależało od tego, co teraz uczyni.

– Gorąco pod tym smoczym hełmem! – mówiła. – Niepotrzebne mi to szkaradzieństwo, by utrzymać posłuszeństwo wśród mych ludzi. Nie mam racji? – zapytała, puszczając do niego oko.

– T-tak – wyjąkał Tanis, czując że się czerwieni.

– Ten sam stary Tanis – zamruczała, przywierając całym ciałem do niego. – Wciąż czerwienisz się jak uczeń. Ale ty nigdy nie byłeś taki jak inni, nigdy... – dodała cicho. Przyciągając go do siebie blisko, objęła go. Zamknęła oczy, a jej wilgotne wargi musnęły jego usta. – Kit... – wykrztusił Tanis, wrywając się jej z objęć. – Nie tutaj! Nie na ulicy – dodał

niezręcznie.

Przez chwilę Kitiara przyglądała mu się gniewnie, a potem – wzruszywszy ramionami, opuściła rękę, by chwycić go znów za ramię. Razem szli przez ulice, a smokowcy chytrze i złośliwie łypali na nich oczami i stroili sobie żarty.

– Ten sam Tanis – powiedziała znów, tym razem z lekkim, zadyszany westchnieniem. – Nie wiem, czemu pozwalam ci na to. Każdy inny mężczyzna, który by mnie tak odtrącił, zginąłby od mego miecza. Jesteśmy na miejscu.

Weszła do najlepszej gospody w Flotsam, do „Słonej Bryzy”. Wybudowano ją na wysokim klifie, skąd rozciągał się widok na Krwawe Morze Istar, którego fale rozbijały się o skały na dole. Oberżysta pośpieszył im na spotkanie.

– Czy mój pokój jest posprzątany? – spytała chłodno Kitiara.

– Tak, pani – rzekł oberżysta, bez przerwy się kłaniając. Kiedy weszli na schody, oberżysta pobiegł przed nimi, aby się upewnić, że wszystko jest w porządku.

Kit rozejrzała się po pokoju. Uznawszy, że jest w zadowalającym stanie, od niechcienia cisnęła smoczy hełm na stół i zaczęła ściągać rękawice. Usiadła na krześle i uniosła jedną nogę gestem zmysłowym i świadomie swobodnym.

– Moje buty – powiedziała do Tanisa, uśmiechając się.

Przełknąwszy ślinę i odpowiadając bladym uśmiechem, Tanis chwycił ją za nogę. To była ich stara zabawa – on zdejmował jej buty. Zawsze prowadziła do – Tanis starał się nie myśleć o tym!

– Przynieś nam butelkę najlepszego wina – Kitiara poleciła wciąż wyczekującemu oberżysty – i dwa kieliszki. – Podniosła drugą nogę, nie spuszczając z Tanisa brązowych oczu. – A potem zostaw nas samych.

– A-ale, pani – rzekł oberżysta z wahaniem – nadeszła wiadomość od smoczego władcy Ariakusa...

– Jeśli twoja twarz pokaże się jeszcze raz w tym pokoju – po tym, jak nam przyniesiesz wino – obetnę ci uszy – powiedziała Kitiara miłym tonem. Mówiąc to, wyciągnęła jednak zza pasa błyszczący sztylet.

Oberżysta zbladł, pokiwał głową i wyszedł czym prędzej.

Kit roześmiała się. – Nareszcie! – powiedziała, radośnie poruszając palcami stóp w pończochach z błękitnego jedwabiu. – Teraz tobie zdejmę buty...

– Naprawdę muszę już iść – rzekł Tanis, oblewając się potem pod zbroją. – Czeka na mnie dowódca kompanii...

– Ależ to ja jestem dowódcą twojej kompanii! – powiedziała radośnie Kit. – A jutro ty

będziesz dowódcą twojej kompanii. Albo kimś jeszcze wyżej, jeśli zechcesz. Teraz siadź.

Tanis nie mógł zrobić nic innego, jak być posłusznym, wiedząc jednak, iż w głębi serca nie chciał niczego innego, jak tylko być posłusznym.

– Jak miło znów cię zobaczyć – powiedziała Kit, klękając przed nim i ściągając mu buty. – Przykro mi, że nie byłam na spotkaniu w Solące. Jak się mają wszyscy? Jak się czuje Sturm? Pewno walczy wraz z rycerzami solamnijskimi. Nie dziwię się, że rozstaliście się. To była przyjaźń, której nigdy nie mogłam zrozumieć...

Kitiara nadal mówiła, lecz Tanis przestał słuchać. Mógł tylko patrzeć na nią. Zapomniał, jaka jest przepiękna, jak zmysłowa, zachęcająca. Rozpaczliwie skupił się na grożącym mu niebezpieczeństwie. Jednakże mógł myśleć tylko o nocach rozkoszy, jakie spędził z Kitiara.

W tym momencie Kit spojrzała mu w oczy. Ujęta namiętnością, jaką w nich ujrzała, wypuściła but z rąk. Mimo woli Tanis wyciągnął do niej rękę i przygarnął ją do siebie. Kitiara zarzuciła mu rękę na szyję i przycisnęła wargi do jego warg.

Jej dotyk obudził w Tanisie wszystkie żądze i pragnienia, jakie dręczyły go przez ostatnie pięć lat. Jej zapach – ciepły i kobiecy – mieszał się z wonią skóry i stali. Jej pocałunek palił jak ogień. Męka była nie do zniesienia. Tanis znał tylko jeden sposób, by położyć temu kres.

Kiedy oberżysta zastukał do drzwi, nie otrzymał odpowiedzi. Kręcąc głową z podziwu – to był już trzeci mężczyzna w ciągu trzech dni – postawił wino na podłodze i odszedł.

– A teraz – Kitiara szepnęła sennie, leżąc w ramionach Tanisa – opowiedz mi o moich braciszkach. Czy są z tobą? Ostatni raz kiedy ich widziałam, uciekaliście z Tarsis z tą elfią kobietą.

– To byłaś ty! – powiedział Tanis, przypomniałszy sobie błękitne smoki.

– Oczywiście! – Kitiara przytuliła się mocniej do niego. – Podoba mi się twoja broda – rzekła, głaszcząc go po twarzy. – Ukrywa te słabe, elfie rysy. W jaki sposób znalazłeś się w wojsku?

Właśnie, jak? – pomyślał rozpaczliwie Tanis.

– Pojmano nas... w Silvanesti. Jeden z oficerów przekonał mnie, że jestem głupcem, walcząc z K-królową Ciemności.

– A moi mali bracia?

– Rozdzieliliśmy się – rzekł słabym głosem Tanis.

– Szkoda – powiedziała Kit z westchnieniem. – Chciałabym ich znowu zobaczyć. Caramon musi być teraz olbrzymem. A Raistlin – słyszałam, że jest całkiem zdolnym

magiem. Wciąż nosi czerwone szaty?

– Chyba tak – wymamrotał Tanis. – Nie widziałem go...

– To długo nie potrwa – oświadczyła z pewnością siebie Kit. – On jest taki jak ja. Raist zawsze pożył władzy...

– A ty? – przerwał szybko Tanis. – Co ty robisz tutaj, tak daleko od działań wojennych? Wojna toczy się na północy...

– Ależ jestem tu z tego samego powodu, co ty – odparła Kit, otwierając szeroko oczy. – Oczywiście szukam człowieka z zielonym klejnotem.

– To tam go widziałem przedtem! – rzekł Tanis, przypominając sobie wszystko. Mężczyzna na pokładzie Perechona. Mężczyzna w Pax Tharkas uciekający z biednym

Ebenem. Mężczyzna z zielonym klejnotem wrośniętym pośrodku torsu.

– Znalazłeś go! – zawołała z zapalem Kitiara, siadając na posłaniu. – Gdzie, Tanisie? Gdzie? – Jej brązowe oczy błyszczały.

– Nie jestem pewien – odparł Tanis łamiącym się głosem. – Nie jestem pewien, czy to on. D-dano nam niezbyt dokładny opis...

– Wygląda na jakieś pięćdziesiąt ludzkich lat – powiedziała podekscytowana Kitiara – lecz ma osobliwe, młode oczy, a jego dłonie są również młode. A w ciele na piersi ma wrośnięty zielony drogocenny kamień. Otrzymaliśmy meldunki, że widziano go we Flotsam. Dlatego właśnie Królowa Ciemności przysłała mnie tutaj. Tanisie, on jest kluczem! Znajdź go – a żadna siła na Krynnie nie zdoła nas powstrzymać!

– Dlaczego? – Tanis zmusił się do spokojnego zadania pytania. – Cóż on ma takiego ważnego dla – ee – naszego zwycięstwa w tej wojnie?

– Któż to wie? – Wzruszywszy szczupłymi ramionami Kitiara znów położyła się w objęciach Tanisa. – Drżysz. To cię rozgrzeje. – Pocałowała go w kark, przesuwając dłońmi po całym jego ciele. – Powiedziano nam tylko, że jeśli chcemy zakończyć tę wojnę jednym szybkim ciosem, nie możemy zrobić nic lepszego, jak odnaleźć tego człowieka.

Tanis przełknął ślinę, czując jak jego ciało rozpala się pod jej dotykiem.

– Pomyśl tylko – Kitiara szepnęła mu do ucha, a jej oddech był gorący i wilgotny – jeśli go znajdziemy – ty i ja – cały Krynn padnie nam do stóp! Nagroda Królowej Ciemności przekroczy nasze najśmielsze marzenia! Ty i ja, na zawsze razem, Tanisie. Chodźmy już teraz!

Jej słowa rozbrzmiewały echem w jego myślach. Oni dwoje, razem, na zawsze. Zakończą wojnę. Będą rządzić Krynnem. Nie, pomyślał, czując ucisk w gardle. To szaleństwo!

Obłąd! Mój lud, moi przyjaciele... Lecz, czyż nie dość już uczyniłem? Co jestem im winny, ludziom czy elfom? Nie! To oni wyrządzili mi krzywdę, szydzili ze mnie! Przez wszystkie te lata byłem wyrzutkiem. Dlaczego mam o nich myśleć? Ja! Czas pomyśleć o sobie! Oto kobieta, o której śniłem od dawna. Może być moja! Kitiara... tak piękna, tak godna pożądania...

– Nie! – rzekł szorstko Tanis, a potem powtórzył łagodniej – Nie. – Wyciągając rękę, przytulił ją znów do siebie. – Wystarczy pójść jutro. Jeśli to on, nigdzie nie ucieknie. Wiem...

Kitiara uśmiechnęła się i westchnawszy położyła się. Tanis nachylił się nad nią i pocałował ją namiętnie. Słyszał dochodzący z daleka huk uderzających o brzeg fal Krwawego Morza.

Rozdział X

Wieża Najwyższego Klerysta. Pasowanie na rycerza

Przed świtem burza nad Solamnią wyczerpała swe siły. Wstało słońce – blady, złoty dysk, który niczego nie ogrzewał. Rycerze na warcie na murach Wieży Najwyższego Klerysta z ulgą udali się na spoczynek, rozmawiając o cudach, których byli świadkami tej straszliwej nocy, bowiem takiej burzy nie widziano w Solamнии od czasów kataklizmu. Ci, którzy objęli po nich wartę, byli niemal jednako zmęczeni; nikt tej nocy nie spał.

Teraz spoglądali na równinę pokrytą śniegiem i lodem. Tu i ówdzie krajobraz usiany był migoczącymi językami płomieni w miejscach, gdzie upiornie płonęły drzewa trafione zygzakami błyskawic podczas śnieżycy. Lecz to nie ten niesamowity ogień przyciągał wzrok rycerzy wchodzących na mury. Spoglądali oni raczej ku płomieniom na horyzoncie – niezliczonym setkom ognisk, które wypełniały czyste, mroźne powietrze cuchnącym dymem.

Ogniska wojennych obozowisk. Ogniska smoczycich armii.

Jedno tylko dzieliło smoczego władcę od zwycięstwa w Solamнии. Tym „czymś” (jak często mówił o tym smoczy władca) była Wieża Najwyższego Klerysta.

Wybudowana dawno temu przez Vinasa Solamnusa, założyciela zakonu solamnijskiego, w jedynej przełęczy wiodącej przez ośnieżone i spowite chmurami góry Vingaard, wieża broniła Palanthis, stolicy Solamнии i portu znanego pod nazwą Bram Paladine. Jeśli wieża padnie, Palanthis będzie należało do smoczycich armii. Było to delikatne miasto – miasto bogactwa i piękna, miasto, które odwróciło się plecami do świata, by podziwiać swe odbicie we własnym lustrze.

Mając w rękach Palanthis i kontrolując port, smoczy władca mógł z łatwością głodem zmusić resztę Solamнии do posłuszeństwa, a następnie zetrzeć w proch dokuczliwych rycerzy.

Smoczego władcy, zwanego przez swych żołnierzy Czarną Panią, nie było tego dnia w obozie. Udała się na wschód w tajnej misji. Zostawiła jednakże wiernych i zdolnych dowódców, którzy uczyniliby wszystko, by zaskarbić sobie jej przychyłność.

Wiadomo było, iż ze wszystkich smoczycich władców, Czarna Pani znajduje największe uznanie w oczach Królowej Ciemności. Tak więc wojska smokowców, goblinów, hobgoblinów, ogrów i ludzi czatowały wokół swych ognisk, spoglądając na wieżę głodnym wzrokiem i pragnąc iść do ataku, by zasłużyć na pochwałę królowej.

Wieżę broniła liczna załoga rycerzy solamnijskich, którzy wymaszerowali z Palanthis zaledwie kilka tygodni temu. Legenda mówiła, że twierdza ta nigdy nie padła, dopóki bronili jej ludzie wiary, bowiem poświęcono ją najwyższemu klerystowi – którego urząd, ustępujący

tylko wielkiemu mistrzowi, rycerze szanowali najbardziej.

W czasach Wieku Snów kapłani Paladine mieszkali w Wieży Najwyższego Klerysta. Tu przybywali młodzi rycerze po nauki religijne. Wciąż jeszcze można było odnaleźć wiele śladów zostawionych przez kapłanów.

Nie tylko strach przed legendą zmuszał smocze armie do bezczynności. Nie trzeba było legendy, by ich dowódcy zorientowali się, iż zdobycie wieży będzie kosztowne.

– Czas działa na naszą korzyść – oświadczyła Czarna Pani przed wyjazdem. – Nasi szpiedzy donoszą, że rycerze otrzymali bardzo niewielką pomoc z Palanthas. Odcieśliśmy im transporty prowiantu z twierdzy Vingaard na wschodzie. Niech siedzą w wieży i przymierają głodem. Prędzej czy później, niecierpliwość i puste żołądki skłonią ich do popełnienia błędu. A kiedy tak się stanie, będziemy gotowi.

– Moglibyśmy ją zdobyć jednym oddziałem smoków – mruknął jeden z młodych dowódców. Nazywał się Bakariss, a jego dzielność w boju i urodziwa twarz przyczyniły się do pozyskania łask Czarnej Pani. Jednakże dosiadająca swego niebieskiego smoka, Skie, władczyni przyjrzała mu się uważnie.

– Nie sądzę – rzekła ozięble. – Słyszałeś doniesienia o odkryciu prastarej broni – smoczej lancy?

– Też coś! Bajki dla dzieci! – Młody dowódca roześmiał się, pomagając swej pani wspiąć się na grzbiet Skie. Błękitny smok przeszywał przystojnego dowódcę dzikim spojrzeniem ognistych oczu.

– Nigdy nie drwij z opowieści dla dzieci – powiedziała Czarna Pani – bowiem takie same bajki krążyły o smokach. – Wzruszyła ramionami. – Nie martw się, mój kotku. Jeśli moja misja pochwylenia człowieka z zielonym klejnotem zakończy się pomyślnie, nie będziemy musieli atakować wieży, bowiem jej klęska i bez tego będzie pewna. Jeśli nie, być może sprowadzę ci ten oddział smoków, o który prosisz.

Następnie wielki niebieski smok rozpostarł skrzydła i odleciał na wschód, kierując się ku żalosnej mieścinie nad Krwawym Morzem Istar, zwanej Flotsam.

Tak więc smocze armie czekały w cieple i wygodzie wokół swych ognisk, gdy tymczasem – zgodnie z przepowiedniami Czarnej Pani – rycerze w wieży przymierali głodem. Lecz dużo gorsze od głodu były zażarte spory w ich własnych szeregach.

Młodzi rycerze, którym dowodził Sturm Brightblade, w czasie ciężkich miesięcy, jakie upłynęły od momentu, gdy opuścili Sancrist, nauczyli się darzyć ogromnym szacunkiem swego dowódcę w niełasce. Choć Sturm był smutny i często zachowywał się z rezerwą, jego uczciwość oraz prawość zdobyły mu szacunek i podziw jego ludzi. Ceną uznania były jednak

cierpienia, których doznał od Dereka. Mniej szlachetny człowiek mógłby przymknąć oczy na polityczne manewry Dereka lub przynajmniej milczeć (jak czynił to lord Alfred), lecz Sturm stale występował przeciwko niemu – choć wiedział, że coraz bardziej naraża się potężnemu rycerzowi.

Derek kompletnie zraził mieszkańców Palanthas. Od początku nieufni, przepełnieni dawną nienawiścią i goryczą mieszkańcy tego pięknego, spokojnego miasta zaniepokoiли się i wpadli w gniew, kiedy Derek zaczął im grozić po tym, gdy nie pozwolili rycerzom obsadzić miasta. Tylko dzięki cierpliwym negocjacjom Sturm rycerze otrzymywali jakiegokolwiek zaopatrzenie.

Sytuacja nie poprawiła się, gdy rycerze dotarli do Wieży Najwyższego Klerysta. Kłótnie między nimi obniżyły morale piechurów, którzy już cierpieli z braku jedzenia. Wkrótce wieża zmieniła się w zbrojny obóz – większości rycerzy popierających Dereka teraz otwarcie sprzeciwiali się ci, którzy stali po stronie lorda Gunthara i którymi dowodził

Sturm. Walki w samej twierdzy nie wybuchły jeszcze tylko dzięki temu, że rycerze zachowywali ściśle posłuszeństwo wobec nakazów reguły. Jednakże przygnębiający widok smoczycy armii, obozujących w pobliżu, a także niedostatek pożywienia zaowocował atmosferą wybuchowych nastrojów i nadszarpniętymi nerwami.

Lord Alfred za późno uświadomił sobie niebezpieczeństwo. Gorzko teraz żałował swego nierozsądnego poparcia dla Dereka, bowiem jasno teraz widział, iż ten popada w obłąd.

Jego szaleństwo rosło z każdym dniem; żądza władzy pożerała Dereka od środka i odbierała mu rozum. Jednakże Alfred był bezradny. Rycerze byli tak skrepowani swą sztywną strukturą, że – zgodnie z regułą – trzeba byłoby miesięcy zgromadzeń rady rycerzy, by pozbawić Dereka stanowiska.

Wiść o uniewinnieniu Sturm uderzyła w ten suchy i kruchy las niczym piorun. Zgodnie z przewidywaniami lorda Gunthara, strzaskała kompletnie nadzieje Dereka. Gunthar nie przewidział jednak tego, iż przetnie ona również wątłą więź, jaka trzymała Dereka przy zdrowych zmysłach.

O świcie następnego dnia po burzy straż oderwała na chwilę wzrok od czujnego wypatrywania smoczycy armii, by spojrzeć w dół na dziedziniec Wieży Najwyższego Klerysta. Słońce przepełniało niebiosy chłodnym, bladym światłem, które odbijało się w zimno połyskujących zbrojach rycerzy solamnijskich, zgromadzonych na poważnej uroczystości pasowania na rycerza.

Wiszące nad ich głowami sztandary z herbem zakonu sprawiały wrażenie

zamarzniętych, martwych w nieruchomym, mroźnym powietrzu. Wtem czysty głos surm rozdarł ciszę, budząc do życia. Na dźwięk fanfar rycerze dumnie wzniesli głowy i wymaszerowali na dziedziniec.

Lord Alfred stał pośrodku kręgu rycerzy. Odziany był w połowę zbroję z czerwoną peleryną spływającą mu z ramion, a w ręku dzierżył antyczny miecz w starej, zniszczonej pochwie. Prastare symbole zakonu – zimorodek, róża i korona – splatały się na pochwie. Dostojnik powiódł szybkim, pełnym nadziei spojrzeniem po zgromadzonych, lecz potem spuścił oczy, potrząsając głową.

Ziściły się najgorsze obawy lorda Alfreda. Dotąd łudził się posępną nadzieją, że uroczystość może zjednoczyć rycerzy. Odniosła jednakże skutek wręcz przeciwny. W świętym kręgu widoczne były wielkie wyrwy, którym obecni rycerze przyglądali się niepewnie. Nie było Dereka i całej jego drużyny przybocznej.

Surmy zagrały jeszcze dwukrotnie, a potem wśród zebranych rycerzy zapadła cisza. Sturm Brightblade, ubrany w długie, białe szaty, wyszedł z kaplicy Wieży Najwyższego Klerysta, gdzie zgodnie z nakazem reguły, spędził noc na modlitwie i poważnych rozmyślaniach. Towarzyszyła mu niezwykła gwardia honorowa.

Obok Sturma szła elfia kobieta, której uroda rozjaśniała posępny dzień niczym wiosenny świt. Za nią szedł stary krasnolud, w którego siwej brodzie i włosach połyskiwało jasno słońce. Obok krasnoluda szedł kender w jaskrawoniebieskich nogawicach.

Krąg rycerzy rozstał się, by wpuścić Sturma i jego eskortę. Zatrzymali się przed lordem Alfredem. Laurana, która trzymała hełm Sturma, stanęła po jego prawej stronie. Flint niosący jego tarczę stanął po lewej, a popędzony przez krasnoluda kuksańcem Tasslehoff pośpieszył naprzód z rycerskimi ostrogami.

Sturm spuścił głowę. Długie włosy, już poznaczone pasmami siwizny, choć miał ledwie trzydzieści lat, spływały mu na ramiona. Stał przez chwilę, modląc się po cichu, po czym na znak lorda Alfreda padł z czią na kolana.

– Sturmie Brightblade – oświadczył z namaszczeniem lord Alfred, otwierając złożony papier – po wysłuchaniu oświadczenia złożonego przez Lauranthalase z królewskiego rodu Qualinesti, a następnie oświadczenia Flinta Fireforge, krasnoluda podgórskiego z miasta Solące, rada rycerzy uniewinnia cię od stawianych ci zarzutów. W uznaniu twych dzielnych i chwalebnych czynów opisanych przez owych świadków, zostajesz mianowany rycerzem solamijskim. – Na widok kłęczącego młodego rycerza lordowi Alfredowi złagodniał głos. Po szczupłej twarzy Sturma płynęły niepohamowane łzy. – Spędziłeś noc na modlitwie, Sturmie Brightblade – rzekł cicho Alfred. – Czy uważasz, że jesteś godny tego wielkiego zaszczytu?

– Nie, panie – odrzekł Sturm zgodnie z prastarym zwyczajem – lecz przyjmuję go z największą pokorą i przysięgam poświęcić swe życie temu, by stać się go godnym. – Rycerz wzniosł oczy ku niebu. – Z pomocą Paladine – powiedział cicho – tak uczynię.

Lord Alfred uczestniczył w wielu podobnych ceremoniach, lecz nie przypominał sobie, by kiedykolwiek widział podobnie żarliwe poświęcenie na twarzy mężczyzny.

– Szkoda, że nie ma tu Tanisa – burknął Flint do Laurany, która tylko krótko skinęła głową.

Stała wysoka i wyprostowana, odziana w zbroję, którą specjalnie wykonano dla niej w Palanthis na zamówienie lorda Gunthara. Jej miodowozłote włosy spływały spod srebrnego hełmu. Zawile złote wzory połyskiwały na napierśniku, czarna, skórzana spódnica – rozcięta z boku, by zapewnić swobodę ruchów – muskała czubki wysokich butów. Twarz miała bladą i zaciętą, bowiem sytuacja w Palanthis i w samej wieży była ponura i sprawiała wrażenie beznadziejnej.

Mogłaby powrócić na Sancrist. Prawdę mówiąc, nawet otrzymała taki rozkaz. Gunthar został potajemnie zawiadomiony przez lorda Alfreda o rozpaczliwej sytuacji, w jakiej znajdują się rycerze i rozkazał Lauranie bezzwłocznie skrócić pobyt.

Ona jednakże postanowiła zostać, przynajmniej tymczasem. Mieszkańcy Palanthis przyjęli ją uprzejmie – w końcu w jej żyłach płynęła królewska krew, a poza tym byli zadowoleni jej wdziękami. Wykazali także spore zainteresowanie smoczą lancą i poprosili o jedną w celu wystawienia jej w muzeum. Jednak kiedy Laurana wspomniała o smoczach armiach, wrzuszali tylko ramionami i uśmiechali się.

Wtedy Laurana dowiedziała się od posłańca, co naprawdę dzieje się w Wieży Najwyższego Klerysta. Rycerze byli oblężeni. Licząca tysiące żołnierzy smocza armia czekała pod murami. Laurana doszła do wniosku, iż rycerzom są niezbędne smocze lance, a nikt poza nią nie mógłby ich tam zawieźć i nauczyć posługiwania się nimi. Zignorowała więc rozkaz lorda Gunthara, nakazujący jej wrócić na Sancrist.

Podróż z Palanthis do wieży była koszmarem. Laurana rozpoczęła ją, towarzysząc dwóm wozom wypełnionym skąpym prowiantem i bezcennymi smoczymi lancami. Pierwszy wóz utknął w śniegu zaledwie kilka kilometrów za miastem. Jego zawartość rozdzielono pomiędzy nielicznych rycerzy, którzy jechali jako ochrona, Lauranę i jej drużynę oraz drugi wóz. On również ugrzązł. Co jakiś czas wygrzebywali go ze śnieżnych zasp, aż wreszcie utknął na dobre. Załadowawszy prowiant i lance na konie, rycerze, Laurana, Flint i Tas resztę drogi przebyli pieszo. Ich grupa przebyła tę drogę ostatnia. Po burzy zeszłej nocy Laurana wiedziała – jak wszyscy w wieży – że następne transporty nie nadejdą. Droga do Palanthis

była już nieprzejezdna.

Nawet przy najściślejszym racjonowaniu żywności, rycerzom i piechurkom wystarczy jedzenia najwyżej na kilka dni. Smocze armie zdawały się przygotowane na przeczekanie reszty zimy.

Zdjęto smocze lance z grzbietów znużonych koni i na rozkaz Dereka ustawiono je na dziedzińcu. Kilku rycerzy przyjrzało im się z ciekawością, a potem przestało się nimi interesować. Lance sprawiały wrażenie nieporęcznych i niezgrabnych.

Kiedy Laurana nieśmiało zaproponowała, że nauczy rycerzy władania lancami, Derek parsknął z pogardą. Lord Alfred wyrzwał przez okno, przyglądając się ogniskom płonącym na horyzoncie. Laurana odwróciła się do Sturma i ujrzała potwierdzenie swych obaw.

– Laurano – rzekł łagodnie, biorąc ją za chłodną dłoń – nie sądzę, by smoczy władca nawet pofatygował się przysłać smoki. Jeśli nie uda nam się otworzyć ponownie szlaków transportowych, twierdza padnie, bowiem tylko martwi zostaną, by jej bronić.

Tak więc smocze lance spoczywały na dziedzińcu nietknięte i zapomniane, a ich lśniące srebro przysypał śnieg.

Rozdział XI

Ciekawość kendera. Rycerze ruszają do ataku

W nocy po ceremonii pasowania na rycerza Sturm i Flint spacerowali po murach, snując wspomnienia.

– Studnia pełna czystego srebra – lśniąca jak drogocenny kamień – w samym sercu Smoczej Góry – opowiadał Flint z nutą lęklivego podziwu w głosie. – Właśnie z niej Theros zaczerpnął srebra, by wykuć smocze lance.

– Ponad wszystko chciałbym móc zobaczyć grobowiec Humy – rzekł cicho Sturm. Przypatrując się ogniskom na horyzoncie, zatrzymał się i położył dłoń na prastarym kamiennym murze. Blask pochodni z pobliskiego okna padł na jego wychudzoną twarz.

– Zobaczysz – powiedział krasnolud. – Kiedy będzie po wszystkim, wrócimy tam. Tas narysował mapę – wątpię zresztą, czy nada się do czegokolwiek.

Narzekając dalej na Tasa, Flint przyjrzał się z troską swemu staremu przyjacielowi. Rycerz miał poważną i smutną twarz – nic niezwykłego jak dla Sturma. Jednakże dawało się zauważyć w nim coś nowego, opanowanie, które nie wywodziło się z wewnętrznego spokoju, lecz z rozpacz.

– Pojedziemy tam razem – ciągnął, starając się zapomnieć o głodzie. – Ty, Tanis i ja. No i pewno kender, plus Caramon i Raistlin. Nigdy nie myślałem, że zatęsknię za tym chuderlawym czarodziejem, ale teraz mag przydałby się nam. Całe szczęście, że nie ma tu z nami Caramona. Wyobrażasz sobie te jego narzekania na brak paru posiłków?

Sturm uśmiechnął się z roztargnieniem, myślami będąc daleko stąd. Kiedy odezwał się, oczywiście było, że nie słyszał ani słowa z tego, co powiedział krasnolud.

– Flincie – zaczął cichym i przygaszonym głosem – potrzeba nam tylko kilku dni cieplejszej pogody, by otworzyć szlak. Kiedy nastąpi ten dzień, zabierz Lauranę i Tasa i wyjedź. Obiecay mi.

– Wszyscy powinniśmy wyjechać, jeśli chcesz znać moje zdanie! – rzucił ostro krasnolud. – Trzeba wycofać rycerzy do Palanthis. Mogę się założyć, że moglibyśmy obronić miasto nawet przed napaścią smoków. Tam budynki są z dobrego, solidnego kamienia. Nie takie, jak tu! – Krasnolud rzucił pogardliwe spojrzenie na wybudowaną przez ludzi wieżę. – Palanthis można obronić.

Sturm potrząsnął głową. – Jego mieszkańcy nie zezwolą na to. Troszczą się tylko o swe piękne miasto. Jak długo będą przekonani, że uda się je ocalić, nie będą walczyć. Nie, musimy tu się bronić.

– Nie macie szans – sprzeciwiał się Flint.

– Mamy – odparł Sturm – jeśli tylko uda nam się przetrzymać, dopóki nie zdołamy zabezpieczyć szlaków zaopatrzeniowych. Mamy dość ludzi. Dlatego smocze armie nie zaatakowały...

– Jest jeszcze inny sposób – zabrzmiał czyjś głos.

Sturm i Flint odwrócili się. Blask pochodni padał na twarz o zapadniętych policzkach, na widok której Sturm spochmurniał.

– Jaki to sposób, lordzie Dereku? – zapytał Sturm ze świadomą uprzejmością.

– Ty i Gunthar uważacie, że mnie pokonaliście – rzekł Derek, ignorując pytanie. Spoglądając na Sturma, mówił cichym, drżącym z nienawiści głosem – Lecz mylicie się! Dzięki jednemu bohaterskiemu czynowi będę miał wszystkich rycerzy w garści – Derek wyciągnął dłoń w kolczej rękawicy, jego zbroja zabłysnęła w świetle ognia – a ty i Gunthar będziecie skończeni! – Powoli zacisnął pięść.

– Miałem wrażenie, że naszymi nieprzyjaciółmi są stojące tam smocze armie – rzekł Sturm.

– Nie częstuj mnie tymi obłudnymi bzdurami! – warknął Derek. – Ciesz się, żeś został pasowany na rycerza, Brightblade. Zapłaciłeś za to wystarczająco. Co obiecałeś tej elfiej kobiecie w zamian za jej kłamstwa? Że się z nią ożenisz? Uczynisz z niej przyzwoitą kobietę?

– Nie wolno mi z tobą walczyć – zabrania tego reguła – lecz nie muszę słuchać, jak znieważasz niewiastę, która jest równie piękna, jak dzielna – powiedział Sturm, odwracając się na pięcie, by odejść.

– Jak śmiesz odwracać się ode mnie! – krzyknął Derek. Skoczywszy naprzód, chwycił Sturma za ramię. Sturm odwrócił się z gniewem, sięgając po miecz. Derek również wyciągnął broń i przez chwilę wydawało się, że reguła została zapomniana. Lecz Flint powstrzymał przyjaciela, kładąc dłoń na jego ramieniu. Sturm westchnął głęboko i odsunął dłoń od rękojeści miecza.

– Powiedz, co masz do powiedzenia, Dereku! – Głos Sturma drżał.

– Jesteś skończony, Brightblade. Jutro poprowadzę rycerzy do walki. Dość już chowania się po kątach w tym żalonym, kamiennym więzieniu. Przed nastaniem jutrzejszej nocy moje imię przejdzie do legendy!

Zaniepokojony Flint spojrzał na Sturma. Z twarzy rycerza spłynęła cała krew. – Dereku – rzekł cicho Sturm – ty oszalałeś! Tam są ich tysiące! Rozbiją was w proch!

– Tak, chciałbyś to zobaczyć, prawda? – szydził Derek. – Bądź gotowy o świcie, Brightblade.

Tej nocy Tasslehoff – zmarznięty, głodny i znudzony – doszedł do wniosku, że najlepszym sposobem, żeby zapomnieć o pustym żołądku jest zbadanie okolicy. Jest tu mnóstwo miejsc, w których można coś schować, pomyślał Tas. To jedna z najdziwniejszych budowli, jakie kiedykolwiek widział.

Wieża Najwyższego Klerysta stała mocno wsparta o zachodnią ścianę przełęczy Westgate, jedyne wąwozu w łańcuchu gór Habbakuka dzielącym wschodnią Solamnię od Palanthis. Smoczy władcy wiedzieli, że każdy, kto próbowałby dotrzeć do Palanthis inną drogą, musiałby podróżować setki kilometrów wokół gór lub przez pustynię, bądź żeglować morzem. A okręty wpływające do Bram Paladine stanowiły łatwy cel dla miotających ogniste pociski katapult gnomów.

Wieżę Najwyższego Klerysta wybudowano w Wieku Potęgi. Flint dobrze się znał na architekturze tamtego okresu – jako że krasnoludowie odegrali pewną rolę w jej rozwoju. Nie byli oni jednak ani projektantami, ani budowniczymi wieży. Flint był ciekaw, kto tego dokonał – przekonany, że osoba, która to uczyniła musiała być albo pijana, albo szalona.

Zewnętrzny kamienny wał tworzył ośmiokątną podstawę wieży. Każdy kąt oktagonu zwieńczony był wieżyczką. Mury obronne biegły wzdłuż tej podstawy pomiędzy wieżyczkami. Wewnętrzny ośmiokątny mur tworzył podstawę ciągu wież i przypór, które pięły się z wdziękiem ku samej środkowej wieży.

Był to dość typowy wzór, lecz krasnoluda zdumiewał, brak wewnętrznych punktów obronnych. W zewnętrznym murze znajdowały się trzy wielkie stalowe wrota zamiast jednych – co sugerowałaby logika – jako że do obrony trzech bram trzeba było nieprawdopodobnej liczby ludzi. Każde wrota wiodły na wąski dziedziniec, na końcu którego znajdowała się opuszczana brama prowadząca wprost do wielkiego korytarza. Wszystkie trzy korytarze spotykały się w sercu wieży.

– Równie dobrze można by zaprosić nieprzyjaciela do środka na podwieczorek! – gderał krasnolud. – Jeszcze nie widziałem tak głupiego projektu twierdzy.

Nikt nie przestępował progu wieży. Dla rycerzy była ona świętością. Wejść do niej wolno było tylko najwyższemu klerystowi, a ponieważ nie było najwyższego klerysty, rycerze będą bronić jej murów za cenę swego życia, lecz noga żadnego z nich nie postanie w jej świętych salach.

Początkowo wieża tylko strzegła przełęczy, nie blokowała jej. Mieszkańcy Palanthis jednakże w późniejszych wiekach dobudowali część warowni, która odcięła drogę przez wąwóz. Właśnie w tej dodatkowej części obecnie mieszkali rycerze i piesze wojska. Nikomu nawet na myśl nie przyszło, by wejść do samej wieży.

Nikommu oprócz Tasslehoffa.

Popychany nienasyconą ciekawością i dokuczliwym głodem kender wędrował po szczycie zewnętrznych murów. Rycerze stojący na warcie przyglądali się mu podejrzliwie, w jednej ręce ściskając miecze, a w drugiej swe sakiewki. Odetchnęli jednak natychmiast, gdy ich wyminął, tak więc Tas mógł swobodnie zakraść się po schodach na główny dziedziniec.

W dole krążyły tylko cienie. Nie paliły się pochodnie, nie wystawiono straży. Do stalowej, spuszczonej kraty w bramie prowadziły szerokie schody. Tas wdrapał się po stopniach do olbrzymiego portalu i zajrzał przez kraty. Nic. Westchnął. Ciemność w środku była tak nieprzenikniona, że równie dobrze mógłby zaglądać do samej otchłani.

Sfrustrowany pchnął kratę do góry – bardziej z przyzwyczajenia niż nadziei, bowiem tylko Caramon lub dziesięciu rycerzy miałoby dość siły, by ją podnieść.

Ku zdumieniu kendera krata zaczęła się wznosić, zgrzytając przy tym niemiłosiernie! Uwiesiwszy się na niej, Tasowi udało się powoli ją zatrzymać. Kender spojrział z lękiem w stronę murów obronnych, spodziewając się ujrzeć całą załogę zbiegającą z dudnieniem po schodach, by go złapać. Najwyraźniej jednak rycerze słuchali tylko burczenia swych pustych żołądków.

Tas ponownie odwrócił się ku bramie. Tuż między ostrymi kolcami kraty a kamienną posadzką był niewielki prześwit – ledwie wystarczający, by zmieścić się kender. Tas nie marnował czasu na zastanawianie się nad konsekwencjami. Położył się na posadzce i przecisnął pod kolcami.

Kender znalazł się w wielkim, obszernym korytarzu – szerokim niemal na piętnaście metrów. Jego wzrok nie sięgał daleko. Jednakże zauważył na ścianach stare pochodnie. Po kilku podskokach Tas dosięgnął! jednej z nich i zapalił ją, używając należącego do Flinta pudełeczka z krzesiwem i hubką, które znalazł w swej sakwie.

Teraz Tas zobaczył wyraźnie gigantyczne pomieszczenie. Korytarz biegł prosto do serca wieży. Po obu jego stronach wznosiły się osobliwe kolumny, przypominające sterczące kły. Zajrzawszy za jedną z nich, nie dostrzegł niczego poza pustą wnęką.

Sam korytarz był pusty. Rozczarowany Tas wędrował dalej, łudząc się nadzieją, że wreszcie znajdzie coś ciekawego. Dotarł do drugiej kraty w bramie, która tym razem, ku jego zmartwieniu, była już podniesiona. – Wszystko, co przychodzi łatwo, przynosi więcej kłopotów niż pożytku – głosiło stare powiedzenie kenderów. Tas przeszedł pod tą kratą i znalazł się w drugim korytarzu, węższym od pierwszego – szerokim tylko na jakieś trzy metry – lecz z takimi samymi osobliwymi, zębatymi kolumnami po obu stronach.

Kto wybudował wieżę, do której tak łatwo się dostać? – zastanawiał się Tas.

Zewnętrzne mury były potężne, lecz po przedostaniu się przez nie, twierdzę mogłoby zdobyć pięciu pijanych krasnoludów. Tas podniósł głowę i spojrzął do góry. I dlaczego to takie wielkie? Główny korytarz miał dziesięć metrów wysokości!

Może rycerze w tamtych czasach byli olbrzymami, pomyślał z zainteresowaniem kender, skradając się korytarzem, zaglądając w otwarte drzwi i wsadzając nos do każdego kąta.

Na końcu drugiego korytarza znalazł trzecią podnoszoną bramę. Ta różniła się od dwóch poprzednich i była równie dziwna, co reszta wieży. Krata składała się z dwóch zsuwanych części, które łączyły się pośrodku. Najdziwniejsze było to, że w samym środku wrót wycięto ogromną dziurę!

Wczołgawszy się przez nią, Tas znalazł się w jeszcze mniejszym pomieszczeniu. Naprzeciwko ujrzał dwie pary wielkich stalowych drzwi. Pchnąwszy je od niechcienia, ze zdumieniem odkrył, że były zamknięte. Żadna z bram nie była zamknięta. Nie było czego chronić.

Przynajmniej znalazł jakieś zajęcie, dzięki czemu zapomni o pustym brzuchu. Wdrapawszy się na kamienną ławę, Tas wetknął pochodnię w pierścień na ścianie, a potem zaczął grzebać w swoich sakwach. Wreszcie znalazł zestaw wytrychów, które są prawdziwym dziedzictwem kendera. „Po co uwłaczać przeznaczeniu drzwi zamykaniem ich?” – głosi ulubione powiedzonko kenderów.

Tas szybko dobrał odpowiednie narzędzie i zabrał się do roboty. Zamek okazał się nieskomplikowany. Rozległ się cichy trzask i Tas mógł z zadowoleniem schować do kieszeni swoje wytrychy, gdy drzwi otworzyły się do wewnątrz. Kender stał przez moment, nasłuchując uważnie. Nic nie słyszał, a zajrzawszy do wnętrza, nic nie zobaczył. Wspiął się znów na ławę, zabrał pochodnię i ostrożnie zakradł się za stalowe drzwi.

Trzymając wysoko zapaloną pochodnię, zobaczył że znajduje się w wielkiej, okrągłej komnacie. Tas westchnął. Ogromne pomieszczenie było puste, z wyjątkiem zakurzonego przedmiotu, który przypominał prastarą fontannę stojącą dokładnie pośrodku komnaty. Był to również koniec korytarza, bowiem choć w pomieszczeniu znajdowały się jeszcze dwie pary podwójnych drzwi, kender bez trudu domyślił się, że prowadzą one tylko do pozostałych dwóch olbrzymich korytarzy. To było serce wieży. To było święte miejsce. I o to było tyle szumu.

Nic.

Tas pokręcił się trochę wokół, świecąc pochodnią tu i tam. Wreszcie rozczłuszczony i rozczarowany kender przed wyjściem podszedł obejrzeć fontannę stojącą na środku po-

mieszczenia.

Kiedy Tas zbliżył się, dostrzegł, że nie była to wcale fontanna, choć warstwa kurzu była tak gruba, że nie potrafił się domyśleć, co to jest. Było to mniej więcej wzrostu kendera, wysokie na jakieś metr dwadzieścia. Okrągłe zwieńczenie spoczywało na wysmukłym trójnogu.

Tas obejrzał przedmiot z bliska, a następnie zaczerpnął głęboko tchu i dmuchnął z całych sił. Kurz wleciał mu do nosa, sprawiając, że kichnął gwałtownie, niemal upuszczając pochodnię. Przez chwilę nic nie widział. Potem kurz opadł i wtedy ujrzał obiekt. Serce stanęło mu w gardle.

– Och nie! – jęknął Tas. Sięgnawszy do następnej sakwy, wydobyl chusteczkę do nosa i wytarł przedmiot. Kurz zszedł łatwo i teraz kender już wiedział, co to było. – Kurcze! – powiedział z desperacją. – Miałem rację. I co ja mam teraz robić?

Następnego poranka słońce wstało, krwawo przebłyskując przez dym wiszący nad obozowiskami smoczyc armii. Na dziedzińcu Wieży Najwyższego Klerysta mrok nocy jeszcze nie ustąpił, gdy już rozpoczął się gwar. Stu rycerzy dosiadało koni, podciągało popręgi, wołało o tarcze, bądź nakładało zbroje, gdy tymczasem tysiąc pieszych żołnierzy kręciło się wokół, szukając swego miejsca w szeregach.

Sturm, Laurana i lord Alfred stali w ciemnej bramie, przyglądając się w milczeniu, jak roześmiany i żartujący ze swymi ludźmi Derek wyjeżdża na dziedziniec. Rycerz prezentował się świetnie w zbroi z różą na napierśniku, która lśniła w pierwszych promieniach wschodzącego słońca. Jego ludzie byli w dobrych humorach; myśl o bitwie sprawiała, że zapomnieli o głodzie.

– Panie, musisz temu zapobiec – rzekł cicho Sturm.

– Nie mogę! – powiedział Alfred, naciągając rękawice. W blasku poranka jego twarz miała wynędzniały wygląd. Nie spał od chwili, gdy Sturm zbudził go w ostatnich godzinach nocy. – Reguła daje mu prawo podjęcia takiej decyzji.

Alfred na próżno spierał się z Derekiem, próbując przekonać go, by zaczekał choćby jeszcze kilka dni. Wiatr już zaczynał się zmieniać, niosąc cieplejsze podmuchy z północy.

Lecz Derek był nieustępliwy. Chciał koniecznie wyjechać na pole walki i rzucić wyzwanie smoczyc armiom. Na argument, iż siły wroga przeważają, wybuchnął szyderczym śmiechem. Od kiedy to gobliny walczą jak rycerze solamnijscy? Wrogie wojska przewyższyły pięćdziesięciokrotnie siły rycerzy podczas wojen z ogrami i goblinami pod twierdzą Vingaard sto lat temu, a jednak rycerze przegrali ich bez trudu!

– Tu jednak zmierzycie się ze smokowcami – ostrzegł Sturm. – Oni nie przypominają

goblinów. Są inteligentni i zręczni. W ich szeregach są czarodzieje, a ich broń zalicza się do najlepszych na Krynnie. Nawet po śmierci mają moc zabijania...

– Sądzę, że uporamy się z nimi, Brightblade – przerwał oschle Derek. – A teraz sugeruję ci, byś poszedł zbudzić swych ludzi i nakazał im się szykować.

– Ja nie jadę – oświadczył zdecydowanie Sturm. – Nie rozkażę też jechać moim ludziom.

Derek zbladł z wściekłości. Przez moment nie mógł mówić, w taki wpadł gniew. Nawet lord Alfred sprawiał wrażenie wstrząśniętego.

– Sturmie – zaczął powoli Alfred – czy zdajesz sobie sprawę z tego, co czynisz?

– Tak, panie – odparł Sturm. – Tylko my stoimy pomiędzy smoczymi armiami i Palanthas. Nie powinniśmy zostawiać wieży bez załogi. Zatrzymuję swój oddział tutaj.

– Odmawiasz wykonania bezpośredniego rozkazu – rzekł Derek, ciężko dysząc. – Jesteś świadkiem, lordzie Alfredzie. Tym razem zapłaci mi za to głową! – Wymaszerował wściekły. Pochmurny Alfred poszedł w jego ślady, zostawiając Sturma samego.

W końcu Sturm dał swym ludziom wybór. Mogli zostać z nim, nie ryzykując niczego – jako że po prostu byli posłuszni rozkazom swego dowódcy – albo mogli towarzyszyć Derekowi. Wspomniał, że taki sam wybór dawno temu przedstawił swym wojskom Vinas Solamnus, gdy rycerze zbuntowali się przeciwko niegodziwemu cesarzowi Ergoth. Rycerzom nie trzeba było przypominać tej legendy. Zobaczyli w tym znak i tak, jak za czasów Solamnusa, większość z nich postanowiła zostać ze swym dowódcą, którego z czasem zaczęli szanować i podziwiać.

Teraz z ponurymi, zaciętymi twarzami przyglądali się wyjazdowi swych przyjaciół. Był to pierwszy otwarty rozłam w szeregach rycerzy w długiej historii zakonu i nie był to miły moment.

– Zastanów się dobrze, Sturmie – rzekł lord Alfred, gdy rycerz pomógł mu dosiąść konia. – Derek ma rację. Smocze armie nie są tak wyszkolone jak rycerze. Najprawdopodobniej rozpierzną się, jak tylko zadamy pierwszy cios.

– Będę się modlił, by okazało się to prawdą, panie – rzekł zdecydowanie Sturm.

Alfred przyjrzał się mu ze smutkiem. – Jeśli to się okaże prawdą, Brightblade, Derek postawi cię przed sądem i dopilnuje, byś został skazany na śmierć. Tym razem Gunthar nie będzie mógł nic zrobić, by go powstrzymać.

– Bez żalu poniósłbym taką śmierć, gdyby tylko zapobiegło to temu, co jak się obawiam, stanie się – odparł Sturm.

– Do diabła, człowieku! – wybuchnął Alfred. – Jeśli poniesiemy klęskę, cóż zyskasz

zostając tu? Nie powstrzymałbyś nawet wojska krasnoludów źlebowych z tą swoją mizerną załogą! Przypuśćmy, że drogi rzeczywiście staną się przejezdne? Nie utrzymasz się w wieży do czasu przysłania wam posiłków z Palanthis.

– Przynajmniej damy Palanthis czas na ewakuację mieszkańców, jeśli...

Koń Dereka Crowngarda przecisnął się wśród wierzchowców. Mierząc Sturm gniewnym spojrzeniem oczu błyszczących zza wizury swego hełmu, lord Derek podniósł rękę, by uciszyć zebranych.

– Powołując się na regułę, Sturmie Brightblade – zaczął oficjalnie Derek – oskarżam cię o spisek i...

– Niech otchłań pochłonie twoją regułę! – warknął Sturm, którego cierpliwość wyczerpała się. – Do czego nas doprowadziła ta reguła? Jesteśmy skłóceni, zazdrośni, obłąkani! Nawet nasi ludzie wolą mieć do czynienia z wojskami nieprzyjaciela! Reguła zawiodła!

Wśród rycerzy, zebranych na dziedzińcu, zapadła grobowa cisza, którą zakłócał tylko koń niespokojnie grzebiący kopytem i brzęk zbroi wojowników tu i ówdzie poruszających się w siodłach.

– Módl się, bym zginął, Sturmie Brightblade – rzekł cicho Derek – bo na bogów, sam poderżnę ci gardło na twej egzekucji! – Bez dalszych słów, zawrócił konia i kłusem wyjechał na początek kolumny.

– Otworzyć bramy! – zawołał.

Poranne słońce wyłoniło się zza dymu, wznosząc się na błękitne niebo. Wiał wiatr z północy, łopocząc sztandarem śmiało powiewającym ze szczytu wieży. Błyszczały broje.

Rozległ się stuk mieczy o tarcze i zagrały trąbki, gdy ludzie podbiegli otworzyć grube, drewniane wrota.

Derek wznosił miecz wysoko. Wykrzykując głośno rycerski salut dla wroga, ruszył galopem. Rycerze za nim podjęli jego dźwięczne wyzwanie i wyjechali na pole bitwy, gdzie – dawno temu – Huma mknął ku chwale i zwycięstwu. Dudnienie stóp piechurów rozbrzmiewało jak werbel na kamiennym dziedzińcu. Przez chwilę zdawało się, że lord Alfred zamierza coś powiedzieć Sturmowi i młodym rycerzom, którzy im się przyglądali. Potrzęsnał jednak tylko głową i odjechał.

Wrota zamknęły się za nim. Spuszczono ciężką żelazną sztabę. Ludzie z oddziału Sturm wbiegli na mury, by jeszcze popatrzeć.

Sturm stał w milczeniu na środku dziedzińca, a jego szczupła twarz pozbawiona była jakiegokolwiek wyrazu.

Młody i urodziwy oficer smoczyc armii, pełniący funkcję dowódcy pod nieobecność Czarnej Pani, właśnie budził się, mając w perspektywie tylko śniadanie i następny nudny dzień, gdy do obozowiska wjechał galopem zwiadowca.

Komendant Bakariz spojrział na zwiadowcę z odrazą. Mężczyzna jechał przez obóz jak oszalały, a jego koń rozrzucał garnki i goblinów. Smokowcy zerwali się, wygrażając mu pięściami i klnąc. Zwiadowca jednak nie zważał na nich.

– Panie! – zawołał, ześlizgując się z grzbietu konia przed namiotem. – Muszę się widzieć z naczelnym dowódcą.

– Naczelnego dowódcy nie ma – powiedział adiutant komendanta.

– Ja tu dowodzę – warknął Bakariz. – Czego chcesz?

Zwiadowca rozejrzał się wokół, nie chcąc popełnić błędu. Jednakże nigdzie nie było śladu strasznej Czarnej Pani, ani jej wielkiego niebieskiego smoka.

– Rycerze ruszyli do natarcia!

– Co takiego? – Komendant otworzył usta ze zdumienia. – Jesteś pewien?

– Tak! – Zwiadowca niemal bełkotał bez składu. – Widziałem ich! Setki konnych! Oszczepy, miecze. Tysiąc pieszych.

– Miała rację! – Bakariz zaklął cicho pod nosem, nie mogąc ukryć podziwu. – Ci głupcy popełnili wreszcie błąd!

Wołając swą służbę, pośpieszył z powrotem do namiotu. – Kaźcie grać na alarm – rozkazał, wydając szybko polecenia. – Dowódcy mają się zjawić u mnie za pięć minut po ostatnie rozkazy. – Ręce mu drżały z podniecenia, kiedy przywdziewał zbroję. – I pošlij wyverna do Flotsam z wiadomością dla smoczego władcy.

Goblinia służba rozbiegła się we wszystkich kierunkach, a wkrótce w całym obozowisku zagrały rogi. Komendant rzucił ostatnie, szybkie spojrzenie na mapę leżącą na jego stole, a potem udał się na spotkanie ze swymi oficerami.

– Jaka szkoda, że bitwa prawdopodobnie skończy się, zanim wiadomość dotrze do niej – rzekł chłodno, wychodząc. – Szkoda. Na pewno chciałyby być obecna przy upadku Wieży Najwyższego Klerysta. Cóż – zamyślił się – być może już jutro będziemy razem spać w Palanthas – ona i ja.

Rozdział XII

Śmierć na równinach. Odkrycie Tasslehoffa

Słońce wzeszło wysoko.

Rycerze stali na murach wieży, przypatrując się równinom aż do bólu oczu. Widzieli jedynie wielką falę czarnych, pełzających postaci, które wyroiły się na pole, gotowe pochłonąć zdecydowanie zbliżającą się do nich smukłą włócznię z lśniącego srebra.

Wojska spotkały się. Rycerze wyczerali wzrok, lecz zasłona siwej mgły spowiła ziemię. Powietrze przepęłnił odrażający zapach, przypominający woń rozgrzanego żelaza. Mgła zgęstniała, niemal zupełnie przesłaniając słońce.

Teraz już nic nie widzieli. Wieża zdawała się pływać w morzu mgły. Ciężkie opary głuszyły dźwięki, które z początku słyszeli – brzęk oręża i krzyki konających. Lecz teraz nawet to przycichło i wszędzie zapadła cisza.

Upływał dzień. Krążąca niespokojnie po swej pociemniałej komnacie Laurana zapaliła świece, które pryskały i migotały w zatechłym powietrzu. Razem z nią siedział kender. Wyglądając z okna swej wieży, widziała na dole Sturma i Flinta, którzy stali na murach w widmowym blasku pochodni.

Służący przyniósł jej skibkę robaczywego chleba i kawałek suszonego mięsa, które stanowiły jej rację na ten dzień. Uświadomiła sobie, że musi być zaledwie wczesne popołudnie. Jej uwagę przyciągnęło poruszenie na murach. Zobaczyła podchodzącego do Sturma mężczyznę w zabłoconym skórzanym odzieniu. Posłaniec, pomyślała. Pośpiesznie zaczęła nakładać zbroję.

– Idziesz? – spytała Tasa, myśląc nagle o tym, że kender był niesamowicie cichy. – Przybył posłaniec z Palanthas!

– Chyba tak – odparł Tas bez przekonania.

Laurana zmarszczyła brwi, mając nadzieję, że nie opadł z sił z braku jedzenia. Lecz Tas zauważywszy jej zatroskanie, tylko pokręcił głową.

– Nic mi nie jest – wymamrotał. – To przez to głupie, szare powietrze.

Laurana zapomniała o nim, śpiesząc na dół po schodach.

– Jakies nowiny? – zapytała Sturma, który spoglądał z murów, bezskutecznie usiłując dojrzeć pole walki. – Widziałam posłańca...

– Ach, tak. – Uśmiechnął się smutno. – Można powiedzieć, że to dobre wieści,. Droga do Palanthas jest otwarta. Śnieg dość stopniał, by można było się przedostać. Poleciłem jeźdźcowi czekać w pogotowiu, by zaniósł wieść do Palanthas w przypadku naszej kle... –

Przerwał nagle, a potem westchnął głęboko. – Chcę, byś była gotowa wrócić do Palanthas wraz z nim.

Laurana spodziewała się tego i miała przygotowaną odpowiedź. Lecz teraz, gdy nadszedł czas na jej przemowę, nie potrafiła jej wygłosić. Gorzkie powietrze wysuszyło jej usta, miała Wrażenie, że język stanął jej kołkiem. Nie, nie to jest przyczyną, karciła siebie sama. Była przerażona. Musiała to przyznać. Chciała wrócić do Palanthas! Chciała wydostać się z tego ponurego miejsca, gdzie śmierć czai się w zakamarkach. Zaciskając pięść w rękawicy, uderzała nerwowo w kamienie, zbierając się na odwagę.

– Zostaję tutaj, Sturmie – oświadczyła. Odzyskawszy po przerwie panowanie nad głosem, ciągnęła.

– Wiem, co zamierzasz powiedzieć, więc wysłuchaj mnie najpierw. Będziesz potrzebował każdego zdolnego wojownika, jakiego uda ci się zdobyć. Wiesz, ile jestem warta.

Sturm pokiwał głową. Mówiła prawdę. Niewielu w jego oddziale było równie celnymi łucznikami, co ona. Oprócz tego Laurana była zręcznym szermierzem. Jej zdolności były wypróbowane na polu walki – czego nie mógł powiedzieć o wielu młodych rycerzach znajdujących się pod jego dowództwem. Tak więc skinął głową, że się z tym zgadza. I tak zamierzał ją odesłać.

– Jestem jedyną osobą przeszkoloną we władaniu smoczą lancą...

– Flint też jest przeszkolony – przerwał cicho Sturm.

Laurana zmierzyła krasnoluda przenikliwym spojrzeniem. Rozdarty pomiędzy dwojgiem ludzi, których kochał i szanował, Flint zaczerwienił się i chrząknął. – To prawda – rzekł ochryple – ale – cóż, hmm – muszę przyznać, Sturmie, że jestem nieco niskiego wzrostu.

– I tak nie widzieliśmy śladu smoków – powiedział Sturm, gdy Laurana posłała mu triumfalne spojrzenie. – Doniesienia mówią, że smoki są na południe od nas, gdzie walczą o panowanie nad Thelgaardem.

– Ale wierzysz, że smoki są już w drodze, prawda? – odparła Laurana.

Sturm spojrzał speszony.

– Nie wykluczone – wymamrotał.

– Nie potrafisz kłamać, Sturmie, więc nie próbuj teraz zaczynać. Zostaję. Tak postąpiłby Tanis.

– Do licha, Laurano! – wykrzyknął Sturm, czerwieniąc się. – Żyj własnym życiem! Nie możesz być Tanisem! Ja nie mogę być Tanisem! Jego tu nie ma! Musisz się z tym

pogodzić! – Rycerz niespodziewanie odwrócił się. – Jego tu nie ma – powtórzył ochryple.

Flint pokiwał głową, spoglądając ze smutkiem na Lauranę. Nikt nie zwracał uwagi na Tasslehoffa, który kulił się żałośnie w kącie.

Laurana objęła Sturm ramieniem. – Wiem, że nie jestem dla ciebie takim przyjacielem, jakim był Tanis. Nigdy nie zdołam zająć jego miejsca. Zrobię jednak wszystko, co w mojej mocy, by ci pomóc. Właśnie to chciałam powiedzieć. Nie musisz mnie traktować inaczej niż swych rycerzy...

– Wiem, Laurano – rzekł Sturm. Obejmując ją ramieniem, przygarnął ją blisko do siebie. – Przepraszam, że krzychałem na ciebie. – Sturm westchnął. – Wiesz, dlaczego muszę cię odesłać. Tanis nigdy nie wybaczyłby mi, gdyby coś ci się stało.

– Nie, to nieprawda – odrzekła cicho Laurana. – On by to zrozumiał. Powiedział mi kiedyś, że nadchodzi taka chwila, gdy trzeba będzie zaryzykować życie za coś, co znaczy więcej niż samo życie. Czy nie rozumiesz tego, Sturmie? Gdybym uciekła w bezpieczne miejsce, zostawiając przyjaciół, powiedziałaby, że to rozumie. Lecz w głębi duszy nie rozumiałaby. Bowiem tak obce jest to temu, co on sam by uczynił. Poza tym – uśmiechnęła się – nawet, gdyby Tanisa nie było na świecie, nie opuściłabym przyjaciół.

Sturm spojrzał jej w oczy i zobaczył, że żadne z jego słów nie zmieni jej postanowienia. Tulił ją w milczeniu.

Drugą rękę położył na ramieniu Flinta i przygarnął krasnoluda.

Tasslehoff zerwał się na nogi i wybuchając płaczem, rzucił się do nich, szlochając rzewnie. Spojrzeli na niego ze zdumieniem.

– Tas, co się stało? – zapytała zaniepokojona Laurana.

– To wszystko moja wina! Ja jedną potłukłem! Czyżbym skazany był na wędrowanie po świecie i rozbijanie ich wszystkich? – zawodził bezładnie Tas.

– Opanuj się – powiedział Sturm surowym głosem. – O czym ty mówisz?

– Znalazłem jeszcze jedną – smarkał Tas. – Tam na dole, w wielkiej, pustej komnacie.

– Jeszcze jedno co, ty pusty łbie? – rzekł zdesperowany Flint.

– Jeszcze jedną smoczą kulę! – zawył Tas.

Noc otuliła wieżę jak jeszcze gęstsza, cięższa mgła. Rycerze zapalili pochodnie, lecz płomienie tylko zaludniły mrok duchami. Czuwali w milczeniu na murach, wyęzając wzrok i słuch, by dostrzec, bądź usłyszeć – cokolwiek...

Wtem, kiedy niemal nastąpiła północ, z zaskoczeniem usłyszeli nie zwyczajne okrzyki towarzyszy, ani matowy, chrapliwy głos rogów nieprzyjaciela, lecz pobrzękiwanie upręży i ciche rzenie koni zbliżających się do fortecy.

Podbiegając spiesznie do krawędzi murów, rycerze poświecili pochodniami w mrok. Usłyszeli powoli ustający stuk końskich kopyt.

Sturm stanął nad bramą. – Kto zbliża się do Wieży Najwyższego Klerysta? – zawołał.

W dole zapłonęła jedna pochodnia. Laurana spojrzała w mglistą ciemność i poczuwszy, jak nogi się pod nią uginają, przytrzymała się muru, by nie upaść. Rycerze wykrzyknęli ze zgrozy.

Jeździec trzymający płonąca pochodnię odziany był w lśniącą zbroję oficera smoczej armii. Miał jasne włosy i przystojną twarz o zimnych i okrutnych rysach. Wiódł za sobą drugiego konia, na którego grzbiecie leżały dwa trupy – jeden bez głowy, oba zakrwawione i okaleczone.

– Przyprowaździłem wam z powrotem waszych dowódców – rzekł mężczyzna, którego głos zabrzmiał szorstko i zgrzytliwie. – Jeden z nich, jak widzicie, jest martwy. Sądzę, że drugi jeszcze żyje. A przynajmniej żył, kiedy rozpoczynałem podróż. Mam nadzieję, że nie umarł, bowiem będzie mógł wam opowiedzieć, co dziś miało miejsce na polu walki. Jeśli można to w ogóle nazwać walką.

Skąpany w blasku swej pochodni oficer zsiadł z konia. Zaczął odwiązywać ciała, jedną ręką rozsypując liny, którymi były przywiązane do siodła. Potem spojrzał w górę.

– Tak, teraz moglibyście mnie zabić. Stanowię łatwy cel, nawet w tej mgle. Ale nie uczynicie tego. Jesteście rycerzami solamnijskimi – sarkazm w jego głosie był przenikliwy – wasz honor to wasze życie. Nie zastrzelilibyście bezbronnego człowieka, który przywozi wam zwłoki waszych wodzów. – Szarpnął za sznury. Bezgłowy trup zsunął się na ziemię. Oficer ściągnął z siodła drugie ciało. Rzucił pochodnię w śnieg obok trupów. Pochodnia zasyczała, a potem zgasła i zapadła ciemność.

– Tam na polu macie honoru aż do przesytu – zawołał. Rycerze usłyszeli skrzywienie skórzanej uprząży i zgrzyt pancerza, gdy oficer dosiadł ponownie konia. – Daję wam do świtu czas na poddanie się. Kiedy słońce wzejdzie, spuścicie sztandar. Smoczy władca obejdzie się z wami łaskawie...

Nagle rozległ się brzęk cięciwy, stuk strzały wbijającej się w ciało i pełne zaskoczenia przekleństwa dochodzące z dołu. Rycerze odwrócili się, by ze zdumieniem ujrzeć samotną postać stojącą na murach z łukiem w ręku.

– Nie jestem rycerzem – zakrzyknęła Laurana, opuszczając łuk. – Jestem Lauralanthalasa, córka Qualinesti. My elfowie mamy własne zasady honorowego postępowania, jak zapewne dobrze wiesz. Całkiem dobrze widzę cię w ciemności. Mogłam cię zabić. Ale będziesz miał tylko pewne trudności w poruszaniu tą ręką przez długi czas. Prawdę

mówiąc, możesz już nigdy nie unieść miecza.

– Zanieś to w odpowiedzi swemu smoczemu władcy

– rzekł szorstko Sturm. – Prędzej padniemy trupem niż opuścimy sztandar!

– I tak też się stanie! – wycedził oficer przez zaciśnięte z bólu zęby. Tętent kopyt galopującego konia ucichł w mroku.

– Wnieście ciała – rozkazał Sturm.

Rycerze ostrożnie otworzyli bramy. Kilku szybko wybiegło, by osłaniać tych, którzy delikatnie podnieśli ciała i wnieśli je do wewnątrz. Potem straż wycofała się do fortecy i zatrzasnęła wrota.

Sturm przykląkł w śniegu obok ciała bezgłowego rycerza. Unosząc rękę mężczyzny, zsunął pierścień ze sztywnych, zimnych palców. Zbroja rycerza była powgniatana i czarna od krwi. Upuszczając martwą rękę w śnieg, Sturm zwiesił głowę. – Lord Alfred – rzekł bezbarwnym głosem.

– Panie – powiedział jeden z młodszych rycerzy – ten drugi to lord Derek. Ten podły smoczy oficer miał rację – on żyje.

Sturm wstał i podszedł do Dereka leżącego na chłodnym kamieniu. Twarz dostojnika była biała, oczy szeroko rozwarte i błyszczące gorączkowo. Na wargach miał zaschniętą krew, a jego skóra była zimna i wilgotna. Jeden z młodych rycerzy, którzy go podtrzymywali, podsuwał mu do warg kubek z wodą, lecz Derek nie mógł pić.

Chory ze zgrozy Sturm ujrzał, że Derek przyciska dłoń do brzucha, skąd lała się żywa krew, niewystarczająco jednak szybko, by zakończyć jego mękę. Uśmiechając się upiornie, Derek chwycił Sturma za ramię okrwawioną dłonią.

– Zwycięstwo! – wychrypiał. – Rozpierzchli się przed nami, a my ruszyliśmy w pościg! Chwała! Chwała! A ja – zostanę wielkim mistrzem! – Zakrzuszył się i z ust chlusnęła mu krew. Osunął się w ramiona młodego rycerza, który spojrzał na Sturma z nadzieją malującą się na jego młodzieńczej twarzy.

– Jak sądzisz, panie, może on ma rację? Może to był podstęp... – Głos mu zamarł na widok ponurej twarzy Sturma. Obejrzał się na Dereka z politowaniem. – On oszalał, prawda, panie?

– On kona – dzielnie – jak prawdziwy rycerz – rzekł Sturm.

– Zwycięstwo! – szepnął Derek, a potem oczy mu znieruchomiały. Jego martwy wzrok utkwiał we mgle.

– Nie, nie wolno ci jej potłuc – powiedziała Laurana.

– Ale Fizban powiedział...

– Wiem, co on powiedział – odparła zniecierpliwiona Laurana. – Nie jest zła, nie jest dobra, jest niczym, jest wszystkim. To takie... – mruknęła – podobne do Fizbana!

Razem z Tasem stała przed smoczą kulą. Kula spoczywała na swym stojaku pośrodku okrągłego pomieszczenia, wciąż pokryta kurzem, z wyjątkiem miejsca, które wytarł Tas. Kmnata była ciemna i niesamowicie cicha, prawdę mówiąc tak cicha, że Tas i Laurana poczuli się zmuszeni szeptać.

Laurana przyjrzała się smoczrej kuli, marszcząc brwi w zamyśleniu. Tas patrzył na Lauranę z nieszczęśliwą miną, bojąc się, że wie, co jej chodzi po głowie.

– Te kule muszą zadziałać, Tas! – powiedziała wreszcie. – Stworzyli je potężni czarodzieje! Ludzie tacy, jak Raistlin, którzy nie tolerowali porażek. Gdybyśmy tylko wiedzieli, jak...

– Ja wiem, jak – rzekł urywanym szeptem Tas.

– Co takiego? – spytała Laurana. – Ty wiesz? Czemu nie...

– Nie wiedziałem, że wiem – że tak powiem – wyjąkał Tas. – Właśnie przyszło mi to do głowy. Gnosh – ten gnom – powiedział, że odkrył jakieś pismo w środku kuli, liter które wirowały we mgle. Powiedział, że nie potrafił ich przeczytać, bowiem napisano je w jakimś dziwnym języku...

– Języku magii.

– Właśnie tak powiedziałem i...

– Ale to nam nie pomoże! Żadne z nas nie potrafi w nim mówić. Gdyby tylko Raistlin...

– Nie potrzebujemy Raistlina – przerwał Tas. – Nie potrafię w nim mówić, ale potrafię go przeczytać. Widzisz, mam takie okulary – okulary prawdziwego widzenia, jak nazwał je Raistlin. Pozwalają mi odczytywać różne języki – nawet język magii. Wiem o tym, ponieważ powiedział, że jeśli przyłapie mnie na czytaniu któregoś z jego zwojów, zmieni mnie w świerszcza i połknie żywcem.

– I myślisz, że uda ci się przeczytać to, co jest w kuli?

– Mogę spróbować – zastrzegął się Tas – ale, Laurano, Sturm powiedział, że prawdopodobnie nie będzie żadnych smoków. Po co mamy się narażać, dotykając w ogóle kuli? Fizban powiedział, że tylko najpotężniejsi czarodzieje mieli śmiałość jej użyć.

– Posłuchaj mnie, Tasslehoffie Burrfoot – powiedziała cicho Laurana, przyklękając przy kenderze i patrząc mu prosto w oczy. – Jeśli sprowadzą tu choćby jednego smoka, koniec z nami. Dlatego dali nam czas na poddanie się, zamiast szturmować twierdzę. Wykorzystują dodatkowy czas na sprowadzenie smoków. Musimy zaryzykować!

Mroczna ścieżka i jasna ścieżka. Tasslehoff przypomniał sobie słowa Fizbana i zwiesił głowę. Śmierć tych, których kochasz, lecz masz dość odwagi.

Tas powoli sięgnął za pazuchę swej kożuszkowej kamizeli, wyciągnął okulary i wsunął druczane oprawki za szpiczaste uszka.

Rozdział XIII

Wschodzi słońce. Zapada mrok

Mgła podniosła się o brzasku. Zaświtał jasny i pogodny dzień – tak pogodny, że chodząc po murach Sturm widział ośnieżone łąki swych rodzinnych okolic w pobliżu twierdzy Vingaard – ziem teraz pod całkowitym panowaniem smoczycich armii. Pierwsze promienie słońca padły na sztandar rycerzy – pod złotą koroną zimorodek trzymający w szponach miecz ozdobiony różą. Złoty herb połyskiwał w blasku poranka. Wtedy Sturm posłyszał chrapliwy ryk rogów.

Smocze armie ruszyły do szturmowania na wieżę o świcie.

Młodzi rycerze – mniej więcej setka, jaka została – stali w milczeniu na murach, przyglądając się niezmiernym zastępom wroga, które pełzły nieubłaganie niczym żarłoczne owady.

Początkowo Sturm zastanawiał się nad sensem słów konającego rycerza. „Rozpierzchli się przed nami!” Dlaczego smocze wojska uciekały? Wtedy zrozumiał – smoczy żołnierze obrócili pychę rycerzy przeciw nim samym, stosując bardzo stary, a prosty manewr. Trzeba cofnąć się przed wrogiem... nie za szybko, niech tylko pierwsze szeregi okażą dość lęku i przerażenia, by przekonać nieprzyjaciela. Pozwól potem wrogowi ruszyć w pościg, niech rozciągnie swe szeregi. A wtedy twoje wojska zacieśnią krąg wokół niego, otoczą go i rozniosą w proch.

Nie trzeba było widoku trupów – ledwo widocznych w oddali w stratowanym, zakrwawionym śniegu – by powiedzieć Sturmowi, że miał rację. Ciało leżało tam, gdzie wojownicy rozpaczliwie próbowali przegrupować się i dać odpór wrogowi. Nie miało zresztą większego znaczenia, jak zginęli. Sturm zastanawiał się, kto popatrzy na jego zwłoki, kiedy będzie już po wszystkim.

Flint wyrzwał przez szczelinę w murze. – Przynajmniej umrę na suchym lądzie – mruknął krasnolud.

Sturm uśmiechnął się lekko, gładząc się po wąsach. Jego spojrzenie powędrowało ku wschodowi. Myśląc o śmierci, spoglądał na okolicę, gdzie się urodził – dom, który ledwo znał, ojciec, którego ledwo pamiętał, kraj, który skazał jego rodzinę na wygnanie. Wkrótce ma oddać życie w obronie tego kraju. Dlaczego? Dlaczego po prostu nie wyjedzie i nie wróci do Palanthas?

Przez całe swe życie był posłuszny nakazom kodeksu i reguły. Kodeks: *Est Sularus oth Mithas* – Mój honor to moje życie. Tylko kodeks mu został. Reguły już nie było.

Zawiodła. Sztywna i nieustępliwa reguła zakuła rycerzy w stal cięższą od ich zbroi. Rycerze, odizolowani i walczący o przetrwanie w rozpaczach uchwycili się reguły – nie zdając sobie sprawy, że to kotwica, która ciągnie ich na dno. Dlaczego ja byłem inny? – zastanawiał się Sturm. Kiedy przysłuchiwał się utyskiwaniom krasnoluda, znał już odpowiedź. To dzięki krasnoludowi, kenderowi, magowi, półelfowi... Oni nauczyli go widzieć świat innymi oczami: skośnymi oczami, mniejszymi oczami, a nawet klepsydrowymi oczami. Rycerze tacy jak Derek, widzieli świat tylko w czarnych i białych barwach. Sturm ujrzał świat we wszystkich jego promiennych kolorach, jak również w całej jego ponurej szarości.

– Już czas – rzekł do Flinta. We dwóch zeszli z wysokiego punktu obserwacyjnego w chwili, gdy pierwsze zatrute strzały wroga przeleciały łukiem nad murami.

Z wrzaskiem i wyciem, z rykiem rogów, brzękiem tarczy i mieczy, smocze armie ruszyły do ataku na Wieżę Najwyższego Klerysta, gdy niebo rozjaśnił wąty blask słońca.

O zmierzchu sztandar wciąż powiewał. Wieża wytrzymała oblężenie. Lecz połowa jej obrońców zginęła.

Żywi nie mieli czasu za dnia zamknąć wytrzeszczonych oczu zmarłych, ani wyprostować ich powykręcanych w agonii kończyn. Żywi musieli czynić wszystko, co było w ich mocy, by utrzymać się przy życiu. Wraz z zapadnięciem nocy nadszedł wreszcie spokój, bowiem smocze wojska wycofały się, by odpocząć i poczekać do rana.

Sturm kroczył po murach, obolały na całym ciele, zmęczony. Lecz za każdym razem, gdy próbował odpocząć, napięte mięśnie drżały i dygotały, mózg zdawał się płonąć. Zmuszony był więc znów krążyć – w tę i z powrotem, w tę i z powrotem, powolnym, równomiernym krokiem. Nie mógł wiedzieć, że dźwięk jego miarowych kroków odsuwał od słuchających go młodych rycerzy myśl o grozie minionego dnia. Rycerze, którzy układali na dziedzińcu zwłoki swych przyjaciół i towarzyszy, myśląc o tym, że jutro ktoś to samo może czynić dla nich, słyszeli zdecydowane kroki Sturma i ich obawy o dzień jutrzejszy słabły.

Donośny odgłos stąpania rycerza w istocie przynosił ukojenie wszystkim, z wyjątkiem jego samego. Sturma dręczyły posępne myśli: myśli o klęsce, myśli o tym, że umrze niegodnie i bez honoru, straszne wspomnienia snu, w którym widział swe ciało porąbane i okaleczone przez te ohydne istoty czatujące pod murami. Czy sen stanie się jawą? – zastanawiał się drżąc. Czy zawaha się na końcu, nie mogąc pokonać strachu? Czy kodeks zawiedzie go tak samo, jak zawiodła go reguła?

Stuk... stuk... stuk... stuk...

Przeستاń! – nakazał sobie gniewnie Sturm. Wkrótce oszalejesz, jak biedny Derek. Obracając się gwałtownie na pięcie w pół kroku, rycerz zobaczył za sobą Lauranę. Ich

spojrzenia spotkały się i jej blask rozświetlił jego posępne myśli. Dopóki na świecie istnieje taki spokój i piękno jak jej, nadzieja nie zgaśnie. Uśmiechnął się do niej, a ona odpowiedziała uśmiechem – wymuszonym uśmiechem – który wygładził bruzdy znużenia i troski na jej twarzy.

– Odpocznij – powiedział do niej. – Wyglądasz na wyczerpaną.

– Próbowałam spać – szepnęła – lecz nawiedzały mnie straszne sny – ręce zatopione w kryształach, olbrzymie smoki lecące kamiennymi korytarzami. – Potrząsnęła głową, a następnie wyczerpana usiadła w kącie osłoniętym od przenikliwego wiatru.

Spojrzenie Sturm padło na Tasslehoffa, który leżał obok niej. Kender spał mocno, zwinięty w kłębek. Sturm popatrzył na niego, uśmiechając się. Nic nie mogło zakłócić spokoju Tasa. Kender przeżył prawdziwie wspaniały dzień taki, – który na zawsze utkwi w jego pamięci.

– Nigdy przedtem nie byłem świadkiem oblężenia – Sturm usłyszał, jak Tas zwierza się Flintowi na kilka sekund przed tym, jak topór krasnoluda ściął głowę goblinowi.

– Wiesz, że wszyscy zginieją – burknął Flint, wycierając czarną posokę z ostrza topora.

– To samo mówiłeś, kiedy natknęliśmy się na tego czarnego smoka w Xak Tsaroth – odparł Tas. – Potem powtórzyłeś to w Thorbardinie, a potem była ta łódka...

– Tym razem na pewno zginieją! – ryknął z wściekłością Flint. – Nawet gdybym miał cię własnoręcznie zabić!

Ale nie zginęli – przynajmniej jeszcze nie tego dnia. Zawsze jest jeszcze jutro, pomyślał Sturm, przyglądając się krasnoludowi, który opierał się o kamienną ścianę i rzeźbił coś w kawałku drewna.

Flint podniósł wzrok. – Kiedy się zaczniesz? – spytał.

Sturm westchnął, przenosząc spojrzenie na wschodni horyzont. – O świcie – odparł. – Jeszcze kilka godzin.

Krasnolud pokiwał głową. – Czy zdołamy się utrzymać? – zapytał rzeczowym tonem, trzymając klocek drewna w mocnej dłoni.

– Musimy – odrzekł Sturm. – Posłaniec dotrze do Palanthis dziś w nocy. Jeśli nawet zadziałają natychmiast, i tak dzielą nas dwa dni marszu. Musimy dać im dwa dni...

– Jeśli zadziałają natychmiast! – burknął Flint.

– Wiem... – rzekł cicho Sturm, wzdychając. – Powinnaś wyjechać stąd – zwrócił się do Laurany, która wyrwała się z zamyślenia z drgnięciem. – Jedź do Palanthis. Przekonaj ich o grożącym im niebezpieczeństwie.

– Twój posłaniec musi tego dokonać – powiedziała zmęczonym tonem Laurana. – Jeśli nie, żadne moje słowa nie przekonają ich.

– Laurano – zaczął.

– Czy potrzebujesz mnie? – zapytała nagle. – Czy przydadę się tu?

– Wiesz, że tak – odpowiedział Sturm. Zdumiewała go nieustępliwa siła elfiej panny, jej odwaga i zdolności łucznicze.

– W takim razie zostaję – powiedziała po prostu Laurana. Otuliwszy się ciasniej kocem, zamknęła oczy. – Nie mogę usnąć – szepnęła. Lecz po kilku chwilach jej oddech nabrał równie regularnego i cichego brzmienia, co oddech śpiącego kendera.

Sturm pokręcił głową, czując, że go ściska w gardle. Popatrzył w stronę Flinta i ich spojrzenia spotkały się. Krasnolud westchnął i ponownie xabrał się do rzeźbienia w drewnie. Żaden nie odezwał się słowem, a obaj myśleli o tym samym. Gdyby smokowcy wdarli się do wieży, czekałaby ich straszna śmierć. Śmierć Laurany mogła być jednak koszmarem.

Niebo rozjaśniało się na wschodzie, zapowiadając wzejście słońca. Rycerze zerwali się z niespokojnego snu, obudzeni chrapliwym rykiem rogów. Wstali spiesznie, chwytając za broń i wybiegli na mury, by spojrzeć na pogrążoną w mroku ziemię.

Ogniska smoczycich armii ledwo się żarzyły. Pozwolono im przygasnąć, bowiem nadchodził świt. Rycerze słyszeli, jak życie budzi się znów w tym potwornym obozie. Zaciskali oręż w dłoniach i czekali. Wtem obrócili się ku sobie ze zdumieniem.

Smocze wojska wycofywały się! Choć ledwo co było widać w wąłym świetle przedświtu, nie było wątpliwości, iż czarna fala przypływu cofa się. Sturm obserwował ten widok ze zdumieniem. Wycofujące się armie zatrzymały się tuż za horyzontem. Sturm jednak wiedział, że wciąż tam są. Wyczuwał ich.

Niektórzy spośród młodych rycerzy zaczęli wiwatować.

– Cisza! – rozkazał surowo Sturm. Ich krzyki boleśnie drażniły jego napięte nerwy. Laurana podeszła, by stanąć obok niego i zerknęła zdumiona. W pełzającym blasku pochodni jego twarz wyglądała blade i mizernie. Wsparłszy dłonie w rękawicach na murze, zaciskał i otwierał nerwowo pięści. Zmrużył oczy, nachylając się i spoglądając na wschód.

Zauważywszy narastający w nim lęk, Laurana poczuła chłód ogarniający jej ciało. Przypomniała sobie, co powiedziała Tasowi.

– Czy tego się obawialiśmy? – spytała, kładąc mu dłoń na ramieniu.

– Módl się, obyśmy się mylili! – rzekł przyciszonym, łamiącym się głosem.

Upływały minuty. Nic się nie działo. Flint podszedł do nich i wspiął się na ogromny zwalony kamień, by wyrzucić przez krawędź muru. Tas obudził się, ziewając.

– Kiedy będzie śniadanie? – spytał wesoło kender, ale nikt nie zwrócił na niego uwagi.

Nadal obserwowali i czekali. Teraz wszyscy rycerze, przejęci tym samym narastającym strachem stali wzdłuż murów i spoglądali na wschód, nie wiedząc wyraźnie, czemu.

– Co to? – szepnął Tas. Wdrapawszy się na kamień obok Flinta, dostrzegł mały, czerwony skrawek słońca, które płonęło na wschodzie. Jego pomarańczowy ogień barwił nocne niebo purpurą i przygaszał gwiazdy.

– Na co patrzymy? – szepnął Tas, trącając w bok Flinta.

– Na nic – odburknął Flint.

– To po co patrzy my... – kenderowi raptownie zapało dech w piersi. – Sturmie – wyjąkał drżącym głosem.

– Co tam? – spytał stanowczym tonem rycerz, odwracając się zaniepokojony.

Tas nie mógł oderwać oczu od dostrzeżonego widoku. Pozostali spojrzeli w tym samym kierunku, lecz ich wzrok nie mógł się równać z wzrokiem kendera.

– Smoki... – powiedział Tasslehoff. – Niebieskie smoki.

– Tak też myślałem – rzekł cicho Sturm. – Smoczy strach. Dlatego wycofali wojska. Ludzie walczący w ich szeregach nie mogli go znieść. Ile smoków?

– Trzy – odpowiedziała Laurana. – Teraz już je widzę.

– Trzy – powtórzył Sturm głosem pozbawionym wyrazu.

– Posłuchaj, Sturmie – Laurana odciągnęła go od murów. – Ja – my zamierzaliśmy nie mówić o tym nikomu. Mogłoby to nie mieć znaczenia, ale teraz ma. Tasslehoff i ja wiemy, jak użyć smoczej kuli!

– Smoczej kuli? – szepnął Sturm, tak naprawdę nie słuchając.

– Kuli, która jest tutaj, Sturmie! – Laurana nie dawała za wygraną, chwytając go pełną zapału. – Znajduje się w podziemiach wieży, w samym jej środku. Tas pokazał mi ją. Wiodą do niej trzy długie, szerokie korytarze i... – Głos jej zamarł. Nagle, zgodnie z tym, co zanotowała w nocy jej podświadomość, wyobraźnia żywo podsunęła obraz smoków lecących korytarzami...

– Sturmie! – krzyknęła, potrząsając nim z podniecenia. – Wiem, jak działa kula! Wiem, jak zabić smoki! Teraz jeśli tylko będziemy mieli dość czasu...

Sturm chwycił ją, silnymi rękoma przytrzymując za ramiona. Nie przypominał sobie, by w ciągu tych miesięcy, odkąd ją poznał wyglądała piękniej niż teraz. Jej twarz, poblądła ze zmęczenia, promieniała podnieceniem.

– Powiedz mi szybko – rozkazał.

Laurana wyjaśniała nieskładnymi słowami, z których wyłaniał się obraz tym dla niej samej jaśniejszy, im dłużej mu o tym opowiadała. Flint i Tas przyglądali się temu zza pleców Sturma. Na twarzy krasnoluda malowało się przerażenie, zaś na twarzy kendera konsternacja.

– Kto użyje kuli? – spytał powoli Sturm.

– Ja to zrobię – odrzekła Laurana.

– Ależ Laurano – krzyknął Tasslehoff – Fizban powiedział...

– Tas, zamilcz! – wycodziła Laurana przez zaciśnięte zęby. – Proszę, Sturmie! – błagała. – To nasza jedyna nadzieja. Mamy smocze lance i smoczą kulę!

Rycerz popatrzył na nią, a następnie na smoki, nadlatujące od strony stale rozjaśniającego się wschodniego horyzontu.

– Zgoda – powiedział wreszcie. – Flint, pójdiesz z Tasem na dół i zbierzesz ludzi na środkowym dziedzińcu. Pośpiesz się!

Posławszy Lauranie ostatnie, zaniepokojone spojrzenie, Tasslehoff zeskoczył z kamienia, na którym stał wraz z krasnoludem. Flint z miną poważną i zamyśloną wolno poszedł w jego ślady. Zsunąwszy się na ziemię, zbliżył się do Sturma.

– Czy musisz? – Flint zapytał Sturm bezgłośnie, kiedy ich spojrzenia spotkały się.

Sturm skinął głową. Spojrzawszy na Lauranę, uśmiechnął się smutno. – Powiem jej – rzekł cicho. – Zaopiekuj się kenderem. Żegnaj, mój przyjacielu.

Flint przełknął ścisk w gardle, potrząsając starą głową. Potem z wyrazem wielkiego smutku na twarzy krasnolud wytarł sękatą dłońią oczy i pchnął Tasa w plecy.

– Ruszaj się! – burknął krasnolud.

Tas obejrzał się na niego ze zdumieniem, a potem wzruszył ramionami i pobiegł w podskokach po szczycie murów, wołając piskliwym głosem do zaskoczonych rycerzy.

Twarz Laurany promieniała. – Ty też chodź, Sturmie!

– powiedziała, ciągnąc go niczym dziecko, pragnące pokazać rodzicowi nową zabawkę. – Jeśli chcesz, wyjaśnię wszystko twoim ludziom. Potem będziesz mógł wydać rozkazy i ustalić stanowiska bojowe...

– Teraz ty dowodzisz, Laurano – powiedział Sturm.

– Co takiego? – Laurana zatrzymała się, a strach zastąpił nadzieję w jej sercu tak nagle, że z jej ust wydarł się okrzyk bólu.

– Powiedziałaś, że potrzebujesz czasu – rzekł Sturm, zaciskając pas z mieczem i starając się unikać jej wzroku.

– Masz rację. Musisz rozstawić ludzi na stanowiskach. Musisz mieć czas na użycie smoczej kuli. Zdobędę ci ten czas. – Wziął łuk i kołczan ze strzałami.

– Nie! Sturmie! – Laurana zadrżała z przerażenia.

– Chyba nie mówisz tego poważnie! Nie potrafię dowodzić! Potrzebuję cię! Sturmie, nie rób tego sobie! – Jej głos przycichł do szeptu. – Nie rób tego mnie!

– Potrafisz dowodzić, Laurano – rzekł Sturm, ujmując jej głowę w dłonie. Nachyliwszy się, ucałował ją łagodnie.

– Żegnaj, elfia panno – powiedział miękko. – Twoje światło będzie nadal jaśniało na tym świecie. Czas już, by moje zgasło. Nie smuć się, najdroższa. Nie płacz. – Przytulił ją. – Pani Lasu powiedziała nam w Mrocznej Puszczy, że nie powinniśmy opłakiwać tych, którzy wypełnili swoje przeznaczenie. Moje się dopełniło. A teraz śpiesz się, Laurano. Każda chwila będzie dla ciebie bezcenna.

– Weź przynajmniej ze sobą smoczą lancę – błagała.

Sturm potrząsnął głową, kładąc dłoń na prastarym mieczu swego ojca. – Nie umiem nią władać. Żegnaj, Laurano. Powiedz Tanisowi... – Przerwał, a potem westchnął. – Nie – rzekł z lekkim uśmiechem. – On będzie wiedział, co było w moim sercu...

– Sturmie... – Laurana umilkła, czując dławiące ją łzy. Mogła tylko patrzeć na niego w niemym błaganiu.

– Idź – powiedział.

Potyając się, szła błędnym krokiem, odwróciła się i jakoś zeszła po schodach na dziedziniec. Tam poczuła, że czyjeś silne dłonie chwytają ją za ręce.

– Flincie – zaczęła, szlochając żałośnie – on... Sturm...

– Wiem, Laurano – odrzekł krasnolud. – Wyczytałem to z jego twarzy. Wydaje mi się, że odkąd sięgam pamięcią, zawsze to widziałem. Decyzja teraz należy do ciebie. Nie możesz go zawieść.

Laurana zaczerpnęła głęboko tchu, a potem wytarła oczy dłońmi, przecierając zapłakaną twarz najlepiej jak umiała. Odetchnąwszy jeszcze raz, uniosła głowę.

– Już – powiedziała mocnym i zdecydowanym głosem. – Jestem gotowa. Gdzie jest Tas?

– Tutaj – pisnął cichy głosik.

– Idź dalej na dół. Raz już przeczytałeś słowa w kuli. Przeczytaj je jeszcze raz. Upewnij się absolutnie, że nie pomyliłeś się.

– Tak, Laurano – Tas przełknął głęboko w gardle i wybiegł.

– Rycerze już się zebrali – powiedział Flint. – Czekają na twe rozkazy.

– Czekają na moje rozkazy – powtórzyła z roztargnieniem Laurana.

Wahając się, podniosła głowę. Czerwone promienie słońca odbijały się w błyszczącej

zbroi Sturm, który wspinał się po wąskich schodach wiodących na wysoki mur w pobliżu środkowej wieży. Westchnąwszy, spojrziała na dziedziniec, gdzie czekali rycerze.

Laurana ponownie odetchnęła głęboko i ruszyła w ich stronę. Czerwona kita powiewała na jej hełmie, a jej złote włosy lśniły jak płomień w blasku poranka.

Zimne i kruche słońce barwiło niebiosa na kolor krwi, który przechodził w aksamitną, błękitną czerń ustępującej nocy. Wieża wciąż stała w cieniu, choć złote nitki łopoczącego sztandaru lśniły już w promieniach słońca.

Sturm wszedł na szczyt murów. Nad nim wysoko wznosiła się wieża. Mur obronny, na którym stał Sturm, rozciągał się na ponad 30 metrów w lewo od niego. Kamienna powierzchnia była gładka i nie dawała żadnego schronienia, żadnej osłony.

Spojrząwszy na wschód, Sturm zobaczył smoki.

Były to błękitne smoki, a na grzbiecie pierwszego siedział smoczy władca w czarno-błękitnej, połyskującej w słońcu zbroi ze smoczycz łusek. Rycerz widział okropną, rogatą maskę i łopoczącą za jeźdźcem czarną pelerynę. Za smoczym władcą podążały dwa następne niebieskie smoki z jeźdźcami. Sturm zmierzył je krótkim, przelotnym spojrzeniem. Nie obchodziły go. Zamierzał bić się z przywódcą, ze smoczym władcą.

Rycerz spojrział na dziedziniec daleko w dole. Światło słońca wspinało się właśnie na mury. Sturm widział, jak błyszczą czerwono na grotach srebrnych smoczycz lanc, które teraz trzymali wszyscy ludzie. Widział, jak płonie w złotych włosach Laurany. Dostrzegł, że ludzie spoglądają w górę na niego. Chwyciwszy miecz, wznosił go wysoko. Słońce zabłysło na bogato grawerowanej klindze.

Uśmiechając się do rycerza, choć ledwo go widziała przez łyzy, Laurana wzniosła swą smoczą lancę w odpowiedzi – w geście pożegnania.

Natchniony otuchą przez jej uśmiech, Sturm odwrócił się w stronę wroga.

Wychodząc na środek muru, wydawał się maleńką postacią zawieszoną pomiędzy niebem i ziemią. Smoki mogły przelecieć obok niego, bądź okrążyć go, lecz nie tego pragnął. Muszą uznać go za zagrożenie. Muszą poświęcić chwilę na walkę z nim.

Sturm schował miecz, założył strzałę na cięciwę i starannie wymierzył w pierwszego smoka. Cierpliwie czekał, zatrzymując oddech. Nie mogę tego zmarnować, pomyślał. Czekaj... czekaj...

Smok znalazł się w zasięgu jego łuku. Strzała Sturma przeszła jasność poranka. Strzał był celny. Pocisk trafił smoka w szyję. Niewiele uczynił mu szkody, odbiwszy się od niebieskich łusek, lecz smok zadarł łeb z bólu i rozdrażnienia – spowalniając swój lot. Sturm szybko wystrzelił ponownie, tym razem do smoka lecącego tuż za przywódcą.

Strzała rozdarła skrzydło i smok wrzasnął z wściekłości. Sturm strzelił jeszcze raz. Tym razem jeździec tak pokierował swym wierzchowcem, że smok uchylił się przed strzałą. Rycerzowi udało się jednak dopiąć swego: przyciągnął ich uwagę, udowodnił, że jest groźny, zmusił do walki. Słyszał tupot ludzi biegnących po dziedzińcu i przenikliwe skrzywienie kołowrotów podnoszących ruchome kraty w bramach.

Sturm zobaczył, że smoczy władca staje w siodle. Zbudowane na kształt rydwanu siodło umożliwiało jeźdźcowi walkę w pozycji stojącej. Władca trzymał włócznię w ręce. Sturm odrzucił łuk. Podniósł tarczę i wyciągnawszy miecz, stał śmiało na murze. Przyglądał się nadlatującemu coraz bliżej smokowi o żarzących się czerwono oczach i błyszczących, białych kłach.

Wtem – z dala – doszedł Sturma czysty, donośny głos surmy, której dźwięk był chłodny niczym powiew wiatru z widocznych w oddali ośnieżonych gór jego ojczyzny. Czysty i surowy zew trąbki przeszył jego serce, wznosząc się nieustraszenie ponad ciemność, śmierć i rozpacz, jakie go otaczały.

Sturm odpowiedział na ten zew donośnym okrzykiem bojowym, unosząc miecz na spotkanie wroga. Słońce zabłysło czerwono na jego ostrzu. Smok zanurkował nisko.

I znów zabrzmiał dźwięk surm i znów Sturm odpowiedział, krzycząc. Lecz tym razem głos mu się załamał, bowiem nagle Sturm uzmysłowił sobie, że słyszał już kiedyś te surmy.

Sen!

Sturm zatrzymał się, ściskając miecz w dłoni, która pocila się w rękawicy. Olbrzymi smok wisiał nad nim. Na grzbiecie smoka znajdował się smoczy władca w masce, której rogi połyskiwały czerwienią krwi. Wznosił włócznię gotową do ciosu.

Sturm poczuł ucisk w żołądku ze strachu. Zrobiło mu się zimno. Surmy zagrały po raz trzeci. Trzy razy zabrzmiały w jego śnie, a po trzecim sygnale zginął. Ogarniał go smoczy strach. Uciekaj! – rozpaczliwie nakazywał mu umysł. Uciekaj! – Smoki wleczą na dziedziniec. Rycerze nie mogą być jeszcze przygotowani, zginą wszyscy – Laurana, Flint i Tas... Wieża padnie.

Nie! – Sturm wziął się w garść. Wszystko inne już przepadło: jego ideały, jego nadzieje i marzenia. Zakon rozpadał się. Reguła okazała się niewystarczająca. Wszystko w jego życiu było bezsensowne. Jego śmierć nie może być taka sama. Zdobędzie czas dla Laurany, okupi go własnym życiem, bowiem nie zostało mu już nic, co mógłby oddać. Umrze zgodnie z nakazami kodeksu, skoro już tylko to mu zostało.

Wzniósł miecz wysoko w geście rycerskiego salutu dla wroga. Ku jego zaskoczeniu, nieprzyjaciel odpowiedział nań z powagą i godnością. Wtedy smok zanurkował z rozwartą

paszczą, gotów rozszarpać rycerza ostrymi jak brzytwy kłami.

Sturm zakreślił mieczem groźnego młyńca, zmuszając smoka do szarpnięcia głową wstecz, jeśli nie chciał jej stracić. Sturm miał nadzieję, że powstrzyma w ten sposób jego lot. Potwór jednakże dzięki skrzydłom zachował równowagę, a jeździec kierował nim pewną dłonią, w drugiej ręce trzymając włócznie o błyszczącym grocie.

Sturm stał twarzą zwrócony na wschód. Na wpół oślepiiony przez jaskrawe słońce, widział smoka jako czarną plamę. Dostrzegł, że stwór zniża swój lot, nurkując poniżej poziomu murów i uświadomił sobie, że niebieski smok zamierza nadlecieć z dołu, dając tym samym swemu jeźdźcowi dość miejsca do ataku. Dwa pozostałe smoki zostały z tyłu, czekając i obserwując, czy przypadkiem ich pan nie będzie potrzebował pomocy, by rozprawić się z zuchwałym rycerzem.

Przez chwilę zalane słońcem niebo było puste, a potem smok wyskoczył zza krawędzi murów. Od jego przeraźliwego wrzasku pękały Sturmowi bębunki, a głowę wypełnił ból. Rycerz zakrztusił się smrodliwym oddechem smoczej paszczy. Zachwiaił się, czując zawroty głowy, lecz utrzymał się na nogach i zadał cios mieczem. Prastara klinga trafiła smoka w lewe nozdrze. Chlusnęła czarna krew. Smok ryknął z wściekłości. .

Cios ten jednak okazał się kosztowny. Sturm nie miał czasu zasłonić się.

Smoczy władca uniósł włócznie, której grot błysnął ognicie w słońcu. Nachyliwszy się, wbił ją głęboko, przesywając zbroję, ciało i kości.

Słońce Sturma zostało strzaskane.

Rozdział XIV

Smocza kula. Smocza lanca

Rycerze minęli Lauranę, biegnąc do Wieży Najwyższego Klerysta, by zająć stanowiska, jakie im wskazała. Choć początkowo nastawieni byli sceptycznie, nadzieja zaświtała w miarę, jak Laurana wyjaśniała swój plan.

Po odejściu rycerzy na dziedzińcu było pusto. Laurana wiedziała, że powinna się pośpieszyć. Powinna już być z Tasem i przygotowywać się do użycia smoczej kuli. Nie mogła jednak zostawić tej jednej, błyszczącej postaci, która czekała samotnie na murach .

Wtedy ujrzała na tle wschodzącego słońca sylwetki smoków.

Miecz i włócznia rozbłysły w jaskrawym blasku słońca.

Świat Laurany przestał się obracać. Czas spowolnił się jak we śnie.

Spod miecza trysnęła krew. Smok wrzasnął. Przez wieczność włócznia stała zawieszona. Słońce znieruchomiało. Włócznia dosięgła celu.

Lśniący przedmiot spadał powoli ze szczytu murów na dziedziniec. Był to miecz Sturma, wypuszczony z jego martwej dłoni i – dla Laurany – był to jedyny ruch w statycznym świecie. Ciało rycerza stało nieruchomo, przebite włócznią smoczego władcy. Smok wisiał w powietrzu nad nim z rozpostartymi skrzydłami. Nic się nie ruszało, wszystko stało doskonale nieruchome.

Wtedy smoczy władca wyszarpnął włócznię i ciało Sturma, widoczne teraz jako ciemna plama na tle słońca, osunęło się na mury. Smok ryknął wściekle i z jego pokrytej krwawą pianą paszczy wystrzeliła błyskawica, trafiając w Wieżę Najwyższego Klerysta. Kamienie rozprysnęły się z donośnym hukiem. Błysnął ogień jaśniejszy od słońca. Pozostałe dwa smoki zanurkowały w stronę dziedzińca, gdy miecz Sturma spadł z brzękiem na kamienne płyty.

Czas ruszył.

Laurana ujrzała smoki lecące wprost na nią. Ziemia wokół niej zatrzęsa się, spadł na nią deszcz większych i mniejszych kamieni, a powietrze wypełniły kłęby dymu i kurzu. Mimo to Laurana nie mogła się poruszyć. Jeśli poruszy się, tragedia stanie się rzeczywistością. Jakiś idiotyczny głos stale jej podszeptwał, że jeśli będzie stać idealnie nieruchomo, wszystko to okaże się nieprawdą.

Lecz oto był miecz, leżąc zaledwie kilkadziesiąt centymetrów od niej. Ujrzała też, jak smoczy władca wznosi swą włócznię, dając znak smoczym armiom czekającym na równinach, nakazując im ruszyć do natarcia. Laurana posłyszała chrapliwy odgłos rogów. Oczami

duszy widziała smocze armie sunące po ośnieżonych polach.

Ziemia znów zatrzęsa się pod jej nogami. Laurana wahała się jeszcze przez moment, żegnając się w milczeniu z duchem rycerza. Potem pobiegła przed siebie. Ziemia pod nią drżała, a wokół biły przerażające pioruny. Nachyliwszy się, podniosła miecz Sturma i wzniosła go dumnie.

– *Soliasi Arath* – krzyknęła w języku elfów głosem dźwięczącym ponad hukiem zniszczeń, rzucając wyzwanie atakującym smokom.

Smoczy jeźdźcy wybuchnęli śmiechem, odpowiadając szyderczymi okrzykami. Smoki wrzasnęły z okrutnej przyjemności, jaką dawało im zabijanie. Dwa, towarzyszące uprzednio smoczemu władcy, wpadły za Laurana na dziedziniec.

Laurana biegła w stronę rozwartej szeroko bramy, tego bezsensownego wejścia do wieży. Kamienne mury migały jej w oczach, gdy przebiegała obok nich. Słyszała, że smok leci za nią. Słyszała jego chrapliwy oddech i świst powietrza poruszanego jego skrzydłami. Usłyszała polecenie jeźdźcy, które powstrzymało smoka od wlecenia za nią do wnętrza wieży. Doskonale! – Laurana uśmiechnęła się gorzko do siebie.

Mknąc szerokim korytarzem, przebiegła pod drugą bramą. Czekali tam rycerze, gotowi w każdej chwili spuścić kratę.

– Nie zamykajcie jej! – wysapała zdyszana. – Pamiętajcie!

Pokiwali głowami. Laurana pomknęła dalej. Teraz znajdowała się w ciemnym, węższym pomieszczeniu, gdzie szczyrzyły się ku niej ostre jak brzytwy osobliwe kolumny, przypominające kły. Dostrzegła za nimi blade twarze pod błyszczącymi hełmami. Tu i tam w smoczych lancach odbijało się światło. Rycerze spojrzeli na mijającą ich Lauranę.

– Cofnijcie się! – krzyknęła. – Nie wychodźcie zza kolumn.

– Sturm? – zapytał jeden z nich.

Laurana potrząsnęła głową, zbyt wyczerpana, by mówić. Przebiegła pod trzecią bramą – tą dziwną, z dziurą w środku. Tu stali czterej rycerze i Flint. To było kluczowe stanowisko. Laurana chciała, by znalazł się na nim ktoś, komu mogła zaufać. Flint wyczytał z jej twarzy los swego przyjaciela. Krasnolud spuścił głowę na chwilę i przysłonił dłonią oczy.

Laurana biegła dalej: przez małą komnatę, pod podwójnymi wrotami z litej stali, aż dotarła do komnaty ze smoczą kulą.

Tasslehoff wytarł kurz z kuli własną chusteczką. Laurana widziała teraz, co jest w jej wnętrzu – słabiutka, czerwona mgła wirująca niezliczonymi barwami. Kender stał obok niej i zaglądał do środka. Na czubku małego nosa miał swe czarodziejskie okulary.

– Co mam robić? – wysapała zadyszana Laurana.

– Laurano – błagał Tas – nie rób tego! Przeczytałem, że jeśli nie uda ci się zapanować nad esencją smoków, zakłętą w kuli, smoki przybędą i zawładną tobą, Laurano!

– Powiedz, co mam robić! – rzekła zdecydowanie Laurana.

– Przyłóż dłonie do kuli – zająknął się Tas – i... nie, poczekaj, Laurano!

Było za późno. Laurana już położyła obie smukłe dłonie na zimnym kryształce kuli. Z wnętrza kuli trysnęło jaskrawe, kolorowe światło, tak jasne, że Tas musiał odwrócić oczy.

– Laurano! – krzyknął swym piskliwym głosikiem. – Posłuchaj! Musisz skoncentrować się i oczyścić umysł z wszystkiego, poza nagięciem kuli do swej woli! Laurano...

Jeśli nawet go usłyszała, nie dała znaku i Tas zdał sobie sprawę, że jest już pogrążona w bitwie o władzę nad kulą. Ze strachem przypomniał sobie ostrzeżenie Fizbana – śmierć dla tych, których kochasz, co gorsze – utrata duszy. Ledwo rozumiał złowieszcze słowa wypisane płomiennymi kolorami kuli, lecz wiedział dość, by uzmysławiać sobie, iż dusza Laurany jest w niebezpieczeństwie.

Z cierpieniem przyglądał się jej, pragnąc przyjść z pomocą – świadom, że nie wolno mu niczego uczynić. Laurana stała nieruchomo przez długą chwilę z dłońmi wspartymi o kulę, a z jej twarzy odpływało powoli życie. Wbijiała wzrok w głębię wirujących, zmiennych kolorów. Kenderowi zakręciło się w głowie od patrzenia na nią i musiał odwrócić się, czując mdłości. Na zewnątrz nastąpiła kolejna eksplozja. Z sufitu posypał się kurz. Tas drgnął niespokojnie. Laurana jednak nawet się nie poruszyła.

Miała zamknięte oczy i spuszczoną głowę. Ścisnęła kulę dłońmi białymi od wysiłku. Potem zaczęła szlochać i potrząsać głową. – Nie – jęknęła – i wydawało się, że rozpaczliwie usiłuje oderwać ręce. Kula jednak nie puszczała.

Tas rozmyślał rozpaczliwie nad tym, co powinien zrobić. Miał ochotę podbiec i odciągnąć ją. Żałował, że nie rozbił kuli, lecz teraz nie mógł już nic uczynić. Mógł tylko stać i bezradnie się przyglądać.

Ciało Laurany drgnęło konwulsyjnie. Tas ujrzał, jak elfia panna osuwa się na kolana, nie wypuszczając kuli z rąk. Potem Laurana gniewnie potrząsnęła głową. Mruczając obce mu słowa w mowie elfów, zaciekle starała się wstać, używając kuli jako punktu podparcia. Jej dłonie zbieleły z wysiłku, a pot spływał strużkami po jej twarzy. Wytężając wszelkie siły, Laurana podniosła się z bolesną powolnością.

Kula rozbłysła po raz ostatni, a potem kolory zlały się, stając się wieloma kolorami i żadnym. Wtem z kuli trysnęło jasne, czysto-białe światło. Laurana stała dumna i wprostowana przed smoczą kulą. Na jej twarzy malował się wyraz odprężenia. Uśmiechała się.

A potem upadła na podłogę, nieprzytomna.

Na dziedzińcu Wieży Najwyższego Klerysta smoki systematycznie obracały kamienne mury w gruzy. Armia zbliżała się do wieży ze smokowcami w pierwszych szeregach, szykując się do wejścia przez wyłomy w murach i zabicia wszystkiego, co żyło wewnątrz. Smoczy władca krążył ponad tym chaosem na grzbiecie błękitnego smoka, którego lewe nozdrze było czarne od skrzepłej krwi. Władca nadzorował unicestwienie twierdzy. Wszystko szło doskonale do chwili, gdy jasny blask dnia przeszyło czystobiałe światło promieniujące z trzech olbrzymich, rozwartych wejść do wieży.

Jeźdźcy smoków zerknęli na te promienie, od niechcienia zastanawiając się, co też mogą one oznaczać. Ich smoki jednakże zareagowały inaczej. Uniosły głowy, a oczy zaszyły im mgłą. Smoki posłyszały zew.

Uwięziona przez starożytnych magów i opanowana przez elfią pannę esencja smoków, zawarta w kuli, uczyniła to, co musiała, gdy jej rozkazano. Wysłała nieodparty zew. Smoki nie miały innego wyboru, jak odpowiedzieć nań i próbować za wszelką cenę dotrzeć do jego źródła.

Na próżno zaskoczeni jeźdźcy usiłowali zawrócić swe wierzchowce. Smoki nie słyszały już rozkazujących głosów jeźdźców, tylko jeden jedyny głos – głos kuli. Oba smoki poszybowały w stronę otwartych na oścież bram, nie zważając na krzyczących i kapiących dziko jeźdźców.

Białe światło rozprzestrzeniło się poza mury wieży, padając na pierwsze szeregi smoczycy armii, a wtedy na oczach osłupiałych dowódców ich wojsko oszalało.

Zew kuli był wyraźnie słyszalny dla smoków. Jednakże smokowcy, którzy byli tylko po części smokami, słyszeli wezwanie jako ogłuszający głos, wykrzykujący sprzeczne rozkazy. Każdy słyszał głos na inny sposób, każdy otrzymał inne wezwanie.

Niektórzy smokowcy padli na kolana, chwytając się za głowy w bólu. Inni zawrócili i uciekli przed niewidzialną grozą czającą się w twierdzy. Jeszcze inni rzucili broń i pobiegli na oślep wprost do wieży. Nie minęło kilka chwil, gdy doskonale zaplanowany atak zmienił się w masową panikę. Tysiące wrzeszczących smokowców rozpierzchło się na tysiąc stron. Na widok ucieczki głównego trzonu armii, gobliny natychmiast zbiegły z pola walki, a ludzie stali osłupiali pośród zamętu, czekając na rozkazy, które nie nadchodziły.

Smoczy władca ogromną siłą woli ledwo opanował swego wierzchowca. Nie sposób było jednakże powstrzymać dwóch pozostałych smoków, ani też szaleństwa, jakie ogarnęło wojsko. Smoczy władca mógł tylko kipieć z bezsilnej wściekłości, usiłując ustalić, czym jest to białe światło oraz skąd pochodzi. A jeśli to możliwe – spróbować je zniszczyć.

Pierwszy błękitny smok doleciał do pierwszej kraty i wpadł przez olbrzymią bramę. Jego jeździec schylił głowę w samą porę, by nie rozbić jej o ścianę. Posłuszna wezwaniu kuli niebieska smoczyca leciała z łatwością przez szerokie korytarze, czubkami skrzydeł muskając ściany.

Przemknęła pod drugą kratą, wlatując do komnaty z dziwnymi, zębatymi kolumnami. W tym drugim pomieszczeniu, wyczuła woń ludzkiego ciała i stali, lecz tak nią zawładnęła kula, że nie zwracała na nich uwagi. Komnata była mniejsza, więc smoczyca zmuszona była przycisnąć skrzydła do boków, pozwalając się nieść impetowi.

Flint przyglądał się jej zbliżaniu. W ciągu swych stu czterdziestu kilku lat życia nie widział czegoś podobnego... i miał nadzieję, że nigdy więcej już tego nie zobaczy. Smoczy strach zalał ludzi zamkniętych w ciasnym pomieszczeniu niczym ogłupiająca fala. Młodzi rycerze cofnęli się pod ściany, zaciskając lance w drżących dłoniach i zasłaniali oczy, gdy potworne, niebiesko łuskowane ciało z grzmotem przeleciało obok nich.

Krasnolud chwiejnym krokiem cofnął się pod ścianę, nieśmiało kładąc odmawiającą posłuszeństwa dłoń na mechanizmie, który miał spuścić kratę. Nigdy nie był aż tak wystraszony. Powitałby za radością śmierć, gdyby tylko położyła kres tej grozie. Lecz smoczyca mknęła dalej, pragnąc tylko jednego – osiągnąć kuli. Wsunęła głowę pod osobliwą kratę.

Kierując się instynktem i wiedząc tylko, że smok nie może dotrzeć do kuli, Flint zwolnił spust mechanizmu. Krata zatrzasnęła się na szyi smoczycy, unieruchamiając ją. Głowa smoczycy była teraz uwięziona w małej komnacie. Jej szarpiące się ciało leżało bezradnie ze skulonymi skrzydłami w korytarzu, gdzie stali rycerze ze smoczymi lancami.

Zbyt późno smoczyca uzmysłowiła sobie, że wpadła w pułapkę. Zawyla tak wściekle, że kamienie zadygotały i popękały. Otworzyła paszczę, by zionąć błyskawicą i strzaskać smoczą kulę. Tasslehoff, który rozpaczliwie usiłował otrzeźwić Lauranę, dostrzegł wpatrujące się w niego dwa płonące ślepie. Ujrzał rozwierającą się smoczą paszczę, posłyszał syk zasysanego przez smoczą powietrza...

Z wnętrza smoczego gardła strzeliła błyskawica, wstrząs obalił kendera na ziemię. W komnacie eksplodowały kamienie, a smocza kula zadrżała na swym stojaku. Tas leżał na ziemi ogłuszony wybuchem. Nie mógł się ruszyć, w istocie nie miał nawet ochoty. Leżał tylko, czekając na następne uderzenie pioruna, które z pewnością zabije Lauranę – jeśli jeszcze do tej pory nie zginęła – i jego też. W tym momencie doprawdy było mu to obojętne.

Lecz uderzenie błyskawicy nie nastąpiło.

Mechanizm wreszcie zadziałał. Podwójne stalowe drzwi zatrzasnęły się przed pyskiem smoczycy, zamykając łeb stworzenia w małym pomieszczeniu.

Początkowo panowała grobowa cisza. A potem w komnacie rozległ się najbardziej przerażający wrzask, jaki można sobie wyobrazić. Był wysoki i przenikliwy, przejmujący cierpieniem, bowiem rycerze wyskoczyli z ukrycia za podobnymi do kłów kolumnami i wbili srebrne smocze lance w niebieskie, wijące się ciało uwięzionej smoczycy.

Tas zasłonił dłońmi uszy, starając się zagłuszyć ten straszny dźwięk. Bez przerwy wyobrażał sobie straszliwe zniszczenia, jakich na jego oczach smoki dokonywały w miastach, niewinnych ludzi, których zabijały. Wiedział, że smok zabiłby i jego – zabiłby bez litości... Prawdopodobnie zabił już Sturma. Wciąż przypominał sobie o tym, starając się utwardzić swe serce.

Jednak kender spuścił głowę w dłonie i rozplakał się.

Wtedy poczuł dotyk łagodnej ręki.

– Tas – usłyszał czyjś głos.

– Laurana! – Podniósł głowę. – Laurano! Przepraszam. Nie powinno mnie obchodzić, co zrobią z tym smokiem, ale nie mogę tego znieść. Laurano! Dlaczego nie można się obejść bez zabijania? Ja już nie mogę! – Po jego twarzy płynęły łzy.

– Wiem – szepnęła Laurana, a żywe wspomnienia śmierci Sturma mieszały się z krzykami konającej smoczycy. – Nie wstydz się, Tas. Bądź wdzięczny, że potrafisz odczuwać litość i zgrozę na widok śmierci wroga. Ten dzień, gdy staniemy się obojętni – nawet na los naszych nieprzyjaciół – będzie dniem naszej klęski.

Przerażające wycie stało się jeszcze głośniejsze. Tas wyciągnął ręce i Laurana objęła go mocno. Przywarli do siebie, starając się zagłuszyć wrzaski umierającego smoka. Wtem postyszeli inny dźwięk – ostrzegawcze wołanie rycerzy. Drugi smok wleciał do drugiego korytarza, roztrzaskując swego jeźdźca o ścianę przy próbie przeciśnięcia się przez mniejsze wejście na nieustające wezwanie smoczej kuli. Rycerze ogłaszali alarm.

W tym momencie sama wieża zadrżała w posadach, wstrząśnięta gwałtownym podrygiwaniem udręczonej smoczycy.

– Chodźmy! – zawołała Laurana. – Musimy stąd uciekać! – Stawiając Tasa na nogi, pobiegła w stronę małych drzwi w ścianie, które wyprowadzą ich na dziedziniec. Laurana otworzyła szarpnięciem drzwi w chwili, gdy smok wsunął łeb do komnaty z kulą. Tas nie mógł powstrzymać się, by nie stanąć i popatrzeć. Widok był fascynujący – płonące oczy smoka, doprowadzonego do szału odgłosami agonii swej partnerki i uświadamiającego sobie – zbyt późno – że wpadł w ten sam potrzask. Smok wykrzywił paszczę we wściekłym grymasie i zaczerpnął tchu. Podwójne stalowe drzwi zatrzasnęły się przed smokiem – lecz tylko do połowy.

– Laurano, drzwi się zacięły! – krzyknął Tas. – Smocza kula...

– Chodź już! – Laurana szarpnęła kendera za rękę. Strzelił piorun, Tas odwrócił się i pobiegł, słysząc jak eksploduje za nim pomieszczenie, stając w ogniu. Komnatę wypełniły głązy i kamienie. Białe światło smoczej kuli zostało pogrzebane pod gruzami walącej się Wieży Najwyższego Klerysta.

Wstrząs zbił z nóg Lauranę i Tasa, rzucając ich o ścianę. Tas pomógł wstać Lauranie, a następnie oboje ruszyli dalej w stronę słonecznego światła.

Wtem ziemia przestała się trząść. Ucichł łoskot walących się kamieni. Co jakiś czas rozlegał się tylko ostry trzask lub głucho dudnienie. Zatrzymując się na chwilę dla złapania tchu, Laurana i Tas obejrzeni się za siebie. Koniec korytarza był całkowicie zablokowany, zasypany ogromnymi głazami wieży.

– A co ze smoczą kulą? – spytał Tas.

– Dobrze się stało, że została zniszczona.

Teraz, gdy Tas mógł zobaczyć Lauranę wyraźniej w świetle dnia, jej obraz zdumiał go. Twarz miała śmiertelnie bladą, nawet z warg spłynęła cała krew. Jedyne kolor zachował się w jej zielonych oczach, a te wydawały się niepokojąco wielkie, podkreślone sinymi smugami.

– Nie mogłabym użyć jej jeszcze raz – szepnęła bardziej do siebie niż do niego. – Niemal się poddałam. Ręce... nie mogę o tym mówić! – Dygocząc przysłoniła oczy.

– Wtedy przypomniałam sobie o Sturmie, który stał na murze, samotnie stawiając czoło śmierci. Gdybym się poddała, jego śmierć nie miałaby sensu. Nie mogłam na to pozwolić. Nie mogłam go zawieść. – Drżąc potrząsnęła głową. – Zmusiłam kulę do poddania się mej woli, lecz wiedziałam, że mogłabym to zrobić tylko raz. Nigdy, nigdy więcej nie przejdę przez to!

– Sturm nie żyje? – Głos Tasa zadrżał.

Laurana spojrzała na niego i wyraz jej oczu złagodniał.

– Tak mi przykro, Tas – rzekła. – Nie zdawałam sobie sprawy, że nie wiesz o tym. On – on zginął, walcząc ze smoczym władcą.

– Czy... czy to było... – wykrztusił Tas.

– Tak, to stało się szybko – powiedziała łagodnie Laurana. – Nie cierpiał długo.

Tas zwiesił głowę, a potem szybko podniósł ją, gdy następny wybuch wstrząsnął tym, co zostało z fortecy.

– Smocze armie... – szepnęła Laurana. – Nasza walka jeszcze się nie skończyła. – Jej dłoń spoczęła na rękojeści miecza Sturma, który przypasała do swej wiotkiej talii. – Idź

znaleźć Flinta.

Laurana wyszła z tunelu na dziedziniec, mrużąc oczy przed jaskrawym blaskiem słońca, niemal zdziwiona, że jeszcze jest dzień. Tyle się wydarzyło, że wydawało jej się, iż mogły upłynąć lata. Słońce jednak ledwo wspinało się ponad mur otaczający dziedziniec.

Wysoka Wieża Najwyższego Klerysta zawaliła się – została po niej kupa kamiennego gruzu, leżąca pośrodku dziedzińca. Wejścia i korytarze, prowadzące do smoczej kuli, były całe, z wyjątkiem miejsc, zdruzgotanych przez smoki. Mury zewnętrznej fortecy wciąż stały, choć w wielu miejscach rozbite i osmalone błyskawicami smoków.

Wojska jednak nie wdzierały się przez wyrwy w murach. Laurana zdała sobie sprawę, że jest cicho. Z tuneli za nią dobiegały wrzaski konającego drugiego smoka i ochryple okrzyki rycerzy kończących rzeź.

Co się stało z armią? – zastanawiała się Laurana, rozglądając się nie rozumiejącym wzrokiem. Muszą wspinać się na mury. Ze strachem spojrzała w górę, spodziewając się dostrzec straszne stwory wdzierające się przez mury obronne.

I wtedy zobaczyła błysk słońca na zbroi. Ujrzała bezkształtny zarys na szczycie muru.

Sturm. Przypomniała sobie sen, przypomniała sobie okrwawione ręce smokowców rąbiących ciało Sturma.

To się nie może wydarzyć! – pomyślała zawzięcie. Wyciągając miecz Sturm, pobiegła przez dziedziniec. Natychmiast uświadomiła sobie, że prastara broń będzie za ciężka, by mogła nią władać. Lecz co miała innego? Pośpiesznie rozejrzała się dookoła. Smocze lance! Upuściwszy miecz, chwyciła jedną z nich. Potem, trzymając z łatwością lekką lancę dla pieszego, wspięła się po schodach.

Laurana dotarła do szczytu murów obronnych i spojrzała na równiny, spodziewając się zobaczyć tam napływającą czarną falę wojsk. Równina jednak była pusta. Stało na niej tylko kilka grup ludzi, którzy rozglądali się błędnym wzrokiem.

Cóż to mogło znaczyć? – Laurana nie miała pojęcia i była zbyt zmęczona, by się nad tym zastanawiać. Zgasło jej dzikie uniesienie. Spłynęło na nią znużenie i żal. Ciągnąc za sobą lancę, podeszła chwiejnym krokiem do ciała Sturma, które leżało na zakrwawionym śniegu.

Laurana uklękła obok rycerza. Wyciągnąwszy rękę, odgarnęła rozwiane przez wiatr włosy, by jeszcze raz spojrzeć na twarz przyjaciela. Po raz pierwszy od chwili, gdy spotkała Sturm, Laurana zobaczyła spokój w jego martwych oczach.

Uniósłszy jego chłodną dłoń, przycisnęła ją do swego policzka. – Śpij, drogi przyjacielu – szepnęła – i niech we śnie nie niepokoją cię smoki. – Potem, gdy odkładała zimną, białą dłoń na zbroję, zauważyła jasny błysk w zakrwawionym śniegu. Podniosła

przedmiot tak zalany krwią, że nie mogła poznać, co to jest. Laurana ostrożnie starła śnieg i krew. Był to klejnot. Przyglądała mu się z osłupieniem.

Zanim jednak zdołała zastanowić się, skąd tu się wziął, padł na nią głęboki cień. Laurana usłyszała skrzypienie ogromnych skrzydeł i świst oddechu wciągane do gigantycznego ciała. Z lękiem zerwała się na nogi i szybko odwróciła.

Za nią na murze wylądował niebieski smok. Stwór łopotał skrzydłami. Z wysokości siodła na smoczym grzbiecie smoczy władca mierzył Lauranę zimnym, odpychającym wzrokiem zza strasznej maski.

Laurana zrobiła krok do tyłu, ogarnięta smoczym strachem. Lanca wysunęła się z jej bezwładnej dłoni, klejnot upadł w śnieg. Odwróciwszy się, Laurana chciała uciekać, lecz nie widziała, dokąd biegnie. Poślizgnęła się, upadła w śnieg i drżąc, leżała obok ciała Sturma.

Sparaliżowana strachem, myślała tylko o jednym – o śnie! Tutaj zginęła – tak jak zginął Sturm. Gdy smok schylił swój wielki kark nad Laurana, nie widziała już niczego poza błękitnymi łuskami.

Smoczy władca! Rozpaczliwie szukając jej w mokrym od krwi śniegu, Laurana zacisnęła palce na drzewcu. Zaczęła wstawać, zamierzając wbić w szyję smoka.

Lecz czarny but przydepnął gwałtownie lancę, ledwo omijając jej dłoń. Laurana przyglądała się lśniącemu, czarnemu butowi, ozdobionemu złotym wzorem, który połyskiwał w słońcu. Spojrzała na czarny but stojący w krwi Sturma i zaczerpnęła głęboko tchu.

– Dotknij jego ciała, a zginiesz – powiedziała cicho Laurana. – Twój smok nie zdoła cię uratować. Ten rycerz był moim przyjacielem i nie pozwolę jego zabójcy sprofanować ciała.

– Nie mam takiego zamiaru – rzekł smoczy władca. Poruszając się ze świadomą powolnością, nachylił się i delikatnie zamknął rycerzowi oczy utkwione w słońcu, którego już nigdy nie ujrzy.

Smoczy władca wyprostował się, odwracając twarz do elfiej panny, która klęczała na śniegu i zabrał stopę ze smoczej lancy. – Widzisz, on był również moim przyjacielem. Zobaczyłam to – w chwili, gdy go zabiłam.

Laurana przyjrzała się smoczemu władcy. – Nie wierzę ci – powiedziała zmęczonym głosem. – Jak to możliwe?

Z całym spokojem smoczy władca zdjął okropną, rogatą maskę. – Sądzę, że słyszałaś o mnie, Lauranthalaso. Tak ci przecież na imię, prawda?

Oniemiała Laurana skinęła głową, wstając na nogi.

Smoczy władca uśmiechnął się czarującym uśmiechem. – A ja nazywani się...

– Kitiara.

– Skąd wiesz?

– Sen... – szepnęła Laurana.

– Och, tak – ten sen. – Kitiara przeczesła swe kędzierzawe, ciemne włosy dłonią w rękawicy. – Tanis powiedział mi o śnie. Wygląda na to, że przyśnił się wam wszystkim. Tanis tak właśnie sądził. – Ludzka kobieta spojrzała na ciało Sturma leżące u jej stóp. – Czyż to nie dziwne – jak śmierć Sturma sprawdziła się? A Tanis powiedział, że dla niego sen również się sprawdził: ta część, w której ocalałam mu życie.

Laurana zaczęła drzeć. Z jej oblicza, które już było blade z wyczerpania, spłynęła wszelka krew, tak że twarz wydawała się przezroczysta. – Tanis?... Widziałaś Tanisa?

– Jeszcze dwa dni temu – odrzekła Kitiara. – Zostawiłam go we Flotsam, by zadbał o sprawę podczas mojej nieobecności.

Chłodne, spokojne słowa Kitiary przeszły duszę Laurany tak, jak włócznia smoczego władcy przebiła ciało Sturma. Laurana miała uczucie, że kamienie zaczynają jej się usuwać spod stóp. Niebo i ziemia zlały się w jedno, ból rozcinał ją na dwoje. Ona kłamie, myślała rozpaczliwie Laurana. Wiedziała jednak z pełną rozpaczy nieomylnością, że – choć Kitiara mogłaby skłamać, gdyby chciała – w tej chwili mówiła prawdę.

Laurana zachwiała się i prawie upadła. Tylko zacięte postanowienie, by nie ujawnić swej słabości przed tą kobietą trzymało elfią pannę na nogach. Kitiara nie dostrzegła, tego. Schyliwszy się podniosła broń, która wypadła Lauranie z ręki i przyjrzała jej się z ciekawością.

– Więc to jest ta osławiona smocza lanca? – spytała Kitiara.

Laurana przełknęła dławiący ją żal, zmuszając się do mówienia normalnym głosem. – Tak – odparła. – Jeśli chcesz zobaczyć, do czego jest zdolna, zajrzyj za mury twierdzy, a zobacz, co zostało z twoich smoków.

Kitiara bez większego zainteresowania zerknęła na dziedziniec. – To nie one zwabiły moje smoki w pułapkę – powiedziała, mierząc Lauranę chłodnym spojrzeniem brązowych oczu – ani nie rozpedziły moich wojsk na cztery wiatry.

Jeszcze raz Laurana popatrzyła na puste równiny.

– Tak – rzekła Kitiara, dostrzegając zrozumienie świtające na twarzy Laurany. – Zwyciężyliście – dzisiaj. Ciesz się swym zwycięstwem, elfie, bowiem będzie krótkotrwałe.

– Smoczy władca zręcznie obrócił lancę w dłoni i wymierzył ją w serce Laurany. Elfia panna stała nieruchomo przed nią, a jej delikatna twarz pozbawiona była wyrazu.

Kitiara uśmiechnęła się. Szybkim ruchem odwróciła morderczy cios. – Dziękuję ci za

tę broń – powiedziała, stawiając lancę w śniegu. – Otrzymywaliśmy doniesienia o nich. Teraz będziemy mogli dowiedzieć się, czy rzeczywiście są tak groźną bronią, jak twierdzisz.

Kitiara skłoniła się lekko. Następnie nałożyła hełm z maską, schwyciła smoczą lancę i odwróciła się, by odejść. Kiedy to czyniła, jej spojrzenie padło jeszcze raz na ciało rycerza.

– Dopilnuj, by urządzono mu rycerski pogrzeb – powiedziała Kitiara. – Odbudowanie armii zajmie nam co najmniej trzy dni. Daję ci czas na przygotowanie godnej ceremonii.

– Sami pochowamy naszych zmarłych – oświadczyła dumnie Laurana. – Nie prosimy cię o nic!

Wspomnienie śmierci Sturma i widok ciała rycerza sprowadził Lauranę na ziemię niczym chluśnięcie zimnej wody na twarz śpiącego. Przesuwając się, by stanąć pomiędzy ciałem Sturma a smoczym władcą, Laurana spojrzała w brązowe oczy błyszczące za smoczą maską.

– Co powiesz Tanisowi? – spytała nagle.

– Nic – odparła zwyczajnie Kit. – Zupełnie nic.

– Odwróciła się i odeszła.

Laurana przyglądała się, jak odchodzi powolnym, pełnym gracji krokiem spowita w czarną pelerynę, którą rozwiewał ciepły wiatr wiejący od północy. Słońce załśniło na zdobyczy, którą Kitiara trzymała w prawej ręce. Laurana wiedziała, że powinna odebrać lancę. W dole była cała armia rycerzy. Wystarczyło tylko zawołać.

Lecz zmęczony umysł i ciało Laurany odmawiały posłuszeństwa. Nawet samo utrzymanie się na nogach było wysiłkiem. Tylko dzięki swej dumie nie upadła na zimne kamienie.

– Weź smoczą lancę – powiedziała bezgłośnie Laurana do Kitiary. – Na niewiele ci się zda.

Kitiara podeszła do olbrzymiego niebieskiego smoka. Na dole rycerze wyszli na dziedziniec, ciągnąc ze sobą głowę jednego z jej błękitnych smoków. Skie potrząsnął gniewnie głową na ten widok, a z jego piersi wydarł się głuchy, dziki pomruk. Rycerze zwrócili pełne zdumienia twarze w stronę murów, gdzie dostrzegli smoka, samego smoczego władcę i Lauranę. Niejeden sięgnął po broń, lecz Laurana podniosła dłoń, by ich powstrzymać. Był to ostatni gest, na jaki miała dość sił.

Kitiara rzuciła rycerzom pogardliwe spojrzenie i położyła dłoń na karku Skie, głaszcząc go i uspokajając. Nie śpieszyła się, pokazując im, że się ich nie boi.

Rycerze niechętnie opuścili broń.

Śmiejąc się szyderczo, Kitiara dosiadła smoka.

– Żegnaj Lauralanthalaso – zawołała.

Unosząc smoczą lancę wysoko, Kitiara rozkazała Skie odlecieć. Wielki niebieski smok rozpostarł skrzydła i lekko wzbił się w powietrze. Kierując nim zręcznie, Kitiara przeleciała tuż nad głową Laurany.

Elfia panna spojrzała w ognistoczerwone ślepie smoka. Zobaczyła zranione, zakrwawione nozdrze i rozwartą, wściekle wykrzywioną paszczę. Na jego grzbiecie, pomiędzy olbrzymimi skrzydłami siedziała Kitiara w połyskującej zbroi ze smoczych łusek i rogowym hełmie, w którym odbijało się słońce. Słońce błysnęło również na grocie smoczej lancy.

Potem smocza lanca wypadła z dłoni smoczego władcy i migotała, obracając się podczas upadku. Spadła z brzękiem na kamienie u stóp Laurany.

– Zatrzymaj ją – zawołała do niej Kitiara dźwięcznym głosem. – Jeszcze ci się przyda!

Niebieski smok wznosił skrzydła, złapał prąd powietrzny i wzbił się w niebo, znikając w słońcu.

Pogrzeb

Była ciemna i bezgwiezdna zimowa noc. Wiatr zmienił się w zawieruchę, która chłostała zamarzającym deszczem i śniegiem. Wicher przeszywał zbroje niczym groty strzał, ścinając mrozem krew i ducha. Nie wystawiono wart. Człowiek, stojący na murach Wieży Najwyższego Klerysta, zamarzłby na śmierć na posterunku.

Nie było potrzeby wystawiać warty. Przez cały dzień, dopóki świeciło słońce rycerze wpatrywali się w równiny, lecz nie dostrzegli śladu powrotu smoczycich armii. Nawet kiedy zapadł zmierzch, na horyzoncie widać było zaledwie kilka ognisk.

Tej zimowej nocy, przy wtórce wycia wichru, które rozbrzmiewało w ruinach zdruzgotanej wieży, jak wrzaski zabijanych smoków, rycerze solamnijscy pochowali swych zmarłych.

Zwłoki zaniesiono do przypominającego grootę grobowca w podziemiach wieży. Niegdyś chowano tam zmarłych rycerzy zakonnych. Jednakże było to w dawnych czasach, gdy Huma wyruszył na spotkanie chwalebnej śmierci na pola pod murami wieży. Grobowiec pewno pozostałby zapomniany, gdyby nie wścibstwo kendera. Kiedyś krypty musiały być strzeżone i dobrze utrzymane, lecz czas dotknął nawet zmarłych, o których powiada się, że nie podlegają wpływowi czasu. Kamienne trumny pokrywała gruba warstwa delikatnego kurzu. Kiedy go starto, napisów wykutych w kamieniu nie można było już odczytać.

Nazywany komnatą Paladine grobowiec był dużym, prostokątnym pomieszczeniem, które wybudowano głęboko poniżej poziomu ziemi, tak że zniszczenie wieży nie wywarło nań wpływu. Prowadziły do niego długie, wąskie schody rozpoczynające się za wielkimi, żelaznymi drzwami, na których widniał symbol Paladine – platynowy smok, starożytny symbol śmierci i zmartwychwstania. Rycerze przynieśli pochodnie, by oświetlić komnatę i umieścili je w zardzewiałych pierścieniach na ścianach z kruszejącego kamienia.

Kamienne trumny prastarych zmarłych stały pod ścianami. Nad każdą znajdowała się żelazna tabliczka podająca imię rycerza, jego ród i datę śmierci. Pośrodku, pomiędzy rzędami trumien, znajdowała się nawa wiodąca do marmurowego ołtarza znajdującego się w głębi pomieszczenia. W środkowej nawie komnaty Paladine rycerze złożyli ciała swych zabitych towarzyszy.

Nie było czasu zbierać trumien. Wszyscy wiedzieli, że smocze armie wrócą. Rycerze muszą zająć się umacnianiem zburzonych murów fortecy, a nie budowaniem domów dla tych, którym już jest wszystko jedno. Znieśli zwłoki swych towarzyszy do komnaty Paladine i

ułożyli je długimi rzędami na zimnej, kamiennej posadzce. Ciała spowito w starożytne płótna przeznaczone do ceremonialnego zawijania zmarłych. Na to również nie było czasu. Na piersi każdego rycerza leżał jego miecz, a u stóp położono jakiś znak nieprzyjaciela – strzałę, powgniataną tarczę lub szpony smoka.

Kiedy zniesiono ciała do rozświetlonej pochodniami komnaty, zgromadzili się rycerze. Stanęli wśród zmarłych, każdy u boku swego przyjaciela, towarzysza broni, brata. Wtedy, w ciszy tak przejmującej, że wszyscy słyszeli bicie swych serc, wniesiono trzy ostatnie ciała. Wniesiono je na marach, którym towarzyszyła pełna solennej powagi gwardia honorowa.

Pogrzeb ten powinien zostać urządzony z całą pompą i ceremoniałem wyszczególnionym w regule. Przy ołtarzu powinien stać wielki mistrz odziany w paradną zbroję. Obok niego powinien znajdować się najwyższy kleryst w zbroi okrytej białymi szatami kapłana Paladine. Powinien też stać tam najwyższy sędzia w zbroi przysłoniętej czarnymi szatami sędziego. Sam ołtarz powinien być przystrojony różami. Powinny się na nim znaleźć złote herby przedstawiające zimorodka, koronę i miecz.

Lecz przy ołtarzu stała tylko elfia panna odziana w powgniataną i splamioną krwią zbroję. Obok niej stał stary krasnolud z głową spuszczoną z żalu i kender, którego twarz chochlika wyrażała głęboki smutek. Jediną różą na ołtarzu była czarna róża znaleziona za pasem Sturma; jedynym ornamentem była srebrna smocza lanca szerniała od zaschniętej krwi.

Gwardia zaniósła zwłoki na przód komnaty i z szacunkiem złożyła je przed trójką przyjaciół.

Po prawej leżało ciało Alfreda MarKenina. Jego okaleczone, bezgłowe zwłoki litościwie skrywał biały całun. Po lewej leżał Derek Crownguard. Jego ciało nakryto białym płótnem, by zasłonić ohydny, szyderczy uśmiech, jaki śmierć utrwaliła na jego twarzy. Pośrodku spoczywało ciało Sturma Brightblade. On nie był przykryty białym całunem. Leżał w zbroi, jaką miał na sobie w chwili śmierci: zbroi swego ojca. W zimnych dłoniach złożonych na piersi ścisnął prastary ojcowski miecz. Jeszcze jeden ornament leżał na jego strzaskanej piersi, pamiątka, której nie rozpoznał żaden z rycerzy.

Był to gwiazdny klejnot, który Laurana znalazła w kałuży krwi rycerza. Klejnot był ciemny, jego blask bowiem gasł już wtedy, gdy Laurana trzymała go w dłoni. Wiele rzeczy stało się dla niej jasnych, gdy później przyglądała się gwiazdnemu klejnotowi. A więc to w taki sposób dzielili sen w Silvanesti. Czy Sturm zdawał sobie sprawę z jego mocy? Czy wiedział o więzi, jaka utworzyła się między nim a Alhaną? Nie, pomyślała Laurana ze

smutkiem, prawdopodobnie nie wiedział. Nie mógł też uświadamiać sobie miłości, której ten klejnot był znakiem. Żaden człowiek nie potrafiłby. Ostrożnie położyła go na jego piersi, rozmyślając ze smutkiem o ciemnowłosej elfiej kobiecie, która musi wiedzieć, że serce, na którym spoczywa migoczący gwiazdny klejnot, przestało bić na zawsze.

Gwardia honorowa cofnęła się o krok i czekała. Zgromadzeni rycerze stali przez chwilę ze spuszczonej głowami, a następnie podnieśli je i spojrzeli na Lauranę.

Powinna być to pora na dumne przemówienia, na recytację bohaterskich czynów nieżyjących rycerzy. Przez chwilę jednak słychać było tylko rzeźący szloch starego krasnoluda i ciche popłakiwanie Tasslehoffa. Laurana popatrzyła na spokojną twarz Sturm i nie mogła powiedzieć ani słowa.

Przez chwilę zazdrościła Sturmowi, zazdrościła mu rozpaczliwie. On już ma za sobą ból, cierpienie i samotność. Jego wojna została stoczona. On zwyciężył.

– Opuściłeś mnie! – krzyknęła w udręce Laurana. – Zostawiłeś samą! Najpierw Tanis, potem Elistan, a teraz ty. Ja nie potrafię! Nie jestem dość silna! Nie mogę pozwolić ci odejść, Sturmie. Twoja, śmierć była bezsensowna i niepotrzebna! To skandal i oszustwo! Nie pozwolę ci odejść. Nie ze spokojem! Nie bez gniewu!

Laurana uniosła głowę, a jej oczy płonęły w blasku pochodni.

– Spodziewacie się szlachetnej przemowy – rzekła głosem równie zimnym co powietrze w grobowcu. – Szlachetnej przemowy sławiącej bohaterskie czyny tych, którzy zginęli. No więc nie doczekacie się jej. Nie ode mnie!

Rycerze powiedli spojrzeniem po sobie i spochmurnieli.

– Ci ludzie, którzy powinni być zjednoczeni w szeregach bractwa stworzonego w zaraniach Krynnu, zginęli zaciekle skłóceniami ze sobą, a przyczyną tego była pycha, ambicja i chciwość. Wasz wzrok pada na Dereka Crownwarda, lecz nie na nim spoczywa cały ciężar winy. Spoczywa on na was. Na was wszystkich! Wszystkich, którzy opowiedzieli się po którejś ze stron w tej lekkomyślnej walce o władzę.

Kilku rycerzy spuściło głowy, niektórzy pobledli ze wstydu i gniewu. Lauranę dusiły łzy. Wtedy poczuła, jak Flint bierze ją za dłoń i ściska, dodając otuchy. Przełknąwszy dławiący ją ucisk w gardle, zaczerpnęła głęboko tchu.

– Tylko jeden człowiek wznosił się ponad to. Tylko jeden pomiędzy was żył zgodnie z kodeksem każdego dnia swego życia. A przez większość z tych dni nie był nawet rycerzem. Albo raczej, był rycerzem na sposób, który znaczy najwięcej – w sercu, nie na jakiejś oficjalnej liście.

Sięgnąwszy za siebie, Laurana wzięła okrwawioną smoczą lancę z ołtarza i podniosła

ją wysoko nad głowę. A kiedy ją unosiła, wraz z nią wzniósł się jej duch. Skrzydła ciemności wiszące nad nią rozpięzły się. Kiedy odezwała się głośno, rycerze spojrzeli na nią ze zdumieniem. Jej piękno pobłogosławiło ich jak piękno wiosennego świtu.

– Jutro wyjadę stąd – rzekła cicho Laurana, błyszczącymi oczyma spoglądając na smoczą lancę. – Pojadę do Palanthis. Zaniosę opowieść o dzisiejszym dniu! Zabiorę ze sobą lancę i głowę smoka. Cisnę tę złowieszczą, krwawą głowę na stopnie ich wspaniałego pałacu. Stanę na smoczej głowie i zmuszę ich, by mnie słuchali! I Palanthis wysłucha mnie! Zobaczą grożące im niebezpieczeństwo! A potem popłynę do Sancrist i Ergoth i do każdego innego miejsca na świecie, gdzie ludzie nie chcą odłożyć swych przyziemnych nienawiści i złączyć swych sił. Bowiem dopóki nie pokonamy zła w sobie – tak jak uczynił to ten mąż – nigdy nie zdołamy pokonać tego wielkiego zła, które grozi nam!

Laurana uniosła ręce i oczy ku niebu. – Paladine! – krzyknęła, a jej głos zabrzmiał dźwięcznie jak fanfara. – Przychodzimy do ciebie, Paladine, odprowadzając dusze tych prawych rycerzy, którzy zginęli w Wieży Najwyższego Klerysta. Daj nam, którzyśmy zostali na tym rozdartym wojną świecie, tę samą szlachetność ducha, która zdobi śmierć tego męża!

Laurana zamknęła oczy, z których popłynęły po jej policzkach niepowstrzymane i nie zauważone łzy. Nie opłakiwała już Sturma. Było jej żal siebie samej, tego że będzie jej go brakowało, że będzie musiała powiedzieć Tanisowi o śmierci jego druha, że będzie musiała żyć na tym świecie bez szlachetnego przyjaciela u jej boku.

Powoli odłożyła lancę z powrotem na ołtarz. Następnie przykłęka przed nią na moment, czując jak Flint otacza ją ramieniem, a Tasslehoff łagodnie dotyka jej dłoni.

Jakby w odpowiedzi na jej modlitwę, usłyszała za swymi plecami głosy rycerzy wznoszących własne modły do wielkiego i prastarego boga, Paladine.

Przywróć tego męża na łono Humy:

Niech zagubi się w blasku słońca,
W chórze przestworzy, gdzie przemienia się tchnienie;
Przyjmij go na granicy nieboskłonu.

Ponad dzikim, obojętnym sklepieniem nieba

Założyłeś swą siedzibę,
W kwaterze gwiazd, gdzie miecz wznosi się wysoko
W łuku tęsknoty, gdzie przyłączamy się do śpiewu.

Udziel mu spoczynku wojownika.

Ponad naszym śpiewem, ponad samą pieśnią,
Niech wieki pokoju złączą się w jeden dzień,
Niech zamieszkuje w sercu Paladine.

I uwolniwszy ostatnią iskrę jego spojrzenia

Skieruj ją na niezmiennie i święte miejsce
Ponad słowami i pożyczoną ziemią, którą zbyt kochamy,
Przeliczając wieki.

Od ciężkich chmur wojen

Jak niegdyś, gdy był dziecięciem,
Przed którym .możliwy świat był jasny i niezmierny,
Lordzie Humo, wybaw jego duszę.

Skieruj ją ku pochodniom gwiazd,

Gdzie wyrysowano mapę niepokalanej chwały dzieciństwa;
Od tego skrzywdzonego i tulącego się bojaźliwie kraju,
Lordzie Humo, wybaw go.

Niech ostatni poryw jego tchnienia

Wysławia wino, woń kwiatów;
Od przedniej straży miłości, z której ostatni się wycofywał,
Lordzie Humo, wybaw go.

Znajdzie ukojenie w kołysce przestworzy

Od serca miecza, który spada;
Od ciężaru bitwy na bitwie,
Lordzie Humo, wybaw go.

Ponad marzeniami kruków, gdzie

Jego sny po raz pierwszy zaznały niezmiennego odpoczynku,
Od tęsknoty za wojną i kresem wojny,
Lordzie Humo, wybaw go.

Tylko jastrząb pamięta śmierć

W kraju, który przeminał; od zmierzchu,
Od gaśnięcia zmysłów, jesteśmy ci wdzięczni, żeś
Lordzie Humo, wybawił go.

A potem pozwól jego duszy wznieść się do Humy,

Z ciała śmierci, ze skorupy próchniejącej,
Od siedziby umysłu w nicości, jesteśmy ci wdzięczni, żeś
Lordzie Humo, wybawił go.

Ponad dzikie, obojętne sklepienie nieba

Wzniosłeś swą siedzibę,
W kwaterach gwiazd, gdzie miecz wznosi się wysoko
W łuku tęsknoty, gdzie przyłączamy się do śpiewu.

Przywróć tego męża na lano Humy

Ponad dzikim, obojętnym sklepieniem nieba;

Udziel mu spoczynku wojownika

I uwolniwszy ostatnią iskrę jego spojrzenia

Od ciężkich chmur wojen,

Skieruj ją ku pochodniom gwiazd.

Niech ostatni poryw jego tchnienia

Znajdzie ukojenie w kołysce przestworzy

Ponad marzeniami kruków, gdzie

Tylko jastrząb pamięta śmierć.

A potem pozwól jego duszy wznieść się do Humy,

Ponad dzikie, obojętne sklepienie nieba.

Pieśń ucichła. Powoli i z powagą rycerze podchodzili pojedynczo, by złożyć hołd nieżyjącym, każdy przyklękając na chwilę przy ołtarzu. Potem rycerze solamnijscy opuścili komnatę Paladine, powracając do swych zimnych posłań, by odpocząć nieć przed nadejściem następnego dnia.

Laurana, Flint i Tasslehoff zostali sami przy swym przyjacielu. Objęli się nawzajem, a

w ich sercach nie było pustki. Mroźny wiatr gwizdał w otwartych wrotach do krypty, gdzie gwardia honorowa stała gotowa zapieczętować grobowiec.

– *Kharan bea Reorx* – powiedział Flint w języku krasnoludów, wycierając oczy sękata, roztrzęsioną dłonią. Przyjaciele spotykają się w Reorxie. Poszukawszy przez chwilę w sakwie, wyjął różę przepięknie wyrzeźbioną w kawałku drewna. Delikatnie położył ją na piersi Sturma obok gwiazdnego klejnotu Alhany.

– Żegnaj, Sturmie – powiedział niezręcznie Tas. – Mam tylko jeden podarunek, z którego – z którego byłbyś zadowolony. N-nie sądzę, żebyś to zrozumiał. Ale, kto wie, może teraz już rozumiesz. Może nawet rozumiesz to lepiej ode mnie. – Tasslehoff włożył do zimnej dłoni rycerza małe, białe piórko.

– *Quisalan elevas* – szepnęła Laurana w języku elfów. Nasza miłość będzie trwać wiecznie. Zatrzymała się, nie mogąc zostawić go samego w tej ciemności.

– Chodź, Laurano – rzekł łagodnie Flint. – Pożegnaliśmy się już. Teraz musimy pozwolić mu odejść. Reorx czeka na niego.

Laurana odsunęła się. Nie oglądając się za siebie, przyjaciele wspinali się po wąskich schodach grobowca w milczeniu i zdecydowanie wyszli w lodowatą, chłostzczącą zamieć mroźnej, zimowej nocy.

Daleko od zimnej Solamnii jeszcze jedna osoba żegnała się ze Sturmem Brightblade.

Silvanesti nie zmieniło się z upływem miesięcy. Choć koszmar Loraca zakończył się, a jego ciało spoczywało pod ziemią ukochanego kraju, ziemia wciąż pamiętała straszne sny Loraca. W powietrzu unosiła się woń śmierci i rozkładu. Drzewa gięły się i wykręcały w niekończącej się męce. Spotworniałe zwierzęta krążyły po puszczy, szukając kresu udręki, jaką było ich życie.

Na próżno Alhana wypatrywała ze swej komnaty w Wieży Gwiazd jakiegoś znaku zmian.

Wiedziała, że gryfy powrócą, gdy tylko smok odejdzie. I tak też się stało. Alhana była całkowicie zdecydowana opuścić Silvanesti i powrócić do swego ludu na Ergoth. Jednakże gryfy przyniosły niepokojące wieści o wojnie między elfami i ludźmi.

Oznaką zmian, jakie nastąpiły w Alhanie, oznaką tego, co wycierpiała w ciągu ostatnich miesięcy, był fakt, iż wieści te zmartwiły ją. Zanim spotkała Tanisa i pozostałych pogodziłaby się z wojną między elfami i ludźmi, a może nawet ucieszyłaby się z niej. Teraz jednak widziała w tym jedynie dzieło zła na świecie.

Wiedziała, że powinna wrócić do swego narodu. Być może zdoła położyć kres temu szaleństwu. Mówiła sobie jednak, że pogoda nie sprzyja podróżowaniu. W rzeczywistości

bała się wstrząsu i zetknięcia z niedowierzaniem swego ludu, kiedy powie im o zniszczeniu ojczyzny i obietnicy złożonej jej umierającemu ojcu, że elfowie wrócą i odbudują ją – po tym, jak pomogą ludziom walczyć z Królową Ciemności i jej sługami.

Och, wygrałaby. Nie miała wątpliwości. Jednak opuszczenie dobrowolnej samotni i zmierzenie się z wrzawą świata poza granicami Silvanesti napawało ją strachem.

Napawała ją również strachem – choć jednocześnie tęsknotą – myśl o zobaczeniu człowieka, którego kochała. Rycerza, którego dumna i szlachetna twarz nawiedzała jej sny, którego samą duszę dzieliła dzięki gwiazdnemu klejnotowi. Choć nie był tego świadom, ona stała przy nim, gdy walczył o odzyskanie honoru. Choć nie wiedział o tym, ona dzieliła jego cierpienia i stopniowo poznała głębię jego szlachetnego ducha. Z każdym dniem jej miłość do niego rosła, tak jak i strach przed miłością do niego.

Tak więc Alhana wciąż odkładała wyjazd. Odejdę, powtarzała sobie, kiedy dostrzegę jakiś znak, który będę mogła przekazać mojemu ludowi – znak nadziei. Inaczej nigdy nie wrócę. Zrezygnują w rozpacz. Dzień po dniu wyglądała przez okno.

Lecz żaden znak nie nadszedł.

Zimowe noce wydłużały się. Zapadał coraz głębszy mrok. Pewnego wieczoru Alhana spacerowała po murach Wieży Gwiazd. Wtedy w Solamni było popołudnie – a na innej wieży Sturm Brightblade stawiał czoła smokowi niebieskiemu jak niebo i smoczemu władcy, zwanemu Czarną Panią. Nagle Alhana doznała dziwnego i przerażającego uczucia – jakby świat przestał się obracać. Straszliwy ból przeszył jej ciało, zbijając ją z nóg na kamienną posadzkę. Szlochając ze strachu i żalu, zacisnęła w dłoni gwiazdny klejnot, który nosiła na szyi, w męce przyglądała się, jak Świątełko w jego wnętrzu migocze i gaśnie.

– A więc to jest mój znak! – krzyknęła gorzko, trzymając pociemniały klejnot w dłoni i wygrażając nim niebiosom. – Nie ma nadziei! Nie ma niczego prócz śmierci i rozpacz!

Ściskając klejnot tak mocno, że ostre krawędzie wbiły jej się w ciało, Alhana na oślep pobiegła przez ciemność do swego pokoju w wieży. Stamtąd jeszcze raz rzuciła spojrzenie na swój dogorywający kraj. Potem drżąc od płaczu, zatrzasnęła drewniane okiennice swego okna.

Niech na świecie robią, co chcą, powiedziała sobie z goryczą. Niech mój naród umiera na swój sposób. Zło zwycięży. Nie możemy nic na to poradzić. Umrę tutaj, razem z moim ojcem.

Tej nocy udała się w ostatnią podróż po ziemiach swego kraju. Bez zastanowienia narzuciła na ramiona cienki płaszcz i pobiegła do grobu, który znajdował się pod pokręconym, okaleczonym drzewem. W dłoni trzymała gwiazdny klejnot.

Rzuciwszy się na ziemię, Alhana zaczęła gorączkowo gołymi rękoma rozdrapywać zamarznięty grunt mogiły swego ojca, szybko kalecząc palce do krwi. Nie dbała o to. Z radością powitała ból, który o tyle łatwiej było znieść niż ból w jej sercu.

Wreszcie wygrzebała mały dołek. Wszedł czerwony księżyc, Lunitari, barwiąc krwią światło srebrnego księżyca. Alhana wpatrywała się w gwiazdny klejnot tak długo, aż przestała go widzieć przez łzy, a potem wrzuciła go do jamy, jaką wykopała. Siłą woli powstrzymała się od płaczu. Wycierając łzy z twarzy, zaczęła wypełniać dołek ziemią.

Nagle zatrzymała się.

Ręce jej drżały. Nieśmiało schyliła się i starła ziemię z gwiazdnego klejnotu, zastanawiając się, czy nie postradała zmysłów z żalu. Nie, z klejnotu promieniowało słabiutkie światełko, które na jej oczach nabierało mocy. Alhana wyjęła migoczący klejnot z grobu.

– Ale przecież on nie żyje – rzekła cicho, przyglądając się klejnotowi, który lśnił w srebrnej poświacie Solinari. – Wiem, że zabrała go śmierć. Nic tego nie może zmienić. A jednak, czemu to światło...

Nagły szelest spłoszył ją. Alhana cofnęła się raptownie, obawiając się, że ohydnie zmienione drzewo nad mogiłą Loraca wyciąga po nią swe skrzypiące gałęzie, by ją pochwycić. Lecz gdy przyjrzała się, zobaczyła że konary drzewa przestały wić się w męce. Przez chwilę wisiały bez ruchu, a potem – z westchnieniem – podniosły się ku niebu. Pień wyprostował się, a kora wygładziła i zaczęła błyszczeć w srebrnej księżycowej poświacie. Krew przestała kapać z drzewa. Liście znów poczuły w swych żyłach przepływ żywych soków.

Alhana jęknęła ze zdumienia. Wstała chwiejnie i rozejrzała się dookoła. Nic innego się nie zmieniło. Żadne inne drzewo nie wyglądało inaczej – tylko to jedno nad grobem Loraca.

Popadam w szaleństwo, pomyślała. Ze strachem odwróciła się, by znów spojrzeć na drzewo nad ojcowską mogiłą. Nie, ono rzeczywiście się odmieniło. Była świadkiem tego, jak stawało się coraz piękniejsze.

Alhana staranie odwiesiła gwiazdny klejnot na jego miejsce na jej sercu. Następnie odwróciła się i ruszyła z powrotem do wieży. Ma jeszcze wiele do zrobienia przed wyjazdem do Ergoth.

Następnego poranka, gdy słońce rzuciło swój blady blask na nieszczęśliwą krainę Silvanesti, Alhana spojrzała w stronę lasu. Nic się nie zmieniło. Nad cierpiącymi drzewami wciąż wisiała jadowicie zielona mgła. Wiedziała, że nie będzie inaczej dopóki elfowie nie

wrócą i nie przyłożą ręki do tej zmiany. Nic nie zmieniło się poza drzewem nad grobem Loraca.

– Żegnaj, Loracu – zawołała Alhana – dopóki nie powrócimy.

Wezwawszy swego gryfa, wspięła się na jego silny grzbiet i zdecydowanym tonem wypowiedziała rozkaz. Gryf rozłożył upierzone skrzydła i wzbił się w przestworza, szybko wznosząc się spiralami nad nieszczęsnym krajem Silvanesti. Na rozkaz Alhany odwrócił łeb na zachód i rozpoczął długi lot do Ergoth.

Daleko w dole, w Silvanesti, cudne liście jedyne drzewa stanowiły przepiękny kontrast z czernią spustoszonego lasu. Kołysało się na zimowym wietrze, nucąc cichą pieśń i rozkładając swe konary, by czekając na wiosnę, osłonić grób Loraca przed mrokiem zimy.

Z ksiąg Astinusa
Iconochronos - Rzeka Czasu

Chronologia wydarzeń na Krynnie.
Kontynent Ansalon

Wiek Narodzin Gwiazd
(Wiek bogów)

Najwyższy bóg kreśli pośród chaosu plany nowego początku i zapisuje je w księdze zwanej Tobril.

Przybycie bogów. Na wezwanie najwyższego boga przybywają z pustki inni bogowie, a pierwsza wyłania się para najpotężniejszych – Paladine, bóg jasności i Takhisis, bogini ciemności.

Stworzenie Krynnu. Reorx uderza swym młotem w chaos i z iskier powstają gwiazdy. Reorx tworzy glob Krynnu, rozdzielając niebiosy od ziemi i lądy od mórz. Pozostali bogowie obdarzają Krynn roślinnością, zwierzętami, pogodą i porami roku.

Stworzenie smoków. Takhisis, Paladine i Reorx tworzą z żywiołów ziemi pięciu władców świata – pierwsze smoki. Ulegają one jednak wpływowi Królowej Ciemności i stają się złe.

Stworzenie dobrych smoków. Paladine i Reorx tworzą z szlachetnych metali pięć następnych smoków, w które Mishakal tchnął życie. Tak powstają dobre smoki.

Wojna wszystkich smoków. Knowania Takhisis prowadzą do wojny bogów, smoków i wszystkich istot światła i ciemności. Grozi powrót chaosu. Bogowie godzą się i wycofują do światła, mroku i neutralnej szarości.

Wojna wszystkich bogów. Wybucho kolejny konflikt bogów, tym razem o duchy gwiazd. Bogowie dobra pragną się nimi opiekować, bogowie zła zawładnąć nimi, a neutralni bogowie chcą tylko je uwolnić.

Stworzenie równowagi. Najwyższy bóg tworzy kosmiczną szalę równowagi. Każda rodzina bogów może dać jeden dar duchom gwiazd, a potem ma zostawić je w spokoju. Bogowie jasności dają im materialne ciała, bogowie ciemności przeklinają je słabością i śmiertelnością, a bogowie neutralności obdarzają je wolną wolą.

Czas narodzin. Powstają dzieci ziemi – ogry z kamienia, elfowie z drewna i ludzie z gliny. Zimne, piękne i puste ogry zamieszkują góry, stopniowo oddając się pod władzę bogów zła. Ich wygląd zewnętrzny ostatecznie zacznie odzwierciedlać ohydę ich wnętrza. Elfowie – wysocy, dumni, wdzięczni i samotni niczym drzewa, zamieszkali w lasach, zawsze czcząc bogów dobra. Ostatni i najpospolitsi byli ludzie, nieprzewidywalni i równie zdolni do zła, jak i dobra. Zepchnięci na dzikie równiny, sami stali się dzicy i prymitywni.

Wiek Snów: 9000 - 5000

(Wiek Podstaw)

8500 - 5000 PC (Pre-Cataclius – przed kataklizmem)

Narodziny cywilizacji. Powstaje państwo ogrów.

8700 PC

Narodziny krasnoludów. Reorx tworzy swoją umiłowaną rasę – kowali, którzy staną się przodkami krasnoludów.

6000 - 5000 PC

Ludzie wyzwalają się z niewoli ogrów. Upadek ogrów.

5000-3000 PC

Powstanie królestwa elfów.

Wiek Jasności: 4000 - 2000

(Wiek Elfów)

4000 PC

Powstanie dynastii Silvanosa. Pierwszy Sinthal-Elish, rada elfów, jednoczy wszystkich elfów pod władzą Silvanosa.

3500 - 3350 PC

Pierwsza smocza wojna. Bogowie magii tworzą Graystone, nasycają go swym duchem i umieszczają na jednym z księżyców.

3350 PC

Powstanie Silvanesti. Elfowie budują swe królestwo na wzór starożytnej i zaginionej cywilizacji ogrów.

3100 PC

Uwolnienie Graystone. Na skutek podstępu złych bogów Graystone wymyka się spod kontroli. Magia wkracza na Krynn. Szalejąca swobodnie dzika magia powoduje przemiany istot – powstają elfowie morsecy, kenderzy, minotaury, gnomy, gryfy, harpie i inne dziwaczne stwory.

3100-2900 PC

Powstanie Kal-Thax, pierwszego królestwa krasnoludów.

2692 - 2645 PC

Druga smocza wojna.

2645 - 2550 PC

Stworzenie praw magii. Dzika magia rozpętana podczas wojny ze smokami groziła zniszczeniem świata. Wybudowano więc w odległych rejonach pięć bastionów magii, w których mogli schronić się wszyscy czarodzieje. Powstają Wieże Wielkiej Magii.

2600 PC

Powstanie cesarstwa Ergoth, pierwszego mocarstwa ludzi.

2150-2000 PC

Założenie Thorbardinu, wielkiego królestwa krasnoludów.

2192-2140 PC

Wybuch bratobójczych wojen. Sithel, syn Silvanosa, przypadkowo ginie z rąk ludzi. Wybucho

wojna z ludźmi. Jest to początek bratobójczych wojen, w których półelfowie zmuszeni są opowiedzieć się po którejś ze stron, często walcząc z własnymi braćmi.

2073 PC

Podpisanie paktu mieczowego. Rozejm ten podpisały oba narody elfów, krasnoludy i ludzie z cesarstwa Ergoth.

2072 PC

Wykucie miota Kharasa.

2050 - 2030 PC

Wielki marsz. Kith-Kanan, syn Sithela, nie mogąc zgodzić się z własnym bratem, z którym toczył wojnę, postanawia wyprowadzić część elfów na zachód. Powstaje naród Qualinesti.

2000-1900 PC

Wybudowanie twierdzy Pax Tharkas. Jest to wspólny wysiłek ludzi, elfów i krasnoludów, trwały pomnik pokoju.

1900-1750 PC

Bunty na wschodzie. Panowanie okrutnych cesarzy w Ergoth jest przyczyną powtarzających się powstań.

1801 PC

Wielkie powstanie w Vingaard. Vinas Solamnus, dowódca straży cesarskiej Ergoth, zostaje wysłany na czele wojsk, by zgnieść kolejny bunt.

1799-1791 PC

Rebelia róży i upadek Ergoth. Po zbadaniu przyczyn powstania, Solamnus uznaje zasadność buntu przeciwko uciskowi władzy cesarza i wraz z większością swych wojsk przyłącza się do rebelii.

1791 PC

Wojna lodowych łez. Vinas Solamnus oblega stolicę Ergoth, Daltigoth. Cesarz wreszcie

zgadza się zawrzeć pokój, dając północnym prowincjom niepodległość.

1775 PC

Założenie zakonu rycerzy solamnijskich. Vinas Solamnus tworzy bractwo rycerzy, broniących dobra i prawa na świecie. Patronami trzech poszczególnych zakonów: róży, miecza i korony, są trzej bogowie dobra – Paladine, Kiri-Jolith i Habbakuk.

1750-1300 PC

Narodziny narodów. Powstaje Sancrist, Solamnia i Istar. Ergoth chyli się ku upadkowi.

1060-1018 PC

Trzecia smocza wojna.

1020- 1018 PC

Huma – pogromca smoków. Młody rycerz solamnijski, Huma, zakochał się w srebrnej smoczycy. Natchnieni przez Paladine, razem wykuli pierwszą smoczą lancę i ruszyli do boju, w którym oboje ponieśli śmierć. Takhisis wycofała się ze świata i zabrała ze sobą wszystkie smoki.

Wiek Potęgi: 1000 - O (Wiek Fałszywego Boga)

1100-800 PC

Rozkwit i dominacja Istar.

910-460 PC

Wojny z agrarni i barbarzyńskimi plemionami ludzi. Elfowie i krasnoludowie podpisują pakt mieczowy z Istar, gwarantujący wsparcie w wojnach z najeźdźcami. Solamnia po raz drugi podpisuje ów pakt, praktycznie podporządkowując się mocarstwu Istar.

280 PC

Istar – centrum cywilizacji. Istar ogłasza się moralnym autorytetem świata. Powstaje urząd króla-kapłana.

260-212 PC

Budowa świątyni króla-kaptana. Świątynia króla-kapłana zostaje wzniesiona, by głosić chwałę Istar.

118 PC

Ogłoszenie manifestu cnót. Król-kapłan układa surową listę przewinień, za które grozi śmierć na arenie gladiatorskiej.

80-20 PC

Dominacja klasy kapłańskiej w Istar. Następują rządy teokratyczne. Bogowie przestają udzielać swych łask kapłanom Istar.

19 PC

Obleżenie Wież Magii. Rozpoczyna się prześladowanie czarodziejów. Król-kapłan Istar wypowiada wojnę magom. Nazwana później przegraną bitwą walka kończy się zniszczeniem dwóch wież i rzuceniem przekleństwa na trzecią. Król-kapłan zajął dla siebie wieżę Istar, czarodziejom pozostała wieża Wayreth.

6 PC

Edykt o kontroli myśli. Do listy wykroczeń zaczęto zaliczać niepraworządne myśli. Magowie na usługach kapłanów, czytając w myślach za pomocą czarów, wykrywali niepokornych. Nastąpiły czasy terroru.

0 Katakлизм

Król-kapłan w swej pysze sięga po władzę boską. Zagniewani bogowie zrzucają na Istar ognistą górę. Przeklęte Istar znika pod powierzchnią morza. Bogowie zabierają z Krynnu prawdziwych, wiernych im kapłanów.

Wiek Ciemności 1- ???

(Wiek Smoków)

1 - 300 AC (Alt-Cataclius – po katakлизmie)

Lata mroku. Katakлизм wywołał straszliwe zmiany wyglądu Krynnu. Zmianie ulega ukształtowanie terenu i klimat. Lud zniszczonych państw staje się barbarzyński. Szaleją wojny, głód i zarazy. Prześladowani rycerze solamnijscy zmuszeni są ukrywać się.

39 AC

Wojny krasnoludów. Ludzie i krasnoludowie podgórscy z Xak-Tsaroth proszą o schronienie w Thorbardinie, królestwie górskich krasnoludów. Zostają jednak brutalnie przepędzeni, co daje początek długiej wojnie i zagorzałej nienawiści między krasnoludami ze wzgórz i z gór.

141 AC

Otworzenie bramy z otchłani na Krynn. Takhisis odnajduje kamień fundamentów z przeklętej świątyni w Istar i zanosí go do swojej siedziby w Nerace, gdzie wyrasta z niego mroczna wersja świątyni Istar, poświęcona Takhisis.

142-152 AC

Przebudzenie smoków.

157 AC

Berem znajduje zielony klejnot. Zielony klejnot stanowi część kamienia fundamentów i element niezbędny do otworzenia bramy z otchłani. Klejnot wrasta w ciało Berema, a duch zabitej przez niego siostry zamieszkuje kamień fundamentów.

210 AC

Takhisis zastaje bramę zamkniętą. Królowa Ciemności odkrywa przyczynę zatrzaśnięcia bramy i rozpoczyna nieustające poszukiwania tego, kto nieświadomie zagroził jej drogę.

287 AC

Kradzież jaj dobrych smoków.

296 AC

Przysięga. Używając skradzionych jaj jako zakładników, Takhisis wymusza na dobrych smokach przysięgę nieingerencji w kolejną wojnę.

332 - 340 AC

Mianowanie smoczycich władców. Na polecenie swej królowej, złe smoki weszły w porozumienie ze złymi ludźmi i ogami, tworząc w ten sposób smocze armie.

342 AC

Stworzenie smokowców. Takhisis uczy swych kapłanów i czarnoksiężników, jak stworzyć dziesiątki złych smokowców z jednego jaja dobrego smoka.

348 AC

Początek wojny lancy.

349 AC

Upadek Silvanesti.

350 AC

Umocnienie zła. Cały wschodni Ansalon znajduje się pod panowaniem Takhisis.

351 AC

Uderzenie na zachód. Wraz z nadejściem wiosny rozpoczyna się atak na wschodnie obrzeża Solamni. Rycerze, będąc w rozsypce, nie są w stanie powstrzymać natarcia. Dopiero jesienią front się zatrzymuje. Solamnia jest oblegana, Qualinesti uciekają ze swej ojczyzny w ślad za swymi kuzynami Silvanesti. Zajęcie Równin Pyłu i miasta Tarsis odcina drogę odwrotu krasnoludom. Do końca roku niemal cały Ansalon znajduje się w cieniu smoczych skrzydeł.

352 AC

Rada białego kamienia. Przedstawiciele ocalałych ras zbierają się na Sancrist i niechętnie zawierają przymierze. Wraz z nadejściem wiosny w obrońców wstępuje nowa nadzieja – przybycie dobrych smoków pozwala w pełni wykorzystać smocze lance. Latem armie Białego Kamienia rozpoczynają szturm na wschód, odbijając Solamnię i większość zagrabionych terytoriów. Ostateczna bitwa w dolinie Neraki kończy się zniszczeniem świątyni Takhisis, a wraz z nią bramy królowej ciemności. W szeregach sił zła wybuchają walki. Wojna lancy dobiega kresu.

353 AC

Koniec wojny lancy. Resztki smoczycy armii wycofują się na wschód. Wojna kończy się tymczasowym rozejmem. Smocze armie nadal okupują znaczną część południowego i wschodniego Ansalonu.

356 AC

Władca przeszłości i teraźniejszości. Raistlin Majere i jego brat, Caramon, za pomocą urządzenia do podróży w czasie, wybierają się w przeszłość, by zmienić los Istar i rzucić wyzwanie samej Królowej Ciemności. Raistlin wędruje przez czas i otchłan, mając nadzieję, że pokona Królową Smoków.

357 AC

Wojna Błękitnej Pani. Jedna z najpotężniejszych władczyń smoków zawiera pakt z upiorem rycerza solamnijskiego, Sotha i na czele - smoczycy armii rusza na Solamnię. Oblega i pali Palanthis, lecz lord Soth, dokonawszy zemsty, wycofuje się. Pozbawiona wsparcia Błękitna Pani ponosi klęskę i ginie. Podczas obrony Palanthis ponosi śmierć znaczna część rycerzy solamnijskich. Oddaje swe życie również Raistlin Majere, który poświęca się, by zamknąć wrota wiodące do piekieł – otchłani i uniemożliwić Takhisis powrót na Krynn. Równowaga zostaje przywrócona.

Opracowanie

na podstawie *World Book of Ansalon*

z *Tales of the Lance Boxed Set*

Dorota Żywno